ROCZNIK PODOLSKI

ORGAN PODOLSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK
POŚWIĘCONY SPRAWOM I KULTURZE PODOLA

TOM I — ROK 1938

PODOLSKIE
TOWARZYSTWO
PRZYJACIÓŁ NAUK
W TARNOPOLU

TARNOPOL 1938
NAKŁADEM PODOLSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK
WYDANO Z ZASIŁKU FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ
I FUNDACJI IM. WIKTORA HR. BAWOROWSKIEGO
SKŁAD GŁÓWNY W „KSIĘGARNI SZKOLNEJ" KOWALSKIEGO
TARNOPOL, PL. DOMINIKAŃSKI

ROCZNIK PODOLSKI

ORGAN PODOLSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK
POŚWIECONY SPRAWOM i KULTURZE PODOLA

Adres Redakcji: Tarnopol, Gimnazjum II.

Redakcja prosi uprzejmie wszystkich autorów i wydawców publikacyj obejmujących swym zakresem terytorium Podola, względnie województwa tarnopolskiego, albo posiadających specjalne znaczenie dla tych obszarów, o nadsyłanie egzemplarzy recenzyjnych.

Cena niniejszego tomu wynosi 8 zł.

PRACE

PODOLSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK

	Cena zł
Nr 1. Adam Przyboś: *Konfederacja gołąbska.* 1936, str. XII 255	5·00
Nr 2. Franciszek Machalski: *Orientalizm Antoniego Langego.* 1937, str. VIII 166	4·00

ODBITKI Z ROCZNIKA PODOLSKIEGO

Karol Dejna: *Podolsko-wołyńskie pogranicze językowe.* 1938, str. 2 nlb 63 + tbl.	3·50
Stanisław Spittal: *Lecznictwo ludowe w Założcach i okolicy.* 1938, str. 4 nbl 166	4·00
Adam Przyboś: *Inwentarz Archiwum Skazinieckiego Bończa Markowskich.* 1938, str. 45 + tbl.	2·00
Tadeusz Ladenberger: *Notatki bibliograficzne.* 1938, str. 74	2·00

Ponadto na składzie Towarzystwa znajduje się:

Jan Bauer: *Z przeszłości osiedli województwa tarnopolskiego.* 1938, str. 4 nbl 59	1·00

Zamówienia należy kierować pod adresem „Księgarni Szkolnej“ Kowalskiego (Tarnopol, pl. Dominikański).

Członkowie Towarzystwa otrzymują wszystkie jego publikacje bezpłatnie. Dyrekcja prosi uprzejmie o regularne i szybkie wpłacanie uchwalonych wkładek (5 zł rocznie) pod adresem Towarzystwa (Tarnopol, Gimn. II).

ROCZNIK PODOLSKI

ROCZNIK PODOLSKI

ORGAN PODOLSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK
POŚWIĘCONY SPRAWOM i KULTURZE PODOLA

TOM I — ROK 1938

PODOLSKIE
TOWARZYSTWO
PRZYJACIÓŁ NAUK
W TARNOPOLU

TARNOPOL 1938
NAKŁADEM PODOLSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK
WYDANO Z ZASIŁKU FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ
i FUNDACJI IM. WIKTORA HR. BAWOROWSKIEGO
SKŁAD GŁÓWNY W „KSIĘGARNI SZKOLNEJ“ KOWALSKIEGO
TARNOPOL, PL. DOMINIKAŃSKI

TOM NINIEJSZY REDAGOWAŁ TADEUSZ LADENBERGER
PRZY WSPÓŁUDZIALE ADAMA HEILPERNA, FRAN-
CISZKA MACHALSKIEGO, LEONA POPIELA,
ADAMA PRZYBOSIA i ADAMA STOFFLA.

Z DRUKARNI FR. FLISA DAWNIEJ L. WIERZBICKIEGO W TARNOPOLU.

Spis treści.

Od wydawców.

Od lat kilkunastu jesteśmy świadkami powstawania szeregu małych regionalnych ognisk kultury i nauki polskiej, a także coraz bujniejszego ich rozwoju. Niektóre, jak Gdańsk, Płock, Przemyśl, Łuck, Równe, mogą się już wykazać bardzo poważnym dorobkiem naukowym, a Katowice i stare ognisko toruńskie już w niedalekiej przyszłości awansują do rzędu siedzib wyższych uczelni.

Stosunkowo późno stanął w tym szeregu Tarnopol, mimo to że mógł on nawiązać do starych i cennych tradycyj. Zawdzięczamy je pierwszemu regionaliście polskiemu Wiktorowi hr. Baworowskiemu (1823—1894), poecie, zbieraczowi pamiątek narodowych i twórcy fundacji swego imienia, zawdzięczamy je organizatorom i członkom Kółka Naukowego Tarnopolskiego (1892—96) i Muzeum Ziemi Podolskiej T. S. L. (od 1906). Jednakowoż po wielkiej wojnie i następujących po niej wojnach polskich, które zrujnowały zupełnie nasze miasto, warunki materialne nie sprzyjały rozwojowi spokojnej pracy kulturalnej i naukowej. Trzeba więc było wiele czasu, zapału i trudu, aby zorganizować Podolskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk (1934), wydać dwa tomy jego „Prac“, pierwszy tom „Rocznika Podolskiego“ i powołać do życia Zakład Naukowy Fundacji im. Wiktora hr. Baworowskiego (1937). Ostatnie dwa lata przyniosły korzystne zmiany w rozwoju gospodarczym Tarnopola, a da Bóg, że lepsze warunki materialne utrwalą osiągnięte już sukcesy na polu organizacji kultury i nauki.

Na łamach „Rocznika Podolskiego“ chcemy publikować mniejsze rozprawy, przyczynki, materiały i dane bibliograficzne, dotyczące Podola i województwa tarnopolskiego. A zatem jego powstanie nie pociąga za sobą zawieszenia wydawnictwa naszych „Prac“. Przeciwnie będą one wychodziły nadal, a zamieszczać w nich będziemy opracowania obszerniejsze i obejmujące całokształt jakiegoś problemu,

Wszystkie nasze dotychczasowe publikacje, zarówno oba numery „Prac“ jak i pierwszy tom „Rocznika“, są owocami pracy samych Podolan i członków naszego Towarzystwa; nie jesteśmy więc tylko konsumentami, ale także skromnymi współtwórcami nauki polskiej wogóle, a podoloznawstwa w szczególności. W dalszej swej pracy będziemy się starali, by obok skromnych dociekań miejscowych pracowników na kartach naszych wydawnictw ukazywały się również dojrzałe dzieła znanych ogólnie uczonych polskich.

Naszą działalność wydawniczą stale popiera moralnie i materialnie Fundusz Kultury Narodowej Józefa Piłsudskiego oraz jego dyrektor Stanisław Michalski, któremu zawdzięczamy również myśl wydawania „Rocznika Podolskiego“, jako periodycznego organu Towarzystwa. Bardzo wiele zawdzięczamy również wojewodzie lwowskiemu Alfredowi Biłykowi oraz Fundacji im. Wiktora hr. Baworowskiego, a z miejscowych czynników Zarządowi Miejskiemu w Tarnopolu, jego kierownikowi prezydentowi Stanisławowi Widackiemu i Urzędowi Wojewódzkiemu w Tarnopolu. Wymienionym instytucjom i panom na tym miejscu składamy gorące „Bóg zapłać“.

Za Prezydium Rady Naczelnej i Dyrekcję Podolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

Adam Heilpern
dyrektor

Franciszek Polniaszek
prezes

DEJNA KAROL, Borki Wk.

Podolsko-wołyńskie pogranicze językowe.

Zofii Logajównie
poświęcam.

I. Uwagi wstępne.

Ustalenie granic pewnego dialektu czy grupy gwarowej jest kwestią, traktowaną dość niejednolicie. Utarł się zwyczaj, zwłaszcza w starej literaturze językowej, że dialekty liczyło się na ilość, te zaś na gwary i dla każdej grupy starano się z większym lub mniejszym powodzeniem ustalić granicę. Wskutek tego mapa dialektyczna wyglądała zazwyczaj jako pewien system plam, które zapełniały bez reszty — a najwyżej z oznaczeniem pewnych terenów przejściowych — obszar danego języka. Takim systemem opracował najstarszą mapę dialektów ruskich Mychalczuk[1]), a także w nowszej dialektologii trzymają się tej metody Rabijówna wykreślając granicę gwary bojkowskiej[2]) i Ziłynski w swej „Mapie ukraińskich dialektów"[3]). Zasada tego sposobu kreślenia map gwarowych ma do pewnego stopnia słuszność, zwłaszcza jeśli chodzi o objęcie bardzo wielkich terenów, na których ilość różnych grup dialektycznych jest bardzo liczna, a wyciągnięcie wszystkich izofon i izomorf byłoby i niemożliwe, i niedokładne, i zaciemniałoby mapę. Ale nawet usprawiedliwiając autorów map nie możemy nie wspomnieć, że ten system wyznaczania granic gwarowych jest i błędny, i niedokładny. Musimy bowiem przy odczytywaniu tak ułożonych map ograniczyć się do tego, że przyjmujemy za słuszne, jakoby wszystkie cechy, wyróżniające pewną gwarę, zamykały się w granicach terenu, oznaczonego danym kolorem. Tymczasem konkretne i dokładniejsze badania

---

[1]) Trudy Etnograf. Kom. t. VII.
[2]) Sprawozdania Akad. Umiej. t. XXXVII (1934) str. 15—29.
[3]) Jan Ziłynski, Karta ukrainśkyx hovoriv, Warszawa 1933.

w oparciu o liczne punkty gwarowe wykazują, że prawie nigdy tak nie jest. Jedne bowiem cechy sięgają znacznie dalej niż przypuszczalna granica na mapie, inne natomiast znikają już we wsiach, leżących na terenie uważanym jeszcze za objęty przez tę gwarę. Powody tej rozbieżności granic są bardzo liczne i często zupełnie nieuchwytne. Język bowiem jako organizm żywy nie da się nigdy ująć w karby konieczności jednolitego rozwoju wszystkich właściwości bez wyjątku, a zatem ścisłe rozgraniczenie jego grup gwarowych jest niemożliwe, nawet jeśli wchodzą tu w grę tak poważne momenty jak granica naturalna terenu. Niektóre bowiem cechy są bardziej ekspansywne i szerzyły się lub szerzą silniej w dialekcie sąsiednim, inne natomiast skłonne są do zanikania i ustępują bardzo łatwo.

Drugą bardzo nieraz dezorientującą wadą dotychczasowych map dialektów ruskich, bo o te nam w danej chwili chodzi, jest to, że wykreślono je na podstawie dość rozrzuconych i nielicznych punktów, w których zebrano materiały gwarowe. Nic też dziwnego, że granice poszczególnych dialektów będziemy musieli przesunąć nieraz nie tylko o kilka wsi, lecz nawet o kilka powiatów. Niedokładności te musieli uczeni popełnić z tych powodów, że jeden człowiek, a nawet nieliczna grupa ludzi nie była w stanie zbadać tak ogromnych terenów, ciągnących się od dorzecza Dniepru aż po San. Z konieczności więc musieli lingwiści posługiwać się materiałem pomocniczym — w danym wypadku zapisami robionymi dla celów etnograficznych. Zapisy zaś etnograficzne są albo niedokładne lub nawet niepewne. W wielu bowiem wypadkach etnografowie, nawet przy wiernym notowaniu opowiadań z ust ludu, zapisywali je mową literacką i z tych możemy korzystać tylko wtedy, gdy chodzi o słownictwo, czasami o składnię (jeśli ona jest różna od składni literackiej); w zakresie zaś cech fonetycznych i morfologicznych powodują takie zapisy dezorientację badacza. Tak na przykład, gdybyśmy chcieli się oprzeć na zapiskach etnograficznych z Kobyłowłok (111), musielibyśmy umieścić niektóre cechy gwarowe o 40—50 km dalej na południe niż to jest w rzeczywistości. Spotykamy bowiem w opowiadaniu z tej wsi takie formy: *oženytь sja z mamoju, xłopecь*[1]*)* itd., gdy w rzeczywistości mamy dziś w tej miejscowości końcówkę instr. sg. fem. *-om*, zaimek zwrotny *śý*, 3 os. sg. i pl. *-ť*, suf.

[1]) Etnografičnyj zbirnyk Etnograf. Kom. Nauk. Tov. Sevč. Lwów 1902 t. XII str. 22.

-ec z twardą końcową, itd. (zobacz mapy I i II). W niektórych zaś wypadkach mamy wprost rażącą niekonsekwencję w notowaniu form gwarowych. Teksty opowiadań np. ze wsi Nałuża[1]) dają nam dużo wprawdzie materiału gwarowego, ale spotyka się tam zazwyczaj dwie formy tej samej właściwości, np. *dyvlat' sia* || *dyvlat sie, oženyu sie z neju* || *z niou, dyvyt' sie stojit verba, začyty* || *začały, budu vertaty* || *budu jiła* itd. W tym jednak wypadku można jeszcze uważać, że po prostu gwarowymi są te formy, które odbiegają od brzmienia literackiego. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa, gdy obok formy zgodnej z językiem literackim spotykamy dwie formy gwarowe w tym samym tekście. Krótki np. zapis z Zastawia (80) (pow. Tarnopol) podaje nam aż trzy formy instr. sg. fem.: *rosov vmyju sja, vtry sja mojom zapaskom, zabyv dobneju medvedja*[2]). Z nich trzecia występuje wprawdzie w gwarze wołyńskiej, ale równie dobrze może być literacką naleciałością zapisywacza lub obiektu badanego. Ale jak się zapatrywać na końcówki *-ov* i *-om*? Dziś Zastawie leży na tym terenie, gdzie końcówka ta występuje konsekwentnie w postaci *-om*, więc widocznie kilkadziesiąt lat temu zasiąg tej cechy był taki sam jak dzisiaj. Równie jednak dobrze może być, że wtedy obszar wymowy *-ou*, odległy dziś zaledwie o kilka kilometrów od Zastawia, rozciągał się dalej na wschód; może wreszcie badany obiekt pochodził ze wsi o innej wymowie niż *-om*. W każdym razie te bardzo często spotykane niekonsekwencje i niedokładności zmuszają nas do tego, że materiałów etnograficznych będziemy mogli używać tylko jako materiału pomocniczego, nigdy zaś te zapisy nie będą przedstawiały dla nas wartości dowodowej, chyba że robione byłyby przez człowieka o wielkim wyczuciu językowym i zwracającego uwagę na właściwości gwarowe.

Nic też dziwnego, że dotychczasowe mapy gwar ruskich, robione na podstawie albo bardzo rzadko rozsianych po terytorium językowym punktów zbadanych przez dialektologów, albo częściowo oparte na zapisach nieraz bezwartościowych lub o wartości ujemnej będą niedokładne, a nawet niekiedy sprzeczne ze stanem faktycznym.

---

[1]) Stanisław Zdziarski, Garść baśni ludu ruskiego ze wsi Nałuża pow. trembowelskiego, Mat. Antr.—Arch. i Etn. t. IV str. 153—155.

[2]) Etn. Zb. t. XII str. 29.

Wynikiem różnicowania gwar według terytoriów przez nie objętych jest jeszcze jedna niewygodna strona tak opracowanych map — ta mianowicie, że nie mamy jasnego przeglądu tych cech, które bardziej ekspandują na terytoria sąsiednie i przez to niejako wybiegają naprzód przed innymi właściwościami tej samej gwary, ani też nie widzimy z samej mapy, w których okolicach występują cechy podobne. A tymczasem jest to rzecz bardzo ważna, szczególnie jeśli chodzi o momenty pozajęzykowe. Dla nas bowiem nie będzie obojętne czy jakieś poszczególne cechy występują tylko w jednym dialekcie, czy też spotykamy je w kilku gwarach odległych i oddzielonych od siebie. Jeżeli np. ta sama cecha ukazuje się w dialekcie wschodnio-ukraińskim, a prócz tego spotykamy ją w gwarze wołyńskiej i na Bojkowszczyźnie, albo jeżeli pewne właściwości językowe występują na Polesiu i w Karpatach, to mogą wprawdzie te zjawiska być wynikiem rozwoju niezależnego, powodowanego różnymi warunkami lub rozmaitymi wpływami z zewnątrz, lecz również można w niektórych wypadkach przypuszczać, że jest ono odbiciem dawniejszego sąsiedztwa tych ludów, czy może silniejszego oddziaływania wzajemnego na siebie. Także jest ważną rzeczą, jeżeli jakaś cecha nie ogranicza się do terytorium jednej gwary, lecz obejmuje kilka gwar różniących się poza nią całym szeregiem pozostałych właściwości. Wydaje się bowiem wtedy całkiem możliwa hipoteza, że istniała kiedyś łączność tych ludów lub uleganie objętych terytoriów jakimś wspólnym wpływom.

Te względy skłaniają nas do opracowywania mapy dialektycznej przez zupełnie ścisłe wykreślenie wszystkich izofon, izomorf oraz różnic słownikowych, które się dadzą zaznaczyć na danym terenie, choćby te granice w sumie nawet uniemożliwiały dokładne zdanie sobie sprawy z konkretnego przebiegu granicy pewnej gwary.

Artykuł niniejszy jest próbą zebrania wyników pracy powziętej nad zbadaniem dialektów Podola, a raczej gwar, które spotyka się na terenie województwa tarnopolskiego. Rzecz zrozumiała, że musi się niejednokrotnie wyjść poza granice tej jednostki administracyjnej, ponieważ w przeciwnym razie trzeba by nieraz zrezygnować z wielu ważnych spostrzeżeń.

W dotychczasowych badaniach zdołałem zebrać materiały tylko z północnej części tego terenu i pobieżnie ujęte wyniki postaram się po krótce omówić. Pobieżność wywodów polega na

tym, że nie daję ani monograficznego opracowania całości systemu gramatycznego gwar na terenie objętym mapą, ani też nie trzymam się cech charakterystycznych dla poszczególnych gwar. Uwzględniłem w zasadzie tylko te cechy fonetyczne, morfologicze, składniowe i właściwości słownikowe, które występują przynajmniej w dwu różnych postaciach dialektycznych. Omówienie zaś właściwości, choćby one były najbardziej charakterystyczne dla języka ruskiego, ale występujących na całym obszarze badanym w jednolitej postaci, odkładam do monograficznego opracowania całości systemu językowego gwar woj. tarnopolskiego i obszarów sąsiednich. Dlatego nie będziemy się szczegółowo zajmowali tak ważnymi na przykład w językoznawstwie ruskim zagadnieniami, jak sandhi międzywyrazowe, podwojenie spółgłoski przed **-ьj*, kwestią twardego *ky*, *gy* itp., ponieważ cechy te występują na całym badanym obszarze w postaci jednolitej i dopiero na dalszych terenach można spotkać linie odgraniczające ich zasięgi.

Badany teren gwarowy leży według wspomnianej mapy Ziłynskiego prawie w środku obszaru objętego dialektem południowo-zachodnim. Na terenie woj. tarnopolskiego zbiegają się, jak widzimy na tej mapie, trzy obszary gwarowe, a mianowicie gwary podolskiej, południowo-wołyńskiej i naddniestrzańskiej, czyli opolskiej. Podjęte prace nad dokładnym zbadaniem gwar wyznaczonego obszaru główny nacisk położyły 1) na skonstatowanie, czy wszystkie cechy wymienione[1]), jako właściwe dialektowi południowo-zachodniemu naprawdę występują na tym terenie i 2) czy zasiąg cech, podanych jako wyróżniające trzy wspomniane gwary, zgadza się w rzeczywistości z mapą. Powierzchowne już jednak zaznajomienie się z wynikami nowych badań, opartych na możliwie najdokładniejszym kwestionariuszu, przeprowadzonych z zachowaniem wszelkich zasad ostrożności i dokonanych w silnie zagęszczonych (zwłaszcza na pograniczu) punktach, pozwolą nam stwierdzić przede wszystkim: 1) że chociaż granicę dialektu pd.-zachodniego wykreślono o jakie 300 km na wschód od badanego terenu[2]), to izofony i izomorfy przeważnej części cech dialektu pd.-wschodniego sięgają aż do obszarów południowej części woj. tarnopolskiego (np. *ŕ*, *ḽ*

---

[1]) W dziełach: J. Ziłynski, Opis fonetyczny języka ukraińskiego, Kraków 1932, str. 8; J. Ziłynski, Karta ukr. hovor. Warszawa 1933, str. 6.

[2]) Jest nią linia Biała Cerkiew — Humań — Ananijów.

średnie, większe miękczenie spółgłosek przedniojęz. przed *i* w zgłoskach zamkniętych), lub jego północnej części (pogranicze woj. tarnopolskiego i wołyńskiego skupia granice takich cech dialektu pd.-wschodniego, jak : koronalno-dorsalnej palatalizacji *s', z', c'*, miękkiej końcówki 3 os. sg. i pl. *-t'*, suf. *-ec'*, miękkiego dat. sg. m. *-evi*, form *na zŷmli, na ko|ńi, na |pol'i* itd.), oraz 2) że granice trzech wymienionych gwar na tym terenie w stanie dzisiejszym nie odpowiadają granicom zaznaczonym na mapie Ziłynskiego.

Wykaz miejscowości do map gwarowych.

1 Popowce
2 Łopuszno
3 Palikrowy
4 Styberówka
5 Zwyżyn
6 Markopol
7 Zagórze
8 Rydoml
9 Oleksiniec St.
10 Bodaki
11 Borsuki
12 Manajów
13 Załoźce St.
14 Hnizdyczna
15 Kobyla
16 Bolizuby
17 Kołodno
18 Zarudzie
19 Kochanówka
20 Wierzbowiec
21 Łopuszno k. Wyżgr.
22 Wyżgródek
23 Moskalówka
24 Hukałowce
25 Jarosławice
26 Kudobińce
27 Olejów
28 Białogłowy
29 Mszaniec p. Tarnop.
30 Ihrowica
31 Dobrowody
32 Nowiki
33 Dubowce
34 Stechnikowce
35 Czernichowce
36 Roznoszyńce
37 Łubianki Niż.
38 Dobromirka
39 Szelpaki
40 Suchowce
41 Hnilice Wk.
42 Koszlaki
43 Klimkowce
44 Jarczowce
45 Mszana
46 Nesterowce
47 Ostaszowce
48 Płaucza Wk.
49 Taurów
50 Pokropiwna
51 Domamorycz
52 Dołżanka
53 Płotycz
54 Łozowa
55 Szlachcińce
56 Bajkowce
57 Rusianówka
58 Smykowce
59 Czernielów Ruski
60 Borki Wk.
61 Dyczków
62 Romanówka
63 Kujdańce
64 Romanowe Sioło
65 Kamionki
66 Chmieliska
67 Supranówka
68 Zadniszówka
69 Budyłów
70 Płotycza
71 Denysów
72 Kupczyńce
73 Berezowica Wk.
74 Bucniów
75 Łuka Wk.
76 Myszkowice
77 Nastasów
78 Czartoria
79 Łuczka
80 Zastawie
81 Grabowiec
82 Proszowa
83 Skomorochy
84 Konstantynówka
85 Chodaczków Mały
86 Kołodziejówka
87 Połupanówka
88 Magdalówka
89 Kozówka
90 Mytnica
91 Sorocko
92 Iławcze
93 Krzywe
94 Zarubińce
95 Poznanka Hetmańska
96 Ostapie
97 Iwanówka k. Skałatu
98 Turówka
99 Pajówka
100 Krasne k. Grzym.
101 Rakowiec
102 Złotniki

103 Zazdrość
104 Ładyczyn
105 Warwaryńce
106 Darachów
107 Zaścianocze
108 Iwanówka k. Trem.
109 Dereniówka
110 Mszaniec k. Trem.
111 Kobyłowłoki
112 Jabłonów
113 Uwisła
114 Rasztowce
115 Kręciłów
116 Horodnica
117 Samołuskowce
118 Kręgulec
119 Kociubińce
120 Wasylkowce

II. Zachowanie się *'a*.

Na terenie woj. tarnopolskiego, jak podaje Ziłynski, zbiegają się trzy następująco rozgraniczone tereny gwarowe: 1) gwary podolskiej, której obszar zaczyna się na południu od Dniestru, biegnie wzdłuż rzeki Seretu i za Tarnopolem skręca popod Zbaraż na wschód, aby mniej więcej koło Tok przejść granicę polityczną; po wschodniej stronie Zbrucza ciągnie się ten obszar między Dniestrem a Bohem aż po Bałtę; 2) na zachód od Seretu rozciąga się gwara naddniestrzańska (opolska); 3) na linii zaś Toki—Zbaraż—górny Bug wypada granica gwary południowo-wołyńskiej. W objaśnieniach do mapy Ziłynski grupuje dość liczne gwary dialektu pd.-zachodniego w trzy pasy: a) północny (wzdłuż górnego Bugu i Bohu), b) gwary nad Sanem i Dniestrem i c) pas wzdłuż grzbietu Karpat. Zrozumiałą więc jest rzeczą, że przeważna część linii gwarowych zbiegnie się na południu granicy gwary wołyńskiej. Ciekawszy jest jednak podział średniego pasa, do którego zalicza autor gwary: a) podolską, b) pokucko-bukowińską, c) naddniestrzańską (opolską) i d) nadsańską[1]).

Na razie weźmiemy pod uwagę gwarę podolską i opolską, ponieważ one weszły w zakres ostatnich badań. Z nich podolska wyróżnia się od innych gwar pasa środkowego „zachowaniem czystej wymowy *a* po palatalnych *(d'aku̯u, žal', čas, ščast'e, i̯aky̆...* jak w gwarach południowo-wołyńskich, wschodnich i w mowie literackiej), natomiast w gwarach pod b), c), d) takie *-a, -i̯a* wymienia się w *i̯e, i: d'eku̯u, žel', č'es, čisu, ščist'e, i̯iky̆*"[2]). To zjawisko fonetyczne określa Ziłynski dokładniej w Opisie fonet. jęz. ukr.[3]): „W znacznej części gwar grupy zachodniej, w gwarach huculskich, poleskich i podlaskich idzie przesunięcie się miejsca artykulacyjnego *a* w sąsiedztwie palatalnym znacznie dalej (niż

[1]). J. Ziłynski, Karta... str. 7.
[2]) Tamże str. 7.
[3]) Str. 32—34.

ȧ, ä)... w górę nie tylko do kategorii samogłosek *e*, lecz nawet do *i*. Najdalej poszła ewolucja pod tym względem w gwarach wschodnio-galicyjskich, w których (z wyjątkiem północno-wschodniego pasa na pograniczu Wołynia, Podola i południowego pasa gwar karpackich) każde *a* (z **a* i **ę*) w zgłosce mocnej nawet przy jednostronnym poprzedzającym zmiękczeniu wymawia się jak *ê* (średniopodniebienne szeregu przedniego) albo *ẏ, y*, a przy obustronnym sąsiedztwie palatalnym jak *î, i*, np. *d'ėk, ž'ėl', ž'ẏl', žyl', wžẏu̧, por|ẏdok, hr|ẏtka, šč'išči* itp."

Brak tej cechy fonetycznej wyróżnia gwarę podolską od graniczących z nią na zachód i południe innych gwar grupy zachodniej, a zatem zachowanie *'a* powinniśmy znajdować na terenie woj. tarnopolskiego między Seretem a Zbruczem, Dniestrem i linią Tarnopol—Zbaraż—Toki, jak wskazuje całkiem zdecydowanie mapa.

Tymczasem materiały zebrane nieraz z dokładnością do jednej wsi, a przynajmniej do pięciu mniej więcej kilometrów, ujawniły zupełnie inne rozmieszczenie zachowania *'a* po miękkich, a mianowicie zmniejszyły znacznie obszar tej cechy. Konsekwentne przechodzenie *'a — ẏ* we wszystkich pozycjach spotykamy także za terenie zaznaczonym na mapie Ziłynskiego jako obszar objęty gwarą podolską, a więc nie posiadającą tego zjawiska. Północno-zachodnia izofona wymiany *'a — ẏ*, zaznaczona na mapach I i II linią 1, zaczyna się od granicy polsko-sowieckiej na północ od Husiatyna między Wasylkowcami (120) a Samołuskowcami (117) i Horodnicą (116), włącza do swego obszaru Uwisłę (113), przebiega między Iławczem (92) a Sorockiem (91), później skręca na zachód i obejmując swym zasięgiem Łukę (75), Myszkowice (76), Bucniów (79), Domamorycz (51), Pokropiwną (50) biegnie przez Jeziernę i między Jaryczowcawi (44) i Kudobińcami (26) a Mszaną (45) i Jarosławicami (25). Jak więc z tego widzimy, południowy obszar powiatu tarnopolskiego, prawie cały kopyczyniecki i borszczowski, części trembowelskiego, czortkowskiego i zaleszczyckiego, leżące na wschód od rzeki Seretu, będziemy musieli zaliczyć już nie do gwary podolskiej, tylko naddniestrzańskiej, a zatem obszar gwary podolskiej już na tym małym odcinku zbadanym zmniejszy się przeszło o 500 km².

Spotyka się wprawdzie nawet na terenie o konsekwentnym zachowywaniu przejścia *'a = ẏ* wypadki, gdy ludzie, zwłaszcza w wymowie starannej, nie zawsze używają form zgodnych

z właściwością swej gwary: np. *š|apku barań|ẙču, žaba, šč|aśćẙ* || *ž|ẙły* (żąć) (112), itd. Szerzenie się tych form o charakterze gwary mieszanej[1]) poparte jest z jednej strony językiem literackim (szkoła, książki, gazety...), z drugiej zaś faktem, że *š, ž, č* (bo po tych głoskach najczęściej spotyka się typ mieszany) są już zupełnie twarde w tych okolicach, a więc nie wchodzi tu w grę czynnik fonologiczny. Inne natomiast podłoże ma zachowanie *a* po *i̯* w czasownikach: *stoi̯|aty; łyž|au̯,stoi̯|ały* (106), *śmii̯|ałyby śẙ* (112), *boi̯|ałam śẙ* (50), itd., gdzie zachowywanie niezmienionego *a* jest wynikiem analogii do takich czasowników, jak *pł|akaty, nazyv|aty, i̯|ixaty, pamńit|aty,* w których *a* nie ma warunków do wymiany w *ẙ*. Typ wymowy mieszanej występuje na wspomnianym terenie niezwykle rzadko, ponieważ na ogół tylko u młodszych, bardziej oczytanych albo w starannej wymowie z kimś obcym; nosi więc wszelkie cechy zależności albo od języka literackiego lub dążności do poprawnego, wzorowego według uznania osobnika badanego, wyrażania się tak jak mówią ludzie uważani przez niego za wzór wymowy poprawnej, tzn. „nieśmiesznej". Taka dążność do korygowania wymowy gwarowej doprowadza nieraz do powstania formy hiperpoprawnej, np. informator, który unika wymieniania *'a = ẙ*, używa formy *do Trymb|ovla* zam. *do Trymbovl'i* (106).

O wiele natomiast ciekawsze, jeśli chodzi o wymianę *'a = ẙ*, są gwary mieszane po północno-wschodniej stronie izofony 1, a więc tam, gdzie w zasadzie *'a* nie przechodzi w *ẙ*. Na tym terenie, wbrew temu, co się mówi o zachowaniu *'a*, spotykamy nadzwyczaj dużo wypadków przejścia *'a = ẙ*, tylko trzeba dodać, że odbywa się to bardzo konsekwentnie, w ściśle określonych warunkach gramatycznych i występuje na obszarach, które mogą być dokładnie odgraniczone.

PRZEJŚCIE *'a = ẙ* W ŚRODKU WYRAZU

Tak na przykład po zewnętrznej stronie granicy wymiany *'a = ẙ* we wszystkich pozycjach (mapy I i II izofona 1) znajdujemy kilkadziesiąt wsi, w których to zjawisko fonetyczne występuje tylko w środku wyrazu, natomiast nie pojawia się w końcówkach. Odgraniczająca ten

[1]) „Typ mieszany rozwija tę samą cechę gramatyczną w jednych wyrazach zgodnie z gwarą *a*, w drugich zaś jej rozwój jest identyczny z gwarą *b*". Mieczysław Małecki, Do genezy gwar mieszanych i przejściowych, Slavia Occidentalis t. XII str. 81.

teren od północy izofona 2 biegnie na pn. od Turówki (98), przez Skałat, wyłącza Mytnicę (90) i obejmuje swym zasięgiem Kozówkę (89), Skomorochy (83), Proszowę (82), Dołżankę (52), Ostaszowce (47) i Mszanę (45). Prócz tego to samo zjawisko ukazuje się w dość daleko wysuniętej i odosobnionej co do tej właściwości wsi Kujdańce (63). Można wprawdzie uważać tę wieś za kolonię z południowego obszaru Podola, ale raczej mamy tu do czynienia z bardziej archaicznym zachowaniem cech gwarowych na pograniczu dialektycznym. Popiera to przypuszczenie fakt, że w tych okolicach, tylko na obszarze bardzo dużym, spotykamy również oderwaną od zwartych połaci swej gwary wyspę wymowy *śvyto* (por. str. 13), która zawiera zbyt dużo wsi, aby je wszystkie razem uważać za kolonie. W zbadanych 19 miejscowościach konsekwentnie występuje wymiana *'a* — *ẙ* w środku wyrazu, przy równoczesnym zachowaniu *-'a* w końcówkach. Oto kilka przykładów: *ķ'ẙrn yća* || *vį|ẙžy śẙ* (96); *sył'|etćamy, ne|d'ila, deń pola* || *vžẙła, traflẙįe śẙ* (91); *pį|ẙtnyća* (89); *xłopća* (genet. sg.) *ķ'ẙrn yća, ķryčat* || *ķahl|ẙnķa, mov|lẙų, post avl'ẙt, t'ẙš, čysn|yķ, ščẙbl'i, dẙrevį|ena...* (100). Równocześnie spotyka się tu częściej niż po południowej stronie linii 1 wypadki braku przejścia *'a* = *ẙ* także w środku wyrazu: *n|ežat, sołoml anyį ķuįava* (= nędzna chata) 98; *bań|aķ, dvi žabi...* (100).

Mamy tu do czynienia z kurczeniem się terenu cehy *'a* = *ẙ*, która zanika najpierw w tych wypadkach, gdzie zachodzi wyraźna dążność do wyrównania analogicznego. Lud bowiem, który na pograniczu obszaru o wymianie *'a* styka się z gwarą nie posiadającą tego zjawiska, zaczyna unikać swej wymowy przede wszystkim w tych pozycjach, które mu łatwo rzucają się w ucho. Ułatwia i przyśpiesza ten proces, prócz sąsiedztwa gwary z *'a*, język literacki, rozsiane dość licznie w tych okolicach gwary polskie, a przede wszystkim możność porównania końcówki we własnej wymowie z końcówkami rzeczowników po twardej spółgłosce, które nie ulegają wymianie w *ẙ*. Kiedy na przykład wieśniak wymawia *pįẙtnyćẙ* (nom. sg.), a równocześnie słyszy *pįatnyća* i uważa tę formę za poprawniejszą, przy czym widzi, że inne rzeczowniki kończą się na *-a*: *ł|avķa, žaba, baba, babamy...*, to wtedy i on zaczyna mówic *ķ'ẙrnyćamy*. W pozycjach natomiast, gdzie tę analogię trudno mu wykryć, pozostawia swą cechę gwarową nietkniętą i tą drogą powstaje typ *pįẙtnyća.*

POSTAĆ *'a* W KOŃCÓWKACH RZECZOWNIKÓW NIJAKICH TYPU **telę.*

Za powstaniem form typu *pįytnyća* drogą wyrównania analogicznego przemawiałoby także to, że w wypadkach, gdzie takie wyrównanie nie miało podstaw — bierzemy tu pod uwagę końcówki rzeczowników nijakich *tyl|y, łoš|ý, pać|ý*... obszar występowania pierwotnej końcówki *-'a = *-ę* w formie *-ý* jest znacznie szerszy od dwu poprzednio omówionych terenów przejścia *'a = ý*. Zmianę *-'a = -ý* powinno nawet przyśpieszyć wcześniejsze stwardnienie poprzedniej spółgłoski (np. *š, č* w wyrazach *łoš|ý, k|ačý)*, lecz mimo to utrzymuje się nawet we wsiach, którym już obca jest wymiana *'a* w ogóle, a dzieje się to dzięki temu, że analogiczne rzeczowniki nijakie (z innych powodów) mają końcówki o brzmieniu *-ý: žyt'|ý, vìši|l'ý (= * žitьje, * veselьje)* a także *połý, z|b'iže (= * polje, * zbože)*. Analogia więc w tym wypadku działa na dłuższe zachowywanie cechy gwarowej, która w innych pozycjach ustąpiła już dawniej cesze gwary sąsiedniej — przeciwnie niż na terenie objętym izofonami 1 i 2, gdzie analogia przyśpiesza szerzenie się tej samej cechy. Północny zasiąg tego zjawiska (linia 3) sięga mniej więcej od Podwołoczysk do granicy wsi Kudobińce (26) i Jarosławice (25), ale w środkowej części zbadanego terenu przybiera dość dziwny kształt. Wąskim bowiem przesmykiem koło Czernichowiec (35) i Szlachciniec (55) wcina się w teren wymowy *tyl|ý* wielki półwysep wymowy tej samej końcówki, zgodnej z gwarami leżącymi na północ od wspomnianej linii, a mianowicie typ *tyl|a, łoš|a*, razem z rzeczownikami nijakimi *žy|t'a, podö|ira* (73). Czystą wymowę końcówki *-a* w typie wyrazów *tyl|a, h|uśa, łoš|a* spotyka się w miejscowościach: Rusianówka (58), Dyczków (61), Konstantynówka (84), Magdalówka (88), Grabowiec (81), Zastawie (80), Berezowica Wk. (73), które stanowią ściśle odgraniczony półwysep, a właściwie nawet wyspę. Ten przesmyk bowiem, który łączy wymieniony obszar kilkunastu wsi z takim samym czystym typem końcówki nominat. nijakich *-a* w gwarach położonych bardziej na północ, razem z obszarem ujętym na mapie I liniami 3 i 4, a zakreskowany ukośnie od lewej ku prawej (miejscowości 15, 16, 17, 31, 32, 33, 35, 55, 38, 40, 43 i 67) nie ma już wprawdzie wymowy *tylý*, ale końcówka ta nie doszła jeszcze do brzmienia *-a* (jak w okolicach na pd.-wschód od Tarnopola i na północ od linii 4). Ta przejściowa forma końcówki nijakich brzmi jak bardziej przednie i podwyższone *ȧ, ä* albo *ė: tyl|ä, łoš|ätko* 43;

tyl æt'i, tyl|æt, łoš|et'i, višil|æ 38; *šimńē* 55; *h|ušä, pesýńē, tyl|ē* 17. To pośrednie brzmienie między *a* i *e, ý* powoduje, że często, szczególnie w staranniejszej wymowie informatorowie przechylają się na jedną lub drugą stronę w ten zazwyczaj sposób, że na końcu wyrazu (w nominat. sg.) mamy *tylý*[1]), a także *zap'|ilý*, lecz zachowują *-a-* w dalszych końcówkach: *łoš atu, kotyń|atu, tylatu* (55 u tego samego informatora); *tylē, tyl|atu, łoš|atu, łoše* || *poroś|ēta* 32. W swobodnej jednak wymowie słyszy się we wszystkich końcówkach *ē* lub *æ*, zwłaszcza *-ä-* w końcówce o postaci *-ät'i, -ätam*...

Obszar zatem brzmienia końcówki nijakich odmiany typu **telę* jako *-ý, -e* musiał sięgać znacznie dalej na północ — przynajmniej po granicę zachowywania po dziś dzień brzmienia pośredniego *-ä, -ē*, tzn. po Suchowce 40, Dobromirkę 38, następnie linia graniczna tego terenu wygina się omijając Łubianki 37 i obejmuje Kołodno 17, Bolizuby 16, Kobylą 15, aby na południowej stronie Mszańca 29 złączyć się z granicą zdecydowanego brzmienia tej końcówki jako *-ý, -e*, a następnie z obszarem stałej wymiany *'a = ý, e*. Silna ekspansja gwary, która nie posiada tej wymiany *-'a = -ý*, od północy przesunęła już częściowo obszar tej cechy fonetycznej aż po linię 3, a nawet ułatwiła wdarcie się tej właściwości między Seretem a Gniezną daleko na południe i rozlanie się szerokim obszarem na połud.-wschodzie od Tarnopola. Napór gwary od północy na południe nie jest w tym wypadku zjawiskiem odosobnionym, gdyż jak zobaczymy później, izofony oraz izomorfy często wyginają się na południe wzdłuż doliny Gniezny. Ma to swoje uzasadnienie pozajęzykowe i pozwala nam wyciągnąć wnioski o ruchach ludności w czasach dawniejszych.

PRZEJŚCIE *'a = ý* W WYRAZACH *śvato, mńaso.*

Z terenem przejścia końcówki nijakich w *ý* prawie pokrywa się zasięg przejścia *'a = ý* ograniczony tylko do wyrazów typu *śv|yto, mń|yso* (izofona 6 na mapie I). W zachodniej części zbadanego terenu obejmuje on jedną wieś więcej: Jarosławice 25, natomiast nie sięga do Nesterowiec 46, Stechnikowiec 34, Łozowej 54; potem biegnie razem

[1]) To przejście *ē* w *ý, e* należy tłumaczyć silniejszym elementem głoski wyższej i bardziej przedniej, a także analogią do innych nijakich twardych, które ułatwiają szerzenie się wymowy sąsiedniej.

z linią 3, aby za Kozówką 89 znowu się rozdzielić i nad Mytnicą 90 oraz Turówką k. Skałatu 97 dosięgnąć granicy politycznej. Nieco jednak na północ od tych dwu ostatnich wsi znajduje się dość duża wyspa wymowy *śv yto*, sięgająca od Bajkowiec 56 do Chmielisk 68 na wschodzie, oraz od Kujdaniec 63 po Chodaczków Mały 85 na południu. Obszar więc wymowy *śv|yto* jest mniejszy od obszaru wymowy *łošy* prócz wymienionych o wsi: Borki Wielkie 60, Kołodziejówka 86, Kamionki 65, Zadniszówka 68 i Połupanówka 87.

Proces wymiany *'a = ý* w wyrazie *śv yto* jest dość stary, bo sięga tego okresu, kiedy *śv-* było jeszcze miękkie — inaczej bowiem nie nastąpiłaby zmiana — a zachował się do dziś nawet po jego stwardnieniu. Wspomnianej wyspy nie można uważać za wynik kolonizacji z innych terenów ani za skutek ekspansji tego typu z gwary południowej, ponieważ tam *śv-* jest twarde, a także z tego powodu, że w analogicznych wypadkach mamy *a: śvyto* || *ćvak, mńýso* || *rumńanyi*. Obszar między Bajkowcami a Chmieliskami objęła ze wszech stron wąska przestrzeń wymowy *śvato*, który to pas łączy się z gwarami na północ od niego leżącymi. Da się to wytłumaczyć: 1) stwardnieniem wargowej w grupach *śv- ćv-*, 2) odosobnieniem tego przykładu nawet w grupach pokrewnych, jak *ćvak*, 3) wielkim skupieniem kolonij a nawet dialektów polskich koło Skałatu i na południe od Zbaraża, co wszystko razem przyśpiesza cofanie się tej właściwości na południe. Utworzenie się wyspy *śvyto* podobne jest i nawet zgadza się co do terenu — różniąc się tylko wielkością obszaru — z wyspą przechodzenia *'a = ý* w środku wyrazu, spotykaną w Kujdańcach 63 (zob. str. 10), gdzie mamy nie tylko *śv yto*, *ćv yk*, lecz także *vz'|ýu*, *pi|ýtnyća*.

ZAIMEK ZWROTNY

Prócz wymienionych wypadków przechodzenia *'a = ý* na terenie, który w zasadzie zachowuje *'a* spotykamy także to przejście w zaimku zwrotnym *śý: ia śý*, *nazyv|aiu*, *nazyv|aiut śý*... To brzmienie zaimka zgodne jest z właściwością fonetyczną przeważnej części Podola, tzn. z typem wymowy *pi|ýtnyćý*, ale sięga znacznie dalej na północ od granicy powszechnej wymiany *'a = ý* (izofona 1) i występuje także na terenie, gdzie wymawia się stale *pi|atnyća*. Północny zasięg *śý* obejmuje Suchowce 40, Dobromirkę 38, następnie zwraca się nieco na południe i omijając Czernichowce 35, biegnie po

północnej stronie Nowik 32, Kobylej 15 i Manajowa 12. Na południe od linii 7 występuje stale *śy*, *śý*, na północy zaś wymawia się *śa* lub *s'a*, zależnie od stopnia miękczenia spółgłosek, z wyjątkiem dość małego obszaru między liniami 7 i 8, na którym spotyka się obok *śa* także nieco wyższe i bardziej przednia *śä*, *s'æ* lub nawet *śý* (obszar 9), a więc podobnie jak brzmi *'a* w końcówce rzeczowników nijakich. Dosyć silne wysunięcie się wymowy *śa* z czystym *-a* na południe wzdłuż rzeki Gniezny koło Zbaraża (Czernichowce 35, Roznoszyńce 36, Łubianki 37), jest o tyle ciekawe, że jak widzimy z mapy, zbiega się nie tylko z podobnym i jeszcze silniejszym wygięciem linii wymowy *tyla*, lecz także z wielu innymi granicami właściwości fonetycznych i morfologicznych.

Zaznaczyć tu równocześnie musimy, że w przeważnej części z granicą południowego zasięgu wymowy *śa* zgadza się inna właściwość składniowa — obca gwarom podolskim, naddniestrzańskim i dalej na południu leżącym — a mianowicie występowania *śa* po czasownikach. O ile bowiem na południe od tej linii położenie zaimka zwrotnego w zdaniu jest zupełnie dowolne i nawet przeważnie zajmuje miejsce przed czasownikami: *i̯a śý nai̯is|u* 54, *vi̯ýz|uk śý vi̯|ýžý* 96, *mýńi śa |xočy* 7, *ȯivća śa |pasła* 6, to w gwarze na północ leżącej pozycja stale poczasownikowa doprowadza nawet do zlania się zaimka z *-t'* końcówkowym w *-c's'a* lub *-c'a* **śvityt' s'a = śvityc'a*, przy czym *c'* wymawiane jest z silniejszym naciskiem, co odpowiada długości wymawiania w syczących i szumiących, a często doprowadza to silne wymawianie do rozłożenia *-c-* na dwa elementy składowe *-cs-*: *s'mii̯|ec'a* (= śmieje się) 42, *zapł|utai̯ec'a* (zaplącze się) 11, *skup|ai̯ec's'a* 10, *nazyv|ai̯ec'a* 9... Południowy zasiąg tego typu składniowego biegnie od wschodu razem z granicą brzmienia *śa* aż do granicy Hnizdycznej 14 i Kobylej 15, ale następnie rozdziela się i razem z kilkoma południowymi granicami gwary wołyńskiej przechodzi między Popowcami 1 a Łopuszną 2, pozostawiając po lewej swej stronie znaczny obszar, na którym *śa* może zajmować dowolną pozycję w zdaniu i nie zrasta się z poprzedzającym je czasownikiem (miejscowości 1, 3, 4, 5, 6, 7).

GRUPA *-ŕa-*

Najbardziej ciekawym i najdalej na północ wysuniętym odstępstwem od zachowania *'a* jest jego wymiana w *ý* po *r* pierwotnie miękkim, dziś stwardniałym. Mimo jednak tego stwardnienia grupa *-ŕa-*

przechodzi w *-rý-* według ogólnej zasady wymiany po miękkiej spółgłosce. Zaznaczyć tylko trzeba, że obszar *pr|ydivo, hr|ytka* sięga znacznie dalej na północ niż izofona wymiany *'a*. Zachowanie bowiem konsekwentnej wymowy *-ra-* sięga po wsi Koszlaki 42, Hnilice 41, Łopuszno 21, Zarudzie 18, Oleksiniec St. 9 i Markopol 6 włącznie (mapa I, izofona 10): *pr|ad'ivo* 8, *prasnyc'u* 8, *prad|ut* 42, *pr|az'l'ic'a* 23... Nie jest ona jednak równocześnie północną granicą wymowy *pr|ydivo*, która biegnie prawie równolegle od linii 10, ale w odległości 10—20 km na południe od wymienionych miejscowości. Obszar wymowy *-y-* po *-r-* tak samo jak po innych miękkich, np. *vz'ŷu* sięga dalej na północ od izofony wymiany *'a*. Odgranicza go od północy linia rozpoczynająca się na południe od Zadniszówki 68, a biegnąca między Kamionkami 65 a Chmieliskami 66, na południe od Dyczkowa 61, Płotyczy 53, Nesterowiec 46, i między Jarosławicami 25 i Hukałowcami 24. Przestrzeń natomiast ograniczona liniami I 10 od północy i I 12 od południa stanowi bardzo ciekawy obszar wymowy mieszanej. Dzieli ją mianowicie na dwa równoległe pasy izofona I 11. Pas po południowej jej stronie, a więc graniczący z wymową *pr|ysty*, wymienił *-a-* po *r* w głoskę wyższą i bardziej przednią, a mianowicie *-e-*: *pr|esty, pr|edivo, hr|etka, zapreh|aịu* 60, *pr|esłyća* 24, *popr|etaịu* 43, itd. Obszar zaś rozpościerający się po północnej stronie linii 11 (zakreskowany na mapie I ukośnie od prawej ku lewej) aż po granicę wymowy *pr|adivo* (izofona I 10) obejmuje miejscowości, w których wartość głosowa tego *a* jest nieco wyższa i bardziej przednia, a więc brzmi jako *æ, ä, ȧ,* lub spotyka się oboczności *a* || *e*, np. *s pr|ædiva* 38; *pr|ädivo, na pr|ezłyću* 14; *popr|etaty* || *por|adok* 32; *na pr|esłyću* || *por|adok* 40... Nie na tym jednak koniec. Wymowa bowiem *pr|ydivo* sięga tylko dość małym pasem na południe od izofony I 12, aby ustąpić formom *pr|yịdivo, pr|yịsty, pryịd|e* (przędzie), które występują na południe od linii I 14. Północna granica wymowy *pr|yịdivo* pokrywa się prawie z izofoną I, II 1, nie obejmuje tylko wsi Jarczowce 44, Bucniów 74, a natomiast sięga poza nią w niektórych miejscach, bo spotykamy: *pryịd|e* w Sorocku 91, Rasztowcach 114 i Horodnicy 116.

Ostatecznie możemy określić obszary fonetycznej postaci *-ra-* w czasowniku „p r z ą ś ć“ i wyrazach pokrewnych jako kilka równoległych pasów dość przejrzyście od siebie oddzielonych: 1) na północy rozpoczyna obszar zachowania czystego *a*: *prasty, pradivo*; 2) po nim następuje pas *pr|æsty, präd|u, pred|u* || *prad|u*;

3) dalej teren, na którym głoska ta staje się wyższa i bardziej tylna *pr|edivo, pr|esty*; 4) obszar wymowy *pryd|e;* a wreszcie 5) na samym południu *pryịd|u, pr|yịsty* (prząść). Widzimy zatem jak *a* po *r* przechodzi na kolejno po sobie następujących obszarach poprzez *ä, ȧ, æ, e, ẏ* w *y*. Podkreślić należy, że wszystkie te postaci między *a* i *y* występują obok przeważnie zachowywanego *'a*, a więc stanowią tylko bardzo nieliczne — ograniczone do zupełnie specjalnych wypadków odstępstwa od ogólnej zasady fonetycznej. To odosobnione stanowisko wymiany *ŕa* = *ry, rẏ...* świadczyłoby także o tym, że jest ona pozostałością gwary cofającej się na południe, a nie ekspansją *ẏ* = *'a* na północ.

Dla dokładności i pełności obrazu wspomnieć należy jeszcze, że spotykamy na zbadanym terenie następujące postaci brzmienia rzeczownika „przędziwo“, jeśli chodzi o głoskę *d:* w gwarze wołyńskiej aż po izofonę I 18 brzmi ten wyraz jak *pr|ad'ivo* lub *pr|æd'ivo* (w miejscowościach 14, 16, 17) z *d'*; na terenie zaś wymowy tego wyrazu z twardym *d* spotykamy znów formy z zanikiem *i* po *d*: *pr|ædvo, pr|ydvo, pr|edvo* (mapa I, izofona 19).

Takie samo brzmienie grupy *ŕa* jak w „prząść“ i pokrewnych spotykamy także w innych wyrazach, zapisanych zależnie od tego, w jakim z omówionych terenów znajduje się miejscowość, w następujących postaciach: *hr|etḳa, por|edoḳ* 60; *hr|ytḳa* 25; *hr|etḳa* 12; *hor|yčo* 96; *pr|ataty por|adoḳ* 9; itd.

Przytoczone przykłady odnoszą się do grupy **ŕa* pod akcentem. Nieco natomiast inaczej wymienia się ona w pozycji nieakcentowej, szczególnie jeśli chodzi o wyrazy na oznaczenie dyszla u pługa i studzieniny: *hryd'|il* (izofona I 16) i *dryh|l'i* (linia I 15). Izofony te idą początkowo razem od Zadniszówki 68 ponad Kamionki 65 i Kujdańce 63 a na południe od Szlachciniec 55, następnie pn. granica *dryh|l'i* obejmuje tylko Nesterowce 46 i Jarosławice 25, forma natomiast *hryd'|il* sięga znacznie dalej na północ (30, 31, 33, 34, 24, 27, 12)[1]. Da się tu zauważyć tylko rozróżnienie terenów z dwoma formami: *a* lub *y*, bez jakichś stadiów pośrednich tego typu, co *hr|etḳa* czy *pr|æsty*, oraz występowanie form *dryh|l'i* także tam, gdzie grupa ** ŕa* = *re, ræ*.

---

[1]) Dodać należy, że teren wymowy *dryh|l'i* zajmuje dość wąski pas, ponieważ już na południe od izoleksy I 17, a więc we wsiach Krasne k. Sk. 100, Warwaryńce 105, Zazdrość 103, Kupczyńce 72, Budyłów i leżących dalej na południe, nazwa tej potrawy występuje w postaci *h'išḳ|ẏ, hyšḳ|ẏ*, o czym wspomnimy jeszcze w rozdziale o słownictwie.

Także w innych wyrazach nieakcentowana grupa **ŕa* wyłamuje się z wyznaczonych zasad i wykazuje skłonność do wymiany w *ri, ry, ræ* na terenach, wytyczonych poprzednio dla fonetycznych odmian jej brzmienia, np.: *hr|etka, pr|edivo* ‖ *pryd|e, v|upraš, zapryh|aty rytk'|ÿ* 12; *pr|ysłyća, hr|ytka* ‖ *v|upřiš* 97; *pre|taty pr|esłyća* ‖ *prad|e, pratk'|ÿ, rad|ok* 68; *pr|edvo, pr|etaju* ‖ *prad|e, v|upraš, drah|l'i* 43; *hr|ætka, pr|ædivo* ‖ *upraš* 38; *hratka* ‖ *pryd|e, rad|ok* 32...

Ta różnorodność postaci fonetycznych grupy *ŕa* nie jest, jak widzimy, czymś zupełnie nieregularnym i przypadkowym. Da się przede wszystkim zauważyć w niej pewien prawie konsekwentny proces przejścia od dźwięku *y* poprzez stadia pośrednie do *a*, który odbywa się najpowolniej ze wszystkich jemu pokrewnych. Jako dowód, że stopniowe przechodzenie *-ry-* w *-ra-* dokonuje się pod wpływem gwary wołyńskiej, a nie jest ono szerzeniem się form z *-ry-* od południa, może nam posłużyć wartość fonetyczna głoski *r*, które w gwarze wołyńskiej jest twarde, a także na Podolu spotyka się jego dyspalatalizację: *k|uru, v|oru, b|ura, zor|a*. Miękkie *ŕ* spotyka się dopiero nad Dniestrem oraz w gwarach pokuckiej, huculskiej i bojkowskiej. Wielka przeto przestrzeń Podola nie ma warunków do przejścia *'a* = *ÿ* po twardym już *r*. Przejście to więc w odosobnionej prawie grupie *-ŕa-* jest resztką dość dawnego procesu. Przy tym możemy stwierdzić bardzo ważną dla historii gwar na Podolu rzecz, a mianowicie, że ograniczony dziś do małego (na razie nie określonego jeszcze dokładnie pod względem terenu) skrawka nad Dniestrem obszar wymowy *ŕ* sięgał w dawniejszych czasach o wiele dalej na północ, bo przynajmniej po granicę wymowy *prädivo* (izofona I 10).

O przynależności terenu mieszanego przejścia *'a* = *ÿ* między liniami I, II 1 i I 10 do gwary wołyńskiej, podolskiej, czy naddniestrzańskiej nie można by wprawdzie bez zastrzeżeń i oparcia się o inne zjawiska twierdzić, ponieważ wymowę *pr|ydivo, łoš|y* można uważać za właściwość szerzącą się od południa. Gdy jednak oprzemy się na tym, że zarówno *r* w grupie **ŕa* jak też *šv-* w *švyto* oraz formy *łoš|y, k|ačy* mają spółgłoskę twardą lub silnie stwardniałą, więc nie mogą dzisiaj już dokonywać takiej wymiany, jaka występuje po spółgłoskach miękkich, oraz na fakcie, że przejście *'a* = *ÿ* odbywa się w zupełnie specjalnych wypad-

kach, wówczas łatwo nasunie się nam przypuszczenie, że to są resztki tego zjawiska.

Izofonę północnego zasięgu przejścia *'a* = *ÿ* we wszystkich pozycjach musimy uważać za pn.-wschodnią granicę obszaru cechy naddniestrzańskiej i to jest stwierdzenie zupełnie pewne. Jeśli natomiast obszar położony na północ od tej izofony zaliczamy do terenów gwary podolskiej czy wołyńskiej, to robimy to na niezupełnie słusznej podstawie zachowywania *'a* w przeważnej części pozycyj. Dość zaś nieliczne i ściśle określone wypadki przejścia *'a* = *ÿ*, ukazujące się na tym obszarze, wraz z ich charakterystyczną nierównomiernością zasięgów świadczą, że wymiana *'a* musiała sięgać znacznie dalej na północ. Opierając się zatem na tych spostrzeżeniach stwierdzamy, że zarówno gwara podolska, jak i południowo-wołyńska na północnym terenie województwa tarnopolskiego są zjawiskiem nowym i umiejscowiły się tu dość późno — zapewne w rezultacie wędrówek ludności ruskiej od wschodu, jak to wykazują zasięgi innych właściwości językowych.

III. Inne granice właściwości naddniestrzańskich.

Twierdzenie, że zasiąg gwary naddniestrzańskiej obejmuje obszar znacznie większy niż zaznaczony na mapie Ziłynskiego, bo także południowy teren między Seretem a Zbruczem, potwierdza kilka innych granic fonetycznych i morfologicznych, które mniej więcej biegną równolegle do izofony rozgraniczającej tereny z zachowaniem *'a* i przejściem jego w *ÿ*.

NOWE *l* EPENTETYCZNE.

Najbardziej zgadza się z biegiem granicy przejścia *'a* = *ÿ* obszar, na którym występują formy bez nowego *l* epentetycznego i *ń* na miejscu połączeń wargowych spółgłosek z * *i̯*, np. *r|obi̯ÿt*, *zabavi̯|ÿty*, *spi̯ux*, *mi̯yso*. Obszar tej cechy nie dochodzi do granicy I, II 1 zmniejszając się o wąski pas z wsiami Iławcze 92, Kudobińce 26, Pokropiwna 50, Domamorycz 51, oraz miejscowościami między Bucniowem 74 a Mikulińcami (75, 76, 78, 79) — izofona II 12. Wprawdzie dokładna i bezwzględna granica nie da się ściśle określić, bo spotykamy po obu stronach tej linii sporadyczne wypadki bądź to powstawania nowego *l* epent. na gruncie zaznaczonym jako odznaczający się jego brakiem: *spl|ux* 108; *r|obl'ÿt* 109; *zastavl'|ÿi̯e* 71; *pr|avi̯ÿt* ‖ *pr|avl'ÿt* 111... bądź też

odwrotnie: zachowanie form z wargową + *i̯* po północnej stronie izofony II 12, np. *konopi̯|ane s'|imi̯e* 98; *spi̯|ux* 100; *dýrývl'|ýni* ‖ *dýrevi̯|eni, zabavi̯|ety, st|avi̯at* 114.

Lehr-Spławiński w swej recenzji „Proby uporiadkovania ukr. hovoriv"[1]) robi nawet zarzut Ziłynskiemu z tego powodu, że nie uwzględnił tam kwestii powstawania nowego *l* epentetycznego i *ń*, ponieważ cecha ta mogłaby rzucić dużo światła na podział i wzajemny stosunek ruskich gwar. Stwierdzenie to nabiera większej doniosłości właśnie przez to, że razem z kilkoma innymi właściwościami wyznacza granice pewnej gwary.

DYSPALATALIZACJA *s* W KOŃCÓWCE CZASU PRZESZŁEGO.

Następną właściwością gwary naddniestrzańskiej i innych, które leżą dalej na południe, jest zanik miękkości *s* w końcówkach czasu przeszłego, np. *b|uvys, xod|yłysmo, zd|ybałysty, d|es xodyu̯, d|esty buły*... Północna krawędź obszaru zajętego przez gwary z dyspalatalizacją tej końcówki sięga po Rasztowce 114 i Pajówkę 99 koło Grzymałowa, pozostawiając po stronie terenu z miękkim *-ś, -śmo, -śte* Kręciłów 115, Krasne 100, Iwanówkę k. Trembowli 108 i Warwaryńce 105; stąd zwraca się na północ, biegnie po wschodniej stronie Łuczki 79, następnie między Łuką 75 a Myszkowicami 76 i razem z kilkoma innymi granicami gwary opolskiej (na południe od miejscowości 74, 50, 47 i 24). Po północnej stronie tej granicy znajduje się jedna wyspa z twardym *s*, a mianowicie Chodaczków Mały 85.

Zjawisko to występuje gdzieniegdzie w postaci bardziej archaicznej: *b|uu̯i̯es (= bylъ jesi), xod yvi̯äm* 72; *xod'|yvi̯em* 77; a nawet z wyodrębnioną i usamodzielnioną końcówką: *m|oże de s K|upčynýc i̯|este* 79; lub przybiera udźwięcznienie: *vž|ezmo posł|uxały* Wybudów; *i̯|akbyzmo fp|ały, t|obyzmo zabyły* 102; *porostavi̯ ýłyzmo*; nawet *bah|atoz v|ykosyu̯* 106 itd.

Dyspalatalizacja *s* końcówkowego, pokrewna stwardnieniu tej głoski w wyrazach *des, šos, kudas, sa* (=ta), *ces, cesa* (=ten, ta), a także występująca na początku w *sud'a*, jest właściwością, która nie tylko łączy gwary Pokucia, Huculszczyzny i Podola nad Dniestrem z dialektem wschodnim, lecz także występuje w dialekcie północnym[2]). Północna granica zasięgu np. twardego

[1]) RS VIII str. 205.

[2]) J. Ziłynski, Małoruskie dialekty na Mapie Moskiewskiej Komisji RS IX str. 236—7.

sud'a sięga na terenie województwa tarnopolskiego mniej więcej po wsi Dupliska, Torskie, Capowce, Słobódka Koszyłowska, Beremiany, Sokołów, Ostrynię, Oleszę, Niżniów, a w dalszym swym przebiegu po Czarny Potok, Berezów, Korszów.

INSTRUM. SG. ODMIANY ŻEŃSKIEJ. Najbardziej charakterystyczną dla podziału gwar na polskim Podolu jest końcówka narzędnika l. poj. rzeczowników, przymiotników i zaimków rodzaju żeńskiego. W epoce prasłowiańskiej końcówka ta powstała pod wpływem formy zaimka **jeją* i występuje w postaci **-oją*, lub **-eją* po miękkich. W gwarach ruskich spotykamy dość zróżnicowane kontynuacje tej końcówki. Najpowszechniejsza i ustalona w języku literackim postać końcówki brzmi jako *-oi̯u*: *toi̯u dor|ohoi̯u z m|amoi̯u*, lub *-ei̯u*: *p|utnei̯u*. Taki sam stosunek spotykamy w gwarze wołyńskiej. Najdalej na południe wysuniętymi miejscowościami, w których występuje ta końcówka w postaci *-oi̯u*, są wsi na północ od Podwołoczysk, następnie Kujdańce 63, Smykowce 58, Rusianówka 57, Bajkowce 56, Łozowa 54, Ostaszowce 67 i Hukałowce 24.

W przeważnej natomiast części gwar dialektu południowo-zachodniego końcówka instrum. sg. żeńskich występuje jako *-ou̯*, *-eu̯*, które powstało, jak objaśniają niektórzy, z *-oi̯u* przez zanik *-i̯-* interwokalicznego i przejście *-u* po samogłosce w *-u̯*, albo przez upodobnienie *-i̯-* do następnego *-u* — poprzez postać *-ou̯u*, jak tłumaczy Van Vijk[1]). Taką też końcówkę *-ou̯* spotykamy w gwarze naddniestrzańskiej aż po izomorfę II 8 [po miejscowości: 120, 112, 103, 75, 74, (73), 45 i 26].

Końcówki jednak *-oi̯u* i *-ou̯*, wraz z niespotykanymi na tym terenie *-oi̯ou̯* lub *-ovi̯u*[2]) nie wyczerpują wszystkich ewentualności. Jakkolwiek bowiem utarło się mniemanie, że gwara podolska, wraz z pokucką, naddniestrzańską, karpackimi i leżącymi nad Sanem, mają końcówki *-ou̯*, *-eu̯*, *-oi̯ou̯*, *-ovi̯u*[2]), to jednak spotykamy jeszcze trzecią jej podstawową formę: *-om*. Zjawisko to występuje na dość wyraźnie odgraniczonym terenie — granica jego obejmuje wsi: Zadnieszówka 68, Kamionki 65, Romanowe Sioło 64, Czernielów Ruski 59, Borki Wk. 60, Szlachcińce 55, Płotycz 53, Pokropiwna 50, Domamorycz 51, Berezowica Wk. 73, Myszkowice 76, Czartoria 78, Ładyczyn 104, Darachów 106, Ko-

---

[1]) Sl. II. 1923-4.

[2]) Ziłynski, Karta... str. 7.

byłowłoki 111, Samołuskowce 117 i wszystkie miejscowości leżące wewnątrz tego obszaru. Prócz tego jako osobną i nie zbadaną dotychczas pod względem zachodniego zasięgu wyspę będącą niejako przedłużeniem klinowato zakończonego terenu zwartego z wymową *-om*, spotykamy wieś Jarosławice 25 z formami: *łop|atkom, tom dor|ohom, p,utnym, p'id bl|axom, šč|itkom, nad n|em* (nad nią). Jak zatem widzimy, wymowa *-om* zajmuje prawie cztery powiaty: skałacki, trembowelski, tarnopolski i kopyczyniecki.

Kwestia pojawienia się i powstania końcówki narzędnika *-om* jest zagadnieniem bardzo ciekawym. Omówił je częściowo J. Szemłej w artykule: Orudnyj odnyny *žinočyx* imenykiv v ukr. hovorax. Ridna mova, r. 1933.

W bardzo ciekawy sposób ustosunkowują się do oboczności *-oų* || *-om* niektórzy uczeni. Miklosich[1]) bowiem, a za nim Ogonowski[2]) i inni twierdzą, że końcówka *-om* była starsza od *-oų*, ponieważ rozwój jej przeszedł następującą drogę: ps. **-ǫ* — *-u* — *-om* — *-oų*, a więc forma *-oų* — *-om*. Opierali się oni na tym, że oboczność podobna do spotykanej w gwarach ruskich występuje także w innych językach, np. serbskim (*ribom dušom*, st. serb. *věrovъ, lozovъ*[3]), słowińskim[4]), a także w słowackich zapisach z XVI i XVII wieku[5]). Największą zaś siłę dowodową posiada fakt, że serbską końcówkę *-om* spotyka się już w XIII w. i jest ona starszą od *-ov*. Opierając się na tym, że zjawisko *-om* obok *-ov* występuje na terenach tak rozrzuconych i niesąsiadujących ze sobą, niektórzy uczeni przypuszczają, że przed przyjściem Węgrów i powstaniem narodu rumuńskiego istniał na terenie między Dniestrem a Dunajem jakiś wspólny dialekt słowiański, a jedną z jego cech była końcówka instr. sg. fem. *-om*[6]). Popierałby tę tezę fakt, że istotnie w XIII-wiecznych zapisach serbskich mamy *-om*, ale uogólnienie przypuszczeń w stosunku do całej słowiańszczyzny spotyka się z dość poważnymi zarzutami; przede wszystkim z tym, że w zabytkach słowackich formy te ukazują się dopiero w XVII w., a w starszych

---

1) Miklosich, Vergl. Gram. I² 434.

2) E. Ogonowski, Studien auf dem Gebiete der ruthenischen Sprache, Lemberg 1880, str. 123.

3) Ogonowski, Studien... str. 123.

4) Vondrak, Vergl. Gram. II 32.

5) Polivka, Ks. pam. ku czci Lomanskiego cz. 1 str. 106 i nast.

6) Literaturę podaje Szemłej, Ridna mova 1933 str. 90.

zabytkach ruskich na razie nie spotkano formy z *-om*. Niepojawienie się w zabytkach form typu *rukom* każe Smal-Stockiemu tłumaczyć ją jako powstałą na wzór analogicznych końcówek rzeczowników męskich i nijakich: *pid płotom, litom*[1]). Twierdzenie to podejmuje J. Szemłej w swym artykule (Ridna mowa 1933 str. 130...) i popiera je następującymi spostrzeżeniami z gwar Łemków, Zamieszańców i Podola: 1) *-om* nie spotyka się w zabytkach; 2) w gwarach, gdzie *-ou̯*, *-eu̯* prawie zanika, *-om* przybierają rzeczowniki twardej i miękkiej odmiany: *rukom, dušom, mołodyćom...*; 3) w niektórych gwarach *-om* występuje tylko w rzeczownikach odmiany twardej (Mszaniec: *kosom* ‖ *dyneu̯*), co wskazuje na proces zupełnie nowy; 4) końcówka *-om* szerzy się w widoczny sposób tam, gdzie jej nie było, np. u dziecka czteroletniego w Kolędzianach: *i̯akom rukom*. Jako wniosek podaje autor, że ruskiej oboczności gwarowej *-ou̯* ‖ *-om* nie można łączyć z tym samym zjawiskiem w innych językach, tylko trzeba *-om* uważać za nowotwór pod wpływem rzeczowników męskich i nijakich.

Zdanie Smal-Stockiego o powstaniu *-om* drogą analogii, uzasadnione zdawałoby się wystarczająco przez Szemłeja, wydaje się nawet bardzo prawdopodobne i można by je bez większego ryzyka przyjąć, ale nie na podstawie tych argumentów, które oni podają, ani z tak bezwzględnym odrzuceniem hipotezy o starszeństwie *-om*. Jeśli bowiem chodzi o kwestię niewystępowania form *-om* w zabytkach ruskich, to musimy stwierdzić, że nie jest ono jeszcze dowodem nieistnienia tej formy, tylko co najwyżej tego, że nie były one powszechne, tzn. pisali je ludzie nie pochodzący z terenów objętych tą właściwością.

Twierdzenie zaś, że *-om* występuje zarówno po spółgłoskach twardych jak i miękkich nie stanowi żadnego dowodu przede wszystkim dlatego, że spotykamy na Podolu następujące formy, które po tematach miękkich mają końcówkę nie *-om*, lecz *-em*, *-y̆m*, *-ym*: *p|utnym, z b|apcy̆m, nad n|em, p'it čy̆ry̆p|ycem* 25; *s p|utny̆m* 50; *porožn|em, za syn|ožaty̆m, p'it čy̆ry̆p|ycem, svyń|a svyn|em* 60; *p|ery̆t sm|erty̆m* 93; *v|ułycem* 83; *styrn|em, v|ułycem* 89... wbrew zdaniu Szemłeja[2]), że formy *-em* (podawane przez Ogonowskiego[3])

---

[1]) Arch. für slav. Phil. I 1925.

[2]) Szemłej l. c. str. 130.

[3]) Ogonowski, Studien... str. 123.

i Mychalczuka[1]): *dušem*) w ogóle nie istnieją, ponieważ brak ich w gwarze łemkowskiej, a co najwyżej mogą się pokazywać w gwarach pińsko-wołyńskich pod wpływem takich form jak *čołovikem*, notowanych u Mychalczuka[2]). Kiedy jednak spotykamy się z niewątpliwie częstszym tworzeniem 6 przyp. l. poj. przy pomocy *-om*, dodawanego do twardych i miękkich tematów, to musimy pamiętać o tym, że w dialekcie południowo-zachodnim w ogóle końcówki twardej odmiany rzeczowników w bardzo znacznym stopniu wyparły końcówki zależne w swej postaci fonetycznej od tematu miękkiego. W gwarach tego dialektu mówi się nie tylko *pid pł|otom*, lecz także *nož|om, s koval|om, tkač|ovy* (zob. str. 30) obok *kon|em, kon|evy*. Końcówki zatem takie jak *duš|om*, a nawet *p'id hran|yćom* 68... obok wymienionych poprzednio: *p|utnym, styrn|em* są raczej odbiciem wspólnej wszystkim rzeczownikom, a tylko mniej lub więcej ustalonej tendencji do używania końcówek odmiany twardej po tematach miękkich, niż dowodem, że *-om* w odmianie żeńskiej powstało pod wpływem rzeczowników męskich i nijakich. Formy więc *hran|yćom* mogły powstać z *hran|ycem* tak samo, jak *koval|om* powstało z *kovał|em*. Rzecz jasna, że kiedy ta nowa tendencja przybrała na rozmiarach i sile, to w gwarach, gdzie obecnie szerzy się końcówka ze spółgłoską nosową: *-om*, jest ona, jako bardziej żywotna, równocześnie i prawie jedyną.

Większą siłę przekonywania ma fakt, że formy *jak|om ruk|om* szerzą się z określonego terenu na sąsiednie, tzn., że obecnie są one żywotne. Przytoczę tu jeszcze kilka podobnych wypadków. Dzisiaj np. w Berezowicy Wk. (73) panuje typ *rukom, za mohyłom*, ale pochodząca z tej miejscowości 70-letnia kobieta, która przed 50 laty wyszła za mąż do Borek Wk. (60), używa stale form *rukou, putnyu*. Widocznie więc jeszcze przed kilkudziesięciu laty w Berezowicy musiała być powszechna końcówka *-ou*. W Bucniowie (74) zaś młodzi zaczynają używać coraz częściej form typu *dor|ohom*, podczas gdy starsi mówią: *dorohou, kolbou*. Z tego by wynikało, że omówiony typ końcówki jest żywotny i szerzy się nawet dzisiaj mimo dość silnego wpływu literackich form z *-oju*. Ze stwierdzeń tych jednak nie możemy wyciągać tak daleko idących wniosków, że *-om* musi być koniecznie nowotworem, ani nie muszą one być dowodem, przekreślającym wszelkie przypuszczenia o istnieniu form dawnych z tą końcówką.

---

[1]) Mychalczuk, Trudy... VII 511.

[2]) Trudy str. 475.

Nie rozporządzamy dziś jeszcze takim materiałem historycznym, który by udawadniał, że w gwarach starych istniała forma *rukom*... Nie znaczy to jednak, żeby dokładne zbadanie zabytków nie mogło nam dostarczyć takich dowodów. Że takie formy musiały istnieć w dawnych gwarach, świadczy choćby wzmianka w *Gramatyce języka małoruskiego w Galicji* (Lwów 1845, s. III i X) Wagilewicza, którą omówił J. Janów w artykule: „Słowniczek huculski sprzed stulecia“[1]). Wagilewicz mianowicie w swej niewydanej i pomijanej przez to w pracach następnych *Gramatyce* przy opisie gwar wymienił wśród innych następującą ciekawą cechę języka huculskiego: zakończenie *-om* w instr. sing. rzeczowników na *-a*, np. *rukom*, *hołovom*, *watrom*[2]). Tego spostrzeżenia nie można uważać za jakąś pomyłkę lub niedokładność, ponieważ Wagilewicz, mimo braku głębszej wiedzy naukowej, odznaczał się tak bystrym zmysłem spostrzegawczym, że jego uwagi do dziś zachowały pełną wartość. Końcówka więc *-om* jako właściwość rzucająca się nawet laikowi w ucho musiała na pewno istnieć w pierwszej połowie XIX wieku. Dzisiaj nie spotyka się w gwarze huculskiej tej końcówki, więc wniosek jest jasny, że *-om* ustąpiło formom nowszym *rukoų*, *hołovoų*. Prócz tego Kremer w swym *Słowniku prowincjonalizmów podolskich*[3]) wspomina, że odpowiednikiem polskiej końcówki *-ą* może być w ruskiej gwarze *-oų* lub *-om: toų baboų*, *tom babom*. Z tego jednak stwierdzenia nie możemy wyciągnąć tak jasnego wniosku jak ze wzmianki Wagilewicza, ponieważ nie wiemy, czy w wymienionej oboczności powszechniejszy był typ *-oų*, czy też *-om*, a równocześnie trudno nam dziś osądzić, z braku nowych i dokładnych zapisów w tych samych okolicach, czy dalszy rozwój poszedł w kierunku rozwinięcia i rozszerzenia końcówki *-om*, czy też jej zaniku. W każdym razie występowanie formy *tom babom* w okolicach Kamieńca Podolskiego było przed kilkudziesięciu laty dość wyraźne.

Gdybyśmy nawet mogli udowodnić, że zarówno notowane przez Kremera i Ogonowskiego końcówki instr. sg. fem., jako też powstawanie *-om* w gwarze łemkowskiej, a także widoczna

---

[1]) Odbitka ze sprawozdań Tow. Naukowego we Lwowie R. XVI z. 3, str. 5 i nast.

[2]) Wagilewicz, Gramatyka str. XXI, l. c. str. 6. — cytuję za J. Janowem.

[3]) Rocznik Tow. Naukowego Krakowskiego t. XVIII, ogóln. zbioru t. 41, str. 178—259, Kraków 1870.

prawie skłonność do szerzenia się form typu *rukom* na tereny sąsiednie są rzeczywiście zależne od analogicznych form męskich i nijakich i pojawiają się na miejscu *-ou*, to stwierdzenie takie nie będzie jeszcze zaprzeczeniem możliwości istnienia końcówki *-om* jako formy pierwotniejszej. Żywotność i skłonność do szerzenia się tych form w gwarach współczesnych jest niewątpliwie wzmacniana analogicznymi końcówkami innych rzeczowników, zwłaszcza w gwarach, które mają formę *-ou*, różną od literackiej, a więc odczuwaną jako gwarową. Poza tym pewne oparcie znajdują formy *-om* w tych gwarach, które w większym lub mniejszym stopniu stykają się z gwarami polskimi. Tak jest zapewne w gwarze łemkowskiej, a także w gwarach najdalej na zachodzie położonych (gwary Łemków, Zamieszańców (Krosno), Batiuków (Gródek), dołowskie i okolic Żółkwi i Bełza). Także na obszarze województwa tarnopolskiego terenowi z wymową *-om* towarzyszą dość gęsto rozrzucone stare kolonie polskie, w których do dziś mówią po polsku. Otóż w tych poslkich gwarach mówi się *s tobom* (r. męski) (Zbaraż), *murovlankom* (Kaczanówka) tak samo jak *blendym*, *puidym* (1 os.) (Zbaraż). W wielu wypadkach można te zastępstwa nosówki uważać za wpływ gwary ruskiej, ale powszechna końcówka 1 os. sg. i 3 pl. czasowników *pidym*, *bendym*, *puidom* wykazywałyby, że należy przypuszczać o takim samym zastępstwie niezależnym od obcego języka, polegającym na tendencji do zwarcia warg po nosówce, które powoduje rozłożenie jej na samogłoskę + spł. nosową.

Jak mogła powstawać forma *rukou* z *rukom* wskazywałyby sporadyczne wypadki zanotowane w Ostrowie, który znajduje się między Berezowicą Wk. z powszechną końcówką *-om* i Bucniowem z przeważającym *-ou*, a mianowicie: *štrykou*^{m}, *rukou*^{m}. W przejściu od otwartego *o* do półotwartego *m* ze zwarciem warg, tzn. przy nieprzerywanym wydechu i ciągłym zachowaniu dźwięczności, usta przybierają położenie takie jak przy *u*, a więc powstaje *-oum*, które następnie może przejść w *-ou*^{m} z bardzo nieznacznym zwarciem warg.

Ciekawe światło na zagadnienie powstawania końcówki narzędnika odm. żeńskiej rzucają formy *mitło* ‖ *horoio* (66) [II 9] i typ *dorohoio* (67) [II 10]. Najprawdopodobniej mamy także tutaj zanik *-m* końcowego. W każdym razie formy te powstały z *-om*, a nie z *-oiu* przez obniżenie artykulacji *-u*, ponie-

waż w takich samych pozycjach gwara ta zachowuje *-u*, np. *ḳup|ui̯u* itd.

Reasumując te wszystkie, choć może niekompletne uwagi, musimy stwierdzić, że nie mamy powodu odmawiać słuszności hipotezie o bardzo dawnym pochodzeniu końcówki *-om*, która mogła powstać z *-u* = **-ǫ*. Końcówka ta w jednych gwarach uległa wymianie na *-ou̯*, w innych natomiast, w oparciu o analogiczne formy rzeczowników męskich i nijakich, a może także pod wpływem dialektycznych właściwości gwar polskich, przetrwała znacznie dłużej, a nawet zaczęła się szerzyć. Udowodnić tego oczywiście na razie nie możemy, toteż twierdzenie, jakoby ona była nowotworem, pozostanie nadal niezbite, jakkolwiek nieco zachwiane w swej bezsprzecznej słuszności. Obecne rozmieszczenie tego zjawiska jest bardzo ważne, ponieważ ukazuje się ono na pograniczu dwu dialektów: gwary wołyńskiej, pełnej cech dialektu wschodniego, i naddniestrzańskiej o cechach zachodnich. Pograniczny charakter gwar w równym stopniu udogadnia tworzenie się nowotworów, jako też zachowanie cech nieraz bardzo starych.

IV. Cechy dialektu wschodniego na południu Podola.

MIĘKCZENIE SPÓŁGŁOSEK PRZEDNIOJĘZYKOWYCH.

Z cech wyróżniających gwarę naddniestrzańską od sąsiednich wymienimy następnie miękczenie spółgłosek przedniojęzykowych przez *i*. Cała południowa część Podola, począwszy od linii Wasylkowce 120 — Złotniki 102, oraz oddzielony od niej okręg z miejscowościami Nastasów 77, Denysów 71 i Kupczyńce 72 (izofona II 13), miękczą te spółgłoski przed *i*: *pýč|eńi, u̯ š|est'i, u̯ pi̯|ýt'i* (o piątej), *tot'|i śńipḳ'|ý* 102; *zýł|eńi ś|vyta p|izńi* 77; *ž|ytńi* (nom. pl.), *ńýzd|ali, ti l'|udy* 72 itd. To samo zjawisko fonetyczne silnego miękczenia spółgłoski, choć może nie wszędzie tak konsekwentnie występujące, mamy przed *i* = **o* w zgłoskach zamkniętych: *śńip, t'iḳ, pl'it, s'il*, np. *d'ist|aḳy, býs pl'it, n|a ńič* 119, wbrew temu, co podkreśla Ziłynski, że w galicyjskich gwarach uwidacznia się tendencja do zachowania twardej przed *i* = **o*[1]).

[1]) Ziłynski. Opis fon. jęz. ukr. str. 12.

Ta cecha miękczenia spółgłosek przed *i* w ogóle, a także dość konsekwentnie przed *i* ⇐ **o* w zgłoskach zamkniętych łączy nie tylko wschodnie Podole[1]), lecz nawet południową część województwa tarnopolskiego z dialektem przydnieprzańskim, a także wzdłuż Dniestru i Karpat sięga aż po gwarę bojkowską[2]).

ŚREDNIE *ḷ*.

W gwarach naddniestrzańskiej, pokuckiej i w karpackich (Łemków, Bojków, Zamieszańców), a także na Polesiu[3]) spotykamy wspólne im oraz dialektowi wschodniemu *ḷ* dziąsłowe, które w innych gwarach dialektu pd.-zachodniego brzmi jako *ł* zębowe. Artykulacja tej głoski jest pośrednia między *l* i *ł* i dźwiękowo zbliża się raz bardziej do pierwszej *(ḷ)*, inny znów do *ł (ḷ)*. Głoska więc znaczona przez *ḷ* różni się od *l* przedniojęzykowo-zębowego większymi otworami, które tworzą się po bokach języka, oraz wygięciem języka bardziej ku tyłowi i grzbietem do podniebienia. Zależnie od stopnia tego układu narządów mowy głoska *ḷ* zbliża się bardziej ku *l* lub słyszymy ją jako bliższą *ł*.

Jeżeli chodzi o rozmieszczenie tej cechy, to wbrew twierdzeniu Ziłynskiego (Opis, str. 75) nie spotykamy jej w gwarze południowo-wołyńskiej — przynajmniej na zbadanym terenie. Najdalej na północ położonymi miejscowościami z wymową *ḷ* są: Berezowica Wk. 73: *b|uḷa, pit Tẙrn|opoḷym;* Bucniów 74: *pḷit;* Kociubińce 119: *buḷ|ysmo;* Czabarówka: *i̯|aḷiu̯ka;* Darachów 103: *xod|yḷa c|ałyi̯ deń;* Nastasów 77: *zeḷ|eńi*. W innych sąsiednich wsiach *ḷ* występuje tak niekonsekwentnie lub z tak małym odchyleniem od dźwięku *ł*, że nie wyznaczymy na razie dokładniejszej granicy tego zjawiska.

SILNIE ZMIĘKCZONE *t́, d́ (ḱ, ǵ)*.

Na tych samych terenach co *ḷ*, jak też równie niekonsekwentnie, ukazują się *ḱ, ǵ*, powstałe z bardzo zmiękczonych *t́, d́* — wskutek przesunięcia języka bardziej ku tyłowi niż przy *t́, d́*, który jednak nie dochodzi do miejsca artykulacji *ḱ, ǵ: šisḱ ľit, ḱ|isno* (ciasno) Dżuryn; *syǵ|ẙ* (siedzą) Trybuchowce; *poḱẙhn|uḷa ǵ|ity* 119; *ḱ|ẙhne* (ciągnie) 102; itd.

[1]) Ziłynski, Małoruskie dial. na Mapie Ros. Kom. RS IX str. 236—7.

[2]) Tamże str. 241.

[3]) Tamże str. 240.

MIĘKKIE *ŕ*. W gwarach położonych nieco dalej na południe i nie objętych przez to mapą — nad Dniestrem — występuje jeszcze jedna z ważnych cech, którą normalnie uważa się za właściwość wschodniego dialektu, a mianowicie *ŕ*. Jak już poprzednio mówiliśmy[1]), sięgała ona niegdyś znacznie dalej na północ, ale dziś skurczył się jej obszar. Cecha ta ciągnie się od Dniepru wzdłuż Dniestru i obejmuje południowy skrawek województwa tarnopolskiego oraz gwary pokucką, huculską, zakarpackie, bojkowską, łemkowską i Zamieszańców; z drugiej zaś strony *ŕ* występuje w gwarze poleskiej.

V. Cechy południowo-wschodnie w gwarze wołyńskiej.

Znaczenie natomiast więcej cech wyróżniających dialekt połud.-wschodni sięga aż do pogranicza Podola i Wołynia. Południowa granica gwary wołyńskiej zamyka obszar z kilku bardzo ciekawymi właściwościami, które normalnie wylicza się jako charakteryzujące język terenów położonych na wschód od linii Biała Cerkiew — Ananijów.

Podobnie jak przy typach *sńip*, *b uḽa*, *ḱ|isto*, *pysaŕ* w gwarach dorzecza Dniestru, południowo-wołyńska gwara odznacza się częstszą niż inne zachodnie i bardziej zbliżoną do dialektu wschodniego tendencją do zachowania głosek palatalnych lub z palatalnością związanych, co widzimy w następujących wypadkach:

MIĘKKIE *-t'* W KOŃCÓWKACH 3 OS. SG. i PL. CZASU TERAŹNIEJSZEGO. Wymowę *-t'* w formach *x|odyt'*, *x|od'at'* spotykamy we wsiach Moskalówka 23, Porchinia, Zarudzie 18, Oleksiniec St. 9, Rydoml 8 i wszystkich innych, leżących na północ od izofony II 17. W Popowcach 1 i Łopusznie k. Zał. 2 mamy teren mieszany z niekonsekwentnym występowaniem *-t'*. Ta niekonsekwencja mniej więcej wygląda w ten sposób, że w liczbie pojed. mamy *-t*, w formach zaś pluralnych *-t'*, np. *stoi̯|at'* ‖ *ber|ut*, *ḳ|ośat'* ‖ *r|obyt* u tych samych informatorów w Popowcach i Krutniowie. Miękkie *-t'* w końcówkach praes. występuje także w gwarach wschodnich, a częściowo w zakarpackich.

---

[1]) Zobacz str. 17.

ZACHOWANIE PALATALNEGO SUFIKSU *-eć*.

Niewiele szerszy zasiąg od obszaru *-ť* ma wymowa przyrostka *-ec´* ze zmiękczoną końcową spółgłoską. Sięga ona po wsi Koszlaki 42, Hnilice Wk. 41, Łopuszno k. Wyżgródka 21, Oleksiniec 9 i Łopuszno k. Oleksińca 2. Południową jej granicę wyznacza linia II 14. Ze względu na to, że wszystkie wsi leżące na wyznaczonym terenie mają koronalną palatalizację *s´*, *z´*, *c˙* (patrz str. 34, na mapie II izofona 16), więc i *-c˙* w tym sufiksie jest półpalatalne w większym lub mniejszym stopniu, przechodząc np. w Rydomlu 8 nawet do prawie twardego *-ec˙*: *stił|ec˙* tak samo jak w *bah|ac˙ko, bys kolisc˙|at, na t|erłyc˙i, h|ułyc˙a*.

Pojawienie się i rozmieszczenie miękkiego *-eć* jest jednym z bardzo ciekawych zjawisk i może rzucić wiele światła na ukształtowanie i powstanie zróżnicowanych systemów językowych w południowo-zachodniej połaci gwar ruskich. Taki sam bowiem sufiks miękki *-eć* występuje nie tylko w dialekcie południowo-wschodnim, lecz także w gwarach zakarpackich i bojkowskiej, począwszy od wsi: Maniawa, Mołotków, Dobrotów, Majdan Gór., Czeremchów, Żukocin, Żabokruki, Żywaczów, Olesza, Kolińce, Pszeniczniki, Uhorniki; następnie granica *-eć* biegnie Dniestrem koło Moszkowic, a dalej po północnej stronie bojkowskiego terenu gwarowego i skręca na północ. Trzeba by zbadać, czy teren ten zamyka się, czy też łączy się w okolicach Lwowa z omawianym obszarem gwary południowo-wołyńskiej, tzn. czy dyspalatalizacja *-ec* przez Podole i Huculszczyznę, a następnie gwarę naddniestrzańską sięga aż do gwar polskich, które mają podobne stwardnienie[1]), czy też *-eć* trzeba tłumaczyć wpływem gwar z obszarów nad Dnieprem; można bowiem z tego wyciągnąć ciekawe wnioski.

SUFIKSY *-s˙ko, -s˙kyi*.

Bardzo pokrewne poprzedniemu, a takie samo jak w języku literackim i dialekcie wschodnim, jest zmiękczenie *-s˙-* w przyrostkach takich wyrazów: *wuż|ys'ko* = powróz 10; *ż|ytnys'ko* 8; *voł os˙ki*, *muż|yc'ku* 9; *barab|ołys˙ko muż|yc'k'i* 23 itd. Obszar tej wymowy częściowo tylko odbiega od południowej granicy *-ec˙*: nie obejmuje bowiem wsi 41 i 42, natomiast spotykamy ją w miejsco-

---

[1]) Hancov powiada, że podolskie i galicyjskie stwardnienie *-ec* trzeba odróżnić od takiej samej twardości w poleskich, która zależna jest od gwar białoruskich (Dialekt. klasyf. ukr. hovor. Zap. A. N. IV str. 85).

wościach 14, 16 i 17. Można przeto uważać, że suf. *-eć*, *-śk̥o*, *-śk̥'yi̯*, *-ćk̥'yi̯* są jednym i tym samym zjawiskiem, zwłaszcza, że na Bojkowszczyźnie występują one także razem.

PALATALNOŚĆ PRZYMIOTNIKÓW TYPU *s|yńii̯, ž|ytńii̯.*

Znacznie szerszy obszar niż dwie poprzednio omówione właściwości zajmuje typ palatalnej wymowy przymiotników odmiany złożonej *-*ьi̯ь*. Stwardnienie tej odwiany zalicza Krymski do kryteriów, na podstawie których wyróżnia się gwary pd.-zachodnie[1]). Twarde *s|ynyi̯* spotykamy na całym Podolu, nie wyłączając jego obszarów wschodnich (wsi Monasterek i Kobylewka, pow. bracławskiego), ale w gwarze wołyńskiej — we wsiach Suchowce 40, Dobromirka 38, Łubianki 37, Bolizuby 16, Zagórze 7, Styberówka 4 i wszystkich leżących na północ od nich — mamy stale *t|ańii̯*, *ž|ytńii̯*, *s|yńii̯*, podczas gdy na południe od linii II 19 występuje twarda spółgłoska przed tą końcówką.

KOŃCÓWKA DAT. SG. RZECZOWNIKÓW MĘSKICH.

W gwarze wołyńskiej spotykamy także właściwe dialektowi wschodniemu formy *tk̥ač|evi*, *k̥ovał evi*, *xł|opcevi*... Granica zasięgu tej końcówki biegnie po południowej stronie wsi Moskalówka 23, Wierzbowiec 20, Oleksiniec 9, Łopuszno 2 (mapa II izomorfa 20).

Łączą się tu dwie właściwości: 1) charakterystyczne dla wschodniego dialektu końcowe *-i*, które w gwarach zachodnich występuje w postaci *-y*, np. *tk̥ač|ovy*..., oraz 2) zachowanie końcówkowego *-e-* po tematach pierwotnie miękkich, a więc stan bardziej archaiczny. Odnośnie do drugiej właściwości musimy stwierdzić, że gwary pd.-zachodnie wykazują wprawdzie silną tendencję do zastępowania *-e-* końcówkowego przez *-o-* (w drodze analogicznego wyrównania do tematów twardych) we wszystkich wypadkach, lecz wymiana ta nie dokonała się jeszcze wszędzie albo nie wszędzie nastąpiła całkowicie. Obok bowiem form *nož|om*, *k̥oval|om*, *k̥oval|ovy*... spotykamy także *k̥on|evy*, *k̥on|em z b|apcym* itd. (zobacz str. 23).

---

[1]) Hancov, Zap. A. N. IV str. 120.

MIĘKKIE KOŃCÓWKI: *na zýml'|i na końi, na p|ol'i, dvi vivći.*

Jedną z podstawowych cech, charakteryzujących dialekt pd.-wschodni są końcówki locat. sg. miękkiej odmiany rzeczowników żeńskich, męskich i nijakich, np. *na zýml'|i, na koń|i, na p|ol'i.* Końcówka ta powstała z ps. *-ě, które po miękkich przeszło w *-i. W gwarach pd.-zachodnich przybrała ona postać głosową *-y*, co oczywiście stoi w związku z ogólną w tym dialekcie tendencją do dyspalatalizacji spółgłosek miękkich, podkreślaną już tylokrotnie. Południowy zasięg końcówki *-i* ⇐ *ps.* *-i ⇐ *-'ě nie jest jednolity dla wszystkich rodzajów rzeczownika. Najprędzej kończy sią ta właściwość w rzeczownikach nijakich. Formy *na p|ol'i, na podv|iri* spotykamy jeszcze w Koszlakach 42, Hnilicach 41, Szelpakach 39, Łubiankach 37, Kołodnie 17, Oleksińcu 9, następnie granica ich występowania sięga daleko na południe aż do Białygłów 28, skąd zwraca wprost na północ i biegnie między Markopolem 6 i Styberówką 4, a Zagórzem 7 i Popowcami 1. Końcówki *na podv|iri, na p|ol'i* reprezentują typ bardziej archaiczny nie tylko dlatego, że swą wartością fonetyczną zbliżają się więcej do postaci prasłowiańskiej i powszechnie spotykanej w zabytkach starocerkiewno-słowiańskich, lecz także dlatego, że w ogóle są kontynuacją końcówki *-i̯o deklinacji. Granica bowiem południowa wymowy *na p|ol'i* nie jest granicą północną wymowy *na p|oły*, jak to ma miejsce przy rozgraniczeniu typów *na zýml'|i, na koń|i* od terenu *na zýmł|y, na kon|y*, które graniczą ze sobą bezpośrednio. Po południowej mianowicie stronie linii II 27 spotykamy nie spodziewane *na p|oły*, tylko urabiane za pomocą analogicznej końcówki odmiany typu *synъ: *na podv|iru, na p|olu* (32, 68, 67, 14, 6, 4 itd.) a w Popowcach *na pol'i* ‖ *u̯ zap'|ilu.*

Nieco szerszy zasiąg *-i* spotykamy u rzeczowników męskich. W kilku bowiem wsiach obok używanych już form nijakich *na p|olu, na vobołl|ońu* spotyka się rzeczowniki męskie w formie *na koń|i, na k'inć|i, na hostyńći, na* ᵛ*ohń|i.* Taki stan mamy w Klimkowcach 43, Suchowcach 40, Nowikach 32, Bolizubach 16, Hnizdycznej 14, Kobylej 15, Markopolu 6 i Styberówce 4. Ciekawa forma ukazuje się w Dobromirce 38: *na k|ońu*, ponieważ wieś ta leży w punkcie zetknięcia się terenów z wymową: *na p|oli, na p|olu* oraz *na koń|i* i *na kon|y*, a więc łatwo wytwarza się forma analogiczna do nijakich przy równoczesnym zachowaniu

miękkości. Popobne tworzenie się analogicznych form w wyrazach *na cv|yntaru, na łan|u* spotykamy także w innych okolicach.

Na południe zatem od linii II 26 mamy formy *na kon|y, f k'inc|y.*

Jeszcze dalej na południe wysuwa się teren zachowania końcówki 7 przyp. l. poj. *-i* w rzeczownikach żeńskich. Granica, rozdzielająca teren wymowy *na zýml'|i, na k|uxńi, na t|erłyći...* od obszaru na południe leżącego z wymową *na t|erłycy, na k|uxny, na poł|ycy, f k'ýrn|ycy...* (na mapie II linia 25) biegnie po południowej stronie wsi: Zadnieszówka 68, Połupanówka 87, Łozowa 54, Nowiki 32, Mszaniec 29, Białogłowy 28 i Markopol 6, pozostawiając po stronie wymowy *na t|erłycy* miejscowości 97, 86, 60, 56, 55, 34, 31, 27 i 12. Ta właściwość morfologiczna jest silnie uzależniona od ogólnej tendencji do zachowania palatalności w dialekcie pd.-wschodnim, a z drugiej strony do dyspalatalizacji, która objawia się w wielu pozycjach gwar zachodnioruskich.

Do tego samego typu zjawisk, co zachowanie końcówki **-i = *-'ě* na niektórych terenach w postaci *-y*, np. *na kon|y, na zýmł|y*, zaliczymy także ukazywanie się w gwarach zachodnich N. A. V. liczby podwójnej rzeczowników odmiany **-i̯a*, typu: *dvi nýd'|iły, dvi mołod|ycy, dvi k|apycy, dvi vivc|y* itd.

Formy te w języku prasłowiańskim miały także końcówkę **-i*, która powstała z **-'ě* po miękkiej spółgłosce tematu. W języku scs. mamy: *na polji, na zemlji, na konji* i *dvě ovьci, stьzi...* z równobrzmiącymi końcówkami. Nic też dziwnego, że w gwarach, gdzie każda końcówka *-i = -'ě* przeszła w *-y*, spotykamy ją także w formach dualnych: *dvi vivc|y, k|apycy, m|yły...*, zwłaszcza, że następuje ta zmiana w gwarach, które wymieniają miękkie *s|yńii̯, t|ańii̯, ž|ytńii̯* na *s|ynyi̯, t|anomu, ž ytna; -eć* na *-ec; -śk'yi̯* na *-sk'yi̯; x|odyt'* na *x|odyt*; a także *śnip* na *snip; zeł|eńi* na *zeł|eni; -evi* na *-ovy;* itd.

Bardzo szczegółowe i przeprowadzane niejednokrotnie z dokładnością do jednej wsi badania pozwoliły ustalić, że granica terenów wymowy *dvi k|apycy* i *dvi k apyći* w zupełności się zgadza z granicą wymowy *na t|erłycy* i *na t erłyći* (mapa II linia 25), tam wszędzie, gdzie mówi się *na zýmł|y*, występują formy *dvi k apycy, k'ýrn ycy, m|yły*, natomiast wymowie *na zýml'|i* towarzyszy stale końcówka *-i* w N. A. V. dualis.

Toteż trudno nam będzie oceniać formy dualne typu *dvi k|apycy* tak samo, jak ocenia je J. Janów w swym artykule „Niedostrzeżona przez badaczy kategoria językowa (Dualis rzeczowników na *'a* w języku ukr.-ruskim)“[1]). Przede wszystkim na podstawie omówionych poprzednio spostrzeżeń nie nazwalibyśmy tej kategorii niedostrzeżoną, tylko raczej niewyodrębnioną. Autor artykułu nazywa zjawisko występowania końcówki dualu *-y* archaizmem, lub resztkami dualu tego samego typu, co np. w staropolszczyźnie *dwie mili, sukni, tablicy, dwie niedzieli, źrzenicy*...[2]), za pomocą których „znaczna część gwar wschodnich do dziś odróżnia typ palatalny od niepalatalnego i zachowuje stadium bardziej archaiczne“[3]). Kwestia odróżniania typu palatalnego za pomocą odrębnej końcówki dualu *-y* jest dość problematyczna, ponieważ na tych terenach, które mają *dvi k|apycy*, spotyka się także *dvi kor|ovy, dvi r|yby, b|aby, d'i|uk'y, v|ob'i, n|oh'ý, dvi ruk'|ý, m|uxy ł|auk'ý* itd. Tak jest przynajmniej na terenie ostatnio zbadanym, chociaż w deklinacji *-a* występuje tam także *dvi rué|i, noź|i, b|ab'i,* ale w takim samym stopniu, w jakim szerzą się nowe formy *dvi m|yl'i, dvi l'|itri.*

W gwarze wołyńskiej, a więc na terenie wymowy *dvi ďivč|i,* występują następujące typy form: dat. sg. męskich na *-evi,* genet. sg.: *trox'y s|ol'i* 87, 67, *s|ol'i* 1, 7, 35, 41, 11, 10; *v|ybux kroú|i* 66, *teji n|oči* Milno; *bys tyl|at'i* 40, 63; a prócz tego *k|omin* 10, 23; *tod'|i* 67; *z|at'irka* 23; *p|ot'im* 23; *čyp'|ih'ý* 38; itd., którym w gwarze podolskiej odpowiadają: *-ovy; dod|aty s|oły; toji n|očy; v|ybux krov|y; bys tyl|ýty; k|omyn; tod|y; p|otym; z|atyrka; čyp|yh'ý*... Biorąc zatem pod uwagę, że końcówce *dvi k|apycy* towarzyszą formy *dvi b|aby, r|yby, na zýmł|y, na kon|y, tkačovy, bys s|oły, bys tylýty, komyn, toji nočy*..., z końcówką zaś *dvi k|apyći* występuje stale *i* na miejscu *y* w poprzednim typie przykładów, można stwierdzić, że końcówka dualu odmiany *'a* w typie *dvi mołod|ycy* nie jest wyodrębnioną kategorią morfologiczną, lecz musimy ją traktować jako rezultat rozpowszechnionej skłonności fonetycznej do zachowywania w dialekcie zachodnim *y* w tych pozycjach, w których dialekt południowo-wschodni ma *i,* co łączy się z sil-

---

[1]) Odbitka ze Sprawozdań T-wa Naukowego we Lwowie. R. XVI 1936, z. 3.

[2]) Tamże str. 6.

[3]) l. c. str. 7.

niejszą tendencją gwar przydnieprzańskich do utrzymania palatalności.

Jeżeli chodzi o określenie obszaru wymowy *dŏi mołod|ycy*, to linię II 25 wyznaczono na podstawie bardzo szczegółowych i systematycznych badań, tak że zasiąg występowania tych form nie może ulegać wątpliwości. Czy tak samo jest w innych gwarach, gdzie występuje typ *na zỹmł|y*, jak na zbadanych terenach, to trudno na razie stwierdzić.

Z innych cech, które występują na terenie zbadanych obszarów, a są wspólne dialektowi wschodniemu i między innymi gwarze wołyńskiej, wyróżnimy jeszcze następujące:

KORONALNA PALATALNOŚĆ *s'*, *z'*, *c'*

Artykulacja półpalatalnych, czy koronalno-dorsalnych głosek *s'*, *z'*, *c'* odznacza się tym, że najwęższe miejsce szczeliny tworzy się między przodem języka i dziąsłami, a nie między środkiem języka a twardym podniebieniem jak przy środkowojęzykowych *ś*, *ź*, *ć*. Wskutek tego głoski te zbliżają się bardziej do twardych *s*, *z*, *c*[1]). Takie głoski *s'*, *z'*, *c'* „słyszy się zwykle we wschodniej wymowie wykształconej i ludowej i po części w gwarach poleskich, następnie w gwarach bukowińskich, pokuckich, huculskich, bojkowskich i we wschodnio-zakarpackich. Natomiast w gwarach podolskich, wołyńskich, podlaskich i chełmskich obok sporadycznego *s'*, *z'* występują przeważnie silniej spalatalizowane odmiany, które im dalej ku zachodowi, tym częściej przechodzą powoli w inną kategorię miękkich dźwięków, które można już zaliczyć do właściwych spółgłosek palatalnych *ś*, *ź*"[2]). Wbrew temu, co czytamy w przytoczonym cytacie Ziłynskiego, koronalno-dorsalną wymowę *s'*, *z'*, *c'*, podobną do wymowy tych głosek w języku rosyjskim, spotykamy także w gwarze wołyńskiej, a południowa granica jej zasięgu (mapa II izofona 16) obejmuje Suchowce 40, Bolizuby 16, Oleksiniec 9, Rydoml 8 i Łopuszno 2. Miękkość ta występuje na pograniczu w nieco tylko zmniejszonym stopniu (np. w niektórych tylko wypadkach: *šč|as'ća* 35, *šč|asćy̆* 54, ale już w Rydomlu 8 palatalność prawie zupełnie znika *s'*, *z'*, *c'*. Wskutek tak słabego zmiękczenia tych spółgłosek można by nawet mówić, że suf. *-ec'* występuje tu z prawie twardym *-c*, np. *xł|opec'*, *Oleks'inec'*, *stoł|ec'*,

---

[1]) Ziłynski, Opis fonet. str. 84.

[2]) Tamże str. 85.

gdyby te przykłady traktować w oderwaniu od *c* w innych pozycjach: *h|ułyc'a, bah|ac'ko, c'ip|yłno, dȯi k|apyc'i,* a także *pod|yvucs'a, ž|ytnys'ko c'v|ilux.*

Dla nas ważną będzie rzeczą, że cecha ta łączy Wołyń z terenami nad Dnieprem od północy, a z drugiej strony przez Bukowinę, wschodnie Zakarpacie, Pokucie i Huculszczyznę sięga aż do dialektu bojkowskiego, a więc wykazuje pokrewieństwo gwar prawie takie samo jak *-eć, -śko, -śk'yi̯...*

INFINITIVUS *pekt|y*

Równolegle z granicą zasięgu końcówki dat. sg. męskich *-evi* biegnie jedna z bardzo archaicznych form infinitivu: *pekt|y,* któremu odpowiada we wsiach leżących na południe od linii II 21 postać *peč|y.* Bezokolicznik ten spotyka się zresztą nie tylko na Wołyniu, lecz także w gwarze podolskiej wsi Monasterka i Kobylewki pow. bracław., jako wyłącznie występujący w tych okolicach[1]). W każdym razie inf. *pekty* oddziela teren gwary wołyńskiej od innych sąsiednich mu i łączy go z obszarami, które leżą daleko na wschód.

VI. Inne cechy wyróżniające gwarę wołyńską.

Z innych właściwości, które odgraniczają gwarę wołyńską od terenów na południe od niej leżących, wymienimy jeszcze:

ZAIMKI *do sv|ei̯i, t|ei̯u*

Według Ziłynskiego jedną z cech wyróżniających specjalnie gwarę wołyńską są „ściągnięte formy typu: *tei̯i, mei̯i, svei̯i, tei̯u, mei̯u, svei̯u*"[2]). Z twierdzeniem, że formy genet. sg. zaimków *do sv|ei̯i rob|oty* 9; *do m|ei̯i...* są charakterystyczne tylko dla gwary wołyńskiej, nie zgodzimy się ze względu na to, że takie same formy zapisano także na Huculszczyźnie[3]). Janów mówi o tych formach jako „śladach starego sąsiedztwa z polszczyzną, częściowo nawet wspólnoty w cechach morfologicznych"[4]). Trudno by jednak wiązać tę postać zaimków w gwarze huculskiej z fonolo-

---

[1]) Hancov, Zap. A. N. IV str. 120.

[2]) Ziłynski, Karta ukr. hovor. str. 7.

[3]) Jan Janów, Uwagi o gwarach huculskich, śladach ich stosunków z polszczyzną oraz o pierwotnej ludności Ziemi Czerwieńskiej. Spraw. T-wa Nauk. we Lwowie, 1928, nr 2, str. 53 i 55.

[4]) l. c. str. 55.

gią języka polskiego, kiedy spotykamy je w gwarze bardzo mało wykazującej w ogólnym całokształcie swego systemu łączności z dialektem polskim, zwłaszcza że podobną właściwość spotykamy także w innych formach zaimków żeńskich, już zupełnie różnych od form zaimka polskiego, jak np. *t|ei̯u h|ułycei̯u* 8; *t|ei̯u dor|ohoi̯u* 9, 14; *tud|ei̯u* 14... Choćbyśmy nawet uważali te formy za analogiczne wyrównanie do *t|ei̯i*, to jednak raczej określimy te postaci jako ściągnięte formy zaimka — jak zrobił to Ziłynski.

Południowy zasiąg form zaimków *do sv|ei̯i, t|ei̯u* dochodzi do wsi: Suchowce 40, Czernichowce 35, Bolizuby 16, Kobyla 15, Białogłowy 28 i Manajów 12 — mapa II linia 24.

NAGŁOSOWE *h-*

W gwarze wołyńskiej wyrazy zaczynające się od **o-, *u-* przybierają nagłosowe *h-*, np. *hov|es, hoł|yva, hol'|ii̯, h|ułyća, hot|ava...*, podczas gdy w innych uwzględnionych gwarach, jako też w języku literackim występuje ten nagłos w postaci *v-*. Taki nagłos występuje we wsiach aż po linię II 22 na południu, ustępując następnie formom: *vol'|ii̯, voł|yva, vov|es, v|ułyća, vot|ava.* Właściwość ta sięga nawet nieco dalej na południe w wyrazach *h|ynčyi̯, hýn|akše* (izofona II 23). Nagłosowe *h-* we wsi Oleksiniec 9 skłania się do zaniku zarówno w wymienionych wypadkach, np. *ʰokoł|ot, ʰopoł onyk, ʰožýr|et* (sterta słomy) ‖ *horut'* (orzą), *hat|ava, ʰor|odnyk*, jako też w *h = *g: na voń i* (na ogniu), *r|upka* (gruba), *ʰr|ečka, r|atka* (grzęda), *dor oʰ a...*

FUTURUM

Równocześnie z wieloma izofonami oraz izomorfami gwary wołyńskiej biegnie południowa granica futurum tworzonego przy pomocy bezokolicznika i słowa posiłkowego: *budu rob|yty, bud|etý i̯t|y* (mapa II linia 29), która przechodzi po południowej stronie wsi Moskalówka 23, Łopuszno 21, Bolizuby 16, Oleksiniec 9, Łopuszno k. Zał. 2. Prócz tego formy te spotykamy na terenie mieszanym (odgraniczonym od południa linią II 30) we wsiach: Hnizdycznej 14, Kobylej 15 i Popowcach 1, gdzie obok formy typu *bud|u i̯t|y, bud u kł|ykaty* mamy u tej samej informatorki z Popowiec 1: *ný b|udý bał akau̯, bud|u p|ostyu̯...* Na południe od linii II 29 i II 30 spotykamy futurum tak samo tworzone jak w języku polskim, a więc za pomocą słowa posiłkowego i imiesłowu

przeszłego *-łъ: bud'em xod'yły, bud'u iš'o.u..* Obszar ten właściwie ogranicza się do północnego Podola. Już bowiem we wsiach Byszki, Żuków, Hinowice, Weleśniów, Trybuchowce k. Bucz. mają formy futurum takie same jak na Wołyniu, tzn. *bud'u xod'yty.* Wskutek tego czas przyszły tworzony przy pomocy imiesłowu możemy uważać za jedną z bardzo charakterystycznych cech gwary podolskiej, tym bardziej, że ciągnie się ona wzdłuż całego Podola aż pod Bracław[1]).

Najciekawsze jednak futurum, które spotykamy na samym krańcu terenu zbadanego, a przez to ilustrowane stosunkowo szczupłym materiałem, występuje w Zwyżyniu 5. Tworzy się ono tak samo w zasadzie jak w gwarze podolskiej, z tym jednak, że nie uwzględnia ani rodzajów, ani liczb: *bud'u iš'ou, bud'emo xod'yu, bud'em pyu, de vy buu, ta baba bud'e prau.* Pojawienie się takiego futurum w którym imiesłów męski l. poj. zastępuje formy dla wszystkich rodzajów i liczb, notuje Sokalski w swej monografii powiatu sokalskiego[2]): *budemo oraw, budete sijaw, ona bude robyw.* Należy więc przypuszczać, że począwszy od Zwyżynia obszar tak tworzonego czasu przyszłego ciągnie się nieprzerwanie aż do okolic Sokala.

Z innych cech gwarowych, które dadzą się rozgraniczyć na zbadanym terenie, wymienimy jeszcze:

CELOWNIK RZECZOWNIKÓW NIJAKICH **telęti*

Dativus sg. neutrów odmiany spółgłoskowej typu **-nt*, tzn. **telęti*, gdzie **-i = -ei*, ma w zbadanych gwarach końcówkę: 1) *tyl'at'i* (na północ od izomorfy II 28); 2) *tyl'æt'u* na bardziej południowych terenach; oraz 3) *tyl'etu, tyl'ætu, tyl'ytu* na pograniczu dwu poprzednich obszarów — w miejscowościach 12, 24, 25, 26, 27, 44, 45, 46, 47, 31, 32, 55, 58, 60, 61, 73, 80, 81, 84, 85. Jeśli chodzi o samą wartość głosową końcówki, to możemy stwierdzić, że to zjawisko wykazuje podobieństwo do typu *na p'ol'i — na p'olu.* Formy *tyl'at'i* są bardziej archaiczne, bo całkiem zbliżone do ps. **telęti*, i prawie pokrywają się z terenem wymowy *na p'ol'i* = ps. **na pol'i*, końcówka natomiast *-u* została przeniesiona z odmiany męskiej typu **synъ.* Ciekawsze natomiast jest zachowanie miękkości, i to zarówno przed końcówką w postaci *-i* jak też przed *-u*, które

---

1) Hancov, Zap. A. N. IV 120.

2) Bronisław Sokalski, Powiat sokalski, Lwów 1898, str. 266.

zupełnie nie sprzyja tego rodzaju właściwości. Dążność przeto do zachowania miękkości musiała być dość silna, skoro zachowała się nawet na tych terenach gwarowych, które nie tylko nie mają już wołyńskiego *-t'*, *-eć*, *-śko*, *s|yńii*; *na zýml'|i*, *p|ol'i*, *ko|ńi*, lecz także brak im takich cech, jak *śńip*, *t'ik*, *zeł|eńi*, *boh|at'i*, tzn. w okolicach Podwołoczysk, Skałatu, Grzymałowa, Chorostkowa, Trembowli, czy Jezierny.

FORMY PS. **jasi*, **dasi*

Prawie równolegle z najdalej na południe wysuniętą granicą wołyńsko-wschodniej właściwości: *na zýml'|i* biegnie zasiąg form 2 os. sg. *iis|yš*, *das|yš*. Po południowej stronie linii II 32 słowa te brzmią *iiś*, *daś* — a więc skrócone i z miękkim *-ś*. Taki stan jednak nie wszędzie się zachował, ponieważ we wsiach 66, 96, 98, 115, 120 i na południowym Podolu mamy ściągnięte, ale z końcowym *-š*: *iiš*, *daš* (mapa II linia 33).

VII. Słownictwo.

Do wyznaczenia terytorium pewnej gwary, a także wykazania jego łączności i pokrewieństwa z innymi grupami językowymi przyczyniają się nie tylko właściwości fonetyczne, morfologiczne i składniowe, lecz w równym stopniu różnice słowotwórcze i słownikowe. Granice słownictwa są niejednokrotnie nawet ważniejsze przy określaniu zasięgów danej gwary, a w każdym razie więcej nam często mówią o jej rozwoju i przestrzeni, niż innych cech gramatycznych, ponieważ pewne słowa, szczególnie terminy techniczne na oznaczenie części zabudowań, narzędzi rolniczych, zwierząt, zjawisk przyrody itd. sięgają czasów nieraz bardzo archaicznych; a jeśli są nawet pochodzenia późnego, to widzimy z nich skąd szerzyły się wpływy na badaną gwarę. W jednym i drugim wypadku będzie można wyciągnąć bardzo ciekawe wnioski na podstawie słownictwa o pokrewieństwie gwar branych pod uwagę z innymi, dalej leżącymi dialektami, z czym jednak na razie musimy się wstrzymać, z tego powodu, że za mały zbadało się teren, aby można takie uogólnienie zrobić, po wtóre nie mamy takich materiałów językowych lub choćby etnograficznych, które by nam pozwoliły rozstrzygnąć, jakie okolice mają podobne a jakie różne nazwy, a wreszcie, ponieważ opracowanie tych zagadnień wymaga jeszcze dużo studiów i badań materiałowych. Wskutek tego ograniczymy się do podania kilkunastu właściwości słownikowych, które będą miały wartość przeważnie

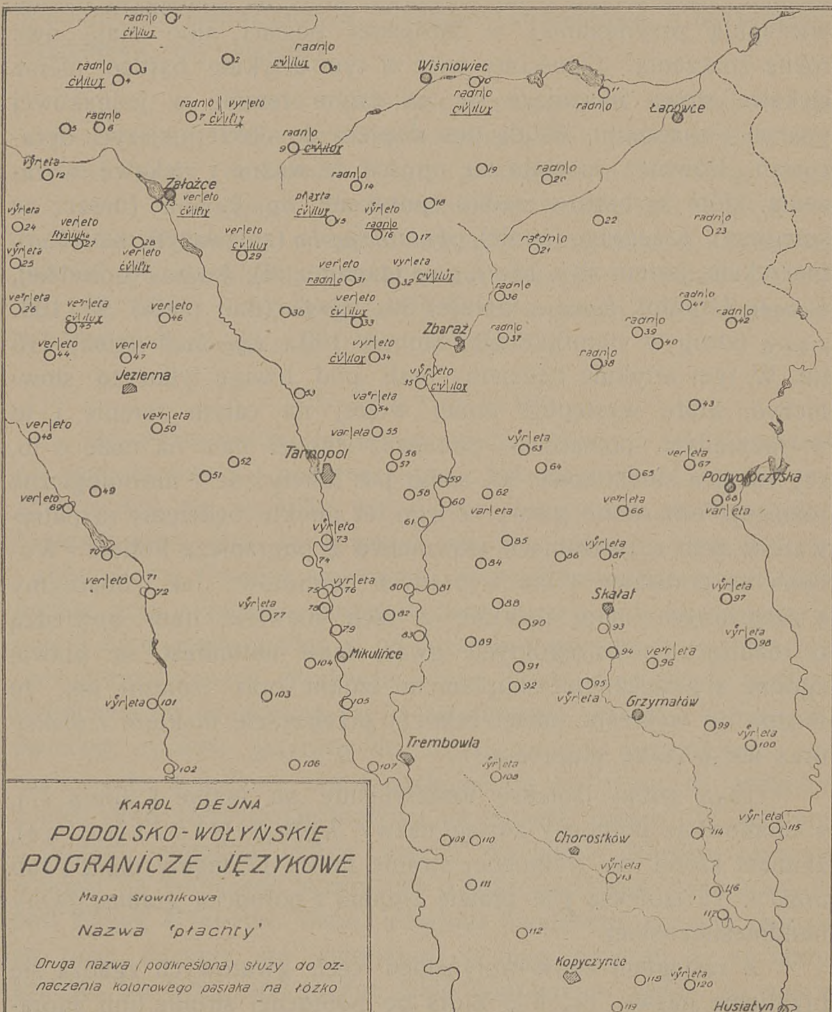
materiałową, a na razie pozwolą nam jaśniej zdać sobie sprawę z podziału gwar, występujących na badanym terenie. Przy wyborze słów i terminów z dość obszernego kwestionariusza stosuje się tę samą zasadę, co w poprzednich rozważaniach, a mianowicie bierzemy pod uwagę tylko te nazwy, które na zbadanym terenie występują przynajmniej w dwojakiej postaci albo mają dwa różne znaczenia. Opuścimy więc w tym artykule bardzo nieraz ciekawe słowa ukazujące się na całym terenie w jednakowej postaci i znaczeniu. Wejdą one dopiero do obszerniejszych opracowań. Również musiało się opuścić te ważne i ciekawe wyrażenia, które są bardzo rzadko spotykane, np. *ʒ|endra* (deszcz ze śniegiem), *ķabzuv|aty* (ganić), *sķuńiruv|aų ho* (znieważył), *maryķ|uįu* (narzekam, jestem zły), *vš|atryų sy* (zapamiętał), *ķ|uįava* (odludzie), *ķ|obańa* (źródło), *ban|uįe* (żałuje) 96; *čyr|iń* (dno pieca) 98, 100; *p|odra* (strop w stajni), *r|aķiš* (skobel) 100; *ẋ|ymorod'* (cień) 115 itd. W tym artykule będziemy brali pod uwagę tylko to słownictwo, które występuje mniej więcej na całym terenie i to w rozmaitych postaciach, ponieważ chodzi nam na razie o to, czy różnice słownikowe tak samo jak fonetyczne i morfologiczne różnicują omawiane gwary. Z tego też punktu będziemy rozpatrywali w tych rozważaniach słownictwo z pogranicza Podola i Wołynia na podstawie kilku wybranych terminów. Jak zobaczymy z załączonych map, niektóre z nich niewiele nam powiedzą o różnicach poszczególnych gwar, inne natomiast są prawie zgodne z granicznymi skupieniami izofon oraz izomorf tak, że można by wykreślić nawet całkiem przejrzyście niektóre izoleksy oraz ich większe skupienia.

Taką jedną izoleksę umieściliśmy na mapie I (linia 17), a mianowicie północny zasiąg nazwy *h'ẏšķ'|ẏ* (studzienina), zamiast której po północnej stronie linii I 17 mamy *dryhl'|i* lub *drahl'|i*. Ta izoleksa jest prawie zgodna z północną granicą gwary naddniestrzańskiej.

Z zasięgiem znów wołyńskich cech gwarowych zgadza się brzmienie nazwy łyżki, która po północnej stronie linii Supranówka 67 — Czernichowce 35 — Dobrowody 31 — Mszaniec 29 — Białogłowy 28 — Markopol 6 występuje w postaci *ł|ošķa*, w południowych zaś gwarach *ł|yšķa*.

Podobnie dla gwary naddniestrzańskiej można wykreślić granicę nazwy *roh|ačķa* rogatka, która gdzie indziej brzmi jako *roh|atķa*.

W wielu jednak wypadkach już nie fonetyka wyrazów, ale wyraźne różnice słownikowe i słowotwórcze dzielą nasze terytorium prawie tak samo jak izofony oraz izomorfy. Z dość obszernego materiału weźmiemy pod uwagę następujące rzeczowniki:

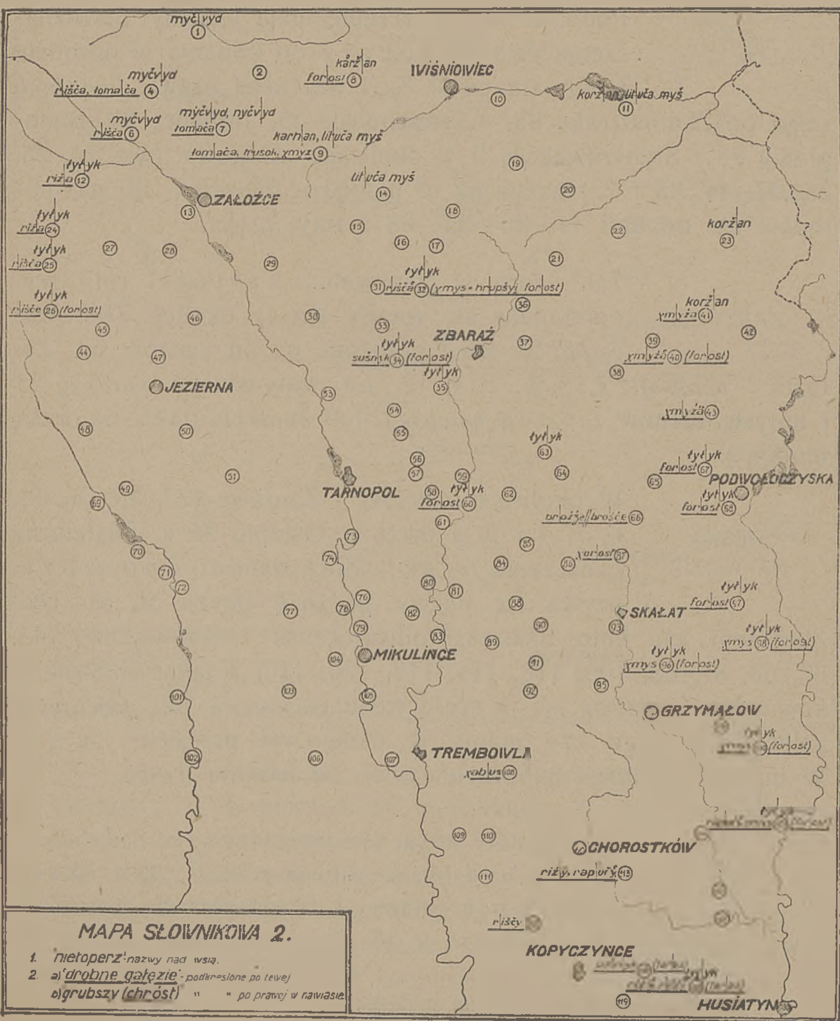


PŁACHTA

Nazwa p ł a c h t y z grubego płótna (mapa słownikowa 1) występuje zasadniczo w dwu postaciach: *radn|o*, która sięga na południu po linię wsi: Dobromirka 38 — Łubianki 37 — Dobrowody 31 — Markopol 6; oraz *vy̑r|eta* na dalszych terenach, która w miejscowo-

ściach 7, 16, 13, 27, 28, 29, 31, 44, 46, 47, 48, 33, 34, 35, 50, 69, 71, 73 pojawia się jako rzeczownik rodzaju nijakiego *vy̆r|eto*, w Kobylej 15 *pł|axta*.

Na oznaczenie jednak wełnianej płachty (w kolorowe pasy) na łóżko używa się wewnątrz obszaru, objętego linią, która łączy wsi Bodaki 10, Czernichowce 35 i Mszanę 45, odrębnej nazwy. W Hnizdycznej 14 i Dobrowodach 31 jest nią *radn|o* przy oznaczaniu płóciennej płachty za pomocą terminu *vy̆r|eto*. Przeważnie jednak brzmi ta nazwa jako *ćṓ|ilux, ćṓ|il'ix* lub *ćṓ|ilox*, w Olejowie 27 *fłyś|iuka*.



NIETOPERZ

Nazwy n i e t o p e r z a (mapa sł. 2) przybierają następujące postaci: I po linię wsi Hnilice 41 — Oleksiniec 9 — Rydoml 8 włącznie, a więc zgodnie z zasięgiem wielu izofon i izomorf gwary wołyńskiej, mamy *ķorž|an* 41, 23, 11, *ķarh|an* 9 i *ķa°rž|an* 8; II na północny zachód od Załoziec *myčv|yd* 6, 4, 1, lub *myč|vyd* ‖ *nyčv|yd* 7; i III w innych miejscowościach, leżących na południe od wymienionych terenów: *łył|yķ* lub *ł|yłyķ* (34, 35, 60, 63, 68, 96, 98, 100, 120). W okolicach Sokala zapisano nazwę bardzo podobną do występującej na obszarze II, a mianowicie *nezvyd*[1]).

ŁOPATA

Podobne rozmieszczenie mają terminy na oznaczenie żelaznej ł o p a t y do kopania w ogrodzie i polu (mapa sł. 3): I wołyńska nazwa *hor|odnyķ* sięga po Zadniszówkę 68, Czernichowce 35, Ihrowicę 30, Białogłowy 28 i Styberówkę 4; II w okolicach Zborowa (wsi 24, 25, 26, 27, 44, 45 i 12) nazywają to narzędzie *łop|atķa*; III na południe zaś od linii 44—30—35—68 mamy *ryskļ|al*.

KARTOFLE

Tak samo w nazywaniu k a r t o f l i (pl.) wyodrębniają się (mapa sł. 4) okolice Zborowa: *g|ai̯dy* 25, 26 i położone na pn.-zachód od Załoziec: *barab|oi̯i* 7, 8, 9, 2, 4, 12, od wołyńskiego *ķarč|oxẏ* 11 i innych terenów z nazwą *barab|ol'i*, lub *barab|ola* (także na liczbę mnogą!).

DESKA NA WOZIE

W okolicach Załoziec i Zborowa (24, 25, 26, 12, 6, 7, 4 i 1) a także w Ostapiu 96 k. Skałatu na oznaczenie d e s k i, która stanowi d n o w o z u, używa się nazwy *pod|enoķ* (mapa sł. 5). Nad Zbruczem zaś koło Skałatu, Podwołoczysk i Kopyczyniec (43, 67, 68, 87, 88, 100, 115, 114, 113, 120, 116) a także w Stechnikowcach 34 nazywa się ta część wozu *pom|isnyća* lub *pom|isnyćẏ*, zależnie od tego czy mamy w danej wsi przejście *-'a* — *-ẏ*. W innych natomiast okolicach używa się terminu *d|oška*.

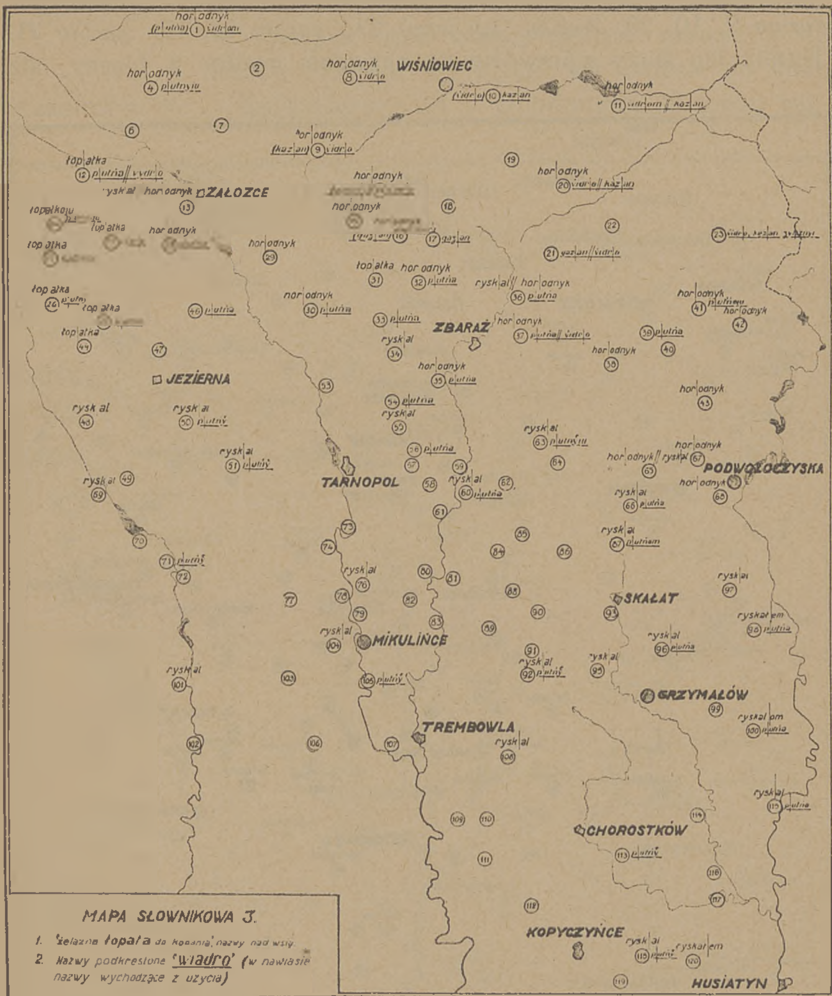
SKRĘT

Ta zaś część wozu, na której spoczywa *pod|enoķ* — *pom|isnyća*, a obraca się *na sv|irny*, czyli s k r ę t, k i e r o w n i k (mapa sł. 5) nazywa się koło Zborowa, a także w Kręgulcu 118 k. Kopyczyniec, *nas|al* 26, 25, 24,

---

[1]) Bronisław Sokalski, Powiat sokalski.

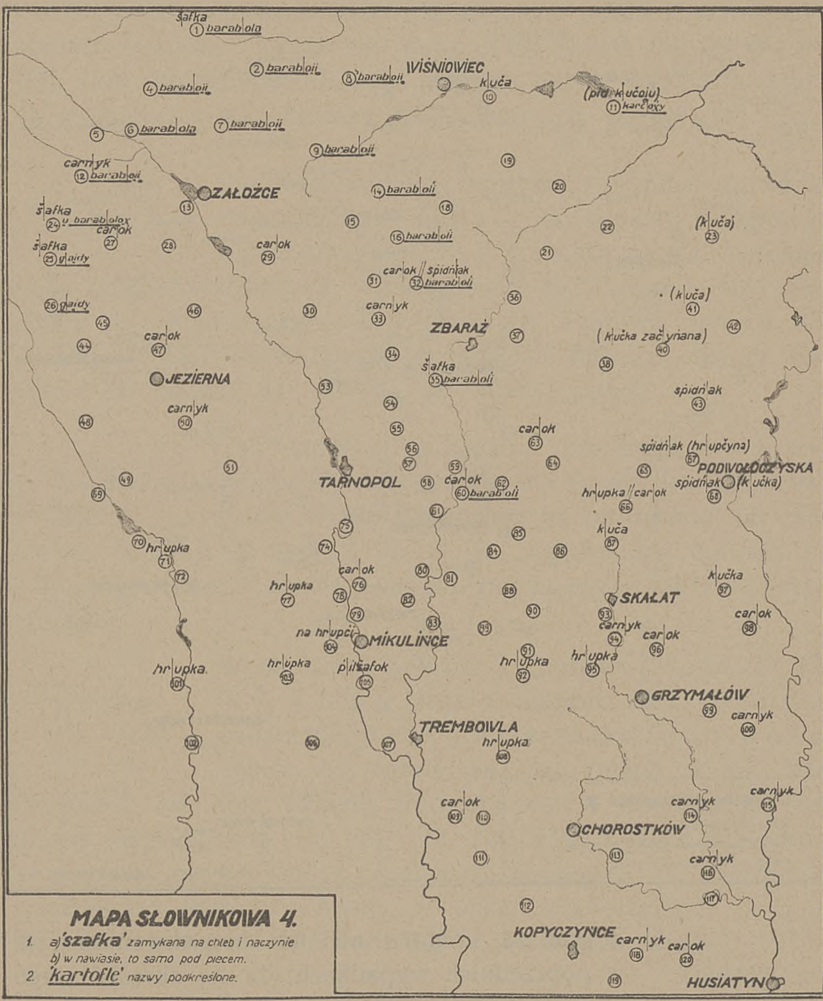
12, lub *nas|ad* 1; w Markopolu 6, Zagórzu 7 i Styberówce 4: *skr|ent*; w innych zaś okolicach *skr|ut*.



WIADRO

Z grubsza i może nie tak konsekwentnie jak w poprzednich wypadkach, da się określić teren występowania nazw w i a d r a do noszenia wody (mapa sł. 3). Całe południe zbadanego terenu ma nazwy *p|utńa* czy *p|utńy*, lub *konouka* na oznaczenie nie używanego już dzisiaj w i a d r a d r e w n i a n e g o. Nazwa natomiast *vidr|o, vydr|o, vidr|o* ukazuje się na północ od linii Olejów 27 — Moskalówka 23

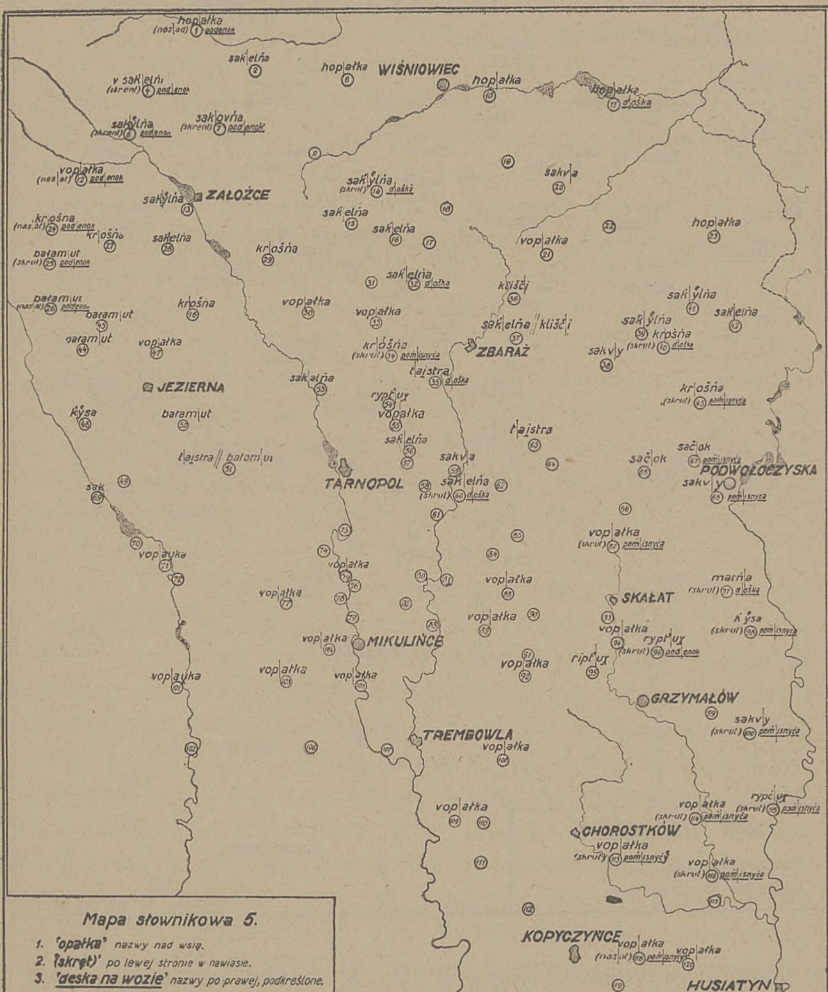
(wsi 27, 12, 1, 8, 9, 14, 16, 10, 20, 11, 23, 37). Na części tego terenu (na obszarze czystej gwary wołyńskiej, po linię wsi 9—14—16—21—20) ukazuje się jeszcze inna nazwa, a mianowicie *kaz|an* 9, 10, 20, *ḳaz|an ʒyl'|iznyį* 23, *gaʒ|an* 14, 16, *gaz|an* 21. Termin ten służy wprawdzie do nazwania wiadra z blachy, ale



przeważnie ma to samo znaczenie co *ḳonouka* na terenie występowania *p|utńa*, tzn. wiadra drewnianego. Wyraz *ḳazan* notuje we wspomnianym słowniczku Kremer dla okolic Kamieńca Podolskiego, ale w znaczeniu 'duży kocioł'.

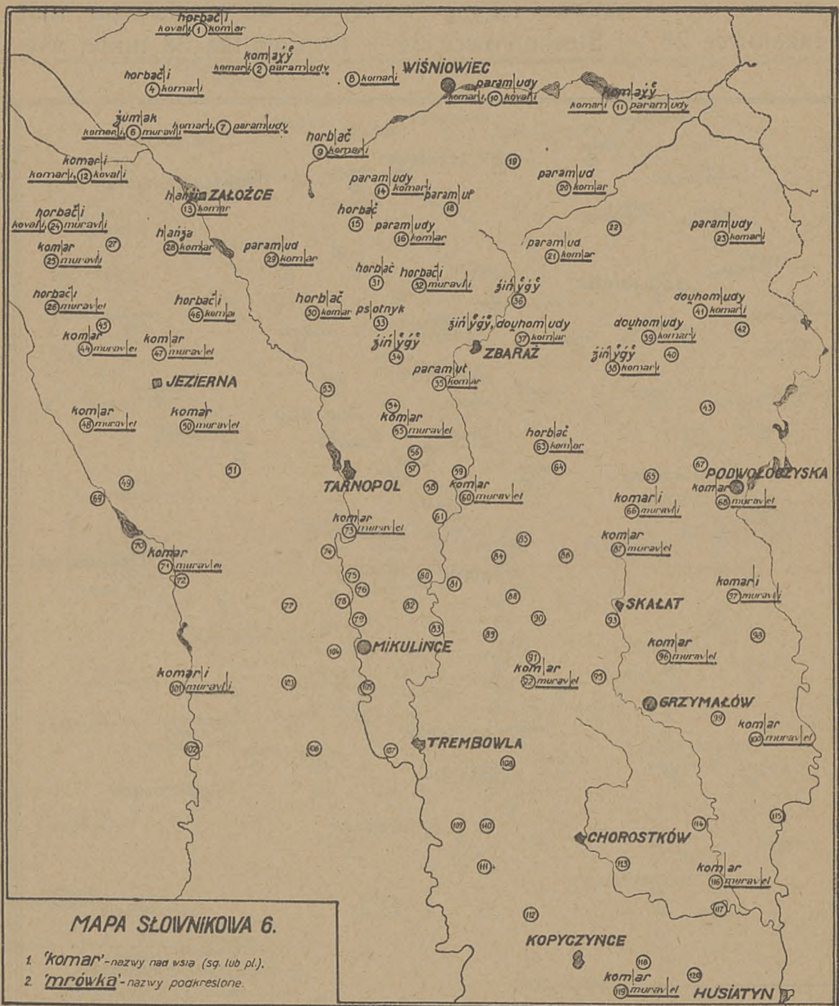
SKRZYŻOWANE KOŁKI NA KALENICY.

O rozmieszczeniu nazw skrzyżowanych dwu kołków, które przytrzymują słomę położoną wzdłuż grzbietu strzechy (mapa st. 7) musimy mówić na podstawie niekompletnie zebranego materiału. W każdym razie można będzie zauważyć, że nazwa *k̦'izł|yny* występuje we wsiach po linię Hukałowce 26 — Stechnikowce 34 — Dobromirka 38 mniej wię-



cej, a oprócz tego w okolicach Kopyczyniec: 120 i 118, w Horodnicy 116 zaś *k̦'izł|yńy*. Nazwę *koźliny* notuje też Kremer w oko-

licach Kamieńca Podolskiego. Na Wołyniu, gdzie nie kładnie się słomy wzdłuż kalenicy, lecz grzbiet strzechy, tak zwany: *hreb'|inka,* tworzy się z głów dwu snopów, nazwa ta albo nie występuje w ogóle, albo ukazuje się w formie: *krokouk'|y* 11, *klúč|yny* 9, 8



(w starych budynkach), *kozł|yny* 10. W środku obszarów z wyrazem *k'izł|yny* mamy (we wsiach zbadanych) *p'|iuzyny,* lub: *p'|ibzyna* 87, *pauz|yný* 107, *p'|iuzyný* 100, *pauz|yny* 114, *p'|iuzyńa* 115, *pauź|uk'ý* 113, *p'|izvyńa* 40, 42.

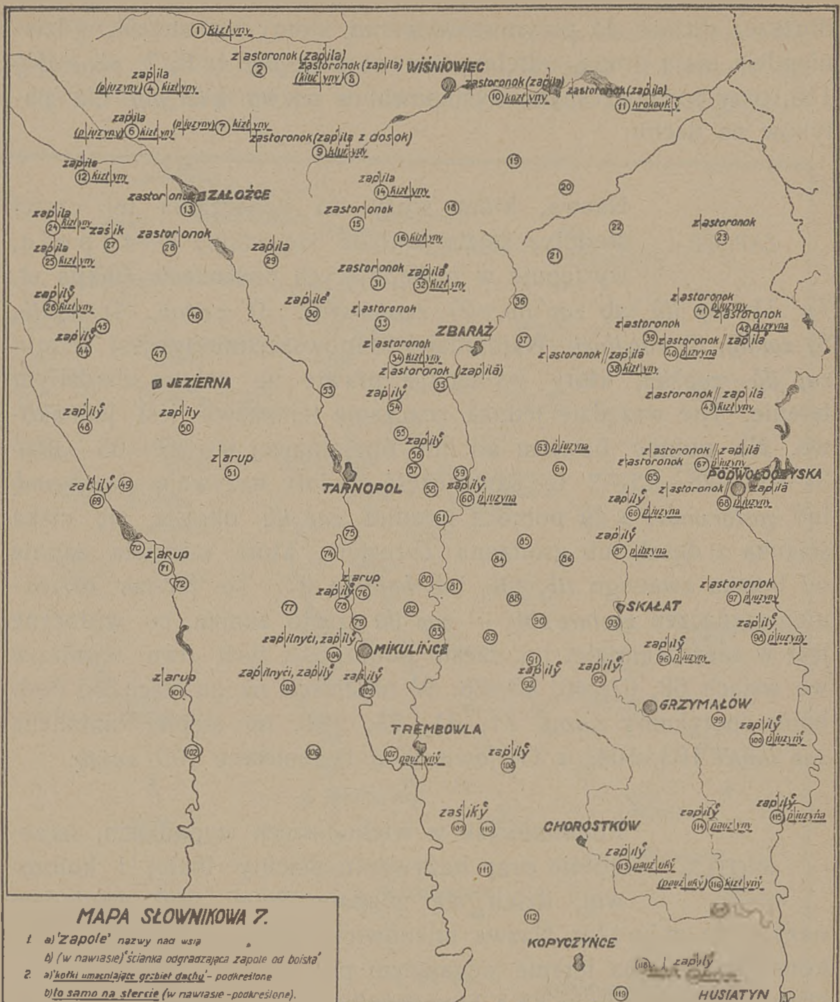
Ważne jest także to, że tak samo skrzyżowane kołki, tylko dłuższe, służące do przymocowywania słomy na stercie, gdzieniegdzie mają drugą, odrębną nazwę: *p'|iuzyny* 4, 6, 7, *pauž|uk'ý* 116, przy równoczesnym występowaniu nazwy *k'izł|yny* dla patyków na dachu.

ZAPOLE

Nazwa, która służy do oznaczania tej części stodoły, gdzie wkłada się snopy — z a p o l a, występuje w następujących postaciach (mapa sł. 7): 1) *zap'|ilý* lub *zap'|ila*, 2) *z|astoronok*, 3) *z|arup*, 4) *zaś|ik*, 5) *zat|ilý*, 6) *zap|ilnči*. Najbardziej rozpowszechniony jest termin *zap'|ilý—zap'|ila*, który występuje prawie na całym zbadanym terenie. Nie wszędzie jednak znaczenie tej nazwy jest jednakowe. Na północ bowiem od linii obejmującej wsi 97—65—35—34—33—28—13—2 tę samą część stodoły nazywają *z|astoronok* lub *zastor|onok*, a za pomocą terminu *zap'|ila* określa się niska ścianka z desek lub grodzona chrustem, która oddziela zapole od boiska zwanego *tik*, *t'ik*, lub *boj|isko* 87. To jednak rozróżnienie znaczeń *zastoro|nok* — *zap'|ila* często zanika, co widoczne jest w niezrozumiałej już często oboczności tych dwu terminów we wsiach 68, 67, 40, 43, 38. W okolicach na pn.-zach. od Podhajec spotykamy *z|arup* 71, 51, 75, 101, na stepie Pantalicha *zap'|ilnyći* 103, 104, w Olejowie 27 i Dereniówce 109 *zaś|ik*.

MIOTŁA

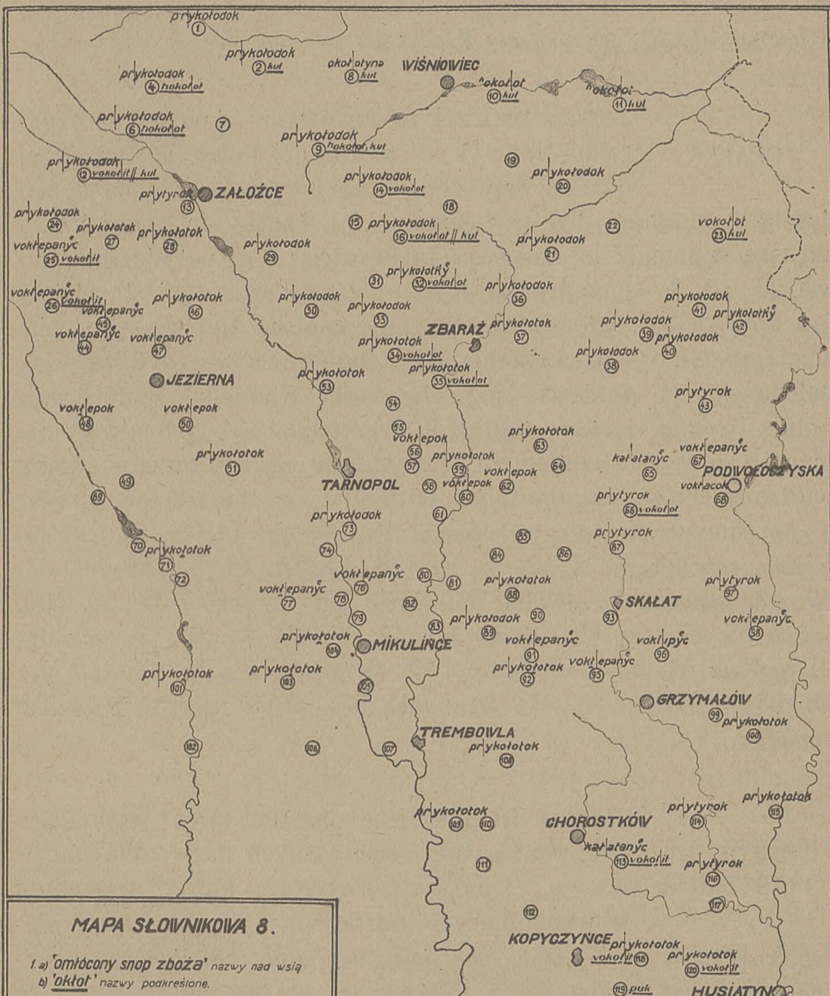
Podobnie jak w wielu innych wypadkach, szczególnie przy nazywaniu płachty białej i kolorowej, dzieli się zbadany teren pod względem nazywania m i o t ł y. Nazwa mianowicie *v̀|inyk* występuje prawie konsekwentnie na terenie sięgającym po wsi Płaucza 48, Czernichowce 35, Kamionki 65 i Supranówka 67, a oprócz tego w Berezowicy Wk. 73. Na tym terenie mamy też przeważnie rozróżnienie miotły do zamiatania izby (*v̀|inyk*, w 25, 26 i 29 zaś *pomył|o*) od miotły brzozowej do zamiatania w stodole i na podwórzu, którą określa się za pomocą odrębnej nazwy: *ṁitł|a* (lub *v̀|inyk* w miejsc. 25, 26, 29). Rozróżnienie tych dwu rodzajów miotły przez nadawanie im odrębnych nazw nie występuje na południe od linii Kudobińce 26 — Czernichowce 35 — Supranówka 67, gdzie przeważnie na oznaczenie miotły w chacie, jako też miotły brzozowej używa się terminu *ṁitł|a*.



MRÓWKA, KOMAR

Tak samo prawie na dwa różne pod względem leksykalnym tereny — północny i południowy (mapa sł. 6) rozpada się zbadany obszar jeśli chodzi o nazwy m r ó w k i i k o m a r a, które tak się ze sobą splatają, że musimy je traktować łącznie. Tam, gdzie występuje *kom ar* na oznaczenie komara, ukazuje się też nazwa mrówki konsekwentnie jako *murav el.* W przeciwieństwie do tych jednolitych i jasno odgraniczonych od siebie nazw komara i mrówki na południu, na terenie północnym od linii 12—

46—55—63—67 nazwy ich ukazują się w bardzo ciekawej postaci. Na tym bowiem obszarze mrówka nazywa się już nie *murav|el*, tylko *ḳom|ar*, tu i ówdzie *param|ud* 7, 2, 11, lub dla odróżnienia czerwonych mrówek leśnych od zwykłych *ḳov|al* 24, 12, 1, 10. Wi-



dzimy zatem, że ta granica leksykalna biegnie mniej więcej zgodnie z południowym zasięgiem właściwości gwary wołyńskiej. Po północnej stronie tej izoleksy mrówka nazywa się tak jak komar na południu, a na oznaczenie komara mamy bardzo wiele określeń. A mianowicie o ile od południa — po linię 68—66—

60—55—47—44, a także we wsiach 12 i 25 mamy *ḱom|ar* 'k o m a r', to na północ od tej izoleksy spotyka się rozmaite jego określenia: a) *horb|ač* 1, 4, 24, 26, 46, 9, 15, 30, 31, 32, 63; b) *param|ud* 10, 20, 21, 23, 14, 16, 29, 35; c) *doṷhom|ud* 37, 41, 42, 39, 40; d) *ǯiń|ǵǵý* (pl.) 34, 36, 37, 38; e) *ǯum|aḱ* 6; f) *h|ańǯa* 13, 28; g) *ḱom|axa* 2, 11; h) *ps|otnyḱ* 33.

OPAŁKA

Jeszcze bardziej zróżnicowane są nazwy na oznaczenie o p a ł k i — płóciennej torby, usztywnionej dwoma patykami, którą przyczepia się na końcu dyszla z obrokiem dla koni (mapa sł. 5). Dadzą się określić dwa większe skupienia tej nazwy, a mianowicie: I a) na Wołyniu (po wsi 23, 10, 8, 1) mamy *hop|ałḱa*; b) w gwarze naddniestrzańskiej (po linię 71—75—88—114) występuje *vop|ałḱa* lub *vop|aṷḱa*. Nie wiadomo tylko, czy skupienia tej jednolitej nazwy są duże i jak daleko sięgają, ponieważ już dla okolic Kamieńca Podolskiego notuje Kremer *reptiuch, tajstra*. II. W środku zaś tych dwu, różniących się tylko brzmieniem fonetycznym nazwy, terenów mamy bardzo wielkość różnorodność terminów na oznaczenie opałki: a) na samym zachodzie *bałam|ut* 25, 26, 45, 44, 50, 51; b) *saḱ'|elńa, saḱ'|ýlńa* 4, 1, 2, 6, 13, 28, 14, 15, 16, 32, 56, 60, 37, 39, 42, *saḱ|ovńa* 7, *saḱ|alńa* 53, *saḱv|a* 59, 20, *saḱv|y* 38, 68, 100, *sač|oḱ* 65, 67, *saḱ* 69; c) *ḱr|ošńa* 24, 29, 40, 43, 46, *ḱr|óšńa* 34; d) *rýpt'|ux* 54, 95, 96, *rypć|ux* 115; e) *t|ai̯stra* 51, 35, 63; f) *ḱ'|ýsa* 48, 98; g) *ḱlišč|i* 36, 37; h) *matń|a* 97; prócz tego tu i ówdzie *vop|ałḱa*.

OMŁÓCONY SNOP ZBOŻA

Jeszcze trudniej jest określić teren jednolitego ukazywania się dość różnych nazw o m ł ó c o n e g o s n o p a z b o ż a, które występują w następujących postaciach: *pr|yḱołodoḱ, pr|ytyroḱ, voḱł|epoḱ, voḱł|epanýc, voḱl'|ipýc, voḱł|acoḱ, ḱał|atanýc, oḱoł|otyna, hoḱoł|ot* (mapa sł. 8). Nazwy te są tak pomieszane, że trudno mówić o jakimś rozgraniczeniu terenów pojawiania się każdej z nich. Jedynie tylko nazwy na określenie o k ł o t u, związanego z kilku takich snopków można w ten sposób odgraniczyć od siebie: na Wołyniu (po wsi 12, 16, 23) używa się na jego określenie nazwy *ḱul*, poza tym *voḱoł|ot, voḱoł|it;* w Kociubińcach 119 *puḱ*.

DROBNE GAŁĘZIE

Tak samo niezdecydowanie przedstawia się rozmieszczenie nazw drobnych gałęzi do palenia (mapa sł. 2), które występują w takich postaciach: a) *r|išča* 4, 6, 25, *r|išče* 26, *r|iščæ* 32, *r|iščy* 112, 120; b) *riż|a* 12, 24, *riż|ý* 113, 120; c) *xmyz* 9, *xm|yża* 41, *xm|yżæ* 40, 43, *xmys* 98, 100, 115; d) *łom|ača* 4, 7, 9; e) *rap|učý* 113; f) *for|ost* 67, 97, 60; g) *tr|usok* 9; h) *sušn|yk* 34, 118; i) *br|ożǯe* ‖ *br|ośće* 66; *xab|us* 108. Na oznaczenie zaś grubszego chrustu używa się: *for|ost* 8, 26, 40, 96, 67, 115, 100; *xmys* = *hr|upšyį for|ost* 32; *tar|as* 120, 118.

SZAFKA

Ciekawy obraz rozwoju i zmiany znaczenia wyrazu przedstawiają nazwy, za pomocą których oznacza lud dolną i zamykaną drzwiczkami część szafy na chleb i naczynie — tę szafkę, na której stoi *m|ysnyk* (mapa sł. 4). Przeważnie nazywa się ona a) *car|ok* 60, 76, 32, 109, 63, 66, 96, 98, 120, 27, 29, 47, lub b) *carn|yk* 33, 94, 12, 100, 115, 114, 116, 118, 120. Poza tym mamy jeszcze następujące nazwy tego sprzętu: c) na południe od linii 71—77—92—95 i w Chmieliskach 66 *hr|upka;* d) *š|afka* 25, 24, 1, 35; e) *spidń|ak* 43, 68, 67, 32; f) *p|itšafok* 105; a wreszcie g) *k|uča* 10, 87, *k|učka* 97. Ciekawe jest to zmieszanie wyrazów *car|ok*—*hr|upka*—*k|uča*. Za pomocą ostatnich dwu nazw oznacza się zamykane wgłębienie pod piecem, które służy tym samym celom, co i osobna szafka: *k|uča* 41, 23, 11; *k|učka* 68, *k|učka zač|yńana* 40; *hr|upčyna* 67 i częste *hr|upka*. Jasne jest wobec takiego stanu rzeczy przeniesienie nazwy części pieca na szafkę. Zrozumiałe także się stanie to, skąd się bierze nazwa *k|uča*, za pomocą której normalnie określa się chlew na świnie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że na Huculszczyźnie *c|arok* oznacza ogrodzenie pod łóżkiem, koło pieca lub w kącie izby na młode jagnięta czy prosięta, a na pograniczu gwary huculskiej oznacza on także kojec na prosięta wiezione do miasta. Na tym tle jasne stanie się pomieszanie nazwy *car|ok* z wyrazem *k|uča*, oraz to, że znaczenie rzeczownika *car|ok* musiało dawniej być znacznie inne niż dzisiaj.

VIII. Uogólnienia i wnioski.

Gdy chodzi o wyznaczenie granic gwar wołyńskiej, podolskiej i naddniestrzańskiej, to musimy stwierdzić, że dokładne rozdzielenie ich od siebie napotyka wielkie trudności. Zacho-

dzi bowiem pytanie, którą z dialektycznych cech należy uważać za tak ważną, aby jej granicę utożsamić z zasięgiem danej gwary. Uznawanie jednej jakiejś właściwości za cechę wyróżniającą całą gwarę, jako oparte na ocenie indywidualnej badającego, jest zbyt subiektywne i niedokładne, bo pomija się przy tym inne właściwości, które są niejednokrotnie co najmniej równie ważne. Dlatego musimy zrezygnować z wyznaczenia granic poszczególnych gwar za pomocą jednej linii, a zrobimy to mniej dokładnie, przez wykreślanie pewnego pasa, na którym skupiają się granice kilku właściwości.

W ten sposób stosunkowo dokładnie można oddzielić od pn.-wschodniej strony gwarę naddniestrzańską. Za podstawę jej wyróżnienia weźmiemy szeroki od 5 mniej więcej do 30 km pas, na którym splatają się i biegną nieraz blisko przy sobie północne granice następujących właściwości: 1) przejścia *'a = ẏ* (izofona I, II 1); 2) linii braku nowego *l* epentetycznego (II 12); 3) końcówki instr. sg. f. *-oṷ* (II 8); 4) dyspalatalizowanej końcówki czasu przeszłego *-s, -smo, -ste* (II 11); 5) miękczenia spółgłosek przedniojęz. przez *i* (izofona II 13). Wszystkie te granice zbiegają się między Horodnicą 116 a Wasylkowcami 120, później rozchodzą się znacznie na boki, aby znowu skupić się dość silnie między Berezowicą 73 a Mikulińcami i następnie biegną dość zgodnie poprzez okolice Jezierny i Jarosławic 25. Północna przeto granica gwary naddniestrzańskiej ciągnie się od punktu powyżej Husiatyna ukośnie przez dolinę Seretu na przestrzeni Berezowica —Mikulińce i dalej przez Jeziernę i Jarosławice w kierunku północno-zachodnim — tak mniej więcej jak biegnie izofona odgraniczająca od pn.-wsch. przejście *'a = ẏ* (I, II 1).

O wiele natomiast trudniej jest wyznaczyć granicę gwary wołyńskiej. Obok bowiem dwu równoległych i dość gęstych skupień linii granicznych właściwości, wyróżniających tę gwarę, jeszcze dwie granice sięgają znacznie dalej na południe: końcówki *-oi̯u* i form typu *na zẏml'|i, dv́i v́ivć|i*. Jedno skupienie linii, oddzielające od północy całkiem zdecydowanie wszystkie cechy niewołyńskie, przebiega mniej więcej dawną granicą polityczną austriacko-rosyjską. Południowe granice wołyńskich: 1) dat. sg. m. *-evi* (II 20); 2) inf. *pekt|y* (II 21); 3) 3 os. sg. i pl. *-t'* (II 17); 4) futurum *budu xod|yty* (II 29 i 30); 5) suf. *-s'ko, -s'k'ẏi̯* (II 15) biegną prawie zgodnie ze sobą między Moskalówką 23, Wierzbowcem 20, Oleksińcem St. 9 i Łopuszną 2, leżących po stronie

północnej, a Hnilicami 42, Kobylą 15, Zagórzem k. Załoziec 7 i Popowcami 1, które leżą po południowej stronie tego skupienia. Linia zatem łącząca wsi Moskalówka 23, Wyżgródek 22, Oleksiniec 9 i Łopuszno 2 jest południową granicą czystej gwary wołyńskiej. Zaznacza się jednak jeszcze drugie, choć mniej, jak widzimy z mapy, zdecydowane, równoległe prawie skupienie niemniej ważnych cech, jak południowe granice: 1) suf. *-ec'* (II 14); 2) nagłosu *h-* (II 22 i 23); 3) form *na p|ol'i* (II 27); 4) form *na koňi* (II 26); 5) zaimka *śa* (I, 7, II 4, 5); 6) półpalat. *s', z', c'* (II 16); 7) skróconych zaimków *do sv|eii, t|eiu* (II 24); 8) palatalnego *s|yňii* (II 19); 9) dat. sg. n. *tyl|at'i* (II 28); 10) *pr|æsty* (I 11); 11) *drahl'|i* (I 15); 12) *hrad'|il* (I 16), z których jedne łączą się w swym zachodnim biegu z poprzednio wymienionym skupieniem (II 16, 19, 5, 14, 27), ale przeważnie tworzą drugie skupienie, które biegnie następująco: między Koszlakami 42 a Klimkowcami 43, na południe od Zbaraża włączając do swego terenu Czernichowce 35, skręca na północ ponad Nowiki 32 zbliżając się przez to bardzo do pierwszego skupienia, potem zwraca na zachód i przechodzi po południowej stronie Białogłów 28 oraz między Manajowem 12 a Markopolem 6. Nawet jednak ta dalej na południe wysunięta linia Koszlaki 42—Czernichowce 35—Bolizuby 16—Białogłowy 28—Markopol 6 nie zamyka w sobie wszystkich cech właściwych gwarze wołyńskiej. Dwie bowiem z nich, i to bardzo ważne, sięgają jeszcze dalej na południe: 1) granica końcówki instr. sg. f. *-oiu* (II 7), która włącza do wsi z wołyńskimi właściwościami Supranówkę 67, Kujdańce 63, Smykowce 58, Łozowę 54, Ostaszowce 47 i Hukałowce 24; i 2) bardziej swym kierunkiem zbliżona do granic innych cech gwary wołyńskiej linia odgraniczająca pd. zasiąg wymowy *na zyml'|i, dvi mołod|yći* (II 25), która na wschodzie wybiega poza linię II 7 (miejscowości 68, 87, 65, 62, 64), ale w zachodnim swym biegu łączy się z ostatnio omówionym skupieniem. Prawie równolegle z linią II 25 biegnie pd. granica *iis|yš, das|yš* (II 33).

Czysto wołyńska gwara sięga więc po linię Moskalówka—Wyżgródek—Oleksiniec. Granicę jednak tej gwary stanowi właściwie pas terenu między tą linią a zasięgiem wymowy *-oiu, na zýml'|i* tak samo, jak granicę gwary naddniestrzańskiej wyznacza pas ograniczony liniami II 11, 1, 6, 8, 12 i 13. Posługując się terminologią Małeckiego[1]) nazwalibyśmy gwary tych dwu pasów

[1]) Małecki, Do genezy gwar mieszanych i przejściowych. Sl. Oc. XII str 82.

„przejściowymi, które dane cechy rozwijają jednolicie według typu dialektu *a*, inne zaś według typu *b*“.

Gdybyśmy zaś chcieli schematycznie zaznaczyć granicę gwary wołyńskiej, to wykreślilibyśmy ją od Podwołoczysk do Jeziernej z silnym wygięciem ku południowi wzdłuż doliny Gniezny aż po Smykowce 58. Podstawą tego określenia będzie końcówka *-ołu* tak samo, jak izofona przejścia *'a — ý* jest schematyczną granicą gwary naddniestrzańskiej.

Wytyczone poprzednio dwa tereny stykają się na przestrzeni Jezierna—Jarosławice. Widzimy zatem nie tylko, że pasy stanowiące granice gwary wołyńskiej i naddniestrzańskiej są bardzo szerokie, lecz także, że stykają się ze sobą na terenie leżącym w północno-zachodniej stronie Jezierny.

Wskutek takiego rozmieszczenia dwu poprzednio omówionych gwar obszar gwary podolskiej, zaznaczonej na mapie Ziłynskiego jako przestrzeń między Seretem, Zbruczem, Dniestrem i linią Tarnopol—Zbaraż—Toki, skurczy się do terenu bardzo małego i charakterystycznego pod względem kształtu, bo wąskiego trójkątu między Husiatynem, Podwołoczyskami i Jezierną. Właściwie jednak, to nawet z zaliczeniem tego obszaru do gwary podolskiej mamy pewien kłopot. Odgranicza go wprawdzie od południa linia zachowania *'a*, która to właściwość jest cechą wyróżniającą gwarę podolską, ale widzieliśmy poprzednio, że ta zasada nie została przeprowadzona konsekwentnie, ponieważ spotykamy tutaj także takie formy, jak *pį|ýtnyća, pr|ysty, hr|etķa, šv|yta, tyl|ý*, a zatem przypuszczamy, że owo niepodolskie przejście *'a — ý* musiało sięgać znacznie dalej na północ. Te jednak mniej ważne odstępstwa od ogólnej zasady zachowania *'a* mogą nam co najwyżej nasunąć przypuszczenie, że gwara podolska ustaliła się na prawym brzegu Zbrucza dość późno, ale dzisiejszy jej teren musimy wyodrębnić zarówno od naddniestrzańskiej jak też od wołyńskiej głównie na tej podstawie, że nie ukazują się na nim właściwości wyróżniające te dwie gwary. Można by także przypuszczać, że w ogóle zachowanie *'a* nie jest tu podolskie, lecz jest najdalej na południe wysuniętym wpływem właściwości wołyńskiej, jednak sprzeciwia się temu to, że kierunek izofony I i II 1 przybiera wprawdzie w zachodniej swej części kierunek równoległy do innych granic wołyńskich, ale między Seretem a Zbruczem ukośny jej bieg wskazuje wyraźnie na działanie nie tylko od północy, lecz całkiem wyraźnie od wschodu, a więc od

Podola. Rzecz oczywista, że na oba wymienione poprzednio pasy gwar przejściowych zachodzą niektóre cechy właściwe gwarze podolskiej — na tym zresztą polega owa przejściowość.

Za północną granicę obszaru gwary podolskiej będziemy uważali izomorfę instr. sg. f. *ruk|om* nie tylko dlatego, że wspomniany trójkąt obszaru razem z powiatem trembowelskim wyróżnia się od innych gwar tą jedną z najbardziej odrębnych i charakterystycznych cech, lecz także dlatego, że tu wypada całkiem zdecydowane skupienie zasięgów wielu wołyńskich właściwości słownikowych. Ten trójkątny jednak obszar gwary podolskiej uszczuplają w okolicach jego wierzchołków koło Podwołoczysk i Husiatyna cechy: 1) wymowy *na zýml'|i, dúi úivći,* która wsi 68, 65, 87, 64, 62 i sąsiednie wlicza do pasa przejściowego, oraz 2) wymowy *b|ułysmo...*, która Pajówkę 99, Rasztowce 114, Horodnicę 116 wraz z miejscowościami sąsiednimi łączy z gwarą naddniestrzańską.

Wskutek tego teren gwary podolskiej bez żadnych na ogół cech wołyńskich i naddniestrzańskich przedstawia się nawet nie jako trójkąt, tylko wąski dość pas, który sięga od Iwanówki k. Sk. 97 do Kręciłowa nad Zbruczem, od Borek Wk. 60 do Grabowca 81 nad Gnieżną, oraz od Płotyczy 53 do Berezowicy Wk. 73 nad Seretem i ciągnie się aż po Jeziernę.

Nieco więcej światła na rozgraniczenie i podział gwar terenu objętego badaniami rzucają granice pewnych właściwości słownikowych. Tak np. na terenie gwary naddniestrzańskiej ukazują się nazwy: *h'yšķ'|ý* 'studzienina', *hr|upķa* na oznaczenie szafki, *z|arup* 'zapole', oraz wspólne z terenami północnymi *ķizłyny* i *nas|at*.

O wiele natomiast więcej izoleks skupia się na linii Podwołoczyska—Olejów 27, a więc w tym miejscu, które określiliśmy na podstawie izofon i izomorf jako południową granicę gwary wołyńskiej. Prawie zgodnie kończą się na tej linii południowe zasięgi następujących wyrazów: 1) *z|astoronoķ* 'zapole', 2) *hor|odnyķ* 'łopata', 3) *ķom|ar* na oznaczenie mrówki, a *param|ut, douhom|ut, ʒ́iń|ýģý...* na oznaczenie komara, 4) *łošķa,* 5) *ķizł|yny,* 6) *v|inyķ,* a nieco dalej na północ, razem z innymi skupieniami właściwości wołyńskich 7) *radn|o,* 8) *ķorž|an,* 9) *vidr|o* i *ķaz|an* i częściowo 10) *ćv|ilux.* Już choćby te pobieżnie wybrane izoleksy pozwalają nam zadecydować o tym, że do gwary wołyńskiej

raczej niż do innych należy cały pas przejściowy aż do linii Podwołoczyska—Jezierna.

I znowu, jak w poprzednich rozważaniach, pozostaje nam w środku długi pas, którego nie zaliczymy ani do gwary wołyńskiej ani naddniestrzańskiej, który określiliśmy jako teren gwary podolskiej.

Najciekawsze jednak jest to, że w północno-zachodnich terenach, tam gdzie właściwości gwary wołyńskiej rozdzielają się i jedno ich skupienie biegnie po wschodniej stronie Popowiec 1, inny zaś splot granic skupia się na południe od Załoziec, tzn. w okolicach Zborowa i na pn.-zach. od Załoziec wyodrębnia się na podstawie właściwości słownikowych zupełnie osobny i całkiem zdecydowanie odgraniczony od innych okolic teren gwarowy. Z branych dotychczas pod uwagę właściwości gramatycznych odgranicza go tylko zatrata liczby i rodzaju w futurum typu *bud|emo xod|yu̯, von|a bud|e pr|au̯* 5 (mapa II 31). Skupienie natomiast izoleks na terenie sięgającym swą wschodnią krawędzią po wsi Popowce 1, Zagórze 7, Założce 13, Jaryczowce 44 oddziela całkiem zdecydowanie obszar, który ciągnie się na pn.-zach. od tej linii. Mamy tam mianowicie takie, nie spotykane w zasadzie gdzie indziej na zbadanym terenie, właściwości słownikowe: a) *myčv|yd* ‘nietoperz’ 1, 2, 4, 6, 7; b) *pou̯x* ‘chomik’ 4, 6; c) *g|ai̯dy* ‘kartofle’ 25, 26, a także *barab|oi̯i* 12, 6, 4, 1, 2, 7, 8, 9; d) *nas|ad* ‘skręt’ 26, 25, 24, 12, *sḳrent* ‘dt.’ 4, 6, 7; e) *pod|enoḳ* ‘deska na wozie’ 26, 25, 24, 12, 6, 7, 4, 1, 2; f) *łop|atḳa* ‘łopata’ 44, 27, 12, 24, 25, 26; a także sięgającą znacznie dalej na wschód nazwę g) *ćv|ilux* ‘wełniana płachta kolorowa’.

Widzimy zatem, jak zasięgi pewnych właściwości słownikowych potwierdzają nasze rozgraniczenie gwar wołyńskiej i naddniestrzańskiej, a równocześnie pozwalają wydzielić jeszcze czwarty teren gwarowy, na razie dokładniej nie zbadany, w okolicach Zborowa i Załoziec, a zapewne ciągnący się także dalej na zachód. Te wnioski leksykologiczne mówią także, że pewne grupy gwarowe odpowiadają terenom różniącym się pod względem etnograficznym. Widocznie więc takie rozmieszczenie gwar na badanym terenie stoi w związku z tym, że zetknęły się tu pewne odrębne pod względem językowym i etnicznym grupy ludności. Na podstawie podanych przykładów z rozmieszczenia właściwości słownikowych trudno by było na razie mówić o pochodzeniu i pokrewieństwie tych grup etnicznych, ponieważ nie

wiemy dokładnie jak wielki obszar poza mapą zajmują te wyrazy i w których jeszcze okolicach one się ukazują. Łatwiej natomiast będzie nam to zrobić na podstawie innych cech językowych.

Uderza nas przede wszystkim to, że po zachodniej stronie Zbrucza i jego przedłużenia, tzn. granicy polsko-sowieckiej występują na zbadanym terenie te cechy gwarowe, które zalicza się do dialektów przydnieprzańskich. Mamy bowiem I na Wołyniu: a) półpalat. *s' z' c'*; b) dat. sg. m. *tkač|evi*; c) instr. sg. f. *ruk|oįu*; d) locat. sg. *na zýml'i, na k'inč|i, na p|ol'i*; e) 3 os. *x|odyt'*; f) suf. *-eć, -śko, -śk'ýi*; g) przymiotniki typu *s|yńii*; II nad Dniestrem zaś: h) *t'ik, šil*; i) *ł* średnie; j) *ŕ* miękkie; oraz na obu wymienionych terenach k) fut. z inf. *bud|u xod|yty*. Cechy te wskazują na pewne silniejsze i bezsprzeczne pokrewieństwo badanych terenów z gwarami przydnieprzańskimi.

Fakt ukazywania się dialektycznych cech wschodnio-ukraińskich daleko na zachodzie oraz rozdrobnienie dialektu zachodniego na kilka gwar można tłumaczyć za Ziłynskim[1]) tym, że na badanych przez nas terenach musiały zajść w dawnych czasach jakieś wielkie przesunięcia ludności, których powodem był napół plemion koczowniczych ze wschodu lub inne przyczyny polityczne, ekonomiczne, czy związane z przeludnieniem. W pewnych mianowicie czasach ludność Ukrainy znad Dniepru przesunęła się znacznie na zachód i częściowo odepchnęła autochtonów na północ i południe, częściowo zaś zmieszała się z nimi. Odbicie tych ruchów ludnościowych widzimy w ugrupowaniu oraz charakterze gwar ruskich. Z jednej bowiem strony mamy niewątpliwie pokrewieństwo między gwarami obszarów południowo-zachodnich a poleskimi, z drugiej zaś liczne gwary zachodnie wytworzyły się jakby ze zmieszania właściwości dialektu wschodniego i zachodniego.

Hancov twierdzi coś wręcz przeciwnego, a mianowicie, że gwary pd.-wschodnie powstały dość późno (w. XVI—XVIII) i to pod wpływem ruchów kolonizacyjnych z Polesia na pd.-wschód i z terenów pd.-zachodnich na wschód, ale bierze on pod uwagę przeważnie kolonizację będącą rezultatem pewnych procesów gospodarczych[2]).

---

[1]) J. Ziłynski, Małoruskie dialekty na Mapie Mosk. Kom. Dialekt. RS IX str. 237—8.

[2]) Vsevołod Hancov, Dialektolog. klasyfikacja ukr. hovoriv. Zap. Istor.-Filolog. Viddiłu Vseukr. Akademii Nauk. Kijów 1924. Kn. IV str. 133—4.

Tej rozbieżności zdań nie potrafimy rozstrzygnąć bez głębszych badań nad osadnictwem oraz pokrewieństwem etnicznym poszczególnych grup ludności ruskiej.

Abstrahując od dyskusji nad podziałem języka ukraińskiego na dialekty i gwary, musimy stwierdzić to, o czym wspominaliśmy już na początku, że dla nas będzie ważną rzeczą rozmieszczenie pewnych poszczególnych właściwości na całym terytorium językowym. Ważne to jest szczególnie na tym obszarze, którego gwary, ich charakter i ugrupowanie, nie są wynikiem jednolitego rozwoju, ale pomieszania odrębnych grup etnicznych.

Faktem jest, że wiele właściwości dialektu wschodniego sięga znacznie dalej na zachód od Zbrucza, omijając dość szeroką, a w każdym razie długą przestrzeń Podola począwszy od Bracławia. Północny pas gwar z cechami dialektycznymi pd.-wschodnimi sięga po linię Bohu i Bugu, południowy zaś wcina się równie daleko na zachód i także wąską smugą wzdłuż Dniestru aż po gwarę bojkowską. Należy więc przypuszczać, że przez te terytoria, które do dziś zachowują pewne przynajmniej cechy pokrewne gwarom nad Dnieprem, a więc przez południowy Wołyń i wzdłuż Dniestru posuwały się na zachód pewne grupy różniące się od tubylców pod względem etnicznym i językowym. Niektóre z cech wschodnich występują równocześnie na terenie wołyńskim i w dorzeczu Dniestru (np. wołyńskie i bojkowskie *-eć*; *-śḱyi̯; s' z' c*), inne natomiast ukazują się tylko na terenie wołyńskiego szlaku migracyjnego (*-t'*, *s|yńii̯*, *-evi*, *na zyml'|i...*), albo tylko wzdłuż Dniestru znaczą drogę ludów ze wschodnich połaci (*ŕ*, *ḻ*, *t'iḱ*, *ḱ*, *ǵ*). Niejednolite zachowanie cech dialektu wschodniego ne terenach obu szlaków migracyjnyah tłumaczy się tym, że każda z dwu grup dążących na zachód zetknęła się z różnymi gwarami i zależnie od tego niekoniecznie te same właściwości musiały się zatracić. Mimo zresztą tego niejednakowego, a ze zrozumiałych powodów niecałkowitego zachowania niektórych cech pd.-wschodnich oba wymienione pasy mają wspólną właściwość natury ogólniejszej, a mianowicie tendencję do zachowania palatalności, którą widzimy i na Wołyniu i w gwarach wzdłuż Dniestru (*-t'*, *-eć*, *-śḱo*, *-śḱyi*, *s|yńii̯*, *na zyml'|i*, *na p ol'i*, *na ḱoń|i*, *dvi mołod|yći*, *t'iḱ*, *śil*, *ŕ*, *ḻ*, *ḱ*, *ǵ*). Tendencja ta jest przeciwna zachodniej skłonności do dyspalatalizacji[1]) i jako właściwość uchodząca normalnie uwadze zacho-

---

[1]) J. Ziłynski, RS IX str. 241.

wała się najtrwalej na obu terenach, którymi przeciągał dialekt wschodni, nawet wtedy gdy inne cechy tego dialektu nie zdołały zwyciężyć i utrzymać się.

Objaśnienia do map.

Mapa I.

Linie oznaczają:

1 — pn.-wschodnią granicę wymiany *'a = ẙ* we wszystkich pozycjach (str. 7—9).

2 — pn.-wschodnią granicę wymiany *'a = ẙ* w środku wyrazów: *pi̯|ẙtnyća* (str. 9—10).

3 — północną granicę końcówki rzeczowników nijakich *-ẙ: tyl'|ẙ, žyt'|ẙ* (str. 11).

4 — południową granicę obszaru, na którym końcówka rzeczowników nijakich ma postać *-a: tyl|a, žyt'|a* (str. 11).

5 — obszar objęty liniami 4 i 5 a zakreskowany ukośnie od lewej ku prawej ma końcówkę rzeczowników nijakich *-ä, -ẽ, -æ: tyl|ä, łoš|ẽt'i, tyl|æat...* (str. 11—12).

6 — pn.-wschodni zasięg wymowy *śv|yto, mń|ẙso* (str. 12—13).

7 — południową granicę brzmienia zaimka zwrotnego jako *śa* (str. 13).

8 — pn.-wschodnią granicę obszaru, na którym obok *s'a* spotyka się *s'ā, s'æ, s'ẙ* (str. 13—14).

9 — obszar objęty liniami 8 i 9 (zakreskowany pionowo) ma oboczność *s'a* ‖ *s'ẙ, s'ẙ* (str. 14).

10 — południowy zasięg wymowy *ra: pr|adivo, prad|ut, hr|atka* (str. 15).

11 — pn.-wschodnią izofonę wymowy *re: pr|esty, hr|etka* (obszar pasa tej wymowy zamyka się między liniami 11 i 12) (str. 15).

12 — pn.-wschodnią granicę wymowy *ry: hr|ytka, pr|ydivo, pryd|ut* (str. 15).

13 — obszar między liniami 10 i 11 (zakreskowany ukośnie od prawej ku lewej) ma wymowę *rä, ræ, rẽ: hr|ætka, hr|ẽtka, pr|ästy,* lub oboczność *hretka* ‖ *hratka* (str. 17).

14 — pn.-wschodnią granicę wymowy *pr|yi̯divo, pr|yi̯sty, pryi̯d|ut* (= przędą) (str. 15).

15 — pn.-wschodnią granicę wymowy *dryhl'|i* (str. 16).

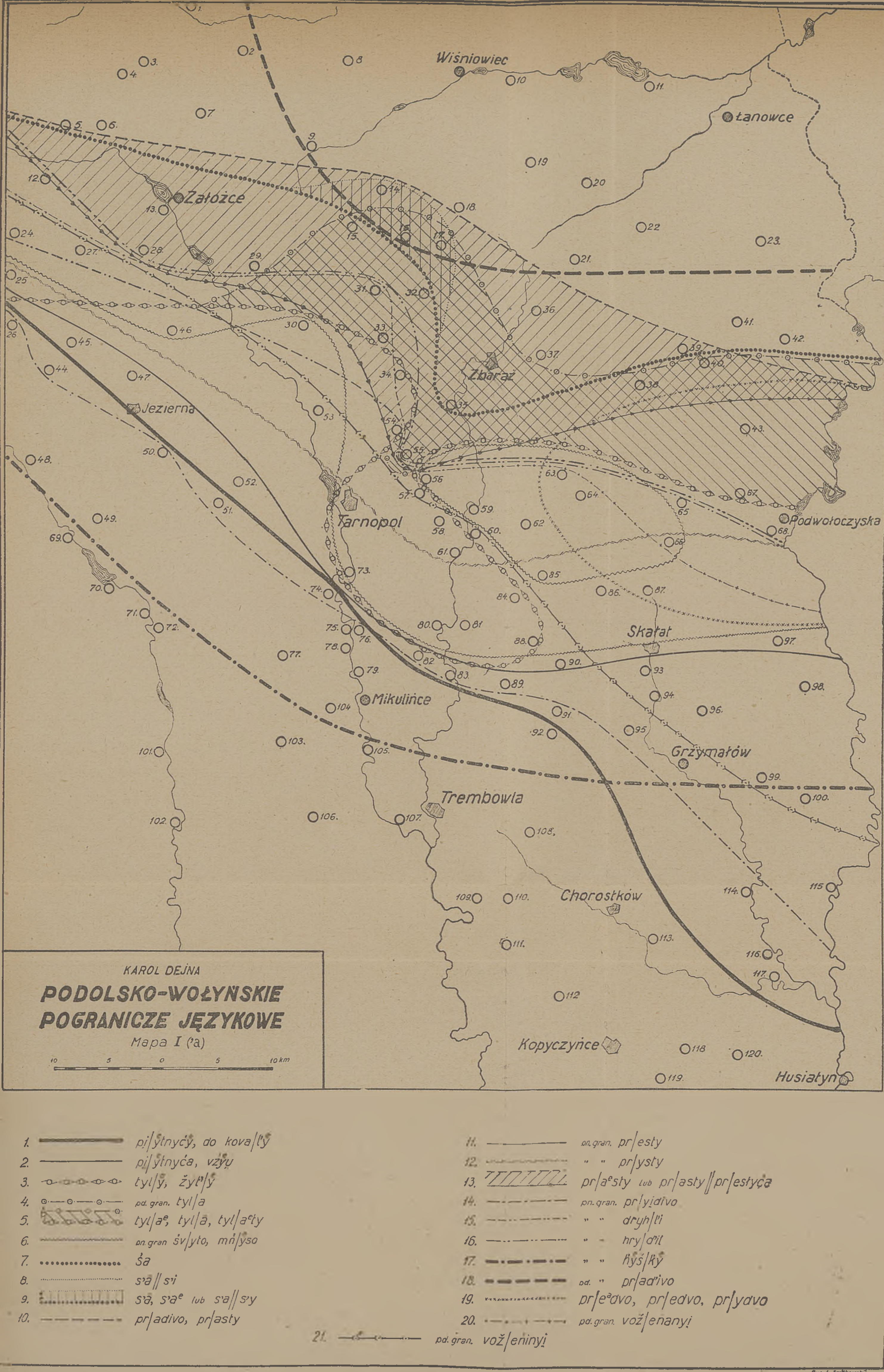
16 — pn.-wschodnią granicę wymowy *hryd'|il* (str. 16).

17 — północny zasiąg wyrau *h'ÿšķ'|ÿ* (str. 39).
18 — pd.-zachodnią granicę miękkiego *pr|ad'ivo, pr|æd'ivo* (str. 16).
19 — południową, zachodnią i północną granicę zaniku *i* w *pr|ēdvo, pr|edvo, pr|ydvo* (str. 16).
20 — pd.-zachodnią granicę *vož|eńanyį*.
21 — pd.-zachodnią granicę wymowy *vož eńinyį*.

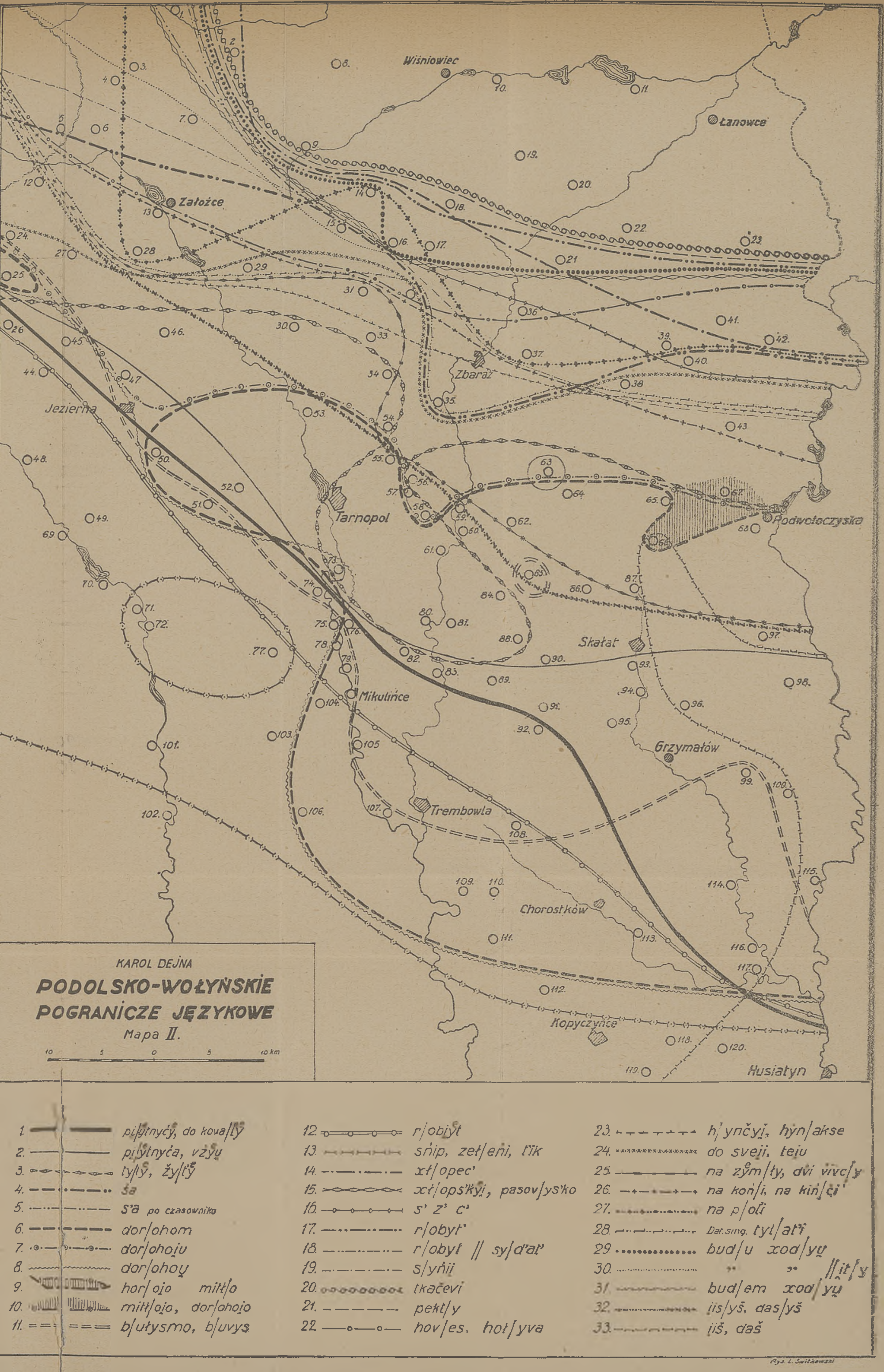
Mapa II.

Linie oznaczają:

1 — pn.-wschodnią granicę wymiany *'a = ÿ* we wszystkich pozycjach (str. 7—9).
2 — pn.-wschodnią granicę wymiany *'a = ÿ* w środku wyrazu: *pį|ÿtnyća* (str. 9—10).
3 — północną granicę końcówki rzeczowników nijakich *-ÿ*: *tyl|ÿ, žyt'|ÿ* (str. 11).
4 — południową granicę brzmienia zaimka zwrotnego jako *śa* (str. 13).
5 — pd.-zachodnią granicę występowania zaimka *śa* po czasownikach: *r|obyc's'a* (str. 14).
6 — północną, zachodnią i południową izomorfę końcówki instr. sg. f. *-om: tom dor|ohom, z m|amom* (str. 20—26).
7 — południową granicę końcówki instr. sg. f. *-oįu: toįu dor|ohoįu, z m|amoįu* (str. 20—26).
8 — pd.-wschodnią granicę końcówki instr. sg. f. *-oų: toų dor|ohoų, z m|amoų* (str. 20—26).
9 — obszar, który ma wymowę instr. sg. f. *hor|oįo, mitł o* (str. 25).
10 — obszar, który ma wymowę instr. sg. f. *mitł|oįo, dor ohoįo* (str. 25).
11 — pn.-wschodnią granicę twardego *s* w końcówkach czasu przeszłego czasowników: *b|uvys, b|ułysmo, b|ułysty, d|esty xod|yły* (str. 19).
12 — pn.-wschodnią granicę braku nowego *l* epentetycznego: *r|obįÿt, l|ubįu* (str. 18—19).
13 — północną granicę silniejszego miękczenia spółgłosek przedniojęzykowo-zębowych przed *i: t'iķ, śil, śńip, zeł|eńi, u š|esti* (str. 26—27).
14 — pd.-zachodnią granicę miękkiego suf. *-eć: x|łopeć* (str. 29).
15 — pd.-zachodnią granicę miękkich suf. *-s'ķo, -s'ķ'ÿį, -c'ķ'ÿį: vuž|ys'ķo, xł|ops'ķ'ÿį, muž yc'ķ'ÿį* (str. 29—30).



KAROL DEJNA
PODOLSKO-WOŁYŃSKIE POGRANICZE JĘZYKOWE
Mapa I
10 5 0 5 10 km
Wiśniowiec
Łanowce
Załoźce
Zbaraż
Jezierna
Tarnopol
Podwołoczyska
Skałat
Mikulińce
Grzymałów
Trembowla
Chorostków
Kopyczyńce
Husiatyn
Rys. L. Świtkowski


KAROL DEJNA
PODOLSKO-WOŁYŃSKIE
POGRANICZE JĘZYKOWE
Mapa II.
10 5 0 5 10 km
Wiśniowiec
Łanowce
Założce
Zbaraż
Jezierna
Tarnopol
Podwołoczyska
Skałat
Mikulińce
Grzymałów
Trembowla
Chorostków
Kopyczyńce
Husiatyn
1. pi/ytnycy, do kova/ly
2. pi/ytnyća, vžyu
3. ty/ly, žy/ty
4. śa
5. s'a po czasownika
6. dor/ohom
7. dor/ohoju
8. dor/ohoy
9. hor/ojo mitł/o
10. mitł/ojo, dor/ohojo
11. b/ułysmo, b/uvys
12. r/objyt
13. sńip, zeł/eńi, ťik
14. xł/opec'
15. xł/ops'kyj, pasov/ys'ko
16. s' z' c'
17. r/obyt'
18. r/obyt // sy/d'at'
19. s/yńii
20. tkačevi
21. pekt/y
22. hov/es. hoł/yva
23. h/ynčyj, hyn/akse
24. do sveji, teju
25. na zym/ły, dvi vivc/y
26. na koń/i, na kiń/ci
27. na p/oli
28. Dat. sing. tyl/at'i
29. bud/u xod/yu
30. " " //it/y
31. bud/em xod/yu
32. jis/yš, das/yš
33. jiš, daš
Rys. L. Switkowski

16 — pd.-zachodnią granicę dorsalno-koronalnej palatalizacji *s'*, *z'*, *c'* (str. 34—35).
17 — pd.-zachodnią granicę miękkiego *-t'* w końcówkach 3 os. sg. i pl. czasu teraźniejszego: *r|obyt'*, *r|oblat'* (str. 28).
18 — południową granicę obocznych końcówek *-t'* ‖ *-t*: *robyt syd'|at'* (obszar tej właściwości sięga na pn.-wschodzie po linię 17) (str. 28).
19 — pd.-zachodnią granicę miękkiego przymiotnika *s|yńii*, *ž|ytńii*, *t|ańa* (str. 30).
20 — pd.-zachodnią granicę końcówki dat. sg. m. *-evi*: *tkač|evi*, *xł|opcevi* (str. 30).
21 — pd.-zachodnią granicę infinitivu *pekt|y* (str. 35).
22 — południową granicę nagłosowego *h-*: *hov|es*, *hoł|yva*, *hol'|ii* (str. 36).
23 — południową granicę nagłosowego *h-* w wyrazach *h|ynčyi* i *hyn|akše* (str. 36).
24 — pd.-zachodnią granicę skróconych zaimków *m|eii* (= genet. sg.), *do sv|eii*, *teiu* (str. 35—36).
25 — pn.-wschodnią granicę końcówek locat. sg. f.: *na zymł|y* i dualu *'a* deklinacji: *dvi mołod|ycy* (na północ i wschód od tej linii mówi się *na zyml'|i*, *dvi mołod|yći* (str. 32—34).
26 — pd.-zachodnią granicę brzmienia końcówki locat. sg. m. jako *-i*: *na koń|i*, *na kinč|i* (str. 31).
27 — pd.-zachodnią granicę końcówki locat. sg. n. w postaci *-i*: *na p|ol'i* (na południe i zachód od tej linii mówi się *na p|olu*, *na podv|iru*) (str. 31).
28 — pd.-zachodnią granicę dat. sg. n. *tyl|at'i* (na pozostałych obszarach: *tyl|et'u* lub *tyl|ytu*) (str. 37—38).
29 — pn.-wschodnią granicę futurum tworzonego przy pomocy imiesłowu: *bud|u xod|yu* (str. 36—37).
30 — pd.-zachodni zasiąg oboczności *bud|u xodyu* ‖ *bud|u it|y* (obszar tej właściwości zamyka się między liniami 29 i 30) (str. 36—37).
31 — wschodnią granicę futurum, które tworzy się dla wszystkich rodzajów, osób i liczb za pomocą imiesłowu rodzaju męskiego liczby pojedynczej: *bud|u robl|yu*, *bud|emo pyu*, *von|a bud|e pr|au* (str. 37).
32 — pod.-zachodnią granicę form *iis|yš*, *das|yš* (str. 38).
33 — północną i zachodnią granicę form *iiš*, *daš* (str. 38).

SPITTAL STANISŁAW, Założce.

Lecznictwo ludowe w Założcach i okolicy.

MATERIAŁY DOTYCZĄCE SPOSOBÓW LECZENIA, ZIELARSTWA, WIERZEŃ, ZABOBONÓW i ZNACHORSTWA.

Od Redakcji: Poczuwamy się do obowiązku w kilku bodaj słowach bliżej żapoznać Czytelników z osobą Autora i warunkami, w jakich powstała obecna jego praca. Pochodzi on z Załoziec, spędził tam swoje lata młodzieńcze i tam też od lat kilku pracuje jako wolnopraktykujący lekarz; a tylko służba wojskowa oderwała go od miejsca rodzinnego w latach 1914—32. Założce miasteczko liczące zaledwie 7.000 mieszkańców są o 26 km oddalone od najbliższej stacji kolejowej i prócz sądu grodzkiego oraz 7-klasowej szkoły nie posiadają żadnego ważnieiszego urzędu państwowego. W takim to środowisku małomiasteczkowym pracuje dr. Stanisław Spittal z zapałem i miłością godną naśladowania nad podniesieniem jego kultury organizując odczyty i wystawy, a równocześnie gromadzi tam zbiory muzealne i sam poświęca się studiom naukowym, badając przeszłość Załoziec i kulturę ludu okolicznego. Zaufanie, jakie sobie zdobył u ludu, pozwoliły mu dotrzeć do wielu zazdrośnie lub wstydliwie strzeżonych tajemnic i dzięki temu właśnie jego materiały z zakresu medycyny ludowej są bardzo cennym dorobkiem naszej etnografii. W maszynopisie nadesłanym przez dr. Spittala Redakcja wprowadziła za zgodą Autora odmienny nieco układ materiału i drobne zmiany formalne.

I. Rozdział wstępny.

OD AUTORA

Praca niniejsza powstała z zapisków etnograficznych zbieranych od roku 1907 na terenie Załoziec i wsi okolicznych, rozsypanych dokoła miasteczka w promieniu do 17 km. Są to obok Nowych i Starych Załoziec, na południe od nich w dolinie Seretu leżące Reniów (3 km) i Wertełka (7 km), na zachód od tych ostatnich w dolinie Łopuszanki Neterpińce (8 km) i Białogłowy (8 km), a dalej przy szosie zborowskiej Olejów (12 km) i nieco na uboczu położony Trościaniec Wk. (9 km); w północnej stronie zbadałem Czystopady (3 km), Ratyszcze (8 km), Zwyżyń (12 km), Markopol (17 km), osady związane z Seretem i jego dopływami, przy szosie brodzkiej Podbereżce (7 km) i pobliskie Kołtuny (6 km), a od strony granicy wojew. wołyńskiego Seretec (7 km), Zagórze (9 km), Gaje za Rudą (4 km), Gaje Roztockie ($2^1/_2$ km), Blich (3 km), Milno (8 km), Gontowę (13 km), wreszcie Mszaniec (11 km) przy szosie tarnopolskiej. Łącznie zatem badaniami objęto dwadzieścia dwie miejscowości. Jest to teren narodowościowo mieszany, o najróżnorodniejszej kulturze i cywilizacji, gdzie mamy okno na świat i świat deskami zabity, może więc ten materiał etnograficzny będzie tym ciekawszy.

Zbierając zapiski, starałem się usilnie, by dać materiał możliwie duży i wierny, bo z pierwszej ręki. Publikuję go w stanie surowym dla możliwego kiedyś naukowego opracowania przez fachowych etnografów i etnologów; do fachowego wyzyskania tego surowca nie mam żadnych pretensyj. Wiem tak ja, jak i każdy doskonale, że nie jest to jednak materiał zupełny wyczerpujący całkowicie zagadnienie, że wiele jeszcze uzupełnień i dodatków czynić będzie należało, bo lud nasz skrycie wypełnia swoje zabobony i nieufnie odnosi się do inteligencji przypadkowo tylko zdradzając się przed nią z swych wierzeń i przesądów. Jedynym moim pragnieniem było ocalenie tego bądź co bądź cennego, jakby archiwalnego materiału dla przyszłości. I jeśli mi się to udało, już jestem sowicie wynagrodzony.

Nie mogę jednak na tym miejscu pominąć milczeniem tego jednego, bardzo ważnego pewnika, że medycyna ludowa poza specjalnościami regionalnymi ma bardzo wiele cech wspólnych różnym narodowościom, a nawet bardzo rozległym terytoriom zupełnie odrębnym kulturą, cywilizacją, wiarą i językiem, co dowodzi, że część najpierwotniejsza, rdzeń samej medycyny ludowej, jest wspólny dla pierwotnej cywilizacji. Przekonałem się o tym naocznie w czasie mych wędrówek przez kraje słowiańskie, węgierskie, niemieckie i włoskie. W pracy niniejszej postaram się jednak unikać porównań, zwłaszcza w części szczegółowej i ograniczę się jedynie do wycinka okolicy załozieckiej, bo niniejsza praca jako regionalna i raczej zbiór materiału ludoznawczego musi się zamknąć w ramach niewielkich.

Mimo nowych zasad nauczania i nowych programów szkolnych, podstawowa nauka o zdrowiu ludzkim, h i g i e n a, jest jeszcze i teraz po macoszemu traktowana. Trudno bowiem wymagać od nauczyciela, obowiązanego do opanowania wszystkich wiadomości programem objętych, celem przelewania ich potem w ciemne głowiny dziatwy wiejskiej, żeby przy częstej zmianie programów i systemów, których poznanie zajmuje mu sporo czasu, oraz poza wypełnianiem swych ciężkich obowiązków w warunkach nieraz urągających zasadom higieny znalazł jeszcze dość czasu, by samemu te zasady należycie zgłębić, a potem dalej je propagować. Zresztą, co mówić o higienie w szkole, gdzie nie ma podłogi, a 50 par bosych stóp szurających po klepisku wznosi tumany kurzu, gdzie dzieci spluwają pod ławki i plwocinę rozcierają nogami? Czy same słowa skutek odniosą?

A poza tym dom, tj. chata wiejska, której tutaj opisywać nie myślę, bo chyba dobrze jest znaną wszystkim z ich rodzinnych okolic, czy nawet w kilku procentach odpowiada choćby prymitywnym warunkom higieny? Często urąga ona całej wiedzy o zdrowiu i jak na ironię chlubi się tym właśnie, że w niej nie gnieździ się zaraza, tylko ludzie są zdrowi. *Człowiek nie wie, z czego tyje,* więc zjada się kawałki strawy, które spadły na ziemię, zdmuchnąwszy tylko chleb i pocałowawszy po podniesieniu z ziemi, by się za to nie obraził. A mięszanie ze sobą wprost niemożliwe wszelkich gatunków strawy np. słodkiego mleka z kwaśnymi ogórkami itd., czyż nie dowodzi wprost strusiego żołądka, gdy po tym wszystkim jest się nadal zdro-

wym? Jak wyglądałoby w tych warunkach kazanie o higienie? Słuchanoby go spokojnie wyszydzając w myślach.

By mówić o higienie, trzeba wpierw umysły ludu przygotować do jej zrozumienia i zastosowania się do niej. Tymczasem praca to syzyfowa. Nic dziwnego, że na takim tle bujnie wykwitają kwiaty medycyny ludowej i jej propagatorzy. Każdy wieśniak — to lekarz dla siebie, swoich oraz sąsiadów; im starszy, tym pewniejszy i światlejszy fachowiec. Z rąk takiego lekarza chory dostaje się do rąk specjalisty—znachora w spódnicy lub spodniach, bo ta plaga ludności wiejskiej jest obupłciową. Im wierzy się bardziej, niż właściwemu lekarzowi, chociaż ta wiara jest połączoną z największym niebezpieczeństwem, bo możliwością utraty życia. Jedni znachorzy są stale osiadli i znani w rozległym promieniu w całej okolicy, drudzy — to szarlatani wędrujący. I ci właśnie mają liczniejszą klientelę, bo przecież wszystko — co nowe pociąga. Ci to znachorzy są przyczyną krzewienia się wszelkich epidemij, przyczyną śmierci całych rzesz ludności wiejskiej[1]). A poza tym przyjęło się dzisiaj jako coś nagminnie zaraźliwego leczenie się z gazety i z nasyłanych masowo przez firmy — przeważnie zagraniczne — prospektów, polecających na wszystkie niedomagania cudownie działające pigułki, przesyłane łatwowiernym za drogie pieniądze.

W każdej wsi i dzisiaj znaleźć można tzw. *baby-babki*, coś niby akuszerki, niby lekarki. Stawiają one bańki, robią lewatywy, sporządzają specjalne maści i cudowne plastry, a przy tym są fabryką sztucznych poronień u dziewcząt i mężatek wiejskich, gdy mąż wyjedzie do Ameryki, czy Francji na zarobek, a w domu przypadek się przytrafi. Ile z ich pacjentek spogląda na nie z tamtego świata, wiedzą tylko one, no i czasem częściowo dowiaduje się sąd, gdy sprawka ta do niego przypadkowo się dostanie. Baby — to specjalistki chorób kobiecych i dziecięcych. Są to zazwyczaj kobiety starsze, które na każdą chorobę lekarstwo znaleźć umieją. Gdy choroba już się rozwinęła, leczą ją;

[1]) Dzisiaj można spokojnie zacytować słowa z dziełka: O oszustach y lekarzach nieumiejętnych, Warszawa 1773, str. 244, które mówią: „o pladze — która więcey szkody przynosi niżeli wszystkie choroby, y póki ta znaydować się będzie, niepożytecznemi uczyni wszystkie sposoby, których się zażywa dla zachowania narodu ludzkiego" — z powodu — „zdradliwych bez umiejętności lekarzów po wsiach, tak mężczyzn, iako y niewiast, którzy kray nieznacznie z mieszkańców ogałacają".

gdy dopiero spodziewają się jej wystąpienia, lub kiedy zachodzi obawa zakażenia się, zażegnać ją potrafią. Przy odbieraniu dziecka zawsze są czynne i dobrze płacone naturaliami. Ich specjalnością jest leczenie róży, odczynianie uroków, ścinanie *zagniecicy*. One przygotować umieją i napój miłosny. Toteż w zdolności lekarskie baby żaden z wieśniaków nie odważy się wątpić. Co ona zaordynuje, najskrupulatniej wypełnia. A że baba jest zazwyczaj z tej samej wsi, zna doskonale usposobienie każdego i stosunki finansowe, wie, co każdemu radzić, by mu to przypadło do gustu i wie, czego ma żądać za oddaną przysługę. Np. Mikołaj S., który nie bardzo spieszył się do pracy, a uważał się za chorego, kiedy kilku jednakże lekarzy, u których był o poradę, nie mogło znaleźć u niego choroby, udał się do baby. Dopiero ta orzekła, że jego choroba jest ciężka, ale ukryta, chory winien przez pół roku tylko dobrze i tłusto jeść nic nie robiąc, a wyzdrowieje. Pacjent, nadzwyczaj zadowolony z recepty, dla pewności cały rok nic nie robił i spasł się niemożliwie. Opowiadał zawsze, że baba mu zdrowie uratowała i odrazu mu powiedziała, co ma robić, podczas gdy żaden lekarz nie poznał się na jego chorobie.

Obok bab stoją *umiejący mężczyźni*—znachorzy, specjaliści chorób wewnętrznych. Ci na wszystkie dolegliwości dają zioła, cudowne maści i wódkę. W maściach jest i borsuczy smalec i komarowe sadło i wątroba z nietoperza i proszek z żaby rozduszonej przez koło przejeżdżającego wozu i tłuszcz z miętusa, czasem kocie i sowie oczy i kamyczki z raka.

Dalej prawie każdy kowal wiejski — to specjalista-dentysta. Rwie zęby sznurkiem, struną czy małymi obcęgami do gwoździ, zwykle zardzewiałymi i oblepionymi zaschłą krwią poprzednich ofiar zabiegu dentystycznego, na znak znakomitej techniki z powodu swej rozległej praktyki. Czasami zamiast bolącego wyjmie on ząb zdrowy, czasem przez fenomenalny chwyt odrazu dwa zęby, chory i zdrowy. Nie zraża to jednak bynajmniej niektórych zacofańców, którzy wyłącznie takim właśnie „dentystom“ dają sobie zęby wyrywać. A rwą oni zęby struną lub sznureczkiem dość pomysłowo. Jeden np. wyprowadzał delikwenta na strych szopy, przywiązał chory ząb sznurkiem, którego drugi koniec wiązał do belki dachowej. Chorego stawiał na drzwiach ruchomych, pod którymi była kupa słomy. Na znak dany stuknięciem pomocnik otwierał drzwi. Stojący na nich spadał w dół, przy czym ząb siłą upadku wyrwany zawisał w po-

wietrzu. Drugi nie bawił się w taki skomplikowany sposób. Uwiązywał silną strunę do zęba, a drugi jej koniec do kowadła. Następnie wziąwszy rozpalone do czerwoności obcęgi zbliżał je nagłym ruchem do twarzy pacjenta. Ten przerażony odruchowo cofał szybko głowę w tył, a ząb sam wychodził ze zbolałej szczęki. Zapewne podobnych sposobów wyjmowania zębów jest o wiele więcej, bo każdy z tych specjalistów wiejskich ma swoją własną, choć nie opatentowaną metodę.

Poza tym wszędzie jest jakiś składacz złamanych kości. W okolicy założieckiej, a w szczególności w Milnie i w Palikrowach są zdolni naprawdę w swoim zawodzie i to z dziada pradziada pracujący w tym fachu chirurgowie-specjaliści w składaniu złamanych kości i nastawianiu zwichnięć, tzw. *Kromciowie,* od nazwiska rodowego Krompiec. Do nich zjeżdżają się wszyscy ze złamaniami i zwichnięciami z szerokiej okolicy nawet nie myśląc o tym, żeby zaglądnąć do lekarza, choć i ten przecież przypadkowo na tym się rozumieć musi. Wymienieni są jednak naprawdę użyteczni, a jako pomocnicy lekarza w tym specjalnie fachu doskonali.

Dalej należą tu wszyscy fryzjerzy i golibrody po miasteczkach, jako tzw. cyrulicy *(cyluryk).* Są to nieraz „sławy lekarskie". Gniewają się nawet na chorego, gdy lekarz poszle go do nich, celem postawienia baniek, czy zrobienia lewatywy, że ten wpierw u nich nie był do zbadania, tylko bardziej zaufał lekarzowi. Ci nawet piszą recepty do miejscowej apteki: np. *primadonny 2 (dwa) gramy,* zamiast *pyramidoni 2 o.* Prócz tego wydają leki w domu, z własnej apteczki, w formie proszków, pastylek, nacierań itd.

Przy nich na tej samej płaszczyźnie można postawić i akuszerki, które ludność wiejska tytułuje *lekarkami,* a które również prowadzą ambulatoria, handlują lekarstwami, a nawet potrafią przetrzymywać u siebie chore po zabiegach przez siebie wykonanych, coś jakby w sanatoriach.

Jest jeszcze u nas i klasztor z fachową siostrą infirmerką, są i księża, którzy czasem nawet przez rok czy dwa uczęszczali na medycynę. Ci także od czasu do czasu w sprawach mniejszej wagi, a w każdym razie nieszkodliwie udzielają z dobrego serca rad chorym.

Pozostaje jeszcze jakby korona pomocników lekarskich, siła najbardziej fachowa, zazwyczaj starej daty aptekarz, magister

farmacji. Ten oszczędza choremu potrzeby poddawania się badaniu przez lekarza, bo sam to nawet czasem robi i sam podług własnego mniemania wydaje najlepsze środki, choć bynajmniej nie najtańsze, na każdą chorobę; bądź co bądź zawsze lepsze środki, niż doktor by zapisał, w dodatku, gdy ten jest jeszcze młody, bo cóż, na rany boskie, młody może umieć? I w ten sposób pomaga pan aptekarz cierpiącym rzeszom, jako dobroczyńca ludzkości.

Czyż przy takich stosunkach i w takich warunkach można mówić o zorganizowanej i systematycznej walce z chorobami, z przesądem, z kuriozami medycyny ludowej? Trud to nad siły nawet giganta.

POJĘCIE CHOROBY i JEJ PRZYCZYNY

Samo pojęcie choroby u naszego ludu, podobnie jak i u innych ludów, a raczej w medycynie ludowej w ogóle, nie jest czymś oderwanym, jakąś abstrakcją, tylko sprowadza się do czegoś realnego, że tak się wyrażę, do czegoś namacalnego. Bo przecież sama choroba, która jest aż nazbyt widoczną przez swoje objawy i następstwa, jest czymś realnym, rzeczywistym, prostym. Przyczyny powstawania chorób, są tak samo bardziej lub mniej znane, ale zawsze w pojęciu ludowym są to realne powody w zupełności uchwytne dla sposobu i logiki myślenia ludowego.

Sam proces chorobowy, z powodu braku prymitywnej choćby znajomości wewnętrznej budowy ustroju ludzkiego i jego prawdziwych czynności, nie może znaleźć u ludu właściwego, fachowego wytłumaczenia jako przebieg zaburzeń funkcyjnych mniejszej lub większej liczby organów, na tym czy innym tle, z takiego czy innego powodu, lecz musi się wiązać z przyczyną dla ludu uchwytną, a przez tradycję wieków uświęconą. Nic więc dziwnego, że w pojęciu ludowym, c h o r o b a — t o w r ó g czyhający na zdrowie człowieka, wróg nasłany z zewnątrz, z innego często świata. Choroba — to d u c h, postać demoniczna, niewidzialna a potężna, która bierze kogoś podstępnie w swą moc i stara się utrzymać ofiarę w swych łapach jak najdłużej, by wyssać z niej wszystkie dobre soki wywołując przy tym przeróżne dolegliwości. Choroba siedzi w chorym spokojnie, gdy ten jej się nie opiera i niszczy jego organizm, lecz gdy chory z nią walczy, zachowuje się czasem hałaśliwie, ryczy, krzyczy, mocuje się z chorym, rzuca się z nim razem w górę, wyskakuje z łóżka,

mówi coś przez usta chorego bądź obcym głosem, bądź niezrozumiałym językiem, lub językiem nawet potocznym, ale niezrozumiale dla otoczenia (podczas bredzenia czy majaczeń gorączkowych chorego).

Choroba — to osobistość może nawet kapryśna, czasem potworna i niemiłosierna, to istota, którą chory widzi jako smoka jakiegoś czy potwora, półczłowieka-półzwierzę o kilku nieraz głowach (rozumie się, w swych majaczeniach). Choroba zresztą może przybrać na siebie postać nawet człowieka wroga chorego, żaby, robaka, może dusić jako zmora piersi, wiercić w sercu, wypijać, czy wysysać krew itd. Może także jako bezpostaciowa, niewidzialna, przedstawiać się na zewnątrz tylko w objawach chorobowych.

To pojęcie choroby jako obcego złego ducha, najdobitniej ilustrują same wyrażenia ludowe: *wlazła w niego choroba, jak zmęczony oraniem położył się i zasnął; jak napił się wody do smaku; jak go zawiało, owiało; teraz choroba chodzi po wsi; choroba chodzi po ludziach, a nie po lesie; złapała go choroba; chwyciła go choroba; choroba... mordowała go, tłukła; trzęsło go, mroziło, jeść mu nie dawało; lekarstwo tak zbrzydziło chorobę, że wyszła z niego, opuściła go; mocował się z chorobą, bo silny chłop, ale go taki z nóg zwaliła; obsypało go krostami*; *bodajby cię choroba wzięła*; *bodajby cię szlag trafił*; *choroba gada przez chorego* i t. p. Zawsze było to coś, co wlazło i wyczyniało z chorym różne historie.

Z tego to powodu chorobę można zbrzydzić, przestraszyć, skaleczyć, czy zranić, zakopać, zaszczepić, lub dogadzając jej przebłagać i zniewolić do opuszczenia ciała chorego.

Chorobę mogą nasłać zawistni, a *znający* ludzie, zły duch, może ona spaść na człowieka z dopustu Bożego jako kara za popełnione winy, za grzechy czy bezprawia, lub jako pokuta zesłana już w tym życiu na grzesznika, a zarazem jako znak sprawiedliwości Bożej i przestroga dla innych. Poza tym chorobę można wywołać wypowiedziawszy coś *w taką chwilę*, czy *w złą godzinę*, nawet gdy się dane słowa sprecyzuje tylko w myśli. *Można w myśli mówić takie słowa* tym więcej, że można ją wywołać zupełnie bezwiednie i bezwolnie, bez złej właściwie myśli. Bo są już takie fatalne chwile, że wszystko, co się w czasie ich trwania pomyśli czy wypowie, a zwłaszcza w złości, spełnia się.

I na tym tle słyszy się na każdym prawie kroku mnóstwo legend i rzekomo prawdziwych opowieści: o zapadłych kościołach, skamieniałych osobach itp. Toteż opowiadając o chorobie, czy jakimś nieszczęściu, zastrzegają się przed wypowiedzeniem złego słowa (żeby odczynić urok, albo chwilę taką, która spełnia nasze powiedzenie) mówiąc wpierw: *nie przy nas wspominając, nie wypowiadając się przy tym chlewie, nie mówiąc przy tej chudobie, w tej chacie*, a jeszcze w dodatku opisując przeważnie chorobę inną nazwą, jakby pseudonimem ogólnie znanym i przyjętym, mówiąc zamiast *suchoty — ta nędza, suche drzewo w piecu (suchi drowa w piecu)*; cholerę nazywając *zarazą*, zimnicę *ciocią, traścia*, dodając jeszcze często jakby dla większego uszanowania *z przeproszeniem*. Mówią więc: *nie wspominając przy nas i tej rodzinie w tej chacie, ale Jaśko Maryny Frankowej dostał z przeproszeniem tej nędzy*, lub: *nie mówiąc przy tej chudobie i przy tym chlewie, ale u Michała Jankowego, tfu (pfu), krowa się z przeproszeniem wypękła przy cielęciu*, lub: *ne pry nas zhadujuczy i z pereproszeniom, suchi drowa w piecu, czepyła sia jeho ta nużda.*

Bo o nieszczęście przecież nie trudno, a lud nasz jest bardzo egoistyczny i materialistyczny. Nieszczęście zaś chodzi obok nas niewidzialne i niczym lew biblijny czyha na nasze zdrowie i majątek. Już w ostateczności z dopustem Bożym, czy wolą Bożą, jakoś tam można by sobie poradzić. Boga można przeprosić, przebłagać przez żarliwą modlitwę, post w pewne dnie przez czas krótszy czy dłuższy, kupienie paru świec *(światła)* do ołtarza, spowiedź, danie na mszę św. raz, czy więcej razy, a już najpewniej po spowiedzi w czasie odpustu w cudownym miejscu, jak Milatyn czy Podkamień k. Brodów, gorzej jednak, gdy sprawa z diabłem. To już więcej kosztuje. Bo trzeba wszystko robić, aby zabiegać o pomoc boską, jak wyżej nadmieniłem, a poza tym i diabła się pozbyć, przy wstawiennictwie i księży i modłów i kropienia święconą wodą, a przy tym i przy niezawodnej intewencji znachorów — *ludzi wiedzących* lub *znających*, a ci więcej kosztują, niż msza, czy jałmużna. A trzeba wiedzieć, że diabeł chętnie i nierzadko napastuje ludzi.

Chorobę mogą sprowadzić zawistni ludzie zostający z diabłem w styczności, jak czarownice, wróżbici, lub z rodu już tacy *niesamowici*, których do tego doprowadza zazdrość lub nienawiść ku szczęśliwym, często chęć zemsty za obraźliwe jakieś słowo, lub *nieposłuchanie* (nie spełnienie prośby czy życzenia).

I tu pomóc mogą już tylko znachorzy i ludzie czary znający, a to znowu uderza w czułą strunę ludu, bo w jego kieszeń, tym bardziej że czar odczynić mogą tylko znachorzy więksi, aniżeli ten, który go zadał.

Niemniej wiatr i przeciąg, zwłaszcza zły wiatr, łatwo chorobę sprowadzić może. Ale też łatwo można poznać taki wiatr, który powoduje chorobę z owiania. Bo oto nagle w największej nawet ciszy, ni stąd ni z owąd na środku drogi podnosi się ku górze słup prochu i wirując zbliża się ku człowiekowi. Najlepiej wtedy zejść mu z drogi na bok, usunąć się, a gdy to nie możliwe, przeżegnawszy ten wir powietrzny, rzucić weń nóż otwarty, a wnet wiatr ustanie, a na nożu znajdzie się parę kropel krwi ugodzonego nim diabła.

W pewnych zresztą wypadkach każda osoba, zwierzę, nawet roślina, dalej każda rzecz z przyrody martwej, może w pewnym czasie rzucić na człowieka urok, a nawet *dur* (ciężką chorobę), który, całkiem jasne, czepia się w pierwszym rzędzie dzieci i niemowląt, nie umiejących się jeszcze skutecznie bronić. Najlepszą bowiem obroną, gdy się widzi coś niesamowitego, splunąć trzykrotnie poza siebie wymawiając sakramentalne słowa: *na psa uroki*. Gdy się komuś coś bardzo podoba, także to może urzec. Jeśli więc taki wypadek zajdzie, ale oglądający nie ma zamiaru zaszkodzić przedmiotowi podziwu, musi niby spluwając (markując słowami) wyrzec: *tfu, tfu, żeby nie urzec* i gdy może, to powinien jeszcze odpukać, tj. zapukać w gładkie drzewo, najlepiej stół lub drzwi.

Kolor czerwony najlepiej chroni od uroków, bo jako jaskrawy wpierw na siebie kieruje cudzy wzrok. Stąd więc dzieciom na szyję przewiesza się czerwone korale, wiąże czerwone wstążki, przyczepia się do włosów czerwone kokardy, przyszywa do sukienek czerwone wstążeczki, czy guziki, czy wypustki do kołnierza i manszetów.

Prócz tego choroby można, jak wreszcie i wszelkie inne zło, drogą czarów przenieść lub nasłać na drugiego, przeszczepić w inne miejsce, lub na inną osobę, zakopać, zasadzić pod drzewo, zagwoździć itp. a ten, który ją znajdzie, wykopie, odkryje, chorobę dostanie. Taki sposób przenoszenia choroby, nazywa się *zadaniem (daniem)* lub *zaczynieniem* czy *uczynieniem choroby, podłożeniem, podrzuceniem.* Podłożenie może

być uczynione na trwale, lub na czas ograniczony, ściśle określony przez podkładającego.

Można chorobę nawet przerzucić do innej wsi: np. cholerę przez wyrzucenie do wsi, w której jej jeszcze niema, powrozu, na którym spuszczano do grobu trumny pomarłych na cholerę; przy zimnicy wrzuca się do dziupli wierżby (drzewa szybko rosnącego) owinięty w gałganek grosz, którym się dotykało chorego. Wynikiem tego wierzenia jest wyrzucanie szmat i słomy po chorym czy zmarłym na obce grunta, pola wsi sąsiedniej, do rowów przydrożnych; czerepy natomiast, w których myto chorego, czy zmarłego wyrzuca się na rozstajne drogi, rowy graniczne, najlepiej gdy *bziną* (czarnym bzem) porosłe, bo diabeł w niej siedzi.

Dlatego, o ile nie chcą nikomu szkodzić, wodę z obmycia chorego czy zmarłego starają się wylewać w miejsca ciężko dostępne. Gdyby bowiem przez nią przeszedł ktoś nieświadomie, zachoruje na tę samą chorobę. Natomiast, jeśli lud nasz czuje złość do kogoś, wyleje mu napewno wspomnianą wodę na ścieżkę przynajmniej, jeśli już nie pod sam próg chaty, by się go ta choroba czepiła. Gdyby się przechowało wodę z obmycia martwo urodzonego dziecka przez dni 9, a potem wylało ją pod próg wroga, to ten, kto pierwszy wstąpi na ślad wylanej wody z pewnością zachoruje i umrze. Gdy człowiek przestąpi miejsce, które zaczarowała czarownica, będzie go kręciło po nogach, łamało w kościach i pryszcze go obsypią. Rozumie się, że pewniej czar się czepi, gdy ziemia jest skropiona, bo taka lepiej przyciąga. Gdy ktoś przestąpi miejsce, gdzie ukryto zwłoki nieochrzczonego, a więc i nieślubnego noworodka, obłęd się go uczepi.

Chorobę można zadać w jadle i napoju. Nie dziw więc, że niepewny wieśniak żegna miskę, czy kieliszek przed rozpoczęciem jedzenia, czy picia. Skoro bowiem było tam *coś zadane*, misa czy kieliszek po przeżegnaniu *rozleci się na kawałki*. Niemniej nieco napoju, jako bardziej pożądanego, niż jedzenie, wylewa się po wypiciu na ziemię, aby chorobę ugłaskać i zarazem przenieść ją na ziemię ze siebie, a gdy ktoś się boi, wylewa resztkę napitku na dolny *odźwirek* drzwi.

Każda choroba jest inna, wedle ludowego pojęcia istnieje duża różnoosobowość chorób. Dowodzi tego, podobnie jak i żywotności chorób, samo ich zamawianie dla każdej choroby odmienne. Choroby wędrują pchając się do gardła, chodząc popod

skórą, rozpierając w dołku podsercowym, chodząc po kiszkach, przesuwając się po nich itp. I ta wiara w demoniczne pochodzenie cho oby jest wspólna wszystkim rasom ludzkim, na wszystkich ziemiach świata mieszkającym. Tym samym tak przyczyna choroby, jak i środki zaradcze wypływają z tego samego źródła. Chorobę więc, jako złego ducha, wypędza się z ciała chorego, albo wyprasza. Procedura bowiem leczenia u naszego ludu jest taka sama jak u innych ludów w czasach pierwotnych wykazując tego wybitne ślady. Rozporządza ona tym samym zasobem środków walki, czy to obrony, czy to ataku, jakim się posługiwali nasi praojcowie w zamierzchłych czasach. Znamy bowiem: wyzywanie i łajanie choroby, wypędzanie i straszenie, zażegnywanie, wypraszanie, dogadzanie chorobie, oszukiwanie nawet tych niewidzialnych duchów chorobowych przez leczenie sympatyczne. Wynikiem tego — to przeżytki wierzeń pogańskich: ofiary bezkrwawe, wota w postaci szmat, części garderoby, posty, modły, puszczanie krwi, jako namiastka właściwej krwawej ofiary a raczej obiaty.

Wynikiem tego magicznego nastawienia, jest to, że każdy prawie z wieśniaków nosi na szyi krzyżyk, medalik, czy szkaplerz, a choćby tylko jakąś wstążeczkę, tasiemkę, czy sznureczek, podobnie jak w epoce kamiennej noszono zęby lub pazury drapieżnych zwierząt jako amulety czy talizmany dla ochrony przed chorobą. Bo sama choroba, to jak wspomniałem, jakby duch jakiś, różny dla każdej choroby, błąkający się po świecie i szukający w kogo by wlazł, aby go męczyć i niszczyć.

Choroba, przybrawszy na siebie podstępnie postać nieraz nawet rzeczy jakiejś, jak korali, chustki itp., gdy nie była w stanie opaść kogoś, czeka na drodze, by ją jakiś przejeżdżający, czy przechodzący chciwiec zabrał ze sobą i stał się jej żerowiskiem. Czasem znowu przybrawszy na siebie postać istoty żywej, a nawct osoby prosi, by ją zabrano na wóz. I wtedy wlazłszy z tyłu poza woźnicę, wpierw cieszy się śpiewając, że znalazła naiwnego, a potem rzuca mu się na szyję i dławi go i męczy. Raz przejeżdżający chłop znalazł korale i zabrał ze sobą. Słyszy, a coś poza nim śpiewa bez ustanku: *jadę, jadę, aż zajadę...* Zmiarkował się jeszcze w czas i wyrzucił je do rowu. Dobrze więc, gdy się taki dobroczyńca w czas opatrzy i gdy wiezie osobę, na odlew ją grzmotnie i z wozu wyrzuci. Toteż aby choroby nie przywieźć sobie, nie biorą chłopi, a także i Żydzi znalezionej

szmaty, chustki na głowę, chusteczki do nosa itd., bo ta może być podrzucona przez chcącego się pozbyć choroby.

Sprowadzić chorobę, śmierć lub nieszczęście można nawet przez uczynienie *zakrętki* w zbożu na polu, tj. przez skręcenie garści kłosów na lewą stronę i zawiązanie jej w rodzaj węzła, jednak przy równoczesnym rzuceniu zaklęcia na właściciela pola. Zakrętki takiej lud nie zetnie, nawet nie dotknie, zostawiając na polu jako tak zw. *Spasową brodę,* albo często nawet nie podejmie się żniw, zanim znający nie rozwiąże zakrętki, rozumie się za wynagrodzeniem.

Budujący dom mieszkalny, a nawet i zwyczajny budynek majstrowie czynią zawsze tzw. *założenie,* które spełnia się bezwzględnie. Budowano w okolicy tutejszej jakiś czas przed wojną cerkiew. Pop był bardzo zachłanny na pieniądze. Zwrócił się do majstrów z życzeniem, by założyli tak, żeby co dzień był jeden nieboszczyk *szczo den, to oden,* by na pogrzebach zarobić. Na to jednak oburzeni majstrowie odpowiedzieli: „O nie proszę księdza, co rok, to pop“ *(szczo rik, to pip).* I tak się stało. Po kilku latach parafii nie obsadzano, bo żaden z proboszczów nie chciał umierać. I dopiero wojna, która zniszczyła cerkiew, zniweczyła i stare założenie. Cerkiew nową wybudowano i... zmieniło się założenie. By założenie było pomyślne i dobre dla właściciela, należy się okupić majstrom, a po wybudowaniu już domu, zanim się do niego wprowadzi, zamknąć na jedną dobę wewnątrz kota, psa, koguta lub kurę. Po niedługim czasie zamknięte stworzenie zginie, ale mieszkańcom nic się już złego nie stanie.

Można zadać chorobę lub śmierć, ale tak by cały dom *skaparał* (zmarniał), najłatwiej w następujący sposób: bierze się kawałek mięsa, siecze się go na drobne kawałeczki i wrzuciwszy do garnka glinianego, zalewa się wodą zaczerpniętą ze źródła przed wschodem słońca. W nocy garnek ten zakopuje się u węgła chaty mającej zmarnieć, a skutek pewny.

Wiara w podłożenie, czy podrzucenie choroby, to pozostałość po fetyszyzmie tj. wierze w ducha wcielonego w dany przedmiot. Duch bowiem może być wcielony w każde ciało, czy przedmiot, a wiara w fetyszyzm jest i dzisiaj jeszcze bardzo rozpowszechniona wśród ludów o pierwotnej kulturze.

Rozumie się, że kto umie zadać chorobę, umie ją i odczynić. Tak samo można zadać i odczynić, czary a nawet i śmierć. Aby jednak zło odczynić najpierw trzeba znać przyczy-

nę, wiedzieć, czym i w jaki sposób czar zadano. By się o tym przekonać *taczają jaje (wykaczaty jajce)*, a potem udzielają rady. Czarownicy mają bowiem możność i środki zniweczenia zadania, a im większy czarownik, tym łatwiej mu przychodzi zniweczyć skutki czynności słabszego przeciwnika, tj. mniejszego znachora. Bo czarownicy, podobnie jak lekarze, dzielą się na początkujących, na wyzwolonych, specjalistów i profesorów.

Czarownik jest nawet w możności zadania komuś (nasłania) samego diabła, lub nawet kilku diabłów i to w jadle lub napoju. Często czarownicy wałęsają się jako podróżni, włóczędzy, szukający wsparcia... Dlatego to włóczęgów lud poważa, zaopatruje na drogę, by się zabezpieczyć tylko przed nimi pragnąc, by się tylko zabrali dalej i nie zadali uroku. Wiedzą o tym doskonale wygi-podróżni i gdy zachowanie się chłopa nie przypada im do gustu, poczynają coś mamrotać pod nosem wykonywując jakieś nieokreślone ruchy rękoma, dotykając pewnych przedmiotów itp., a wnet otrzymują od zabobonnego wieśniaka wszystko, aby tylko czar nie działał.

CHOROBA W CHACIE WIEJSKIEJ I SPOSOBY JEJ LECZENIA

Już choćby z powyżej naprowadzonych motywów widzimy jak bardzo ważną rolę w życiu naszego ludu odgrywa choroba. Nie dzieje się to bynajmniej tylko dlatego, żeby się jej specjalnie bano, bo choroba jak i śmierć, to przecież dopust, kara, czy wola Boża. A z tą, czy się chce, czy nie, zgadzać się człowiek musi i walczyć trudno. Toteż prawie każdy z chorych, gdy przybędzie do lekarza, zaraz na wstępie pyta się: *Czy to aby choroba śmiertelna? Niech mnie pan dochtor ratuje! ale proszę otwarcie powiedzieć, co ze mną będzie, bo, jak trzeba umrzeć, to szkoda się tracić, bo nie ma skąd. I chociaż każdemu życie miłe* — godzą się spokojnie z wolą niebios, *bo raz matka rodziła i raz umrzeć się musi, — raz kozie śmierć, — ha trudno.* Mówią też tak: *kto się leczy, tego bieda ćwiczy*; *jak komu na wiek (życie), to się znajdzie lek,* a czasem *to się trafi na lek* — i wtedy warto już wydać parę groszy. Inaczej — po co? Aż nazbyt szkoda! Często dowiadują się, że nie ma nadziei na wyleczenie, bo zwykle chłop do lekarza jedzie przed samą śmiercią i kurę je wtedy również. Wedle przysłowia ludowego, *chłop je kurę, albo gdy ona zdycha, albo gdy on sam umiera.* Chorobą jednak nie przejmują się zbytnio.

Chory pragnie pogodzić się z Bogiem, szuka ucieczki w modlitwie i w niej prosi Go o miłosierdzie, czy ewentualnie o pomoc, o ile jeszcze to wedle woli Bożej możliwe. Ozdrowieńcy zabierają się rychło do swojej roboty. Bo i tak już przez obłożną chorobę traci gospodarstwo rolne jednego pracownika, może nawet zdolnego, który w gospodarce domowej ważną odgrywał rolę. Wieśniak bowiem, choćby najzamożniejszy przyzwyczaił się wystarczać sam sobie. Chce zawsze, jak się sam wyraża, *sam siebie obrobić* i dopiero w ostateczności najmuje obcych robotników i to tylko wtedy, gdy uzna, że inaczej poniósłby zbyt wielką stratę. A i wówczas nawet czyni to bardzo niechętnie, bo przecież trzeba wydać trochę gotowego grosza, który, jak mówią, *woleliby przepić* (nawet gdy nie piją). Nie dziw więc, że ubytek jednego pracownika, zwłaszcza dobrego i znajdującego się w pełni sił, działa na cały dom przygnębiająco, choć na ogół nie przeszkadza w właściwym toku zajęć.

Z chorymi dziećmi, zwłaszcza gdy ich w domu więcej, mniej się liczą; chuchają jednak na dziecko jedyne, szczególnie gdy los chciał, że już kilkoro poprzednio zmarło. Śmierć dzieci poza tym zwykle lżej znoszą mniej odczuwając ich stratę, niż stratę dorosłych, bo i jeszcze wychowanie dziecka mniej kosztowało, no i: *Bóg dał, Bóg wziął, a wola Jego święta.* Zresztą *jedno umarło, to będzie drugie.* Co innego, gdy śmierć zabierze kogoś z rodziny w sile wieku, z którego można było ciągnąć korzyści i to nawet długo, choć i to działa tylko chwilowo na pozostałych, którzy szybko przechodzą nad tym do porządku. Z materialnych pobudek i ze względów oszczędnościowych lekarz stanowi u większości wieśniaków końcowe zło czy konieczność, wypływającą czasem na prawdę z serdecznych pobudek, częściej jednak ze względu na języki wiejskich kumoszek i to dopiero, gdy już cały repertuar środków domowych i babskich, czy znachorskich leków zawiódł w zupełności.

Gdy więc ojciec, matka, mąż, czy żona są już konający, wiezie się ich w ostatniej chwili do lekarza po to, by nikt nie powiedział potem, że *nie doktorowali* (żałowali pieniędzy na doktora). A skoro lekarz powiedział, że szkoda trudu, bo już zapóźno, nie żal już chorym umierać, a pozostałym nikt już nawet najmniejszego zarzutu nie uczyni. Znane jest tu przysłowie: *przez żony doszedł do (dorobił się) majątku,* bo wieśniak w parę tygodni po pogrzebie jednej żony bierze drugą nie mogąc się

obejść bez gospodyni, a po każdej ustawową część majątku dziedziczy. Więc choćby pochował ich z osiem, ale przed śmiercią był z nimi u lekarza — wszystko w porządku. Inaczej ta następna obawiałaby się wyjść za niego zamąż i przy każdej sposobności to by mu wypominała. Choć to właściwie nie należy bezpośrednio do sprawy, wspomniałem jednak o tym, by lepiej naświetlić psychikę tutejszego ludu wiejskiego.

Tak więc dzięki oszczędności i specjalnej mentalności naszego ludu, medycyna ludowa odgrywa w życiu wieśniaków nader ważną rolę i jest bardzo rozwiniętą gałęzią wiedzy ludowej. Każdy wieśniak, a kobieta specjalnie — im starsza, tym lepiej — zna cały szereg przepisów i prawiecznych recept, *z dziada pradziada*, na wszelkie dolegliwości, a zwłaszcza częściej zdarzające się w codziennym, pracowitym życiu wiejskim.

Wiele spraw i zdarzeń odgrywa w chorobie u ludu ważną rolę i ma doniosłe znaczenie. I tak, ciała niebieskie, a zwłaszcza gwiazdy i księżyc, ten ostatni specjalnie na nowiu, są pierwszorzędnej wagi. Choroba, która się zacznie na nowiu, podobnie jak księżyc, ciągle odnawiać się będzie i przybierać pod pełnię na sile, czyli że nigdy pomyślnie się nie skończy. Wszelkie znaki, czy to na słońcu, czy księżycu, niespotykane ustawienie się gwiazd, jakiekolwiek odbiegnięcia od zwyczajnej normy, zwłaszcza zaćmienia i zmiany w kolorze, źle wróżą dla zdrowia i życia ludzkiego. Najlepiej, gdy choroba zaczyna się na kwadrze, bo rokuje to dobre zakończenie.

Takąż rolę odgrywają i *dnie złe i ciężkie* — znane pospolicie pod nazwą *dni felernych*, tj. feralnych. W dnie te nieszczęśliwe, niebezpieczne dla zdrowia i szczęścia ludzkiego, leczenia rozpoczynać się nie godzi. Choroba, która w dzień taki się rozpoczęła, zwykle zły obrót przybiera, bo w ogóle, *co się pod złą wróżbą zaczęło, nic dobrego nie wróży i źle się skończyć musi.* Wierzenie to jest bezsprzecznie zabytkiem astrologii. Do dni ciężkich w ogóle należy każdy poniedziałek i piątek. Poza tym suche dni. Nigdy w dzień taki wieśniacy nie zaczynają roboty, nie zmieniają w dzień taki bielizny ani odzieży, bo w najlepszym wypadku *będzie napaść* (zwada, kłótnia, sprzeczka). Kto zachoruje w sobotę, *nie wyjdzie* (nie wyzdrowieje). Tak samo, jeśli chory prosi o piwo lub rybę, *ma smak na piwo, ma apetyk na rybę,* znak, że z choroby już się nie podniesie. Komu śię śni, że złamał sobie ząb, ciężko zachoruje i umrze. Do dni feralnych,

rozstrzygających na cały rok, należą Nowy Rok i wigilia Bożego Narodzenia. Co spotka bowiem człowieka w jednym z tych dni, spotykać go będzie przez cały rok. Z pogody na Nowy Rok i św. Sebastiana (20. I.) wróżą zdrowie, gdy jest jasno i słonecznie, choroby zaś, gdy jest pochmurno, a gdy deszcz pada, to będzie zaraza.

Cyfry niektóre, jak 3, 7, 13, lub liczby z pomnożenia tych cyfr złożone, np. 9, 27, w chorobie i zdrowiu wieśniaka bardzo wielką odgrywa rolę, niemniej ważny wywierają wpływ na sam sposób leczenia, zażywanie leków, ich jakość, a nawet samo rozpoznanie choroby. Liczby te jako resztki astrologii i szczątki żydowsko-arabskiej kabały, grają w życiu wieśniaka pierwszorzędną rolę. Gdy ktoś zachoruje mając np. lat 37, 73, pewnie nie wyzdrowieje, bo tu obok siebie stoją dwie cyfry feralne, tj. 3 i 7, a więc 3 z kosą; a gdy już ktoś mający lat 77 zapadnie na zdrowiu i to obłożnie, nawet szkoda go leczyć i nie warto wydawać ani grosza, bo aż dwie kosy przy nim.

Cały szereg powiedzeń i przysłów do tych cyfr się odnosi. Mówią: *w Trojcy Boh perebuwaje*; *Trojcu Boh lubyt*; *do trzech razy sztuka*; *skrzywił się, jak od siedmiu boleści*; *ze strachu oblały go siódme poty*; *siódme poty biją na chorego przed śmiercią*; *siedm skór z chłopa złazi*; *suchoty mają siedm wierzchołków*; *krosta* (świerzb) *leczy się siedm lat*; *kot mający siedm lat zamienia się w diabła*; *człowiek odmienia się co siedm lat, zmieniając tak charakter, jak i cały organizm*; *kołtun trwa lat dziewięć* itp.

W każdym więc podręczniku medycyny ludowej znaleźć można specjalne tablice dni feralnych. Taką tablicę za Rammertem[1]) umieścił w swym dziele Marian Udziela[2]). Przesąd ten zresztą, do daty dni przywiązany jest raczej przesądem mieszczaństwa, niż ludu, jednak dla pełności obrazu wymieniam poniżej daty dni tutaj za nieszczęśliwe uważanych.

	W okolicy Załoziec	Wedle Udzieli
styczeń:	1, 2, 4, 6, 10, 12, 13, 20	1, 2, 6, 11, 17, 18
luty:	1, 13, 17, 18	8, 16, 17
marzec:	13, 14, 16	8, 12, 13, 15
kwiecień:	10, 13, 17, 18	3, 15, 17, 18

---

[1]) Rammert: Volksmedizin und medizinischer Aberglaube in Bayern, Würzburg 1869.

[2]) Udziela M.: „Medycyna i przesądy lecznicze ludu polskiego", Warszawa 1891, str. 21.

maj: 7, 8, 13	8, 10, 17, 30
czerwiec: 1, 7, 13	1, 17, 20
lipiec: 13, 17, 21	1, 5, 6
sierpień: 13, 20, 21	1, 3, 18, 20
wrzesień: 10, 13, 18	15, 18, 30
październik: 6, 13	15, 17
listopad: 6, 10, 13	1, 7, 11
grudzień: 6, 11, 13, 15	1, 7, 11

Już z tej tablicy porównawczej widzimy, że tylko pewna część dat pokrywa się ze sobą, na ogół jednak tablice znacznie od siebie się różnią. Z obu widzimy, że najbardziej pechowym miesiącem — to styczeń, zwłaszcza w tutejszej okolicy. Czy tablica tutejszych dni feralnych nie jest czymś kolportowanym, także ręczyć nie mogę. Spis tych dni feralnych otrzymałem od bardzo starej babki. Nosi on datę 1853 i był ceniony do wojny światowej. Czy dziś ściśle te same daty w nim by figurowały, nie ręczę, bo po wojnie takiego spisu zdobyć mi się nie udało, cytuję jednak tamten o ustalonej tradycji.

Jak już poprzednio wspomniałem, gdy ktoś w rodzinie wieśniaczej zachoruje, ta bardzo niechętnie i chyba już w ostateczności zwraca się do lekarza, a więc do fachowca. A czyni to zazwyczaj wtedy, gdy choremu już nierzadko żadne, nawet najskuteczniejsze lekarstwo pomóc nie może, bo o ratunku spóźnionym mowy już nie ma. Zazwyczaj otoczenie stara się najpierw pomóc choremu *przez stosowanie rozmaitych leków domowych* i tradycją przekazanych praktyk. Skoro jednak te wszystkie zabiegi okażą się niewystarczające, lub zupełnie bezskuteczne, szukają wieśniacy pomocy i porady u światłych w tej materii *znachorów czy wróżbitów*, znanych nieraz daleko i szeroko ze swej cudownej wiedzy. Toteż zjeżdżają się bardzo często do takich cudotwórczych wróżbitów chorzy tłukąc się milami wozem po ciężkiej i męczącej drodze. Choć ostatecznie i bez samego chorego sławny i uczony znachor wnet pozna i leczyć, a nawet uleczyć potrafi niedomagania chorego, mając jedynie strzęp jego odzieży, trochę włosów, kawałeczek paznokcia itp. Leczenie to jednakże środkami przekazanymi przez tradycję polega bardziej na wierze, niż na samym pomocnym działaniu leczniczym podanego środka.

Toteż gdy wszelkie środki domowe i cały repertuar środków zalecanych przez wszystkich znajomych i nieznajomych nie po-

maga, uciekają się tak chorzy jak i domownicy do gorącej modlitwy. Modlitwa bowiem, to bardzo często stosowany środek dla odzyskania zdrowia, zwłaszcza gdy choroba z dopustu Bożego jako kara, czy pokuta za popełnione grzechy, czy przewinienia. Nie skąpią więc wtedy wieśniacy grosza *na dziadów*, by ci u Boga za chorym się wstawiali, ni na mszę św. dla księdza. Msza jeszcze pewniejszy odniesie skutek. Ksiądz bowiem, jako zastępca Pana Boga na ziemi, jest, a raczej winien być Jemu osobą bardzo miłą, prośba więc księdza nie małą u Boga odgrywa rolę — zwłaszcza, jeśli dany ksiądz znany jest ze swej świątobliwości. Zresztą modlitwa i ofiary, składane Bogu, czy bogom celem odwrócenia choroby i cierpień od człowieka, znane już były i powszechnie praktykowane jako znakomity środek w najdawniejszej starożytności, tym bardziej więc są nim dzisiaj, uświęcone tradycją tylu wieków. Jest to także zabytek pogańskich czasów, gdy leczeniem zajmowali się kapłani. Cud spowodowany żarliwą modlitwą, sama modlitwa jak i środki prymitywne, mające moc od Boga, tj. woda źródlana, powietrze, ogień itp. były zawsze i ogólnie znane, a i dzisiaj są niemniej praktykowane wśród szerokich mas włościańskich.

Gdy więc modlitwy i ofiara mszy św. nie pomagają, pewnie choroba powstała z innej przyczyny, lub grzechy były czy są zbyt ciężkie, by Bóg tak łatwo odpuścił winy i przebaczywszy choremu do dawnego przywiódł go stanu zdrowia. Trzeba więc próbować szczęścia i dalej szukać porady i pomocy. Domownicy więc, jak i sam chory, bynajmniej nie zakładają rąk i czekają na to, co będzie, z całkiem zresztą zrozumiałych powodów. Pierwsi dla potrzeby roboczej siły, jaka przez chorobę pacjenta w gospodarstwie ubyła, no i trochę ze względów materialnych związanych z chorobą (wydatki), chory zaś ze strachu i obawy przed śmiercią, a choćby utratą sił, charłactwem, gdyż *słabego* nigdy już ani tak cenić, ani doglądać nie będą czekając na *zlitowanie Boskie* i śmierć marnego pracownika. Toteż i jedni i drudzy prą koniecznie do tego, by prócz dalszej modlitwy i ofiar mszy św. bądź to udać się, bądź też, o ile znachor jest w pobliżu, sprowadzić go do siebie.

Podobnie jak dawniej kapłani błogosławili, zamawiali i zaklinali choroby, tak teraz czynią to samo w ich zastępstwie ludzie *mądrzy*, lub *wiedzący*, czy *znający*, za wybrańców Bożych uważani, tj. wróżbici i znachorzy, zazwyczaj baby i mężczyźni w wieku

już podeszłym, co to niejedno widzieli, jeszcze więcej słyszeli, a na chorobach i ziołach lepiej się znają od samych doktorów, a nawet i aptekarza. Ludzie ci są pobożni i bogobojni, posty specjalne zachowują, odmawiają osobliwe modlitwy, by swoją moc od Boga daną zachować, rozumie się dla dobra i szczęścia bliźnich, a nie dla swojej kieszeni. Ich bogobojność niedaleko odbiegła od wiary świeżo nawróconych pogan. Służą zewnętrznie Bogu, a wewnętrznie palą również świeczkę i diabłu, ot tak dla pewności. Nie są oni zbyt liczni, niemniej jednak dość gęsto po naszych ziemiach rozsiani. Ponieważ zaś tak najgłupsi, jak i najświatlejsi wieśniacy są bardzo zabobonni i w głębi serc mocno o skuteczności znachorskiego leczenia przekonani, zwłaszcza że uważają chorobę za coś obcego, a wrogiego dla organizmu i w organizmie chorym, nie dziw, że bardzo chętnie do tego uciekają się środka.

Znają zatem znachorzy na każdą chorobę sposób i radę, tj. *umieją regułę*. Znają słowa tajemne, cudowne zaklęcia, zamawiające formułki, niespopularyzowane, dla zatrzymania potężnej mocy leczniczej nieodzowne. Słowa te wypowiadają szeptem nad chorym zazwyczaj wykonując cały szereg praktyk nad miejscem bolesnym, bo i oni mimo swą uczoność, szukają siedziby choroby w miejscu *bolejącym*. A że samo zażegnywanie nie wywierałoby tak potężnego i upragnionego wpływu, łączy się je z całym szeregiem czynności i oznak zmysłowych, zewnętrznych, jak kładzenie rąk, żegnanie, macanie, uciskanie, opisywanie, namazywanie, chuchanie, okrążanie, okadzanie miejsc chorych. Samo zamawianie prastarych, pogańskich sięgające czasów, jako dzisiejsze zażegnywanie z religijnymi znakami połączone właściwie i dzisiaj jest jeszcze pogańskie, co często z pojedynczych wyrazów zamawiania da się wywnioskować.

Działanie zażegnywania — często noszącego miano zaklinania — jest, a raczej ma być odwróceniem uporczywych słabości, czy chorób, dzięki tajemniczej sile Bożej udzielonej osobom zażegnywującym choroby. Odbywa się ono w ten sposób, że znachor szepcąc niezrozumiałe i nieznane słowa, niesłyszane nigdy pacierze, pociąga z lekka cierpiące członki opuszkami palców z góry na dół tak długo, aż odmówi właściwe pacierze. W tym działa najprawdopodobniej sugestia i wiara, masaż, a może zdolności i praktyki magnetyczne, czy magnetyzerskie pewnych znachorów. Bo czasem rzeczywiście po tych rozlicznych prakty-

kach zażegnywania chory przychodzi do zdrowia i wtedy o tym wypadku uzdrowienia opowiadają szeroko, a znachor nabywa jeszcze większej sławy stając się formalnie nieomylną wyrocznią w prognozie. Czy te wypadki wyzdrowień należy zapisywać na karb zwierzęcego magnetyzmu, hipnotyzmu, czy autosugestii, nie można powiedzieć, jedno wydaje się pewne: że w tych wypadkach silny organizm przezwyciężył chorobę, zwłaszcza wspomagany środkami prostymi, które jednakże bardzo często są trafnie stosowane. Bo nie ulega też wątpliwości, że jednak własności lecznicze ziół naszych, są w większości wypadków przez włościan dobrze zaobserwowane. Wykluczam jednakże z góry, by między chorobą, zażegnywaniem, a wyzdrowieniem chorego jakikolwiek mógł zachodzić związek przyczynowy. Niemniej nie wykluczam, że na chorych nerwowo (neurasteników, histeryczki) obrzędowość i tajemniczość zażegnywania wywiera wpływ niemały.

Z początkowego przywiązywania wiary do słów i formułek wypowiadanych przy zamawianiu przeniosiono ją i do samych przedmiotów używanych oraz czynności spełnianych przy obrzędach zażegnywania, co stworzyło cały szereg środków ochronnych mających bronić dostępu pewnym chorobom do organizmu w ten środek zaopatrzonego. W ten sposób powstały tzw. amulety, talizmany, fetysze już wśród ludzi epoki kamiennej, którzy nosili na szyi szpony i zęby drapieżnych zwierząt. Talizmany te z rozszerzaniem się wiary chrześcijańskiej zostały wyparte przez kościół. Przywiązanie jednak do nich było zbyt duże, jak ogromną też była i wiara w ich skuteczność. Kościół chciał pogodzić przywiązanie do talizmanów z zasadami wiary. Zastąpił więc talizmany krzyżykami, medalikami wyobrażającymi świętych, ich relikwiami, szkaplerzami, paskami św. Tomasza itp. Przedmioty te poświęcone, miały chronić noszących je od nieszczęść, złych przygód i chorób za wstawiennictwem świętych, których wyobrażały. To jednak nie zgubiło zupełnie amuletów. I dzisiaj jeszcze są one w obiegu. Żydzi noszą na szyi zaszyte w płótno stare pieniądze darowane im przez rabina-cudotwórcę. Zamawiacze, a zwłaszcza cyganki sprzedają i to nierzadko za drogie pieniądze zabobonnym wieśniaczkom różne korzenie i ziarnka, mające moc ochronną przeciwko czarom lub jako inkluzy mające przynieść szczęście. Nieraz tak bywa, że wieśniak nosi na szyi szkaplerze i medaliki, a na nitce czy sznureczku otrzymanym od czarodzieja zakupiony u niego amulet. Wiarę tę wykorzystują najczęściej

najlepsi znawcy duszy włościańskiej: włóczędzy, bezrobotni, obieżyświaty, często żebracy, a już najbardziej cygani. Wiara w znachorów jest przyczyną, że lud otacza ich specjalną czcią i opieką, darzy zaufaniem w ich cudowne zdolności, które naprawdę dokonują największej sztuki, bo sztuki otwierania i to szeroko wieśniaczej kieszeni, zamkniętej mocno dla właściwych lekarzy.

Niejako odwrócenie amuletu stanowią *wota*, tj. ofiary zawieszane w podzięce na ołtarzach tych świętych, za których wpływem czy wstawiennictwem cierpienie zniknęło lub uzyskano pożądany skutek. Wotum — to zazwyczaj przedmiot drogocenny, ze złota, srebra, lub drogich kamieni, wyobrażający organ ongiś chorobą nawiedzony np. rękę, nogę, oko, serce itp.

Jak już wspomniałem, dopiero w ostateczności, gdy ani jedno, ani drugie zamawianie nie pomoże, gdy często śmierć szybkim zbliża się krokiem, wołają wieśniacy lekarza po to tylko, by zrozumiał, że i on już wobec tego stanu chorego jest zupełnie bezsilny, zwłaszcza mając często nieufność domowników i niewiarę przeciw sobie. Bo i cóż *dochtor* tam pomóc może, gdzie długi czas niszczyli organizm sami wiejscy lekarze i znachorzy, widocznie na skutek *wyraźnej już takiej woli Bożej*, z którą trzeba się nie tylko godzić, ale i współdziałać. *Et, wola Boża, szkoda nawet darmo wydawać pieniądze — niechaj się już nie męczy i niechby skończył (umarł) jak najprędzej*, słyszy się wtedy coraz częściej. I wtedy zaczynają zaniedbywać chorego, nie zajmują się nim, tak że często wody mu nie ma kto podać, wszyscy bowiem spokojnie odchodzą do swoich zajęć. Bo szkoda drogi czas daremnie tracić, *bo czas to pieniądz*, najwyraźniej zaznaczający się w pracowitym życiu wieśniaka.

Pozostawiony na łaskę Bożą chory szuka jeszcze raz ratunku w pomocy Bożej ślubując sobie odbyć pielgrzymkę na odpust do cudownego miejsca i modląc się poza tym żarliwie przed spodziewaną śmiercią. Modli się nawet o nią, gdy sam zostawiony sobie widzi, że jest niczym, kiedy siły go opuściły, że tylko zawadza reszcie domowników. I wtedy wraz z modlitwą myśli o smakołykach wiejskich, o piwie, czy kurze, których podania przed śmiercią mu nie odmówią nigdy, gdy zażąda.

A gdy syt doświadczeń medycyny ludowej chory umrze, pozostałym nie czyni prawie nikt wyrzutów, że nie leczyli zmarłego, bo otrzyma spokojną, z największego przeświadczenia

płynącą odpowiedź, że *taka była wola Boża, ta coby mu ta dochtór pomógł?* Są nawet zadowoleni, że chory już zmarł, bo nie zabrał im wiele czasu nie chorując zbyt długo. A oglądacz zwłok na podstawie wypowiedzeń się domowników zawsze wyda dokładne orzeczenie śmierci. *A co nieboszczykowi było, moi kochani? Ta miał chrypkę.* Więc: *Umarł na chrypaka* — pisze spokojny urzędnik gminny, który może przed chwilą oglądał zabite bydło, lub padłego wieprza, jak i innych zmarłych ludzi. (Fakty autentyczne).

W każdej prawie chorobie bez względu na jej rozpoznanie i nasilenie włościanie chętnie, może zresztą celowo, dla oszołomienia chorego, a przez to dla zmniejszenia bolów obficie stosują leczenie alkoholowe. I ta wódka jako lek uniwersalny bywa stosowana w każdym wypadku. Ilość jej zależy tylko od możliwości płatniczych domowników, bo jakość — to zawsze wyskok (95%). Stosuje się ją już to zewnętrznie w formie nacierań i okładów, już to i to częściej wewnętrznie, nawet w wypadku bólu zęba, czy żołądka, jako napoju napotnego, bądź w postaci czystej wódki bez domieszek, bądź pomięszanej z proszkiem roślinnym z różnych korzeni czy kwiatów. Jest ona lekiem uniwersalnym i z najlepszym wynikiem stale stosowanym przez samych chorych, jak też przez znachorów wobec chorych zalecanym. Pewnie, że zwyczajnie nadużycie tego leku sen i błogie zamroczenie sprowadza na chorego, a tym samym daje zapomnienie o bólu i chorobie, aż do powtórzenia następnej dawki niemniej skutecznej.

Lecznictwo u ludów pierwotnych należy jeszcze i dzisiaj do czynności obrzędowych. Dlatego lekarzami są kapłani, magowie, czarownicy, lub wróże danego plemienia. Oni i dzisiaj mają chronić swój szczep, czy choćby tylko swoją wioskę od chorób i nieszczęść. Do tego celu zmierzają pewne czynności i obrzędy połączone z ofiarami, modłami, zamawianiem, obmacywaniem, chuchaniem, czy pociąganiem, lub pocieraniem chorych członków. Podobnie zachowują się i wróżbici, czy też *znający,* zajmujący się leczeniem ludowym u nas. I tu lecznictwo ludowe jest obrzędem połączonym z modlitwą, postem, otaczaniem i zamawianiem chorego miejsca, dotykaniem jakimś przedmiotem najczęściej ostrym (nóż), opisywaniem (kredą święconą), kropieniem, chuchaniem, zażywaniem na czczo podawanego przez wróża leku itd,

I tu leczenie ludowe niedaleko odbiegło od pierwowzoru u ludów pierwotnych. Pewnie, że wyrazy zamawiania i formułka uległy zmianie od czasów pogańskich pod wpływem kościoła chrześcijańskiego, ale sam sens i sposób pozostały jak dawniej pogańskie. Zamawianie, zaklinanie, zażegnywanie, właściwe ludom wszystkich krajów i wszystkich czasów, jest jednym ze ze środków mistycznych, mających przywrócić zdrowie choremu. Są to rozwinięte przekleństwa, mające moc zrobienia tego, co oznaczają, tj. sprowadzenia lub usunięcia tego, czego chce zamawiający.

Zamawiający ściśle dochowuje tajemnicy słów formułki zamawiania przekazując ją tylko jednej osobie z całej rodziny, a więc najbardziej odpowiadającej wymogom, którą wprowadza powoli w tok praktyki czarodziejskiej. Tajemniczą formułkę zdradza jednak swemu następcy dopiero przed śmiercią, a moc swoją przelewa na spadkobiercę tajemnicy przez podanie mu i uściśnięcie ręki tuż przed swym zgonem. Dzieje się to dlatego, że tajemnicze i niezrozumiałe słowo jest w swym działaniu potężniejsze, niż powszechnie znane, pospolite. Tajemnicze słowo bardziej działa na umysłowość zabobonnego wieśniaka chętnie poddającą się fantazji. Otrzymujący jednak tę tajemnicę musi w nią święcie wierzyć i nie śmie z formułki uronić ani słowa, bo wszystko, cały czar, przepadłby, poszedłby na nic.

By zamawianie było skuteczne, nie śmie przy nim być w chacie ani pies, ani kot, jako zwierzęta związane ze *złym* (z diabłem), ani niewierzący w skuteczność tych praktyk. Zamawianie dla każdej choroby jest inne, odmienne, bo i każdą chorobę wywołuje inny duch, gdyż, jak wspomniałem, lud wierzy w różnoosobowość chorób. Zamawiający wykonuje swe czynności trzy razy, bo trzy to liczba kabalistyczna. Za zamawianie nie żąda żadnej zapłaty biorąc to, co chory daje z własnej ochoty. Co innego, że nie bardzo ufając w hojność wieśniaczą, bo sam jako wychodzący z ludu najlepiej go zna, często ściągnie już naprzód zapłatę, a potem zamawia już „bezinteresownie“. Przeważnie tym procederem trudnią się baby, nie brak jednak i wróżów mężczyzn i ci uchodzą nawet zazwyczaj za lepszych.

Samo zamawianie wygląda następująco: Zamawiający sadza chorego na stołku. Miejsce chore, tj. miejsce, które najbardziej dolega, otacza trzykrotnie dookoła jajem, którym na-

stępnie również trzykrotnie otacza po kolei każdy z członków chorego wymawiając przy otaczaniu, a więc po trzykroć:

„Tut ja wzywaju dewiat' monasteriw,
i światych błahaju z dewiat' cerkwiw,
i wsich światych wzywaju
i tych, szczo ne znaju,
i Tebe światyj Otcze Mykołaju
i światyj Antone,
dopomożit' tomu czołowikowy!
i ja jemu dopomożu".

Potem zamawiający rozbija jaje nożem i *rzuca* (wylewa) je do szklanki do połowy wodą wypełnionej i rozkłóca końcem noża. Szklanka musi mieć dno okrągłe, a ściany powyżej kanciaste. Tym samym nożem dotyka następnie znachor po kolei czoła, twarzy, brody i rąk chorego trzykrotnie powtarzając:

„Tut tobi ne buwaty,
tut tobi ne buwaty,
biłoho tiła ne wjałyty,
żowtoji kosty ne łomyty,
czerwonoji krowy ne suszyty.
Czas tobi rozijtysia na hory,
na skały kamianniji,
na pisky, na czystiji wody,
na mosty. Idy w bezwisty!
Wsi świati dopomożit' tomu czołowikowy".

Z kolei znachor spluwa trzy razy poza siebie, po czym z rozbitego jaja postawionego na oknie do słońca wróży, najpierw, co myśli chory o domu, jakie są jego zamiary i co mu się z tego spełni[1]).

Rozumie się, że poza wymienionymi słowami wypowiadanymi głośno w czasie rozbijania jaja, rozkłócania itd., mruczą znachorzy jeszcze coś pod nosem niezrozumiałego, możliwie nawet i dla nich samych, co jednak podnosi tajemniczość obrzędu. Bo im zamawianie mniej zrozumiałe, im przy nim więcej tajemniczości i jakiegoś nieznanego i nieuchwytnego ceremoniału, tym skutek pewniejszy, bo i wiara w czar wtedy większa.

Przy leczeniu ludowym są jednak w użyciu również środki materialne i to zarówno leki właściwe, odwiecznym doświadczeniem, czy też ewentualnie praktyką medyczną podyktowane, jak też leki, czy inne sposoby nadprzyrodzone, mistyczne. I ta grupa może bardziej przemawia do wyobraźni ludu i gra ważniejszą rolę w ludolecznictwie. „Choroby bowiem się leczy usuwając nadprzyrodzoną przyczynę, która je spowodowała"[2]). Do tej właśnie grupy mistycznej zaliczamy sposoby używane na tutejszym terenie jak i wszędzie indziej, które przenosząc czy usuwając chorobę prowadzą do jej pozbycia się. Są to:

P r z y g w o ż d ż e n i e c h o r o b y. Przedmiot ostry lub zaostrzony, a więc gwóźdź, kołek, klin itp., którym dotykało się

---

[1]) Identyczne zamawianie słyszałem również u czarodziejki w Witkowcach na Wołyniu.

[2]) H. Biegeleisen: Lecznictwo ludu polskiego, str. 18.

bolącego miejsca, zabija się w ziemię lub drzewo włożywszy ewentualnie przed tym do wywierconego otworu, przeznaczonego na zagwożdżenie, trochę włosów, skrawki z paznokci, czy szmatkę z bielizny, lub strzęp z ubrania chorego. To ma pomagać bezwzględnie. Choroba wraz z kawałeczkami niejako ciała chorego zabita i uwięziona w ciasnej dziurze nie może się wydostać na zewnątrz i razem z gniciem czy rozkładem cząsteczek przedstawiających chore ciało zmniejsza się, by wreszcie zniknąć zupełnie.

Zaszczepienie na drzewo lub na stworzenie żywe, zwierzę lub człowieka, przez dotknięcie tamtej osoby, czy rzeczy przez chorego, w razie zaś choroby wenerycznej przez stosunek cielesny, przez który choroba przejdzie na drugą osobę, a chory wyzdrowieje.

Zakopanie choroby wraz z włosami, paznokciami, moczem, kałem, plwociną chorego, najlepiej w miejscu trudno dostępnym, gdzie trudno się dobrać, by zakopaną chorobę odkopać, a więc najlepiej w mrowisku, pod większymi kamieniami, pod korzeniami drzewa.

Chorobę można spławić rzucając na rzekę część ubioru, czy bielizny chorego, a gdy ta spłynie z bieżącą wodą daleko, zniknie i choroba oddalając się tak samo.

Choroba może wyparować, np. wraz z moczem przez komin.

Można ją spalić w piecu, czy ogniem powierzchownie, np. jęczmień, brodawki lub różę.

Można i zapiec przez wsadzenie chorego do pieca chlebowego na parę minut po wyjęciu chleba. Jest to rodzaj suchej łaźni.

Można i wyrzucić od siebie przez rzucenie części ubrania chorego przez głowę poza siebie i szybkie oddalenie się z tego miejsca, bez oglądania się poza siebie. Część ubioru należy wyrzucić w miejscu uczęszczanym, by ktoś ją znalazł i zabrał. Wtedy dopiero weźmie i chorobę. Najczęściej wyrzucają albo chusteczkę do nosa, albo węzełek z bielizną chorego, lub szmatkę z jego koszuli, w którą jednak wkładają pary groszy.

Praktykowanym sposobem jest i sprzedanie choroby osobie drugiej. Kurzą ślepotę tzw. kurkę sprzedają najchętniej Żydowi. Chore dziecko niby to sprzedaje matka swojej znajomej, by potem odkupić je od niej znowu, ale już zdrowe.

N a ł o d o w a n i e c h o r o b y. Specjalnie w tym celu upieczonym bocheneczkiem chleba lub przylepką dotykają chorych miejsc, przez co choroba przenosi się na chleb, który w pojęciu wieśniaka jest podstawą życia. Ten chleb dają psu do zjedzenia. Gdy pies zje podany chleb, z nim razem przejmie na siebie i chorobę.

P r z e m i e r z e n i e c h o r o b y opisane w chorobach dzieci.

W y l i c z e n i e w s t e c z n e od 13 lub 9 do zera w następujący sposób: *13 nie 13, 12 nie 12, ...jeden nie jeden, żaden,* (lub *nic*). Przez takie właśnie liczenie choroba ma się zmniejszać coraz bardziej, aż wreszcie dochodzi do zupełnego zaniku.

Praktykowane jest dalej w celu pozbycia się choroby jeszcze n a c i s k a n i e, p o c i e r a n i e, d o t y k a n i e chorych członków pieniądzem, amuletem lub ręką. Pieniądz jako najmniej wartościowy wyrzuca się w miejsce uczęszczane, by ktoś go znalazł i podjął, a tym samym zabrał sobie chorobę. Amulet, specjalnie w danym wypadku wyszukany, odnosi się na dawne miejsce, np. kość nieboszczyka wziętą z cmentarza dla potarcia tzw. *martwej kostki* odnosi się na cmentarz.

O p l u c i e choroby lub tego, kto tę chorobę spowodował, np. przy urokach.

Z l i z a n i e choroby, najlepiej przez matkę, przy wpadnięciu ciała obcego do oka dziecka.

P o g r y z i e n i e w przenośni rąbka koszuli przy urokach, przy czym należy patrzeć na słońce popod własne nogi.

Z m y w a n i e lub z l e w a n i e chorych członków wodą, którą wylewa się na rozstajne drogi czy pod próg wroga, by pierwszy, kto przez nią przejdzie, zabrał sobie i chorobę, a przez to chorego od niej uwolnił.

O k a d z a n i e, zwłaszcza przy przestrachu i obłędzie, włosami czy paznokciami człowieka, którego chory przeląkł się, sierścią zwierzęcia, pierzem palonym przy chrypce, ziołami itp. Okadzanie, czy okurzanie związane z ogniem ma wzmacniać siły chorego, a zarazem odpędzać złe, jakie weszło w jego ciało. Dotyczy to tak ludzi, jak i zwierząt. By bydło nie chorowało, podkurza się je barwinkiem; maciczne krwotoki okadza się wiankami lub zielem święconym, np. święconym biedrzeńcem (w razie zarazy).

Z ogniem związane jest i w y p a l a n i e np. ran, pochodzących z ukąszenia wściekłego psa lub *hadiugi* (gadziny, węża).

Naparzanie parą lub nawet przykładanie gorących ziół do chorych miejsc.

Wiązanie np. tasiemką czerwoną stawu nadgarstkowego, gdy ten się wskutek pracy *rozejdzie*. Związana przyczyna choroby, zły demon pragnąc się wydobyć z więzów daje spokój choremu i wtedy to rozwiązanie tasiemki uwalnia wprawdzie demona, ale ten nie chce znowu się narażać na przykrość i opuszcza chorego, przez co temu wraca zdrowie. Tak samo ściśle przylegającą tasiemką zaciskają i wole.

Przewlekanie choroby przez dziurę w płocie odbywa się przez faktyczne przepchanie, czy przeciągnięcie chorego przez ciasną dziurę. Wtedy to choroba panosząca się w chorym, gdy ledwie chory przez ciasną dziurę się przeciśnie, nie mając miejsca dla siebie ustępuje. To samo czyni się i symbolicznie przez przewlekanie nitki z koszuli chorego, ręki chorego, lub nogi przez ucho igielne lub obarzanek.

Zawieszenie na drzewie, podłożenie pod kamień, korzeń itp.

Żarliwą modlitwę do Pana Boga, jako pana wszystkiego.

Odpokutowanie, tj. odprawienie uczynionego przez siebie ślubu, a więc pielgrzymki do cudownego miejsca w Milatynie czy Podkamieniu koło Brodów, kupienie *światła* do ołtarza, odbycie spowiedzi, wysłuchanie pewnej ilości mszy św., danie jałmużny, ofiary na kościół itp.

Zaklęcie choroby przez *znających*.

Zastraszenie, np. przy malarii, gdy chory po przebybytym paroksyzmie zaśnie, oblewają go nagle kubłem zimnej wody lub wpuszczają żabę pod *pazuchę* (pachę).

Dogodzenie chorobie, tj. podawanie choremu potraw, jakich ten zażąda (przy zimnicy).

Obrzydzenie przez podanie choremu do zjedzenia czy wypicia jakiejś obrzydliwości, np. wszy przy żółtaczce.

Wrzucenie choroby do dziupli szybko rosnącego drzewa, najlepiej wierzby, bo w niej diabeł siedzi, lub czarnego bzu, z tej samej przyczyny.

Opisanie święconą kredą, osełką, grzebieniem, nożem, aby złe siły nie miały dostępu. Najstarsza obrzędowa forma kultu u Słowian odbywała się pod postacią koła. Najdawniejszy taniec obrzędowy — to „koło". Najdawniejsze zebranie rycerstwa pol-

skiego jako tzw. koło rycerskie, obradowało w tej samej postaci. Z tej odległej przeszłości forma koła, jako tzw. koło radzieckie, koło rodzicielskie, koło pedagogiczne, historyczne, nauczycielskie itd., lub jako taniec dziatwy szkolnej, w formie zabawy pod nazwą koło młyńskie, przeszła do naszych czasów może zatraciwszy już częściowo treść samą. Jednak w niezmienionej formie, jako opisywanie kredą święconą, osełką itp. w około miejsca chorego, dalej zataczanie kół rękoma wróża dookoła ciała chorego, najpewniej do tych czasów pierwotnych i do tej formy obrzędowej odnoszące się, przetrwała w medycynie ludowej. Gdy krowie spuchnie wymię, otacza się je trzykrotnie osełką i nożem na płask, potem smaruje miodem i okadza rozchodnikiem, lub okłada maścią rozchodnikową, aby obrzęk się rozszedł.

W y s s a n i e zwłaszcza przy skaleczeniach lub ukąszeniach i możliwości zakażenia.

W y k r o p i e n i e, a więc wyświęcenie święconą wodą przy obłąkaniach.

Rozumie się, że przy tym całym szeregu wyczynów mistycznych chory musi milczeć, a gdy coś wyrzuca, to zawsze poza siebie i nie śmie się wtedy zupełnie oglądać. Choroba bowiem pragnąc powrócić, może naśladować głosy, wołać itd., by tylko chory się obejrzał i przez to wziął ją z powrotem. Często odczynianie takie odbywać się musi w specjalnym miejscu, na cmentarzu, rozstajnych drogach, miedzy lub o specjalnej porze (północ, nów).

Sposobów używanych do walki z chorobami przez medysynę ludową jest o wiele więcej, wyliczone przeze mnie są jednak najczęstsze. Jak zwykle w walce z wrogiem w grę wchodzą: odwaga, siła, podstęp, lub poddanie się i wypełnienie żądań przeciwnika i to wszystko przewija się już choćby w przytoczonych powyżej sposobach leczniczych. Jako broni w tej walce używa się wody, ognia, hałasu lub milczenia, specjalnych ruchów i środków odwracających, tj. przedmiotów ostrych, kłujących lub raniących, jak igły, szpilki, ciernie, gwoździe, kołki, kamienie, substancje gryzące, parzące i o ostrym zapachu, smaku, jak sól, pieprz, czosnek, cebula, ocet, chrzan, gorczyca, mrówki, palone pierze, palone włosy, dalej wzbudzające obrzydzenie, jak mocz, kał, plwocina.

Klin wybija się klinem, podobne leczy się podobnym, podobna przyczyna wywołuje podobne skutki, co zaszkodziło, tym

leczyć potrzeba, więc i dla pewnych chorób używa się pewnych leków, odpowiadających chorobie kształtem, barwą lub innymi cechami. Ten sposób leczenia nazywa się sympatycznym. Nazwa sama wywodzi się stąd, że między chorobą, czy chorym a lekarstwem zachodzi pewien związek wewnętrzny duchowej sympatii lub nienawiści. Lek pewnej chorobie odpowiada lub jej się sprzeciwia. Między chorobą a lekiem zachodzi podobieństwo lub różnica cech zewnętrznych czy właściwości wewnętrznych. Między całą naturą martwą i żywą jest jakby nić łącząca wszystko ze sobą, „nić sympatyczna". Stąd też, wedle badań lat ostatnich, plamy na słońcu powodują wzmożone nastawanie deszczów, grypy i chorób zakaźnych, zaburzeń i katastrof ziemskich itp. To było również znane lekarzom starożytnej Grecji i od ich czasów najprawdopodobniej datuje się leczenie sympatyczne. W leczeniu tym, podobieństwo może się odnosić tak do barwy, kształtu, jak i nazwy. Na krwotoki daje się krwawnik *(Achillea mellifolium)*; na ukąszenie żmiji żmijowiec *(Echium vulgare)*; na złamanie kości żywokost *(Symphytum officinale)*; na podbój liście podbiału *(Tussilago farfara)*; na obrzęki, aby sie rozeszły, rozchodnik *(Sedum acre)*; na krwotoki maciczne podwiązuje się mały palec u lewej nogi czerwoną nitką; na różę przykłada się płatki czerwonej róży; na żółtaczkę podaje się marchew i żółte masło, każe się spoglądać do złotego kielicha mszalnego; na blednicę prawdziwe, czerwone, potłuczone na proszek korale; na brodawki spala się groch; na jęczmień na oku jęczmień; na chrypkę, która drapie w gardle miód, co wygładza; na biegunkę jaja na twardo. Na krwotoki maciczne miesięczne, gdy zbyt obfite, celem ich zatrzymania skrobie się korę wiśni ku górze i gotuje; gdy brak miesiączki, skrobie się korę wiśniową w dół, by ją sprowadzić czy przywrócić; na białe upławy daje się kwiaty jasnoty białej *(Lamium album)*. Gdy dziecko powoli rośnie, kąpie się je w wierzchołkach drzew szybko rosnących, jak wierzba, bez, świerk, przenosząc na dziecko niejako zdolność rośnięcia i siłę żywotną danego drzewa. Przeziębienie leczy się zimnymi okładami; puchlinę suchym zielem; gorączkę wilgocią itd. Oczywiście leczenie jest pewniejsze, gdy lek podaje osoba płci drugiej, bo przez to sympatia jest większa.

Leczenie sympatyczne wymaga bezwzględnej wiary, gdy więc zawiedzie, co dość często się zdarza, bardzo łatwo pacjentowi zarzucić brak tejże i zły skutek jako następstwo. Gdy le-

czenie się uda, chory wyzdrowieje, a więc był dany warunek (wiara) spełniony, nic dziwnego, że lek był skuteczny — jak się i choremu i leczącemu wydaje. Że zresztą takie leczenie może odnieść rezultat i wywrzeć pomyślny skutek na sam przebieg choroby, nie jest zupełnie czymś dziwnym, gdyż znaną jest rzeczą, że wpływ psychiczny, skierowujący uwagę chorego na inne tory, a tym samym odwracający jego myśli od cierpienia, jako też wiara, są bodźcami dla słabnącej woli chorego, podnietą w formie jakby zastrzyku, wykrzesującą nieznane, drzemiące w ukryciu zasoby energii fizycznej i duchowej, które stanowią bardzo skuteczną broń przeciw chorobie.

Lecznictwo ludowe niestety jeszcze i dzisiaj nie odbiegło u nas daleko od metod i pojęć XV, czy w najlepszym wypadku XVI wieku[1]). I dzisiaj jak w XVI w. stosuje się podobne wstępne zabiegi na wypadek choroby. Są to: w pierwszym rzędzie 1. modlitwa, a następnie 2. upust krwi, stosowany profilaktycznie celem odciągnięcia jadowitej krwi chorej od serca i głowy (pozostałość krwawej pogańskiej ofiary). Stawia się więc pijawki, w ilości zależnej od ciężkości objawów chorobowych, siły i wyglądu chorego. Jad chorobowy znajduje się bądź co bądź we krwi, będzie więc uchodził z krwią wypuszczaną czy wysysaną przez pijawki i potem z krwawiących ranek, przysypanych popiołem ze spalonej lnianej szmateczki. Stosuje się również 3. odciąganie krwi ze środka ciała przez przykładanie chrzanu, gorczycy, pokrzywy, a więc środków pryszczydeł, wywołujących poparzenia i pęcherze, albo przez stawianie baniek, nawet na głowie, czole, szyi i garnków na brzuchu. Dla pewności przy każdej chorobie 4. podają środki przeczyszczające, a gdy ktoś po jedzeniu zachoruje, przez łaskotanie palcem czy piórkiem podniebienia i gardzieli chorego starają się wywołać wymioty. Dużym uznaniem cieszy się 5. napotne leczenie czy to środkami zewnętrznymi, jak okrywanie kożuchem, pierzynami, przykładanie gorących cegieł, flaszek z gorącą wodą do stóp, woreczków z grzanym piaskiem, grysem, plewą, popiołem, prażoną mąką, parzonym owsem, kminem, czy lnem, czy to

---

[1]) Xiąg czworo o przyczynach morowego powietrza przez Piotra Umiastowskiego z Klimmta w Phil. y w Lekar. nauce doktora w Krakowie roku 1591.

wewnętrznymi, jak podawanie odwaru z jęczmienia lub owsa, wódki zaprawionej korzeniami, naparu kwiatu lipowego lub kwiatu z bziny (czarnego bzu), z malin suszonych itd.

By dokończyć tych wstępnych czynności, szczelnie zamykają drzwi, bo okna są prawie zawsze *gwoździami na amen* zabite. Choćby na dworze panował skwar największy, a w izbie omdlewało się z gorąca, palą w piecu aż do niemożliwości, wedle odwiecznych maksym: *gorąco i poty zawsze choremu dobrze robią; chorobę trzeba wygrzać; zimno przez przeciągi i zimne okłady tylko niebezpieczne zaziębienie sprowadzić może.* W chatach więc wieśniaczych, i tak już nadzwyczaj czystym i zdrowym powietrzem niegrzeszących, w czasie choroby jednego z domowników panują niemożliwy zaduch i wyziewy, które nader niekorzystnie, zwłaszcza przy nieznośnym gorącu i suchości powietrza, odbijają się na zdrowiu domowników. Gdy po raz pierwszy przybyłem na wieś do chorego, na którego, jak tu mówią, *biły siódme poty* w atmosferze, w której oddechu prawie złapać nie było można, kazałem otworzyć okno lub drzwi. Odpowiedziano mi wtedy: *Proszę pana doktora, od ciepła jeszcze nikt nie umarł, a powietrze i przeciąg niejednemu już zaszkodziły.* Dopiero, gdy kategorycznie oświadczyłem, że inaczej nie przystąpię do badania chorego, odpowiednio izbę przewietrzono. Czy jednak po moim odjeździe znowu nie napalono jak w piekle, tego już nie wiem, ale przypuszczam raczej, że tak.

Na zapobiegawczych czynnościach poprzestają wieśniacy w razie choroby, o ile chory *ma apetyk do jadła.* Skoro jednak *ochotę do jadła straci* lub *je strawę jak własne ciało*, wtedy trzeba leczenie prowadzić dalej. Choroba widocznie poważna, więc tak chory jak i otoczenie martwią się tym może bardziej, niż samą chorobą. Bo *ochota do jadła i apetyk* są również i prognozą w chorobie. Brak ich pewnie niedobrze dla chorego wróży. Nawet lekarz napotyka często na twardy opór domowników w przestrzeganiu diety, bo ci w chorego mimo zakazu *dochtora* pakują wszystko i najobficiej. Bo jakżeby *ciało* pokonało chorobę, gdyby nie miało obfitego pożywienia? *Kto je obficie ma więcej siły,* a tu lekarz każe chorego morzyć głodem. A choć do diety nie stosują się, jednak gdyby lekarz nie powiedział, co wolno, a czego nie należy podawać choremu do jedzenia, zaraz o to pytają. Gdy zaś lekarz powie, że wszystko wolno jeść choremu, sądzą, że dla chorego, wyjścia już nie ma, kiedy i diety nie nakazano. Bo

przed śmiercią przecież nikomu się nie broni tej odrobiny strawy, jakiej mu się zachce. Jednak, gdy lekarz przepisuje bardzo ścisłą dietę, nie bardzo go chętnie wołają. Lepiej już wtedy na chorobie wyznaje się wróż, czarownik, czy znachor, którzy owszem obfite i tłuste zalecają jadło.

Analogiczne zasady znała dawna medycyna; lekarz Petrycy na początku XVII w. pisał, że „w leczeniu powietrza ustaie choremu apetyt, brzydkość ma, gdy uyrzy iedzenie, co się dzieie, iż iad opanował wnętrzności. Tam potrzeba gwałtem przymuszać chorych do iedzenia, aby ich siła nie ustała"[1]). Trzysta więc lat z okładem ma ten wynalazek dietetyczny, przeniesiony obecnie do medycyny ludowej. I czyż nie należy podziwiać konserwatyzmu naszego ludu?

Przyjmowanie i wydalanie pokarmów drogą normalną, to rzecz bardzo ważna na wsi i lekarz, który by na to specjalnej uwagi nie zwracał na zapadłej prowincji, nie ma tu, po co siedzieć. Owszem, można zdobyć jeszcze większe zaufanie i wiarę w leczenie, jeśli podziała się na fantazję domowników trafiwszy w ich zabobonny system. Trzeba np. kazać jeść choremu codziennie rosół z połowy czarnej kury schwytanej o zachodzie słońca i zabitej na miedzy obejścia, ale ze zwróconą głową ku miedzy sąsiada, gotowanej w taki czy inny sposób itp. Celują w tym zwłaszcza znachorzy, którzy jeszcze bardziej zawiłe dają przepisy, a nawet i niektórzy lekarze bądź wyszli z ludu, bądź długie lata na prowincji osiadli. Najgorzej, gdy chory mimo apetytu chudnie, wtedy pewnie ma suchoty. I wtedy powinien lekarz *zakazać dietę* i nie powinien pozwalać na jedzenie wszystkiego, bo to znak, że *chory pewnie już nie wyzdrowieje*. Wtedy chorego napychają pewnymi pokarmami aż do obrzydzenia. Ale powoli pod tym względem zaznacza się już postęp i to wybitny, rzucający się jaskrawo w oczy na przestrzeni kilku lat i to nawet po wsiach zapadłych, tak że może niedługo, a dietetyka lekarska trafi wreszcie do przekonania ludu wiejskiego.

Niemniej ważnym jak apetyt objawem chorobowym jest s e n. Wychodząc z tej zdrowej zasady, że kto fizycznie ciężko się przez cały dzień napracuje najadłszy się zasypia snem kamiennym, posądzają o wielką już chorobę każdego spośród

---

[1]) Instructia abo Nauka, iak się sprawować czasu moru... Dla prostych napisana... przez Doc. Sebastyana Petrycego Medyka. W Krakowie w Drukarni Mikołaia Loba. Roku Pańskiego 1613.

siebie, kto mimo zmęczenia spać nie może. W tym wypadku szukają więc znowu pomocy u znachorów, by się dowiedzieć o przyczynie i w *wykaczanym jajku* wnet powód jasno zobaczą. *Niepokój serca, nerwy, zadanie przez kogoś*, albo tzw. *perełesnyk* są zazwyczaj tego przyczyną.

Trzecią niepokojącą wieśniaka cechą chorobową, to c e r a. Słońce i wiatr opalają twarz i ręce wieśniaka na brąz. Gdy więc ktoś blady, jest źle. I znowu trzeba uciekać się *do znających*. Dalszą cechą zdrowia to j ę z y k czysty, czerwony, — obłożony, *zamulony* dowodzi choroby. Wreszcie m o c z jasny i przejrzysty, a więc czysty oznacza zdrowie; mocz mętny, czerwony (ciemny) z gorączki dowodzi choroby.

Z przytoczonych powyżej objawów wnioskuje lud wiejski o zdrowiu lub chorobie. One go niepokoją lub uspokajają. One rozstrzygają czy wystarczy zabieg domowy, czy pomoc *znającego*, czy wreszcie trzeba zasięgnąć porady lekarza.

Do leczenia używa lud najrozmaitszych ś r o d k ó w l e c z n i c z y c h, jak kości, krew, tłuszcz, serce i sierść zwierząt, kał i mocz własny, czy zwierzęcy, które niepoślednią odgrywają rolę w poszczególnych chorobach, jednakże najczęściej są używane z i o ł a l e c z n i c z e.

Zdolność czy siła lecznicza tych ziół zależna jest od czasu ich zbierania i miejsca. Zbiera się je specjalnie, jedne po lasach, łąkach, zaroślach, inne po polach i miedzach, czy przychaciach, inne specjalnie hoduje się w ogrodach, by z kwiatów, łodyg, liści, korzeni, czy kłączów sporządzać później proszki, maście, kąpiele, napary, czy odwary, nalewki, nacierania, okłady lub plastry, okadzania i smarowania. Jedne specjalnie pije się z wódką, inne z miodem, inne gorzkie.

Czas zbierania zależy od pory dnia i od daty dnia. Największą ilość ziół zbiera się w przeddzień i w sam dzień święta Matki Boskiej Zielnej (15. VIII.), a więc w czasie, gdy zioła te znajdują się w pełnym rozkwicie i najwięcej mają w sobie soków. Mniejsze ilości zbiera się w wigilię św. Jana Chrzciciela. Tu specjalne znaczenie ma dziurawiec (*Hypericum perforatum*) zwany *świętojańskim zielem*, dalej bylica pospolita czyli *czornobyl (Arthemisia vulgaris)*, bylica piołun *(Arthemisia Absynthium)*, łopian *(Lappa maior)* zwany *łopuch*. W oktawę Bożego Ciała zbiera się znów zioła na wianki barwinek *(Vinca minor)*, rozchodnik *(Sedum acre)*, kopytnik *(Asarum europaeum)*, macierzankę *(Thymus Ser-*

pillum) i inne. Część ziół zbiera się i to przeważnie przed świtem w pierwszej rosie, część w południe. Wieczorem i po południu zbierają zioła jedynie czarownice dla swych praktyk. Zioła do czarowania zbiera się zawsze z miedz cudzych i to dziewięciu. Gdy zbiera się je na czary o świcie, musi się tej czynności dokonywać nago i tak wcześnie, by nikt nie widział, bo jeżeliby ktoś ten wyczyn zaobserwował, tym samym zniweczyłby całą moc czaru, a w dodatku przyłapawszy na swej miedzy zbierającą zbiłby napewne na kwaśne jabłko jako czarownicę.

Dla większej siły leczniczej czy na lepsze czary winno się zbierać zioła po nowiu, gdy księżyc *narasta*, bo wtedy i ich moc potężnieje podobnie jak księżyc. Pewne zioła, dla nadania im specjalnej mocy leczniczej, święci się splatając we wianki lub bukiety w wigilię Bożego Ciała czy na Matkę Boską Zielną. Lud używa zazwyczaj ziół łatwo mu dostępnych, a więc rosnących na miejscu, ziół, które bezpłatnie lub tanio może nabyć, niemniej nieraz bardzo słono płacąc za zioła lecznicze z innych okolic.

Poza tym przy zwalczaniu pewnych chorób, trudnych w inny sposób do wyleczenia, używane są środki lecznicze pochodzące z własnego, czy też obcego organizmu żywego, lub z ciała zmarłego. Środki te, jako uzupełniające pewne braki w sokach organicznych chorego osobnika, możnaby uważać za próby homeopatii, stosowanej jeszcze i dzisiaj w medycynie naukowej i praktycznej, jako tz. *autohaemo—sero—vaccinotherapia*, a dalej jako preparaty organiczne przy wszelkich zaburzeniach wewnętrznego wydzielania.

Krew świeża z ubitych zwierząt, pita szklankami w rzeźni leczy padaczkę. Bo krew, to przeżytek starych obrzędów religijnych, ofiar krwawych najpierw ludzkich, potem zwierzęcych. I jako taka żyje po dziś dzień w wierzeniach ludowych. Ogólne jest wierzenie, że krwi zamordowanego ani ze ścian, ani podłogi zmyć nie można, ani zabielić. Zawsze ona wychodzi i występuje na wierzch plamami, które świadczą najsilniej o dokonanej zbrodni. Ona jest tym magnesem, który mordercę ciągnie na miejsce dokonanej zbrodni, bo ona, jak krew niewinnie zamordowanego Abla, woła o pomstę do nieba i żąda sprawiedliwości ziemskiej. Gdy więc wróg zbliży się nawet do trupa, wnet z ust i nosa nieboszczyka poczyna płynąć krew. Wedle miejscowej opowieści ks. Krechowiecki, proboszcz załoziecki miał się gniewać śmiertelnie z swoim bratem, powieściopisarzem Adamem. Gdy

zbliżył się do zwłok brata, buchnęła krew z ust nieboszczyka. Pozostałością krwawych żertw z ludzi są wszędzie pospolite opowieści, czy legendy pokutujące w wierzeniach w możliwość usług diabelskich, gdy się podpisze cyrograf krwią z serdecznego palca, oraz w skuteczność świecy zrobionej z ludzkiego tłuszczu tak przy szukaniu skarbów ukrytych, które stają się widoczne przy użyciu takiej świecy, jak i w moc usypiającą takiej świecy i to wszystkich znajdujących się w mieszkaniu, gdy złodziej chce spokojnie przeprowadzić swoją robotę. Dla zdobycia takiej świecy przed wojną, gdy w Podkamieniu pochowano w podziemiach jakiegoś zmarłego, bardzo zażywnego Dominikanina, złodzieje dobrali się zaraz w nocy do grobowca i wypruli mu tłuszcz z brzucha.

Niemniejszą rolę odgrywają i kości zmarłych, które obok tłuszczu, ziemi z grobu, czy strużyn z krzyża drewnianego na grobie, jako przesiąknięte potęgą nieboszczyka, przed którą żyjący mają zawsze zabobonny strach, służą jako lek i do czarów. Martwą kostkę, twardą narośl na ciele ludzkim, jakby skostniałą, gubi się przez pocieranie jej kością zmarłego, dobytą z grobu i odniesioną z powrotem na stare miejsce, lub przez naciśnięcie trzykrotne palcem ręki nieboszczyka. Kości zmarłych są od wieków używane jako fetysze broniące ich posiadaczy przed wszelkim złem. Takież tylko pogłębione znaczenie posiadają chrześcijańskie relikwie świętych. Żydówki stare chustkę położoną na grobie cadyka kładą pod poduszkę chorych, aby ci wyzdrowieli. Piasek z grobów jako proszek leczy różne choroby.

A dalej ślina leczy liszaje i chroni przed urokami. Wydaliny i wydzieliny ludzkie i zwierzęce suche lub płynne, jak kał, mocz, pot, wreszcie paznokcie, włosy ludzi i zwierząt, to bardzo często środek leczniczy. Łajno krowie przykłada się na zapalenie oczu; łajno gęsie podaje się chorym na czerwonkę; na obrzękłe brodawki sutkowe u dzieci, po ich wyciśnięciu z mleka, przykłada się kał własny dziecka; słoninę i wątrobę podaje się do jedzenia na Wielkanoc, by uchronić się od ślepoty. Rozumie się, że zaznaczam to w tym miejscu tylko pobieżnie, bo właściwy, dokładny opis wszystkich zabiegów leczniczych szczegółowo omówię przy odpowiednich chorobach.

Wszystkie środki ludowe, bez względu na ich pochodzenie, są używane wewnętrznie i zewnętrznie. Znaczna część leków

z dobrym skutkiem jest stosowana tak dla ludzi, jak i dla bydła, tylko w odpowiednio silniejszych dawkach.

Poza roślinami ogromne znaczenie lecznicze posiada r o s a zbierana przed świtem (do czarów sitem), tzw. *woda nieruszana*, tj. woda zaczerpnięta ze źródełek przed świtem przez pierwszego człowieka, dalej tzw. *woda z nieba*, zebrana w wydrążeniach kamieni. Niemniej bardzo ważną rolę odgrywa i woda święcona przy różnych okazjach, jak woda jordańska z 19. I., woda z Trzech Króli 6. I. i woda święcona w dzień św. Agaty 5. II. Toż samo i kreda święcona w dniu Trzech Króli.

O g i e ń zawsze był czczony i uznawany od najdawniejszych czasów jako środek oczyszczający, dezynfekcyjny, a tym samym jako jeden z najsilniejszych środków leczniczych. I dzisiaj jest on jeszcze czczony podświadomie przez nasz lud. Nie pozwalają przeto wieśniacy np. splunąć na ogień dzieciom, by obrażony przez to ogień nie obsypał ich twarzy ognikiem. By ukarać kogoś, kto zanieczyszcza kałem okolicę ich domu, posypują znaleziony kał *pryskiem* drobnym, żarzącym się węglem, a cały tyłek sprawcy obsypie (obrażony ogień) pryszczami. Przy *zagniecicy* podgartują węgiel trzy razy od siebie, przy urokach puszczają 7 węgli na wodę, po czym tę wodę piją.

Znajomość właściwości leczniczych pewnych roślin i innych środków, podobnie jak i formułki zamawiań przekazuje się tradycyjnie z ojca na syna, a nawet z rodziców na dzieci przez całe pokolenia. Część tych wiadomości przyswojono sobie z apteczek w dawnych dworach szlacheckich, skąd szły na wieś dekokty i balsamy, nabywane bądź to przez dwór jako recepty od sławnych medyków, bądź też przepisywane z farmakologij współczesnych (tzw. sławnych zielników), lub nawet zdobywane drogą kupna za drogie pieniądze od znachorów i wędrowców z dalekich krain. I tym możemy wytłumaczyć sobie poziom leczniczy medycyny ludowej, odpowiadającej mniej więcej XVI i XVII wiekowi medycyny właściwej.

Że czasem jakiś środek ludowy w pewnym wypadku pomoże, że ten środek odpowiada pojęciom medycyny właściwej, to jednak medycyny ludowej nie możemy brać pod uwagę ani traktować serio, bo w stanie pierwotności, w jakim się ona zasklepiła, może ona przynieść tylko przeważnie szkodę, a nie pomoc dla zdrowia. Bezwzględnie jako odbicie drogi czy szlaku, po jakim szła kultura od najdawniejszych czasów, jako dokument

historyczny dla rozwoju kultury, jest ona zawsze źródłem wprost nieocenionym, tylko trzeba chcieć czerpać z niego do woli.

OGÓLNY PODZIAŁ LECZNICTWA LUDOWEGO

Wedle przekonań ludowych wszystkie choroby dzielą się na: 1) wewnętrzne, 2) zewnętrzne i 3) kobiece. Wszystkie te choroby mogą być nasłane przez złość, a więc przez postronnych ludzi. Tylko przez złość powstają: brodawki, liszaje, róża, zimnica, reumatyzm i grupa chorób wenerycznych, a zwłaszcza rzerzączka.

I. Wewnętrzne są albo: 1. *z podźwigania* albo *z oberwania* (zaliczają się tutaj wszystkie opuszczenia trzew, przepukliny, nerka wędrująca, łamania i bóle w krzyżach), 2. *z wiatru* czyli *podwiania* (apopleksja, paraliż, rwa kulszowa, postrzał), 3. *z przestudzenia* czyli *zaziębienia* (grypa, zapalenia płuc, gościec stawowy, mięśniowy, zapalenia gardła, choroby serca, omdlenia), 4. *z nerwów* (udary krwi do głowy, obłęd, spowodowane przez złość, czy irytację), 5. *z żółci*, czy też *szkodliwych pokarmów*, czy z ich *ostrości* (katary kiszek, żołądka, choroby wątroby: kamica, żółtaczka, kolki, ostre biegunki: czerwonka, cholera, zaparcia i na skutek tych: skręt kiszek, zapalenie wyrostka robaczkowego, zapalenie otrzewnej, katary pęcherza, choroby nerek).

II. Zewnętrzne choroby pochodzą: 1. *z ostrości krwi* (wrzody: czyraki, swędzenie, osutki), 2. *z urazów* (ropowice, zanokcice, złamania, zwichnięcia, skaleczenia).

III. Do kobiecych zaliczają: upławy czerwone (poronienia), upławy białe (wszelkie katary pochwy macicy), niepłodność, nieprawidłowe ułożenie macicy i choroby jajników.

Z tego widzimy, że lud nasz jest wyznawcą teorii humoralnej głoszącej, że od stosunku mieszania się soków ustrojowych zależne jest zdrowie lub choroba. I według tego przytoczonego powyżej schematu należałoby omawiać całość medycyny ludowej. Jednakowoż podział taki byłby zbyt chaotyczny, nie dawałby jasnej orientacji zwłaszcza czytelnikowi, który gubiłby się w powodzi powtarzających się sposobów leczniczych.

Dla lepszego więc przeglądu zmienię ten system ludowy i do samego lecznictwa obejmującego całe życie człowieka, dodam jeszcze zabobony i zwyczaje oraz wierzenia i obyczaje związane z ciążą, porodem i połogiem. Sam zaś dział chorobowy zmienię również, tak że całość obejmie:

I. Zabobony, wierzenia i obyczaje związane z narodzinami i rozwojem człowieka: 1. ciąża, 2. poród, 3. chrzest.

II. Lecznictwo ludowe: 1. w chorobach dzieci, 2. kobiecych, 3. nerwowych i umysłowych, 4. w chorobach narządu krążenia krwi, 5. oddechowego, 6. trawienia i przemiany materii, 7. w chorobach moczowych i wenerycznych, 8. skóry, 9. ruchowych i chirurgicznych, wreszcie 10. w chorobach narządów zmysłów (oczu, uszu, nosa).

III. Spis środków leczniczych.

Sądzę, że taki podział ułatwi znacznie czytelnikom orientację, i nie dopuści do powtarzania się, które zabierałoby wiele miejsca i mogłoby znudzić.

II. Zabobony, wierzenia i zwyczaje związane z narodzinami i rozwojem człowieka.

CIĄŻA

Przyjście na świat dziecka, jego chrzciny, wesele będące zawiązkiem przyszłej rodziny, śmierć i z nią połączony pogrzeb, to najważniejsze jakby rozdziały w życiu ludzkim w ogóle, a naszych wieśniaków w szczególności. Nic więc dziwnego, że z tymi zdarzeniami wiąże się bardzo wiele zabobonów, wierzeń i przesądów u naszego ludu.

Zabobony tego działu, tyczące się samej ciąży, stawiają horoskopy płci, charakteru i wyglądu przyszłego członka rodziny, dbają o zabezpieczenie przed złymi wpływami zewnętrznymi tak rozwoju fizycznego jak i duchowego płodu i noworodka, jako też zamykają w ścisłych ramach postępowanie ciężarnej. Normują więc jej sposób życia, obchodzenia się z ludźmi, otoczeniem żywym i martwym, zachowanie się jej w czasie ciąży, porodu, połogu i po nim.

Na to się młodzi żenią, by stworzyć nową rodzinę. Zajście więc w ciążę przez młodą mężatkę nie wywołuje u wieśniaków zdziwienia. Dziwią się raczej, gdy małżeństwo długo czeka na potomstwo. Wprawdzie rachują, kiedy mogłoby przyjść dziecko na świat, ale w ostateczności niezbyt się dziwią, gdy dziecko urodzi się już w parę miesięcy po ślubie. Zajściem więc w ciążę nie martwią się wydane za mąż dziewczęta, ale przeciwnie cieszą się nawet z tego powodu. Zatrzymanie się regularności jest

pierwszym znakiem zapowiadającym znalezienie się *przy nadziei, w błogosławionym stanie, w stanie odmiennym, w ciąży, w cięży.*

Gdy więc regularność się nie zjawia przez parę tygodni po terminie, kobieta poddaje się spokojnie całemu szeregowi krępujących ją przepisów w tym celu, by dziecko urodziło się dobrze, było zdrowe i piękne. Bo jaką jest kobieta w okresie ciąży, takim będzie i jej dziecko, *taka detyna, jak maty, koły ju nosyła.* Kobieta więc ciężarna powinna być stateczna, spokojna, niekłótliwa, wesoła, zadowolona i pracowita.

Powinna więc unikać wszelkich okazyj, gdzie mogłaby ją spotkać przykrość, co tym samym mogłoby odruchowo w niej złość wywołać. Nie jest to bowiem bynajmniej pożądane ani ze względu na nią, ani na jej dziecko, ani na tych, przeciw którym się złość jej zwraca. Ciężarna kobieta jest w przekonaniu ludu wiejskiego niemożliwie zazdrosna, mściwa, chciwa i posiada moc szczególną; gdy czegoś zapragnie, a nie otrzyma, to rzecz której pragnęła zepsuje się lub zniszczy. A w złości taka kobieta może pragnąć rozmaicie, więc raczej nie należy jej gniewać. Gdy prosi o coś, a *taka kobieta ma zachcianki,* nie należy jej odmawiać. Jeśli jednak żądanego przedmiotu dać się nie może, lub nie chce, należy zapobiegawczo powiedzieć — choćby w myśli — *moje szmatia w twojij skryni* lub rzucić czymkolwiek za ciężarną, w ostateczności splunąć trzy razy. Gdy się rzuci czymś ostrym, np. nożem, siekierą, szkłem, blachą, dziecko, które ma przyjść na świat, urodzi się z rozciętą wargą; gdy kłakami, to kępki włosów noworodka tu i ówdzie do kłaków będą podobne; gdy rzuci ktoś kredą, węglem, szmatą, to noworodek kredę, węgiel lub szmatę jeść będzie. By więc dziecku nie szkodzić, lepiej uczynić zadość prośbie ciężarnej kobiety. Czynią to nawet domownicy, a więc i ci, którzy są mniej na niebezpieczeństwo z jej strony narażeni, wierząc święcie, że odmowa nie tylko im samym może by szkodę przyniosła, bo myszy pogryzłyby im coś najkosztowniejszego lub najmilszego, ale także zaszkodziłaby i przyszłemu dziecku.

Ciężarna ma pewne *zachcianki* tyczące się jadła, napitku, czy innych rzeczy[1]). Ma przy tym pewne nienaturalne i nienor-

---

[1]) „Zachcianki przydarzają się według zestawień Kehrer'a u 55% kobiet ciężarnych, a są wyrazem urojeń w zakresie zmysłu smaku, podobnie jak i wstręt do różnych potraw i napojów. U prawie wszystkich kobiet ciężarnych

malne w zwyczajnych warunkach nastawienie charakteru i umysłu. Diabeł ją tak kusi. Powinna więc pokonać to wszystko swoją wolą, gdyż zaspokojenie pokus wpływa na charakter przyszłego dziecka. Dziecko byłoby samolubem nieuznającym nikogo tylko siebie. *Zachcianki* te mają być najpewniejszą oznaką ciąży. Gdy matka leniwa wysypia się, niczym się nie zajmuje, takie będzie i dziecko. Gdy pije, dziecko będzie pijakiem, gdy ukradnie choćby drobnostkę, dziecko będzie złodziejem itd. Bo takie jest dziecko, jaką była matka, gdy z nim chodziła.

Muszę tu wspomnieć o tzw. *zapatrzeniu się*, przesądzie bardzo zakorzenionym nie tylko u nas[1]). Zapatrzenie się wedle ludu naszego istnieje bezwzględnie i odgrywa bardzo ważną rolę w życiu ciężarnej kobiety. Ciężarna więc nie powinna przypatrywać się rzeczom brzydkim lub obrzydzenie wzbudzającym, przede wszystkim potworom, kalekom, rozpłatanym i poćwiartowanym przez rzeźników zwierzętom itd., natomiast powinna patrzyć się na ludzi, których chciałaby mieć za wzór dla swego dziecka, czy to z powodu ich charakteru, czy też wyglądu zewnętrznego. Gdy przeto ciężarna zobaczy coś obrzydliwego, dla odczynienia uroku powinna natychmiast spojrzeć w górę, a nic się już złego nie stanie; natomiast splunąć jej nie wolno, bo albo dziecko urodziłoby się nieżywe, albo w niedługi czas po urodzeniu by umarło.

Jeżeli ciężarnej wieśniaczce wypadnie przejść koło czegoś cuchnącego, choćby była na zapachy bardzo wrażliwa, nie wolno jej zatykać ani nosa ani ust, bo dziecku czuć by było z ust i z nosa i to tak jak w tym miejscu. Jeżeli przestąpi ona przez

---

spotykamy wstręt do mięsa, u 30% do kawy i piwa, u 25% do potraw mącznych, u 10% do ziemniaków i mleka". Dr Hojnacki Władysław: Hygiena kobiet. Lwów 1910, wyd. III, str. 196.

[1]) „Powszechną jest wiara, że kobieta ciężarna może być do tego stopnia wzruszona na widok jakiegoś przedmiotu, zwierzęcia lub człowieka, że płód jej może przybrać rysy, kształty, lub w ogóle właściwości owego obserwowanego przez matkę przedmiotu, może się stać doń podobnym. Sprawa ta rzekomo ani sprawdzić, ani wytłómaczyć się nie daje i zdaje się polegać tylko na ludzkim zwyczaju przypisywania jakiegoś szczęścia lub nieszczęścia najdrobniejszej nieraz okoliczności i przypadkowi. Jak jednak byłoby dowodem ciemnoty twierdzić, że istnieją skutki zapatrzenia się, tak też byłoby conajmniej nierozsądnie zaprzeczać stanowczo, że nagłe i silne wrażenia mogą być dla ciężarnej szkodliwe. Najlepiej tedy uczyni kobieta unikając wszystkich sposobności, przy których by przestraszyć się mogła". Hojnacki: Hygiena kobiety, str. 202.

kosę, siekierę lub coś ostrego, to dziecko urodzi się z *podzieloną brodą,* albo z *rozciętą wargą;* gdy przejdzie przez *koromesło,* dziecko będzie rzucać w tył głową. Matka nie je odgrzewanych potraw, by dziecko nie miało krzywych nóg. W myśl tego przesądu każde dziecko krzywicze, rachityczne, to wynik nieprzestrzegania przepisu w czasie ciąży przez matkę. Przez sznury czy powrozy, niemniej przez ogórki, arbuzy, chmiel, fasolę tyczną nie przestąpi ona, by nie czynić sobie porodu ciężkim i trudnym. Jak bowiem powrozy lub pnącze roślinne wiążą i krępują, tak byłoby i przy porodzie. Ciężarne nie noszą żadnych tasiemek, ani sznurków z medalikami na szyi, by pępowina nie otoczyła szyi dziecka i nie udusiła w czasie porodu; nie kopią nogą psa, ani kota, ani innego stworzenia owłosionego, by dziecko nie porosło sierścią lub przez siedem lat nie było obsypane *pryszczami* względnie *psiurkami.* Tak samo nie wolno im niczego zaszywać ze swojej odzieży, bo przez to utrudniałyby sobie poród. Nie wejdą w piec, by go wylepić, bo przyszłe dziecko byłoby astmatyczne. W piecu bowiem brak powietrza, jest zaducha, tak i dziecko dostałoby *zaduchy.* Nie nosi się w *podołku* (fartuszku) surowego mięsa, bo dziecko miałoby przyrośnięty języczek, ani cebuli, bo dziecko byłoby *zołzowate* (skrofuliczne), ani jakiegoś nasienia, bo dziecko obsypie pryszczami. Fartuszka nie zawiązuje się w pasie, żeby dziecko nie było złodziejem. W czasie pożaru w przestrachu nie wolno ciężarnej chwycić się za część ciała nieokrytą odzieżą, bo dziecko urodziłoby się z czerwoną lub siną plamą na tym samym miejscu *(naevus pigmentosus).* Nawet na pożar patrzyć nie powinna, bo może urodzić się dziecko z tzw. *płomieniem.* Nie powinna przeciskać się łokciami między stojącymi w gromadzie ludźmi, bo dziecko jej cierpieć będzie na *ściskanie* (kurcze brzucha). Nie napije się ona ani wody, ani mleka z dużego naczynia, jak: wiadro, szafel, rynka, by niemowlę nie miało ogromnej głowy, a tym samym, *by poród nie był ciężki.* W czasie ciąży zęba rwać nie wolno, bo dziecko będzie blade, anemiczne i chorowite. Widocznie upływ krwi po wyjęciu zęba biorą pod uwagę[1]). Z tegoż samego powodu nie wolno jej krwi

---

[1]) „Ciąża nie stanowi wprawdzie przeszkody do naprawy zębów, ale gdy kobieta jest z natury bardzo nerwową i wrażliwą, lepiej ograniczyć się tylko do najniezbędniejszych zabiegów i to wykonywanych jak najostrożniej". W. Hojnacki: Hygiena kobiet, str. 196.

puszczać, ani stawiać pijawek. Gdyby ciężarna przyszła w dzień wigilijny Bożego Narodzenia prosić o pożyczenie ognia, porodzi dziecko glinę jedzące.

Kobieta w odmiennym stanie nie powinna w niedzielę robić nic takiego, co mogłoby wywołać zadziwienie się czyjeś, gdyż to, co wtedy robi, odbije się na dziecku: gdyby np. *obłupywała skórę* ze świńskich nóg, dziecko będzie miało nogi czerwone, jakby ze skóry obłupione. Ale zdarza się to tylko wtedy, gdy ktoś drugi zdziwiony zapyta: *a ty co robisz, nie mogłaś tego zrobić wczoraj?* Pomyj ani wody przez próg ciężarna nie wyleje, bo dziecko chorowałoby na wymioty. Jadąc wozem kobieta w ciąży nigdy nie siądzie tyłem do koni, bo poród odbywałby się nieprawidłowo. Gdy ciężarnej pieprz przypadkowo przy tłuczeniu się rozsypie, to w miejscach, gdzie na nią odrobina jego padła, przyszłe dziecko będzie miało na ciele *pieprzyki* i to wielkości takiej samej, jak rozsypane okruszyny. Ciężarnej zmarłych nawet krewnych całować nie wolno, bo urodzone dziecko będzie nieme i podobnie *jak umarli, będzie miało usta zawarte.*

Gdy na płynącej wodzie tworzy się piana, żadna kobieta, a więc ani dziewczyna, ani mężatka przez wodę wtedy nie pójdzie z obawy, by nie porodzić kiedyś na wodzie, tj. w czasie roboty na rzece, jak pranie bielizny, moczenie konopi, lnu. Bielizny pogryzionej przez myszy mężatka naprawiać nie będzie, bo skoro urodzi dziecko, nie będzie miała w piersiach pokarmu. Dziewczynie nie pozwalają nigdy siadać na konewkę, bo gdy wyjdzie za mąż, rodzić będzie dzieci z ogromnymi głowami.

Kobieta ciężarna mająca urodzić córkę ma brzuch ogromny, podczas gdy przyszły syn nie bardzo zmienia jej figurę. Gdy ciężarną boli i kłuje w prawym boku, to z pewnością będzie syn, gdy w lewym to córka. Kiedy brzemienna ma twarz obrzydliwą, znacznie zmienioną, pokrytą licznymi plamami, lub — jak mówią wieśniacy — *rabatą*, tz. jakby piegami obsypaną, przyjdzie na świat córka; tak samo wtedy, gdy matka na mięso patrzyć nie może. Natomiast gdy twarz ciężarnej nie bardzo zmieniona, a matka ma apetyt na mięso, będzie syn. Gdy maleńkie dziecko płci żeńskiej jako pierwsze swe słowo wypowie „tata", a więc nazwie ojca, najbliższy potomek będzie chłopcem, gdy zawoła „mama", będzie córka; u dziecka-chłopca na odwrót. Wieśniacy uważają mężatkę, która ma samych synów za pannę, kobietą

staje się dopiero po urodzeniu córki, *bo syn màtce nic nie psuje, tylko dziewczyna*. Gdy kura w jednym dniu zniesie dwa jaja w domu gdzie jest ciężarna kobieta, to ta z pewnością porodzi bliźniaki. Tak samo dziewczyna, która zjadłaby będąc jeszcze niezamężną owoce bliźniacze często zresztą spotykane, zwłaszcza pośród owoców leszczyny, jabłoni a nierzadko i śliw, po ślubie rodzić będzie bliźnięta. To samo choć w znacznie mniejszej mierze dotyczy i chłopców. Dlatego to znalazłszy bliźniaczy owoc, dzielą się ze sobą i to najczęściej chłopiec i dziewczyna. By nie rodzić bliźniąt, nie będzie niosła ani dziewczyna, ani kobieta zamężna nigdy dwu sierpów, lub dwóch kijanek *praników*. Kobieta będzie mieć tyle dzieci, ile razy trzaśnie pociągnięty przez nią za *puczkę* (opuszkę) palec. Bocian przelatujący nad nowozaślubionymi jest dla nich przepowiednią licznego i zdrowego potomstwa. Z dwu sióstr bliźniaczek, skoro obie wyjdą zamąż, jedna tylko mieć będzie potomstwo, druga będzie bezpłodną.

Ogólne jest tu wierzenie, że pod ciężarną kobietą nie może schować się przed gniewem Bożym diabeł, a to dlatego, że ona nosi w sobie niewinne dziecię, a nad niewinnym czuwa Pan Bóg i strzeże go od złej przygody. Z tej to przyczyny ani ciężarnej kobiety, ani chaty gdzie jest niemowlę piorun jeszcze nigdy nie trafił. Bo tak już jest, że gdy diabeł drażni Pana Boga, ten w gniewie rzuca weń piorunami; diabeł więc gdzie może chroni się, rozumie się, że pod to, co najbliższe, a więc pod drzewo, jakiś budynek, nawet człowieka, czy zwierzę, a piorun trafia to, pod co się diabeł ukrył i zabija lub zapala. Ale nigdy jeszcze jak świat światem ciężarnej kobiety lub niemowlęcia nie trafił.

PORÓD i PIELĘGNACJA NIEMOWLĘCIA

W czasie samego aktu rozwiązania, gdy nastąpią już silne bóle, dla ułatwienia i przyspieszenia porodu podają położnej do picia wodę, lemoniadę, wódkę ze smalcem lub miód z masłem i korzeniami. Te same leki daje się na wzmocnienie osłabionej położnicy i po porodzie. Poród odbywa się mniej więcej nieoczekiwanie, ponieważ matka może tylko w przybliżeniu określić termin rozwiązania. Przed rozwiązaniem nigdy nie poddaje się ona ani badaniom lekarskim, ani akuszerki. Poród odbywa się prawie zawsze siłami natury. Zaledwie ułamek

odsetka rodzących zwraca się o pomoc do *lekarki* (akuszerki) i to nieraz już po parudniowych bezskutecznych próbach, gdy konieczną jest ingerencja lekarza. Reszta porodów odbywa się przy asyście *baby*, czy *babki*, mimo że akuszerka egzaminowana znajduje się pod ręką, bo obecnie już w każdej większej wsi mieszka położna i to egzaminowana. *Baba* jednak jako zabytek starosłowiańskich czasów, gdy najstarsza w gromadzie, a więc i najdoświadczeńsza w tej materii odbierała dzieci, jest o wiele wygodniejsza. Ma ona za sobą doświadczenie i własne i tylokrotną praktykę przy położnicach, kosztuje zaś znacznie mniej od egzaminowanej akuszerki, a w dodatku poza pomocą „fachową“, że się już tak nieściśle wyrażę, zna cały szereg zaklęć i przepisów, których należy bezwzględnie przestrzegać, aby sam poród był lekki, dziecię żywe i zdrowe, a żadne złe siły nie miały doń przystępu. Bo — wedle wierzeń ludu — małe dziecko jest wystawione na wiele niebezpieczeństw ze strony złych istot, jak *strzygi, płaksy, czarownice*. A w tych sprawach to najbardziej zdolna egzaminowana położna jest głupia. Obok *baby* chętnie pomagają rodzącej sąsiadki. Podkładają więc gałązki pod kuchnię, grzeją wodę na kąpiel, podają położnicy w garnuszku po łyku chłodnej wody, poprawiają poduszki pod głową podsuwając je, wyciągają z pod rodzącej prześcieradło, by się nie splamiło i zastępują je kawałkiem szmaty itp. Mężczyzn natomiast wypraszają do drugiej stancyjki, by nie przeszkadzali, bo i tak pomóc nic nie potrafią.

Gdy wyjątkowo poród ciężki, ułożenie płodu nienormalne, a baba sama rady dać nie może, wiele godzin upłynęło bezpowrotnie, wołają wreszcie w ostatniej chwili akuszerkę. Ta zazwyczaj przychodzi po to, by posłać po lekarza dla rozkawałkowania i wydobycia trupa dziecka, rzadziej dla porodu kleszczowego. Nie dziw więc, że dość często trafiają się wypadki ciężkich schorzeń, a nawet i śmierci u kobiet wiejskich, bo *baby* nierzadko zabierają się do rękoczynów, zwłaszcza przy nieodejściu łożyska (łożysko przyrośnięte), rękoma nieumytymi, czasem wprost od wyrzucania nawozu z pod krów.

Łożysko wydobyte zakopują głęboko w ziemię, aby je uchronić przed odgrzebaniem przez psy lub koty i poszarpaniem, bo to szkodziłoby bardzo przy następnym porodzie. Sam poród odbywa się na łóżku, przeważnie na gołej słomie, z podłożoną pod plecy i pośladki rodzącej brudną szmatą, najczęściej ze starego worka lub zupełnie zniszczonej *werety* (prześcieradła).

W czasie porodu, aby ten lekko się odbywał, otwierają wszystkie drzwi, kłódki i zamki. W tym samym zresztą celu dziewczyna idąc do ślubu nie ma nic mocno zawiązanego, ani nie jest ściśnięta w pasie. Gdy kobieta rodzi, zasłaniają okna i starają się sam fakt utrzymać w tajemnicy, bo gdy jest rozgłos, to zarazem jest i poród ciężki. Kobiecie rodzącej nie wolno zaciskać zębów z bólu, aby nie wykruszyły się; specjalnie przednie są na to narażone. Gdyby więc musiała zęby zacisnąć, powinna wpierw włożyć między nie kołdrę, poduszkę, czy wogóle jakąś szmatę, choćby własną koszulę. Nie powinna rodząca także targać się za włosy, by ich zbytnio nie zmierzwić, bo uczesać je będzie jej wolno dopiero po trzech dniach połogu, by nie wypadały. Również nakazują jej krzyczeć, bo to ma poród przyspieszyć. Napinać się jej wolno, ale tylko w ten sposób, by żuchwa dolna wsparta była o mostek rodzącej, bo inaczej zrobiłoby się jej *wole* (struma).

Gdy rodząca krzyczy, a akt zbliża się powoli ku rozwiązaniu, przygotowują wodę na pierwszą kąpiel dla dziecka. Woda na nią powinna być nawet gorąca, ale nie śmie zakipieć, by dziecko *nie kipiało ze złości* (nie było złośnikiem). Do pierwszej kąpieli dodają liści leszczynowych, liści orzecha włoskiego, macierzanki, a czasem i dziewanny. Wszystkie te zioła na wzmocnienie kości, na dobre gojenie się ewentualnych kiedyś ran i przeciw wypryskom. Zwykle unikają kąpania dzieci w piątek, jako że to dzień postu i taka kąpiel suszy dziecko. Dla matki natomiast gotują *krupnik* (miód z wódką i korzeniami), by zaraz po porodzie podać go chorej dla wzmocnienia, a zarazem by wlać kilka kropel i do ust dziecka, jako rodzaj leku, czy płynu oczyszczającego. Zarazem alkohol ten wlany w usta dziecka ma wywołać w przyszłości u niego obrzydzenie do pijaństwa. Zabieg ten powoduje u dziecka oparzenie gardła, a nawet i zapalenie zachłystowe płuc, gdy *baba* — sama pod dobrą datą — za wiele krupniku w usta dziecku wleje. Śmierć dziecka przypisuje się wówczas oczywiście różnym czarom. Poza tym położnicy na ugaszenie pragnienia po porodzie nie podadzą nigdy wody, a tylko herbatkę ślazową (*Althea rotundifolia, Malva crispa*) lub rumiankową (*Mairicaria chamomilla*). Czasem, ale to rzadko stosunkowo, na wzmocnienie podają położnej odwar piołunu (*Arthemisia absynthium*) lub liści *sawiny (Junipperus sabinae*), ale i te pomieszane z wódką lub miodem. Dziecku po kąpieli wle-

wają w usta kilka łyżeczek herbatki rumiankowej i wsadzają smoczek ze szmatki w tej herbatce umaczany. Gdy dziecko wykąpane, wszyscy domownicy wraz z *babką* i położnicą wychylają duszkiem po kieliszku krupniku, czy wódki wylewając pozostałych na dnie parę kropel na sufit na znak zadowolenia i radości i jakby na ofiarę bogom, czy siłom niewidzialnym. Zresztą dzieje się to przy wszystkich wesołych obrzędach, jak chrzciny, wesele, kupno i sprzedać czegokolwiek wartościowego, a także i na stypie pogrzebowej.

Położnicy po porodzie zasnąć nie pozwalają przynajmniej przez cztery godziny, bo i jej by to zaszkodziło i dziecku. Stara się ona jak najprędzej wstać i pracować, by okazać się żwawą i silną, bo takie mąż lubi. Często przeto zdarza się, że już następnego dnia, a nawet w kilka godzin położnica idzie do moczenia konopi, lub do żniw, nie mówiąc już o zwykłych zajęciach gospodarsko-domowych. Jednakowoż aż do *wywodu* nie śmie ona pokazywać się poza swoim podwórzem, *by urok jej się nie czepił*. W tym też celu stale przy sobie nóż żelazny nosić powinna. Jednakże zwyczaj ten już się zatraca powoli. Również nie wolno pracować przed wywodem w świątyni, bo przedmioty dotknięte przez położnicę zepsują się: jarzyny zgniją, bydło, któremu ona da jeść, zginie, a przynajmniej wychoruje się, *przestanie się doić i wyjałowieje*. Ażeby więc tego wszystkiego uniknąć, chrzczą dziecko i biorą wywód już choćby w następnym dniu po porodzie, a gdy wywód tak rychły wskutek znacznego osłabienia chorej jest niemożliwy, a ta wreszcie czegoś tknąć się musi lub cośkolwiek zrobić, powinna to uczynić przez nóż, sierp, w ogóle przez coś ostrego i z żelaza. Tym narzędziem przecina niejako wpływ złego uroku. Zresztą ten sam przepis dotyczy i kobiety w czasie miesiączki, ale wtedy w dziale ogrodniczym. Przesądy te są zabytkiem starego wierzenia, że kobieta w czasie swych przypadłości fizjologicznych jest istotą nieczystą (podobnie u Żydów i wielu ludów pierwotnych).

Dopóki kobieta nie była z dzieckiem w świątyni, czyli nie ofiarowała go Bogu, nie powinna się od niego oddalać, żeby wiedźma podczas jej nieobecności dziecka nie zamieniła. Każda matka uważa, że jej dziecko jest najpiękniejsze i najlepsze, a cudze najgorsze, dlatego na jej dziecko wszyscy się łakomią. Nowonarodzonemu dziecku oblizuje matka językiem czoło trzykrotnie spluwając za każdym razem poza siebie, by go urok się

nie czepił. Gdy mu podaje pierwszy raz pierś do ssania w 24 godziny po urodzeniu, musi zawsze dać pierś prawą i to prawą ręką, inaczej dziecko byłoby mańkutem. Z tego samego powodu i kuma niesie dziecko do chrztu przez cały czas na prawej ręce. W czasie kąpieli dzieci piersią nie karmią, aby w późniejszym wieku nie utonęły w rzece lub stawie. Dlatego to już od mamaleńkości napychają je w kąpieli pszennym grysikiem lub bułką rozmoczoną i rozgotowaną w mleku. Aby im się prędzej wykłuwały ząbki, pocierają w czasie kąpieli ich dziąsła szmatką. Także, by w czasie rozwijania się dzieci skóra ich nie jątrzyła się po skaleczeniu i była wolna od wyprysków, od czasu do czasu kąpią je w odwarze liści leszczynowych *(Corylus avellana)*.

Gdy matka chce, żeby wszyscy jej dziecko bardzo kochali, powinna wnet po urodzeniu pocałować je w usta. Przy tym ryzykuje jednak bardzo wiele, bo dziecko ucałowane w usta będzie miało bardzo tępą wymowę i przez długi czas wcale mówić nie będzie. Ponadto całować w ogóle dzieci nie należy, bo przez to sen im się odbiera. Ale na tępą wymowę znają nasi wieśniacy sposoby. Gdy dziecko długi czas nie mówi, idzie matka do komunii św., a wracając po mszy do domu z nikim po drodze ani słowa nie zamieni. W domu przeszedłszy próg dmucha dziecku trzy razy w usta, po czym je w usta całuje. Dotyczy to jednak tylko starszych dzieci. W tym wypadku matka, która wymowę ma dobrą, a jednak mówić z nikim nie chciała po drodze, niejako przelewa te zdolności przez dmuchnięcie i ucałowanie na własne dziecko. Wobec młodszych dzieci stosuje się inny sposób. Matka zauważywszy w piecu chleb bliźniaczy wyjmuje go ostrożnie i rozdziela te dwa bochenki przełamując nad głową jąkającego się dziecka. To przełamanie części ciasta łączącego ze sobę oba bochenki jest zarazem symbolicznym przełamaniem i złej wymowy dziecka. Niemowląt niemówiących jeszcze nie zostawią nigdy razem samych, bo byłyby nieme. Zawsze pozostaje z nimi ktoś dobrze mówiący. By dziecko się nie jąkało należy — jeśli się coś mówi w jego obecności — słów zawsze dokończyć. Dopóki całkiem biegle i poprawnie nie mówi, nie dadzą mu ryby do jedzenia, bo dobrze mówić nie będzie, gdyż ryba jest stworzeniem niemym. Gdy dziecko nieprędko mówi lub nieco niewyraźnie, pewnie ma język przyrośnięty. I wtedy, zwłaszcza gdy chodzi o chłopca,

spieszą do akuszerki lub nawet częściej do lekarza, bo nuż baba podetnie język zanadto i dziecko *będzie mieliło językiem niczym pytel?* Dziecko, które szybko zaczyna chodzić, długo nie mówi i na odwrót.

W chacie w obecności dziecka niemówiącego jeszcze płynnie nie wolno wypowiedzieć słowa *zajać*, bo sen od niego tak szybko odleci, jak szarak biegnie. Zamiast niebezpiecznego wyrazu używa się określeń *skotyna, skot* lub *spluch*. Nie wolno także powiedzieć *żaba*, tylko *skakawka* albo *wesełucha*, bo dziecko dostałoby pryszczy na języku. Gdyby jednak ktoś przez zapomnienie powiedział *żaba*, powinien wnet dla odczarowania dodać: *czasnyk pid jazyk, a cebulka w sr...* Skoro dziecko pryszcze już dostało, matka idzie do świńskiego chlewa, macza w znajdujących się w korycie resztkach jedzenia palec i tym smaruje mu usta i język, a wypryski wnet znikną. Gdy się przy maleństwu mówi o diable, należy wpierw powiedzieć *Duch święty przy nas i przy dziecku*, a potem dopiero można mówić diabeł zrobił to, czy tamto. Koszulę dziecka piorą i suszą na prawą stronę, dopóki nie mówi ono zupełnie dobrze. Przewracanie bowiem koszulki z prawej na lewą stronę, mogłoby zaszkodzić jego mowie. Po podeszwach dziecka łaskotać nie pozwalają, bo by się jąkało. Aby zaś nie miało łaskotek, wkładają mu pod pachę żabę.

Aby *dziecku nie zawiązywać wzrostu*, kupują wszystko, czy to na ubranie, czy obuwie w nieco większej ilości lub nieco większe, niż potrzeba. Nazywa się to kupowaniem *na wzrost*, bo wtedy będzie ono pięknie rosło i rozwijało się. Podobnie w tym samym celu wszystko szyje się dzieciom dłuższe i szersze. Być może, że zabobony te są wynikiem oszczędności. Przez dziecko przestąpić nie wolno, bo nie będzie rosło. Żeby urok odczarować, gdy się już przestąpiło, należy wrócić tą samą drogą. Aby dziecko było tłuste, kąpią je w tłustych pomyjach lub częściej smarują całe jego ciało jakimś tłuszczem, niesolonym masłem, smalcem lub słodką śmietanką.

Pierwszą koszulkę dla dziecka powinna szybko uszyć sama matka z czegoś starego i przenoszonego. Jeżeli prędko się ją uszyje, to dziecko dojrzawszy rychło wyjdzie za mąż, względnie się ożeni, zarazem rosnąc bardzo szybko. Ma to dość duże znaczenie wobec przekonania ludu o celowości wczesnych związków małżeńskich, wyrażonego nawet w przysłowiu: *nechaj sia nikto ne kaje rano wstaty i wczasno sia wżenyty.* Najlepiej pierwszą ko-

szulkę szyć ze starej koszuli, by dziecko później nie darło nowej bielizny. Koszulki z *kryżma* szyje się dopiero w drugim roku jego życia. Koszulek dziecięcych nie pierze się kijanką, *pranikiem*, by dziecko nie zrobiło się *łajdakiem* i *rozpustnikiem* nieobyczajnym. Pieluch dzieci przez 12 tygodni w ogóle nie pierze się *pranikiem*, ani na bieżącej wodzie, tylko wypłukuje się dobrze w wodzie z kąpieli i wyżyma się dobrze w domu. Po tym czasie używa się już kijanki do prania pieluch chłopca. Gdy chodzi o pieluchy dziewczyny, to o tyle tygodni przedłuża się niepranie ich kijanką, o ile lat później matka pragnie mieć u swej córki pierwszą regularność. Gdy chce ją mieć w 15 roku życia, czy w 16, to pierze kijanką jej pieluchy po 15 czy 16 tygodniach, a po wypraniu już zwinięte pieluchy uderza pralnikiem 3, 4, czy 5 razy, bo zależnie od tego, ile razy je uderzy, przez tyle dni będzie miała dziewczyna swą regularność.

Skąpy będzie człowiek, który urodziwszy się zaciśnie piąstki. Przeważnie wszystkie dzieci zaciskają piąstki na znak egoizmu, jakby chciały zagarnąć dla siebie wszystko, cały świat. Gdy chłopiec najpierw słowem pierwszym matkę woła, zaś dziewczynka ojca, będą w życiu szczęśliwi. Również, gdy syn podobny do matki, a córka do ojca, wróżba to ich szczęścia w życiu. Kto jako małe dziecko był bardzo niechlujny i bardzo często walał pieluszki, skoro podrośnie, będzie miał ogromne szczęście do grzybów, zwłaszcza *prawdziwych* (borowików).

Ważne znaczenie dla przyszłego wyglądu i usposobienia dziecka mają stosunki meteorologiczne. Deszcz przy urodzeniu zapowiada usposobienie płaczliwe, wiatr z deszczem niespokojne, burza burzliwe, awanturnicze, pogoda jasna i spokojna usposobienie ciche i łagodne. Podobnie ważne są dzień i godzina urodzin. Kto urodził się w dzień feralny, albo krótko żyć będzie, albo żyć będzie w nędzy, bo *mu się nic nie ułoży, nic mu się nie będzie wiodło*. Wszyscy urodzeni w środę lub sobotę będą bardzo za życia szczęśliwi, po śmierci pójdą wprost do nieba nie przechodząc pokuty czyśćcowej, a także uroki ich się czepiać nie będą. Kto się urodzi w dzień św. Pawła, nie będzie mu szkodziło zupełnie ukąszenie węża, ani .gadziny, lub naplucie przez ropuchę. Ślina takiego człowieka posiadać nawet będzie własności lecznicze na ukąszenie węża u drugich ludzi. Kto urodzi się na pełni wyglądać będzie o wiele starzej, niż w rzeczywistości liczy lat, kto

zaś na nowiu wygląda młodziej. Urodzony na pełni jest pełniejszy na twarzy i ciele, na nowiu szczuplejszy i smuklejszy.

Aby dziewczyna miała powodzenie u płci brzydkiej, zaraz po urodzeniu należy ją przykryć kalesonami (u mieszczan praktykowane). By pochrzestniak — obojętnie jakiej płci — był mądry i elegancki, a nawet trochę w pretensjach, matka chrzestna po powrocie z chrztu z kościoła rozebrawszy go zupełnie stawia przed lustrem na krótką chwilę. Robią tak mieszczanie, natomiast wieśniacy nie pozwalają patrzyć dziecku w lustro, by go nie bolał żołądek. U mieszczan przechowują wyschnięty i odpadnięty pępek dziecka, aby, gdy już dorośnie, wrzuciło go między osoby płci drugiej. Będzie mieć wtedy ogromne u nich powodzenie. Przy pierwszej kąpieli rzucają rodzice do wanienki pieniądz, na jaki ich stać, srebrny, niklowy, czy miedziany po to, aby ich dziecko przez całe życie było bogate i poważane przez wszystkich, jak pieniądze, a zarazem tak tęgie i mocne jak kruszec, z którego pieniądz zrobiony. Ten pieniądz zabiera sobie na własność kąpiąca akuszerka. To u mieszczan. Wieśniacy zaś tak żonie jak i *babce* okupują się kieliszkiem wódki. Dzieci nieprawego łoża *benkarty* są zazwyczaj bardzo zdolne i szczęśliwe. Stoją duchowo wysoko dlatego, że zostały zrodzone jedynie z miłości.

Gdzie niemowlęta są w chacie, tam okna już wcześnie z wieczora zasłonięte, by księżyc na nie nie świecił, bo by płakały i stały się lunatykami. By dziecka nie czepiały się uroki, nie wolno nad nim wypowiedzieć słowa *niewroku*. Aby dziecko nie było roztrzepane, na patrona dają mu imię świętego z dnia urodzenia lub świętego z dni następnych, ale nigdy minionych, bo by się nie chowało, albo źle. Najlepiej dawać imię z dnia urodzin, to będzie miało bardzo dobrą pamięć. Kołyskę, najczęściej koszyk z prętów łoziny, uczepioną *do swołoka* (belki sufitowej) na haku, należy robić z nowego materiału i starać się, by materiału było więcej, jak potrzeba, by nieco zostało, a broń Boże zabrakło. Lepiej, gdy kołyska dłuższa i materiału trochę zostanie, bo dziecko będzie się dobrze chowało i dobrze rosło. Gdyby materiału brakło, dziecko nie rozwinie się. To samo tyczy się i kołyski z drzewa na biegunach. Deski ma być więcej (na zwyż, podobnie jak płótna na wzrost) i nie śmie się wziąć z takiego kawałka, z którego część zużyto na trumnę, bo dziecko umrze.

Gdy do chaty, w dniu, w którym na świat przyszło dziecko, zajdzie żebrak, dziecko włóczyć się będzie podobnie, jak i on po chatach sąsiadów. Dlatego to dziada w dzień taki nie wpuszczą nawet na podwórze, tym bardziej do chaty. I nie obdarzą go niczym, najmniejszą nawet drobnostką, którą mógłby zabrać ze sobą i wynieść poza wrota, bo jałmużna udzielona byłaby równoznaczna z jego bytnością w chacie. Gdyby jednak żebrakowi udało się wejść niespostrzeżenie do chaty, dadzą mu tylko nieco strawy i to płynnej do zjedzenia w izbie, bez dodawania chleba, kartofli, czy kaszy, a więc tego, co mógłby wynieść ze sobą, a wtedy zabobon nie będzie miał żadnego ujemnego wpływu na dziecko. Klasa mieszczańska i tzw. pseudointeligencja pragnąc przyswoić potomstwu jakiś talent, czy zdolność w pewnym specjalnie kierunku, czy zawodzie zaraz po urodzeniu się dziecka kładzie je na książkę, fortepian, skrzypce itp. Wyrośnie ono wtedy na uczonego, poetę, powieściopisarza, zależnie od treści książki, na muzyka itd. Uważam jednak ten zabobon za naleciałość pochodzącą prawdopodobnie ze Lwowa, gdzie go również zaobserwowałem. Tutaj tak u mieszczan, jak i u wieśniaków jest praktykowane wierzenie, które poleca w czasie pierwszej kąpieli dać dziecku do rączki przedmiot z wykonywaniem danego zawodu związany, by było w przyszłości tym, czym się pragnie. Dają więc dziecku nożyce, by było krawcem, czy krawczynią, młotek, gdy chodzi o kowala, klucz dla przyszłego ślusarza, skrzypce dla grajka itd.[1]).

CHRZEST i PIELĘGNACJA DZIECKA

Skoro się tylko dziecko urodzi, ojciec jego zaraz daje znać o tym ważnym zdarzeniu sąsiadom. Jest to właściwie zbędne, bo od pierwszego krzyku położnicy najbliższych sąsiadów pełna chata. Zwyczaj jednakże zwyczajem. Choć więc o porodzie właściwie wszyscy już wiedzą najdokładniej, zawiadomić jednak o tym potrzeba i wypada. Pewne przepisy towarzyskie są obowiązujące zawsze i niemniej ściśle przestrzegane.

Równocześnie za radą żony zaprasza ojciec upatrzonych *kumów*, by byli łaskawi trzymać jego dziecko do chrztu. Kumów łączy poza tym z rodzicami chrzestniaka i z nim samym trochę ściślejszy związek. Stanowią oni jakby nieco dalszą rodzinę,

---

[1]) Wierzenia takie znane są ogólnie. Przyp. red.

względem której ma się obowiązki, ale i która jest również zobowiązana wobec chrzestnego. Gdyby rodzice pomarli, a bliższa rodzina nie mogła, czy nie chciała podjąć się wychowania dziecka, obowiązek ten spada na rodziców chrzestnych. Tak samo, gdyby opiekunów trudno było znaleźć wśród najbliższych krewnych, powinni się zgłosić rodzice chrzestni.

Z wyborem kumów i ich zachowaniem się wiąże się cały szereg zabobonów i wierzeń. Wybiera się na kumów zawsze ludzi takich, jakim chciałoby się mieć dziecko, a więc bogatych, statecznych, uczciwych i pracowitych. Kuma przed wybraniem się z chrzestniakiem do kościoła musi się przebrać bezwarunkowo w czystą i świeżą bieliznę, by dziecko miłowało się w czystości. Wszelkie zaś potrzeby fizjologiczne musi załatwić jeszcze przed przywdzianiem świeżej koszuli. Gdyby je załatwiła już gotowa do wyjścia, dziecko byłoby niechlujne, nie tylko w młodości, ale nawet dorósłszy. To samo byłoby, gdyby nie zmieniła koszuli. Kumem nie może być mężczyzna żonaty a bezdzietny, bo chłopiec trzymany przez niego z pewnością niebawem umrze, a dziewczyna długo będzie chorować. Gdy chłopca trzyma do chrztu kawaler, pochrzestniak szybko się ożeni. Rodzice chrzestni niosąc dziecko do chrztu nie śmią nigdzie po drodze wstępować za sprawunkami, np. do karczmy, bo dziecko byłoby pijakiem. Panna może trzymać do chrztu chłopca, bo wtedy rychło wyjdzie za mąż, kawaler jednak nie powinien do chrztu trzymać dziewczyny, bo sam nie będzie miał szczęścia do dziewcząt. Kumowie wiozący dziecko do chrztu przez cały czas rozmawiają ze sobą głośno i śmieją się wiele, by dziecko byłe śmiałe i wesołe. Kuma niosąca dziecko do chrztu dostaje od matki *przylipkę, całuszkę* chleba, aby chleb się trzymał pochrzestniaka przez całe życie, kawałek cukru, aby mu życie płynęło słodko i nie zaznał w nim goryczy oraz główkę czosnku, by rósł zdrowo i diabeł do niego nie miał dostępu. Czosnek wedle wierzeń ludowych konserwuje zdrowie i broni od chorób, zwłaszcza zakaźnych. Otrzymane od matki rzeczy kładzie sobie kuma na brzuch i zwraca je po powrocie z kościoła do domu. Chleb wtedy dzieli matka między rodzeństwo, które go zjeść powinno, by jeszcze dane mu było spożyć *korowaj* na weselu ochrzczonego. Ma to również wpływ na późniejsze upodobania noworodka, a mianowicie czyni zeń człowieka niewybrednego w jedzeniu i zadawalającego się zawsze choćby kawałkiem suchego chleba. W tym samym celu cukier zjadają matka

i dziecko. Kumą nie może być kobieta w odmiennym stanie, jeżeli stan ten przed matką zatai, ponieważ zatajenie błogosławionego stanu może się zemścić zarówno na chrzestniaku, jak i na przyszłym dziecku kumy, bo albo ten pierwszy albo jej własny potomek umrze. Poza tym utajona przez kumę ciąża mści się jeszcze na chrzestniaku w ten sposób, iż dostaje on wyprysków odnawiających się co miesiąc, a tak męczących i wyniszczających jego organizm, że umrze nie dożywszy lat siedmiu. Gdyby jednak w jakiś dziwny sposób tę fatalną liczbę przeżył, wyzdrowieje bez żadnej pomocy leczniczej. Jeżeli jednak matka wie o tej tajemnicy, a mimo to prosi daną kobietę, to chrzestniak i jej własne dziecko będą się dobrze chować pod warunkiem, że kuma przy chrzcie trzyma chrzestniaka wysoko ponad swoim brzuchem. Niewiasta, która swojej znajomej przyrzekła trzymać dziecko do chrztu, powinna przyrzeczenie bezwarunkowo wypełnić, gdyż w innym wypadku umarłoby jej najmłodsze dziecko. Zwalnia ją od tego przyrzeczenia tylko ciąża własna i to, o ile matka nie uprze się przy wypełnieniu obietnicy. Zwyczajnie ani mieszczanom, ani wieśniakom proszącym kogoś *za kumów* odmówić nie można, bo nowonarodzonemu odmawianoby potem przez całe życie. Po powrocie z kościoła wnosi pochrzestniaka kuma lub kum zależnie od jego płci do domu i oddaje do rąk matce. Po czym następuje przyjęcie, tzw. *gościna.* Wszyscy piją po kieliszku wódki lub nawet po kilka zależnie od stanu majątkowego rodziców dziecka, zjadają chleb z kiełbasą lub słoniną i wypijają po szklance piwa opowiadając sobie przy tym różne wesołe kawały, aby dziecko było wesołe i rozmowne.

Goście zaproszeni na chrzciny przynoszą z sobą bułki *czworaki*, które ofarowują matce, aby dziecku na niczym, nawet na *marcypanach* (białym chlebie) nie zbywało i by nigdy nie cierpiało głodu. Skoro ma się trzymać do chrztu dziecko nieślubne, należy podpasać się sznurkiem, na którym potem przywiązuje się bydło, bo wtedy to ostatnie bardzo dobrze chować się będzie *(bude sia dobre westy)*. Mężczyźni kumowie podwiązują się sznurkiem, bądź uzdeczką, zależnie od tego czy mają tylko bydło, czy konie, kobiety sznurkiem lub lnem. Gdy komuś się dzieci nie chowają, rodzicami chrzestnymi powinni być kawaler i panna, gdyby to nie pomogło, to brat i siostra, a gdy i to nie skutkuje, dziad i żebraczka. Rozumie się, że najlepiej, gdy się tak trafi, że wszystkie te cechy będą połączone razem. Gdy kto

przestąpi śmiecie zmiecione na kupkę pod progiem, w tym roku już kumem nie będzie.

Z chrztem spieszą się wieśniacy bardzo. Już zazwyczaj w pierwszy dzień po porodzie rano, a najdalej po południu idą kumowie z nowonarodzonym dzieckiem do świątyni celem odbycia ceremonii chrztu i przyjęcia nowego członka rodziny między członków bożego kościoła. Spowinięte przez kumę dziecko trzyma do chrztu, zależnie od płci, kum lub kuma. Na nogach dzieciny spoczywa ofiarowane przez kumę *chryżmo*, tj. białe płótno na koszulę, którą otrzymuje dopiero po roku. Płótna tego daje się tyle, na ile stać matkę chrzestną, więcej lub mniej, jednak zawsze dla chłopca nieparzystą ilość metrów, a więc 1, 3, 5, dla dziewczynki zaś parzystą; a to z tego powodu, że chłopiec sam sobie poszuka pary, gdy dorośnie, a dziewczynce niejako tę parę już przy chrzcie wywróżyć i przeznaczyć należy. Koszulkę z *chryżma* musi uszyć matka noworodka własnoręcznie, a dziecko powinno wynosić ją zupełnie, bo z nią otrzymało szczęście z rąk matki chrzestnej i księdza, a więc szczęście doczesne i wieczne. Do roku nowej koszulki dla dziecka nie uszyją łatając ciągle starą, by dorósłszy nie darło bardzo bielizny. Przy chrzcie, gdy dziecko bądź co bądź wystawione, choćby tylko przez kilka chwil, na chłód i nagłe oblanie wodą krzyczy, nie powinno się go uspokajać. Krzyk ten bowiem jest przepowiednią jego życia. Im dłuższy i mocniejszy, tym dłużej żyć będzie i to w krzepkim zdrowiu. Ciche i bierne zachowanie się dziecka przy chrzcie poczytują za nieomylny znak niedalekiej śmierci.

Z chrztem spieszą się, bo wierzą, że dusze dzieci zmarłych bez chrztu nie mogą się dostać do nieba tak długo, dopóki nie zostaną ochrzczone. Latają więc w powietrzu jako kruki, choć nimi nie są, jęcząc, płacząc i błagalnie prosząc: *chrztu, chrztu!* A najwyraźniej i najbardziej słychać tę prośbę w czasie burzy, wichury i w noce ciemne. Ptaki te nazywają się tutaj: *potyrcze.* Ażeby je ochrzcić, trzeba nóż poświęcony natychmiast po usłyszeniu ich głosu utkwić w ziemi i zmusiwszy je w ten sposób do zatrzymania się ochrzcić słowami: *ja ciebie chrzczę Adamie lub Ewo w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego.* Gdy się nie ma noża, należy natychmiast rzucić kawał szmaty, chustkę, czapkę, a najlepiej onucę z prawego buta w powietrze i wypowiedzieć słowa wyżej wymienione. Wtedy to *potyrcze* porwawszy rzuconą szmatę, jak *chryżmo* wnet uleci do nieba. Mówi się *Adamie lub*

Ewo, bo nie można wiedzieć, czy dusza prosząca chrztu jest płci męskiej czy żeńskiej. Gdyby *połyrcze* nie zostało ochrzczone, to po siedmiu latach daremnego błąkania się po przestworzach, trafione piorunem w czasie burzy, zostaje zabite i *rozlewa się mazią*[1]).

Nieochrzczone dziecko podlega łatwo wpływom złych czarownic, tzw. *strzyg*, zazdroszczących matce pięknego, silnego, zdrowego i grzecznego dziecięcia. Żeby więc uchronić dziecko przed urokami złych bab, matka liże twarz jego trzy razy językiem i trzy razy spluwa po za nie. By czarownica nie zamieniła spokojnego i pięknego dziecka, przez pierwsze kilka dni po urodzeniu się świecą przez całą noc w chacie bez przerwy. Widząc światło czarownica *uważa* (myśli), że w chacie czuwają i wejść się nie odważy. Zresztą odwieczne wierzenie uznaje światło za wroga złych i ciemnych mocy. Ponadto matka nie oddala się od dziecka, choć strzygi chodzą popod okna chaty wołając ją po imieniu. Gdyby wyszła, zabawiałyby ją starając się odwołać dalej, bądź nawet męcząc, a tymczasem jedna niewidzialna wbiegłaby do chaty i zamieniłaby piękne i zdrowe dziecię na płaczliwe, brzydkie i chuderlawe. Pewną położnicę Annę F. wołały strzygi aż trzykrotnie wykrzykując pod oknami: *Anna, Anna*. Ale ta nie wyszła i strzygi odeszły z kwitkiem, chociaż nie dały za wygraną, bo jeszcze przed *wywodem* przyczepił się do niej jakiś *żydek* (diabeł pozostający na usługach czarownic), ale również nadaremnie. Odmienione przez wiedźmy dziecko ma tzw. *płaksywci* (płaczki). Aby więc z powrotem odzyskać swoje własne, grzeczne dziecko, należy *płaksywcia* wynieść na dwór, złożyć go na kupie nawozu leżącego zawsze obok obory, a więc niedaleko od chaty i tu wybić dłonią, najlepiej lewą. Po tym zabiegu można już dziecko przynieść do chaty, a będzie grzeczne, jak było własne. Wiedźmie bowiem żal się zrobi swojego dziecka, gdy przekona się, że matka domyśliła się odmienienia i teraz dopiero zabierze się do skóry *płaksywcia*, odniesie więc, tak jak i zabrała niewidzialnie, odmienione, a swoje zabierze do siebie[2]).

Gdy nie zachodzi podejrzenie na *płaksywci*, a dziecko bardzo płacze, można je ukoić bez bicia w ten sposób, że matka oso-

---

[1]) Zaleski w Duchu od stepu: „Chrztu o chrztu, o chrztu nam trzeba, i polecim wraz do nieba".

[2]) Wierzenie bardzo rozpowszechnione. Przypisek red.

biście ukradnie trochę słomy ze strzechy sąsiedniej chaty, w której jest także małe dziecko i doda ją do kąpieli swego dziecka. Wody, w której wykąpano dziecię wieczorem tj. po zachodzie słońca nie wyleją na dwór, bo wylewając cokolwiek, wyrzucając, czy wymiatając z chaty po zachodzie słońca jednocześnie szczęście się wyrzuca. Tak samo po zachodzie słońca pieluch na dworze nie zostawią, bo dziecko zamiast spać, tylko płakać będzie. Dzieci kąpią tutaj zazwyczaj po południu, wieczorem wyjątkowo, chyba tylko wtedy, gdy zajęcia gospodarskie zatrzymały matkę aż do tego czasu. Dziecię kąpielą orzeźwione, ale i umęczone zarazem zazwyczaj spi spokojnie.

Sen w życiu dziecka odgrywa ważną rolę. Wedle ogólnego wierzenia, dziecko rośnie w czasie snu. Powinno więc z tego powodu spać, jak najwięcej. Pustej kołyski ani huśtać, ani ruszać nie pozwalają, bo dziecko nie będzie spało. Wieczorem nie pozwolą wynieść ognia z chaty, choćby pod postacią zapalonego papierosa, by nie wyniesiono i snu dziecięciu. Z tego samego powodu w kołysce, w której spi jedno dziecko, drugiemu ani przez chwilę usnąć nie pozwolą, nawet kłaść się w niej nie dają. Jeżeli dziecko spać nie chce, należy ukraść z cudzej kołyski i to w innej chacie bądź to kilka źdźbeł słomy, bądź też kawałeczek pieluchy, czy innej jakiej szmatki znajdującej się w kołysce i włożyć to do kołyski swemu dziecku, a sen dobry powróci. Również, gdy kto przyjdzie do chaty, gdzie są dzieci, a zwłaszcza małe, powinien usiąść choćby na chwilę, do czego wprost go zapraszają, mówiąc: *siadajcie, żeby nam dzieci spały (sidajte, szczob nam dity spały).* Obcemu kołyski tknąć nie pozwalają, by snu dziecku nie zabrał wykradając mu z kołyski słomę. Z tegoż powodu przy niemowlęciu drugiemu dziecku lalką bawić się nie pozwalają, ani nikomu żadnych przedmiotów z chaty nie wydadzą, ani nie wypożyczą, a już bezwarunkowo nie po zachodzie słońca.

Ogólne jest wierzenie, że mądre dziecko nigdy się nie uchowa, zawsze młodo umrze. Przez kołyskę, w której spoczywa małe dziecię, niczego nie podadzą, a również płótna lub szmaty przeznaczonej na pieluszki, ani oczywiście pieluszek do innego celu używać nie będą, bo dziecię się nie uchowa. Dziecko powinno mieć światło i mówiących przed sobą, by mogło patrzeć prosto przed siebie, w przeciwnym razie będzie zezowate. Aby dziecko prędzej i dobrze chodziło, w przewodnią niedzielę, kiedy

ludność wraca z nabożeństwa z świątyni, rodzice trzy razy przeprowadzają je od stołu do progu chaty. Dziecku do roku paznokci nożyczkami nie obcinają, tylko matka je zębami obgryza, żeby dziecko nie drapało. W rodzeństwie należy młodszemu dawać koszulki uszyte z *krzyżma* starszego, aby nabyło jego usposobienie i pokochało go gorąco.

Młoda mężatka, której umarło pierwsze dziecko, nie śmie iść na jego pogrzeb, bo poumierałyby jej i następne. *Jak matka pójdzie za trumną pierwszego, tak i w jej łonie powstałe następne, pójdą za tego przykładem.* Dla przyszłego dziecka bielizny po dziecięciu zmarłym matka nie przechowuje, bo wraz z bielizną przekazałaby i chorobę i śmierć na następne. Musi tę bieliznę, chociażby była najpiękniejszą i było jej jak najwięcej, podarować komuś drugiemu, a złe przejdzie.

Ciemiączka głowy wieśniacy zupełnie nie zmywają, by nie naruszyć tzw. *ciemienia* tj. skorupki wytworzonej z brudu, potu oraz sklejonych włosów dziecka. Owszem, by je jeszcze wzmocnić, smarują głowę dziecka oliwą, śmietanką słodką, niesolonym masłem. Wzmocnione *ciemię* jest niejako ochroną słabych kosteczek czaszki. A że krzywica dość częsta u wieśniaków i właściwe ciemiączko niezrośnięte często przez rok i więcej, więc zdaje się, że ten zabobon tu właśnie bierze swój początek. Wodę z. kąpieli chorego dziecka, zresztą zupełnie tak samo przy chorobie starszych, wylewają pod krzak *bziny* (czarnego bzu — *Sambuccus nigra*), bo wtedy chorobę zabierze diabeł, który w tym krzaku zazwyczaj siedzi. Wylanej wody nie przestąpią, zwłaszcza bosą nogą, by nieszczęścia nie zabrać sobie.

Aby rączki i nóżki dziecka były proste, spowija się je przez pierwsze miesiące życia bardzo silnie w pieluchy i pierzynkę i krępuje powijaczem tak, że raczej do mumii egipskiej podobne. Lecz już od trzeciego miesiąca rozwijają je, sadzają, a nawet wziąwszy za piąstki starają się stawiać na nóżki. Z kołyski nie pozwolą wyjąć źdźbła słomy, by nim wyczyścić sobie po jedzeniu zęby (zwyczaj praktykowany u wieśniaków), boby się dziecku bardzo ciężko zęby wycinały. Piersi podanej do ssania, nawet gdy dziecko zaciska ją i gryzie (bo karmią nieraz i dwa lata lub dłużej) nie wyrywają gwałtem, tylko wyjmują lekko, by żuchwy dziecku nie zwichnąć i nie wykrzywić zębów. Na psie dziecku jeździć nie pozwalają, by nie nabrało *psiej* (złej) natury. Z kotem małym dzieciom bawić się nie wolno, by uchronić je przed

połknięciem kilku włosów kociej sierści i zapobiec przez to suchotom. Gdy dziecko chudnie, wymiatają śmieci z całej izby mieszkalnej i wyrzucają wraz z nimi maleństwo na nawóz, co ma wpływać dobrze na przybranie wagi w najbliższej już przyszłości.

Niektórzy nie ucinają dzieciom włosów do lat siedmiu, bo *gdy przez 7 lat żelazo na jego głowie nie będzie (nożyce), będzie silnym, jak żelazo.* A w ogóle nie strzygą włosów prędzej, aż dziecko dobrze mówi. Pierwsze postrzyżyny odbywają się z wielką ceremonią, zdaje się, podobnie jak za czasów Piasta i Rzepichy. Postrzyżyn dokonuje matka nożycami do codziennego użytku, najlepiej używanymi do strzyży owiec. Ucięte włosy wtyka się w strzechę chaty powiadając: *daj, by jego włosy były tak gęste jak i ty.* I temu to obrzędowi przypisują wieśniacy gęstość swej czupryny i stosunkową rzadkość łysiny. Z maszynką fryzjerską zapoznaje się dopiero dorastający chłopak, a nierzadko dopiero parobek.

U małego dziecka wedle ogólnej wiary łez nie widać, bo je anioł obciera. Ogniem dzieciom bawić się nie pozwalają, nietyle z obawy przed wznieceniem pożaru, lecz, by nie moczyły do łóżka *pod siebie.* Chleba wziętego od żebraka nie dadzą im, bo nigdy nie byłyby syte, *jak torba dziadowska nigdy się nie naje.* Dziecku czapki, ani kapelusza noszonego przez starszą osobę wkładać nie pozwalają, gdyż włosy by mu nie rosły, lub później wypadały. Małe można ubierać tylko w czapkę robioną z papieru albo nową kupną. Prawdopodobnie zabobon ten ma swe źródło w tym, że niektóre choroby skórne przenoszą się przez nakrycie głowy.

O karmieniu dzieci w myśl zasad higieny żadna z matek wieśniaczek nie ma pojęcia. Wie tylko, że powinna karmić piersią, jak długo może i póki dziecko ssać się napiera. Karmi je tyle razy, ile razy zaczyna krzyczeć lub płakać. Jest to niezawodna oznaka głodu, innych przyczyn nie szuka się. Karmienie odbywa się w dzień i w nocy, ilość razy dowolna. Karmiąca matka przez pierwszych kilka dni pije dużo mleka i je płynne potrawy, zwłaszcza kluski i zacierkę na wodzie. Ale już po paru tygodniach je wszystko, co jej w ręce wpadnie. O diecie jakiejś nie ma mowy. Gdy dziecko mimo pchania piersi do ust krzyczy, gdy zaczyna się prężyć i dostaje biegunki, nie podejrzewają, że to z przekarmienia, ale sądzą, że *pokarm zbyt ostry,* albo *uroki.* Prze-

ładowywanie dziecka tym częstsze, że poza ciągłym karmieniem piersią, dokarmiają je jeszcze mlekiem krowim i gotowanym na nim grysikiem lub rozpuszczoną w nim papką z bułki kupnej tzw. *parki*, a po paru miesiącach podają już kartofle, marchew, a nawet kapustę. Normalnie dziecko wieśniacze liczące pół roku je to wszystko co i domownicy i ssie pierś matki w dodatku. Karmienie jest tym lepsze, im się odbywa dłużej. Dziecko jest silniejsze, a matka pewna, że nie zajdzie w ciążę.

Dziecko odłączyć należy w ten dzień tygodnia i o tej porze, o której ssać zaczęło. Odłączenie odbywa się w ten sposób, że ostatni raz daje matka ssać dziecku do syta na progu prowadzącym z izby do sieni. Potem odwraca je matka plecami do góry, daje mu klapsa po pośladkach i wciska pod pachę kawałek placka ze solą, aby nie tęskniło za piersią. Jednak w jesieni odłączyć nie wolno, bo o tej porze spadają liście z drzew, podobnie byłoby i z bielizną dziecka, gdyby dorosło. Darłoby ją tak niemożliwie, że ta spadałaby formalnie z niego. Również nie wolno odłączyć, gdy kwitną drzewa owocowe, a zwłaszcza jabłonie, bo jak podówczas całe drzewo białe od kwiecia, tak i dziecko byłoby zawsze blade i anemiczne. Najlepiej odłączyć, gdy są *czerwone jagody* (czereśnie), bo będzie czerwone i zdrowe, jak one.

Raz odłączonego dziecka matka powtórnie do piersi *przysadzić* nie może, bo potem byłoby *złe na przechód* (gdyby komuś mającemu interes przeszło drogę, ten by mu się nie powiódł) i *miałoby złe oczy* (rzucało uroki na ludzi i zwierzęta i to nie tylko ono samo, ale i jego potomstwo z pierwszej linii). Choć panuje tu ogólnie przekonanie, że karmiąca kobieta nie może zajść w ciążę, jednak często tak bywa, że wierzenie pozostaje tylko wierzeniem, a ciąża jest swoją drogą. I jak przedtem karmiąca nie spieszyła się z odłączeniem, by przez to stworzyć sobie niejako prezerwatywę przeciw ciąży, tak teraz spieszy się z tym bardzo, bo pokarm wtedy jest zły, a co ważniejsze *dziecko ssące wysysałoby krew tego, co ma przyjść.*

Gdy karmiąca straci pokarm, aby go odzyskała, dają jej pić (bez jej wiedzy) mleko, w którym się mysz utopiła, lub w którym mysz ugotowano, albo rosół z myszy. Dziecko, które taki pokarm ssało, nie będzie znosić kotów. Jakby dla rewanżu, po odłączeniu dziecka matka zestrzykuje nieco pokarmu z piersi w kąty chaty, by myszy go zabrały.

III. Lecznictwo ludowe.

CHOROBY DZIECI

Wiek dziecięcy, a zwłaszcza niemowlęcy, kiedy organizm jest wątły i mało odporny na wszystkie bodźce zewnętrzne, jest okresem najbardziej podatnym na choroby. Tym bardziej, że system wychowywania i karmienia niemowląt przez wieśniaków daje tysiąc i jedną możności zaburzeń tego jeszcze do warunków życiowych nieprzystosowanego organizmu. A lud wiejski nie zwraca najmniejszej uwagi na szkodliwość swego systemu wychowawczego i higienicznego uświęconego wiekową tradycją. *Tak chowały dzieci matki, babki i prababki dzisiejszych matek i było dobrze.* Może być, że system ten nie jest bez pewnych wartości dla naturalnej selekcji, bo dziecko wychowane w tak ciężkich warunkach musi być silne i zdrowe, jeżeli ma je przetrzymać. Organizmy małowartościowe fizycznie wykruszą się i wymrą, pozostaną tylko osobniki mocne i odporne.

Na wsi fachowcami w sprawach chorób dziecięcych są kobiety. One z dziećmi mają najwięcej do czynienia, karmią je, chowają i obserwują ich rozwój i w ten sposób w drodze praktyki zdobywają odpowiednie wiadomości. Zresztą lecznictwo dziecięce jest domeną kobiet bez względu na ich stanowisko społeczne, kulturę i wykształcenie. Trudni się nim każda kobieta, ta tylko zachodzi różnica, że jedna leczy na podstawie praktyki własnej, inna z popularnego podręcznika, np. „Kobieta lekarką domową", trzecia jest apostołką wodolecznictwa ks. Kneippa lub Bilza.

Pierwszą, że tak powiem chorobą noworodka, jest czasami występująca żółtaczka *(icterus neonatorum)*. Kąpie się wtedy dziecko w odwarze jaskółczego ziela *(Chelidonium maius)*, albo wrzuca się do kąpieli złotą monetę, obrączkę lub pierścionek ze złota amerykańskiego. Po takiej kąpieli opartej na zasadzie leczenia sympatycznego skóra dziecka ma pojaśnieć.

Aby dziecko nie dostawało owrzodzeń na języku lub w jamie ustnej, przemywa, a raczej przeciera mu matka w czasie kąpieli usta, dziąsła i język szmatką lnianą, szorstką i maczaną w wodzie kąpielowej.

Na zapalenie rzerzączkowe spojówek ocznych *(coniunctivitis gonorrhoica, blenorrhoea con.)*, występujące po porodzie przy istniejącej rzerzączce matki, jako zapobiegawczego środka używa się ustawowo nakazanego zakraplania 2% azota-

nem srebra, lub innymi solami srebrowymi. Dzieje się tak rzeczywiście, jeśli przy porodzie asystuje egzaminowana akuszerka Gdzie dziecko odbiera *babka*, tam wogóle oczu się nie zakrapla. Gdy więc spojówki dziecka są zapuchnięte i zaczerwienione, matka wylizuje je językiem (co zresztą dzieje się i wtedy, gdy dziecku wpadnie cośkolwiek do oka), albo przemywa własnym mlekiem wstrzykując je z piersi wprost na chore spojówki dzieciny, a następnie przecierając, albo też nakrywa oczy dziecka skorupką ze świeżo rozbitego jajka przykładając ją do powiek wewnętrzną stroną. Takie leczenie nierzadko prowadzi do oślepienia dziecięcia. Szczęściem chore na rzerzączkę kobiety nie zachodzą łatwo w ciążę, a te które zaraziły się już po zajściu, zwykle poddają się fachowemu leczeniu. W przeciwnym razie procent ślepych od urodzenia byłby znacznie większy.

Pęcherzyca *(pemphigus)* napędza nieco strachu matkom wiejskim, ale zarazem bywa dość trafnie leczona kąpielami w korze dębowej z dodatkiem liści leszczyny i orzecha włoskiego oraz macierzanki, a potem pudrowaniem.

Wyprzenia (zaczerwienienia i obrzęki w fałdach skóry powstałe na skutek pozostawania dziecka zapowiniętego w mokrych od moczu lub kału pieluchach) posypują struganą kredą, najlepiej poświęconą, mąką pszenną, lub bielidłem zeskrobanym z komina lub ściany izby. Gdy zaczerwienienie nieco przygasa, lub gdy dziecko nieco starsze, smarują je niesolonym masłem, lub słodką śmietanką aż do zupełnego zagojenia się.

Inne wypryski znane są pod nazwami *żnit, znetynia, koszula. Żnit* powstaje z powodu tego, że karmicielka nie ma swego *miesięcznego czyszczenia krwi,* skutkiem czego *brud, który w niej krąży dziecko wysysa wraz z pokarmem.* By *żnitu* nie zamoczyć, dziecka wtedy nie kąpią, a stosują tylko zasypkę kredową i smarowanie słodką śmietaną, lub niesolonym masłem. Przyczyną *żnitu* może być również wejście do chaty obcej kobiety w czasie periodu. Wtedy dziecko pokrywa się wypryskami jakby jednostajną jątrzącą się skorupą, *która może się trzymać przez siedem lat.* By temu zapobiec, kobieta, która musi w czasie swej fizjologicznej przypadłości odwiedzić dom młodej matki, powinna zaraz po przyjściu do chaty wyjawić jej swoją tajemnicę. Wtedy matka kąpie dziecię w koszuli, w której odbyła poród i połóg, a wodę kąpielową wylewa na psa lub świnię, aby choroba na

nie przeszła. *Żnit* zazwyczaj łączy się z zaburzeniami kiszkowymi u dzieci. Omówię je razem z chorobami przewodu pokarmowego.

Podobnie jak przy *żnicie* postępuje matka przy tzw. *psiurkach*. Jest to także rodzaj wyprysku. Choroba ta jednak może wystąpić tylko w okresie niedomagań położnicy, np. pojawiających się jeszcze upławów i plamek krwi.

Koszulę natomiast dostaje dziecko wtedy, gdy trzymająca je do chrztu kuma ma miesiączkę, a o tym fakcie nie powiedziała matce. *Koszula* trzyma się dziecka lat siedem, lub trzynaście. By dziecię przed tym uchronić, kąpią je w koszuli z porodu i połogu oraz smarują maścią przyrządzoną w następujący sposób: Do rondelka wbijają żółtko ze świeżego jaja kurzego, wsypują nieco naskrobanej cegły, wlewają nieco słodkiej śmietanki i męszając ciągle prażą na ogniu tak długo, aż z tej męszaniny nie zrobi się gęsta i ciągnąca się maść. Gdy już *koszula* wystąpiła, leczy się ją najlepiej w następujący sposób: Kupuje się dwa nowe zupełnie garnki gliniane różnej wielkości tak, żeby mniejszy wchodził do większego. W mniejszym wywierca się w dnie cały szereg dziurek, po czym wsadza się go do większego. Następnie wewnętrzny garnek wypełnia się siemieniem konopnym, przykrywa pokrywką, oblepia gliną, żeby nie było dostępu dla powietrza i wsadza się w piec po wyjęciu chleba, ażeby się siemię nie spaliło. Piec dobrze się zatyka, a gdy już wydobywa się zeń zapach oleju, wyjmuje się garnek, w którym znajduje się ciecz gęsta, czarna i połyskująca, jak pasta do bucików. Cieczą tą smaruje się wypryski tj. *koszulę*, Dziecko dostaje wprawdzie dość wysokiej gorączki, ale lek pomaga znakomicie. Wypryski goją się prawie momentalnie, jakby ręką odjął (Z a ł o ź c e).

W ten sam sposób leczy się u dzieci także wszystkie inne wypryski skórne na ogół obficie i często występujące, jako że matki wiejskie bynajmniej nie grzeszą dbałością o czystość swych dzieci. Gdy wypryski pokażą się na głowie, smaruje się je przeważnie oliwą jadalną. *Aby skóra nie jadziła się*, stosuje się kąpiel w odwarze leszczynowych liści.

Tutaj należy wspomnieć także o tzw. *ogniku* (wyprysk sączący twarzy w okolicy nosa i ust). Powstaje on wedle wierzenia na skutek plucia przez dziecko na ogień palący się pod kuchnią. Starszy nigdy tego nie uczyni, dlatego też nigdy na ognik nie cierpi. Ogień obrażony przez dziecko nieświadome skutków swego czynu lub głupie mści się na obrażającym przez wysy-

panie wyprysków na jego twarzy. Wtedy u obrażonego trzeba szukać leku prosząc o pomoc tam, gdzie była przyczyna choroby, a więc w piecu. Po wypaleniu się ognia, podgartują węgle *mytką* i nią pocierają *ognik*. *Mytka* musi być przy tym dobrze wilgotna od pomyj, by popiół dobrze się czepił, a *ognik* nacierany nią zwilgotniał. Potem zaczerwienione miejsca zaklejają tzw. *pozłótką* (cieniutki papierek używany do złocenia orzechów włoskich). Wedle logicznego toku myślenia ludowego, brudy zmywa się z naczyń mytką, woda gasi ogień, a złoto to cel życiowego trudu ludzi. Zmywa się więc niejako grzech wobec ognia, który woda może zwalczyć i zagasić, a nagradza winę dając w zapłacie złoto. Jest to więc typowe leczenie sympatyczne.

Do grupy wyprysków należy zaliczyć także i *zajady*. Zazwyczaj dostają je ci, którzy są wiecznie zaślinieni, *słyniawi*. Jest to w pojęciu ludowym choroba zaraźliwa. Przenosi się z jednego na drugiego przez używanie jednej i tej samej łyżki podczas jedzenia. Toteż każdy z członków wieśniaczej rodziny jadającej jeszcze i dzisiaj przeważnie drewnianymi łyżkami ma swoją własną łyżkę specjalnie znaczoną nacięciami noża. Łyżki drewniane, wskutek długotrwałego używania, mycia w gorącej wodzie i suszenia przy piecu, są popękane i ponadgryzane, a że po jedzeniu każdy wieśniak starannie je oblizuje, mogą faktycznie kaleczyć i drapać kąciki ust jedzącego. Ranki w kątach ust goją się ciężko z powodu otwierania ust, zwłaszcza przy ziewaniu i dają bolesne ropienia. Leczy się je bądź przez silne pocieranie lewym rąbkiem koszuli z rozporka na piersiach, bądź suchą skórką chleba, albo smarowaniem sokiem jaskółczego ziela (glistnik-*Chelidonium maius*), bądź słodką śmietanką.

S t r u p y, zwłaszcza na głowach dzieci, smaruje się oliwą, ewentualnie topionym, niesolonym sadłem, lub słodką śmietanką. Rozlany bardzo wyprysk (*eczema*) nazywają *strupem słodkim (parchy)*. Zebrawszy go z głowy chłopca zaszczepiają pod korę *karwasza* (słodkiej jabłoni), a z głowy dziewczyny pod korę *duli* lub *cukierki* (gruszy słodkiej - *Bera Dulla*).

Ponieważ l i s z a j e leczą się identycznie jak u starszych, omówię je na odpowiednim miejscu.

W ą g r y *(commedones)* u dzieci smarują miodem, by robaczki siedzące w skórze, a posiadające czarną główkę wyszły zwabione słodyczą.

Brzuszek niemowlęcia i potem już starszego dziecka jest jedną z głównych trosk matki. Zaraz po urodzeniu, podwiązaniu pępowiny i kąpieli ściskają go mocno opaską z płótna bojąc się, by dziecko z powodu krzyku nie *wypękło* (nie dostało przepukliny pępkowej). Aby zaś przerwać krzyk dziecka, dmuchają mu w usta, huśtają je w kołysce lub na rękach zawodząc przytem jękliwe *a a a*..., a najczęściej pakują mu pierś do ust, bo to najpewniejsza zatyczka przeciw krzykowi. Gdy jednak nic nie pomaga, a dziecko drze się w niebogłosy, odbywa się *mierzenie* w ten sposób, że lewy łokieć przyciągają do prawego kolana i na odwrót, albo kładą dziecko w kołysce głową tam, gdzie normalnie znajdują się nogi. A poza tym dociekają przyczyny krzyku: *brzuszek wzdęty, czyszczenie,* dobry, czy zły *ostry* pokarm, uroki, czy ząbki? A stosownie do wyniku rozważań przepisują kurację. Lecz przepuklina pępkowa nie jest jeszcze najgorszym złem i mniej budzi obaw od przepukliny pachwinowej, zwłaszcza u niemowlęcia płci męskiej. W tym wypadku rodzice *mają stracha* o przyszłą zdolność zapłodnienia przez *kiławego* (mającego przepuklinę pachwinową) i z tym cierpieniem spieszą zaraz do lekarza celem zasięgnięcia porady.

Nie dziw, że zaburzenia przewodu pokarmowego u dzieci wiejskich są tak częste. Przyczynami ich są: ciągłe podawanie nigdy niemytej piersi matki, która w dodatku przed podaniem jej do ust dziecięcia pociąga sutek śliną, by dziecko lepiej ssało, dalej dokarmianie w kąpieli grysikiem pszennym, czy papką z bułki w mleku, które studzą dmuchając ciągle na łyżeczkę i lekko sprawdzając językiem i wargami czy *nie za gorąca.* Natomiast chroni lud dzieci pilnie przed tym, żeby nie patrzyły do lustra, bo to — w jego pojęciu — szkodzi im na żołądek. Zaburzenia przewodu pokarmowego to wzdęcia (*meteorismus*), morzysko (*colica flatulenta),* ostre nieżyty kiszek i żołądka (*colitis, enteritis, gastroenteritis)*, choleryna (*cholera infantum),* ale najczęściej to dyspepsja (*dyspepsia infantum*).

Przy wszelkich wzdęciach smarują brzuszek gorącą oliwą i dają wilgotne okłady z grysu lub kaszy jęczmiennej oraz podają do picia herbatkę z rumianku (*flores Chamomillae*), mięty (*folia Menthae*) i kminku (*fruct. Carvi, fr. Phellandri*), a kto ma, to jeszcze i z anyżku (*fruct. Anisi vlg*). Zamiast herbatki stosują też wkładanie do kiszki stolcowej dziecka kawałeczka mydła.

Gdy dziecko w czasie m o r z y s k a (*colica flatulenta*) zawraca oczyma, wykręca się, to prostuje, jakby sztywniało (*eclampsia infantum*), wtedy powiadają, że jest chore na *prydibku* (konwulsje). W takim wypadku kładą je na szmacie rozścielonej na ziemi, przykrywają jakimś czarnym suknem oraz zamykają niejako pod dużymi nieckami lub balią dnem do góry wywróconą. Na nieckach względnie balii rozbijają gliniany garnek. Huk pękającego, jakby na bębnie, garnka ma nastraszyć chorobę i wrócić dziecko do przytomności i zdrowia. O innych zabiegach przy konwulsjach opowiem później.

Najczęstszym objawem niedyspozycji przewodu pokarmowego u dzieci jest b i e g u n k a. Przy uporczywej biegunce, dopóki ciemiączko się nie zapada, kąpią chore dziecko w *babkach* (gęsiówka szara) i macierzance *(materynka, szczerbec, cerbec, czabarek)* zbieranych trzy razy przed wschodem słońca, a kąpiel wylewają pod trzy płoty, na trzy drogi i trzy miedze. Po wykąpaniu cały brzuszek smarują smalcem. Rzadziej kąpią także w korzeniu tataraku (*Rhizoma calami*) i korzeniu żywokostu (*Symphytum officinale*), jak również w odwarze gałązek wierzbowych, złamanych po dziewięć gałązek z dziewięciu drzew i to przed wschodem słońca, by prędzej pomogło, lub w łodygach ogórków, w kwiecie *pełniaków* (aksamitka-*Tagetes*), w weszkach dziadowskich (*Inula dyssenterica*) i melisie (rojownik-*Melissa officinalis*). Gdy biegunki bardzo uporczywe, czasem tłuką nóżki pozostałe przy skórach baranich, gotują je z grysem pszennym i *krokoszami* (nogietek-*Calendula officinalis*). Leczenie to jako bardzo ryzykowne stosują tylko w ostateczności, gdy nie znajdują innego wyjścia. Również kąpią dzieci w kradzionym owsie (jak przy cholerze) i wylewają wtedy kąpiel na płynącą wodę wyrzucając zarazem i garnek do rzeki. Wewnętrznie młodszym dzieciom podają kminek spalony na węgiel i potem stłuczony na proszek, starszym zaś jaja ugotowane na twardo, czasem i popiół drzewny z wodą.

Gdy biegunka i boleści nie są stałe, tylko powtarzają się okresowo trwając przez parę dni w miesiącu, a do nich dołącza się i trochę gorączki, dziecko chudnie, oczy mu się zapadają i tworzą się sińce pod nimi, kał zaś jest zielony, a na skórze dają się zaobserwować wypryski, jest to *żnit, znetynia* (d y s p e p s j a). Wtedy poza leczeniem samych wyprysków, co już opisałem poprzednio, kąpią dziecko w kredzie skrobanej, z dodaniem

męskich kalesonów do kąpieli. Choroba ta bowiem, zależy od miesięcznych periodów karmiącej matki, choć ich nawet w danym czasie nie ma. Najgorsze, że gdy matka zrobi raz już taką kąpiel dziecku, musi ją powtarzać odtąd co miesiąca. Gdyby bowiem tego zaniedbała, stan dziecka pogorszy się bardzo. Chyba jeśli nie kąpie dziecka w ogóle, wtedy ono prędzej wyzdrowieje. Poza tym biegunki i mazanie się dzieci trafiają się zawsze przy wyrzynaniu się ząbków. Na to nie reagują poza pocieraniem szmateczką dziąseł dziecka.

Rzadko, ale czasem przy znacznym parciu i częstych stolcach, trafia się u dzieci wynicowanie odbytnicy (*prolapsus ani*). Leczy to *babka* wprowadzając wypadnięty kawałek odbytnicy z powrotem do środka za pomocą wskazującego palca zmoczonego w oliwie, a oblepionego ziarnkami czarnego maku ogrodowego.

Nierzadkim objawem chorobowym w wieku niemowlęcym są tzw. konwulsje objawiające się prostowaniem i naciąganiem dziecka chorego, wykręcaniem główki, wywracaniem oczu itd., przy nieprzytomności. Konwulsji tych dostają najczęściej dzieci przy morzysku, przestrachu, ciężkim wyrzynaniu się ząbków, glistach, obcym ciele w nosie, uchu itp. Wedle wierzenia ludowego, przestrach i zgryzoty matki w czasie ciąży usposabiają dziecko do nich. Przy konwulsjach postępuje się tak, jak opisałem przy morzysku. Po ataku zdejmują z chorego dziecka koszulkę, w której pierwszy atak przebyło i zakopują ją pod okapem dachu. Razem ze zgniciem koszulki zniknie na zawsze choroba. Gdy konwulsje przytrafią się podczas wyrzynania się zębów, schwytawszy *dziadka, bzdziucha* (pluskwa maliniak) i rozdusiwszy go, sokiem z niego smarują usta i dziąsła dziecka, co zaraz ma pomagać. W innych wypadkach podają dzieciom do picia odwar *horyćwita* (gorzykwiat-*Adonis vernalis*).

Gdy konwulsje powstają z przestrachu, układają dziecko w kołysce tak, by głowa znajdowała się tam, gdzie zazwyczaj były nogi chorego i obchodzą kołyskę trzy razy w około okadzając dziecko paloną cząstką przedmiotu, którego się przelękło, np. słomą, sierścią psa, kota, włosami człowieka, lub kawałkiem szmaty z jego odzieży. A czego się dziecko przestraszyło, dowiedzieć się łatwo przez *wykaczanie jaja.* Znachorka bowiem patrząc w jaje powie nawet dokładnie, czy pies był czarny, kudłaty, kot bury, a chłop, czy miał brodę, jaki wąs itp. Słucha-

jący więc orientują się o kogo chodzi. Gdy zaś przyczyna nie da się dokładnie określić, albo jej w sąsiedztwie odnaleźć nie można, wtedy ułożywszy dziecko, jak wyżej, okadzają kołyskę trzy razy *strachopołochem* (ostrożeń łąkowy - *Cirsium rivulare*), a dziecku podają do napicia się wywaru z tego ziela. Ostrożeń o żółtym kwieciu jest używany przy leczeniu dzieci płci męskiej, natomiast o purpurowym, żeńskiej. U Żydów przestraszonemu dziecku każą natychmiast oddać mocz na podstawioną dłoń i zmywają mu nim szybko twarz i piersi. Jeśli dziecko w danej chwili moczu oddać nie może, winna w jego zastępstwie uczynić to matka.

Pod miano konwulsyj podciągają wieśniacy i padaczkę. Dostaje ją każdy, kto przestraszy się patrząc na chorego w czasie ataku padaczkowego. Dziecko chore na padaczkę zanosi matka w wielki piątek do cerkwi *do płaszczywnyci*. Jednak przedtem nie wolno jej się oglądać poza siebie, ani *zagadać, choćby jednego słowa* do kogokolwiek. W cerkwi odmawia ona „Ojcze nasz" i nie wychodzi z świątyni, nawet gdyby dziecko zachorowało (Zwyżyń). Chorym na padaczkę podają do picia odwar z barwinku (*Vinca maior*) święconego we wiankach w oktawę Bożego Ciała, zawieszają na szyi stalowy krzyżyk, który chory nosi przez dziewięć dni, dają na mszę do kościoła w Pieniakach, któremu patronuje św. Walenty, patron tej choroby, ofiarowują zarazem świecę *na miarę chorego*. Świecę tę zapalają podczas odprawiania mszy św., a równocześnie ze spalaniem się świecy, zmniejsza się i choroba. Gdy świeca zupełnie się wyświeci, choroba znika.

Rodzajem męczącej zmory jest *morzysko*, jakieś bezcielesne widziadło nocne dokuczające dzieciom w czasie snu, a najwięcej, gdy księżyc świeci na główkę dziecięcia. Sen jego jest wtedy niespokojny, pełen westchnień i płaczu. Dziecko męczone przez morzysko nie budzi się jednak. By dobry sen wrócił, podkładają mu pod głowę kłódkę lub klucze, a w lecie zielone *makówki*, a nawet dają ich odwar lub nalewkę w wódce wkładając zamoczoną w niej szmatkę zamiast smoczka w usta dziecka.

Wyrzynanie się zębów jest prawie zawsze połączone z zaburzeniami przewodu trawiennego, a więc biegunką, gdyż dziecko w tym okresie stale grzebie brudnymi paluszkami w jamie ustnej *szukając zębów*. By one się łatwiej *wykłuwały*, jak już wspomniałem, pocierają matki w czasie kąpieli szorstkim gałgankiem dziąsła dziecka. Gdy dziecko już liczy kilka miesięcy,

dają mu do gryzienia korzeń fiołkowy (*radix Iridis florent.*) przewiesiwszy go na sznurku na szyi, albo niemniej często podają twarde skórki chleba. Wtedy jednak ktoś ze starszych musi znajdować się w pobliżu malca, by interweniować, gdyby się dławił, przez bicie go w kark, co znakomicie wpływa — wedle wierzenia — na wyksztuszenie dławiącego kawałka skórki. Matka, ani nikt z domowników nie dłubią w swych zębach źdźbłami słomy z kolebki niemowlęcia, by go zęby nie bolały. Gdy pierwszy mleczny ząbek u chłopca zauważy mężczyzna, lub u dziewczynki kobieta, to bardzo dobrze, bo zęby wykłują się szybko i będą zdrowe. Toteż temu, kto pierwszy ząbek odkryje, ofiarowują zazwyczaj jakiś pieniądz metalowy, zdawkową monetę, zazwyczaj niklową. Ofiara ta ma sprawić, że zęby dziecka będą tak silne, błyszczące i białe, jak metal z którego pieniądz zrobiony. Upominek ten ma i ten cel także, by ten, kto pierwszy ząbek zobaczył, nie urzekł reszty mających się wykłuć zębów. A gdy mleczne zęby poczną wypadać, ząbek wyjęty wyrzucają na strych, mówiąc: *na tobie myszko kościany, a daj mi za to żelazny,* aby nowy był silny i zdrowy. Aby nowe zęby nie wyrosły krzywo nie pozwalają dziecku dotykać ani palcami, ani językiem miejsca, z których wypadły mleczne.

Od chwili, gdy dziecko zaczyna raczkować po *toku* chaty, a potem babrze się w ziemi grzebiąc w niej jamy i lepiąc babki, zaczyna się nowe zmartwienie, tzw. robaki, lub glisty. Wprawdzie każdy człowiek — wedle wierzenia — glisty mieć musi, bo inaczej by nie żył, jednak, gdy ich za wiele, męczą bardzo. Że dziecko ma glisty, dowodzi jego wygląd; jest ono wtedy blade, jakby przeźroczyste, ma sińce pod wpadniętymi oczyma, traci apetyt, dłubie w nosie, cierpi na nudności, ślini i zgrzyta ząbkami we śnie, a brzuch ma wzdęty i bolesny. Robaków dostaje się przeważnie z jedzenia słodyczy, cukru, cukierków, pierników, miodu itp., bo tym właśnie odżywiają się glisty. Przeto, kto więcej je słodyczy, ma więcej glist. A gdy robaki już są i rozmnożyły się, na dziecko trzeba wtedy bardzo uważać, zwłaszcza w czasie nowiu. Wtedy bowiem zaczynają się one burzyć, odbywają wędrówki, zwijają się w kłęby, pchają się do gardła, mogą więc dziecko udusić. Pchają się również do serca, nosa i ucha, które poranić mogą i nawet łacno o śmierć przyprawić, zwłaszcza gdyby im na nowiu lek jakiś podano, który-

by *je zanadto wzburzył*. Po nowiu jednak można już przeciw nim śmiało wystąpić.

Przede wszystkim dzieciom podejrzanym o robaki nie dają żadnych słodyczy. Natomiast zbrzydzić je starają się przez podawanie kwaśnych potraw, jak kiszona kapusta, ogórki, barszcz. Potrawy te psują glistom humor, więc zaczynają się one burzyć i pchać do gardła. Aby zaś zamknąć im tę drogę i nie dopuścić do uduszenia dziecka przez ich kłąb, wieszają na szyi chorego paciorki z nanizanych na nitkę ziarnek obranego z łupinki czosnku. Glisty nie znoszą jego zapachu i cofają się do brzucha. Poza paciorkami z czosnku, smarują jeszcze dzieciom jego sokiem dołek nadmostkowy i nozdrza, by już powietrze wdechiwane było tym zapachem przepojone. Rozumie się, że chore na robaki dziecko musi jeszcze obowiązkowo zjadać dziennie po parę ziarnek czosnku. Podobnie jak czosnek działa nafta *(kamfina, gaz)*, przeto i nią smarują dołek, namazują nozdrza, a nawet podają nieco dziecku do wypicia. Do wypiekanego w domu chleba sypią dość obficie ziarnka czarnuszki *(Nigella sativa, Nigella arvensis)*, a dzieciom podają do zjedzenia kilka jagód psianki-słodkogorzu (*Solanum Dulcamara*), na czczo czosnek *(Alium sativum)*. Gotują również kilka ziaren czosnku w słodkim mleku i wlawszy to do jeszcze nieużywanego garnuszka, sadzają na nim dziecko, aby wzburzone glisty wylazły z odbytnicy do garnka. Najczęściej jednak po nowiu podają chorym dzieciom na czczo *cytwarowe nasienie (flores Cinae)* z miodem na czarnym chlebie. Miód słodki, jako ulubiony przysmak dla robaków, jest dla nich przynętą, wraz z którą zjadają truciznę. Niektórzy dają dzieciom odwar pieprzu w mleku, odwar centurii (tysiącznika-*Erythrea Centaurium*) lub nalewkę jaskółczego ziela (glistnik-*Chelidonium maius*) na wódce, gdyż to ma również pomagać, ale nie zawsze. Zamawiają też glisty słowami: *Święta Cecylija pięć córek miała, pierwsza glisty przędła, a druga motała, trzecia na kłębek zwijała, czwarta łebki urywała, a piąta do morza wrzucała*, czyniąc przy każdej czynności córki odpowiedni gest i odmawiając zażegnywanie trzykrotnie, po czym trzy Zdrowaś Maria.

Z zakresu chorób dziecięcych rozróżnianych na wsi pozostają jeszcze do omówienia c h o r o b y p ę c h e r z a, a więc katar pęcherza, moczenie nocne, dalej krzywica i pląsawica, zołzy, nieżyty oskrzeli i choroby zakaźne

Katary pęcherza — wedle wierzeń ludowych — powstają *z wiatru* lub *zawiania* i przeziębienia. Dziać się to ma zazwyczaj wtedy, gdy dziecko nauganiawszy się zmęczone i spocone przysiądzie na chwilę na wilgotnej ziemi, a wiatr je podwieje. Dziecko chore na pęcherz albo ciągle mocz oddaje, albo cierpi na jego zaparcie. Chory pęcherz trzeba przede wszystkim wygrzać; ubierają więc chorego ciepło i robią mu ciepłe kąpiele. A poza tym podają mu leki zewnętrzne lub wewnętrzne. Zewnętrznie na krzyże chorego przykłada się plaster z maści majerankowej. Plaster ten, to zwyczajny płatek nasmarowany maścią i przyłożony na krzyże chorego, a potem dobrze obwinięty szeroką, a ciepłą flanelą, barchanem lub wełnianą chustą. Wewnętrznie podają do picia herbatkę z polnych bratków (*Viola tricolor*) lub odwar pietruszki, a czasami także jabłka smażone w cukrze. Na zaparcie moczu gotują brzozowe liście (*folia Betulae albae*), korę kruszyny (szakłak kruszyna-*Rhamnus frangula*) i korzeń pietruszki (*radix Petroselini*) (Ratyszcze), albo dają do picia nagotowane jagody jałowca (*fructus Juniperi*) pomięszane z wódką, zaś gorącą miazgę z pietruszki, lub sparzone ukropem liście brzozowe przykładają na podbrzusze i krzyże w formie okładu (Olejów). Tak samo zagotowawszy deszczówkę moczą w niej ręce zanurzywszy je aż po łokcie.

Przy moczeniu nocnym (*enuresis nocturna*) u małych dzieci, które powstaje z lenistwa, twardego snu, albo z bojaźni i wchodzi w przyzwyczajenie, stosują metodę sympatyczną. Dają więc choremu do zjedzenia kiszkę wraz z patyczkiem. Jak bowiem patyczek umieszczony na końcach kiszki nie pozwala wysunąć się ich zawartości ze środka, tak i tutaj ma powstrzymywać ciągłe moczenie. Podobnie ma działać spożycie ugotowanych *świńskich cycek*, dobrze zamykających drogę pokarmowi. Jeżeli zabiegi te nie pomagają, wtedy wieczorami przez dwa tygodnie z rzędu podają choremu do picia półkwaterkowy garnuszek odwaru krwawnika (*Achillea Millefolium*) i kładą go spać na twardej ławie bez podścielania czegokolwiek przykrywając lekko, a pod głowę dając tylko niewielki zwitek szmat, lub jasiek. W nocy budzą takiego chorego parokrotnie i wyprowadzają na dwór celem oddania moczu. Leczenie takie daje dobre wyniki, bo chory — jeśli się bał, przyzwyczai się do nocnego wychodzenia, jeśli był leniwy, zmuszonym jest do punktualnego wstawania, a twarde łoże każe mu zapomnieć o wygodzie i wyleczy go ze snów.

K r z y w i c a u dzieci wiejskich nie jest rzadkością, owszem zachodzi nawet dość często z powodu złej dietetyki, nieprzestrzegania higieny osobistej i złych warunków mieszkaniowych. Bardzo często w chatach wiejskich jest wilgoć, zwłaszcza u młodych małżeństw, mieszkających w nowych domach zbudowanych z gliny. Małżeństwa te pracują intensywniej, mniej zatem mają wolnego czasu dla dziatwy. Niemowlęta krępują wprost niemiłosiernie, a już trzymiesięczne dzieci gwałtem stawiają na nóżki, aby chodziły. Podobny system przy wiotkich i słabych jeszcze kościach długich, zwłaszcza w kończynach dolnych, powoduje ich wykrzywianie się. Jednakowoż *krzywe nogi* dziecka nie przerażają zbytnio rodziców. Dla pewności, celem wzmocnienia ich, kąpią dzieci w odwarze liści orzecha włoskiego *(Juglans regia)*, leszczyny (*Corylus Avellana*), kory dębowej (*Quercus robur*) i grysu pszennego przydając do tego czasem jeszcze przygarść soli kuchennej. Inni kąpią w odwarze ziół leśnych z dodatkiem liści orzecha włoskiego i *czabarku* (tymianek-*Thymus Serpillum, Thymus vulgaris*), rozumie się z otrębami pszennymi. Ale najpewniej pomaga kąpiel w odwarze ukradzionego podczas nowiu z trzech pól grochu (*Pisum sativum*). W ostateczności uciekają się do kąpieli w ziołach poświęconych, w wiankach w oktawę Bożego Ciała, czy w bukietach na Matkę Boską Zielną (15. VIII), przy czym wysmarowują ciało chorego niesolonym tłuszczem.

P l ą s a w i c ę (*chorea*) uważają wieśniacy za bardzo ciężką chorobę. Niepokoi ich zachowanie się dziecka i ruchy przez nie wykonywane, a także nagły początek choroby. Poza kąpielami w odwarze leśnego siana z otrębami pszennymi i solą, oraz leczeniem napotnym (lipowy kwiat-*flores Tiliae*, kwiat *bziny*, czarny bez-*Sambuccus nigra*, suszone poziomki-*Fragaria vesca*) nigdy nie zabawiają się zbyt długo przy chorym i udają się o poradę do lekarza.

S z k r o f l e *(zołzy, scrophulosis*) pojawiają się często z powodu wilgoci, braku powietrza w chacie i marnego odżywiania się. Dopóki gruczoły niezbyt obrzękłe i niezbyt bolesne, w ogóle nimi się lud nie zajmuje. Ale gdy porobią się guzy duże, twarde i bolesne, u chłopców starają się przyspieszyć potworzenie się dymienic i wyciek ropy, dziewczęta natomiast leczą, by nie miały brzydkich blizn, które utrudniałyby im zamążpójście. Okładają więc obrzękłe *gule* maścią rozchodnikową domowego wyrobu (aby spowodować rozejście się dymienic) lub plastrem z mąki

pszennej, miodu i jajka, ewentualnie dają okład z jaskółczego ziela zagotowanego w mleku. Przy tym kąpią chorego w odwarze siana leśnego z liśćmi leszczyny, orzecha włoskiego, korą dębową, otrębami pszenicznymi i solą kucheną, częściej kamienną. Częsty przy *zołzach* obrzęk nosa, warg oraz wypryski na twarzy zmywają wodą, w której przez parę dni moczyły się bratki polne (*psie bratki-Viola tricolor*) zerwane w całości, tylko bez korzeni. Ostatnio po wojnie kupują w aptekach tran (*oleum jecoris aselli*) i podają dzieciom każdej zimy do picia.

Przy obrzękach migdałków i ich zapaleniu owijają szyję na noc wełnianą pończochą lub onucą zdjętą wprost z przepoconej nogi. Im ta jest bardziej przepocona, tym skutek pewniejszy. Wewnętrznie natomiast podają herbatkę z rumianku, lub poziomek, czy malin z miodem, a nawet miód z wódką przegotowany (*krupnik*) wlewają łyżeczkami do gardła.

Nieżyty oskrzeli, jako zwyczajny *kaszel* lub *przesłudzenie, przeziębienie* leczą herbatką z lipowego kwiatu, czarnego bzu, ślazowego korzenia, poziomek i malin z miodem oraz stawianiem baniek, lub zamiast nich nacieraniem wódką z olejkiem terpentynowym. Niepokoi wieśniaków suchy kaszel. Gdy dziecko odpluwa, wszystko powinno być w porządku i chory może pozostawać spokojnie w leczeniu domowym.

Skoro przy kaszlu dziecko *spada z ciała* (chudnie), to pewnie suchoty. Przyczynami suchot u dzieci mogą być: połknięcie kilku włosów sierści kota, odstawienie od piersi i tęsknota za nią, u starszych dzieci tęsknota za straconą zabawką, żal po wyjeździe lub śmierci kogoś z rodzeństwa. Ale takie suchoty są mało znaczne. Gdy dziecko dostało suchot po połknięciu włosów kocich, kąpią je razem z żywym kotem trzy razy, a kota wyrzucają daleko poza obejście. Zwierzę otrzepując się z wody kąpielowej, z którą na niego przeszła choroba, wytrząsa także tę ostatnią. Wodę z kąpieli suchotniczego dziecka wylewają na psa, by w ten sposób choroba przeszła na niego. Chorego kąpią w *batożkach św. Piotra* (podróżnik-cykoria, *Cichorium Intybus, Intybus sativus, Cichorea*), podając mu i odwar tego ziela do picia. Podróżnik, jak sama nazwa wskazuje, z chorobą pójdzie precz gdzie indziej szukając przytułku. Jest to leczenie sympatyczne. Kąpią również dziecko w liściach orzecha włoskiego, macierzance, wiankach święconych i sianie ze stołu wigilijnego, w odwarze młodych gałązek dębu, słomy grochowej i dziewanny

(*Verbascum thapsiforme*). Małe dzieci smarują *zajęczym sadłem* (skromem zajęczym), starsze kilkuletnim sadłem wieprzowym lub borsuczym smalcem, albo przykładają na piersi i plecy chorego skórkę ze słoniny w formie okładu. Gdy wszystko zawodzi, wyszukawszy końską czaszkę składają w nogach dziecka i potem zanoszą z powrotem na dawne miejsce nie oglądając się jednak poza siebie w czasie powrotu do domu. Blade chude dzieci kąpią w wodzie z ugotowanymi rakami. Ich czerwień ma niejako wpłynąć sympatycznie na zaczerwienienie skóry dziecka.

Koklusz, ospę, wiatrówkę, płonicę, błonicę i odrę uważa lud za specyficzne choroby dziecięce.

O d r ę i p ł o n i c ę — wedle ludu — każdy raz w życiu przebyć musi, ale drugi raz już się ich nie dostanie. A że lżej te choroby przechodzą dzieci, niż ludzie dorośli, więc życzeniem ogólnym jest przebycie ich w wieku dziecięcym. Gdy więc w chacie pojawi się odra, lub płonica, jak tu mówią *kur*, lub *szkarlatyna*, nie tylko nie przeprowadza się izolacji chorego i separacji pozostałych dzieci, lecz raczej układa się te, które tych chorób jeszcze nie przechodziły, obok chorych, by zakazić je w dzieciństwie i przez to uchronić przed zachorowaniem i pewną śmiercią w wieku późniejszym. Cała troska rodziców ogranicza się do tego, by dzieci wygrzać i by *wysypka (osutka)* była jak najsilniejsza, by *wszystko wysypało się na wierzch, a nie schowało broń Boże i nie rzuciło na wnątrze,* bo wtedy nastąpiłaby niechybnie śmierć. Niezawodnymi więc specyfikami w tych chorobach są środki silnie napotne, jak miód pszczelny, lub pitny, kwiat lipowy, czarnego bzu, ślaz, poziomki, maliny i palenie do niemożliwości w nieprzewietrzanej zupełnie chacie, przy równoczesnym nakrywaniu chorego kożuchami. Choroba niewygrzana *rzuciłaby się na nerki*. Rozumie się, że diety specjalnej przy tych chorobach nie uznają podając do jedzenia wszystko, czego dziecko zażąda. Przy najmniejszych objawach zaparcia ładują w dziecko olejek rącznikowy (*ol. Ricini*), lub senesowe strączki (*folia Sennae*).

O s p ę (*variola vera*) i o s p ę w i e t r z n ą (*varicella*), tzw. wiatrówkę uważają tu za prawie te same choroby. Podobnie jak odra i płonica, powinny się one wysypać jak najsilniej, w przeciwnym bowiem razie choroba trwać by musiała długo. Potrzeby izolacji lud i w tym wypadku nie uznaje wierząc, że ospa czepia się tego, kto się jej boi. Gdy więc jeden przypadek ospy

się pojawi, z pewnością trzeba później zwalczać epidemię w całej okolicy. Leczenia, poza silnie napotnym, właściwie nie znają; pilnują tylko i przestrzegają, aby dzieci nie zdrapywały krosteczek i nie oszpeciły się w ten sposób. Ropnie pokazujące się na twarzy smarują topionym sadłem, nakłuwają igłą, po czym smarują ponownie.

Krztusiec (*pertussis, tussis convulsiva*), *koklusz* to choroba, która trwać musi przynajmniej przez sześć tygodni i której właściwie nie wolno leczyć przez ten czas, ani nie trzeba. Wedle mniemania ludowego jest to tylko rodzaj bardzo silnego kaszlu. Gdy jednak krztusiec dokucza zbytnio, dziecko wymiotuje, nie odżywia się dobrze, a w następstwie tego chudnie i *niknie w oczach,* udają się do wielkiego arsenału wiedzy medycznej, by wybrać jakiś środek odkrztuśny. Najczęściej podają wtedy do picia wywar czerwonych płatków maku polnego (*Papaver Rhoeas*), sok różany (*sirupus Rosae*), suszone liście poziomkowe wraz z jagodami dobrze zaparzone (*Fragaria vesca*), a poza tym napar z szałwii (*Salvia officinalis, Salvia pratensis*) i herbatkę z perzu (*Triticum repens*). Starszym dzieciom polecają również chodzenie o świcie i boso po mokrej łące nad stawem, małe natomiast przez parę godzin obnosi się o tej samej porze nad stawem. Gdy środki te zawodzą, stosują lek odrażający, łajno czarnego psa ugotowane w słodkim mleku, aby w ten sposób chorobę zbrzydzić, albo zmianę miejsca zamieszkania, a więc i zmianę powietrza.

Jedynie błonica (*diphteritis, angina diphterica*) razem z dławcem (*croup, laryngitis crouposa*), tutaj pospolicie *anginą* zwane, uważane są za choroby niebezpieczne, prawie z góry przesądzone na niekorzyść chorego. Gdy dziecko zaczyna w charakterystyczny sposób oddychać, kładą już krzyżyk nad nim. Jako ostateczność wlewają mu do gardła wódkę i to wyskok z miodem, aby przepalić *flegmę, która dławi* i wywołać wymioty. A gdy i to nie pomoże, a na *zastrzyskowanie* (surowicy) u lekarza nie ma pieniędzy, to poddają się *woli Bożej.* Z innych środków leczniczych wymienić jeszcze wypada smalec psi lub borsuczy zagotowany z miodem i mlekiem, lub sadzę z mlekiem, a także sadzę i łajno świńskie rozpuszczone w wodzie i przecedzone następnie przez gałganek (Gaje za Rudą, Założce Stare). Do wdechiwań dają terpentynę francuską na gorącej wodzie i robią okład na gardło z wody z wódką, lub z czystej wódki z oliwą.

Do wybitnych dziecięcych przypadłości z zakresu chirurgii zaliczyć należy tzw. *przełamanie, przetrącenie, naderwanie,* coś w guście zwichnięcia. Powstają te choroby, gdy dziecko albo przegnie się nagle w jedną stronę tak, że żebro zaskoczy za żebro, przegnie się ku tyłowi lub przodowi, aż coś *trzaśnie chrupnie* w kościach, albo zeskoczy z góry na pięty. Wtedy najpierw nastawiają kości sami przyciągając lewy łokieć do prawego kolana i prawy łokieć do lewego kolana, przy czym *maszczą* oliwą, borsuczym smalcem, albo przykładają skórkę ze słoniny, względnie świeże świńskie sadło.

O wszelkich znamionach, które pozostają dziecku na całe życie, będę mówił w odnośnych rozdziałach.

CHOROBY KOBIECE

Do pierwszej regularności zazwyczaj matka-wieśniaczka nie zwraca większej uwagi na rozwój płciowy swej córki. Dopiero od tego czasu zaczyna się ścisła obserwacja jej życia, bo matka chce mieć w córce swoje własne odbicie. Równocześnie zaczyna się wtedy wtajemniczanie dziewczęcia w misterium życia płciowego, które zresztą już zna ono zazwyczaj doskonale, choćby z obserwacji rodziców lub starszego rodzeństwa. Bo życie rodzinne wieśniaka w jednej wspólnej izbie przewija się na oczach całej rodziny i to bez żadnych obsłonek. Dzieci asystują przy porodach i nie znają wcale starej bajki o bocianach przynoszących dzieci, ani jej podobnych. Najważniejsze to, że z chwilą pierwszej regularności matka musi roztoczyć nad córką baczniejszą uwagę ze względów praktycznych, by *dziewczyna nie napytała się kłopotu, nie przyniosła sobie czego do chaty.*

Regularność, nazywana tutaj rozmaicie *periodem, miesiączką, czasem, ma na sobie, pierze się, czyszczeniem krwi* itd., jest niejako progiem dojrzałości dziewczęcej, ogłoszeniem możliwości macierzyństwa. Przy pierwszej regularności powinna się dziewczyna oszczędzać. Nie pozwalają więc jej zbytnio się natężać, a już w ogóle przy żadnej zamoczyć nóg, np. przy praniu bielizny na rzece, moczeniu konopi, lnu itp. Zamoczenie nóg może spowodować *zatrzymanie czasu,* a to już jest dowodem choroby i momentem, który sprzyja *czepianiu się suchot.* Gdy więc *czas* się zatrzyma z jakichkolwiek powodów, czy to chorobowych, czy fizjologicznych, niepokoi to bardzo i samą chorą i jej otoczenie. Zazwyczaj dziewczyna, gdy zajdzie potajemnie w ciążę,

rozmyślnie stara się w dniach spodziewanej regularności zamoczyć nogi, by miała chwilowy parawan wobec rodziny, no i czas na uporządkowanie swych spraw z narzeczonym, z którym — zależnie od porady — albo udaje się do *baby*, akuszerki, lub nawet lekarza dla spędzenia płodu i przerwania ciąży, albo szybko daje na zapowiedzi i bierze ślub za zgodą rodziców obojga młodych. Spędzanie płodu u wieśniaków nie zdarza się rzadko, choć jest uważane za grzech ciężki, owszem obecnie jest zjawiskiem dość powszednim i praktykowanym otwarcie, gdy dawniej było okrywane tajemnicą.

Aby *czas* wrócił, próbują przeróżnych środków, stosowanych zewnętrznie albo wewnętrznie. Do zewnętrznych należą kąpiele nóg, nasiadówki i kąpiele tak gorące, *jak można tylko wytrzymać*. Kąpiel robi się bądź z siana lasowego z dodaniem *topki* (1 kg) soli, lub pół litra spirytusu skażonego, lub miodu pitnego. Wewnętrznie używają odwarów z szafranu *(Crocus sativus)*, sabiny (sawiny) *(Juniperus sabina)*, czarnej malwy *(Althea rosea)*, czarnej róży (*Malva silvestris)*, czerwonej piwonii *(Paeonia officinalis)*, dzikiego prosa (*Amaranthus caudatus*), ziaren niedojrzałej hreczki (*Polygonum v. Fagopyrum esculentum*), korzeni jabłoni *kwaśnicy* (dziczki) (*Pirus Malus L.)*, ciemnych kwiatów ostróżki polnej (*Delphinium Consolida*), wyrwanej z korzeniami z żyta. Piją również rozbite na proszek czerwone korale z mlekiem, jedzą świeży, wprost z pieca wyjęty, gorący chleb żytni z miodem, zjadają całymi funtami jagody jarzębiny *(Sorbus aucuparia L.)* używają wódki z odwarem kłączy tataraku *(Rhizoma Calami*), lub z chrzanem *(Raphanus maior*), gorczycą (*Sinapis nigra*, *Sinapis arvensis*), lub pieprzem (*Piper nigrum*).

Podobnie wewnętrznie jako środka na przywrócenie regularności i spędzenie płodu używają do picia odwaru jałowca *(Juniperus virginiana)*, ruty ogrodowej *(Ruta graveolens*), sporyszu (przetrwalnika grzybka-*Claviceps purpurea*), zwanego tu *matką zbożową* (*Secale cornutum*). Do wojny używano też kilku łebków fosforowych zapałek tzw. *siarników* rozpuszczonych w wodzie. Obecnie piją jeszcze olej terpentynowy, albo perz *(Triticum repens)*, gotowany z słomą hreczaną, albo tzw. *pomarańczówkę*, tj. nastój skórek pomarańczowych na wyskoku 95%, albo gorące piwo z imbirem, równocześnie mocząc nogi w gorącym odwarze tataraku. Zażywają także *zajzel* (*acid. muriaticum Salzsaure)* i proszki chininowe zakupywane w aptekach. Specyfików z tego działu jest

o wiele więcej, lecz niestety nie mogłem na razie dowiedzieć się o wszystkich. Może kiedyś uzupełnię te dane.

Zbyt długi okres *czyszczenia* nie niepokoi zbytnio wieśniaczek, a zwłaszcza dziewczyn wiejskich, dlatego nie starają się specjalnie o zatrzymanie krwawień, by sobie nie zaszkodzić. Pod objaw *czyszczenia* podciąga lud duży procent chorób pochwy, jajników i macicy. Przydługie krwawienie jest czasem wynikiem zboczeń lub chorób narządów płciowych kobiet, częściej następstwem sztucznych poronień, wykonywanych ręką *znającej* lub spowodowanych specyfikiem domowym. Gdy więc na skutek zbyt długotrwałych *czerwonych spławów*, wieśniaczka zapada na niedokrwistość, poczyna tracić siły i blednąć, ubierają ją w czerwone i prawdziwe korale i dają pić odwar krwawnika albo kłączy kopytnika *(Assarum europaeum)*, gdyż wedle wierzenia ludowego macica ma być podobną do liścia kopytnika, dalej herbatę z rojownika *(Mellisa officinalis)*, chmielu *(Humulus Lupulus)*, bluszczu zwanego *kurdybanem (Hedera Helix)* bądź samego, bądź z pieprzem, odwar liści dębowych, galasówek (dębianka galasówka) w wódce lub winie czerwonym (środek znany z XVII w.) albo wreszcie mydliny. Z innych środków stosują nasiadówki i naparzania z odwaru krwawnika, kory dębowej i kory wierzbowej. W czasie silnych krwotoków kładą okłady na podbrzusze z zimnej wody w lecie, a z lodu w zimie, lub czerwoną nitką wiążą mały palec u lewej nogi[1]). A gdy to wszystko zawodzi i zbyt silne krwotoki trwają nadal, pozostaje jeszcze jeden sposób. Chora idzie do młyna, zbiera pył mączny z pod stawidła (urządzenie zatrzymujące koła młyńskie), gotuje z niego polewkę i pije. Ten sposób powinien bardzo szybko dać pożądany skutek. Jak bowiem stawidło zatrzymuje koła młyńskie, tak i polewka z pod niego krwotok zatrzymać jest w stanie (leczenie sympatyczne).

Brak lub nadmierne krwawienia maciczne zdarzają się zazwyczaj — wedle wierzenia — w tych chatach, w których jest więcej dziewcząt, a w których nie przestrzegano dokładnie przepisów obowiązujących przy praniu bielizny. Trzeba bowiem pamiętać zawsze o tym, że bielizny dziewcząt nigdy nie wolno mieszać, lecz należy prać każdej z osobna. Dlatego do *zolnicy* (kadzi, w której wybielają bieliznę ługiem z popiołu drzewnego) układają bieliznę poszczególnych dziewcząt lub kobiet miesiącz-

---

[1]) Heur: Skład albo herbarz sekretów ekonomicznych, Kraków 1693, str. 453.

kujących warstwami przekładając je kalesonami męskimi. Wtedy bywa wszystko w porządku i żadna z niewiast szkody nie poniesie.

Na krwotoki maciczne po porodzie przykłada się na dół brzucha mieszaninę gliny z octem, barszczu z krupami jaglanymi i siemieniem konopnym (Olejów), lub samą glinę z barszczem.

Macica to narząd, który bardzo łatwo zmienia swoje położenie, nie tylko u kobiet, ale i u mężczyzn, bo i ci mają również macicę. Każde podźwiganie, oberwanie, wzruszenie przy upadku może spowodować zmianę jej położenia i wywołać dolegliwe bóle. Wędruje ona od przepony aż do krocza, od prawego do lewego boku i od krzyżów do pępka, a wędrując wywołuje ciśnienia, nudności, bóle, odbijania, czasem nawet wymioty. Najlepiej nastawić macicę na swoje miejsce. Chore poddają się wtedy zabiegom *babek*, które podciągają macicę w górę, lub ściągają w dół, przeciągają tu lub tam, by ustawiwszy na miejscu podwiązać chustką; jednocześnie podają do picia odwar melisy *(Melissa officinalis)*, trędownika (*Scrophularia nodosa*), macierzanki (*Thymus Serpillum*, tzw. *szczerbec, cerbec*), lub korzenia *świętojańskiego ziela* (dziurawiec-*Hypericum perforatum*). Zioła te wpierw moczą w wódce. Nie dziw zresztą, że przemieszczenie macicy u kobiet wiejskich jest bardzo częste, skoro wstają one i biorą się do zwyczajnej, ciężkiej pracy nieraz już w kilka godzin po rozwiązaniu, a najwyżej w sześć dni po nim. Prócz tego częste porody i nieużywanie opasek brzusznych po nich, wreszcie stawianie garnków nad pępkiem, lub na podbrzuszu przy wszelkich *bólach i kurczach w brzuchu* doprowadzają do bardzo znacznego zwiotczenia mięśni brzusznych.

Przemieszczenie macicy w tak zw. tyło- czy przodozgięcie i katary pochwy wywołują tzw. *białe spławy* (*fluor albus*). Na nie, o ile nie są zbyt obfite i dokuczliwe, nie robią nic, jeżeli jednak przy nadmiernej obfitości wywołują objawy uboczne, jak swędzenie, drażnienie, pieczenie i nadżerki błony śluzowej, a często nawet i zaczerwienienie oraz owrzodzenia na udach, to wtedy używają kąpieli nasiadowych z kory dębowej oraz piją trzy razy dziennie herbatę z kwiatów białej głuchej pokrzywy (jasnoty-*Lamium album*), lub odwar pietruszki, brzozowych liści i kory kruszyny (*Cortex Frangulae*), podobnie jak przy zaburzeniach pęcherzowych. Przy tym ciepło owijają podbrzusze, bo *to bardzo ważne.* Bóle pochodzące ze schorzeń przydatków (*adnexitis*) od-

noszą nie do narządów rodnych, tylko trawiennych uważając je za skutek zaburzeń jelitowych, a najczęściej *ślepej kiszki*, bez względu na miejsce, w którym ból się objawia.

Pozostaje jeszcze sprawa b o l ó w w s u t k a c h — wedle określenia ludowego *piersiach, cyckach* w czasie miesiączkowania, ciąży i po odłączeniu dziecka. Na bóle nieznaczne przy miesiączkowaniu w ogóle nie zwracają uwagi, przy większych natomiast kładą ciepły okład z wódki. Przy ciąży *trzeba cierpieć, bo to trudno, tak już jest ustanowione*. Gdy sutki bardzo duże i przez ciągnięcie ku dołowi z przybieraniem pokarmu sprawiają dolegliwości, podwiązują je stanikiem. Po odłączeniu lub śmierci dziecka, niektóre zestrzykują resztkę niewyssanego przez dziecko mleka na ogień i w kąty izby (dla myszy), a brodawki sutek pokrywają woskiem pszczelnym, przy równoczesnych okładach z zimnej wody, lub z liści olchy (*Alnus glutinosa*). W czasie karmienia dzieci matki nie zapinają szpilek, ani igieł, nawet guzików od koszuli na piersiach, by nie zamykać przez to dopływu mleka do piersi.

Gdy na skutek zdrapania lub zranienia przyjdzie do zapalenia sutka (*mastitis*), najpierw zamawiają chorobę pociągając przy tym palcami wzdłuż piersi z góry w dół, tj. od nasady ku brodawce. Następnie okładają chory sutek serwatką, gliną z barszczem, lub gliną z octem, świeżym krowim łajnem, liśćmi olszyny, okadzają i ogrzewają parą wodną równocześnie *ściągając* z niej mleko. Bo *mastitis* to nic innego, jak *tylko zapieczony pokarm, zgęstniały, gdy dziecko źle ssie z powodu choroby albo przyrośniętego języka*. Pod okładami, zazwyczaj po dłuższym czasie ropa wycieka z chorej piersi pozostawiając rozległe, pozaciągane blizny, zniekształcające zupełnie sam sutek.

W jednym wypadku widziałem sposób leczenia zapalenia sutka przez znachora w artystycznym wykonaniu graficznym. Na piersi chorej, bardzo obrzękłej i zaczerwienionej, namalowano grynszpanem lub jakąś podobną farbą zielononiebieską pięć kół koncentrycznych biegnących ponad sobą od brodawki ku nasadzie piersi. Każde było złożone z szeregu znaków niezrozumiałych w kształcie krzyżyków, haczków, linijek równoległych przebiegających w różnych kierunkach, kółeczek, trójkącików, kwadratów i prostokątów. (+ — ഗ ഗ || // = // ○ △ ‖ ▢). Podobny rysunek obserwowałem przy tej samej chorobie nad B e r e z y n ą w okolicach Z i e m b i n a i B o r y s o w a na

Białorusi w r. 1920. Możliwe, że znachor tutejszy, jako żołnierz walczył z bolszewikami na tym odcinku frontu i nabył tam tej cudownej sztuki, a może raczej w czasie wielkiej wojny jakiś tamtejszy znachor jako żołnierz rosyjski zdradził swą tajemnicę komuś w okolicy Załoziec.

Gdy płód przedwcześnie umrze i noszony przez pewien czas przez nieświadomą tego matkę wywoła bóle, starają się go usunąć z macicy. Piją w tym celu na proch starte suche końskie łajno, co zbrzydziwszy macicę powoduje kurcze i wyrzucenie martwego płodu, który zakopują głęboko w ziemię w miejscach mało uczęszczanych.

Na tym jednak nie zamyka się jeszcze rozdział chorób kobiecych u ludu, pozostaje jeszcze niepłodność, rzecz bardzo ważna ze względu na dziedziczenie posagu w razie śmierci jednego z małżonków. Bezdzietne małżeństwo uważa się za nieszczęśliwe. Dlatego po całym szeregu zabiegów znachorskich, zawsze trafiają takie chore prędzej czy później do lekarza. Niepłodnej kobiecie dają do wypicia grudkę krwi z cudzego porodu rozpuszczoną w wódce, lub rybkę znalezioną w brzuchu szczupaka czy okonia. (Lepsze wyniki ma dawać rybka połknięta przez szczupaka). Przy tym specjalnie ważną rolę odgrywa modlitwa z równoczesnym ofiarowaniem się na odpust do cudownego miejsca w Milatynie lub Podkamieniu. Pożyczają też u wieloródki koszulę i noszą ją, co niejako przenosi zdolność rodzenia z wieloródki na niepłodną.

Gdy wieśniaczka nie chce mieć więcej dzieci z powodów od niej zależnych (łatwość zachodzenia w ciążę, ciężkie porody, bieda w chacie) czy to wogóle, czy też na pewien tylko czas z góry przez siebie określony, wtedy zaraz po porodzie powinna zdjąć koszulę przez głowę (zwyczajnie zdejmują ją opuszczając ku dołowi), położyć na ziemi plecami ku górze i stanąwszy na niej w miejscu, gdzie normalnie znajdowałyby się jej krzyże wypowiedzieć następujące życzenie: *„ne na pazuchu nastupaju, za ... lit chrystyn sia spodiwaju“*. W tym samym celu wieśniaczka nie bierze wywodu zaraz po chrzcie dziecka.

Kobieta, która urodziła nieżywe dziecię, nie powinna być obecną przy ratowaniu topielca, gdyż w jej obecności nigdy on nie wróci do przytomności i życia.

Urodziny lub pogrzeb zwiastuje swędzenie samego końca nosa. Gdy puszczyk przylatuje do zagrody, *na obejście,* a nie huka, to będą urodziny, gdy huka, *woła,* to śmierć.

CHOROBY UMYSŁOWE i NERWOWE

Do tego działu zalicza lud wszystko, co związane z głową, co tajemne, niejasne i nie da się powiązać z bardziej przemawiającymi do przekonania objawami chorób innych. Przyczyny tego należy szukać w braku znajomości budowy anatomicznej ciała ludzkiego; dlatego to objawy uważa się za samą chorobę.

Zwyczajny b ó l g ł o w y — wedle wierzenia — może wystąpić niezależnie od zaburzeń w czynnościach ustroju ludzkiego, może być czymś z zewnątrz narzuconym, czymś obcym. Samo np. patrzenie się przez okno na pogrzeb wystarcza w zupełności, żeby głowa bolała. Wierzenie to zresztą, bardzo rozpowszechnione i u innych ludów, jest pozostałością dawnej wiary, że nieboszczyk to duch zły i niebezpieczny, który zazdroszcząc żywym życia mści na nich swój zgon.

Ból głowy, jako objaw całego szeregu chorób, jest najczęstszym cierpieniem ludzi. U ludu jest zwykle wynikiem rozmaitych błędów dietetycznych. Lud jednak tego nie rozumie, a przyczynę cierpienia tłumaczy sobie *uderzeniem krwi do głowy* albo *urokami*. W zakresie ludowego pojęcia *ból głowy* mieści bardzo wiele niedomagań, jak zawroty głowy spowodowane niedokrwistością, miażdżyca tętnic, migrena, bóle kataralne, bóle w gałce ocznej, uszach, gardle, jamie ustnej, chorobach zakaźnych, zaburzeniach trawiennych itd. *Ból głowy* jest tak rozległy, że objąłby prawie całą medycynę. Nie dziw więc, że i sposoby jego leczenia są najrozmaitsze.

Aby uniknąć w ciągu nadchodzącego roku bolu głowy i krzyżów, każą dzieciom tarzać się po ziemi, a nawet czynią to sami, gdy wiosną pierwszy raz usłyszą grzmot. Równocześnie chwyciwszy w rękę kamień uderzają się nim w głowę mówiąc *kamiń-hołowa*. Jak bowiem cała ziemia drzy, gdy pierwszy grzmot w nią bije, bo wie, że idzie już słoneczna wiosna, która ją od resztek śniegu uwolni i zarazem jakby od ciężkiej choroby trwającej przez całą zimę, tak i tarzanie się po tej ziemi powracającej do sił i zdrowia, do rumieńców barwnego kwiecia również ludzi od bólu głowy i krzyżów na cały rok uwolni. Jedynie twardy kamień obojętnie przyjmuje wiosenny grzmot, bo jemu aura nie przynosi żadnej zmiany. Tę wytrzymałość kamienia pragną przy pomocy uderzenia przekazać ludzkiej głowie. Zwy-

czaj ten jest zabytkiem pogańskiego kultu kamieni[1]. W czasie pierwszego ciepłego deszczu wiosennego, po którym pokazuje się obfita trawa, zdejmują nakrycie głowy, aby włosy dobrze rosły, a głowa nie bolała i wszy w niej nie było; wierzą bowiem, że czapkę lub kapelusz oraz głowę wymyje pierwszy deszcz z wszelkich nieczystości. Dziewczęta mówią tutaj: *niech mi po tym deszczu majowym włosy tak pięknie rosną, jak trawa.*

Komu pokaże się nowy księżyc na otwartym miejscu i z prawej strony, temu będzie się dobrze wiodło przez cały miesiąc i głowa w tym czasie nie będzie go bolała. Jeżeli przy tym trzy razy lekko podskoczy, dostanie jeszcze jakiś prezent. Gdy się ujrzy księżyc z lewej strony, należy natychmiast splunąć trzy razy, żeby odżegnać zły urok. Tak samo należy postąpić, gdyby się zobaczyło nowy księżyc przez okno. Kto stawia w kącie miotłę miotliskiem do góry, a nie na miotlisku, będzie cierpiał na ból głowy. Ostrzyżone włosy należy spalić, a nie wyrzucać na dwór, aby ich ptak jaki nie zabrał na swoje gniazdo. Ilekroć bowiem na nim się ruszy, nóżkami pogrzebie, lub dziobnie w jaki włos, jego właściciel dostanie zaraz bólu głowy, a pewnie i kołtun się zrobi na jego głowie, gdyby w gnieździe ptak włosy poplątał. Najgorszy ból cierpi ten, czyje włosy dostały się do wroniego gniazda.

Aby głowa nie bolała, każdy pijący alkohol wytrząsa na ziemię parę pozostałych na dnie kieliszka kropel robiąc jakby ofiarę z tego rzadkiego przysmaku niewidzialnemu demonowi ziemi.

Gdy w chacie nagle pęknie jakieś naczynie, jednego z domowników będzie ogromnie boleć głowa *aż do rozpęknięcia.*

Najlepszym l e k i e m n a b ó l g ł o w y uzdrawiającym niechybnie jest sen. Nie dziw więc, że na sen bardzo wieśniacy uważają. *Dobry sen — to zdrowie.* Jeżeli ktoś nie spi twardo, nie wypoczywa, tylko dalej pracuje, jak w dzień, tym samym zużywa swój organizm i skraca sobie życie. Kto przez sen mówi, wedle wierzenia ludowego, długo żyć nie będzie, bo nigdy nie wypoczywa. Komu na twarz świeci księżyc, będzie lunatykiem. Lunatyka budzić nie wolno, bo wtedy upadłszy, choćby na podłodze, zabije się. Lunatyk najchętniej wspina się na dachy, by być bliżej księżyca. Aby zapobiec bezsenności, podkładają zielone ma-

---

[1]) Henryk Biegeleisen: Lecznictwo ludu polskiego, str. 194.

kówki dzieciom pod głowy, jednocześnie ściskając je mocno chustą skropioną octem, do jedzenia dają niezbyt dojrzałe ziarnka maku, lub nawet każą pić wywar z zielonych makówek, często zmieszany z wódką. Dobrze na sen działa również *krokosz* (nogietek-*Calendula officinalis*) zwłaszcza poświęcony w bukiecie na Matkę Boską Zielną. Dodają go dzieciom do kąpieli, wkładają pod głowy, podają do picia w odwarze z słodkim mlekiem, lub czasem używają do okadzania. Starsi najczęściej stosują mocną wódkę, jako niezawodne lekarstwo na bezsenność.

Jeżeli przyczyną bólu głowy jest *uderzenie krwi do głowy*, co zresztą najczęściej się zdarza, to trzeba sobie puścić krew. Najlepiej wtedy, o ile jest lato, narwawszy liści krwawnika (*Achillea millefolium*) napchać je do nosa i cisnąć palcami tak długo, aż krwawnik wywoła kichanie, a w następstwie krwotok i ustanie bólu. Ten sam skutek mają wywołać pieprz lub chrzan tarty, podane do wąchania, albo pijawki postawione zazwyczaj poza uszyma.

Do zewnętrznych środków leczniczych zaliczyć należy okłady z zimnej lub rzadziej gorącej wody, przykładanie zimnej siekiery, świeżych zimnych liści kapusty (*Brassica oleracea*), chrzanu (*Raphanus maior*), łopianu (*Lappa maior, Aretum lappa*), dużych liści wiśniowych (*Prunus cerasus*), fasoli (*Phaseolus vulgaris*), babki pospolitej (*Plantago maior*), lilii wodnej (grzybień biały-*Nymphaea alba*), grążela posp. (grzybień żółty-*Nuphar luteum*), mokrzycy zwyczajnej (*Stellaria media*), rozchodnika pospolitego (*Sedum acre*), gałązek bluszczyka ziemnego wraz z kwiatami tzw. *przerwy* (*Glechoma hederacea*) znanej tutaj jako znakomity środek na ból głowy, niestety tylko w lecie możliwej do stosowania, liści świeżych buraków (*Beta vulgaris*), ewentualnie w zimie plasterki buraka słodkiego, w lecie liście ziemniaków (*Solanum tuberosum*), a płatków ziemniaczanych w zimie. Poza tym stosuje się jeszcze okłady z kiszonej kapusty (*Brassica oleracea*), zsiadłego mleka, zimnej wody, nacierania czoła i skroni octem lub cytryną, okłady z chusty w wodzie zmoczonej a skropionej octem, wreszcie wąchanie tabaki, amoniaku lub chrzanu. Do picia natomiast podają odwar szałwii (*Salvia officinalis*) poświęconej w dniu Matki Boskiej Zielnej, nalewkę barwinku (*Vinca maior*) na wódce, a przy zawrotach głowy herbatkę z kwiatu *kluczyków św. Piotra* (pierwiosnek - *Primula officinalis*). Ale ten ostatni środek jest rzadko używany.

Przy uporczywym bólu głowy niezawodnym lekiem jest sen. *By więc sen głowę zgoił*, podają dość często jakiś domowy środek nasenny z pośród wymienionych wyżej. Gdy ból głowy bardzo silny, najlepiej obmyć ją w odwarze z konopi (*Cannabis sativa*) poświęconych w zielu w dniu Matki Boskiej Zielnej, a w maju myć ją w odwarze korzeni łopianu. Odwar korzeni łopianu z dodatkiem *warkoczy Matki Boskiej, kosyci Matery Bożoi* (Traganek szerokolistny - *Astragalus glycyphyllos L.*) jest znakomitym środkiem domowym do mycia głowy, usuwa on w niedługim czasie łupież i wpływa dodatnio na porost włosów. Podobnie doskonale działają liście łopianu, wtykane w strzechę w dniu św. Jana Chrzciciela, a potem wysuszone i przechowane do użytku na zimę. W razie potrzeby moczy się je w zimnej wodzie i przykłada do czoła. W Mszańcu okładają głowę tartymi burakami.

Nagłe wystąpienie bolu głowy połączonego z zawrotami, ćmieniem w oczach i zazwyczaj wymiotami przypisuje lud *urokom*, lub *złym oczom*. Ich skutkiem jest również migrena (*haemicrania*) i pewne zatrucia przejściowe narządu pokarmowego. Poza fizycznymi dolegliwościami wywołują one jeszcze urazy psychiczne dając przygnębienie lub smutek, powodując ziewanie, osłabienie ogólne itp.

Moc rzucania uroków posiadają niektórzy ludzie już od urodzenia. Skoro tacy na kogoś lub na coś popatrzą, wnet urzeczona rzecz niszczeje, a osoba rozchorowuje się, a czasem nawet umrze. Uroki rzuca ten, kto, *albo urodził się już pod taką gwiazdą*, albo *ma już taką paskudną krew*, *kto ma zrośnięte brwi, kogo raz matka odsadziwszy od piersi z powrotem przyjęła.* Ludzie tacy, obojętnie mężczyźni, czy kobiety, miewają *złe oczy*, którymi bardzo łatwo urok rzucają. *Złe oczy* to oczy bardzo przenikliwie patrzące, albo zezowate, o nieregularnej źrenicy (*człowieczku*), niejednakowym zabarwieniu obu tęczówek, spoglądające spode łba, chore na oczopląs, wreszcie oczy czarne. Najczęściej rzucają uroki cyganie, obcy włóczędzy, stare i zazdrosne baby, kobiety miesiączkujące i osoby duchowne (bo to mężczyźni chodzący w spódnicy), a zwłaszcza księża obrządku grecko-katolickiego, wreszcie nawet ci, którzy nie myją się rano. Jedni mający złe oczy mogą urzec tylko wtedy, gdy się czemuś *cudują* (dziwią), albo czegoś *zawidzą* (zazdroszczą), drudzy mimowolnie, gdy tylko na cokolwiek rzucą okiem. Tacy, by nie urzec czego, zamykają

oczy, spoglądają w górę, lub wypowiadają słowa *na psa urok*. Bo jedni ludzie dobrzy z gruntu nieświadomie rzucają uroki, bez chęci szkodzenia innym, drudzy źli czynią to z rozmysłu. Do tej drugiej grupy zalicza się czarownice i czarowników. Silniej działa urok rzucony przez osobę płci przeciwnej. Uroki zadaje pierwsze spojrzenie, dalsze je tylko pogłębiają.

Ale urzec można nie tylko *złymi oczami*, ale nawet zwyczajnymi, gdy się czemuś bardzo dziwimy, lub czegoś komuś zazdrościmy, jesteśmy rozdrażnieni, lub spojrzymy na kogo *w złej godzinie;* nawet nie tylko wzrokiem, ale także słowem, *uczynkiem*, sztuką czarodziejską, skupioną w zaklęciu lub dotyku. Urzec można także siebie samego, jeżeli patrzy się na własny cień. Nawet umarli, gdy nie mają zamkniętych oczu, *wypatrują* innych członków rodziny, aby ich zabrać ze sobą na drugi świat. Stąd nieboszczykom zamykają ściśle powieki, nieraz przyciskając je starą monetą, albo kawałkiem czerepu. Uroki rzucają często również zwierzęta, jak pies, jaszczurka i żaba, a zwłaszcza ropucha. Żaba rachuje ludziom zęby, ile ich porachuje, tyle wypadnie. Dlatego wieśniacy zakrywają sobie usta ręką, gdy tylko zobaczą to zwierzę, a dzieci chętnie zabijają je kamieniami, ale przy zamkniętych ustach. Wreszcie urok może czepić się człowieka, który przeszedł przez *takie miejsce*.

Wiara w te zabobony zrodziła się najprawdopodobniej pod wpływem obserwowanej przez lud sugestii oczu u umysłów pierwotnych.

Uroki czepiają się nie tylko ludzi, czy zwierząt, ale także roślin, a nawet rzeczy martwych. Dlatego to mleko nosi się w nakrytych garnkach, lub na gwałt się je nakrywa, gdy ktoś obcy wchodzi na podwórze lub do chaty. To samo czyni gospodyni z dzieżą, gdy chleb rozczyniony, gdy robi masło itd. Najczęściej uroki czepiają się kobiet ciężarnych, niemowląt i osób jedzących, bo gdy usta otwarte, zły wzrok może w głąb człowieka zajrzeć. Urzec można i strawę. Dlatego jedzą szybko i starają się ukryć smaczne kąski. Urzeczoną strawę jedzący musi odchorować.

Gdy urok padnie, urzeczony, który zupełnie był zdrów i czuł się doskonale, czuje naraz łamanie w skroniach, ucisk na sklepieniu czaszki, w oczach mu ciemnieje, nudzić go poczyna, ziewa, staje się sennym, zielenieje i bardzo słabnie. Po tych to cechach wnet przyczynę choroby poznać można. Szczęściem

dla chorego, gdy dostanie wymiotów, gdyż wnet i *uroki zelżeją* i ból głowy się zmniejszy. Chory wtedy staje się sennym i łatwo we śnie prześpi całą chorobę. Gorzej jednak, gdy uroki działają długo, a przyczyny nie da się wyświetlić. Chory traci wtedy apetyt, blednie, chudnie, coraz częściej cierpi na zawroty głowy, nudności, wymiotuje, a nawet mdleje.

Bronić się przed urokami można łatwo. Jeżeli się obcuje lub przechodzi obok osoby znanej z tego, że rzuca uroki, lub obcej milcząco wpatrującej się w przechodnia, to, aby uchronić się przed urokiem, należy splunąć przed siebie, lub lepiej poza siebie, bądź też rzucić cokolwiek, np. kawałek źdźbła słomy, sznurka, liść itp., bądź to chwycić się za guzik od ubrania, bądź też wypowiedzieć słowa *na psa urok*. Dla ochrony przed urokami należy nosić koszulę przewróconą na lewą stronę, lub podkowę od butów przybić na progu chaty.

Lud tutejszy zna kilka sposobów pozbycia się zadanych uroków. Pierwszą czynnością jest stwierdzenie ich obecności, potem dopiero następuje odczynianie. Zajmują się tym przeważnie *baby*. Nalawszy najpierw wody do miski lub garnka zbliżają się z tym naczyniem do pieca, gdzie pod kuchnią rozżarzyły węgiel drzewny, biorą pojedynczo węgle trzy razy po dziewięć i rzucają na wodę licząc: *dziewięć nie dziewięć, osiem nie osiem, siedem nie siedem, ... jeden nie jeden.* Z zachowania się węgla rozpoznają, czy rzeczywiście ma się do czynienia z urokami, czy też z inną chorobą. Gdy węgle toną, *idą na dno,* ma się przed sobą uroki, gdy pływają na wodzie, inną chorobę. Gdy rzucane na wodę węgle idą od razu na dno, uroki rzucił chłop, gdy spadają powoli, to baba. Zamiast węgla można użyć, ale to bardzo rzadko się zdarza, źdźbła słomy, kłosa, trzaski lub chleba. Czasem, gdy uroki trwają dłużej, rzuca się trzy węgle i trzy kawałki chleba. Węgiel tonący oznacza wtedy urok zadany przez mężczyznę, chleb przez kobietę. Jeśli jednak toną chleb i węgiel, to biada choremu, bo taki urok jest śmiertelny. Gdy wszystkie węgle już opadną, urzeczony musi napić się wody odczyniającej, trzy razy po łyku, ale zwrócony twarzą do drzwi. Następnie odczyniająca uroki *baba* obmywa choremu trzy razy twarz grzbietem ręki, a resztę wody wylewa między drzwi. Gdyby tego nie uczyniła, urzeczony mógłby obłożnie zachorować, *gdyż uroki spadłyby mu na wnątrze.* Niektórzy, zamiast wylewać wodę między drzwi, obmywają choremu jeszcze ręce i nogi. Odczynia-

jąca przed obmyciem skroni choremu mówi: *jeden cię urzekł dwóch cię odczynia, dwóch cię urzekło trzech cię odczynia, trzech cię urzekło, jeden cię odczynia.* Urzeczony powinien się tak schylić, by popod swoje *rozkraczone* nogi zobaczył niebo. Prócz tego należy jeszcze urzeczonemu trzykrotnie przeciągnąć grzbietem ręki po twarzy i dwa razy splunąć po trzykroć poza siebie.

Zamówić uroki można następującymi słowami: *Święta Otolija trzy córeczki miała: jedna przędła, druga motała, a trzecia świętym Pańskim urok odczyniała.* Pozbyć się można uroku również przez obmycie się własną *uryną* (moczem), wytarcie się tylnym dolnym rąbkiem koszuli i wreszcie pogryzienie tej części koszuli. Zabieg ten odbywa się w myśl maksymy: *wscysi, wserysi, wmyjsia, wterysi i rucznyk zjidż.* Przerwać zadany urok można także przez pocieranie czoła i skroni tzw. *piorunową strzałką* (belemnit) znalezioną w polu lub okadzanie poświęconym *bożym drzewkiem* (bylica drzewko-*Arthemisia Abrotanum)* i *czornobylem* (bylica zwyczajna-*Arthemisia officinalis*), jak i bławatem polnym (*Centaurea Cyanus*), wreszcie przy pomocy oczu raka, które — wedle wierzenia — są złe, uroczywe (oko racze zwalcza więc *złe oczy*, które urok zadały). Urzeczone dziecko, powinna matka trzykrotnie językiem oblizać i następnie splunąć na cztery strony świata. Wedle bowiem wierzeń ludu ślina *ma władzę*, tj. własności oczyszczające, a spluwanie nie tylko chroni spluwającego od uroków, ale i od złych duchów. Natomiast woda płynąca i zmywania leczą, bo choroba spłynie z wodą i zniknie. Skuteczność wody wzmacnia święcenie lub pochodzenie z tych miejsc, gdzie się łączy więcej strug lub źródeł, z pod kół młyńskich itp.

P a d a c z k ę *(prydibka, wielka choroba, święta choroba, choroba św. Walentego, epilepsja)*, mieszają z konwulsjami i nierzadko z apopleksją. Tak pojętą padaczkę uważa lud prosty — podobnie jak i w wiekach średnich — za rodzaj opętania przez diabła, który jest bardzo złośliwy i napastowanego człowieka tłucze, bije, rzuca o ziemię, a gdy chory się broni, w wysiłku walki diabeł zgrzyta zębami i z umęczenia się pieni. Dlatego powiadają u nas, że *wielka choroba człowieka bije i tłucze.* Patronem jej jest św. Walenty nie dlatego jakoby sam na nią cierpiał, tylko ze względu na związek fonetyczny między jego imieniem a objawami choroby[1]). W dniu więc tego świętego (14. II.) chorzy na

[1]) Patrz Biegeleisen „Lecznictwo" str. 199: „fallende (padający) fallente, Valentin, Walenty".

padaczkę modlą się żarliwie starając się nawet specjalnie uczestniczyć w mszy odprawionej w kościele w P i e n i a k a c h, gdzie patronem jest św. Walenty. Kto raz już zapadł na tę chorobę, tak długo będzie cierpiał, aż w czasie jednego z ataków nie pozostawi mu ona po sobie jakiegoś widocznego znaku.

Padaczka nie jest rzadkością u ludu. Trafia się z opętania, za wolą Bożą, albo nabawić się jej można z przestrachu względnie jakiegoś urazu, co też najczęściej ma miejsce. Z woli Bożej dostają padaczkę dzieci pijaków i rozpustników, jako widomy znak kary Bożej i przestrogi dla innych. Padaczkę dostaje również i ten, kto zobaczywszy chorego w czasie ataku przestraszy się, albo kto o niej mówi wiele i głośno, bo o *wielkiej chorobie* można mówić tylko szeptem i to z zastrzeżeniem *nie przy nas, tylko przy tym*, lub *na tej*. Choroby tej nabawić się może i ten, kto takiego chorego się dotyka. Toteż, gdy chory dostanie ataku, nie chcą go nawet widzieć, odwracają się od niego i przepędzają wprost dzieci z miejsca ataku. Także, gdy kobieta będąca w ciąży przestraszy się czegoś bardzo, jej dziecko może cierpieć na padaczkę.

Gdy ktoś się przestraszy i zachodzi obawa ewentualnego zasłabnięcia na padaczkę, należy bezwarunkowo poznać przyczynę przestrachu, a gdy jest nią osoba jakaś lub zwierzę, uciąwszy pukiel włosów, lub trochę sierści okadzić tym przestraszonego. Gdyby osoba była łysa, wtedy nie ma nadziei wyleczenia. Jeżeli ktoś przestraszy się czegokolwiek na obejściu, gdzie leży umarły, niezwłocznie winien pospieszyć do chaty i pocisnąć umarłego za mały palec najlepiej lewej ręki, a strach go zupełnie odejdzie. Aby przeszkodzić przeniesieniu się choroby na drugą osobę, zakreślają dookoła chorego koło kredą święconą, najlepiej tą, którą znak krzyża robiło się na wieku trumny. Przez ten symboliczny pierścień choroba już nie przejdzie.

Aby skrócić ataki, po zakreśleniu kredą koła, obracają chorego w ten sposób, żeby głowa jego znalazła się tam, gdzie były nogi w czasie upadku, albo do ręki jego wkładają kawał zimnego żelaza, np. klucz. Chory na padaczkę nie powinien pić wódki, ani jeść wieprzowego mięsa, gdyż ta dieta zmniejsza ilość ataków.

Choroby tej pozbyć się można poszcząc i żywiąc się tylko nabiałem w niedzielę wielkanocną przez trzy lata z rzędu. Wygłodzona i obrażona choroba odejdzie. Chory taki może także pójść do rzeźni i podczas uboju bydła wypić trzy szklanki go-

rącej jeszcze krwi, co zbrzydzi chorobę. Podają również chorym na padaczkę sproszkowane tylne *skoki* zająca, ale tylko w czasie ostatniej kwadry księżyca, lub żółć z czarnego psiego szczenięcia, ewentualnie sproszkowane serce nietoperza, a spośród ziół wódkę z korzeniem tataraku, lub odwar barwinku splecionego we wianki i święconego w oktawę Bożego Ciała. Jak w XVI czy XVII wieku, tak i dziś korzeń i nasienie piwonii czerwonej (*Paeonia officinalis*), noszone na szyi jako amulet, zapobiegają padaczcze, a pite w odwarze leczą już istniejącą, zwłaszcza pomieszane z korzeniem *czornobylu* (bylica posp.-*Arthemisia offic.*) ukopanym drewnianą łopatą, a wysuszonym na wietrze i roztartym na proch *makohonem* (drewnianym wałkiem). Dobrze jest także przez dziewięć dni nosić na szyi krzyżyk stalowy i dać na mszę św. do kościoła, któremu patronuje św. Walenty. Nad chorym na padaczkę *z przelęknienia* w czasie ataku palą len (*Linum usitatissimum*) i konopie (*Cannabis sativa*), a potem leją nań zimną wodę. Jeżeli chory wtedy się przelęknie, zniknie równocześnie przestraszona choroba.

Rusini nacierają ciało chorego na padaczkę rozduszoną w palcach pluskwą. Żydzi za dobry środek leczniczy uważają podawanie w winie czerwonym spalonej na popiół i sproszkowanej myszy polnej. Niemniej dobrze ma działać trzykrotne okrążenie głowy chorego mężczyzny czarnym kogutem, a kobiety czarną kurą, które poza tym zarzyna się w myśl rytuału, rozdziera nad chorym, by nań spadło parę kropel krwi i ostatecznie zakopuje w ziemi. Gdy zakopany ptak się rozkłada, zmniejsza się również choroba, a znika ona, gdy ptak całkowicie zgnije. Jest to pozostałość starożytnej krwawej ofiary składanej demonowi padaczki. Padaczka przechodzi z chorego na ofiarę, a z jej rozkładem znika. Jeśli napad padaczki dotknie Żyda w chacie, po skończonym ataku zrywają kawał deski z podłogi w miejscu, gdzie leżała głowa chorego i kopią tam tak głęboko, aż natrafią na parę kawałeczków węgla, które następnie trą na proszek i podają choremu do wypicia z wodą, co ma usunąć cierpienie.

Pewien znachor polecił spalić w nowym, szczelnie zamkniętym garnku żywego kreta, stłuc go następnie na proszek i zmieszawszy z wódką podać choremu do picia oraz smarować go tą mieszaniną, a potem dokładnie zawijać jednocześnie strzegąc się pilnie, by pchła nie skoczyła na kogo z obecnych, bo to będzie diabeł poszukujący nowej ofiary. Zamawia padaczkę na-

wet rzekomo z powodzeniem, ale tylko na przeciąg trzech miesięcy, *znająca* z Bzowicy imieniem *Todośka* (Teodozja). Nad stojącym obok niej chorym wymawia ona szeptem jakieś niezrozumiałe wyrazy i to tak niewyraźnie i cicho, że niestety pojąć ich nie można. Potem sama okadza chorego suchymi ziołami i daje ich nieco do domu z poleceniem dalszego wykonywania okadzań i przygotowywania napoju dla chorego.

Pod mianem obłędu, obłąkania, czy wariactwa rozumieją wieśniacy w ogóle wszystkie choroby umysłowe (*dementia praecox, paranoides, mania, schizophrenia* etc). Właściwych przyczyn tego cierpienia lud nie rozumie, ani sobie z nich sprawy nie zdaje szukając ich w niezwykłości objawów czy nadzwyczajności jakiegoś z chorobą zupełnie niezwiązanego zdarzenia. Uważa się więc obłąkanie za dopust Boży, karę Bożą, następstwo przekleństwa wypowiedzianego w złą godzinę, lub skutek przestrachu, którego przyczyną jest jednak zawsze diabeł. W tym ostatnim wypadku chorego uważa się za opętanego przez diabła.

Opętanego łatwo można odróżnić od chorego umysłowo. Opętany bowiem jest zupełnie normalny do *godziny opętania,* która nadchodzi zazwyczaj o stałej porze. Dopiero, gdy opętanie przyjdzie, wyprawia on dziwy: mówi różnymi językami, tańczy, śpiewa cudownie, nawet w obcych językach, choćby nigdy obcej mowy nie słyszał, tańczyć nie umiał, ani śpiewać nawet nie próbował. Przy tym w danym momencie każdy opętany odznacza się szaloną siłą i opowiada niestworzone rzeczy, prawi o cudach, jakie widzi, zaczarowanych krainach, w których króluje itp. Gdy godzina opętania minie, nie może on z umęczenia utrzymać się na nogach, pada bezwładny na ziemię, dostaje z przestrachu dreszczów, chce precz uciekać przed siebie, schnie, marnieje i umiera, jeżeli mu się w czas nie użyczy pomocy. W czasie ataku przestrachu bardzo łatwo może popełnić samobójstwo, a w czasie opętania za namową złego ducha innemu życie odebrać jest w stanie. Za opętańców uważani są wszyscy furiaci. Najlepszym wskaźnikiem rozpoznawczym dla ludu jest krzyk chorego, dlatego powiada się: *krzyczy, jakby go diabeł łupił ze skóry; krzyczy, jak opętany.*

Przyczyną opętania, jak w ogóle wszystkiego złego na ziemi, jest diabeł. On to albo zawieje złym wiatrem, zasypie oczy piaskiem, czy prochem ulicznym, zakręci tumanem, lub ukazawszy

się w całej okazałości przestraszy, czasem zalecankami wzbudziwszy miłość oczaruje, omota i wtedy dopiero strasznymi obrazami dręczy i do złego przywodzi. Wchodzi diabeł do ciała opętanego przez jeden z otworów naturalnych, najczęściej jednak przez usta. Opętany czyni wszystko bez swej woli i nieświadomie będąc tylko narzędziem diabelskich wyczynów. Czasem w jednego człowieka włazi kilku lub kilkunastu diabłów i taki jest najbiedniejszy, bo każdy z nich ma swoją naturę, własne usposobienie i zmusza chorego do czynienia tego, co jemu się specjalnie podoba. Nieraz w takim chorym przychodzi do *swarki* diabłów między sobą. Chory wtedy wyczynia dziwy, zależnie od chwilowej przewagi jednego z diabłów, dopóki najmocniejszy z nich albo swych towarzyszy nie powyrzuca z chorego, albo ich tak nie zmaltretuje, że tylko jego wolę wykonują i oni i chory. U Żydów człowieka opętuje *dybuk*, tj. dusza zmarłego człowieka nie mogąca zaznać za grobem spokoju z powodu jakiejś klątwy lub niespełnionego jeszcze na ziemi zadania. Wygnać *dybuka* z ciała opętanego zdolny jest tylko *cadyk*-rabin cudotwórca.

Opętanie najłatwiej się ezepia, gdy ktoś bez rannej modlitwy, bosą nogą pierwszy przestąpi miejsce, na którym pogrzebano zmarłe bez chrztu niemowlę. Zwykle leży ono pod tzw. *posieczą*, tj. płotem ze ściętych gałęzi, gdzie dziewczęta zakopują spędzony płód nieślubnego dziecka. Tak to zbrodnia dzieciobójstwa mści się nieraz na nieświadomym jej zupełnie człowieku.

Gdy diabeł chce opętać człowieka, pokazuje mu się — wedle wierzenia ludu — przybierając różne postacie, najczęściej jednak postać panicza odzianego czarno, kuso i z miejska. Bo lud uważa zawsze diabła za coś obcego nie tylko stanowi włościańskiemu, ale i narodowi, więc ubiera go w strój obcy z niemiecka skrojony. Ujrzawszy takiego *panycza* dla obrony przed nim trzeba się żegnać powtarzając słowa: *Bóg Ojciec, Bóg Syn Boży, Bóg Duch Święty, Święta Trójca.* Poza tym trzeba uprosić księdza, by odstąpił pasek, którym się przy mszy św. podpasuje i rzucać nim ku diabłu, a ten ucieknie lub conajmniej nie zbliży się. Gdy diabeł czepia się człowieka w czasie żniw lub w ogóle wtedy, gdy się ma sierp w ręku, to trzymając sierp na odlew trzeba wykonywać nim ruchy na zewnątrz, a diabeł pójdzie precz. Najlepiej zawsze chronić się przed diabelską napaścią nosząc w dzień na wywrót ubraną spodnicę, a na noc kładąc pod głowę,

a częściowo nakrywając ją tzw. *kominiuchem*, tj. zatykadłem z komina, zrobionym ze starych szmat. Gdy i to nie pomagało, a duch dalej straszył uparcie, wróżbita kowal z Łukawca wkładał w cztery rogi chaty chorej przepisane ewangelie i wbijał osikowe kołki. Natomiast wróżbita Kozak z Jaśniszcz *kaczał jaje*, okadzał chorą jakimś zielem i polecił pić jego wywar w domu. Podobnie leczy sławna dziś Wiktusia, mieszczanka z Jezierny, która spojrzawszy na piersi chorego wychodzi na dwór, by wypytać duchów wiatrowych o radę, a potem dopiero leczy warząc sama jakieś zioła i dając jeszcze inne do domu.

Opętanego przez czarta prowadzą chłopi nieraz do świątyni, aby go ksiądz *wyświęcił* tj. odprawił nad nim modły i wykropił święconą wodą w czasie napadu. Przy *wyświęcaniu* czart pieni się ze złości, rzuca się na obecnych, chce zastraszyć księdza, ale gdy ten dalej kropi, pokonany prosi, by go zostawiono w spokoju i jęcząc błaga: *nie parz mnie*. Jednakże nie należy tej prośbie czynić zadość, lecz kropić jeszcze mocniej i żarliwie się modlić, a opętany będzie ocalony. Pomocne a nawet zbawienne jest, gdy opętany w okresie między napadami pójdzie do spowiedzi i przystąpi do komunii św. oraz ofiaruje się do jakiegoś cudownego miejsca z pielgrzymką.

Znachorzy polecają często domownikom, by opętanych torturowali i w ten sposób starali się diabła wygnać. Chorym umysłowo przypisują oni jako dietę słone strawy, bo diabel soli nie lubi, więc się pogniewa i wyniesie. Natomiast nie pozwalają podawać im ani mięsa, ani alkoholu, bo te znowu diabeł lubi. Kropią ich przy tym mocno święconą wodą, co diabła bardzo męczy i parzy okropnie.

W Boratynie koło Brodów przed wojną światową mieszkał sławny znachor doskonale zwłaszcza wyznający się na chorobach umysłowych. Do niego to z Załoziec i dalszej okolicy wożono chorych, którzy nagle zapadli na obłęd. Tak też stało się z pewną dziewczyną T. S., którą opętało w dworskim sadzie w Założcach. Cieszyła się ona i skakała z wielkiej radości, że w niej *panycz zakochawsia*. Opętanie trwało parę miesięcy. Próżno wzywano lekarzy, którzy stwierdzali bardzo silny rozstrój nerwowy. Daremnie ksiądz wypędzał diabła święconą wodą i modłami. Diabeł ani myślał opuścić ciała biednej dziewczyny, męczył ją, rzucał w pewnych godzinach codziennie na ziemię itd. Powieziono wreszcie chorą do sławnego znachora w Boratynie. Ten

zaś z figur woskowych na wodzie wyczytał, że idąc przez sad mieszczanina R. bosą nogą przestąpiła pochowane pod *posieczą* zwłoki maluśkiego, niechrzczonego dziecka. Niech więc rano pomodliwszy się przejdzie tą samą drogą do kościoła, ale tak wcześnie, by nikt jej nie uprzedził, potem wyspowiada się i zakomunikuje, a w najbliższym czasie odbędzie pielgrzymkę do cudownego miejsca, a wszystko będzie dobrze. I rzeczywiście dziewczyna wypełniła ściśle polecenie znachora, a opętanie znikło, *jakby ręką odjął.* Podobnie uzdrowił wspomniany znachor i inne chore. Dwom z nich ukazywał się *panycz* we śnie, inna tańczyła z nim, wreszcie jeszcze inną we śnie darły i drapały koty.

Obłąkanie albo wariację można zadać w potrawie lub napoju. Do takich trucizn przyprawiających o szał należy odwar bielunia dziędzierzawy (*Datura Stramonium*), pokrzyku leśnego (wilczojagody *Atropa belladonna*), lub odwar z zabitej, wysuszonej i potłuczonej jaszczurki, podany komuś po upływie przynajmniej doby od chwili spreparowania leku. Obłęd czepia się także tego, kto wykopuje przestęp posp. (*Bryonia alba).*

Na pomieszanie rozumu jako pierwszy środek leczniczy używany jest miód pszczeli. Leją go choremu na głowę, a gdy *wejdzie w głowę,* chory wyzdrowieje, jeżeli nie, to na nic leczenie się zdało, bo chory już zawsze wariatem zostanie. Dobrze jest również upuścić krew z żyłki pod językiem, lub podać choremu sproszkowane zioła, a to *strachopołoch* (ostrożeń łąkowy-*Cirsium rivulare*), *czortopołoch* (dziewięćsił przyziemny-*Carlina acaulis*), *perestrach* (popłoch pospolity-*Onopordon Acanthium L.)*, a w ich łodygach kąpać. Tymi samymi ziołami również okadzają chorego nakazując przy tym modlitwy i pielgrzymkę na odpust do jakiegoś cudownego miejsca, gdzie chorego należy bezwzględnie zmusić do spowiedzi i komunii św. Głoszą też zaraz szeroko o tym, że dany osobnik jest obłąkany, gdyż zatajona choroba trwałaby bardzo długo; dziadom dają obfitą jałmużnę, by ci swymi modlitwami uprosili Boga o łaskę uzdrowienia dla chorego; księża zaś otrzymują obfite dary, by odprawiali msze św. na intencję uzdrowienia chorego.

Gdy jednak ani jałmużna, ani modły, ani msze św. nie odnoszą skutku, tzn. Pan Bóg nie daje się przebłagać, albo obłęd nie jest z dopustu Bożego, udają się o poradę do znachorów, którzy najlepiej i najpewniej wtedy pomocy udzielić mogą. Bywa, że słyszą wtedy słowa: *Pan Bóg was natchnął,*

żeście go teraz przyprowadzili, bo już jutro nawet do świtu byłoby po wszystkim. Nic już chorego uratować, ani żadna, nawet moja sztuka pomóc mu nie byłaby w stanie. Po takim wstępie znachor *dochodzi przyczyny choroby,* bądź to czytając z wiadra wody, w które i chory patrzyć musi, bądź z jaja taczanego na stole, lub z topionego wosku przelanego przez miotłę brzozową na wodę. Zależnie od tego, co ukaże się, zastosowuje on odpowiednie środki lecznicze.

Postrzał (*lumbago*), porażenie nerwu trójdzielnego (*neuralgia, neuritis trigemini*), porażenie częściowe (*paralysis*) są — wedle mniemania naszego ludu — skutkiem *przeciągu, zawiania, podwiania* i *wiatru;* powoduje je *zły wiatr, podwiew, pidwij.* Dowodzi tego to, że dany osobnik był zupełnie zdrów, pracował normalnie, może nawet lepiej, niż zwykle, bo zagrzał się przy pracy i naraz zachorował, albo zaczęło mu w głowie szumieć, strzyknęło mu w uchu i upadł zemdlony; albo strzyknęło mu coś w krzyżach i nie mógł się już ani wyprostować, ani zgiąć, ani poruszyć, *odjęło mu nogę, rękę, twarz, całą połowę ciała, mowę* itd. A najpewniej już *wykręci człowiekowi twarz, czy jakiś z członków, gdy stanie on w wir wiatrowy, w którym się diabeł żeni.*

Leczenie przy wszystkich niedomaganiach jest prawie identyczne: bańki, pijawki, zimne okłady na głowę, a gorące na twarz, ręce i nogi, nacieranie spirytusem, amoniakiem i octem. Czasami puszczają krew, jak w dobrych dawnych czasach średniowiecza i wołają znachora, by zamówił chorobę. Znachor otacza wtedy jajem bolące miejsce trzykrotnie i trzykrotnie powtarza:

„Tut ja wzywaju dewit monastyriw
i światych błahaju z dewit cerkwiw
i wsich światych wzywaju
i tych szczo ne znaju
i tebe światyj otcze Mykołaju
i światyj Antone
dopomoży tomu czołowikowy
i ja jemu dopomożu.
Pidwiju koluszczyj,
pidwiju boluszczyj,
czy pryjszowiś zi świta.
czy z witru, czy z praci
ja tia wykłyczu z wsich kistoczok
i z wsich żyłoczok.
Tut tobi ne buwaty
biłoho tiła ne wjałyty
żowtoji kosty ne łomaty
czerwonoji krowy ne suszyty.
Czas tobi rozijtysia,
na hory, na skały kamianniji,
na pisky, na czystije wody, mosty,
idy w bezwisty.
Do toho tiła, ne majesz diła.
Wsi świati, dopomożit tomu czołowi-
[kowy".

Za każdym razem znachor spluwa, a chory tymczasem odmawia trzy Zdrowaś Mario. Przy postrzale stosuje się jeszcze inne zamówienie. Znachor taczając jajkiem po bolących częściach ciała i skrapiając je wodą święconą zamawia *pidwij:*

„Ty mocnyj, piwnocznyj,
połudnewyj, wostocznyj,
nuszczajuszczyj, serdecznyj.
Ja tebe zamowlaju,
wodoju obmywaju,
jajcem kaczaju,
na suchyj lis tia posyłaju.
Tam tobi hulaty,
suchi drowa wywertaty,
żowti pisky żerty,
syne more pyty.
Tut tobi ne buwaty,
biłoho tiła ne wjałyty,
żowtoji kosty ne łomaty,
czerwonoji krowy ne suszyty.
Czas tobi rozijtysia,
na hory, na skały kamianniji,
na pisky, na czystije wody, mosty,
idy w bezwisty, bez wisty.
Wsi świati dopomożit tomu czołowi-
[kowy".

Po czym znachor trzykroć spluwa, a chory w czasie zamawiania odmawia trzy Zdrowaś Mario.

Wszystkie bóle reumatyczne i paraliże przechodzą z człowieka na świnki morskie, które tutaj po chatach wiejskich hodują, prawdopodobnie z uwagi na powyższe wierzenie. O reumatyzmie jednak będę mówił w rozdziale chorób chirurgicznych.

CHOROBY NARZĄDU KRĄŻENIA KRWI

Właściwie działu takiego medycyna ludowa nie uznaje, poza chorobami serca. Tu jednakowoż zaliczyć należałoby i choroby naczyń krwionośnych, a więc zapalenie żył, żylaki, guzy krwawnicze, owrzodzenia pożylakowe, zimnicę, krwotoki itp. Krew jest — wedle mniemania wieśniaka — przyczyną wielu chorób: jej *zapalenie, zapieczenie się,* lub *zastudzenie* powoduje zapalenie; *uderzenie gorącej krwi* do głowy wywołuje gorączkę; z jej *ostrości* lub *nieczystości* biorą początek wszystkie wysypki, tak ostre jak i przewlekłe, wszystkie *parchy, wrzody, pryszcze, czyraki;* z zapalenia się krwi mamy zapalenia płuc. Krew zepsuta, tzw. *krew zapieczona,* jest zwykle ciemna albo czarna. Taką krew mają ludzie ciężko chorzy i pełni złości.

Dlatego — w mniemaniu ludu — ważną rolę odgrywają periodyczne czyszczenia krwi, one bowiem oczyszczają cały organizm i wypędzają z niego choroby. Do tego celu służy stawianie baniek, zwykłych i ciętych, pijawek oraz puszczanie krwi. Są to metody pradawne, do dziś ściśle przez lud obserwowane jako zabiegi zapobiegawcze i doświadczeniem tysiącleci uświęcone.

Jeszcze i dzisiaj bardzo wielu wieśniaków przynajmniej raz do roku staroświeckim zwyczajem puszcza sobie krew u specjalistów wiejskich. Najczęściej odbywa się to na wiosnę, bo dobrze jest, jeżeli po zimie razem z przyrodą także i krew się odmłodzi. Taki zapobiegawczy upust krwi ma ponoć doskonale wpływać na zdrowie przez cały rok: głowa nie boli, człowiek się nie męczy i nie dostaje zadyszki, więc może oddawać się pracy pełnowartościowej. Najlepszym w tym względzie chirurgiem jest cyrulik miasteczkowy, który spuścić krew lepiej potrafi, niż sam doktor. On też najlepiej wie, kiedy ten zabieg jest najstosowniejszy. Toteż zwłaszcza do wojny światowej w czasie jarmarków wiosennych zakład fryzjerski był formalnie oblężony, a miasteczkowy cyrulik, o ile był jeszcze starszy wiekiem, a więc doświadczeńszy praktyką, robił doskonałe interesy jako doradca w wszelkiego rodzaju chorobach bardziej kompetentny, niż lekarz. I on tylko mógłby dać dokładne dane dotyczące puszczania krwi przez wieśniaków.

Przy wszelkich silniejszych bólach głowy z uderzeniami krwi i wzmożonym tętnem *w pulsach* stawiają pijawki, a ostatnio niektórzy po powrocie z niewoli rosyjskiej wprowadzili tutaj cięte bańki. Bańki zwyczajne, kieliszki, szklanki, a nawet garnuszki stawia się także celem rozprowadzenia krwi zapalonej w miejscu bolesnym.

Wieśniacy nie spieszą się bynajmniej z zahamowaniem czy przerwaniem krwotoków z nosa. Krwotoki takie w wielu chorobach uważane są za bardzo pożądane, a nawet zbawienne, bo z nimi spływa krew nieczysta, *paskudna,* lub jej nadmiar, który mógłby ewentualnie wywołać chorobę. Często nawet sami wywołują krwotok z nosa przy pomocy liści krwawnika[1]). Jednakowoż krwotok nie powinien być zbyt obfity, ani zbyt długi. Wtedy przykładają do karku zimne żelazo, najlepiej duży klucz, nóż, lub siekierę, jakby symbole zamknięcia względnie przecięcia krwotoku, leją na kark zimną wodę, każą wciągać do nosa zimną wodę z solą kuchenną, przy równoczesnym podniesieniu w górę ręki przeciwnej dziurce nosowej, z której krew płynie i zatkaniu drugą ręką dziurki, z której krew nie płynie. W ten sposób oddechają tylko przez dziurkę krwawiącą i to bardzo silnie starając się wciągać powietrze. Dobrze jest wygotować w wodzie ałun,

---

[1]) Patrz str. 143. Vide ustęp o chorobach umysłowych ból głowy.

ale tak, by woda wyglądała jak zupełnie czysta, a następnie wodę tę wylać na kark.

Wprawdzie upust krwi uważa lud za pożyteczny i pożądany, jednak krwawienie z rany wydaje mu się niebezpieczne i stara się je jak najszybciej zahamować, żeby nie zaszkodzić stworzeniu, by rana się nie jątrzyła i nie goiła opornie. Niemniej nie jest dobrze, gdy z rany zupełnie krew nie pójdzie; bo wtedy bardzo łatwo o zakażenie. Chociaż zazwyczaj, gdy ktoś się bardzo przestraszy, z rany zupełnie krew nie spłynie. Na zatrzymanie krwawienia ran używa się leków z czasów pradawnych, tj. pajęczyny, bądź samej, bądź zagniecionej z chlebem, ewentualnie startych liści krwawnika, pyłku z purchawki (bedłka-*Lycoperdon bovista*), babki *(Plantago maior)*, a czasami nawet świeżego kału końskiego. Rany krwawiące zalewa się również octem, wódką, miodem, woskiem, żywicą. Przez niektórych stosowanym jest tutaj krwiściąg (krewnik lekarski-*Sanguisorbia officinalis)*, po łąkach tutejszych kwitnący, albo *arnika (Arnica montona)*, która działa na rany ściągająco. Ranę krwawiącą można też zamówić. Po odmówieniu trzech Zdrowaś Mario przez chorego, zamawiający patrząc na płynącą krew mówi: *Stau krwi w ranie* ...(tu wymienia imię i nazwisko cierpiącego) *jak stanęła woda w Jordanie, gdy św. Jan chrzcił Pana Jezusa.* Przy wypowiedzeniu słowa Jezus zamawiający przyklęka, po czym chucha po trzykroć na ranę. Ponadto, aby szybko rana się goiła, mówią: *niech przyschnie, jak na psie.*

Przy wybuchu krwi bierze się mąkę żytnią razową, rozkłóca zimną wodą i posadziwszy chorego podaje mu się to raz po razu łyżeczkami do połykania, lub położywszy chorego daje się mu do picia łykami zimną wodę z solą kuchenną. Przy krwotokach płucnych podaje się chorym w Gajach i Zagórzu odwar nasienia nasturcji.

Krwotoki maciczne omówiłem przy chorobach kobiecych, guzy krwawnicze omówię przy chirurgicznych[1]).

Na żylaki zwłaszcza z owrzodzeniami *(ulcus cruris)* należy utrzeć marchew, posypać ją cukrem i przyłożywszy taką mieszaninę na ranę, natychmiast dobrze zacisnąć albo przykładać lniane przędziwo umaczane w białku jaja kurzego, albo szmatki

---

[1]) Patrz str. 88.

umaczane w rozcieńczonej wodzie karbolowej, a gdy *krew tryska, jak z sikawki* przyłożywszy miedziany pieniądz dobrze przywiązać.

Oznaką chorego serca jest jego bicie albo omdlenia. Na bicie serca zrywa się rutę zieloną *(Ruta graveolens)*, wkłada się ją do specjalnie uszytego worka i tak układa na serce albo trze się czosnek w misce z wódką i tym się naciera piersi chorego. Robi się to jednak tylko wtedy, gdy serce bardzo bije, a nogi i ręce chorego są zupełnie chłodne. Poza tym kładą na serce szmatki umaczane w zimnej wodzie, czasami słonej lub octem nacierają piersi masując specjalnie okolicę serca.

Na duszności sercowe połączone z bólami głowy (miażdżycowe) piją nalewkę czosnkową lub jedzą główki czosnku, nieraz po kilka kładąc równocześnie zimne okłady na głowę, a flaszki z gorącą wodą, lub grzane cegły do podeszew nóg i zaraz stawiają poza uszyma pijawki i to przynajmniej po sześć do dwunastu sztuk naraz.

Przy omdleniach nacierają skronie octem, podają do wąchania chrzan (*Raphanus maior*), amoniak, opryskują twarz i piersi zimną wodą dając ją równocześnie omdlałemu do picia, dmuchają w otwarte usta mdlejącego, klepią po policzkach.

Obrzęki, czy to nerkowego, czy sercowego pochodzenia, zwane *opuchlęciem* lub *opuchnięciem*, leczą przykładaniem liści osiki (*Populus tremula*), miazgą z krwawnika, lub plastrem z mąki z śmietaną i miodem, dalej moczem własnym rozrobionym z gliną, lub obłożywszy czarną wełną owczą zawijają chorego w czarną chustę, albo ugotowawszy jałowiec okadzają jego parą obrzękłe członki.

Zimnica (malaria) znana jest tutaj jako *propastnycia, febra, ciocia, titka, traścia, trasawycia,* a rozpowszechniła się dość znacznie z powodu rozległych mokradeł, podmokłych łąk i znacznej obfitości wód stojących lub płynących dość leniwie. Główną drogę wodną stanowi Seret, płynący tu paru odnogami. Do niego wpada maluśki potoczek wypływający z tzw. *kiernicy* w Nowym Mieście, Smolanka wypływająca w Trościańcu Wielkim, staw około 550 morgowy, utworzony przez Seret, stawek za Łysą Górą, utworzony przez Smolankę, sztuczne stawki na Bródku, utworzone przez płynący od Milna Huk, poza tym w Gajach Roztockich tzw. *Ozero* przy drodze do Szweda Kamienia i takież błotniste sadzawki-jeziorka w Gajach za Rudą.

Wszystko to daje doskonałe podłoże dla rozwoju komarów zwanych tu pospolicie *handziami*, z których część stanowią widliszki (*anopheles*) roznoszące właśnie malarię. Najczęściej występuje tu trzeciaczka (*tertiana*) i czwartaczka (*quartana*). W ostatnich latach nie było w samych Załoźcach wypadku zimnicy, a tylko kilka w Ratyszczu. Czystopadach i Wertełce oraz jeden w Ponikwie, jednak dawniej choroba ta należała do dość pospolitych. Nic więc dziwnego, że lud tutejszy zna przeciwko niej bardzo wiele sposobów leczniczych. Ich mnogość uzasadnia on tym, że *febra, to nie prosta choroba, tylko mająca siedm, lub 77 wierzchów odpowiadających tyluć chorobom.* Febra może być różna: wiatrowa, błotna, wodna itp. zależnie od tego, gdzie się jej chory nabawił. Febra, to choroba z gorączką i *trzęsieniem* (dreszczami), przy której to ostatnie jest dominującym objawem, dlatego właśnie ją *trasawycią*, lub *traścią* nazywają. W wyobraźni ludzkiej febra to kobieta niemłoda już, stąd nazwa „ciocia" w znaczeniu raczej „ciota" (czarownica), ale jeszcze bardzo piękna zamieszkująca samą wodę, jak i jej okolicę. Ona to w ciepłe, wiosenne lub letnie południe wchodzi w ciało śpiącego nad wodą człowieka, wysysa jego soki żywotne i odbiera część jego pokarmu. Gdy organizm chorego się broni, przychodzi do *mocowania się* między *ciocią* a chorym, czego wynikiem są dreszcze. Jednakże febra nie pojawia się sama, ma ona tyleż sióstr, co wierzchołków, a te wchodzą nieraz razem z nią w ciało chorego. Leczenie wtedy jest trudniejsze, bo na wszystkie siedm względnie 77 wierzchołków *trzeba trafić lek*, czyli wyżyć tyle różnych lekarstw, ile wierzchołków dana febra posiada.

Zapobiegawczo, by nie dostać w danym roku febry, połykają wieśniacy po trzy *kotki* (bazie) z łoziny poświęcanej w niedzielę palmową (podobnie przy bólu gardła) albo, gdy zobaczą po raz pierwszy w danym roku kłos kwitnącego żyta, zjadają jego kwiat. Niemniej można kopać ziemię pod korzeniem *czornobylu (Arthemisia vulgaris)*, a natrafiwszy na drobne węgielki, wybrać je i połknąć kładąc w zamian na ich miejsce pieniądz miedziany, nawet dawno już wycofany z obiegu, jako okup, czy ofiarę. Ujrzawszy na wiosnę po raz pierwszy małe gąsięta, należy je policzyć i zawiązać tyleż węzełków na sznurku, a gdyby się dostało febry, należy zaraz po pierwszym ataku wszystkie węzełki porozwiązywać, a sznurek spalić, to z nim razem i febra spłonie. Aby paroksyzm febry osłabić, nie pozwalają choremu

ani przed samym atakiem, ani bezpośrednio po nim pić wody, gdyż woda podtrzymuje i wzmaga chorobę, która w niej ma swą siedzibę. Nienapojona i spragniona *ciocia* traci siły i mniej męczy chorego.

Jako kobieta łatwiej, niż inna choroba daje się febra przestraszyć, zbrzydzić lub zadowolić. Toteż, gdy chory w czasie ataku znajduje się w najwyższej gorączce i dreszczach, a częściej, gdy umęczony uśnie snem sprawiedliwych, wylewają na niego nagle wiadro, czy konewkę zimnej wody. Przestraszy się wprawdzie prawie nieprzytomny chory, ale przerazi się również febra i ucieknie. Czasem, ale to rzadko, zamiast wylewać wodę, rozbijają całkiem nowy garnek nad głową śpiącego po ataku chorego. Tłukący garnek winien jednak zaraz uciec jak najszybciej, by go chory nie zobaczył. Wtedy bowiem febra przeszłaby na niego. Gdyby jeden z wymienionych sposobów zaliczanych do najłagodniejszych nie pomógł, dają choremu do zjedzenia to, czego zażąda, na co ma szalony apetyt. Bo *ciocia* weszła w ciało chorego po to, aby wymusić na otoczeniu jakąś swoją ulubioną potrawę. Dają więc jej choremu tak dużo, aby objadł się, aż do obrzydzenia i wymiotów. Wtedy febra zadowolona zabierze się. Najczęstszymi środkami służącymi do zbrzydzenia febry są wszy, mocz własny, lub koński dla mężczyzn, a kloaczy dla kobiet, łajno i wszelkie wydaliny ludzkie i zwierzęce. Najobrzydliwsze te leki, spożywane przez febrę razem z chorym, mają obrzydzić jej chęć przebywania w jego ciele. Wesz złapaną na koszuli chorego podają mu do zjedzenia w gałce chleba, psie łajno rozmoczone w wodzie, świńskie wysuszone i rozpuszczone w wódce, wysuszoną i startą na proszek żabę w wodzie lub wódce, kurze jaje ugotowane na twardo i roztarte z pluskwą, wywar z tysiącznika posp. *(Erythraea Centaurium)*, pięciornika srebrzystego *(Potentilla argentea)*, jarzębiny *(Fructus Sorbi, Sorbus aucuparia)*, krwawnika *(Achillea Millefolium)*, jasnoty *(Lamium album)* i zebranych płatków ziół rzucanych pod nogi księdzu podczas procesji Bożego Ciała (małgorzatka nogietek *(Calendula off.)*, orlik posp. *(Aquilegia vulg.)*, piwonia (*Paeonia off.*), bławat (*Centaurea Cyanus*). Jeżeli środki te służące do obrzydzenia choroby nie skutkują zaraz, powtarza się je, ale już w większych ilościach, Poza tymi jest jeszcze cały szereg leków innych. I tak choremu na zimnicę dają do picia wodę uzyskaną z obmycia nowonarodzonego czarnego cielęcia, ale z czarnej krowy, mleko kobyle,

odwar trawy wyrastającej przez oczodoły końskiej czaszki, gotują tasznik *(Capsella bursa pastoris)* w urynie babskiej i podają do picia trzy razy dziennie po pełnej szklance, lub mieszają mocz chorego z mlekiem kozim i chlebem, a mieszaninę tę podają psu do zjedzenia. Skoro pies to zje, choroba przejdzie na niego.

Doskonałym lekiem na malarię jest opłatek położony na trzech *knyszach* (chlebach pieczonych na wigilię Bożego Narodzenia, zdobionych różą z ciasta, posypaną cebulą krajaną w kostki i polaną olejem konopnym) podczas wilii, a potem poświęcony na Wielkanoc. Do picia podają odwar suszonego kopytnika posp. *(Asarum europaeum)*, liści tytoniowych *(Nicotiana tabacum)*, korzenia tataraku *(Acorus Calamus)*, babki pospolitej *(Plantago maior)* w ilości tylu liści, co ile dni chorego trzęsie, albo odwar korzenia biedrzeńca pospolitego *(Pimpinella saxifraga)*, piołunu *(Artemisia Absynthium)*, pokrzywy zwykłej *(Urtica dioica)*, leszczynowej i olszowej kory, a rzadziej osiki, bo ta tak samo się trzęsie, jak chory. Używa się także jako bardzo skutecznego lekarstwa na febrę, cebulek narcyza *(Narcissus poeticus)* utartych i moczonych przez trzy doby w wódce, albo oczu raków suszonych i utłuczonych na proch, a potem zmieszanych z wódką, albo ryby połkniętej przez drugą drapieżną, np. rybki znalezionej w brzuchu szczupaka, czy okonia, wysuszonej, sproszkowanej i pomieszanej z wódką[1]). Jednak najradykalniejszym środkiem są wióra zeskrobane przez kogoś zdrowego z kopyt zdechłego konia, zagotowane w garnku i przelane do flaszki. Z nią udaje się chory na rozstajne drogi, część zawartości wypija, resztę zaś wraz z flaszką wyrzuca na rozstajach, a sam wraca szybko nie oglądając się poza siebie, ale inną drogą, by go febra nie dogoniła i nie powróciła. Drogę bowiem przebytą febra zna i najpierw na niej szuka chorego, a gdy go nie znajduje, idzie na inne drogi, gdzie oczywiście zwraca jej uwagę człowiek ciągle oglądający się, a więc przestraszony i niepewny. Podobny zabieg można wykonać przy pomocy flaszki wypełnionej odwarem barwinka (*Vinca maior*) rozpuszczonego w mleku.

Obok środków stosowanych wewnętrznie zna też lud cały szereg skutecznych przy zimnicy zabiegów zewnętrznych. Do nich należy noszona na sznurku na szyi wysuszona żaba, rozjechana przez wóz. Znalazłszy ją na drodze mówią: *niech ona*

---

[1]) Patrz str. 91 i 101.

będzie zdrowa bez nas, a my bez niej. Noszą także przez siedm dni na szyi w woreczku pająka schwytanego nie gołą ręką, którego potem wraz z woreczkiem rzucają na bieżącą wodę nie oglądając się poza siebie. Ponieważ chorym trzęsie widocznie z zimna, prażą go na słońcu w lecie przyodziawszy go w kożuch, a w zimniejszych porach roku wsadzają go na trzy Zdrowaś Mario do ogrzanego pieca piekarskiego. Jednak ten zabieg obecnie praktykuje się bardzo rzadko. Środkiem zupełnie nie męczącym chorego jest rzucanie przez głowę krzyżyka związanego z dwóch gałązek brzozowych na płynącą wodę. Rzuciwszy go nie śmie jednak chory patrzyć się, jak fale unoszą drewno razem z febrą, bo inaczej *ciocia* myślałaby, że chory żałuje za nią i wróciłaby z powrotem. Chory może również pozbyć się jej zawiązawszy w kawałeczek szmatki *centa* (jakikolwiek miedziany pieniądz) i wrzuciwszy ten węzełek w dziuplę drzewa, najlepiej wierzby. Febra pozostanie wtedy w dziupli tak długo, aż ktoś znalazłszy ten węzełek wyswobodzi ją i zabierze z sobą. Gdziekolwiek rzucić węzełka nie wolno. W tym zabobonie składa się febrze ofiarę z pieniędzy przenosząc ją równocześnie na drzewo i to takie, które chętnie rośnie nad wodą, jej ulubionym miejscem pobytu. W Czystopadach zachorowała raz na febrę M. S., osoba bardzo skąpa. Ale że *ciocia ją bardzo mozoliła,* zdecydowała się na ofiarowanie jej *centa* w dziupli wierzby, co przyniosło pożądany skutek. Po kilku jednak dniach żal się babie zrobiło za zmarnowanym groszem, wydobyła go więc z powrotem, ale niestety razem z chorobą. Przy dalszym leczeniu musiała M. S. stosować już inne środki. Gdyby nigdzie w pobliżu dziupli nie było, może chory wywiercić dziurę w drzewie, najlepiej w wierzbie, *nachuchać* (dmuchnąć) w nią trzy razy i zaraz zatkać poprzednio już przygotowanym kołkiem, najlepiej ze *swerbywusu* tj. z dzikiej róży (*Rosa canina*), której kolce uniemożliwiają chorobie wydostanie się. Do drzewa wchodzi ona wraz z tchem chorego. Można też cierpiących na zimnicę okadzać rozjechaną na drodze ropuchą, lub ośćmi ryby spożytej na wieczerzę wigilijną Bożego Narodzenia. Ponadto wieśniacy praktykują jeszcze jeden sposób. Mianowicie idą na cmentarz, ze świeżego grobu biorą garść ziemi mówiąc: *Dobryj weczir wam moszczi, dajte pościl, bo pryjichały hości,* następnie zawiązują ziemię w chusteczkę, przez trzy noce śpią na niej, po

czym odnoszą na dawne miejsce, a wracając nie oglądają się. Po tym eksperymencie rzekomo febra znika natychmiast.

Mieszczanie poza pewnymi praktykami już wymienionymi, wypisują swe imię na małej karteczce, wtykają ją do wywierconej dziury w wierzbie i zatykają przygotowanym kołkiem zamykając w ten sposób chorobę, albo nacinają na kiju leszczynowym, ale tnąc od siebie tyle karbów, ile mieli paroksyzmów, następnie kij ten rzucają przez głowę do rzeki, a w drodze powrotnej nie oglądają się zupełnie. Żydzi zawijają w szmateczkę pieniądz miedziany, trochę obciętych włosów i paznokci i rzucają to na rozstajnych drogach. Kto znajdzie zawiniątko i podejmie, wezmie wraz z nią i febrę. Oni to również idą nad wezbraną rzekę, myją sobie ręce w pianie wodnej, otrzepują je z piany i szybko oddalają się nie oglądając się poza siebie, albo podobnie, jak przy żółtaczce wydrążywszy marchew napełniają ją moczem chorego i zawieszają w kominie. Gdy mocz wyparuje, choroba zniknie.

Do chorób krwi zalicza lud również tzw. *kołtun*. Jest to coś nieokreślonego, w czym się mieści właściwie i artretyzm i reumatyzm i podagra i rwa kulszowa, zresztą i wiele innych jeszcze dolegliwości i chorób. Kołtun (*plica polonica*) został niesłusznie tak nazwany, bo starożytni Germanowie przypisywali powstawanie jego starogermańskiemu demonowi, Wichtel, skąd zwali go Wichtelzopf, co potem przekształcono na Weichselzopf (kołtun nadwiślański[1]). Jest on jedną z najpospolitszych diagnoz, jaką lud stawia w wielu chorobach, zwłaszcza wewnętrznych, gdzie występują łamania kości, ciągnienie w mięśniach, bóle w stawach, głowy itd., a przy tym wskutek wyprysku sączącego (*ekzema madidans*) i wskutek wszawicy zlepienie się i zmierzwienie włosów na głowie. A przyczyną kołtuna zawsze jest czarownica. Odczynić więc chorobę, czary uleczyć, z tej nader groźnej choroby wybawić, potrafi tylko bardzo doświadczony znachor, czy wróżbita, który za trud swój, leczenie i nadzwyczajny wysiłek, bo chodzi tu przecież o pokonanie potężnej złej siły, dobrze każe sobie zapłacić.

Kołtun jest albo wewnętrzny, albo zewnętrzny, samiec lub samica. Nie czyni on wyjątków ani dla płci, ani wieku, ani majątku, ani pory roku; każdej chwili i każdego uczepić się może,

[1]) Biegeleisen; Lecznictwo str. 256.

gdy zła czarownica go zada. Najpierw kołtun jest wewnętrzny, niewidoczny dla oka, ale bardzo dokuczliwy i bolesny. Gdy dobrze chorego wymęczy i to całym szeregiem dolegliwości i bólów, wtedy dopiero wychodzi na zewnątrz, i zwija się we włosach głowy lub brody. Gdy zacznie się zwijać, diagnoza jest już łatwa. Na kołtun — wedle wierzenia ludu — lekarz nic pomóc nie może, tylko *worożychy*, toteż nawet nigdy się do niego w tej chorobie o poradę nie zwracają. Bo lekarz zaraz chce ostrzyc chorego, a kołtuna, dopóki dobrze się nie zwinie i dopóki pod nim nie zaczną odrastać młode, równe włosy, wogóle zaczepiać nie wolno. Zaczepiony przedwcześnie mógłby się bardzo rozsierdzić i *sprzeciwić się, a wtedy o nieszczęście nie trudno*, Może pokręcić i połamać chorego strasznie. Taki chory w tym wypadku może łatwo oślepnąć, mogą go obsypać wstrętne wrzody (*gummata*), może mu załamać nos (*lues*), może ogłuchnąć, ogłupieć itd. Bo chory na kołtuna, to nawiedzony mocą czarownicy przez złego ducha, niejako opętany, a z diabłem nie warto się zaczepiać. bo ten zwykł mścić się strasznie. Faktycznie pod nazwą kołtuna, zwanego także *mokrym rumatysem*, kryje się przeważnie kiła *lues*[1])

Gdy jeszcze ma się do czynienia z kołtunem wewnętrznym, który bardzo męczy chorego, aby przyśpieszyć jego wyjście na wierzch, gotują wierzchołki (pączki wierzchowe) osiki w wodzie pod pokrywką, a wywarem tym smarują piersi chorego poczynając od *gardła* (dołka nadmostkowego), a kończąc na pępku. Gdy kołtun występuje już na zewnątrz i włosy zaczną się zwijać na głowie, czy brodzie, nie należy ich ani czesać, ani myć, ani ucinać, tylko zapuścić, niech kołtun się splecie. Nawet należy mu w tej czynności dopomóc. Im prędzej bowiem się zwinie, tym prędzej będzie można poszukać rady u znachorki, która go zdjąć może. By więc prędzej się zwinął, zawiązują głowę szmatą, lub nakrywają zimową czapką, celem utrzymania ciepła. Wewnętrznie w tym celu używają nalewki barwinkowej na wódce. Na rany kołtunowe, dopoki się ten nie zwinie na głowie, nie biorą nic. Gdy już kołtun dobrze spleciony na głowie, kładą liście łopucha (*Lappa maior*). A że kołtun jest chorobą wywołaną mocą diabelską, najlepiej poddać się egzorcyzmom, jak przy

---

[1]) W celu wyjaśnienia dodam, że kiłą *kyławyj* nazywają tutaj przepukliną pachwinową lub mosznową, chorego zaś na kiłę *lues* nazywają *fracowatym*, rzekomo od zawleczenia tej choroby przez Francuzów.

opętaniu. Przez złamanie i wypędzenie mocy czartowskiej, organizm chorego uleczy się z kołtuna. Najradykalniej i najpewniej usuwa go obcięcie przez biegłą i doświadczoną w tej sprawie rękę znachora, lub *wiedzącej*. Robią to oni powoli od tyłu głowy ku przodowi, specjalnymi nożycami i przez szmatkę. Kto bowiem dotknąłby kołtuna gołą ręką, sam go dostanie. Po obcięciu go kładą nań grosz i rzucają na ogień, żeby spłonął. Wyrzucać kołtuna nie wolno, bo kto przestąpiłby przezeń sam go dostaje, niemniej, jak i ten, komu włosy poplącze nietoperz, lelek kozobój, lub *czarna wrona* (gawron, kruk) zabrawszy je na wyściółkę do swego gniazda.

Żyd karczmarz chcąc rozpić chłopów dodaje im do szynkowanego trunku kilka kropel wódki, w której moczył się kołtun.

Wiara w kołtuny to zabytek dawniejszych czasów, kiedy to przyczyną zwijania się włosów u naszego ludu, było noszenie długich włosów przez kobiety i mężczyzn, z powodu ciężkiej pracy rzadko czesanych zabrudzonych i zaniedbanych przy robotach rolnych, a zawsze przykrytych chustką, czy czapką. Teraz, gdy zmieniły się te stosunki, o kołtunie poza zawszonymi osobnikami nie słychać.

Zmora to wierzenie ogólnie znane na całym świecie, datujące się od lat zamierzchłych. Gdy ktoś w czasie snu odczuwa jakby ogromny ucisk na piersiach posuwający się coraz to wyżej, który wprost mu oddech tamuje dławiąc i dusząc, że ani palcem ruszyć nie jest w stanie, ani krzyknąć, bo powietrze nie napływa mu ani przez nos, ani przez szeroko otwarte usta, a śpiący charczy, jęczy i rzęzi, to pewnie napadła go zmora, demoniczna mara senna. Lud bowiem nie uważa tego zjawiska wywołanego warunkami fizjologicznymi, jak leżenie na wznak lub na brzuchu przy zwapnieniu tętnic, niedokrwistości, dusznościach spowodowanych chorobami serca, czy zwężeniem dróg oddechowych, zwłaszcza po obfitym jedzeniu lub przepiciu się w dusznej izbie, za objaw normalny, tylko wiąże z nim ciężkie koszmarne sny i to, że po nagłym obudzeniu się z krzykiem, śpiący czuje jeszcze gwałtowne bicie serca, ból dławiący i zimny pot spływający z niego.

Zmora jako duch złośliwy, wciska się do mieszkania zazwyczaj dziurką od klucza, lub szparą w dzwiach, czy oknie, i tą samą drogą opuszcza mieszkanie nasyciwszy się krwią śpiącego. Nie wejdzie ona tam, gdzie się pali w nocy świeca, lub

stoi woda w pobliżu łóżka, bo zmora lęka się wody i ognia. Zapobiegawczo można opasać sobie nogi na noc różańcami, nie leżeć na wznak, przy drzwiach stawiać miotłę na rękojeści, pod poduszkę kłaść nóż lub siekierą, bo żelazo odpędza złe duchy, a także w święto Trzech Króli napisać na drzwiach poświęconą kredą litery K. (asper) † M. (elcher) † B. (altazar). Sposoby te są jeszcze dzisiaj na tutejszym terenie w użyciu, a ludy barbarzyńskie posługują się niektórymi z nich na wielką skalę.

Wyobrażenia o zmorze są tutaj różne; w niektórych wierzeniach występuje ona jako jedna z podwójnych dusz człowieka, w innych jako rodzaj potwora o kształcie małego dziecka z ogromną głową, czasem w postaci potwornego zwierzęcia, lub ducha zmarłej ukochanej osoby.

Wedle wierzenia pierwszego istnieją ludzie, którzy przyszli na świat z dwiema duszami, którzy jednak na chrzcie otrzymali tylko jedno imię. Druga więc dusza nieochrzczona może wychodzić z nieświadomego ciała podczas snu i wędrować, gdzie się jej tylko podoba. Zmory te, to zazwyczaj kobiety lub młode dziewczęta, jednak mogą być nimi i mężczyźni. Zmory rodzaju męskiego są mniej straszne, napadają tylko płeć drugą. Natomiast zmory — kobiety napadają wprawdzie najchętniej młodych mężczyzn, ale nie przepuszczają też ani kobietom, ani nawet dzieciom. Gdy tylko wybije północ, potrafią z szaloną szybkością przenieść się nawet na olbrzymią przestrzeń i tym, którzy ich kochają, lub których one kochają ciążą na piersiach kamieniem ssąc z nich krew wprost z serca. Taki nieszczęśliwy, może były kochanek, czy kochanka, wije się i wydaje z siebie nieludzkie głosy wtedy, gdy zmora się do niego zbliża, gdy ta już krew ssać zaczyna cichnie, wnet popada w rodzaj omdlenia, czy niemocy i już bez protestu poddaje się jej torturom. Dnia następnego na lewej piersi napastowanego zaobserwować można ciemno-czerwony punkcik, jakby od ukłucia igłą pochodzący. Zwyczajny człowiek widzi tylko tyle, natomiast znawcy znachorzy rozróżniają wyraźnie zęby zmory. Napastowany przez zmorę blednieje, więdnie, niknie w oczach, a gdy go rada i pomoc znachora nie uratuje, rychła śmierć kończy jego męczarnie[1]).

---

[1]) Żołnierz Józef Koziański z Kozowy, mój sanitariusz w r. 1914 opowiadał mi następujące zdarzenie, jakiego był naocznym świadkiem podówczas w Przemyślu. Jeden z kolegów opowiadającego, śpiący z nim w tym samym plutonie, ryczał wprost nieludzkim głosem we śnie prawie co noc,

Zmory pozbyć się można przez zamknięcie tego, co się schwyta w nocy na sobie (mysz, motyl, pająk, słoma itd.) w nowym garnku, ale kupionym *bez targu*, tj. za tyle, ile sprzedający zażądał. Garnek ten szczelnie zamknięty zakopuje się w dziurze grobowej. Wtedy druga dusza zamknięta na cmentarzu już nie może wrócić do swojego ciała. Polowania takie udają się dlatego, że przy ich łapczywości na krew łatwo można oszukać, nie rozróżnią bowiem snu faktycznego od udanego. Ujrzawszy swą niby we śnie pogrążoną ofiarę, rzuca się na nią i wtedy wpadają w jej moc, ponieważ nad czuwającymi nie posiadają żadnej władzy, a bezkarnie napadać mogą tylko na śpiących. Zmorę można też schwytać na uzdeczkę z lipowego łyka. Będzie ona wtedy przybierać różne postacie, ale nie można jej uwolnić, aż przybierze postać właściwą, co zawsze następuje po trzech lub siedmiu dniach, a czasem nawet latach. Taką zmorą w postaci konia pracował przez siedm dni pewien parobek schwytawszy ją w chwili, gdy mu krew wysysała. Okazało się, że była to gospodyni, u której służył. Zmorę nieznajomą można schwytać, jako źdźbło słomy, gdy się podstępnie udaje sen, a czuwa w rzeczywistości. Zatkawszy wtedy kołkiem dziurkę od klucza lub szparę w drzwiach, można ją zmusić do przybrania swojej właściwej postaci. Jeżeli się podoba chwytającemu, można z nią żyć w chacie, jak z żoną, mieć dzieci, tylko nie należy odtykać dziurki, bo tędy wnet ucieknie i zginie już na zawsze bez śladu.

---

gdy tylko nadeszła godzina dwunasta. Gdy pozostali pytali go o przyczynę wrzasków opowiadał, że coś jakby poduszka z ołowiu kładzie mu się we śnie na piersiach, gniecie i dusi. Wtedy jeden z kolegów obiecał wybawić go z tego kłopotu za zapłatą dwudziestu reńskich. Gdy noc nadeszła i wszyscy inni za wyjątkiem męczonego w napięciu oczekiwali niezwykłych wypadków, wybawiciel — zapewne znachor — wziąwszy pasek ślubny (sznurek, jakim podwiązują się członkowie bractwa św. Tomasza) stanął tuż po dwunastej w nocy przy drzwiach. Kolegom zaś już przedtem nakazał, aby chorego, gdy tylko pocznie ryczeć, nagle zbudziwszy napędzili wprost na drzwi. Tak się też stało, a wtedy znachor schwytał chorego i obwinął ślubnym paskiem. Z kolei ostrożnie uwolniono męczonego, a w pasku znaleziono źdźbło słomy, które wybawiciel silnie ujął w rękę w górnej części i podanym mu scyzorykiem drobno ponacinał. Od tej pory przestała zmora męczyć nieszczęsnego żołnierza, który za radą swego wybawcy wziął urlop i pojechał do domu, aby przyjrzeć się swej narzeczonej. Wedle późniejszej jego relacji miała ona poprzeczne blizny na rękach i twarzy od pokrajania scyzorykiem. W ten sposób dowiedział się żołnierz, że to jego narzeczona była zmorą, która go po nocach męczyła.

Ponieważ zmora to człowiek żyjący o dwóch duszach, więc wszystko, co się jej czyni, odczuwa jej fizyczne ciało. By zatem nie szkodzić i nie dręczyć nieszczęśliwej istoty, nie należy zmór bić, a tylko rękoma odpychać od siebie. Gdy jednak bardzo dokucza i napastuje i inaczej już od niej uwolnić się nie można, należy ją bić prawą ręką i na odlew, tj. po prawym jej boku.

Inne wierzenia ludowe przedstawiają zmorę jako potwora o krótkich nóżkach i drobnym ciele dziecka, z olbrzymią głową dorosłego człowieka. Taka zmora, jak wampir karmi się krwią dzieci, kobiet i mężczyzn, także zwierząt domowych, a nawet wysysa soki roślin. Lud broni się przed nią tak samo, jak przed pierwszą; czasem zmora pojawia się w postaci zwierzęcia. Potwór ten karmi się krwią zwierząt i sokami roślin. Zwierzęta domowe broni się przed jego napaścią zawieszając w stajni, oborze czy chlewie ubitą srokę, której się on ma lękać wprost panicznie. Tę zmorę można także zamknąć w nowym garnku kupionym *bez targu*, lub schwytać na lipową uzdeczkę. Wreszcie jeszcze jedna odmiana zmory tu jest znana jako *perełesnyk*, tj. duch jednego z małżonków lub kochanków, którzy się bardzo kochali za życia. Gdy po śmierci jednego, drugie bardzo tęskni i płacze za zmarłym, ten nie zaznaje wtedy spokoju w grobie, wraca na ziemię o północy i towarzyszy żywemu, co jednak tak okropnie męczy żyjącego, że ten blednie, chudnie i wreszcie umiera z tęsknoty za nieboszczykiem. A jeśli pozostały przy życiu małżonek stawia opór cieniowi przybyłemu z za grobu, to *perełesnyk* wypija mu krew, podobnie jak inne zmory.

Zmorą się staje zwykle ten, kto się urodzi — podobnie jak strzyga — z zębami. Dlatego takiego noworodka na wsi zaraz uduszą, by się uchronić przed przyszłym nieszczęściem.

CHOROBY NARZĄDU ODDECHOWEGO

Dział ten obejmuje choroby nosa, gardła, krtani, oskrzeli, płuc i opłucnej. Ponieważ lud nasz nie rozróżnia ich, a główną wagę kładzie na objawy chorobowe, jak kłucie, ból, kaszel, chrypka, kichanie itd., więc i główny nacisk w lecznictwie, przypada właśnie na objawy, a nie na przyczyny chorób.

K a t a r y n o s a (rhinitis catharalis) są chorobą bardzo częstą, tak nawet pospolitą i zarazem lekką, że lud na nie prawie nie zwraca uwagi. Kataru dostaje się wtedy, gdy przechodząc

przez miejsce, gdzie ludzie często mocz oddają, pociągnie się silniej powietrze przez nos, lub gdy się przestąpi przez mocz. Dostaje się kataru także przez zadanie, co ma miejsce w dwóch wypadkach, albo gdy ktoś silnie posmaruje klamkę u drzwi swego domu *smarkami* (wydzieliną z nosa), a drugi gołą ręką tej klamki się dotknie, albo gdy się wysiąka nos na drzwi obcego mieszkania, a ktoś przez to przestąpi. W obu wypadkach zarażą się katarem tylko pierwsi przechodnie i jednocześnie w ten sposób uwalnią zadającego od tego cierpienia.

Normalnie kataru lud nie leczy, a dzieci chodzą z osmarowaną śluzem z nosa górną wargą i brodą, które tylko od czasu do czasu ociera im matka swoimi palcami lub rogiem fartuszka. Katar bowiem -- wedle wierzenia — zwalnia człowieka od siedmiu innych chorób, któż więc byłby tak nierozsądnym i chciał by zapaść aż na siedem chorób, mogąc mieć tylko jeden katar nosa. Pozbyć się zresztą kataru nie trudno przekazując go przez zadanie innej osobie. Jeżeli nie chce się drugim szkodzić, należy stosować okadzanie, a raczej wciąganie nosem dymu z palonych kurzych piór (najlepiej czarnych), lub palonych jagieł, starych szmat, kłaków, starej skóry, kawałka połamanego grzebienia, rogu, sierści (najlepiej z kociego ogona), lub kopyt zwierzęcych. Ponadto praktykuje się w czasie kataru zażywanie tabaki tytoniowej (*Nicotiana tabacum*) czystej lub zmieszanej ze sproszkowanym suchym kwiatem ciemierzycy (*Helleborus albus*), czasem jedzą czosnek (*Alium sativum*), lub roztarty napychają do nosa, wąchają chrzan lub pieluszki dobrze przesiąknięte moczem dzieci, *bo mocz dzieci ostrzejszy w zapachu, jak starszych.* Najlepiej jednak katar wygrzać i dać na poty.

Przy katarze nigdy nie używają chusteczek do nosa, którą wprawdzie od święta noszą razem z książeczką do modlenia i różańcem w ręku, ale używają ich tylko manifestacyjnie i to raczej do otarcia oczu, lub ust w czasie rozmowy *z panami.* Zwyczajnie siąkają nos *po szlachecku* zatykając kciukiem jedną dziurkę i wydechując gwałtownie powietrze wolną dziurką, a potym drugą na zmianę.

Najpewniejszym objawem jak i niezawodną wróżbą zbliżającego się kataru nosa jest częste kichanie, które poza tym jest zapowiedzią przeróżnych rzeczy i *trafunków,* zależnie od dnia w tygodniu, a nawet i pory dnia. Wróży ono pomyślność lub niepowodzenie zależnie od okoliczności. Najlepsze wróżby wyciąga

się z kichania na czczo. Jedno kichnięcie wróży zdrowie, kilkakrotne pod rząd jest pewnym wskaźnikiem podróży (*droga się ściele*), kichnięcie przed podróżą wróży powodzenie wyprawy, *będzie szczęście*. Kto kichnie na czczo w niedzielę, podoba się osobie płci drugiej, po południu starej, jeśli przed śniadaniem podoba się młodej wolnej osobie, po śniadaniu żonatej, kichnięcie w poniedziałek oznacza *napaść*, we wtorek wydanie, lub otrzymanie pieniędzy (*kichniesz w wtorek na pieniądze szykuj worek*), w środę wiadomość, w czwartek spotkanie z przyjacielem, w piątek *dobry początek* dla wszelkich zamierzeń, w sobotę znak, że nic się z zamysłów całego tygodnia nie ziści. Jeżeli ktoś chce kichnąć, ale nie kichnął, to ktoś mu coś obiecał, ale nie dał. Niespodziane kichnięcie w czasie opowiadania czegoś, czy to przez opowiadającego, czy to przez słuchacza, dowodzi prawdziwości słów opowiadającego. *Prawda, prawda* mówią wtedy. Nawet skoro się myśli o czymś i kichnie, to marzenie się spełni. Wierzenie to występuje także u Żydów.

Kichania jeszcze i dzisiaj lud nie umie sobie wytłumaczyć w myśl zasad fizjologicznych i uważa je za coś obcego.

Wedle opowieści — kiedyś, bardzo dawno temu, kichanie było oznaką ciężkiej choroby, czegoś w guście cholery lub jeszcze gorszej choroby, zapewne dżumy. Kto kichnął, zaraz umierał, nie było już dla niego ratunku. Żeby więc prosić Pana Boga o zmiłowanie nad chorym, a jego samego pokrzepić na duchu, wołali wszyscy obecni: „daj Boże zdrowie“ lub „na zdrowie“, co osłabiało nasilenie choroby i pomagało do wyleczenia się. Później zaczęto wśród warstw wykształconych używać słów: „wedle życzenia, podług życzenia, spełnienia życzeń, pomyślności, powodzenia, setnych lat, wiwat“ itd. Jeden ze starych tutejszych mieszczan, powstaniec Wojciechowski, tutaj urodzony i zamieszkały, gdy mu po kichnięciu życzono *sto lat*, odpowiadał stale *dziękuję, proszę na mój pogrzeb*, jakby życząc, by ten ktoś żył jeszcze dłużej od niego. Bądź co bądź, życzenie: *na zdrowie*, sięga głęboko jeszcze w czasy pogańskie i mimo długich wieków utrzymuje się nietylko u ludu, ale i wśród sfer wykształconych. Życzenie to ma wedle ludu rzeczywiście przyspieszać wyzdrowienie. Natomiast życzenia *zdrowia, zdrów* używa się nie tylko w stosunku do kichających ludzi, ale i także bydła, a już najbardziej koni. Gdy bowiem koń parsknie, woźnica zawsze mu odpowie *zdrów* tyle

razy, ile parsknięć nastąpi, pewny, że to życzenie uchroni konia przed chorobą.

C u c h n ą c e g o k a t a r u n o s a (*ozaena*) nabawia się ten, którego matka chodząc z nim w ciąży zatkała sobie nos zawąchawszy coś przykrego.

P o l i p ó w nie leczą środkami domowymi bojąc się ich zaczepiać, *bo może to rak* tylko chirurgicznie wedle wskazówek lekarskich.

Przez b ó l g a r d ł a rozumieją wieśniacy wszystkie choroby gardła i krtani, a więc pryszczykowe zapalenie gardła (*angina follicularis*), powiększenie migdałków (*tonsillitis*), katar gardła (*pharyngitis*), katar krtani (*laryngitis*), a nawet wole (*struma*), błonicę (*diphteria*), dławiec (*croup*), wszelkie chrypki (*lues, tuberculosis*).

Z a p a l e n i e g a r d ł a jest podobnie częstym zjawiskiem, jak katary. Dostaje się je albo przez łykanie zimnego powietrza przez otwarte usta, zwłaszcza w czasie wiatru, gdy się jest zgrzanym, albo *ze złego ułożenia się we śnie*. Głównymi objawami są chrypka, trudność w połykaniu oraz ból w gardle.

Również pospolitą przypadłością jest c h r y p k a, która powstaje albo z napicia się zimnej wody, gdy się jest rozgrzanym, albo przez *zawianie, zastudzenie się*. Chrypkę zaczynają leczyć dopiero wtedy, kiedy ona już mocno choremu dokucza. Pierwszym lekarstwem jest okład z nowej słomy *z dziaducha*, którą się włożyło do butów na wigilię Bożego Narodzenia, a wyjęło zaraz po św. Szczepanie i przechowało z namaszczeniem jako najskuteczniejszy środek przeciw bólowi gardła. Chłopi robią też i to częściej okłady z *onucy, wnucy, wnuczki, onuczki*, świeżo zdjętej ze spoconej nogi, natomiast mieszczanie i Żydzi z wełnianej pończochy, lub skarpetki. Wedle mniemania ludu, pomaga tu nie tyle ciepło takiego wełnianego okładu, ale pot z nóg. Najlepiej, gdy okład został zrobiony z pończochy względnie onucy matki chorego, bo wtedy prócz potu działa jeszcze i miłość macierzyńska jako lek sympatyczny. Oprócz tego dają też okłady z roztartego rozchodnika (*Sedum telephium, Sedum acre, Sedum secangulare*), bo sama nazwa już zmusza zapalenie do rozejścia się.

Gdy ból nagły i obawiają się błonicy, sporządzają okłady z rozpuszczonego psiego kału, nafty, letniej wody ze spirytusem i oliwą oraz rozcierają bolące gardło ręką, w której trzymali

żywego chomika, lub którą chomika zadusili. Natomiast do płukania gardła podają roztwór poświęcanej, a w razie jej braku zwyczajnej soli kuchennej, barszcz z ćwikłowych buraków, lub sok z utartych buraków czerwonych z miodem, lub z rozpuszczonym psim łajnem, a niektórzy pszeniczny krochmal rozmoczony w dwu łyżkach spirytusu i rozpuszczony w przegotowanej zimnej wodzie. Po tym płukaniu, niejako na zakończenie leczenia, każą zjeść parę łyżeczek smażonej róży i okadzają gardło listkami kwiatów, które sypano pod nogi kapłana niosącego Przenajświętszy Sakrament w czasie procesji Bożego Ciała. Skoro bowiem *sam Bóg przeszedł przez nie, pewnie pomogą.* Przeważnie są to płatki maku polnego (*Papaver Rhoeas*), bławatu (*Centaurea Cyanus*) i piwonii czerwonej (*Paeonia officinalis*). Wdechują również dym otrzymany ze spalenia sierści z kociego ogona, lub grysu (otręby) pszennego zmieszanego z pierzem kurzym, kaczym, lub gęsim. Okadzanie należy do odwiecznych środków służących do odpędzenia złego ducha, a więc i chorób, jako jego dzieł. Do wewnętrznych środków stosowanych w takich wypadkach należą wódka z miodem, jajko surowe utarte z cukrem, mleko gotowane z miodem i smalcem (najlepiej borsuczym), jaja pite na surowo, lub jaja z mlekiem i czosnkiem. Do jedzenia podają tylko zbite, twarde lub zaschnięte strawy, jak jaja na twardo, gęstą kaszę, skórki chleba itd., aby te przetarły gardło.

Zapobiegawczo, by gardło nie bolało, jedzą wszyscy obowiązkowo w czasie wieczerzy wigilijnej *susz* (suszone jabłka, gruszki, śliwki, wiśnie i czereśnie, połykają po trzy kostki wikliny (*Ledum palustre*), poświęconej w palmową niedzielę, wciągają dym poświęconej w dniu Matki Boskiej Gromnicznej gromnicy, którą starają się donieść zapaloną do domu i tu dopiero zgasiwszy wciągają dym unoszący się z knota, piją wino święcone w dniu św. Jana Ewangelisty i w dzień Trzech Króli lub jedzą jabłka poświęcane w dzień św. Błażeja, który przez swą śmierć męczeńską miał uratować życie chłopcu, dławiącemu się ością ryby.

Gdy w gardle zrobi się *gula* (*abscessus parantossilaris*), ucierają siarkę z białkiem jaja kurzego i cukrem i to dają do połykania, a *gula przepęknie.*

Gdy kto jedząc zakrztusi się, biją go z całej siły pięścią w kark, by — jak mówią — *jak najprędzej przełknął to, co go*

dusi. Wstrząs przy uderzaniu w kark ma rzekomo ułatwiać szybsze przełknięcie zawadzającego kęsa.

O innych zabiegach stosowanych przy bólach gardła, błonicy itd. opowiedziałem już w ustępie o chorobach dziecięcych.

Wole (*struma*) powstaje wedle wierzenia z krzyku i parcia się przez kobietę rodzącą, przez wielkie wysilenie gardła przy śpiewie lub krzyku. Aby się wole nie powiększało, ściskają je *aksamitką* (wstążeczką z aksamitu na półtora do dwóch cm szeroką), na której noszą medalik lub krzyżyk. Gdy się chce wole zniszczyć, dobrze je pociągnąć ręką nieboszczyka. Wedle tego prastarego wierzenia na równi z trupem ulegającym rozkładowi i zniszczeniu, zniknie i choroba, gdy na nią działać będzie wpływ magnetycznych własności zwłok-fetysza[1]). Gdy wole się powiększa, należy przewiązać szyję tasiemką, którą były związane wianki w czasie święcenia ich w oktawę Bożego Ciała.

Zołzy (*żowny, szkrofli - scrophulosis*), to *gule* (obrzękłe gruczoły chłonne) na szyi. Powstają one normalnie wtedy, gdy ktoś położywszy się na polu zaśnie, a przez otwarte usta do wnętrza dostanie się żółw, albo jeżeli ktoś wypije z wodą jego nasienie. Samiec nie szkodzi wiele, bo on nie mnoży się, a tylko rośnie, stąd wtedy powstaje jedna *gula*. Gorzej gdy do wnętrza człowieka dostanie się samica, bo ona się mnoży i wtedy tych *gul* jest wiele. Mogą one powstać poza tym z wilgoci i z uroku. Najczęściej trafiają się w wieku dziecięcym, a czasem tylko u dorosłych. Dziecko chore na zołzy chowa się licho, jest słabe, blade, *nie ma gustu do jedzenia*, a czasem *ma rozmiękczenie kości* (krzywica - *rachitis*). Trzeba je dobrze karmić i kąpać w ziołach: mięcie końskiej (*Mentha crispa*), *czabarku*, (*cerbec; szczerbec* tymianek - *Thymus vulgaris*, macierzanka - *Thymus Serpyllum*), szyszkach chmielowych (*Humulus Lupulus*), liściach włoskiego orzecha (*Juglans regia*), korzeniu tataraku (*Acorus Calamus*), *melisie* (miodownik rojnikowaty - *Melitlis Melisophyllum*, rojownik - *Melissa officinalis*), *czornobylu* (bylica pospolita - *Arthemisia vulgaris*), piołunie (*Arthemisia Absynthium*), *józefku* (hyzop lekarski - *Hyssopus officinalis*), *bzinie* (czarny bez - *Sambuccus nigra*), rucie ogrodowej (*Ruta graveolens*), wrotyczu (*Tanacetum vulgare*), lewendzie (*Lavandula spica, Lavandula vera*), rozmarynie (*Rosmarinus officinalis*), szałwii (*Salvia officinalis, Salvia pratensis*),

---

[1]) Por. Biegeleisen H. Lecznictwo... str. 182.

korze dębowej (*Quercus robur*), liściach leszczyny (*Corylus Avellana*) i grysie pszennym (otręby). Wewnętrznie podają wywar bratków polnych (*psi bratek* - *Viola tricolor*) albo liści orzecha włoskiego, bławatu, chmielu pospolitego, ziela i kwiatu dymnicy lekarskiej (Herba Fumariae), jaskółczego ziela *(Chelidonium maius)* z miodem i cebulą. Aby przyśpieszyć narwanie i wylanie się *guli* skrofulicznej przykładają maść rozchodnikową lub rozgotowane w mleku jaskółcze ziele, lub rozgotowaną bedłkę *(hubę, babkę)* z siadłym mlekiem i żytnią mąką. Przykładanie jaskółczego ziela jest pozostałością krwawej ofiary zwierzęcej składanej demonowi choroby. Dawniej bowiem przykładano zabitą jaskółkę, którą zastąpiła potem roślina. Jaskółkę obecnie w tych okolicach ludzie bardzo szanują.

Wedle prastarej formy odbywa się zamawianie zołz. Chore dziecko prowadzi się do drewutni, pod szopę, lub w ogóle na miejsce, gdzie rąbie się drzewa i leżą rozsypane trzaski. Tu zamawiający trzymając ręce na szyi chorego mówi: *Buw sobi czołowik żownatyj, maw dewit żinok, z dewiaty zistało wisim, z ośmoch sim... z dwoch odna, z odnoji żadna.* Po czym zdejmując ręce z chorego dmucha na jego szyję. Zamówione gruczoły rozejdą się.

Kaszel — wedle ludu — to nie objaw choroby, ale zupełnie samoistne odrębne cierpienie. Występuje on tak często u ludu, zwłaszcza począwszy od słotnej jesieni aż do późnej wiosny, że uważa się go za sprawę zupełnie błahą i niewinną. Wieśniak kaszle miesiącami, a nawet latami i nic sobie z tego nie robi. Gdy jednak na skutek postępu choroby właściwej, lub chronicznego jej stanu wystąpią bóle, zaczyna się leczenie, a gdy pojawia się krwioplucie, to nawet szukają porady lekarskiej. Kaszel zresztą często uważa się za potrzebny, nawet pożądany, bo pomocny przy *zaflegmieniu, zaflagowaniu, gdy flegma leży na piersiach, a wypluć jej nie sposób.* Wtedy czyści on piersi i leczy płuca samorzutnie, a trzeba mu zaradzić dopiero wtedy, gdy zbyt dokuczliwy, lub bolesny i po nocach spać nie daje.

Na kaszel zna lud nasz cały szereg leków używanych przeważnie pod postacią odwarów (*decocta*) lub naparów (*infusa*), tzw. *herbaty* podawane najczęściej do łóżka (*do pościeli*) na noc, lub na piec, gdzie chory parzy się pod kożuchem. Większość ziół tutaj używanych działa nie tylko odkrztuśnie, ale i napotnie. Najczęściej stosowaną jest herbata z lipowego kwiatu (*Tilia*

parvifolia) z miodem lub jajem, rzadziej z pierwiosnka (*kluczyków św. Piotra — Primula officinalis*), z korzenia i kwiatu ślazu lekarskiego (*Malva crispa, Althaea rotundifolia*), z liści podbiału (*Tussilago farfara*), kwiatu dziewanny (*Verbascum thapsiforme*), bratków polnych (*Viola tricolor*), kwiatu i jagód bzu czarnego, płatków kwiatowych bławatu polnego, zmieszanego z płatkami maku polnego (*Papaver Rhoeas*), lawendy, korzenia przestępu pospolitego (*Bryonia alba*) wysuszonego i startego na proszek. Ze zdobyciem leku z przestępu pospolitego połączone są różne niebezpieczeństwa, które wymagają zachowania wielu specjalnych ostrożności ze strony kopiącego to zielę, bo w nim stale przesiaduje diabeł. By więc niejako diabła przebłagać za zakłócenie mu spokoju domowego, na miejsce wyciętego kawałeczka korzenia wkładają drobny pieniądz, często wycofany z obiegu. Przy suchym kaszlu podają chrzan pokrajany w talarki usmażone na miodzie, jagody kaliny (*Viburnum Opulus*) zgotowane na mleku, odwar jagód jemioły pospolitej (*Viscum album*), także na mleku, odwar porostu łatnicy (granicznik — *Sticta pulmonacea*), mięty końskiej (mięta kędzierzawa — *Mentha crispa*) z miodem, miodunki lekarskiej (*Pulmonaria officinalis*) i herbatę zwyczajną ze smażonymi malinami, gdy chodzi bardziej o poty.

Poza odwarami podaje się ciepłe mleko z masłem lub łojem wołowym, jaje roztarte z cukrem, wódkę z masłem, wódkę ze smalcem wieprzowym i miodem; przy suchym kaszlu: mleko z masłem i czosnkiem, jaje rozkłócone i zalane wrzącym mlekiem, lub mleko z czosnkiem, mleko z smalcem psim lub borsuczym, cukier z oliwą itp. Wszystkie wymienione tu środki są bardzo pospolite i ogólnie tutaj używane. Prócz nich czasem gotuje się łyżkę siemienia lnianego w szklance wody i odcedziwszy odwar dodaje doń siedem łyżeczek cukru oraz sok z całej cytryny, po czym lek ten daje się choremu łyżeczkami w czasie kaszlu. Bardziej złożony środek mieszczański, pewnie pochodzący z jakiegoś zielnika z XVI w., a uważany za niezawodny, składa się z czterech roztłuczonych ząbków czosnku i dwóch dkg masła świeżego, wrzuconych razem do garnuszka wrzącego mleka i posolonych troszkę. Pije się to na gorąco dwa razy dziennie (rano i wieczór) tak długo, aż kaszel ustanie. Można też jednocześnie połykać rano, w południe i wieczór gałki zrobione z tartego chrzanu. W Reniowie gotują owies i cebulę, dodają do tego miodu i zażywają łyżkami kilka razy dziennie.

Prócz wewnętrznych środków stosuje się przy kaszlu jeszcze nacierania czystą wódką, wódką zmieszaną z terpentyną, oliwą, octem, wodą z solą i rozmaitymi tłuszczami, jak sadło, *sadło komarowe* (płynna wazelina, lanolina), łój, masło, smalec borsuczy, psi, ponadto przykładanie skórki z warstwą słoniny, lub sadła niesolonego i jeszcze gorącego oraz stawianie baniek. Używanie tłuszczów zwierzęcych w lecznictwie ludowym jest pozostałością dawnych ofiar zwierzęcych, składanych bóstwom na ołtarzach, co przechowało się jeszcze i dzisiaj w obrzędach dzikich plemion. Gdy chrześcijaństwo wyrugowało krwawe ofiary z obrzędów religijnych, ukryły się one w przepisach leczniczych medycyny naukowej[1]), potem w wierzeniach medycyny ludowej jako przeżytek prastarych form kannibalizmu.

Wszystkie wyżej opisane środki wewnętrzne jak i zewnętrzne przeciwko kaszlowi stosuje lud zawsze przy wszelkich chorobach płuc i opłucnej, przy których kaszel jest charakterystyczny.

Przy kolkach pije się z wodą na proch potłuczone zęby szczupaka, ponieważ są one tak samo ostre i kolące, lub odwar wiecznika szerokolistnego (*Eryngium planum*) święconego w wiankach. Na ból w piersiach jakiegokolwiek pochodzenia, piją smalec, piwo i miód w równych częściach ze sobą zmieszane (Kutyszcze). Na wszelkie katary płuc, nawet początek suchot, *gdy na piersiach ciężko*, pół halby piwa dopełniają herbatą z cukrem, ale bez cytryny i to wypijają, a wtedy *bardzo lekko robi się na piersiach*. Na kłucie (przy zapaleniach opłucnej i płuc) w Reniowie rozcierają czosnek, mieszają z octem, spirytusem i mydłem na maść, którą wcierają w miejsca bolące.

Zapalenia płuc i opłucnej, występujące tu dość często, noszą u ludu wspólną nazwę *zapalenia*. Przyczyną ich wedle pojęć ludu jest *zaziębienie, zastudzenie*, także *przeziębieniem* lub *przestudzeniem* zwane. Pod nie podciąga on kolki i gorączkę, które wedle wierzenia czasem występują jako samoistne choroby. Nierzadko na zapytanie, na co chory umarł, spotyka się odpowiedź *na kolkę* lub *na gorączkę*. Kolek dostaje się na skutek przepracowania, podźwigania się, szybkiego chodu, pospiechu w robo-

---

[1]) Jako przykład niech posłuży cytat z J. K. Haura: O ekonomice ziemiańskiej, Kraków, 1675. „Obłupiony ze skóry borsuk i na proch spalony z piwem letniem dobry na zepsowane i owrzodziałe płuca i tym, którzy krwią plują”.

cie lub z przeziębienia. Gorączka natomiast pochodzi z *krwi zapalonej, rozpalonej,* która *uderza do głowy i zapieka się.* Stąd też pochodzą bóle głowy, zawroty i *nieświadomość,* tj. bezprzytomność.

Zapalenie leczy się wewnętrznie i zewnętrznie przy użyciu jako leków odwarów, napojów, okładów, nacierań oraz przy nieodzownych i z zasady koniecznych bańkach. Po bańkach *musowo* robi się okład. Gdy są kolki, robi się okład z gorącego sera krowiego (twaróg), tartego chrzanu, gorczycy (*Sinapis nigra, Sinapis arvensis, Brassica nigra*) i wódki z pieprzem tłuczonym. A że zapalenie z *rozegrzanej* lub *zastudzonej krwi* pochodzi, starają się przeto tę zepsutą krew usunąć i w tym celu odbywa się *puszczanie krwi,* stawianie pijawek (*hirudo medic.*), baniek ciętych przez *baby* lub cyrulika. Im więcej pijawek czy ciętych baniek się postawi, tym lepiej, bo czasem *zapalenie się sprzeciwi,* gdy pijawek za mało. Zresztą ilość pijawek jest dowolna i zależna od uznania *baby* i domowników. Zdarza się czasem, że przy takim leczeniu chory skrwawi się tak silnie, że potem kawęczy przez dłuższy czas lub nawet życie kończy, ale to nie odstrasza zupełnie innych od tradycją uświęconego zabiegu. Bo skoro chory umarł, to *tak mu już było pisane, taka już wola Boża,* a na to rady nie ma i nawet kopa pijawek by nie pomogła. Niektórzy jako okładu używają majek zielonych (*Lytta vesicatoria*), które potłuczone lub starte przykładają na płatkach płóciennych bądź do karku, bądź do miejsc bolących. Do nacierania miejsc bolesnych używają czosnku ze solą i wódką, ewentualnie octem, samego octu i spirytusu. Wewnętrznie natomiast podają do picia miód, odwar roztropnika z (mikołajek polny-*Eryngium campestre*) wódką, mlekiem lub wodą, odwar krwawnika, a także potłuczoną *hromową striłkę* (belemnit) na polach czasem znajdywaną i odwar mchu z trzech strzech przed wschodem słońca zebranego. Poza tym używają wszystkich środków stosowanych przy kaszlu.

Aby zmniejszyć gorączkę, obwijają tu przeguby rąk chorego zielonymi liśćmi pietruszki, okrywają go pierzyną lub kożuchem i jednocześnie w piecu palą bardzo dużo. Takie napotne leczenie ma działać najlepiej. Obok łóżka posypują nieco plewy hreczanej, na którą chory stara się wypluwać *flegmę,* a gdy się jej więcej nagromadzi, rozmazują ją po klepisku miotłą *(winkom)* z gałązek brzozowych. Czasami, gdy chory nie może się obrócić, pod łóżkiem, a często przy jego twarzy stawiają

kawałek czerepu, lub jakąś starą miseczkę, do której chory sam spluwa, lub którą mu podaje ktoś obecny w chacie. Nierzadko jednak i tak bywa, co zresztą często sam obserwowałem, że chory wypluwa drugiej osobie plwocinę na rękę, a ta dopiero strzepuje ją na ziemię.

Wszelkie choroby piersiowe, przy których chorzy bledną, chudną, tracą apetyt, pocą się, obgryzają palce, albo pociągają się za nosy, a *kaszel rzuca się im na środek (seredynu)*, nazywają tu suchotami, których imienia jednak wymawiać się nie godzi. Samo wypowiedzenie tego słowa może je sprowadzić na dom, w którym zostało wypowiedziane, lub na mówiącego. A są suchoty chorobą bardzo zaraźliwą i nieuleczalną. Gdy więc mówią z konieczności o nich, to przez opisanie i z dodatkiem słów: *ne pry nas zhadujuczy, detyni, chati* itd. *suchi drowa w piecu* znosząc w ten sposób niejako potęgę zakaźnej choroby. Nazywają też suchoty *nędzą*, lub *nużdą*, a skoro ktoś na suchoty zemrze, mówią: *umarł na zapalenie.* Suchoty są wprawdzie *dziewięciowierzchowe*, ale w leczeniu rozróżniają tylko dwojakie: *światowe i śmiertelne*. Ze *światowych* chory *wyjść może* przy pomocy *bab*, znachorów i troskliwej opieki domowej, a także przy odpowiednich warunkach, dobrym odżywianiu i zupełnym bezrobociu. Ze *śmiertelnych suchot* już go nikt uratować nie jest w stanie. Aby się przekonać, na jakie suchoty jest się chorym, *słaby* rzuca przygarść ziarn owsianych *(Avena sativa)* na miskę po brzegi wypełnioną wodą. Gdy toną, zwrócone wąsami do góry, to *suchoty światowe*, gdy odwrotnie, *śmiertelne*. Zależnie od tego, albo pielęgnują chorego i to ze strachem, albo go zaniedbują zupełnie.

Suchot dostanie każdy, kto zjadł włos kota w ogóle, a czarnego specjalnie. Kot chory na suchoty jest dłuższy, a ogon ma puszysty. Należy mu zaraz uciąć koniec ogona, bo wtedy suchoty znikną i nie będzie niebezpieczeństwa zakażenia.

Chorzy na suchoty powinni wiele pracować koło obornika krowiego, wąchać go, a nawet spać w oborze przy krowach. Ponadto do ich kąpieli dodają kilka kawałków słoniny i wraz z chorym wsadzają do niej psa lub kota, żeby choroba przeszła na zwierzę. A gdy to jest niemożliwe, wodę kąpielową wylewają na specjalnie w tym celu przywołanego psa lub kota w kącie między płotami (w narożniku) wypowiadając przy tym następujące słowa: *uciekajcie suchoty na psa (kota) i styczne płoty.* Do

kąpieli dla gruźliczych dzieci dodają *czornobylu* (bylicy posp.), dla starszych macierzanki *(Thymus serp.)*, korzeni weszki dziadowskiej *(Inula dyssenterica)*, a nierzadko i świeżego gnoju świńskiego. Świeżą słoniną okładają piersi chorego robiąc z niej jakby rodzaj półkoszuli, lub niesoloną słoniną nacierają je przez czas dłuższy. Wewnętrznie podają do picia mleko czarnej krowy, lub własny mocz, aby chorobę zbrzydzić i zmusić do odejścia, odwar *czabarku (Thymus serp.)*, święconego na Matkę Boską Zielną, lub weszki dziadowskiej, plasterki chrzanu smażone w miodzie, mleko ze smalcem, najlepiej psim lub borsuczym i miodem, odwar liści poziomkowych, herbatę z bratków polnych, szałwii na mleku i herbatę z perzu. Za znakomity środek uchodzi napój sporządzony z wygotowanej mieszaniny kaktusa, psiego smalcu i miodu (wszystkiego po łyżce) rozpuszczonej w szklance prażonego mleka.

Bóle przy suchotach, zapaleniu płuc, opłucnej i *dychawicy (asthma bronchiale)* mają koić znakomicie młode pędy malin, zbierane przed wschodem słońca w piątek i zagotowane z miodem. Wybuchy krwi hamują zimną wodą ze solą, lodem, który połykają kawałeczkami, zimnymi okładami na piersiach, lub rozkłóconą w wodzie żytnią razową mąką, którą podają siedzącemu choremu łyżeczkami raz po razu do picia. Przy suchotach, jak i ropnych nieżytach oskrzeli, *gdy flegmę bardzo czuć*, podają chorym po parę kropel olejku terpentynowego w gorącym mleku.

Przy d y c h a w i c y o s k r z e l o w e j *(asthma bronchiale)* zwanej tu *dusznością, dychawicą, zaduchą, jaduchą, zadyszką*, również pospolitej, chory powinien jeść bardzo tłusto, a w razie ataku wypić kilka kropel rumu lub bardzo mocnej wódki. Podają przy tym cierpieniu odwar ślazu *(Malva crispa, Althaea rotundifolia)* z mlekiem, odwar bratków polnych (*psich bratków*), lub kwiatów i jagód czarnego bzu oraz jedyny specyfik ludowy w tej dziedzinie, a mianowicie odwar bagna pospolitego *(Ledum palustre)*.

Na gorączkę używają zewnętrznie okładów z zimnej wody, z pietruszki *(Petroselinum sativum)*, czarnej rzodkwi *(Radix Rathaniae)*, a wewnętrznie jagód suszonych poziomek, herbaty z suszonych pędów maliny *(Rubus Idaeus)* zbieranych w piątek przed wschodem słońca, lub suszonych jagód maliny, wywaru z kory wierzbowej *(Salix)*, przerwy (tojeść rozścielona-*Lysimachia numularis*, tartych buraków *(Beta vulgaris)*, liści chrzanu, plas-

terków kartoflanych *(Solanum tuberosum)*, lub podają piwo przygotowane późną jesienią z jagód tarniny, które parzą ukropem i dodają doń następnie dla fermentacji nieco cukru. Niektórzy przygotowują takiego piwa nawet dość dużo na zapas (Reniów). Gorączkę przerywają również wiśniakiem z jagód czereśni i wiśni, albo serwatką (Manajów). Przy gorączce zawsze jest w pojęciu ludowym język obłożony i suchy, a mocz mętny i czerwony.

CHOROBY NARZĄDU TRAWIENIA i PRZEMIANY MATERII

Jak już poprzednio wspomniałem lud nasz nie ma dokładnego pojęcia o budowie ciała ludzkiego, tym samym i nie może mieć wyobrażenia o chorobach poszczególnych narządów jamy brzusznej i o różniczkowaniu chorób jamy brzusznej. Wszystkie jej schorzenia nazywa on *kurczami, bólami w środku,* a wie, że ma biegunkę, *czyszczenie, gryż, hryż,* zaparcie, *zatwardzenie, zapir,* wymioty, *onily, wonily, zwraca,* czkawkę *hykawkę, że mu coś chodzi i kiaukocze, że boli go brzuch.* A że jest chory, to przecież jasne, bo i nie ma apetytu i język zamulony i mocz ciemny. Chyba aż za wiele cech diagnostycznych, by jeszcze można czegokolwiek wymagać ponadto. Choroby narządu trawienia przejdę wedle szematu ludowego, tj. od jamy ustnej począwszy.

Wprawdzie wieśniacy myją się już obecnie znacznie częściej, niż dawniej, o myciu zębów jednak nie pamiętają zupełnie, jak i niemniej o płukaniu jamy ustnej. Rzekomo na to brak im czasu. I z tego powodu, mimo że mają znacznie zdrowsze zęby od mieszczan, zapadają na nie może nawet i częściej, niż tamci. Dość rzadko natomiast spotyka się u wieśniaków choroby dziąseł, ich gnicie i rozpad. Gdy to się zdarzy, wtedy w celach leczniczych płuczą jamę ustną odwarem barwinku, szałwii lekarskiej, lub łopianu, wywarem galasówek *(Decoctum gallarum)* i sokiem rzodkwi czarnej *(Radix Rathaniae)*. Ogólną jest wiara, że zęby psują się od jedzenia słodyczy w ogóle, a cukierków w szczególności, zwłaszcza, gdy się je gryzie, zamiast ssać. Zęby wtedy stają się bardzo kruche, próchnieją, łamią się, *kryszą* łatwo po kawałku. Przestrzega więc lud tego, by starszym dzieciom mającym już trwałe uzębienie nie dawać często cukierków, oraz stara się przez zachowywanie całego szeregu zwyczajów uchronić się przed bólem zębów. Boleć będą zęby tego, kto je albo pije w czasie, gdy umarłemu dzwonią na pogrzeb, a nawet, gdy

tylko dzwonią po zmarłym. Podobnie, gdy się szyje koszulę do trumny dla nieboszczyka, nie wolno nitki urywać zębami, bo będą próchniały. Gdy zobaczy się ropuchę, a ma się usta otwarte, natychmiast trzeba je silnie zamknąć i jeszcze ręką przysłonić, aby ta nie porachowała zębów, bo ile z nich policzy, tyle ich wypadnie i wyłamie się, a że to przecież zęby przednie, więc jeszcze gorzej. Tego bolą zęby, kto po zjedzeniu gorącej strawy pije zimną wodę. Ogólna jest wiara, że ból zębów wywołuje malusieńki robaczek z czarną główką niewiększy od ziarnka maku, który tocząc ząb powoduje świdrujący ból. Dopóki robaczek żyje, tak długo toczy on zęby, a ból trwa. Wszystkie więc środki lecznicze używane przez lud mają na celu zabicie tego robaczka.

By zęby nie bolały, piją wino święcone w kościele w dzień św. Jana Ewangelisty i w dzień Trzech Króli. W tym samym celu silnie nacierają czosnkiem zęby w czasie wieczerzy wigilijnej, a idąc na pasterkę o północy i wracając z niej trzymają w ustach orzechy laskowe. Kto zje pieczywo, ser, lub jabłko, w którym mysz wygryzła dziurę, przez cały rok kalendarzowy będzie wolny od bólu zębów. W tym samym celu podczas wieczerzy wigilijnej rozgryzają zębami orzechy leszczynowe *(Corylus Avellana)*, a najlepiej, gdyby się trafiło na orzech nadgryziony przez mysz lub wiewiórkę. Wierzenie to jest bardzo rozpowszechnione. Wszędzie między słabymi zębami ludzkimi, a mocnymi zębami myszy zachodzi jakiś nieokreślony związek uzależniający jednak zdrowie zębów ludzkich od zetknięcia się przez kąsanie z pokarmem nadgryzionym przez silne zęby myszy, lub wiewiórki, a więc gryzonia. Czarne zęby mają pochodzić od palenia tytoniu, białe od jedzenia czarnego, razowego chleba żytniego.

Gdy kogoś już zęby rozbolały, leczy je w najrozmaitszy sposób. Starsi biorą do ust silną wódkę (okowitę) i trzymają po tej stronie, po której znajduje się bolący ząb. Lekarstwo to było kiedyś, niemniej jest jeszcze i dziś przez wieśniaków bardzo ulubione. Zamiast bowiem trzymać je na zębie, rzekomo mimowoli połykają coraz to nowe dawki wódki, aż odurzeni alkoholem wreszcie zasypiają i zapominają we śnie o wszystkich dolegliwościach. Czasami wystarczy tylko szczere westchnienie i gorąca modlitwa do patronki *od bolących zębów, św. Hapolonji* (Apolonii). Niestety tej specjalnej modlitwy do niej nie chciano

mnie nauczyć, a warto było ją poznać, bo św. Apolonia była wielką męczennicą, nad którą znęcano się wybijając jej po kolei zęby. Są ludzie, którzy mają lekką rękę, gdy ci tylko przeciągną swą dłonią po twarzy z tej strony, gdzie znajdują się bolące zęby, wnet ból się uciszy. Takie pociąganie ręką po bolącym miejscu praktykowane jest nie tylko przy bólu zębów, ale także przy *łamaniu i strzykaniu głowy*. Taką lekką rękę mieli Andrzej Wolaniuk z Gajów Roztockich, Wołyniec przezywana Capychą z Nowego Miasta, Olejancunia i Mierżwicka ze Starego Miasta i inni. Lekką rękę ma dostawać ten, kto w niej trzymał żywego kreta. Są tu również w użyciu i zamawiania zębów. Chory wychodzi do księżyca, gdy go ubywa i trzymając się lewą ręką za zęby żegna się i mówi:

„Wielki święty! czy ty masz zęby? — Mam.
A czy ciebie nigdy zęby nie bolały? — Nie.
Daj więc, żeby i mnie zęby nie bolały.
W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen”.

Drugie zamówienie wykonane w tych samych warunkach brzmi następująco:

„Mertwci (upiory) u hrobi,
misiać na nebi
i kamiń w mori
zijszłyś do kupy,
jiły, pyły i rozmowlały,
czoho bolat zuby
słuhu (raba) bożoho
chryszczenoho... (np. Iwana).

Jak ti towaryszi zijdut sia do kupy,
nechaj mene todi bolat zuby.
W Imia Otca i Syna i Światoho Ducha Amin”.

Gdy zobaczą pierwszy raz księżyc na nowiu, stają nagle, odwracają się do niego tą połową twarzy, w której jest bolący ząb i mówią: *Bolaczka w hnij, chrobak w kołodu, a kamiń w wodu*, spluwają przy tym po trzykroć przez lewe ramię, odmawiają trzy Ojcze nasz i odchodzą, a ząb z pewnością przestanie boleć. Ten sam skutek można osiągnąć dotykając bolącego zęba kością, lub zębem umarłego, lub pocierając go ręką leżącego na katafalku nieboszczyka. Można też spostrzegłszy pogrzeb stanąć przy drodze i gryźć skórkę twardego chleba, dopóki orszak nie minie. Za wpływem bowiem nieboszczyka, który nie cierpi już na nic, bolące zęby przestają dokuczać.

Prócz tego jest cały szereg leków do okurzania, okładów, płukania, do *zatykanie dziury w zębie* i zażywania wewnętrznego. Do okurzania zaliczyć należy palenie cygar czy papierosów nawet przez kobiety i to jednego po drugim i trzymanie dymu

tytoniowego *(Nicotiana tabacum)* na bolącym zębie. Gotują gałązkę lulka (lulek czarny-*Hyoscyamus niger)* wraz z nasionami i trzymają twarz nad parą z tego odwaru się unoszącą połykając tę parę, lub owinąwszy w papierek do papierosów nasiona lulka palą je i dymem z niego okadzają bolący ząb. Do miski z żarzącymi się węglami wrzucają nasiona lulka, a gdy te się zaczynają palić i dymić, nalewają kipiącej wody, a wytwarzającą się parę wdechiwują (Gaje Roztockie). Okadzają zęby palonym rozchodnikiem z wianków święconych w Oktawę Bożego Ciała, rozpalają święconą kredę aż do czerwoności i leją na nią odwar *trzmieliny* (tojad właściwy-*Aconitum napellus)* owinąwszy wpierw dobrze głowę spodnicą, nad unoszącymi się parami trzymają otwarte usta okadzając w ten sposób zęby. Również owinąwszy głowę czymkolwiek trzymają otwarte usta nad parą odcedzonych, ale gotowanych w łupince ziemniaków *(Solanum tuberosum)*. Twarz okadzają józefkiem (hyzop lekarski-*Hyssopus officinalis*). Żydzi okadzają bolący ząb palonym makiem. Dziurę w zębie zapychają tzw. *bagą,* tj. masą uzyskaną z pożutego ordynarnego tytoniu (bakun), masą z posiekanego czosnku z potłuczonym na proszek pieprzem, masą z czosnku moczonego w wódce, startym chrzanem, figowym miąższem *(Figus carica)*, widocznie aby słodyczą figi nakarmić wiercącego otwór w zębie robaczka, *cetwarowym nasieniem* (*Rhizoma zedoariae*), kawałkiem ałunu, co powoduje kruszenie się zęba. Przykładają do bolących zębów śliwkę suszoną z pieprzem lub goździkami, czosnek z octem i cukrem, lub rozgnieciony goździk rożkaty.

Do płukania zębów używają w razie bólu bardzo zimnej lub bardzo gorącej wody, czasem na przemian, nafty, roztworu ałunu, wódki, wywaru z korzenia pokrzywy, wywaru z kwiatów sypanych pod nogi księdza w czasie procesji Bożego Ciała, a także z gałęzi strojących w tym dniu ołtarze (przeważnie lipa), które zaraz po nabożeństwie obłamują, wywaru lulka szaleju, a gdy już żaden lek nie pomaga, gotują korę dębową z pieprzem i wywar z tego tak gorący, że ledwie w ustach utrzymać można, trzymają tak długo, aż *wychłodnie*. Po takim lekarstwie zazwyczaj nie tylko ząb bolący, ale także wszystkie pozostałe kruszą się i wypadają. Jako okładów na policzek po stronie bolącego zęba używają przypieczonej cebuli *(Allium Cepa)* z pieprzem, lub zaparzonych łodyg *łobody* (rzepień pospolity-*Xanthium strumarium)*, a gdy *ząb zaczyna narywać* (zapalenie ozębnej) i robi się

tzw. *fluksja*, przykładają gorącą kaszę jęczmienną *(Hordeum vulgare)* omaszczoną słoniną, korę bzu czarnego, *bziny* bądź samą, bądź z kredą święconą, tytoń moczony w wódce, sok z fajki *(zw. bagę)*, lub nacierają policzek i ząb *bolozubem* (trędownik-*Scrophularia nodosa)* moczonym w wódce, lub chrabąszczami majowymi moczonymi w wódce.

A wreszcie, gdy już wszystkie środki medycyny ludowej zawiodą, lub co częściej się zdarza, gdy pacjent zniecierpliwi się, załatwiają sprawę krótko przez „wyrwanie" bolącego zęba. Uskuteczniają to albo sami uwiązawszy sznureczek do zęba i do klamki przy drzwiach (ktoś nagle otwiera drzwi i ząb wyjęty), albo udają się z tym do kowala, który rwie zęby obcęgami do wyciągania gwoździ, albo cyrulika, posługującego się jednymi szczypczykami przy rwaniu wszystkich zębów. Przy tym istnieje przesąd związany z wyjmowaniem tzw. zębów ocznych, że zabieg ten może narazić na utratę wzroku lub jego osłabienie, bo korzeń takiego zęba podchodzi aż pod oko i że rwać go to rzecz najcięższa.

Zasadniczym przykazaniem stosowanym przy bólu zębów jest należyte ich wygrzewanie i troskliwa ochrona przed przeciągami. W tym więc celu wkładają do uszu watę maczaną w oliwie, a twarz obwijają ciepłymi szmatami, które kropią jeszcze w dodatku wódką, by lepiej grzały.

C z k a w k a *(czykawka, hykawka)* nie jest podrażnieniem przepony przez przeładowany żołądek, przepicie się, czy inną przyczynę, tylko dowodem, że ktoś wspomina w tej chwili czkającego. Dlatego to, gdy czkawka kogoś napadnie, mówią: *ktoś mnie wspomina, zaraz idę, dziękuję* itp. Aby wykryć imię wspominającego, należy myśląc po kolei o znajomych czy bliskich pociągać się lekko za rzęsy, a przy czyim imieniu rzęsę się wyciągnie, ten jest przyczyną czkawki. Wykrycie tej osoby powoduje natychmiastowe ustanie czkawki. Ludzie bowiem połączeni są z sobą jakąś nicią niewidzialną, stąd imię wspominającego i rzęsa czkającego są także związane, gdy więc wyjmie się włos, przerywa się więź i czkawka ustaje. Czkawkę zresztą łatwo usunąć przestraszywszy czkającego krzykiem, stuknięciem, potrąceniem, uderzeniem itp., albo przez powstrzymanie oddechu na czas dłuższy. W tym celu wciągnąwszy do płuc przez głęboki oddech powietrze zatykają sobie usta i nos palcami i powstrzymują się od wydechu. Można też

ssać cukier w kostce nie oddychając przy tym, lub pić wodę ze szklanki na krzyż (obracając ją na cztery strony). Zazwyczaj takie picie wody skutkuje, bo pijący zaaferowany myślą o skuteczności leku skupia swoją uwagę przy wykonywaniu zadania i nie oddycha. Nie porusza więc zupełnie przepony przez dłuższą chwilę. Gdyby to nie pomogło, czkający musi wypić duszkiem wszystką wodę ze szklanki i postawić ją na stole dnem do góry. Zabieg ten także wymaga dłuższego wstrzymania oddechu. Czasem podają do picia kredę struganą z mlekiem. Można ewentualnie czkawkę zamówić słowami: *hykawko, (czykawko), smykawko! idy do wody i tam napady,* a czkawka napadnie tego, kto pierze, lub znajduje się w danej chwili nad wodą. Gdy czkawkę dostanie obłożnie chory, to pewny znak, że umrze, dlatego szkoda go nawet leczyć, bo to trud daremny i niepotrzebny wydatek.

Ziewanie z powodu zmęczenia, niewyspania się, lub przepicia uważa lud za stan niebezpieczny, podczas którego bardzo łatwo przez otwarte usta *złe* do człowieka wejść może i opętać go, podobnie jak przy jedzeniu. Ponieważ *zły* może na siebie przybierać różne postacie, więc zaprzestają jedzenia, gdy zbliża się ktoś nieznajomy, bo nie wiadomo, czy to czasem nie *zły,* który *jako lew ryczący krąży dokoła i patrzy, kogo by pożarł.* Zapraszają przeto gościa do jedzenia wspólnego mówiąc: *goście do nas, hości do nas.* A *śnidajte, obidajte, weczerajte zdorowi* odpowiada zapraszany i w ten sposób oznajmia biesiadnikom, że nie ma nic wspólnego z diabłem. Wtedy jeść już można spokojnie dalej. W czasie ziewania zasłaniają usta ręką obracając dłoń na zewnątrz, grzbiet zaś ku ustom, by zamknąć w ten sposób nieczystemu drogę do wnętrza organizmu. Jest to pozostałość po dawnym zwyczaju nakazującym czynienie znaku krzyża przed ziewającymi ustami.

Żołądek i kiszki, *seredyna, środek, wnętrze,* są źródłem bez wątpienia największej liczby chorób i dolegliwości u ludu nie przestrzegającego zupełnie ani przepisów higienicznych, ani dietetycznych, a przy tym bardzo chętnie i przy każdej sposobności, *gdy trafia się okazja,* nadużywającego alkoholu. Bo przy wszelkich chorobach, zmartwieniach, niepowodzeniach, przy każdej uroczystości (chrzest, wesele, pogrzeb), zabawie, nawet transakcji kupieckiej nie obejdzie się bez popicia, *zapoin, stypy, zalania robaka, mohoryczu.* Tymczasem wódka bezpośrednio wy-

wołuje cały szereg chorób, lub przynajmniej stwarza doskonałe podłoże do rozwinięcia się innych osłabiając, lub nawet znosząc zupełnie bakteriobójcze działanie soku żołądkowego i przyczyniając się do zwyrodnienia całego szeregu organów, i narządów wewnętrznych. O tym jednak, co może przynieść ze sobą częste popijanie, nie myśli nasz lud zupełnie, bo nie zna budowy i czynności organów ciała ludzkiego. Lud wie jednak i wierzy, że wódka była od wieków doskonałym środkiem leczniczym i zapobiegała w przeróżnych chorobach. Dlatego i dzisiaj nie straciła ona nic ani ze swej mocy, ani sławy. Ona zmarzniętego rozgrzewa, zmęczonego pokrzepia na siłach, cierpienia koi, bóle uśmierza, truje smutki, wesołości do pracy dodaje, sen zbawienny sprowadza i zapomnienie, a zgryzoty zabija. Kto pije stale, nawet nie choruje, jest zdrowszy i mocniejszy. Czyż można nawet więcej od niej wymagać? Przecież nie ma bardziej uniwersalnego środka. Na pewno bardzo wielu wieśniaków poszłoby w ślady wiejskich pijaków, gdyby nie kłopoty finansowe. *Kto pije, wszystko straci,* — powiada przysłowie ludowe — a lud nasz jest na grosz bardzo chciwy i tracić go nie lubi. I ta cecha charakteru bardziej chroni go przed pijaństwem, niż kazania księży, lub nawoływania higienistów opowiadających o szkodliwości alkoholu, a nawet składanie przyrzeczeń czy ślubowań niepicia wódki. Najlepszym więc środkiem wstrzymującym lud od alkoholu są jego wysokie ceny.

Kto stale pije, zaraza się go nie czepia. Gdy więc pojawi się jakaś epidemia i pokup na wódkę gwałtownie wzrasta.

Jeśli pijak wypije za wiele wódki, to wtedy łatwo może się ona w nim zapalić. Wieśniacy widzieli już nieraz, jak z ust zapitego i leżącego bez przytomności buchały płomienie palącej się wódki. Ja zaś osobiście będąc uczniem trzeciej klasy gimnazjalnej widziałem tylko sposób ratowania pijaka, w którym się rzekomo wódka zapaliła. Gromada wieśniaków otaczała go kładąc na wznak. Pijany cały siny rzęził, dławił się śliną i wymiocinami, a z ust otwartych szeroko rzekomo biły płomienie, których jakoś nie mogłem zobaczyć. Z pomocą pospieszyła pijanemu starsza baba, która przykucnąwszy nad jego piersiami oddała mocz wprost do ust leżącego. Oddanie moczu przez osobnika płci drugiej jest jedynym ratunkiem przy tego rodzaju cierpieniach. Im więcej moczu, tym lepiej. Wywołuje on wymioty u ratowanego, a poza tym rzekomo ma obrzydzić mu dalsze picie.

Aby odzwyczaić pijaka od wódki, dają mu także do picia wodę, którą obmyto zmarłego, lub wódkę, w której się moczył pieniądz włożony specjalnie w tym celu do ust zmarłego, bo to obrzydzi mu ją raz na zawsze.

Wedle ogólnego wierzenia — każdy człowiek musi mieć robaki (glisty), a zwłaszcza pracujący przy ziemi, a jeśliby ich nie miał, żyć by nie mógł. Robaki bowiem w małej liczbie są nawet pożyteczne i pomocne w trawieniu. U starszych nie jest to właściwie żadna choroba, tylko u dzieci i tam ją opisałem. Gorzej przedstawia się sprawa, gdy *robaki nie są zwyczajne, ale złośliwe,* tj. s o l i t e r (tasiemiec taenia). Wtedy człowiek jest stale bladozielony, apetyt mu nie dopisuje, choć je bardzo wiele, *bo nic mu jedzenie nie służy.* Również usposobienie takich chorych pozostawia bardzo wiele do życzenia: są stale skwaszeni, niezadowoleni ze wszystkiego, źli i zawistni w stosunku do zdrowych, jednym słowem *śledziennicy.* By ratować chorych na tasiemca, gotują dwie kopy *dyniek* (ziarnek arbuza-*Cucurbita maxima, Cucurbita Pepo*) na mleku i dają to do zjedzenia choremu, lub częściej utarłszy dwie kopy pestek zaparzają kipiącym mlekiem. Po wypiciu tego leku *soliter się spędzi* (odejdzie).

C h o r o b ę ż o ł ą d k a bardzo łatwo poznać po braku apetytu, a nawet obrzydzeniu do jadła, języku obłożonym białym, gęstym grzybkiem, który szybko rośnie, aż wreszcie wedle wierzenia dusi chorego, o ile się szybko nie zapobiegnie nieszczęściu, po nudnościach, czasem wymiotach, no i bólach w dołku, lub koło pępka.

Zwykłymi przyczynami chorób żołądkowych są według mniemania ludu *zaziębienie, popsucie, zależenie czegoś w środku,* lub *podźwiganie.* W takim wypadku trzeba choremu natychmiast *żołądek przeczyścić,* aby *usunąć to, co w środku leży, co się zaparło.* Najradykalniejszym środkiem na to są wymioty, *blucie, onity.* Wywołuje je sam chory wkładając możliwie głęboko *(aż do gardła)* wskazujący palec prawej ręki. Następnie na pokrzepienie przyjmuje *tłustą wódkę* (ze smalcem lub masłem), bo wódka rozgrzewa *środek,* a tłuszcz rozlewając się po chorych częściach łagodzi dolegliwości i goi rany wewnętrzne. Równocześnie chorego kładą do łóżka i okrywają dobrze kożuchami, a gdy się spoci, minie choroba. Jeżeli ktoś palcem wymiotów wywołać nie umie, wręczają mu pióro ze skrzydła kury lub gęsi i tym każą łaskotać swoje gardło, lub czynią to sami w zastępstwie chorego.

Ale czasem *coś tak mocno zależy się w środku,* że nie daje się usunąć w opisany sposób. Owszem *samo przykleiwszy się gdzieś do żołądka* wywołuje coraz to nową serię gwałtownych, męczących i wyczerpujących wymiotów, *ale samo nie wychodzi.* Chory wtedy zielenieje, chudnie, schnie, niknie wprost w oczach, nie ma ochoty ani do jadła, ani do roboty, nawet do wódki. W tym wypadku trzeba najpierw leczyć wymioty, bo chory *ochlanie* (opada na siłach). Podają mu więc odwar mięty pieprzowej lub końskiej poświęcanej na Matkę Boską Zielną, a z listków pozostałych z odwaru robią okład na brzuch. Często mieszają miętę z piołunem dla wzmożenia łaknienia.

Jako środków przeczyszczających używa lud wewnętrznie kupionych w aptece: *sensu* (senesu - *folia Sennae*), rabarbaru (*Rheum palmatum*), soli glauberskiej, soli gorżkiej (*magnesium sulfuricum*), oliwy, olejku rącznikowego (*ol. ricini*); lub środków domowych, jak: drożdże same lub z oliwą, olej konopny lub lniany, mydło rozpuszczone w wodzie, sok ostromlecza (*Euphorbia pilosa*). Wkładają również kawałeczek mydła do kiszki stolcowej, a na brzuch robią okłady z gorącej wody, plewy hreczanej, otrębów pszennych, parzonych łodyg rumianku, popiołu, piasku grzanego smarując przy tym brzuch zazwyczaj oliwą.

Na *kurcze i kręcenie w żołądku i pod piersiami* (wrzód żołądka, dwunastnicy, kamica wątrobiana, kolka wątrob.) zewnętrznie używają okład z gorącej wody, gorącego popiołu, grzanej cegły owiniętej w jakąś szmatę, lub parzonych ziarnek kminu i owsa w szmatce (Milno), lub stawiają garnek, podobnie jak stawia się bańki, wpierw jednak wysmarowawszy brzuch oliwą lub innym jakim tłuszczem. Wewnętrznie używają wywaru z bożego drzewka (*Arthemisia Abrotanum*) suszonego w maju, a jeszcze lepiej poświęconego w bukiecie na M. Boską Zielną, podają do zażycia olejek jałowcowy, wywar rumianku z cukrem, wywar lub nalewkę na wódce biedrzeńca pospolitego (*Pimpinella saxifraga*) i dzięglu (*cyngiel-Angelica silvestris*), dziewięć ziaren potłuczonego pieprzu na wódce, lub tzw. *nasernyciu,* tj. kał gęsi *(husiaczky)* rozpuszczony w gorącej wodzie. To ostatnie lekarstwo używa się głównie wtedy, *gdy takie kurcze i kłucie pod piersiami, że aż oddech zapiera.* Skutek tego leku ma być zawsze pewny. Chory po wypiciu dostaje zazwyczaj wymiotów i czuje się potem lepiej.

Przy zwyczajnych kurczach dają do picia wywar pokrzywy żegawki (*Urtica urens*), macierzanki, kminu (*Carum carvi*), nalewkę piołunu na wódce, wódkę z *dymną hubką* (sromotnik smrodliwy - *Phallus impudicus*), huby bardzo śmierdzącej, napar rumianku, maruny (*Matricaria parthenium*) z jajem i cukrem. W Gajach Roztockich i za Rudą uśmierzają kurcze żołądkowe w następujący sposób: biorą około ½ kg soli kuchennej, owijają ją w szmatkę i wkładają do ognia; gdy sól stopi się w bryłę, wrzucają ją do wody i nad parą ogrzewają brzuch. Natomiast w Reniowie i Wertełce dają do picia zioło zwane *poruchna* (dziewięciornik błotny - *Parnassia palustris*) bardzo gorzkie w smaku.

Na gniecenie pod piersiami podają odwar *batożków św. Piotra, Petrowi batiżky,* (podróżnik cykoria - *Cichorium Intybus*) piją wódkę z kamforą, starodąb (*Ostericum Hoffm.*) i jagody tarniny (*Prunus spinosa*) moczone w wódce.

Przy katarze żołądka radzą jeść na czczo węgierskie śliwki poczynając od jednej, a dochodząc do 40 jednorazowo, i odwrotnie, czy to w stanie świeżym, czy też suszone, ale wtedy trzeba je moczyć przez noc w wodzie, którą po zjedzeniu śliwek należy również wypić.

Na brak apetytu podają herbatę z *centurii* (tysiącznik - *Erythraea Centaurium*), krwawniku lub piołunu na wódce jako nalewki, albo w odwarze. Nierzadziej używają też odwaru, bądź nalewki miętowej i kozłkowej (*Valeriana officinalis*).

Przeciw biegunce (*enteritis, colitis*) podają kmin (*Carum carvi*) palony na węgiel i starty na proszek (Milno, Trościaniec), jedzą jaja na twardo (Czystopady, Wertełka), czosnek i to w wielkich ilościach, zwłaszcza przy *krwawej biegunce* (czerwonce) i cholerze (Ratyszcze, Założce). Opowiadały mi R. K. z Załoziec i A. R. z Ratyszcz, że w czasie czerwonki, której się nabawiły, zjadały dziennie po 16 główek czosnku i piły po pół litra wódki, ale za to po dwóch dniach były już zupełnie zdrowe. Przy czerwonce podają też do picia jako niezawodny środek rozpuszczone w wodzie łajno jaskółcze. Gdy biegunce towarzyszą bóle, to *na zatrzymanie* pierwszej i uśmierzenie drugich podają korzeń *termeteli, kurzego ziela* (srebrnik drzewianka - *Pimpinella tormentilla*) moczony w wódce, lub całą roślinę w odwarze, podobnie wodny odwar *wasylka* (krwiściąg - *Sanguisorba officinalis*). Ponadto przy czerwonce podają chorym do połykania cukier

utarty z białkiem, a następnie jako dietę mleko z masłem. Herbata przy czerwonce ma być trucizną (Założce Str.). Przy ostrej biegunce *(gryż, hryż)* podają w Gajach za Rudą i Gajach Roztockich odwar suszonych jagód tarniny (*teren*) lub sporządzony z nich sok z cukrem.

Przeciw rozwolnieniu skutecznym środkiem jest nalewka z potłuczonych galasówek dębianek, moczonych przez noc w wódce, a wypita rano na czczo, nalewka z maruny (*Matricaria parthenium*), w lecie świeże jagody *czernicy* (borówka - *Vaccinium Myrtillus*), w zimie herbata z suszonymi borówkami, bądź borówki zasypane cukrem, anyż (*Pimpinella Anisum*), koper, kminek, dzięgiel, biedrzeniec, korzeń tarniny, lub wino czerwone gotowane z cukrem i korzeniami (cynamon, gwoździki rożkate, Założce, Białogłowy), kał jaskółczy w mleku (Założce), napar z pokrzywy żegawki, chudy ser, suchy chleb razowy i td.

Chorym *na żołądek po cukrzycy* dają suszony zielony koper zaparzany jak herbata. (Trościaniec). Przy obniżeniu żołądka robią kąpiele z lasowego siana (Trościaniec).

Cholera, *zaraza* (cholera azjatycka) to choroba znana powszechnie wśród ludu kresów wschodnich. Jest to wedle tutejszego wierzenia jakaś osobowość żywa nie ukazująca się jednak stale pod jedną i tą samą postacią (mara, zjawa), lecz podszywająca się pod najrozmaitsze przedmioty. Ukazuje się ona jako słoma, korale, jakaś szmata, chusta, czasem jako kobieta chuda, na pół naga, ze zwisającymi piersiami, rozwichrzonymi włosami itd. Gdy się gdzieś zjawi i zacznie zbierać obfite żniwo, nie trzeba się jej bać, bo tylko ten zachoruje i umrze, kto się jej nastraszy; odważny może ją nawet przepędzić, schwytać, związać lub uwięzić w jakiejś dziurze, dziupli drzewnej itp.

W dawnych wiekach — wedle tutejszej tradycji — *zaraza* grasowała na naszych ziemiach dość często i zabierała więcej ludzi niż najkrwawsza wojna. A przychodziła z powietrzem, z wiatrem mocnym, który ją niósł jakby jaki obłok lub chmurę gęstą. Zanim się jeszcze cholera pojawi, można już wiedzieć, że przyjdzie, bo dziwne się wtedy rzeczy wyrabiają na świecie: psy podwinąwszy ogony pod siebie przykładają pyski do ziemi i wyją, krety ryją kopce wielkie jak mogiły, sowy wołają nocami na śmierć ludziom, gwiazdy się sypią z nieba jak deszcz itd. Ilekroć *zaraza* przychodziła, to nie szła na cały kraj od razu, tylko powoli od rzeki do rzeki, bo *nieczysta siła* przez wodę płynącą,

wodę żywą przejść sama nie jest zdolna. Aby więc przedostać się przez rzekę, przemieniała się chytrze w przedmiot jakiś, a chłop durny zobaczywszy na swej drodze, jak mu się zdawało, rzecz zagubioną, brał ją ze sobą i przenosił lub przewoził na drugą stronę rzeki. Uzyskawszy swój cel *zaraza* zmieniała się natychmiast w chudą wiedźmę przykrytą łachmanami, z pod których widać było *zwisające cycki* i dawała się poznać swemu przewoźnikowi. Jemu i jego rodzinie krzywdy nie zrobiła, ale za to innych dusiła, że nie daj Bóg. Bywało czasem siądzie przed mostem taka niby dziadówka obdarta, wynędzniała, bez sił i prosi, żeby ją nieco podwieźć. A gdy tylko za most się dostanie, już pokazuje, co umie. Czasem to i prawda, że iść się jej nie chce i wtedy każe się wozić, a w najgorszym wypadku prowadzić. Gdy się ją wiezie, to koniom tak ciężko, jakby kilka korcy zboża od razu na wóz położono. I po tym łatwo ją poznać. Gdyby wiozący się nie bał, a chwycił *zarazę* i wymłócił, co by się wlazło, albo gdzie zamknął zabiwszy kołkiem w dziupli, to choroba nie szerzyłaby się tak długo, dopóki ktoś nie uwolniłby jej.

W wierzeniach Żydów cholera występuje w postaci niewiasty (morowej dziewicy), która przeistoczyć się potrafi w psa lub kota. W psa i w kota potrafią się również przemienić czarownicy, wiedźmy i inne osoby posiadające siłę demoniczną, bo i diabeł często jako czarny kot się ukazuje i jako taki przebywa nawet na strychach ludzi, którym służy za zapisanie mu duszy.

Cholery można nie dopuścić do domu, gromady, czy gminy, jeśli tak się zdarzy, że w danej miejscowości jednego dnia kobieta wyda na świat dwóch synów i równocześnie krowa urodzi dwa byczki. Jeżeli bliźniacy podrósłszy oborzą granice osady bliźniaczymi bykami, to taka miejscowość będzie w ogóle wolną od *zarazy* tak długo, póki granicznej skiby kto nie zaorze. Wedle tutejszego podania, opowiedzianego mi przez Gabriela Mądrzyckiego z G a j ó w R o z t o c k i c h, taką szczęśliwą miejscowością były ongiś Z a ł o ż c e. Podstawą tego podania jest wiara w moc magicznego koła mającego chronić człowieka od złych sił i oczyszczać z win. Było ono znane od najdawniejszych czasów na całym świecie i sięga czasów pogańskich, kiedy to obejście lub oboranie pola wpływało dobroczynnie nawet na wydajność plonów. Oboranie więc granic wsi należy do najstarszych sposobów zabezpieczenia się przed zarazą, a uzupełnieniem tego prastarego obrzędu i jego wzmocnieniem jest praca

wykonana przez bliźniaków chłopców i bliźniaki woły. W dawnych bowiem czasach bliźnięta, a zwłaszcza płci męskiej, uchodziły za specjalne błogosławieństwo bogów, a matka ich była w swej osadzie w pełni poszanowania, bo rąk męskich, potrzebnych do obrony, brak było zawsze, a każdego chłopca bardziej ceniono, niż potomka płci żeńskiej. Takie oboranie chroni nie tylko od zarazy, ale i od gradobicia. W Załoźcach od czasów, które najstarsi ludzie pamiętają, grad nigdy większych szkód nie poczynił. Jednak czasem *zaraza* i grad przytrafić się mogą nawet i w takiej miejscowości, jeżeli łakomstwo rolnika na ziemię przeważy i chłop worze się w koło ochronne i przerwie je dając tędy wolną drogę nieszczęściom. Zresztą i do bronionej oboraną skibą osady *zarazę* można przenieść wraz z podrzuconą rzeczą z miejscowości, w której się ona szerzy. W czasie więc epidemii nie wolno zabrać ze sobą niczego, co rzekomo znajdzie się na drodze, bo razem z tym przedmiotem przyniesie się i chorobę do domu.

W 1893 r. pewien mieszczanin załoziecki wracający z podróży do domu znalazł na drodze korale. A trzeba wiedzieć, że korale czerwone i prawdziwe stanowiły do wojny rzecz bardzo łasą i nawet płaciły się dobrze. Ucieszony więc chłop podjął je i wraca zadowolony, że mu się taka przytrafiła gratka. Lecz im bliżej granicy miejskiej, coraz koniom ciężej, a na wozie coś śpiewa coraz głośniej piszczącym głosem, jak skrzypienie nienasmarowanych kół: „jadę, jadę“. Przestraszony chłop zrozumiał, co to za korale. Nie dojeżdżając więc do miasta zostawił na drodze wóz, konie i przeklęte korale, a sam bez czapki nawet popędził do miasta dając znać o *trafunku*. Zmobilizowani mieszkańcy wyszli na granicę kolendując, co zniewoliło cholerę do zawrócenia się tam, skąd szła. W roku następnym, gdy w Załoźcach grasowała cholera chodziły po mieście bractwa kościelne i cerkiewne kolendując zawzięcie, by odpędzić chorobę. Przywiózł ją wtedy jeden z żydowskich bałagułów wraz z zakupionymi łachami. A cholera, widocznie zła za przeszłoroczne przepędzenie, zaczęła zabierać liczne ofiary najpierw spośród Żydów, a potem przeniosła się na katolików.

Tam, gdzie nie było szczęścia do bliźniaków, tak chłopców, jak i wołów, można bronić się przed cholerą innymi sposobami. Tam, gdy tylko zaraza się pokaże w okolicy, należy pójść do lasu, wyciąć cztery osiki, zrobić z nich na oko cztery krzyże

i poumieszczać je w czterech rogach wsi, a dopóki one stać będą, cholera się we wsi nie pokaże. Krzyże te przypominają bardzo znaki graniczne ludów pierwotnych i właściwie nie są chrześcijańskim zwyczajem, tylko zabytkiem pogaństwa, rozumie się zmodernizowanego i przystosowanego do nowych stosunków.

Żydzi w czasie cholery pisali dawniej na drzwiach swych domów: *tu już była cholera,* a cały dom obrysowywali węglem dokoła. Mamy tu więc znowu magiczne koło nakreślone węglem, a więc czymś, co już przeszło próbę ogniową i ją przetrwało. Od wewnątrz przy wszystkich oknach i drzwiach zawieszali starozakonni pęczki cebuli. W r. 1865 — wedle opowieści — w czasie bardzo ostrej cholery obmazywali oni trzy razy swoje domy spalonym krzyżem. Natomiast w 1895 r. Żydzi, wśród których głównie cholera grasowała, a początkowo nawet jedynie wśród nich się szerzyła, w myśl rady rabina zapłacili mieszczaninowi Orzechowskiemu, przezwiskiem Czartak, pięć florenów za to, by siedział wieczorem na okopisku, a gdy oni przyjdą ze zwłokami zmarłego na cholerę, żeby powiedział: *nie ma już miejsca na okopisku, nieście nieboszczyka na cmentarz.* Orzechowski był pijakiem, który za kieliszek wódki byłby diabła za ogon łapał. Żydzi więc byli pewni, że znajdą w nim powolne narzędzie. Tymczasem chłop wziąwszy zapłatę i podpiwszy sobie trochę *na kuraż* w odpowiednim momencie, zamiast umówionego zdania, począł krzyczeć: *jest jeszcze miejsce dla wszystkich, przynieście tylko wszystkich ze Starego i Nowego Miasta.* Żydzi rzucili trupa na ziemię i rozjuszeni zaczęli ścigać Orzechowskiego, który ile sił w nogach uciekał, by ukryć się w jarach. Zdarzenie to jako rzekomo prawdziwe opowiadał mi sam Orzechowski tłumacząc, że gdyby tak uczynił, jak chcieli Żydzi, oszukana cholera przeniosłaby się do katolików, a tak on stał się ich wybawcą. Gdy wspomniany eksperyment zawiódł, rabin poradził swym współwyznawcom, by wyszukali w kahale trzy pary zupełnych żebraków, a on da im ślub rytualny na okopisku, aby przebłagać demona *zarazy.* Tak też się stało. Poza tym wszyscy Żydzi nosili na palcach pierścienie z lipowego łyka, które miały chronić ich przed zarazą. Katolicy natomiast odprawiali wtedy żarliwe zbiorowe modły pod figurą św. Rocha *patrona od cholery.* Figurę tę postawiono na Starym Mieście podczas zarazy w r. 1793.

Gdy cholera już się pojawi można ją zwalczyć i w ten sposób, że założy się osobny cmentarz choleryczny poza obrębem osiedla przez nią nawiedzonego i tam razem z trupem zakopie się w grobie żywego psa i kota. Zwierzęta te to symboliczne postacie, w których pokazują się złe moce, siły demoniczne, a zarazem są to dwaj odwieczni wrogowie, prowadzący ze sobą walkę zawsze i wszędzie. Zakopani ze sobą i z cholerą, która mieszka w trupie, zagryzą się na śmierć, a jednocześnie w czasie walki pokaleczą i samą *zarazę*. Tak złe demony zginą, a *zaraza* wycieńczona nie będzie miała sił na duszenie dalszych ofiar i zabierze się precz. Sposób ten praktykowano w Założcach w latach największego nasilenia cholery tj. 1865 i 1895, a opowiadał mi o tym stary gospodarz Grzegorz Tyniecki w r. 1912.

Jako środka ochronnego przeciw cholerze dziś używają tu czosnku, pieprzu i wódki jedząc czosnek jak najczęściej i w dużych ilościach oraz popijając wódką z pieprzem. Są to leki *ostre*, nie przypadające cholerze *do gustu*. Doskonałym, a nawet niezawodnym środkiem ma być picie nalewki z korzenia dzięgielu (*cyngiel, Angelica silvestris*) i biedrzeńca (*bedrynec, Pimpinella saxifraga*) na wódce. Lek ten jest — wedle podania — stosowany od tej pory, gdy panowała *straszna zaraza* na ziemi. Umarli na tę chorobę chodzili wtedy po świecie i mówili, że *wszyscy żyjący ludzie pójdą jeszcze za nimi*. Groziło to niebezpieczeństwem śmierci również upiorom, dla których nie stałoby pokarmu, bo wedle wiary ludowej żywią się one krwią ludzi, a zwłaszcza dzieci. Dlatego upiory przestrzegły żyjących jeszcze mówiąc: *Będą pili dzięgiel i bierdzeniec i nie będzie im nic*. Tak to niezawodną receptę na cholerę dostali ludzie od upiorów z ich egoistycznych pobudek.

Po wsiach odpędzają chłopi cholerę kurząc przez komin końskim łajnem lub warząc *czornobyl* (*Arthemisia vulg.*). Sławna recepta na cholerę z r. 1865 pochodzi od aptekarza z Załoziec. Opiewa ona następująco: *dwa łuty aloesu, pół łuta myrry, jeden łut cetwaru, jeden łut kamfory, dwa łuty manny, jeden łut rabarbaru, pół łuta szafranu, jeden łut senesowych liści, pół łuta encjanu* (*Gentiana*), *jeden łut tymianu weneckiego, pół łuta dziewięćsiła* (*Carlina acaulis*), *jeden łut dzięgielu, moczyć to wszystko w dwóch litrach spirytusu 90%/o przez dwa tygodnie często silnie wstrząsając naczyniem. Zażywać w czasie choroby kroplami.* Nazwa wsi Białogłowy ma — wedle miejscowego podania — pochodzić z czasów epidemii

cholery, podczas której wymarli wszyscy mieszkańcy wsi za wyjątkiem dwóch starych, siwych bab, *białych głów*. Nazwa ta zarazem zdradza czysto polskie pochodzenie wsi.

Na osłabienie po cholerze, lub cholerynie, a także i przy gwałtownych bólach żołądka należy ukraść owies tak, aby nikt nie widział, narwawszy go trzy razy w polu i uciekać z nim co sił nie rozmawiając z nikim po drodze, ani oglądając się poza siebie. W domu należy go włożyć zaraz do garnka przez próg (tz. nie wchodząc z owsem do chaty) i zalać również przez próg wodą nabraną z biegiem rzeki. Wtedy dopiero można wejść do chaty, zagotować to i wykąpać chorego w odwarze, po czym wylać kąpiel przed wschodem słońca na rzekę. Zabieg ten należy powtórzyć trzykrotnie z rzędu, a osłabienie zniknie bez śladu.

Gdy cholera się pokaże, trzeba na okna kłaść podróżnik (*Cichorium Intybus*), a to dlatego, że choroba jako zło unika światła i słońca, a do chaty zawsze wdziera się w nocy, po ciemku. Gdy więc puka do okna, usłyszy pytanie podróżnika z wewnątrz: *Kto to i czego chce?* Wtedy prosi: *Przenocuj mnie podróżną*. Na co podróżnik odpowiada: *Nie mogę, bo nie ma miejsca. Ja sam podróżny i śpię na oknie.* Choroba wprowadzona w błąd sądzi, że naprawdę nie ma miejsca w chacie i odchodzi. Również dla obrony przed *zarazą* święcą podróżniki we wiankach, które następnie wieszają przy drzwiach. Wedle innej bowiem wersji: *Wisiał sobie wianek przy drzwiach, a tu idzie zaraza. A czego chcesz podróżna? — pyta się cykoria. Nic tu nie dostaniesz, bo i ja sam podróżnik, więc nie chodź tu.* A *zaraza* myśli sobie: *Jak już jest podróżny, to nie ma tu czego szukać.* I idzie w dalszą drogę (Wojnicki).

Z pośród chorób wewnętrznych ż ó ł t a c z k a (*żowtanyci, icterus*) jest może najbardziej znana i najłatwiejsza dla ludu do rozpoznania. Choroby tej dostaje się, *gdy się wątroba wzruszy ze złości, gdy wątroba się z pasji wstrząśnie, gdy kogo z gniewu żółć zaleje.* Zwykle dostaje ją *człowiek złośliwy, sekutnik, złośny.* Zresztą żółtaczka stosunkowo dość rzadko występuje u włościan.

Leczenie jej, podobnie jak przed wiekami, odbywa się przeważnie środkami sympatycznymi, polegającymi na naiwnym łączeniu barwy choroby i leku. Każą więc choremu przyglądać się w czasie mszy św. złotej patynie lub spojrzeć do złotego kielicha, a w domu każą mu patrzeć w żółtobrązową gnojówkę i jeść na czczo marchew (*Daucus carota*), święconą w bukiecie

na M. Boską Zielną. Twarz chorego smarują pomarańczowego koloru sokiem jaskółczego ziela (glistnik-*Chelidonium maius*). Chory może także wydrążywszy żółtą brukiew albo marchew wypełnić ją swoim moczem i ostrożnie, by płynu nie wylać, zawiesić w kominie. Choroba zniknie, gdy mocz wyparuje, a marchew, względnie brukiew zwiędnie. Żeby się jednak nie powtórzyła, należy jarzynę po wyparowaniu moczu zakopać w nawozie, by uległa zupełnemu zniszczeniu. To samo czynią Żydzi.

Można także zagotowawszy gentianę pić jej wywar trzy razy dziennie po malutkiej szklaneczce. Rzadziej używaną, niemniej jednak skuteczną ma być następująca recepta: Chory powinien nazbierać nad rzeką dwanaście płytkich kamieni (jakimi chłopcy puszczają „kaczki" po wodzie), rozgrzać je do czerwoności i wrzucić do gorącej wody w obszernym naczyniu, np. *makutrze*, dużej misce, lub miednicy. Po czym naczynie należy natychmiast przykryć płótnem, np. prześcieradłem i przez nie wdechiwać parę wydobywającą się z wnętrza. Jeszcze lepszym środkiem, nigdy nie zawodzącym, jest zbrzydzenie żółtaczki. W tym celu podaje się choremu wszy do jedzenia, ale tak, by on sam o tym nie wiedział, bo wtedy z obrzydzenia nie mógłby powstrzymać się od wymiotów i wesz by nie skutkowała. Podają więc trzy razy dziennie po trzy wszy w chlebie, aby przez te cyfry kabalistyczne (3 i 9) wzmocnić jeszcze leczenie.

W niektórych wsiach kładą na pierś chorego żywego młodego gołębia, na którego przejść ma żółtaczka. Gołąb ginie, a chory zdrowieje. Czasem na czerwonej nitce zawieszają na szyi chorego całą główkę, lub dziewięć dużych ząbków czosnku i każą je nosić przez dziewięć dni. W międzyczasie czosnek zwiędnie i zżółknie, bo przeszła nań żółtaczka. Niekiedy chorzy myją się w wodzie, do której wrzucają złotą obrączkę, złoty pieniądz, lub kąpią się w wodzie z wywarem ziół żółto kwitnących (dziurawiec, dziewanna, nostrzyk lekarski, piołun, jaskier itp.), albo piją żółte napoje (serwatka, piwo).

Z zewnętrznych niedomagań jamy brzusznej ważną rolę odgrywają c h o r o b y m a c i c y. Posiadają ją — wedle wierzenia — kobiety i mężczyźni. Gdy więc ktoś długo choruje, a bez wybitniejszych objawów, to pewnie chory na macicę, która może *chodzić* (*gastro entero ptosis, ren migrans*), *podpierać* tu, czy tam, zwłaszcza wtedy, gdy została poruszona z miejsca przez

podźwiganie się, zerwanie się, zeskok, lub z powodu niezadowolenia z jakiejkolwiek przyczyny. A wędrowanie macicy jest bardzo dokuczliwe i denerwuje chorego, który wtedy sam nie wie, czego chce, niezadowolony ze wszystkiego, skręcony i zgięty we dwoje. *Wiedzące* umią nastawiać macicę podciągając ją na miejsce, w górę, w dół, lub w jeden z boków. Bez względu na płeć kładą one chorego na wznak, smarują brzuch masłem, a potem podsuwają macicę rękoma na swoje miejsce zamawiając ją przy tym. Wreszcie dla lepszego jej ustalenia, stawiają gliniany garnek na brzuchu, coś w rodzaju ogromnej bańki wciągającej w siebie nieraz pół brzucha. Gdy garnek już dobrze naciągnął skórę, rozbijają go kijem, a nad pępkiem *spalają kądziel* (nieco przędziwa). Przykładają także korzeń żywokostu, dziurawiec i arnikę.

Gdy przyjdzie do wydęcia czy wynicowania kiszki stolcowej (*prolapsus ani*), wygotowują większe ilości łopianu w dużej porcji wody i wrzucają do gotowego odwaru trzy garście soli kuchennej, a osobno rozgotowują szafran w czerwonym winie. Szmatkę kilkakrotnie złożoną macza się wtedy w winowym wywarze szafranu i kładzie się na pępek, resztę zaś odwaru szafranowego wlewa się do kąpieli łopianowej, w której chory się kąpie. Po tym zabiegu wypadnięta kiszka powinna wrócić na swoje miejsce.

CHOROBY NARZĄDU MOCZO-PŁCIOWEGO i WENERYCZNE

Moczenie nocne i nietrzymanie moczu omówiłem już przy chorobach dziecięcych, bo właściwie choroby te prawie wyłącznie przytrafiają się w wieku dziecięcym. A gdy sporadyczne wypadki tych cierpień zdarzają się i u starszych, bywają identycznie leczone, jak u dzieci.

U starszych częściej już trafiają się katary pęcherza (*cystitis*) i *zaparcie, zatrzymanie moczu.* To drugie zdarza się zazwyczaj wieśniakom starszym z powodu przerostu gruczołu krokowego (stercza) przeważnie na tle łącznotkankowym, czasem rzerzączki. Lud jednak to cierpienie uważa za rodzaj zadania, czarów, lub jako wynik przepukliny (*hernia inguinalis*). Gdy więc trafi się już takie nieszczęście, gotują liście brzozy płaczącej (*Betula alba*), korę leszczyny i korzeń pietruszki, a odwar ten dają pić choremu, z zagotowanego zaś ziela robią okład na podbrzusze (Ratyszcze). Okolicę pęcherza smarują

oliwą i przykładają nagrzany grys pszenny, kaszę jaglaną, lub jęczmienną, celem *rozgrzania pęcherza* i wywołania moczu. Gdy razem z zatrzymaniem moczu pokaże się *spuchlęcina* (obrzęk), gotują jagody jałowcowe (*Juniperus communis*) i wywar z nich podają choremu do picia, ewentualnie robią nalewkę jałowcową na wódce i każą moczyć ręce aż po łokcie w gorącej deszczówce.

Gdy tylko występuje katar pęcherza z bólami w pęcherzu, pieczeniem i częstym oddawaniem moczu, obwijają podbrzusze w wełniane szmaty, by brzuch wygrzać. Do picia natomiast podają herbatę z *psich bratków* (*Viola tricolor*), na krzyże kładą szmatki nasmarowane maścią majerankową. Czasem gotują pietruszkę, wywar jej podają choremu do picia, a miazgę kładą mu na pęcherz. Piją również odwar skrzypu polnego (*Equisetum arvense*).

Gdy rozległy obrzęk obejmuje twarz i *cały dół*, tj. kończyny dolne, brzuch i krzyże, a przy tym mocz skąpy (objawy zapalenia nerek), parzą liście brzozowe i robią z nich okłady na krzyżach (Olejów) stawiając równocześnie bańki. Albo gotują korę bzu czarnego z naskrobaną kredą, rozumie się najlepiej poświęcaną, i to dają do picia, a barwinkiem suszonym i wrotyczem (*Tanacetum vulgare*) okadzają chorego. A gdy puchlina tak wielka, że chory się dusi, zakopują go do ziemi aż po szyję, by *wilgość ziemi wyciągnęła puchlęciznę*. Przy zapaleniu nerek gotują również płatki bławatu polnego, lub robią t. zw. *piwo*. Do czterech litrów zagotowanych gałązek wiśniowych dodają ½ kg cukru i 2 dkg drożdży, po czym poddają to przez tydzień fermentacji. Napój ten ma doskonale działać jako środek moczopędny i przeciw obrzękom (Trościaniec).

Wprawdzie utarło się mniemanie, że lud nasz jest bardzo moralny i czysty pod względem chorób wenerycznych, jednakże mniemanie to jest z gruntu fałszywe. Wśród ludu wiejskiego można znaleźć prawie ten sam odsetek chorych wenerycznie, co u mieszkańców miast, tylko przegląd i kontrola po zapadłych wioskach są mniejsze i stąd to mniemanie. Chory wenerycznie wieśniak ucieka się o poradę lekarską w ostateczności, a nawet wtedy, gdy lekarz już jasno sprawę postawi, jeszcze uparcie używa tylko środków domowych. Tak wielki jest konserwatyzm ludu i tak znaczny brak uświadomienia w tym względzie. W ostatnich dziesięcioleciach, zwłaszcza po wojnie światowej, po przemarszach

różnych wojsk i ich postojach, oraz na skutek przyczyn ekonomicznych i społecznych choroby weneryczne ogromnie się rozpleniły na wsi.

Rzerzączka (*blenorrhoea uretrae*) według mniemania ludu powstaje wskutek oddawania moczu pod wiatr, lub gdy się przyśni stosunek z kobietą, albo gdy kobieta w czasie spółkowania przed samym wytryskiem nasienia zatrzyma oddech. Czynią to rzeczywiście wiejskie kobiety w tej myśli, że przez zatrzymanie oddechu nie zajdą w ciążę. Dlatego to wieśniacy przed ejakulacją uderzają kobiety w brzuch, by musiały oddychać, a tym samym niejako chcą się ochronić przed niepożądaną chorobą. Gdy się już nieszczęśliwie zachorowało, najlepszym lekiem jest spółkowanie z dziewczyną jeszcze nietkniętą, a więc najpewniej z dziećmi, lub z kobietą ciężarną. U ciężarnej bowiem macica jest zamknięta, jest więc ona jakby nienaruszona[1]). Ten naprawdę barbarzyński przesąd przyczynia się również do rozplenienia chorób wenerycznych. Chorzy stwierdziwszy jego bezskuteczność piją następnie zioła lub leki silnie moczopędne, a więc odwar pietruszki (*Petroselinum sativum*), herbatę z jagód jałowca, herbatę z liści brzozy płaczącej (*Betula alba*), kwiatów *psiego bratka* (*Viola tricolor*), wiele piwa, czasami nawet z papryką (*Capsicum annuum*), lub wódkę, by ta *chorobę przejadła i przepaliła*, a równocześnie jedzą wiele tłustości, bo tłuszcz goi rany.

Kiły (*syphilis, lues*) w ogóle wieśniacy nie uznają. Wszelkie zaś ranki i zmiany na skórze (wykwity) z jej przyczyny powstające uważają za *rumatys*[2]). Owrzodzenia (*ulcus durum, sclerosis*) leczą okładami z kwaśnego mleka, podobnie jak *paraphimosis*. Do lekarza przychodzą nie wcześniej jak w stadium kłykcin sączących i to już tak rozprzestrzenionych, że „trzeba z rozpaczy załamywać ręce".

CHOROBY SKÓRNE

Rozdział ludowego lecznictwa skóry łączy się ściśle z poprzednim, ponieważ wszystkie wykwity i kłykciny przy chorobach wenerycznych, a dalej wszelkie wypryski, czy zmiany wywołane szeregiem chorób skórnych lud nasz zwykł uważać za tzw. *pryszcze*, tj. krostki bez znaczenia. Oba więc działy cho-

[1]) „Motywem, który skłania gwałcicieli do wyboru małych dziewcząt lub ciężarnych kobiet za ofiarę zbrodni, jest przesąd nie tylko u nas rozpowszechniony, iż obcowanie cielesne z tymi osobami uwalnia zakażonego mężczyznę od zakażenia". Prof. Dr Leon Wachholz: Medycyna sądowa. Kraków 1920.

[2]) Patrz str. 166 (105).

rób u ludu stanowią właściwie jedną, nierozdzielną całość. Prócz *pryszczy*, rozróżnia on jeszcze *liszaje, parchy* lub *słody, brodawki, piegi i krostę* (świerzb). Wszystkie zaś wypryski (*ekzema*), początkowe stadia *lupus vulgaris* (toczeń czyli liszaj żrący), *lupus erythematodes* (liszaj rumieniowaty), trądzik (*acne*) są określane nazwą *pryszcze*, wśród których są jeszcze czyraki (*abscessus*-ropień, *furunculus, carbunculus*). Łuszczycę zaliczają do liszajów (*lichen*).

Wyrzuty skórne są u wieśniaków bardzo częste dlatego, że stosunkowo rzadko myją się oni dokładnie i kąpią. Żartobliwie mówi się u nas na wsi, że chłop dwa razy w życiu myje się dokładnie, tj. po urodzeniu i po śmierci. Nawet mycie w niedzielę i święta jest powierzchowne i pobieżne: myjący bierze wodę do kwaterkowego garnka, wciąga jej nieco do ust, spryskuje parokrotnie ręce i pociąga nimi twarz, po czym wyciera się szmatką lub ręcznikiem. Mimo dużych możliwości i nieraz doskonałej sposobności, starsi kąpią się bardzo rzadko zaczynając dopiero od św. Jana Chrzciciela, bo dopiero, *gdy św. Jan wodę poświęci, wolno się kąpać*. Inaczej bolałaby głowa. Idąc pierwszy raz do kąpieli śpiewają: *Lana lana po kolana, szob (szczoby, żeby) nas głowa nie bolała*. Gdy znów na św. Eliasza (2. VIII) pada deszcz, już kąpać się nie wolno, bo woda będzie bardzo zimna. „Nieostrożny“ *przestudzi się i dostanie zapalenia*, które zazwyczaj śmiercią kończyć się zwykło. Tak więc zaledwie lipiec jest miesiącem przeznaczonym na kąpiel, a i w tym krótkim czasie brak zwykle wieśniakom czasu na kąpanie się, bo to gorący okres żniw i wysilającej pracy. Najczęściej jeszcze kąpią się chłopcy do lat 14-tu, bo ci nie zważają na przesądy i czas zawsze znajdą, by się chociaż ochlapać. Rzadziej kąpią się dziewczęta, a starsze kobiety prawie nigdy. Rozumie się, że kąpiel odbywa się bez mydła, które zastępuje muł rzeczny. Chłopcy namazują się nim całkowicie nacierając się wzajemnie. Potem muł zmywają myciem, zanurzaniem się w wodzie, lub dawaniem nurka. Nic więc dziwnego, że na zabrudzonym, niemytym należycie, ani kąpanym ciele, zwłaszcza spoconym w czasie żniw osiada pełno kurzu, który drażni skórę, powoduje swędzenie i zniewala do *drapania, skrobania się*. A stąd już łatwo o wszelkie pryszcze, strupy i wysypki.

Wedle wierzeń ludowych wyprysków można nabawić się nie z brudu i niechlujstwa, tylko z przyczyn, że tak powiem, natury mistycznej. I tak dostaje je ten: kto rzuca szumowiny z rosołu na ziemię, kogo *oszpuje* ropucha lub kot, kogo koń

oparska, kto oddaje mocz na żarzące się węgle, kto sypia w butach, kto czyści buty na nogach, kto bierze do ręki padalca lub turkucia podjadka. Na czyje odchody nasypią *prysku* (drobnego żarzącego węgla), ten dostanie wyprysków na siedzeniu. Robią to wtedy, gdy jeden na złość drugiemu oddaje stolec pod chatę, stodołę, lub w ogrodzie. Żydzi znowuż odwrotnie wierzą, że pryszczami obsypie tego, kto żarzące węgle z popiołem sypie na odchody drugich. I dlatego to celowo zanieczyszczają oni wąskie uliczki między swymi domami, bo obcy nic im nie zrobi.

Kto wstrzemięźliwie żyje, dostaje wyprysków na czole i twarzy, które mają ustępować po spółkowaniu. Są to tzw. zachcianki, zachciałki (*picae*). *Pryszcza na języku* dostaje obmawiany przez kogoś. Aby więc przerwać obmowę, bierze on czystą chusteczkę do nosa i kłuje ją igłą wyliczając za każdym ukłuciem imię osoby, którą posądza o obmowę. Jeśli trafi, obmawiający dostanie takiego samego pryszcza na języku, a zniknie on u obmawianego. Dziecko dostaje wyprysków na całym ciele, tzw. *koszuli,* jeżeli przed jego chrztem do chaty przyjdzie kobieta *mająca swój czas*. Piegów, jako zemstę ze strony jaskółek dostaje ten, kto wyjmuje jajka lub młode jaskółczęta z gniazda, liszajów ten, kto przejdzie bosą nogą miejsce, po którym się tarzał koń, lub kogo pies poliże po twarzy, brodawek ten, kto bierze żabę do ręki, a ona go *wodą osika,* lub kto bawi się dojrzałymi purchawkami (*Lycoperdon bovista*).

Poza tym *pryszcze* powstają *z ostrości krwi,* którą wywołuje spożywanie ostrych potraw lub przypraw. Złe soki krążą z krwią po całym ciele, a wyrzucane na zewnątrz wywołują czyraki i wrzody, które oczyszczają organizm i zapobiegają ciężkim chorobom. Takie pojmowanie sprawy jest pozostałością dawnej teorii humoralnej, przeniesionej z medycyny książkowej do ludowej.

Pryszczy nabawić się można także wskutek zadania, a więc wtedy, gdy człowieka dotknie ktoś taki, który ma *paskudną rękę* (takie pryszcze noszą nazwę *strupów,* wyprysk rozlany sączący - *ekzema*), lub gdy się siądze tam, gdzie siedział *ktoś paskudny,* czyli *pryszczowaty*. Czyraków dostają *w całym domu,* tj. wszyscy, gdy w wigilię Bożego Narodzenia wejdzie doń dziewczyna prowadząca rozwięzłe życie (prostytutka). Czyraki wtedy trzymają się chaty przez cały rok. Podobnież przez cały rok będą się czyraki trzymały chaty, gdy na Ofiarowanie Matki Boskiej (Uwedeńje, 5. XII.) przyjdzie ktoś, który ma czyraki. Ktokolwiek bowiem

przyjdzie w dzień ten do chaty, a przyniesie ze sobą jakiekolwiek bądź wrzody, ofiarowuje je niejako tej chacie aż do przyszłego roku.

Przytoczone tu wierzenia nie wyczerpują wszystkich z tej dziedziny.

Zanim przystąpię do omówienia leczenia wyprysków, wspomnę o bolączce kobiet, a zwłaszcza dziewcząt bez względu na ich wykształcenie, kulturę i pochodzenie, tj. o p i e g a c h i tzw. w ą g r a c h oszpecających ich cerę. Każda chciałaby mieć twarz gładką i piękny rumieniec. A o to nieraz tak trudno. Aby więc mieć piękną cerę kobiety, myją się w deszczówce, nacierają trzy razy twarz pierwszym śniegiem marcowym, myją się wodą pozostałą po obmyciu chleba wyjętego z pieca, lub rosą zebraną w noc świętojańską. Rosa taka gubi również piegi zwane *żabotynia*, a obok niej podobnie skuteczne jest zmywanie twarzy świńskim mlekiem, lub mleczkiem rośliny zwanej *sosnka* (ostromlecz-*Euphorbia pilosa*), nacieranie jej specjalną maścią, przyrządzoną z płatków kwiatowych *krokosza* (nogietek - *Calendula officinalis*) smażonych w śmietance aż do zgęstnienia. Ostromlecz działa rzeczywiście skutecznie, ale niestety na krótki okres czasu. Po obmyciu się nim cała twarz czerwienieje i obrzęka, na skutek zapalenia skóry, po paru dniach skóra zaczyna się łuszczyć, obrzęk przemija, a nowa skóra przez kilka dni jest naprawdę mlecznobiałą. Na piegi używa się również odwaru ziela zwanego *szczerban*

By skóra twarzy nie opalała się w słońcu, obmywają sobie twarz jakąbądź wodą, jaka wpadnie im w ręce, gdy zobaczą pierwszą jaskółkę; a gdy wody nie ma, markują tylko mycie pocierając twarz suchymi rękoma. Gdy natomiast brak rumieńców, używa się tutaj zamiast różu zwyczajnej czerwonej bibułki, którą się ślini, a potem naciera policzki. Przed wojną było to praktykowane tylko w Z a ł o ż c a c h, jako finezyjnie wyrafinowane, na wsi natomiast smarowano sobie rumieńce sokiem buraka ćwikłowego. Dzisiaj bibułka z rozwojem kultury poszła na wieś, a w mieście używa się tanich różów i szminki. Na wsi czerni się obecnie brwi węglem drzewnym, lub przypalonym korkiem, w mieście specjalnym ołówkiem. Cywilizacja w szybkim tempie zdobywa wieś.

Gdy na ustach zrobi się pęcherzyk (*herpes labialis*), aby się go pozbyć, należy wyciąć pręt żywej leszczyny i palić go

nad siekierą, ale tak, by sok z przypiekanego pręta kapał na obuch siekiery. Dopiero płynem zebranym z obucha smaruje się pęcherzyki, zwane tu *opari*.

Kto dostanie pryszcze, l i s z a j, czy coś podobnego, powinien wziąć centa (grosz), potoczyć nim po chorym miejscu (a więc zrobić koło magiczne), zawinąć w szmatkę i wyrzucić gdziekolwiek. Kto tego centa znajdzie, podniesie i schowa, sam liszaja dostanie, ten zaś, kto go miał dotychczas, straci (C z y s t o p a d y). Kto dostanie liszaje po przejściu miejsca, na którym koń się tarzał, musi przejść z powrotem przez nie. Liszaj można zgubić, gdy smaruje się go rosą z szyby okiennej, zebraną rano po wstaniu z łóżka, przy czym mówi się: *Dobranoc ci liszaju, idż tam, gdzie świniom mieszają.* Wieczorem znów smarując mówi się: *Dzień dobry ci liszaju...* itd., a więc przeciwnie, bo mówienie na opak ma rzekomo, moc szczególną. Mówią także: *Liszaj! nie tu się pisaj, ale w stodole na słupie, a starej babie na d....*, albo: *ale w karczmie na słupie, u Żyda na d....* Można go również zgubić smarując jedzeniem wziętym ze świńskiego koryta, sokiem wyciśniętym z młodych liści bobu (*Vicia Faba*), sokiem wydobytym z cybucha fajkowego (*bagą*), zaraz po przebudzeniu własną śliną, w ostateczności własnym kałem, lub niegaszonym wapnem zmieszanym z sodą. Widziałem dziewczynę po takim zabiegu upiększającym. Rzeczywiście liszaj zniknął, ale wapno wyżarło tkankę prawie do kości, i dopiero różne maście apteczne zleczyły jątrzącą się uparcie ranę. Na liszaje przykładają również korzenie szczawiu końskiego (*Rumex obtusifolius acutus*) moczone w własnym moczu, tj. *dotknięte liszajem.* Zgłosiła się raz do mnie matka z córką mającą rozległą ranę na nodze, powstałą na skutek właśnie powyżej opisanego leczenia, którą objaśniła słowami: *Czerwony liszaj zrobił sie na zdrapanej przez nią nodze.* W M s z a ń c u palą fasolę, mielą ją i smażą ze słodką śmietanką. Smarowanie to ma być znakomite w działaniu, gdy na nie kładzie się okład ze słodkiego, nieprażonego mleka. W M i l n i e spalają liszaje esencją octową, w O l e j o w i e przykładają maść sporządzoną z żywicy, wosku pszczelnego i oliwy biorąc z każdego składnika po 5 dkg. A jest nawet liszaj, tzw. *swystun,* którego zaczepiać, a nie tak leczyć, nie wolno, bo byłoby jeszcze gorzej.

C z y r a k ó w (*furunculus, carbunculus, abscessus*) w stadium tworzenia się, a zwłaszcza na twarzy, pozbyć się można przez silne naciśnięcie paznokciem na krzyż, przy czym należy mówić:

także nie miał się gdzie zrobić? Gdy czyrak większy, żeby prędzej *nabrał i pękł*, robią okłady z kiszonej kapusty, przykładają cebulę przekrojoną na pół i przypieczoną na płycie kuchennej, cebulę siekaną zmieszaną z mydłem, świeży i jeszcze gorący kał krowi, lub plaster domowej roboty, który jest rodzajem rzadkiego ciasta, zamieszonego z mąki żytniej na oliwie, z dodaniem żółtka kurzego jaja i drobiny miodu. Plaster taki doskonale wyciąga i przyspiesza pękanie i wyciek czyraków. Gdy czyrak pęknie *musowo należy go wydusić*, ale tak gruntownie, by koniecznie *korzeń, rdzeń, stryżiń* jego wyszedł, bo w przeciwnym razie czyrak się odnowi. Duszą go więc brudnymi palcami z całych sił i w rezultacie często zakażają ranę brudem. Krew czyraka czarna, lub z *materią* jest zaraźliwa i u drugiego czyraki może wywołać, czerwona nic nie szkodzi. Po wyduszeniu więc czyraka, gdy czerwona krew ich palce umaże, nawet rąk nie myją. Na czyraki i w ogóle wypryski *zaognione* przykładają dla ochłody i przyśpieszenia pęknięcia liście babki (*Plantago maior*), w formie okładu sparzone łodygi rzepienia pospolitego (t. zw. *łobody*, *Xanthium strumarium*), lub grzyb borowik (*Boletus edulis*) suszony i ugotowany w mleku słodkim.

Przy czyrakach i wrzodach przykładają struganą korę lipową, parzoną w słodkiej śmietance. Wszystkie *pryszcze* goją smarując je na noc słodką śmietanką, bądź niesolonym masłem, a o ile wypryski pojawiają się na twarzy, dodatkowo wewnętrznie podają odwar z polnych bratków do picia. Tzw. *wągry* (*commedones*), tj. zapalenie gruczołów łojowych, mają powstawać z używania ostrych potraw. Leczy się je przez zaprzestanie na pewien okres jedzenia cebuli, czosnku, rzodkwi, pieprzu, barszczu i kapusty. Aby wrzodów nie było i by nogi nie bolały, dobrze jest w czasie wieczerzy wigilijnej na Boże Narodzenie oprzeć nogi na żelazie.

P a r c h y *słody* (*favus*) powstają na głowie, gdy ktoś dotknie człowieka *paskudną ręką*, całego obsypie, gdy *wstąpił na paskudne miejsce*. Doskonałym lekiem na parchy jest smarowanie odwarem *czemeryci* (ciemierzyca - *Helleborus albus*), lub kwasem kapusty kiszonej (*Brassica oleracea*, C z y s t o p a d y). Okładają również parchy, podobnie jak przy liszaju, korzeniami szczawiu końskiego, moczonymi w moczu ludzkim. Smarowanie się żółtkiem z kruczego jaja bardzo wysoko cenią Żydzi, którzy najczęściej na parchy

zapadają. Stąd pochodzi powszechna tutaj nazwa Żyda, *parch*. Zamiast jaja kruczego, można użyć wronie.

Strupy na głowie zalewają gorącym smalcem, smarują naftą, dziegciem *(mazią)*, tranem i wywarem trędownika pospolitego (*Scrophularia nodosa*).

Wilk (toczeń skóry, *lupus vulgaris*) zwie się tutaj *upartym liszajem*. W Mszańcu leczą go okładami sporządzonymi z gotowanego lub roztartego majowego rozchodnika, zmieszanego z masłem, świeżą śmietanką, lub tłustym mlekiem. W Trościańcu natomiast gotują korę olszyny ze śmietanką i to przykładają. Gdy liszaj dawny, to używają starej olszyny, a gdy świeży, to młodej.

Brodawki twz. *kurzawki*, *kurzedupki*, (*naevi pilosi, verrucae, molusci*) powstają albo na skutek zapatrzenia się ciężarnej[1]), albo powstanie ich wiąże się z *roślinami i zwierzętami duchowymi*. Dostaje więc brodawek ten, kto bosy przeszedł miejsce, gdzie koń się tarzał, podobnie jak przy liszajach, kto jako dziecko gniótł lub w ogóle zbierał jagody wilczego łyka (*Daphne Mezereum*), kto umył się w wodzie wyplutej przez żabę, lub kogo osikała schwytana żaba. Brodawki są zaraźliwe i przenoszą się na drugich przez zetknięcie, potarcie, podanie ręki, zwłaszcza wtedy, gdy są rozdrapane i krwawiące.

Gubi je sok z ostromlecza (*Euphorbia pilosa*), sok z jaskółczego ziela (*Chelidonium maius*) oraz sok *ślepoty* (mniszek lekarski - *Taraxacum offic.*). Należy jednak wpierw brodawki rozdrapać, a potem dopiero smarować którymś ze soków. Przy jaskółczym zielu należy ponadto posmarowane brodawki okładać jego liśćmi. Dalej gubią brodawki przez podwiązywanie włosieniem końskim (najlepiej z ogona), lub *ochlapanie woskiem* ze świecy, która paliła się w czasie pogrzebu. W tym ostatnim wypadku mają znikać bardzo szybko (Czystopady). Są również w użyciu środki sympatyczne. Należy więc tyle ziaren grochu (*Pisum sativum*), ile dany osobnik ma brodawek, wrzucić do studni i natychmiast tak szybko uciekać, by nie słyszeć uderzenia ziarnek o wodę; albo wziąć tyleż ziaren grochu, toczyć je dokoła brodawek i zakopać pod *skap* dachu (miejsce, na które ze strzechy spływa woda deszczowa), a *wszystkie brodawki przepadną*,

---

[1]) „Die Entstehung der Naevi wird vielfach im Volke durch das Versehen der Schwangeren erklärt. Inwiefern diese Meinung begründet ist unaufgeklärt, wenn es auch Aerzte gibt, welche dieser Meinung huldigen". Wolff Stuttgart 1923. Podręcznik chorób skórnych.

jakby ręką odjął (Gaje za Rudą). Można też porachowawszy brodawki nawiązać tyleż guzków na sznurku i zakopać go pod *skapem* chaty, a w miarę tego, jak guzki będą gnić i rozpadać się, będą odpadać również brodawki (Założce), lub policzywszy brodawki napisać ich liczbę na kartce i wrzucić ją w ogień palący się w piecu. (Założce). W obu tych wypadkach mamy przejście choroby na sznurek, czy kartkę, która wraz z ich zniszczeniem znika sama. Można również do paleniska w piecu rzucić tyle ziarnek prosa, ile jest brodawek, ale rzucając poza siebie, tj. nie patrząc na ogień i mówić równocześnie: *zgińcie, przepadnijcie.* Gdy przy jedzeniu spadnie kawałeczek chleba od ust na ziemię, podejmują go i okrążają nim brodawki, które *stracą się.* Twarz i ręce, na których są brodawki dobrze jest obmywać wodą, którą zmywano świeży chleb po wyjęciu z pieca, po czym wodę tę należy z powrotem wlać do pieca. Woda wyparuje razem z brodawkami, które przeszły na nią.

Róża (*erysipelas*) jest bardzo dobrze naszemu ludowi znana i bardzo rozpowszechniona. Wedle wierzenia, najczęściej powstaje ona *z zalęknięcia się.* Gdy pokaże się, to miejsca przez nią zajętego nie pozwalają obmyć wodą, boby się *zastudziła,* a wtedy powstałyby rany jątrzące się i gnijące. Róży w ogóle wodą moczyć nie wolno, bo ona się wtedy *sprzeciwi.* Natomiast można ją obmywać wódką, albo własnym moczem. Róża może być zresztą różnogatunkowa *sucha i pęcherzowata i wiatrowa i wodna i wędrująca,* zależnie od zewnętrznego wyglądu, bólów z nią związanych, no i rzekomej przyczyny powstania. *Suchą* nazywają tę różę, która łamie po kościach, *wiatrową* tę, która powstała z wiatru, a po zamówieniu zaraz znika, *wędrującą* tę, która przerzuca się z miejsca na miejsce, *pęcherzowata* daje pęcherze później ropiejące.

Różę leczy się zbrzydzeniem, spalaniem, zamawianiem i środkami sympatycznymi. Zbrzydzić można ją przez posmarowanie *smarklami,* własnym kałem (rzadko używane), lub świeżym, jeszcze ciepłym kałem krowim. Ten ostatni środek jest najczęściej w użyciu. Przed spaleniem owijają różę albo *sinym papierem* (jakim pakowano przed wojną głowy cukru), albo i to w 99% czerwoną szmatą, jednak posypawszy wpierw chore miejsce miałką kredą, albo przyłożywszy liście ćwikłowego buraka, ewentualnie owijają workiem z mąki świeżo z młyna przywiezionym. Ale wszystko to robi się tylko do chwili nadejścia doświadczonej *baby,* zna-

chorki, która najpewniej i najszybciej leczy różę przez *spalanie*, przed którym zazwyczaj odbywa się zamawianie przez *szepetuchę*. Chore miejsce otacza znachorka dokoła obrączką ślubną, lub opisuje je kredą poświęcaną w dzień Trzech Króli, przy czym mówi: *Ja słuha Bożyj (Boża) pryzywaju w pomicz Matińku Bożu. Maty Boża Poczajewska, Kochawińska, Podkaminecka, Ratyska, Załozecka! stań myni do pomoczy na ratunok z łasky swojij i z Duchom Światym!*

Różeczko, panieneczko!
wże sia ty biłoho tiła nakruszyła,
żowtoji kosty nałomyła,
czerwonoji krowy napyła,
synych żył nassała.
Idy sobi duby krutyty
na lisy, na bory, bołota, oczereta,
rizstajniji dorohy.
Wyjdy zi słuhy Bożoho,
chryszczenoho (np.) Iwana,
a wsi świati pomożit meni![1]

Po wypowiedzeniu szeptem tych słów zamawiająca dmucha trzy razy na miejsce różą zajęte i odmawia trzy Ojcze Nasz i trzy Zdrowaś. Przy zamawianiu — jak widzimy — ma zastosowanie magiczne koło i występuje pomoc świętych. Czasem na zamawianiu kończy się leczenie. Przeważnie jednak zaraz po zamówieniu przystępuje *szepetucha* do *spalania róży*. Chore miejsce przykrywa ona czerwoną szmatą, a na niej rozmieszcza trzy razy po dziewięć kuleczek z przędziwa lnianego lub konopnego. Używa ona do tego *kłaków* maczanych w spirytusie. Na gałeczki te skrobie kredę poświęcaną w dzień Trzech Króli, po czym zapala je po kolei, a pozostały popiół zdmuchuje. Czerwona szmata ma przedstawiać różę zupełnie bierną, która pod wpływem ognia więdnie i zamiera. Jak płomień trawi cały szereg kuleczek lnianych, tak i róża spłonie. Czasem zapali się przy tym i czerwona szmata. Jest to złym znakiem; róża wtedy daje poznać, że jest uparta i długo będzie się trzymać chorego. Rozumie się, że spalanie róży wtedy daje dobry rezultat, gdy *dech* spalającego jest dobry. Gdy róża pojawia się na twarzy, spalają ją albo w podany sposób, albo nakrywszy twarz czerwoną szmatą i położywszy tylko dziewięć kuleczek z kłaków rzucają je do ognia licząc na odwrót: *nie dziewięć, osiem — nie osiem... jeden — nie jeden, żaden*. Zmniejsza się róża wraz ze zmniejszaniem się ilości gałeczek, aż znika zupełnie. Na miejscu zajętym przez nią można również palić czerwone płatki kwiatowe lub liście róży czerwonej. Po spaleniu zawsze należy jeszcze miejsce spalania nakryć

[1]) Podobne zamawianie przytacza Kolberg: Chełmszczyzna.

czerwoną szmatą. Niekiedy znachorki po zamówieniu i spaleniu róży dają jakieś ziele, które każą mieszać z płatkami róż i podawać choremu do picia w odwarze. Jednakowoż należy przy tym codziennie używać płatków róż innego gatunku lub koloru, a więc dzikiej, cukrowej, ogrodowych: czerwonej, żółtej, białej itd.

Zadzierki (*ragades*) są nieodłączną ozdobą palców chłopskich. Oczywiście przy ciężkiej pracy i zupełnym niepielęgnowaniu rąk bardzo o nie łatwo. Dostaje je każdy, kto idzie z moczem do drewutni, kto zgartuje śmiecie z ławki miotłą, kto nosi cośkolwiek za pazuchą i ten, kto chleba nie kraje, tylko łamie. Aby się ich pozbyć, powinien dotknięty nimi osobnik grzbietem ręki (a nie dłonią) podgarnąć od siebie ku piecowi popiół po wsadzeniu chleba. Zadzierki będą się trzymały przez cały rok tego, kto w dzień wigilijny kosztuje strawę palcami.

Krostę, ochotnicę, tj. świerzb (*scabies*) wywołuje maleńki robaczek tej nazwy. Gdy się ona tylko w jakim domu ukaże, bynajmniej tego nie tają, ale przeciwnie głoszą o tym powszechnie, bo zatajona *krosta* trwałaby nawet przez siedem lat, a rozgłaszana przejdzie do tych, którym się o niej opowiada. Ale jeszcze lepiej nie opowiadać o chorobie, bo słuchający może czar zniweczyć, tylko biegając po ulicy, dokoła domu i po podwórzu krzyczeć w niebogłosy, jakby się paliło: *u nas jest krosta*. Jeśli ktoś krzykiem zwabiony, z ciekawości przyjdzie zapytać się o szczegóły, *krosta* dom nawiedzony zaraz opuści, a przeniesie się do domu pytającego. To ogłaszanie choroby ma zastosowanie nie tylko przy świerzbie, ale i przy innych uporczywych chorobach (Załoźce). Jeżeli tym magicznym sposobem *krosty* pozbyć się nie można, to albo smarują cierpiącego zwyczajnym dziegciem *(mazią)* do smarowania osi, albo nacierają go mieszaniną sinego kamienia (siarczek miedzi), siarki i smalcu, lub podobnie jak przy parchach wywarem ciemierzycy, kwasem z kiszonej kapusty, lub kąpią w wywarze *kobylaka* (szczaw koński). Jednak już coraz częściej wchodzi w użycie apteczna maść Wilkinsohna. Rozumie się, że leczenie polega na jednorazowym dokładnym nasmarowaniu się, po którym następuje kąpiel, lub dokładne zmycie się kończące kurację.

Wszy, tzw. *nędza, kuska* (*pediculosis*), które są nawet i teraz jeszcze dość częste u wieśniaków, bo ci *nie mają czasu na zajęcie się sobą mając na głowie tyle roboty*, zwiększają oczywiście szereg zdrapań i wyprysków, a w następstwie tych ilość

schorzeń skóry. Lud nie rozróżnia wszy głowowej, odzieżowej i łonowej, tylko dzieli je na duże i małe. Powstają one z zadania przez czarownicę, lub jako kara za grzechy. Stale żyją w ukryciu pod skórą i tam się rozmnażają, a dopiero na skutek złej woli czarownicy wydostają się na zewnątrz. Kto w niedzielę w świeżej i czystej bieliźnie szuka za wszami, mieć je będzie (kara Boża). Gdy babie pierzącej bieliznę życzy się *szczęść Boże*, w bieliźnie będą wszy. Szukający za nimi w głowie winien szukać *na prawej i lewej połowie głowy*, bo inaczej zabłądziłby łatwo i to gdziekolwiek. Jeśli chory, zwłaszcza z otwartymi ranami ma umrzeć, to wtedy w ranach ukazują się masowo wszy.

Aby się wszy pozbyć, nacierają się naftą (*kamfiną*). Najczęściej dotyczy to głowy, ale nieraz i całego ciała. Czasem kupują szarą maść w aptece i nią się nacierają, ale nie zmieniają przy tym bielizny, ani się nie kąpią, ani nie przepatrzą kożuchów, czy szmat, którymi się okrywają.

Na pluskwy gotują świeże łupki z ogórków i tym zalewają ściany i sprzęty.

W zakończeniu rozdziału o skórze omówię w ł o s y, ozdobę zwłaszcza płci nadobnej, a przede wszystkim dziewcząt. Choroby bowiem włosów ważną rolę odgrywają w medycynie ludowej. Dawniej wszystkie dziewczęta wiejskie marzyły o bardzo długich i bardzo grubych warkoczach (*kosach*), dlatego też tradycja ludowa przekazała nam cały szereg przepisów i zabobonów dotyczących ich pielęgnacji. Obecnie w mieście warkocze widuje się wyjątkowo, gdyż już najmniejszym nawet dziewczętom obcinają włosy robiąc *chłopczęcego aniołka z kręconymi lokami*. Na wsi jednak jeszcze walczy stara tradycja z nowinkami mody. Tam jeszcze widać splecione *kosy* obok obciętych włosów z falą loczków, zwijanych na papierkach wydartych ze zeszytów szkolnych. Na wsi są też włosy w każdym wypadku w poszanowaniu, a gdy zaczynają wypadać towarzyszą temu zgryzota i zmartwienie.

Aby zapobiec wypadaniu włosów, kobiety myją głowy w odwarze pokrzywy, żeby zaś pięknie rosły, w czasie pierwszego deszczu majowego odkrywają głowy, *włosy bowiem będą tak pięknie rosły, jak trawa po wiosennym deszczu, a przy tym i głowa nie będzie bolała, no i wszy w niej się nie zamnożą.* W tym samym celu myją głowę w odwarze korzenia *łopucha* (*Lappa maior*), łodygi i kwiatu rumianku, w kwasie buraczanym

(barszczu), w kwasie kiszonej kapusty, w odwarze konopi (co jednocześnie zapobiega bólowi głowy), w korzeniach chmielu (*Humulus lupulus*), w wodzie z rozbitym w niej żółtkiem, w serwatce, w odwarze ziela zwanego *kosyci Matery Bożoji* (traganek szerokolistny-*Astragalus glycyphyllos*), gdy chodzi o to, by włosy były tak długie, jak pędy tej rośliny. Żeby zaś włosy pięknie się kręciły , myją je w wodzie z piwem lub w samym piwie. Puszystość i jedwabistą miękość nadaje im obmywanie w deszczówce; zwłaszcza deszczówka marcowa ma być szczególnie skuteczna.

Wyróżnia się wśród leków tzw. *linowysko,* zrzucona skóra węża (najczęściej zaskrońca), którą tłuką na proch i gotują w wodzie. Mycie w niej głowy ma być środkiem niezawodnym, jednakże równocześnie bardzo niebezpiecznym. Włosy rosną wtedy tak bujnie i tak szybko, że formalnie duszą ich właścicielkę. Wedle opowieści była tu taka dziewczyna, która przez *linowysko* zamiast zadowolenia znalazła nieszczęście. Włosy rosły jej tak potężnie, że codziennie wieczorem musiała je obcinać aż do skóry, a mimo to rano już znowu sięgały do samej ziemi, a wiły się przy tym niczym kłębowisko wężowe. Jednego wieczora dziewczyna czy bardzo zmęczona, czy może nie bardzo zdrowa zapomniała o obcięciu włosów. Rano znaleziono ją martwą z ogromnym splotem włosów, okręconych dokoła szyi w kilku śmiertelnych pierścieniach. Tak to ukarana została płocha dziewczyna za pragnienie niezgodne z wolą Bożą, bo Bóg *jakim kogo stworzył, takim go chce widzieć i mieć.*

Ale wierzenie o karze Boskiej nie odstrasza dziewcząt rozmiłowanych w pięknych włosach. Każdego miesiąca w piątek po nowiu obcinają one włosy na samym końcu warkoczów, a obcięte kosmyki noszą za pasem od spódnicy tak długo, dopóki ich przypadkowo nie zgubią. Chcą w ten sposób zaznaczyć, że włosy ich powinny sięgać poniżej stanu. Pierwszy raz w ten sposób podcięte włosy wsadza się do strzechy, by były tak gęste, jak strzecha.

Szkodzi porostowi włosów łupież. Aby więc nie mieć tzw. *parpli,* należy nowym grzebieniem czesać wpierw kota, lub psa, a potem dopiero własną głowę. Włosy wtedy będą tak gęste, jak u kota, czy psa, a zarazem wolne od łupieżu, bo tego ani kot, ani pies nie mają.

CHOROBY CHIRURGICZNE

Chirurgia to z pewnością najstarsza gałąź lecznictwa ludowego. Dawniej było też niewątpliwie więcej nieszczęśliwych wypadków niż dziś. Jak ongiś tak i dziś na złamane lub zwichnięte członki robi się okład lub przykłada maść z żywokostu *(Symphytum officinale)*, zwanego też w okolicy *zrostem*. Lud uważa, że roślina ta jest szczególnie pożyteczna w takich cierpieniach, ona bowiem żywi kości i powoduje ich zrost. Najczęściej złamania i zwichnięcia dają składać i zestawiać dobrze znanym z tej umiejętności w całej okolicy włościanom nazwiskiem Krompiec, w potocznej mowie zwanym Kromciami. Jeden z nich Jan w Milnie, a drugi jego syn Paweł w Palikrowach słynęli do niedawna szeroko z tej sztuki. Obecnie ich synowie dalej prowadzą pracę swych ojców. Po nastawieniu złamanej kości i unieruchomieniu jej, zalewają chore miejsca wyskokiem (95%).

Na stłuczenia stawów wieśniacy przykładają rzepień pospolity (*Xanthium strumarium*) parząc wpierw jego łodygi. Na guzy powstałe z urazu (upadek, stłuczenie, uderzenie) przykładają zimne żelazo, a więc nóż, siekierę, klucz, zależnie od tego, co *w rękę popadnie*. Przyłożenie bowiem żelaza zaraz po stłuczeniu nie dopuszcza do powstania, a w każdym razie powiększenia się obrzęku. Gdy żelaza chwilowo nie można znaleźć, dobrze jest oddać mocz na szmatę i tym stłuczone miejsce obwinąć.

Na obrzęki, *opuchnięcia* przykładają liście osiki, miazgę z krwawnika, lub jałowiec gotowany. A jeżeli obrzęk powinien zropieć, celem przyspieszenia tego procesu przykładają plaster z mąki pszennej, śmietany i miodu, albo mocz własny z gliną (Reniów), lub listki kapusty gotowane w mleku słodkim (Trościaniec), tarty len (siemię) gotowany z mlekiem (Milno, Olejów, Reniów, Trościaniec), bułkę rozgotowaną w mleku (ogólne) jednocześnie obwijając z wierzchu każdy obrzęk ciepłą chustą, często czarną wełną owczą, albo skórą króliczą, psią, czy kożuchem, by dobrze go wygrzać. Czarna wełna to specjalność Zwyżynia i Batkowa. Dla przytrzymania owijają ją jeszcze czarną chustką włóczkową. Obrzęki powstałe po zwichnięciu leczą przykładaniem gorącej kaszy jęczmiennej.

Zagniecica, zanokcica (zastrzał-*panaritium*) powstaje przez zakłucie palca igłą. Gdy więc ktoś z ludu zakłuje się, wysysa

zaraz krew z ranki, żeby *coś brudnego nie zaszło,* a wtedy już nic się *człowiekowi nie stanie.* Gdy jednak ktoś zakłucie zbagatelizuje, *bo co tam, czy raz człowiek się zakłuje,* a skutkiem tego zaczyna *ciągnąć i rwać,* to najlepiej zaraz przerwać obieranie mocząc palec parokrotnie po ćwierć godziny w *kipiątku* (czystej wrzącej wodzie, odstawionej wprost z ognia), a jeszcze lepiej w gorącym odwarze rumianku, bo zaparzona *zagniecica* nie obiera. Gdy jednak ktoś nawet na *rwanie* nie zwracał uwagi, a tymczasem palec zaczyna czerwienieć, puchnąć i obierać, to najlepiej przyspieszyć proces zropienia przykładając kał ludzki (ogólne), zaś ból uśmierzać przykładaniem jaskółczego ziela. Dobrze też robi tak zw. *ciepły grzybek.* Sporządza się go w ten sposób, że na ciepłą serwatkę leje się słodkie mleko, które wnet kiśnie i daje rodzaj ciągnącego się kleju (ogólne). Przykładają także skrobaną surową marchew zmieszaną ze solą, a gdy to tak mocno ciągnie, że trudno wytrzymać, to zamiast soli dodaje się do marchwi cukru.

Gorzej, gdy tworzy się włókno, które ciągnie i boli przez kilka tygodni, czasem nawet miesięcy, a palec wtedy już nie podobny do siebie: skrzywiony, albo zrośnięty. Na włókno tylko przykładanie tłuszczu z jeża lub kału własnego jest skuteczne.

Palca obierającego nigdy nie pozwolą przeciąć, gdyż to nie tylko nie uzdrowiłoby go, lecz nawet pogorszyłoby sprawę. Można tylko przekłuć ropień, gdy już dobrze nabierze, bo jak z zakłucia się zrobił, tak przekłuciem tylko można go leczyć. Czekają więc cierpliwie, dopóki palec dobrze nie obierze i dopiero wtedy odważniejsi przekłuwają go, ale tchórzliwsi czekają, aż sam pęknie. Bardzo już rzadko, ale jeszcze zdarza się, że zagniecicę ścinają baby znachorki szepcąc przy tym zaklęcia i wymachując sierpem lub nożem w powietrzu.

Podbój, pidbij (ropowica-*phlegmona*) zrobi się temu, kto bosą nogą stanie na gąsienicę zwaną *podbojem* (gąsienica prządki pierścienicy), kto w dzień wigilijny Bożego Narodzenia tłucze coś na stępie, zbija sople lodowe z dachu, lub miele na żarnach, jak również i temu, kto stanie od stołu w czasie wieczerzy wigilijnej przed jej końcem. Ten ostatni będzie ponadto *słabowity na nogi* przez cały rok. Podbój leczy się przez zapuszczanie soku ostromlecza, przez okładanie świeżym łajnem krowim, albo pokrzywą żegawką, ewentualnie gliną z octem. Na ropowice czy to na stopach, czy gdzie indziej przykładają świeże jelita

zwierzęce *(flaki)*, bo te mają najlepiej ciągnąć zarazem nie sprawiając bólu.

Pęcherze, michuri, pichuri z oparzenia, odparzenia, czy odmrożenia występują u ludu dość często. Najczęściej trafiają się u dzieci, bo te chowają się bez nadzoru i wymyślają sobie zabawy nieraz fatalnie się dla nich kończące. Pęcherze odparzone na nogach butami podczas marszu leczą przykładaniem pokrzywy zwyczajnej i żegawki. Żeby ich nie dostać, już przed wyruszeniem w dalszą drogę nakładają zapobiegawczo między podeszwę nogi i buta liście pokrzywy. Pęcherza ani nie przekłuwają, ani nie nacinają, tylko chodzą z nim tak długo, aż się zresorbuje całkowicie, *aż sam nie przyschnie, albo sam się nie zedrze.* Gdy nogi swędzą i potnieją, ze strachu przed pęcherzami moczą je w zwyczajnej wodzie, lub kąpią w odwarze suchego gnoju końskiego, suchych dębowych liści i moczu ludzkiego zagotowanych razem. Odmrożenia leczą przez nacieranie śniegiem, a później zimne kąpiele wodne. Odmrożone nogi moczą we własnym moczu, lub robią na nie okłady ze szmat namoczonych we własnym moczu. Rany powstałe z odparzenia przez buty, lub odmrożenie leczą słodką śmietanką, niesolonym masłem, zajęczym smalcem *(skromem)*, olejem lnianym lub konopnym. Przy oparzeniach gorącymi płynami również nie zdejmują pęcherzy, tylko miejsce sparzone lub spieczone posypują solą kuchenną, skrobaną kredą i smarują potem olejem lnianym lub konopnym, oliwą, niesolonym masłem, słodką śmietanką, mydłem samym, lub pomieszanym z atramentem, względnie samym atramentem.

Wszelkie r a n y kłute, cięte, czy darte wysysają, by je odkazić, po czym dopiero zalewają wódką, *która czyści, a zarazem tamuje krew płynącą z rany.* Na rany cięte przykładają liście z babki (*Plantago maior*), cięte i darte zasypują proszkiem z dojrzałej purchawki (bedłka kółkowa-*Lycoperdon bovista*). Na ranę powierzchowną, gdy ta się jątrzy, prawie każdy liść zielony jest dobry, gdyż zimny liść *wyciąga gorączkę z rany.* Przykładają więc liście kapusty, kartofli, buraka, czereśni, wiśni, włoskiego orzecha, podbiału, pokrzywy, żegawki itp., czasem cebulę krajaną w plasterki, a gdy rana bardzo uporczywie się jątrzy, to świeży kał krowi. Poza tym rany zasypuje się startym na proszek korzeniem ciemierzycy białej lub czarnej (*Helleborus i Veratrum*). Robi się to również i u bydła, gdy w ranach po-

każą się robaki. Znakomicie leczą się rany pod listkami lilii białej (*Lilium candidum*) moczonymi w oliwie, *skromem zajęczym* lub starym sadłem, a już szczyt działania i mocy leczniczej posiadają słonina lub tłuste mięso przechowywane od *święconego*, tj. od Wielkiejnocy. Wystarczy tym ranę posmarować, a *goi się jak na psie*. Tego cudownego środka używa się też i przy ranach bydła. Niemniej szybko rana się goi, gdy poliże ją pies. Wszelkie rany obwija się szmatką ze starej bielizny, pod którą kładzie się liść zielony, a w zimie bibułkę od papierosów, lub papier z zeszytu szkolnego, żeby zapobiec przyklejeniu się opatrunku do rany. Aby rana goiła się szybko, mówią: *niech przyschnie jak na psie*. T. zw. *dzikie mięso* (granulacje) na zanieczyszczonej ranie zasypują cukrem.

Garb na plecach dostaje ten, komu tuż poza plecyma podaje się bochenek chleba drugiemu. Komu się je za plecyma, temu zabiera się siłę.

Martwa kostka (guz twardy, kostniak-*osteoma*, chrzęstniak-*chondroma*, czasem włókniak-*fibroma*, lub nawet w stadium początkowym kaszak) robi się na kości sama ze siebie, jak mówią, *z dobrej woli*. Usunąć ją łatwo przez codzienne nacieranie kością umarłego, *aż się rozejdzie*.

Gdy *ręka się rozejdzie* (zapalenie ścięgna lub pochewki ścięgnistej, *tendovaginitis*), leczą ją podwiązaniem przegubu (nadgarstka) czerwoną tasiemką lub wstążką.

Najpospolitszą chorobą mięśniową, stawową, czy kostną jest *rumatys* (gościec-*rheumatismus musculorum, articulorum*). Czepia się on każdego, kto pracuje bez względu na pogodę i porę dnia. Deszcz bowiem, wilgoć i chłód nocy włażą w człowieka, a potem dokuczają. Chorzy na gościec udają się do lasu, wstępują w mrowisko, najlepiej tz. *kowali (formica rufa)* i pozwalają się dobrze *pokąsać*, albo idą do pasieki i drażnią pszczoły, dopóki te ich dobrze nie potną. Czasami z obawy przed mrówkami, zamiast włazić w mrowisko, wkładają do niego swoją koszulę i płócienne spodnie, a po pewnym czasie wytrzepawszy je z mrówek ubierają i noszą przepojone kwasem mrówkowym. Środek ten jednakże jest rzadziej używany, gdyż nie każdy odważy się pozostawić swoją bieliznę w mrowisku z obawy przed kradzieżą. Obok tego stosowane są nacierania nalewką z wódki, w której się moczyły chrabąszcze majowe, wódką zwyczajną, a nawet spirytusem skażonym, parzoną po-

krzywą zwykłą i żegawką, wódką, w której się moczyły lilie białe, pierwsze rozkwitnięte kwiaty kasztana dzikiego, lub smarowania mieszaniną kwiatów i owoców kasztana, jaskółczego ziela, szpilek sosnowych i jodłowych. W Założcach, Milnie i Reniowie używają kąpieli wrzosowych *(Calluna vulgaris)*.

Na łamanie w kościach zwłaszcza starsi biorą kąpiel z *czornobylu* (bylica posp.), lub zażywają majowe kwiaty sosny moczone w spirytusie, wcierają maść rozchodnikową czystą lub mieszając ją z lulkiem, piją odwar z wierzby, szmatką namoczoną w soli nacierają bolące miejsca, po czym przykładają potłuczoną pokrzywę (Gaje Roztockie), albo moczą nogi w gotowanym żywokoście. Jeśli w *rumatyzmie* brzękną kończyny w stawach (*polyarthritis acuta*), lub wystąpią darcia w tych miejscach, przewiązują je tasiemką, którą były związane wianki w czasie święcenia w oktawę Bożego Ciała. By krzyże nie bolały przez cały rok, przewiązują się w czasie żniw pierwszym *przewiosłem* (powrósło) i chodzą tak do wieczora. Kto zobaczy pierwszego bociana na wiosnę w locie, tego nic przez cały rok boleć nie będzie, kto natomiast ujrzy bociana stojącego na jednej nodze, ta, na której bocian stoi, będzie mu dokuczać, kto stojącego na obu nogach, będzie cierpieć przez cały rok na obie nogi.

Wrzody gichtowe (*arthritis uratica*, skaza moczanowa) nie są częste u ludu, a leczą je przykładaniem liści podbiału (*Tussilago farfara*) i olszyny czarnej (*Alnus glutinosa*). Zabieg ten stosuje się przy długo jątrzących się i uporczywych owrzodzeniach w ogóle. Poza nim robią naparzania wrzucając do kąpieli rozżarzone cegły i kamienie.

Na przepuklinę pachwinową (*hernia inguinalis*) przykładają okład z gorącego mleka.

Rak (*carcinoma*) leczy się przez nacieranie rączką zmarłego dziecka, lub sympatycznie smarując maścią zrobioną z suszonych żywcem raków, sproszkowanych następnie i pomieszanych z tłuszczem. Gdy rak w rozpadzie, zasypują ranę miałkim cukrem. Rak powstaje — wedle wierzenia — z ukąszenia przez muchę, która siedziała i pasła się na zdechłym raku.

Ukąszenia węża, pszczoły, osy, szerszenia, wściekłego psa, to grupa ran przypadkowych, ale bynajmniej nierzadkich. Ukąszeń żmij w tutejszej okolicy obecnie prawie się nie spotyka. Dawniej, gdy były tu ogromne lasy pełne niedostępnych ostę-

pów, przytrafiały się one czasem. Wtedy zwyczajnie, wedle tradycji do dziś przechowanej, silnie krępowano lub podwiązywano członek ukąszony przez żmiję powyżej miejsca ukąszenia, by nie dopuścić krwi zatrutej do serca, ani obrzęku wyżej. Rany natomiast wysysano ustami wypluwając jad na ziemię, potem wypalano rozpalonym do czerwoności żelazem, a obrzęknięty członek okładano wilgotną, gliniastą ziemią, zmieszaną z własnym moczem. Zamiast wypalania stosowano też moczenie ran w kwaśnym mleku. Zdarzało się i tak, że do kwaśnego mleka w *hładuszczyku* wpuszczano kilka żab, a potem dopiero wkładano tam ukąszony przez żmiję członek. Żaby wysysały jad i ginęły, ale człowiek był zupełnie zdrów. Także znane jest tutaj wierzenie, że wąż po ukąszeniu człowieka lub zwierzęcia biegnie, jak może najszybciej, do wody źródlanej, aby się w niej oczyścić. Ukąszony nie powinien tracić czasu, tylko również spieszyć do najbliższego źródła. Jeżeli obmyje tam swą ranę, zanim wąż dopełznie, będzie zdrów, a wąż zdechnie. Gdy wąż ukąszonego wyprzedzi, to już nie ma dlań ratunku.

Węży przeważnie nie zabijają, bo, jak głosi tradycja, kto węża zabija, tego spotka wielkie nieszczęście. Skoro więc zobaczy się węża, należy go spokojnie ominąć, a on wtedy żadnej krzywdy nie uczyni. Zabitego węża należy pochować w ziemi, inaczej grad wybije zboże. Prawdopodobnie wierzenia te są zabytkiem odwiecznego kultu wężów. Wąż to w ogóle postać legendarna. Stąd pełno go w baśniach, legendach i opowieściach. Wedle przekonania ludu, żyje król wężów z koroną na głowie. Ktoby takiego złapał, albo choćby znalazł jego skórę zlenioną, wiedziałby, gdzie w ziemi jakie skarby ukryte i byłby najbogatszym człowiekiem na całym świecie. Mając zaś króla wężów w ręku wszystko by wiedział, wszystko umiał i rozumiał nawet, co zwierzęta mówią, a ptaki śpiewają. Znaną jest tu legenda o wężu, który miał swoje siedlisko w norze pod Szweda Kamieniem. Przed przeszło stu laty, kiedy to Andrzej Wolaniuk, ojciec Grzegorza, jako mały chłopiec pasał bydło, smok jakiś w postaci ogromnego węża miał tam swą kryjówkę. Dusił on bydło, połykał jałówki, cielęta i owce. W okolicy więc tego kamienia nie pasano bydła zupełnie omijając ją troskliwie. Gdy jednak wąż zauważył, że ludzie unikają tej okolicy i pozbawiają go smacznych kąsków, przeniósł swą siedzibą do lasu koło Bródka i tu prowadził dalej swój proceder. Lecz niebawem i ta okolica

opustoszała. A wąż wygłodzony i gniewny opuścił swoje legowisko i poszedł gdzieś w świat docierając najpierw do rzeczki Huk, która wpada do Seretu. Drogę swego pochodu aż do rzeczki wyznaczył on bardzo dokładnie wypalając z zemsty trawę na szerokości kilkunastu cm. Opowiadał mi o tym kościelny Feliks Wnuk, który zmarł przeżywszy ponad 70 lat w r. 1912, a dziać się to miało już za jego pamięci, gdy był małym chłopcem.

Na *ukąszenie* pszczoły, osy, szerszenia, najlepiej jest posmarować samo miejsce ukąszenia miodem, lub okładać je wilgotną, gliniastą ziemią samą, lub zmieszaną z własnym moczem. Przykładają również nóż, albo inne zimne żelazo, serwatkę, kwaśne mleko, liście kartoflane, kapusty, chrzanu itd., bo to wszystko wyciąga ból i zmniejsza puchliznę. Zresztą takimi drobnostkami mało się przejmują.

Ukąszenia psów mogą być obojętne lub szkodliwe. Jeżeli własny pies pokąsa kogoś z domowników, a pokąsany nie przestraszył się, to mało zwracają na to uwagi. Jeżeli się przeląkł, lub został pokąsany przez psa obcego, ale zdrowego, to starają się o wystrzyżenie pęczka sierści z jego głowy, by nią podkurzyć pokąsanego, a będzie wszystko dobrze. Gdy pies jest wściekły, lub o wściekliznę podejrzany, to, o ile rana z pokąsania jest na którejś z kończyn, podwiązują ją powyżej miejsca pokąsania, by choroby do serca nie dopuścić, podobnie jak przy ukąszeniu żmii, a ranę wypalają rozżarzonym do czerwoności miedzianym centem (dawna austriacka dwuhalerzówka), albo obmywają ją wywarem muchotrzewu (mokrzec biały-*Stellaria alsine media)*, z którego robią też okłady, albo zalewają wywarem ziela zwanego *zemlane serce, ziemne serce*[1]).

Wedle wierzeń ludowych — wściekliznę u psów powoduje długotrwały upał, który trapi specjalnie psy pozostające na uwięzi, nie mające możności schronienia się w cieniu i pozbawione wody do ugaszenia pragnienia. Również może się wściec pies stale uwiązany, który nie jest w stanie zaspokoić swoich fizjologicznych popędów. Pies wściekający się lub wściekły czuje

[1]) Autor nie podaje nazw naukowych ziół zwanych przez lud „zemlane serce“ i „szczerban“, patrz także str. 204 (143), ponieważ nie mógł ich jeszcze zdobyć i oznaczyć. Zaś wedle Melnyka: „Ukrajinśka nomenklatura wysszych rostyn“, Lwów 1922, „zemlane serce“ to Orchis morio, a „szczerban“ to Cirsium rivulare. (Przyp. red.).

wstręt do wody, na sam jej widok może dostać szału. I to ma być wedle ludu najważniejszy moment rozpoznawczy. Takiego psa należy zaraz zabić, by uchronić przed nieszczęściem sąsiadów. Pies bowiem wściekły, jakby ostatnim jakimś przebłyskiem świadomości czy instynktem powodowany, nigdy nie pokąsa domownika, ale zerwawszy się z uwięzi napadnie na obcych. Kto na oknie chaty kładzie chleb i sól, wyzywa sam nieszczęście, bo do takiej chaty najchętniej przylatuje wściekły pies.

Na karcie pożółkłej od starości posiadam miejscowy przepis na leczenie wścieklizny: *1) Skoro kto ukąszonym jest, powinien ziemię, piasek, proch, tytoń, lub co najprędzej mieć może wsypać na ranę, aby wyciągało truciznę. 2) Skoro się chorego do domu przyprowadzi, należy ranę czysto wymyć dobrym octem i przykładać ocet z masłem jednostajnie, aż do zagojenia rany. 3) Zarówno powinien on zażywać ocet piwny z masłem pół garnuszka cztery razy dziennie i to przez dwa tygodnie. Ale, gdy rany są wielkie, trzeba tę kurację przeprowadzać przez cztery tygodnie. 4) Przerzynanie żył jest tylko przy silnie krwistych osobach potrzebne, ale gdy to niemiłe wrażenie czyni, to wtenczas kąpieli i wszelkich innych operacji unikać. 5) Trzeba się początkowo strzec od jedzenia mięsa i odżywiać się tylko jarzynami. 6) Alkohol najbardziej jest szkodliwy. 7) Silne poruszanie członków, gniew, przestrach mogą w takim razie zabić na miejscu. 8) Silne poruszanie ciała, gorąco i promienie słońca są niebezpieczne. Trzeba się ich wystrzegać przez długi czas, nawet gdy się sądzi, że się jest już zdrowym.* Recepta ta widocznie pochodzi albo ze sfer mieszczańskich, albo drobnej szlachty, której dworki były rozsiane między mieszczańskimi domami. Nie posiada ona żadnej wartości leczniczej, podobnie jak tyle różnych talizmanów, które w postaci „włosów z czarnego kozła“, „nici maczanych w krwie kobiecej“, itp. zapełniały ongiś półki apteczne. I pomyśleć, że i dziś jeszcze to samo pokutuje w medycynie ludowej, gdy już przeszło pięćdziesiąt lat minęło od wiekopomnego odkrycia Pasteura, leczącego wściekliznę bez żadnego ale.

CHOROBY NARZĄDÓW ZMYSŁÓW

C h o r o b y o c z u: Zapalenie oczu powstaje — wedle wierzenia ludu — na skutek częstego bólu głowy, gdy rzęsa albo coś innego wpadnie w oko, gdy żaba, a zwłaszcza ropucha *(Buffo vulgaris Lam.)* napluje komu w oczy. W tym ostatnim wypadku powstaje bardzo ciężkie zapalenie, którego następstwem jest zazwyczaj ślepota. Ropucha

bowiem ma moc jakby nadprzyrodzoną, może wprost hypnotyzować ludzi. Sam choruje również ten, kto zbyt długo ogląda cudze chore oczy. Rozumie się, że wtedy palcami dotyka cudzych powiek i przenosi na nie zarazki chorobowe. Gdy nieboszczyk leży w chacie, albo gdy niosą trupa obok chaty, przez okno wyglądać, ani patrzeć nie wolno, bo oczy będą bolały. Kto stanie na śmiecie wyrzucone po zachodzie słońca, kto zatrze sobie oczy sokiem *ślepoty* (mniszek lekarski - *Taraxacum officinale*) dostanie *kurzej ślepoty* (*haemeralopia*). *Zaniewidzi* (oślepnie zupełnie) ten, komu na oczy spadnie kał jaskółki, komu łasica w oczy napluje, kto w południe patrzy wprost na słońce i ten, kto przez okno patrzy na błyskawice. Taką jest etiologia chorób ocznych w medycynie ludowej.

Wielkie znaczenie w życiu ma swędzenie oczu i jego pora: jeżeli rano prawe oko swędzi, będą łzy, jeżeli popołudniu, radość; jeżeli rano lewe oko swędzi, będzie radość, gdy popołudniu, smutek. Mówi się wtedy: *Oko prawe łzawe, oko lewe śmiewe* itd.

Leczenie oczu może być zapobiegawcze albo faktyczne. Aby uchronić oczy od bólu, myją je wieśniacy rosą zebraną przed wschodem słońca, albo wodą zaczerpniętą ze studzienek, czy źródełek cudownych również przed wschodem słońca i to najlepiej w niedzielę lub święto. Wczesne bowiem wstawanie w niedzielę czy święto, kiedy właśnie wieśniak może nieco dłużej poleżeć, stanowi z jego strony rodzaj ofiary, a tym samym musi się podobać Bogu. Źródełka cudowne biją tylko gdzieniegdzie. W Założcach jest ich parę nad Seretem w okolicy Glinisk, a niedaleko Uszni koło Białego Kamienia jest rzeka *Chowaniec* (Bug), z której ludzie załozieccy, wracający z milatyńskiego odpustu, przynoszą we flaszkach wodę leczącą oczy. Leczniczą wodę można znaleźć i w *kierniczkach*, do których spada ona wprost z nieba nie stykając się bezpośrednio z ziemią, a więc w jakichś wydrążeniach w głazach narzutowych, w których zbiera się woda deszczowa lub rosa. Żeby oczy nie bolały przez cały rok, należy je wiosną, gdy się ujrzy pierwszą jaskółkę, przemyć choćby śliną, jeżeli żadnej wody pod ręką nie ma. Znaczny wpływ ochronny przed bólem oczu ma noszenie złotych kolczyków, zwłaszcza *przy uderzaniu szkrofli (scrophulosis) na oczy*. Dlatego mężczyźni chorujący często na oczy noszą także w uchu kolczyk i to z tej strony, na które oko

częściej zapadają. Aby nie dostać *kurzej ślepoty*, każdy z wieśniaków musi zjeść kawałeczek poświęconej słoniny *i ciężkiej pieczonki* (wątroby). Kogo zaczynają oczy boleć, ten powinien zażywać tabakę.

Zapalenie oczu leczy się *zaszpuciem* (nagłym zapryśnięciem) oczu wódką, nabraną przez leczącego do ust, gdyż wódka dostawszy się do oczu przepala chorobę. Podobnie stosuje się *zadmuchnięcie* oczu sproszkowanym cukrem. A zakraplanie do oczu wódki, w której moczono płatki białej lilii, uważa się za środek znakomity. Im dłużej płatki moczyły się w wódce, tym lekarstwo to jest skuteczniejsze. Niemniej częstym środkiem jest przemywanie chorych oczu kwaśnym mlekiem, albo mlekiem z piersi karmiącej kobiety. Leczy się je także przez przykładanie na powieki listeczków z łodyg piwonii czerwonej, lub zapuszczaniem oczu sokiem jaskółczego ziela na wódce, przykładaniem gnoju krowiego, albo własnego kału w szmatce, bo to *dobrze ból z oczu wyciąga.* Pozostałą część kału wraz z garnkiem czy czerepem należy wyrzucić na rozstajne drogi lub pod płot, gdzie *bzina* (czarny bez) rośnie i szybko uciekać stamtąd nie oglądając się za siebie. Na oczy zapalone *zakısające* kładą krwawnik lub bławat polny, a Żydzi smarują je żółcią lub śliną pierworodnego syna, co należy zaliczyć do najpierwotniejszych środków w medycynie ludowej.

Przy zapaleniu spojówek, obrzęku i znacznym zaczerwienieniu zakraplają chore oczy kroplami miodu pszczelnego, a jeszcze chętniej trzmielowego. Na opuchnięte spojówki i powieki robią okład z parzonego kminu. Na *kaprawe oczy* (*blepharitis*) przykładają tłuszcz z przepiórki. Tak samo *smalcem* z zabitej przepiórki, albo tłuszczem żyjących w tutejszych wodach miętusów (*Lota vulgaris*) smarują *oko bolące,* gdy się na nim bielmo tworzy. Pod nazwą *bielmo* mieści się też katarakta *(zaćma).* Zapalenie rogówki z owrzodzeniem (*ulcus corneae*) leczy się przykładaniem *szlamówki* z jelit zwierzęcych.

Przy jaglicy (*trachoma*) kładą na ropiejące powieki okład z gałganków przepojonych własnym moczem, lub smarują powieki żółcią z ryby. Podobnie jak *rumatys,* doskonale ma leczyć jaglicę jad pszczeli. Schwytaną i trzymaną za skrzydełka pszczołę umieszczają na powiece i naciskają ją. Podrażniona w ten sposób pszczoła *puszcza żądło* w powiekę i wywołuje jej silny

obrzęk. Gdy spuchlina minie, powtarzają zabieg jeszcze ze trzy do czterech razów. Kuracja taka ma być zupełnie skuteczna.

Na ostre zapalenie oczu, a nawet na jaglicę, mam u siebie starą receptę od Leonci Strowskiej, którą otrzymała ona od pani Zalewskiej, matki poety. Brzmi ona następująco: „Witriol preparowany na koniec noża. Sześć białek na twardo ugotować i sok z nich wycisnąć przez płócienną szmatkę. Sok ten razem z witriolem rozmieszać. Smarować tym oko po kątach, potem całe oko i średnicę (źrenicę) przez kwadrans przy zamkniętych powiekach. Będzie wprawdzie bardzo piec, ale na to nie należy zważać, bo to zupełnie wyleczy. Strzec się ognia i słońca podczas kuracji".

Jeżeli dziecku coś wpadnie do oka, nie wolno mu tego wyjmować, tylko matka musi wylizać językiem. Gdy starszemu cokolwiek wpadnie do oka i skaleczy je, oko wylizuje kobieta (Reniów, Białogłowy). Gdy w oko wpadnie jakiś przedmiot nieostry, podnoszą w górę palcami górną powiekę i potrząsając nią mówią: *wyleć babko, dam ci jabłko,* albo podniósłszy powiekę lewą ręką spluwają trzy razy, a to co wpadło, samo wyleci.

Jęczmień (*hordeolum*) jest cierpieniem powiek u nas bardzo znanym i pospolitym. Chory na jęczmień bierze do ręki dziewięć ziaren jęczmiennych (*Hordeum vulgare*) i przeliczywszy je: *nie dziewięć — nie osiem, ...nie jeden — żaden* rzuca wszystkie równocześnie (niektórzy czynią to przez głowę) w ogień, a sam ucieka tak szybko, by nie słyszał trzasku palących się ziaren. Również jako lekarstwo służy przyłożona tarta surowa marchew (*Daucus carota*). Na chore oko starszej osoby powinien napluć jej pierworodny syn rano, zaraz po przebudzeniu się *(pierwszą śliną).* Powstawanie jęczmienia przerywają otaczając trzy razy złotą obrączką ślubną zaczerwienione i swędzące miejsce na powiekach. Czasami, ale rzadziej stosuje się tutaj następujące jakby zamawianie. Cierpiącego na jęczmień pyta ktoś drugi: *Masz jęczmień na oku?* Na to chory odpowiada: *Łżesz proroku.* Zdrowy po raz drugi zadaje to samo pytanie i otrzymuje tę samą odpowiedź. Za trzecim razem na pytanie *masz jęczmień na oku,* chory odpowiada *całuj mnie w d... proroku.* Obrażony w ten sposób jęczmień znika.

Niemniej niż jęczmień rozpowszechniona jest na wsi tzw. *kurza ślepota* (*haemeralopia*). Cierpienie to, wypływające

z niedożywiania się zwłaszcza tłuszczami, polega na tym, że chory równo z zapadającym zmrokiem albo nic nie widzi, albo bardzo mało, jak mówią *ślepnie razem z idącymi spać na banta kurami.* Aby się tej choroby pozbyć, najlepiej *sprzedać kurkę* drugiemu. Zazwyczaj udają się z tym do Żyda, jako chętnie kury kupującego. Sprzedawanie kurki odbywa się mniej więcej, bez większych zresztą odchyleń w ten sposób: *Moszku! kup sobie kurkę. — Nu, pokaży. — Mówię tobie bardzo ładna, tłusta, czarna. — Nu, deż ona? daj! — Czekaj, czekaj! zaraz poszukam. — Nu, a ile chcesz? — Osiem szóstek (80 gr.). — Nu, dobrze.* Parobek szczęśliwy, że już sprzedał kurkę chciwemu Moszkowi, niby to jeszcze czegoś szukając odchodzi z przekonaniem, że on już pozbył się choroby, a Moszko ją dostanie. Tymczasem Żyd orientuje się, co chciano mu sprzedać i klnie, co się zowie, choć daremnie, bo *kurka* została już sprzedana. Dialog powyższy jest autentyczny. Gdy się jednak *kurki sprzedać* nie uda, należy ugotować wątrobę, najlepiej z czarnego wołu. Garnek trzeba dobrze nakrywką przykryć, a gdy wątroba już się gotuje i kipi, odkrywszy garnek nachylić się nad wydobywającą się parą, przetrzeć sobie trzy razy oczy, zjeść trzy kawałeczki wątroby, napić się trzy razy rosołu z niej, a wreszcie trzy razy się umyć i obetrzeć połą *kitla* (bluzy z domowego płótna). Można też włożywszy chomąto z konia na szyję skakać przez trzy wieczory koło kurnika i klaszcząc w dłonie wołać: *Tobie skaczę czarnuszeczko, tobie czarnuszeczko skaczę.*

Choroby uszu począwszy od *rwania, strzykania, cieczenia* (ropne zapalenie ucha środkowego, *otitis suporativa*), aż do zupełnej głuchoty nie są rzadkie, bo wieśniak nasz, który tylko na niedzielę twarz umywa, uszy myje ledwie parę razy do roku. Przy kąpaniu się, gdy *daje nurka pod wodę,* zatyka je wraz z nosem, a wychodząc z kąpieli mokrych uszu nigdy nie wyciera. Gdy więc, z powodu tworzącej się woskowiny i brudu, gorzej słyszy, słomą żytnią lub kawałkiem patyczka wydłubuje sobie ucho często kalecząc się przy tym, lub zdrapując naskórek przewodu usznego. Gdy w uchu *strzyka,* wkłada doń w lecie świeże, w zimie suche listeczki *bożego drzewka (Arthemisia Abrotanum).* Gdy coś wlezie do ucha (pchła, mucha itp.), wyjmują je bądź paznokciem, bądź tzw. *harnadlą, szpylkoju.* Szum i dzwonienie w prawym uchu jest wróżbą dobrej, w lewym złej nowiny. Jeżeli dzwoni w prawym uchu, ktoś mówi

o nas dobrze, gdy w lewym, źle. Gdy więc dzwoni komuś w uchu, pyta on otoczenie: *W którym uchu dzwoni?* Obecni zgadują. Temu, kto zgadnie, spełni się to, co w danej chwili zamyślił, jeśli nie zgadł, sprawdzi się temu, komu w uchu dzwoni. Na dzwonienie zwykle wieśniacy baczniejszej uwagi nie zwracają, chyba że staje się ono aż nieznośnym (w podeszłym wieku przy miażdżycy tętnic, u młodszych przy anemii).

Gdy ucho zaczyna gwałtownie boleć lub strzykać, czy to z powodu zmian w samym uchu, czy to bólu zębów, wkładają do zewnętrznego przewodu słuchowego watę, aby wygrzać *zawianie.* Gdy ból jest zbyt silny, wkładają do ucha nieco zwyczajnej oliwy lub oleju konopnego na kawałeczku waty lub kilku włóknach uskubanych z jakiegoś gałganka. Ewentualnie czynią to samo maczając watę w roztopionym gęsim smalcu, a niektórzy nawet rozgrzany smalec wlewają do ucha kroplami.

Na głuchotę zagotowują kwartę świeżo udojonego mleka, wrzątek nakrywają lejkiem, którego koniec wprowadzają do przewodu usznego i ogrzewają go parą. Po wyparowaniu mleka przez lejek, wypłukuje się ucho za pomocą *szprycki* ciepłym rumiankiem, a potem ciepłą przegotowaną wodą tak długo, aż głuchota przejdzie. Po całym zabiegu wkłada się do ucha watę lub szarpie umaczane w *olejku karbolowym,* celem przeżarcia głuchoty. W tym samym celu wkraplają także do ucha sok wyciśnięty z cebuli. Na otępienie słuchu, a nawet głuchotę cierpieć będzie ten, kto zatrzyma się pod drzwiami, pod którymi ktoś podsłuchuje; chyba że za podsłuchującym ciśnie glinianym garnkiem (Założce).

Węch traci ten, kto wącha kwiaty na cmentarzu i kto je z miski lub talerza, po którym kot okręcił ogon.

Gdy niosący wodę do domu spotka na swej drodze, lub tylko zobaczy pogrzeb, zaraz wylewa niesioną wodę, by choroba, jaka spowodowała śmierć nieboszczyka, nie szerzyła się dalej.

Zamiast zapowiedzianego na str. 100 (39) spisu środków leczniczych Autor opracuje indeks rzeczowy, który opublikujemy w drugim tomie „Rocznika Podolskiego“.

PRZYBOŚ ADAM, Tarnopol.

Inwentarz Archiwum Skazinieckiego Bończa Markowskich (linii podolskiej).

Wstęp.

Dzięki staraniom śp. Wacława Małachowskiego, nieodżałowanej pamięci niedawno zmarłego wiceprezesa naszego Towarzystwa, Podolskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk otrzymało od P. Kazimierza Grocholskiego, dziedzica Rożysk, Archiwum Skazinieckie gałęzi podolskiej rodziny Bończa Markowskich do naukowego opracowania, zinwentaryzowania i opublikowania drukiem. Wykonanie tej pracy powierzyła Dyrekcja Towarzystwa piszącemu te słowa.

Wywiązując się obecnie z wziętego na siebie zadania czynię to z miłą nadzieją, że niniejsze pierwsze opracowanie archiwum rodu podolskiego zachęci i inne rodziny naszego Podola do złożenia swych prywatnych zbiorów rodzinnych do naukowego opracowania i zinwentaryzowania. Inwentaryzacja takich zbiorów ma niezmiernie ważne znaczenie; zwłaszcza na polskim Podolu, gdzie dotychczas mieszka dużo rodzin szlacheckich od wielu lat, ma doniosłe widoki powodzenia. Choć częste wojny dokonały wielu spustoszeń w zbiorach archiwalnych, wiele jednak można jeszcze ocalić przed ostateczną zagładą. Akcja ta zdobywa nowe źródła dla badaczy naszego regionu, udostępnia je dla wszystkich, wykrywa cenne przyczynki do historii tych ziem, porządkuje i organizuje archiwum z wielką korzyścią dla samych właścicieli zbiorów. Zasługuje więc na szerokie poparcie.

Archiwum Markowskich zwie się skazinieckim, gdyż pierwotnie mieściło się w Skazińcach, wsi rodzinnej dziedzicznej Markowskich od XVIII w., leżącej w powiecie płoskirowskim, dziś już poza granicami Polski[1]). Ze Skaziniec przeniesiono później archiwum do Rożysk w powiecie skałackim województwie

[1]) W 1725 r. Michał Mateusz Markowski zakładał „na pustym gruncie", jak pisze Anna z Jarmolińskich Szepingowa, Skazińce alias Nowe Jarmolińce należące do jego żony Konstancji. Część archiwum Markowskich mieści się w Ossolineum nry rękopisów 4668—4714.

tarnopolskim, miejscowości należącej do obecnego właściciela tego zbioru P. Kazimierza Grocholskiego, spokrewnionego przez matkę Magdalenę z rodziną Markowskich.

Archiwum skazinieckie to zbiór niewielki, liczący 128 dokumentów i rękopisów: wojskowych — patentów, abszytów, ordynansów, regestrów; rodzinnych — testamentów, intercyz ślubnych, nadań i przywilejów; wreszcie majątkowych — kontraktów, kwitów, skryptów, działów majątkowych, plenipotencyj i otaksowań. Najcenniejszą grupę stanowią dokumenty majątkowe, mogące być ważnym przyczynkiem do badań nad historią gospodarczą tej części Podola.

Treść każdego dokumentu czy rękopisu starano się podać w krótkich słowach wypisując datę i miejscowość wydania w nagłówku. Zaznaczono też w nawiasach pod każdą pozycją czy dokument jest oryginalny, ile zawiera kart i jakiego formatu. Ponieważ zbiór jest rozmieszczony w siedmiu teczkach (I—VII), a poszczególne dokumenty zaopatrzone numerami, w drukowanym inwentarzu zaznaczono pod każdą pozycją, w której teczce można je odszukać (T. V. 18). Nadto zastosowano następujące skróty: podp. na oznaczenie oryginalnego podpisu, piecz. pieczęci, obl. oblaty w grodzie, k. karty i f. folio, lub 4⁰ in quarto. Inwentarz podzielono na kilka grup: archiwum wojskowe zawierające dokumenty Dominika Szepinga i Markowskich (8+17), archiwum rodzinne Markowskich (15 dok.), ich archiwum majątkowe (84 dok.) oraz różne dokumenty (4). Na końcu umieszczono indeks osób i miejscowości wymienionych w inwentarzu oraz tablicę genealogiczną.

Dla ogólnego chociaż zorientowania czytelnika w treści skatalogowanych dokumentów i wyjaśnienia, jaką drogą poszczególne dokumenty znalazły się w Archiwum Skazinieckim, omówimy po kolei tych członków rodziny Markowskich, których dokumenty znajdują się w Archiwum Skazinieckim.

K. Pułaski w swej monografii rodziny Markowskich pisze tylko o podolskiej gałęzi tego rodu, pieczętującej się herbem Bończa[1]). Wywodzili się oni z Podlasia, z ziemi bielskiej, z Wielkiego Markowa, a inne ich gałęzie żyły na Litwie, Wołyniu i w Wielkopolsce; ci ostatni pieczętowali się herbem Szeliga.

---

[1]) K. Pułaski, Kronika pol. rodów szlacheckich, Podola, Wołynia i Ukrainy. — Brody 1911 t. I. s. 127.

W początkach XVIII w. przybyli na Podole dwaj Markowscy Aleksander i Michał Mateusz, synowie Jana, skarbnika ziemi bielskiej, i Anny Hryniewieckiej[1]). Brat ich Józef został na Podlasiu.

Aleksander Markowski figuruje w aktach Archiwum Skazinieckiego już od 1723 r. (nr 1). W regestrze kompanii chorągwi pancernej starosty lisiatyckiego z 1727 r. wyliczeni są dwaj Markowscy prowadzący po dwa konie (nr 2); z pewnością dwaj bracia Aleksander i Michał służyli jako towarzysze w tej chorągwi. W 1739 r. Aleksander M. jest towarzyszem chorągwi pancernej Ignacego Humieckiego, stolnika koronnego (nr 9), w 1744 r. wojskim latyczowskim (nr 10)[2]), a w 1753 r. figuruje jako chorąży chorągwi pancernej Jakuba Błędowskiego, starosty gliniańskiego (nr 18)[3]). W r. 1754 zostaje porucznikiem w tejże chorągwi za ordynansem hetmana Jana Klemensa Branickiego po śmierci Piotra Odrzywolskiego, podczaszego czerwonogrodzkiego (nr 21), choć tytułują go porucznikiem już od końca września 1753 r. (nr 19); zwą go też pułkownikiem tego znaku i wojskim podolskim (nr 20)[4]). Występuje więc na tle źródeł stale jako żołnierz i to dobry, skoro szybko posuwa się po stopniach kariery wojskowej. Tym więc bardziej dla nas niezrozumiała jest wiadomość, że 15 lutego 1759 r. Aleksander M. sprzedał swą szarżę porucznika pancernego znaku wojewody rawskiego, Kazimierza Granowskiego, Mikołajowi Podhorskiemu, horodniczemu ziemskiemu łuckiemu i sędziemu grodzkiemu trembowelskiemu, za sumę 10000 złp. (nr 24). Usprawiedliwić go może fakt, że nie był pod tym względem wyjątkiem w owych czasach. Ostatnia wiadomość o Aleksandrze M. w Archiwum Skazinieckim pochodzi z 24 czerwca 1760 r. (nr 79). Dziedziczył Matwijkowce w powiecie płoskirowskim na Podolu, intromisja nosi datę 29 maja 1734 r. (nr 106). Żonaty był najpierw z Wilczkówną, następnie z Marianną Wojnarowską. Z tego małżeństwa pozostawił dwie córki Annę i Katarzynę.

---

[1]) Pierwsza wiadomość o pobycie na Podolu z 24 marca 1719 r. Kontrakt Michała M. z Czermińską w Kamieńcu o dzierżawę części Kutkowiec za 3000 złp. rocznie (nr 106).

[2]) U Pułaskiego od r. 1742.

[3]) K. Pułaski twierdzi, że już w 1751 r. został chorążym po Piotrze Odrzywolskim.

[4]) Wojskim podolskim (kamienieckim) od 1747 r. według K. Pułaskiego.

Michał Mateusz Markowski, młodszy brat Aleksandra, od 1725 r. jest pisarzem ziemskim podolskim (nr 44)[1]), służy z bratem Aleksandrem w chorągwi pancernej starosty lisiatyckiego; w 1740 r. jest deputatem podolskim, wreszcie sędzią ziemskim podolskim (nry 50 i 52). Na sejmiku podolskim z 18 marca 1733 r. był jednym z asesorów i sędzią kapturowym[2]). W 1738 r. posłował na sejm. Natury czynnej i ruchliwej żywo interesuje się życiem politycznym. Zmarł w 1745 r. Żonaty najpierw w 1707 r. z Konstancją, córką Jana (Zygmunta) Szepinga, stolnika inflanckiego i Anny z Jarmolińskich, córki Tomasza i Konstancji Kossakowskiej, zmarłą w 1737 r., a następnie z Elżbietą Głogowską. Przez te małżeństwa skoligacił się ze znacznymi rodami i doszedł do wielkiej fortuny. Fortuna ta obejmowała w chwili jego śmierci: dobra po Szepingach i Raschach[3]), spadłe na nich po Dawidowskich, Kossakowskich, Jarmolińskich, a to Skazińce, Kadyjówkę, Czernielów, Kujdańce, Romanówkę, zamek w Jarmolińcach w województwie podolskim; a po Markowskich i Głogowskich Magierów, Rudę w wojew. bełskim, Podfilipie, Turylcze, Słobódkę Turylecką, Podgrodzie z częścią Łochowszczyzny, Markowo w wojew. podlaskim, kamienicę w Kamieńcu Podolskim, sumy sukcesjonalne po Raschu na Nowej Wsi (nr 56). Z pierwszej żony pozostawił czterech synów: Józefa, Ignacego, Franciszka i Floriana oraz córkę Urszulę, z drugiej syna Jana i córkę Teresę. Michał Mateusz M. był założycielem linii podolskiej Markowskich.

Ściśle z rodziną Markowskich związał się Dominik Szeping, brat Konstancji z Szepingów Markowskiej, pierwszej żony Michała Mateusza. Służbę wojskową zaczyna w 1725 r. W 1727 r. zostaje porucznikiem artylerii koronnej po Szurychu patentem hetmana Stanisława Rzewuskiego (nr 3); w 1732 r. jest już kapitanem i wyjeżdża za zezwoleniem generała artylerii kor. Jana Klemensa Branickiego za granicę dla studiów (nr 4); w 1735 r. majorem artylerii kor. (nr 5); w roku następnym król August III udziela mu na własne jego żądanie dymisji po jedenastu latach służby wojskowej (nr 6). Ale znowu szybko awansuje, w 1737 r.

---

[1]) U Pułaskiego od r. 1727.

[2]) Laudum sejmiku rkp. Bibl. Krasińsk. według Pułaskiego.

[3]) Ignacy Rasch, kapitan piechoty buławy pol. kor., syn Jana i Rozalli Szepinżanki, siostry Konstancji Markowskiej, zmarł bezpotomnie, a majątek wzięli Markowscy.

jest generał-adiutantem, a potem po śmierci Gantzhoffa zostaje obersztelejtnantem w pieszym pułku hetmana Branickiego (nr 8). W 1747 r. król August III mianuje Dominika Szepinga pułkownikiem pieszego pułku wojsk królewskich po rezygnacji Ludwika Cieszkowskiego (nr 13), a w 1750 r. generał-majorem (nr 15). W 1782 r. widzimy go w Korcu w wojew. wołyńskim u Józefa Czartoryskiego, starosty łuckiego, jak prowadzi interesy z Wenecją (nr 103), a potem w Warszawie. Na podstawie działu majątków z 1737 r. w Skazińcach Dominik Szeping otrzymał w spadku po rodzinie miasteczko Jarmolińce z zamkiem[1]), młynami, stawami i przyległościami, wieś Burzyńce, Tomaszówkę i Nową Wieś (nr 48). Jako wuj Józefa, Ignacego, Floriana, Franciszka i Urszuli Markowskich utrzymywał z nimi ożywione stosunki (nry 52, 55, 64, 66); będąc bezdzietny chciał zapisać swój majątek Franciszkowi Markowskiemu. Wskutek jednak nieporozumień rodzinnych sprzedał w 1757 r. klucz jarmoliniecki z Burzyńcami, Tomaszówką Wyższą, Nową Wsią i częścią Tomaszówki Niższej Pawłowi Starzyńskiemu, podkomorzemu królewskiemu za sumę 245000 zł (nr 72). Kapitały uzyskane tą drogą umieścił w Wenecji. Żołnierz przez całe życie, na starość żywiej zajmuje się swymi sprawami majątkowymi, prowadzi nawet interesy z zagranicą. Umarł po r. 1783 (nr 104).

J ó z e f M a r k o w s k i, najstarszy syn Michała Mateusza i Konstancji z Szepingów, był w 1744 r. chorążym pieszego regimentu hetmana pol. kor. Jana Klemensa Branickiego (nr 11)[2]). Bierze udział w życiu politycznym ziemi halickiej, widzimy go na sejmiku gospodarskim w 1745 r. w Haliczu[3]). W 1746 r. bierze abszyt (dymisję) u hetmana. W 1748 r. w Zamianowie sprzedaje Markowo Wielkie w wojew. podlaskim ziemi bielskiej Józefowi na Dołobowie Markowskiemu, łowczemu ziemi drohickiej i podstarościemu oraz sędziemu grodzkiemu brańskiemu, krewnemu z linii podlaskiej za 16000 złp. (nr 65)[4]). W 1757 r.

---

[1]) Zamek jarmoliniecki z XVI w. — Przeździecki, Podole, Wołyń, Ukraina, t. II. s. 33.

[2]) U Pułaskiego dopiero od r. 1746, s. 129.

[3]) Akta grodz. i ziem. t. XXIV s. 461 nr 253, sejmik z 14 września 1745 r.

[4]) Rejestr papierów należących do Markowa 24 maja 1750 r. sporządzony z lat 1644—1740: oblaty testamentów, protestacje, relacje, manifesty, dekrety, donacje, plenipotencje, kwity, juramenty, skrypty, rachunki rodzinne Markowskich.

otrzymuje wraz z braćmi Ignacym i Franciszkiem intromisję na Malejowce w wojew. podolskim ziemi kamienieckiej. Król August III w 1760 r. oddaje mu w dożywotnie posiadanie wsie Smorza Wyżna i Niżna w wojew. ruskim ziemi przemyskiej; wieś Smorzę Niższą zamienia król na miasto — daje mu prawo magdeburskie, herb, określa prawa i pozwala na dwa jarmarki rocznie (nry 77, 80). Józefa Markowskiego zwano też starostą jabłonowskim, szambelanem królewskim i podkomorzym królewskim. Był dziedzicem części Markowa, trzeciej części Czernielowa, Kujdaniec, Romanówki, zamku jarmolinieckiego, połowy Podfilipia, Turylcza, Słobódki Turyleckiej i Podgrodzia, z częścią Łochowszczyzny (nry 53, 54). Umarł w 1763 r. bezdzietnie.

Ignacy Markowski, syn Michała Mateusza i Konstancji Szepinżanki, był dziedzicem Kadyjówki i części Czernielowa oraz Kujdaniec. Umarł w 1764 r. bezdzietnie. Pozostał po nim obszerny sumariusz dokumentów rodziny Markowskich (52 fascykuły), odnoszący się szczególnie do wsi Kadyjówki z lat 1551—1764 (nr 89). Wskutek braku źródeł nie możemy więcej o nim napisać.

Florian Markowski, syn Michała Mateusza i Konstancji Szepinżanki, poświęcił się stanowi duchownemu, wstąpił do klasztoru OO. Jezuitów i zrzekł się swego majątku na rzecz rodzeństwa (nr 62). Był przy końcu życia kanonikiem katedralnym kijowskim (nr 101). Wobec niepozostawienia przez trzech braci — Józefa, Ignacego, Floriana — potomstwa linię podolską utrzymał tylko Franciszek.

Franciszek Markowski, najmłodszy syn Michała Mateusza i Konstancji Szepinżanki, starosta krzemieńczucki, od 1767 r. podczaszy latyczowski, bierze udział w konfederacji barskiej. W 1768 r. pożycza królowi Stanisławowi Augustowi 100000 złp. zabezpieczone na kluczu zaleszczyckim (nr 92). W 1774 r. otrzymuje od króla stolnikostwo latyczowskie lub podolskie (nr 33)[1]), potem chorąstwo latyczowskie lub podolskie, wreszcie w 1788 r. kasztelanię sanocką. Zwano go też w 1778 r. rotmistrzem kawalerii narodowej (nr 100). Był kawalerem Orderu św. Stanisława i Orła Białego od r. 1792 (nr 37). Posłował na sejmy, prowadził rozliczne stosunki z wielu osobami, stąd dokumenty w Archiwum Skazinieckim. Dziedzic Skaziniec

---

1) U Pułaskiego s. 129 stolnikostwo podolskie od r. 1775.

i połowy Magierowa oraz Rudy. Dostąpił najwyższych godności w rodzie Markowskich. Ożeniony w 1763 r. z Eleonorą ze Żmigrodu Stadnicką, córką Franciszka, chorążego podolskiego i Jadwigi z Kumanowskich (nr 112), miał dwie córki, Zuzannę za Janem Makowieckim, chorążym powiatu uszyckiego i Teklę za Michałem Dunin Borkowskim, rotmistrzem wojsk polskich, oraz czterech synów: Kazimierza, Piotra, Jana i Mikołaja. Zmarł w 1806 r.

Urszula Markowska, córka Michała Mateusza i Konstancji z Szepingów, za Ignacym Poniatowskim, cześnikiem żytomierskim. W dziale majątków z 3 stycznia 1746 r. w Skazińcach naznaczono jej 32000 złp. posagu (nr 56). Jej mąż niezadowolony z podziału procesował się i czynił zajazdy na Skazińce i Kadyjówkę (nry 76 i 89). Pogodził się wreszcie z braćmi żony w 1761 r. uzyskując jeszcze 30000 złp. Urszula Poniatowska umarła bezdzietnie w 1762 r. (nr 84).

Jan Markowski, syn Michała Mateusza i Elżbiety Głogowskiej, podstoli chełmski i stolnik parnawski, dziedzic połowy Magierowa i Rudy w wojew. bełskim (nr 56), ożeniony z Marianną Głogowską; pozostawił córki: Ludwikę za Jakubem Głogowskim i Annę za Aleksandrem Zielonką, podkomorzym lwowskim.

Teresa Markowska, córka Michała Mateusza i Elżbiety Głogowskiej, zamężna za Marcinem Lipskim, pisarzem żydaczowskim. Wedle działu majątkowego z 1764 r. bracia mieli ją wyposażyć.

Jak wyżej zauważyliśmy, linię podolską utrzymał Franciszek i jego potomstwo z Eleonory Stadnickiej: byli to czterej synowie Kazimierz, Piotr, Jan, Mikołaj.

Kazimierz Markowski, namiestnik kawalerii narodowej wojska koron. chorągwi rotmistrza Ignacego Stadnickiego, od 1790 r. chorąży w tejże chorągwi po postąpieniu na podporucznika Antoniego Dolanowskiego (nr 25); dziedzic Skaziniec według komplanacji dzielczej z 3 lutego 1809 r. (nr 119). Testamentem z 30 listopada 1837 r. postanawia oddać Skazińce dwom starszym synom swego brata Piotra, Mateuszowi i Wilhelmowi. Zmarł bezpotomnie.

Jan Markowski, syn Franciszka i Eleonory Stadnickiej bezżenny.

Mikołaj Markowski, syn Franciszka i Eleonory Stadnickiej, dziedzic Kadyjówki ze Słobódką, głuchoniemy, żonaty z Teklą Górską. Z tego małżeństwa zostawił syna Jakuba[1]) i trzy córki: Annę, Teklę i Ludwikę.

Piotr Gabriel Józef Markowski, syn Franciszka i Eleonory Stadnickiej, urodzony w 1766 r. (nr 30), dziedzic części Kulczyjowiec ze Słobódką w powiecie kamienieckim, Derewlan w powiecie uszyckim i Matwijkowiec w powiecie płoskirowskim (nr 119), od 1788 r. starosta krzemieńczucki (nr 36)[2]). W 1810 r. tytułują go podkomorzym powiatu płoskirowskiego (nr 120). Żonaty był z Karoliną Bończa Żeromską[3]). Z tego małżeństwa miał kilku synów: Roman, Wilhelm, Narcyz i August bezpotomni, Piotr żonaty z Karoliną (Ludwiką) Grocholską miał dwie córki: Michalinę za Lipskim i Magdalenę za Romanem Grocholskim; z tego małżeństwa Kazimierz Grocholski, dziedzic Rożysk i Łuki, obecny właściciel Archiwum Skazinieckiego, żonaty z Zofią Jordan Rozwadowską, ma syna Romana, i Jerzy G. żonaty z Anną Niementowską. Kazimierz ożeniony z Kazimierską, ich córka Maria za Wasiutyńskim; Mateusz, dziedzic Skaziniec, ożeniony z Adelą Wielamowską, córką Teodora i Karoliny z Boguszów, miał syna Władysława, zmarłego bezpotomnie w 1902 r. Na nim zakończyła się linia podolska Markowskich. Wreszcie Franciszek, ostatni syn Piotra, żonaty z Seweryną Pawlikowską, pozostawił dwie córki: Marię i Jadwigę, tę za Kazimierzem Prawdzic Zaleskim, która otrzymała Skazińce w spadku po Władysławie Markowskim spłaciwszy siostry. Po niej przejął Archiwum Skazinieckie Kazimierz Grocholski, obecnie zamieszkały w Rożyskach w powiecie skałackim. Piotr Markowski miał jeszcze cztery córki, z których Zuzanna, Karolina i Kordula zmarły bezpotomnie, a Magdalena wyszła za Aleksandra Krokowskiego. Piotr Gabriel Józef Markowski zmarł w 1833 r.

---

[1]) Pułaski (s. 130) twierdzi, że miał syna Jana. Według tablicy genealogicznej Kazimierza Markowskiego (nr 39) Mikołaj miał syna Jakuba.

[2]) Słownik Geogr. Król. Pol. (t. IV. s. 662) podaje pod Kremieńczuk lub Krzemieńczuk, że ostatnimi starostami krzem. byli Jaskulski i Lenkiewicz. Nie wie nic o Franciszku i Piotrze Markowskich.

[3]) Pułaski uważa go za czwartego syna Franciszka i Eleonory Stadnickiej, choć w dokumentach figuruje na drugim miejscu po Kazimierzu.

I. Archiwum Wojskowe.

Nr 1. 4 listopada 1723 r. w Dubaniewicach.

Kwit (skrypt) A. Kuszla wystawiony dla Aleksandra Markowskiego na zaległe 225 zł.

Na drugiej stronie tej karty: regestr odebranych pieniędzy przez Kuszela od deputatów zasługowych i hibernowych przez różne lata na sumę 1061 zł. pol. 14 gr.

(oryg. z podp. 1 k. f. T. VI. 1).

Nr 2. 18 maja 1727 r.

Regestr kompanii chorągwi pancernej starosty lisiatyckiego do likwidacji na trybunał skarbowy radomski podany, podpisany przez porucznika Mikołaja Witkowskiego, łowczego wiślickiego; w tej kompanii wyliczeni: Markowski — koni 2, Markowski młodszy — koni 2.

(oryg. 1 k. f. T. VI. 2.).

Nr 3. 18 października 1727 r. w Korolówce.

Stanisław Mateusz Rzewuski, wojewoda podlaski i hetman w. kor., wydaje Dominikowi Szepingowi patent na porucznika artylerii kor. po Szurychu.

(oryg. z podp. i piecz. k. 2 f. T. I. 1).

Nr 4. 3 marca 1732 r. w Warszawie.

Jan Klemens Branicki, chorąży w. kor. i generał artylerii kor., wydaje Dominikowi Szepingowi, kapitanowi, pozwolenie na wyjazd zagranicę dla studiów i poleca go władzom w podróży.

(oryg. z podp. i piecz. k. 2 f. T. I. 2).

Nr 5. 1 listopada 1735 r. w Warszawie.

Jan Klemens Branicki, chorąży w. kor. i generał artylerii, wydaje Dominikowi Szepingowi, kapitanowi artylerii kor., patent na majora artylerii.

(oryg. z podp. i piecz. k. 2 f. T. I. 3).

Nr 6. 31 lipca 1736 r. w Warszawie.

Król August III udziela Dominikowi Szepingowi, majorowi artylerii kor., na jego żądanie dymisji po jedenastu latach służby wojskowej.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. I. 5).

Nr 7. 13 lipca 1737 r.

Regestr ekspensów W. Chojeckiego jeżdżącego po broń do Przysuchy z Radomia na rozkaz rotmistrza w sumie 7 czerw. zł. tynfów 11, szostaków 2 i potwierdzenie odbioru reszty.

(1 k. 4⁰ T. VI. 3).

Nr 8. 22 sierpnia 1737 r. w Białymstoku.

Jan Klemens Branicki, chorąży w. i hetman pol. kor., wydaje Dominikowi Szepingowi, swemu generał-adiutantowi, patent na obersztelejtnanta wraz z kompanią w swoim pieszym regimencie po śmierci obersztelejtnanta Gantzhoffa.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. I. 4).

Nr 9. 6 marca 1739 r. w Barze.

Dyspozycja albo despartyment kwot należnych chorągwi pancernej stolnika kor. za sierpień i listopad 1738 r. od Felicjana Gurowskiego, deputata chorągwi na komisję radomską; wśród podpisów: Aleksander Markowski.

(kopia z podp. 1 k. f. T. VI. 4).

Nr 10. 22 października 1744 r. w Gorczyczanach.

Chorągiew pancerna stolnika kor. wysyła Aleksandra Markowskiego, wojskiego latyczowskiego i Felicjana Gurowskiego, podczaszego kaliskiego, jako deputatów hibernowych, naznaczając im po 300 zł. pol. za fatygi i koszty podróży.

(oryg. z podp. porucznika Adama Grabowskiego 1 k. f. T. VI. 5).

Nr 11. 15 listopada 1744 r. w Grodnie.

Jan Klemens Branicki, chorąży w. i hetman polny kor., daje Józefowi Markowskiemu, chorążemu jego regimentu pieszego, urlop 3-miesięczny od 1 grudnia 1744 r. do 1 marca 1745 r. (oryg. z podp. i piecz. hetmana 1 k. 4⁰ T. VI. 6).

Nr 12. 9 lutego 1746 r. w Białymstoku.

Jan Klemens Branicki, chorąży w. i hetman pol. kor. udziela dymisji (abszytu) Józefowi Markowskiemu, chorążemu regimentu pieszego, na własne jego żądanie.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. I. 12).

Nr 13. 17 sierpnia 1747 r. w Dreźnie.

Król August III wydaje Dominikowi Szepingowi, podpułkownikowi pieszego pułku, patent na pułkownika po rezygnacji Ludwika Cieszkowskiego.

(oryg. z podp. króla i piecz. 2 k. f. T. I. 6).

Nr 14. 1 października 1748 r. w Kamieńcu.

Kwit na 300 czerw. zł. pożyczone u Józefa Markowskiego przez majora Rottermunda, kapitana Koziczkowskiego i kapitana Zaleskiego. Dopisano na tym samym arkuszu pokwitowanie odbioru 100 cz. zł. od Rottermunda, 14 lipca 1749 r.; 7 października 1753 r. Koziczkowski winien był jeszcze 65 cz. zł.

(oryg. z podp. 1 k. f. T. VI. 7).

Nr 15. 29. września 1750 r. w Warszawie.

Król August III wydaje Dominikowi Szepingowi, pułkownikowi pieszego pułku wojsk królewskich, patent na generał-majora.

(oryg. z podp. króla i piecz. 2 k. f. T. I. 7).

Nr 16. 14 lutego 1751 r. w Założcach.

Józef Potocki, kasztelan krakowski i hetman w. kor., wydaje ordynans do wojsk cudzoziemskiego autoramentu o mianowaniu pułkownika Dominika Szepinga generał-majorem.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. I. 8).

Nr 17. 14 października 1752 r. w obozie pod Chweriorami.

Chorągiew pancerna Jakuba Błędowskiego, starosty glinianskiego, wysyła Baltazara Kulikowskiego, towarzysza i deputata chorągwi pancernej hetmana pol. kor., z kwitem po hibernę na wójtostwie częstochowskim. Na drugiej stronie: B. Kulikowski wylicza się z otrzymanych sum za podatek hibernowy za 3 lata, 26 grudnia 1752 r. Na trzeciej stronie: chorągiew pancerna starosty Gliniańskiego kwituje odbiór hiberny za 3 lata.

(oryg. z podp. 1 k. zgięta w połowie f. T. VI. 8).

Nr 18. 9 czerwca 1753 r. w Matwijkowcach.

Kwit Józefa z Żebrowskich Gardlińskiego na odebraną resztę hiberny od Aleksandra Markowskiego, wojskiego latyczowskiego i chorążego chorągwi pancernej starosty gliniańskiego, na sumę 21 czerw. zł. oraz kartę na 41 czerw. zł.

(oryg. 1 k. 4^0 T. VI. 9).

Nr 19. 30 września 1753 r. w obozie pod Skibińcami.

Ordynans Antoniego z Ossy Ożgi Romanowskiego, byszowskiego i rasławickiego starosty i regimentarza wojska kor. partii ukraińskiej, dla Markowskiego, wojskiego latyczowskiego, porucznika znaku pancernego Jakuba Błędowskiego, starosty gliniańskiego, do kołowania w sprawach skarbowych.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. VI. 10).

Nr 20. 1 października 1753 r. w obozie pod Skibincami.

Kopia koła chorągwi pancernej Jakuba Błędowskiego, starosty gliniańskiego, generał-majora wojsk saskich, w obecności Aleksandra Markowskiego, wojskiego podolskiego i pułkownika tego znaku, w sprawach hiberny i zasług.

(2 k. f. T. VI. 12).

Nr 21. 29 czerwca 1754 r. w Warszawie.

Jan Klemens Branicki, wojewoda krakowski i hetman wielki kor. daje Aleksandrowi Markowskiemu, chorążemu, ordynans na szarżę porucznika chorągwi pancernej Jakuba Błędowskiego, starosty gliniańskiego, po śmierci Piotra Odrzywolskiego, podczaszego czerwonogrodzkiego.

(oryg. z podp. hetmana i piecz. 2 k. f. T. VI. 11).

Nr 22. 1756 r.

Rejestr kompanii chorągwi pancernej Jakuba Błędowskiego, obożnego pol. kor., mający komput 50 koni podany do likwidacji trybunałowi skarbowemu radomskiemu w r. 1756, podpisany przez porucznika Aleksandra Markowskiego. Podobny rejestr na tej samej karcie za ćwierci lutego i maja 1756 r.

(oryg. 1 k. f. T. VI. 13).

Nr 23. 7 sierpnia 1756 r. w Przysusze.

Kontrakt Granowskiego, wojewody rawskiego, z majstrami kunsztu puszkarskiego z Przysuchy Kokolskim i Rumińskim na dostawę 25 karabinów i tyluż pistoletów po 50 zł. pol. dla chorągwi pancernej Jakuba Błędowskiego, obożnego pol. kor.

24 kwietnia 1757 r. zamówiono jeszcze tyleż bagnetów saskich po 3 tynfy. Na tej samej karcie pokwitowanie odbioru zapłaty.

(oryg. 1 k. f. T. VI. 14).

Nr 24. 15 lutego 1759 r. w Rajkowcach.

Kontrakt między Aleksandrem Markowskim, wojskim podolskim, i Mikołajem Podhorskim, horodniczym ziemskim łuckim i sędzią grodzkim trembowelskim, w którym Markowski odstępuje Podhorskiemu swą szarżę porucznika pancernego znaku Granowskiego, wojewody rawskiego, za zgodą tegoż ostatniego za sumę 10.000 zł. pol.

(oryg. z piecz. i podp. 2 k. f. T. VI. 15).

Nr 25. 19 stycznia 1790 r. w Warszawie.

Król Stanisław August daje Kazimierzowi Markowskiemu, namiestnikowi kawalerii narodowej wojska koronnego chorągwi rotmistrza Ignacego Stadnickiego, patent na chorążego w tejże chorągwi po postąpieniu na podporucznika Antoniego Dolanowskiego.

(oryg. z podp. króla i piecz. 2 k. f. T. I. 17).

II. Archiwum rodzinne.

Nr 26. 14 marca 1612 r. w Szczerbowcach.

Testament Krzysztofa Kossakowskiego[1]), w którym postanawia, by jego żona Elżbieta z Swaryczew zatrzymała dożywocie w Szczerbowcach, a innych dóbr używała na kształcenie dzieci. Opiekunami ich stanowi: Andrzeja Górskiego, kasztelana halickiego, Gabriela Kozietulskiego, pisarza ziemskiego kamienieckiego i Wojciecha Kossakowskiego, synowca swego, za co przyznaje mu 100 zł. rocznie. Posag córkom naznaczył w grodzie buskim.

(Obl. w grodzie kamienieckim z 6 kwietnia 1715 r. 2 k. f. T. III. 13).

Nr 27. 22 listopada 1732 r. w Rudzie.

Intercyza ślubna między Teresą z Żmigrodu Stadnicką, 1° voto Franciszkową Głogowską, starościną grabowiecką, 2° voto Janową Boguszową, starościną dźwinogrodzką, a Józefem z Żmigrodu Stadnickim, kasztelanem bełskim, Zofią z Makowieckich, jego żoną, rodzicami oraz ich synem Franciszkiem. Starościna dźwinogrodzka zgadza się na ślub swej córki z pierwszego małż. Anny Głogowskiej[2]), starościanki grabowieckiej, z Franciszkiem Stadnickim i naznacza ślub na 23 listopada 1732 r.

Dobra ojczyste po Franciszku Głogowskim, staroście grabowieckim, pierwszym swym mężu, t. j. część miasta Magierowa i wsi Rudy Czesników w wojew. i powiecie bełskim oraz sumy na dobrach wołyńskich Wołkowcach w ks. zasławskim dzieli na połowę dla dwóch córek z tego małżeństwa, starszej Anny

---

[1]) Kossakowscy byli spokrewnieni z Markowskimi. Pierwsza żona Michała Mateusza Markowskiego, sędziego ziemskiego podolskiego, Konstancja Szepinżanka była wnuczką po matce Konstancji Kossakowskiej.

[2]) Elżbieta Głogowska, córka Teresy Stadnickiej, była drugą żoną Michała Mateusza Markowskiego. Anna Głogowska była siostrą Elżbiety.

i młodszej Elżbiety. Połowę wymienionych majątków z pretensjami otrzyma po ślubie z Anną Franciszek Stadnicki do 7 stycznia 1733 r. Z dóbr macierzystych po starościnie dźwinogrodzkiej i jej mężu zastrzega się część Annie Głogowskiej. Stadniccy, kasztelanowie bełscy, ze swej strony dają synowi Franciszkowi ... (tu dokument zniszczony) część wsi Szczerca w pow. bełskim oraz wieś ... pod Samborem. Obie strony zobowiązują się dotrzymać intercyzy „pod zakładem" 200.000 zł. pol.

(kopia k. 3 f. T. III. 11).

Nr 28. 23 lutego 1743 r. w Spiczyńcach.

Intercyza ślubna między Joanną z Zabłockich 1⁰ voto Adamową Kumanowską, cześnikową żydaczowską, 2⁰ voto Aleksandrową Mrozowicką, podstoliną bracławską, wdową — a Franciszkiem z Żmigrodu na Niemirowie i Felsztynie Stadnickim, kasztelanicem kamienieckim, synem Jana i Katarzyny z Pepłowskich, w sprawie małżeństwa Jadwigi Kumanowskiej, cześnikówny żydaczowskiej, jedynej sukcesorki substancji ojczystej i macierzystej, z Franciszkiem Stadnickim[1]), kasztelanicem kamienieckim.

Joanna z Zabłockich Mrozowicka, podstolina bracławska, zobowiązuje się dać posagu swej córce z pierwszego małż., Jadwidze, sumę 40.000 zł. pol. będącą u ks. Radziwiłła, kasztelana wileńskiego, hetmana poln. lit., a w grodzie lwowskim asekurowaną i wyprocesować ją z procentami prócz należnej wyprawy na 20.000 zł. pol. szacowanej do 12 stycznia 1744 r. Nadto oddaje swej córce dobra po jej ojcu Adamie (czy Antonim?) Kumanowskim w wojew. sandomierskim leżące. Wesele naznacza się na 25 lutego 1743 r. w dobrach Spiczyńcach w wojew. podolskim w kluczu międzyboskim. W cztery niedziele po ślubie Franciszek Stadnicki obmyśli swej żonie reformację i zobowiąże się nie pociągać żony do żadnych transakcyj szkodzących jej fortunie.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. III. 12).

Nr 29. 12 lipca 1758 r. w Lublinie.

Punkty do dekretu między Dominikiem Szepingiem, generałem wojsk JKMci, i Franciszkiem Markowskim, starostą krze-

[1]) Franciszek Stadnicki, chorąży podolski, był ojcem Eleonory, żony Franciszka Markowskiego, kasztelana sanockiego.

mieńczuckim i innymi, z regestru wojew. ruskiego nastąpić mającego spisane.

(oryg. z podp. 2 k. f. T. III. 6).

Nr 30. 24 marca 1766 r. (24 stycznia 1827 r.) w Sołotkowcach.

Metryka Piotra Gabriela Józefa Markowskiego, syna Franciszka Rafaela i Eleonory ze Stadnickich Markowskich, ochrzczonego 24 marca 1766 r. napisana 24 stycznia 1827 r.

(kopia stara 1 k. in 8⁰ T. VII. bez nr.).

Nr 31.

Mowa sejmowa Markowskiego, stolnika mielnickiego i posła podlaskiego, w sprawie legalności obioru posłów na sejmikach[1]).

(Druk współcz. bez r. i m. 1 k. T. I. 22).

Nr 32. 22 lutego 1773 r. w Warszawie.

Król Stanisław August wzywa..., by na sejmiku przedsejmowym przypadającym dnia 22 marca „przez miłość Oyczyzny do uspokoienia iey iak nayprętszego przykładał się, y intencye Nasze całym kredytem y powagą swoią wspierał“.

(druk współcz. bez adresu z oryg. podp. król. 1 k. f. T. I. 18)

Nr 33. 26 stycznia 1774 r. w Warszawie.

Król Stanisław August mianuje Kazimierza Kaczkowskiego, podstolego latyczowskiego, podczaszym latyczowskim po ustąpieniu Franciszka Markowskiego na stolnika latyczowskiego.

(oryg. z podp. króla i piecz. 2 k. f. T. I. 14).

Nr 34. 1776 r.

Mowa Markowskiego, stolnika mielnickiego posła podlaskiego, wygłoszona na sejmie 1776 r. w sprawie Rady Nieustającej.

(Druk współcz. 1 k. T. I. 21).

Nr 35. 25 maja 1786 r. w Warszawie.

Król Stanisław August śle list do Markowskiego, chorążego podolskiego, by na sejmiku poselskim przed sejmem ordynaryjnym w dniu 21 sierpnia r. b. dołożył starań i użył swej powagi, „żeby przez wybór Posłów z Zacnych Woiewodztw, Ziem y Powiatow na przyszłym seymie o publicznym dobru można iaknaylepiey zaradzić“.

(druk współcz. z oryg. podp. król. i piecz. oraz dopis. adresem 2 k. f. T. I. 19).

---

[1]) Z linii podlaskiej.

Nr 36. 29 grudnia 1788 r. w Warszawie.

Król Stanisław August nadaje Piotrowi Markowskiemu starostwo krzemieńczuckie.

(oryg. z podp. króla i piecz. 2 k. f. T. I. 16).

Nr 37. 17 kwietnia 1792 r. w Warszawie.

Król Stanisław August nadaje Franciszkowi Markowskiemu, kasztelanowi sanockiemu i kawalerowi Orderu św. Stanisława, Order Orła Białego.

(oryg. z podp. króla i piecz. 2 k. f. T. I. 15).

Nr 38. 29 maja 1792 r. w Warszawie.

Uniwersał króla Stanisława Augusta w Straży z obwieszczeniem o prawie uchwalonym 24 maja 1792 r. p. t. „Deklaracya względem Stanu teraźnieyszego Rzpltey“.

(druk współcz. z oryg. piecz. i oryg. podp.: X. A. Wołłowicz Referendarz W. X. Litt. Sekretarz Straży 1 k. f. T. I. 20).

Nr 39. 3 stycznia 1810 r. w Skazińcach.

Tablica genealogiczna czterech pokoleń Markowskich linii podolskiej, ułożona przez Kazimierza Markowskiego, z poprawkami Jadwigi Zaleskiej w Rożyskach z 15 lutego 1926 r.

(oryg. 2 k. f. T. VII. 2).

Nr 40. 31 października 1853 r. w Petersburgu.

List Bożydara Szaszor w sprawie stolików wirujących do redaktora.

(2 k. f. kopia).

List B. Sz. do córki z wytłumaczeniem i opinią o stolikach wirujących z Petersburga, 17 października 1853 r.

(kopia 8 k. f. T. VII. 9).

Dopisano później: Pisał to Teodor Wilamowski, ojciec Adeliny Markowskiej, żony Mateusza, zjawiska odnoszą się do Skaziniec[1]).

III. Archiwum majątkowe.

Nr 41. 4 października 1666 r. w Jarmolińcach.

Kontrakt Tomasza Jarmolińskiego[2]) z Janem Prękeszyckim i Anną z Domaszowskich małżonkami w sprawie 5.200 zł. pol.

---

[1]) Adelina z Wilamowskich Markowska, żona Mateusza, syna Piotra i Karoliny Żeromskiej.

[2]) Jarmolińscy spokrewnieni z Markowskimi. Konstancja Szepinżanka, żona Michała Mat. Markowskiego, sędziego ziem. podol., była córką Anny

na Kadyjowie ciążących, na podstawie którego Prękeszycki odbiera Kadyjówkę, a Jarmoliński obiecuje ją wykupić w przepisanym terminie.

Obl. w grodzie latyczowskim 30 sierpnia 1701 r.

(kopia k. 2 f. T. IV. 1).

Nr 42. 29 lipca 1718 r. w Jarmolińcach.

List Anny Szepingowej[1]) do Duczymirskiego, chorążego pancernego, w sprawie długu.

(oryg. z piecz. 1 k. f. T. VII. 1).

Nr 43. 13 marca 1725 r. w Jarmolińcach.

Kontrakt między Anną Szepingową, córką Tomasza i Konstancji Kossakowskiej, wdową po Zygmuncie, stolniku inflanckim, a Michałem Markowskim, pisarzem ziemskim podolskim, synem Jana na Wielkim Markowie, skarbnika ziemi bielskiej i Anny Hryniewickiej, i jego żoną Konstancją z Szepingów.

Anna Szepingowa winna jest małżonkom Markowskim sumę 6.469 zł. 23 gr. 4$^1/_2$ pieniążki, na której spłacenie puszcza miasteczko Jarmolińce, wieś Burzyńce i Tomaszówkę Markowskim w 3-letnią arendowną posesję licząc rocznie po 3740 zł. 10 groszy, nadto wieś Kadyjówkę na takiż kontrakt 3-letni licząc po 700 zł. Różnicę Markowscy dopłacą.

(Obl. w grodzie kamienieckim z 10 września 1725 r. 4 k. f. T. IV. 2).

Nr 44. 17 maja 1725 r.

Manifest Michała Markowskiego, pisarza ziemskiego podolskiego, w imieniu Anny z Jarmoliniec Szepingowej, stolnikowej inflanckiej i innych współsukcesorów dóbr dawidowskich, Kazimierza, Józefa, Konstantego Czołhańskich, przeciw Antoniemu Łączyńskiemu, chorążemu żydaczowskiemu, Józefowi Mojżeszowi Ożdze, stolnikowi lwowskiemu i Ludwice Zielonczance, że dobra Bezbrudy i Nowosielce, w powiecie lwowskim i buskim leżące

---

Jarmolińskiej, zrodzonej z Tomasza i Konstancji Kossakowskiej. Anna Jarmolińska wniosła przez małżeństwo z Janem Szepingiem dobra Dawidowskich (Tomasz Jarm. rodził się z Dawidowskiej) w dom Szepingów. Od nich przeszły na Markowskich. Były to: Czernielów, Kujdańce, Bezbrudy, Bajkowce, Hałuszczyńce, Nowosielce, Romanowe Sioło, Żerebki, Romanówka, Karamanda.

[1]) Anna Szepingowa, matka Konstancji Michałowej Markowskiej, była córką Tomasza Jarmolińskiego i Konstancji Kossakowskiej, a wnuczką Konstantego Kossakowskiego i Marianny Dawidowskiej: stąd nazwa dóbr dawidowskich.

a należące od dawna do domu Dawidowskich, pod pretekstem pokrewieństwa posiedli i nimi dysponują.

(Obl. w grodzie kamienieckim 17 maja 1725 r. kopia 2 k. f. T. III. 1).

Nr 45. 24 grudnia 1730 r. w Matwijkowcach.

J. Markowski kwituje odbiór kwoty 126 złotych od Aleksandra Markowskiego.

(oryg. z podp. i piecz. 1 k. 4⁰ T. II. 3).

Nr 46. 12 października 1733 r. w Porzyczu.

Skrypt Szymona Pogurskiego stwierdzający, że ma u siebie szablę perską złocistą zastawioną przez Aleksandra Markowskiego za sumę 144 złotych.

(oryg. z podp. 1 k. 4⁰ T. II. 4).

Nr 47. 12 lutego 1737 r. w Markowie.

Kontrakt między Tomaszem a Aleksandrem, miecznikiem zakroczymskim, Markowskimi[1]) o sto kóp żyta z Markowa Wielkiego po 10 zł. kopa. Na tej samej karcie kwit na 1000 zł., wypłacone za to żyto.

(oryg. z podp. 1 k. 4⁰ T. IV. 3).

Nr 48. 11 lipca 1737 r. w Skazińcach.

Dział majątków między Dominikiem Szepingiem, obersztelejtnantem piechoty, i Michałem Markowskim, pisarzem ziemskim podolskim i starostą dźwinogrodzkim, imieniem swoim i swoich dzieci z Konstancji z Szepingów, Józefa, Floriana, Ignacego, Franciszka i Urszuli, mocą którego dzieci Szepinżanki jako dziedzice trzeciej części jej dóbr otrzymują wieś Kadyjówkę z przyległościami i lasami oraz części w Czernelowie, Kujdańcu, Hałuszczyńcach, Romanowym Siole, Żerebkach, Romanówce, Bajkowcach, Karamandii, Bezbrudach i Nowosielcach. Dominik Szeping zaś otrzymuje 5.000 zł. pol., miasteczko Jarmolińce z zamkiem, młynami, stawami i przyległościami, wieś Burzyńce, Tomaszówkę i Nowowieś.

(Obl. w grodzie kamienieckim 20 lipca 1737 r., w grodzie trembowelskim 19 kwietnia 1738 r. z piecz. 4 k. f. T. III. 2).

Nr 49. 9 grudnia 1738 r. w Zaborzu.

Teresa Boguszowa, wdowa po Janie Boguszu, staroście dźwinogrodzkim, kwituje Michałowi Markowskiemu, pisarzowi

[1]) Linia podlaska.

ziemskiemu podolskiemu, odbiór 14.000 zł. pol.
(oryg. z podp. 2 k. f. T. II. 5).

Nr 50. 4 czerwca 1740 r. w Lublinie.
Rewers Kazimierza Bużyńskiego dany Michałowi Markowskiemu, pisarzowi ziemskiemu i deputatowi podolskiemu, na 100 czerw. zł., które ma oddać Tomaszowi Markowskiemu, cześnikowi parnawskiemu.
(oryg. z podp. 1 k. f. T. II. 6).

Nr 51. 23 czerwca 1742 r. w Matwijkowcach.
Kontrakt Aleksandra Markowskiego z Tobiaszem Zygmuntowiczem o arendę karczmy w Markowie Wielkim na trzy lata za każdy rok po 180 zł.
(oryg. z podp. żyd. 1 k. f. T. IV. 4).

Nr 52. 7 maja 1745 r. w Kadyjowie.
Regestr stada pozostałego po Michale Markowskim, sędzi ziemskim podolskim, spisany przez Aleksandra Markowskiego, Dominika Szepinga i Wyszyńskiego.
(97 koni, klaczy i źrebiąt obl. w grodzie kamienieckim z podp. 4 k. f. T. V. 5).

Nr 53. 18 czerwca 1745 r. w Markowie.
Kontrakt Józefa Markowskiego, sędzica ziemskiego podol. i chorążego regimentu pieszego, dziedzica Markowa, z Józefem Markowskim, łowczym ziemi drohickiej i pisarzem grodzkim brańskim, którym łowczy drohicki bierze w trzyletnią tenutę arendowną Markowo w woj. podlaskim ziemi bielskiej pow. brańskim za sumę dzierżawną 600 zł rocznie.
(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. IV. 5).

Nr 54. 18 czerwca 1745 r.
Inwentarz majętności Markowa, spisany przy objęciu w posesję arendowną trzyletnią przez Józefa Markowskiego, łowczego ziemi drohickiej i pisarza grodzkiego brańskiego, z opisem domu i całego obejścia, ilością zboża w gumnach, spisem poddanych i ich obowiązków, ilością bydła, koni, świń, owiec i sprzętów gospod.
(oryg. z podp. i piecz. 4 k. f. T. V. 3).

Nr 55. 1 lipca 1745 r.
Regestr sukien i innych rzeczy Elżbiety Głogowskiej, drugiej żony Michała Markowskiego, sędziego ziemskiego podol-

skiego, sporządzony po śmierci Michała Mark. przez Aleksandra Markowskiego, Dominika Szepinga i Wyszyńskiego.

(Obl. w grodzie kamienieckim z podp. 2 k. f. T. V. 6).

Nr 56. 3 stycznia 1746 r. w Skazińcach.

Dział majątków ojczystych markowskich, macierzystych szepingowskich i sukcesjonalnych po Ignacym Raschu, kapitanie piechoty, synu Jana i Rozalii Szepinżanki, siostry Konstancji, zawarty między Józefem chorążym infanterii, Ignacym, Franciszkiem i Urszulą Markowskimi, dziećmi z pierwszego małżeństwa Michała Mateusza, sędziego ziemskiego podolskiego, z Konstancją Szepinżanką — a Janem i Teresą Markowskimi dziećmi Michała Mateusza i Elżbiety Głogowskiej.

Na podstawie tego działu podzielono dobra macierzyste szepingowskie i raszowskie między trzech braci Józefa, Ignacego i Franciszka (Florian jezuita zrzekł się swej części na rzecz braci): Franciszek wziął Skazińce, Ignacy otrzymał Kadyjówkę, Józef sumę sukcesjonalną po Raszu na Nowej Wsi zostającą, trzecią część w Czernelowie, Kujdańczu, Romanówce, sumę 3.000 zł. pol. za trzecią część zamku jarmolińskiego, od braci sumy 7.500 zł. pol. ze Skaziniec i 6.231 zł. pol. z Kadyjówki. Dobra ojczyste podzielono na 4 schedy: Józefa, Ignacego, Franciszka (z pierwszego małż.) i Jana (z drugiego małż.). Jan Markowski z Elżbiety Głogowskiej otrzymał połowę Magierowa i Rudy w województwie bełskim i 3.128 zł. pol. 10 gr. z Podfilipia. Franciszek pół Magierowa i Rudy i 3.128 zł. pol. 10 gr. z Podfilipia. Ignacy 2/3 Czernelowa, Kujdańcza i in. tego klucza w woj. ruskim i 6.755 zł. pol. 10 gr. z Podfilipia. Józef otrzymał połowę Podfilipia, Turylcza, Słobódki Turyleckiej i Podgrodzia z częścią Łochowszczyzny, część Markowa w woj. podlaskim, kamienicę w Kamieńcu Podolskim. Urszuli Markowskiej z pierwszego małż. naznaczono posagu 32.000 zł. pol. Wyposażenie Teresy Markowskiej z drugiego małż. biorą bracia na siebie. Ruchomości oszacowano i podzielono na równe części.

(Obl. z piecz. w grodzie kamienieckim z 1746 r. k. 4 f. T. IV. 3).

Nr 57. 3 stycznia 1746 r. w Skazińcach.

Spis ruchomości wydzielonych Józefowi Markowskiemu z dziedzictwa ojcowskiego.

(oryg. z podp. 2 k. f. T. V. 10).

Nr 58. 3 stycznia 1746 r. w Skazińcach

Regestr ruchomości przydzielonych Ignacemu Markowskiemu z dziedzictwa ojcowskiego.

(oryg. z podp. 2 k. f. T. V. 11).

Nr 59. 3 stycznia 1746 r. w Skazińcach.

Regestr ruchomości przypadłych Janowi Markowskiemu z podziału dziedzictwa ojcowskiego.

(oryg. z podp. 2 k. f. T. V. 12).

Nr. 60. 11 stycznia 1746 r. w Kamieńcu.

Spis i otaksowanie (taxa) rzeczy pozostałych po Michale Markowskim, sędzi podolskim, na żądanie jego synów Józefa, chorążego regimentu pieszego buławy poln. kor., Ignacego i Franciszka przez urząd burmistrzowski radziecki kamieniecki sporządzony.

(oryg. z podp. 2 k. f. T. V. 9).

Nr 61. 19 lutego 1746 r. w Kamieńcu Podolskim.

Otaksowanie konia wartości 324 zł. pol. pozostałego po Michale Markowskim, sędzi podolskim, przez urząd burmistrzowski radziecki kamieniecki.

(oryg. z podp. 2 k. f. T. V. 13).

Nr 62. 1 maja 1746 r. w Kamieńcu.

Rewers Floriana Markowskiego, Societatis Jesu, dany bratu swemu Józefowi Markowskiemu, chorążemu regimentu buławy polnej, na 900 czerw. zł., odebranych tytułem części ustanowionej z braćmi przy dziale rodzinnym oraz rezygnacja z części swojej po matce i ojcu na rzecz braci.

(oryg. z podp. 1 k. 4°. T. II. 7).

Nr 63. 25 maja 1746 r. w Skazińcach.

Skrypt na wyrównanie sobie wzajemnie sum, należnych według działu majątkowego z 3 stycznia 1746 r. braciom Józefowi, Ignacemu, Franciszkowi i Janowi Markowskim).

(kopia k. 2 f. T. III. 4).

Nr 64. 7 marca 1748 r. w Kamieńcu.

J. Markowski kwituje Dominikowi Szepingowi, pułkownikowi regimentu buławy pol. kor., odbiór 2.200 zł. tytułem prowizji od sumy 22.000 zł.

(oryg. z podp. i piecz. 1 k. f. T. II. 8).

Nr 65. 20 sierpnia 1748 r. w Zamianowie.

Kontrakt między Józefem Markowskim, sędzicem ziemskim podolskim, synem Michała i Józefem na Dołobowie Markowskim, łowczym ziemi drohickiej, podstarościm i sędzią grodzkim brańskim, na podstawie którego dobra Markowo Wielkie, w wojew. podlaskim a ziemi bielskiej leżące, własność Józefa M. sędzica ziemsk. podol., przechodzą w ręce Józefa M., łowczego, za cenę 16.000 zł. pol.

(oryg. z podp. i piecz. k. 2 f. T. III. 5).

Nr 66. 31 marca 1749 r. w Kamieńcu.

J. Markowski kwituje Dominikowi Szepingowi, pułkownikowi regimentu buławy pol. kor., odbiór 1.100 zł. tytułem prowizji za ostatni rok od sumy 22.000 zł.

(oryg. z podp. i piecz. 1 k. 4°. T. II. 9).

Nr 67. 13 stycznia 1750 r. we Lwowie.

Potocki, krajczy koronny, wystawia skrypt na 21.000 zł. pol. pobranych od Franciszka Markowskiego, sędzica ziemskiego podolskiego, zabezpiecza je na wsi Chłopowce w powiecie trembowelskim i zobowiązuje się ją oddać z prowizją 10% za rok we Lwowie.

(Oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. dopisano później: Ten Dług zaspokoiony Froll T. II. 2).

Nr 68. 24 maja 1750 r. w Warszawie.

Regestr papierów należących do dóbr Markowa, odebranych przez Józefa Skrzyńskiego od Markowskiego, sędzica podolskiego.

(oblaty testamentów, protestacje, roboracje, manifesty, dekrety, donacje, plenipotencje, kwity, juramenty, skrypty, rachunki rodziny Markowskich z lat 1644—1740 r. 2 k. f. T. V. 4).

Nr 69. 1752—1757 r.

Regestry różnych rzeczy domowych spisane przez Dominika Szepinga, zawierają: spis różnych drobiazgów, rynsztunków, srebra, farfur, naczynia, mebli, rachunki prowadzone po francusku; ostatnie zapiski z 22 lipca 1757 r.

(oryg. 16 k. 4°. T. VII. 8).

Nr 70. 15 marca 1752 r. w Malejowcach.

Kontrakt Dominika Szepinga z Szlomą Szmujłowiczem w sprawie arendy w Nowejwsi w dobrach jarmolinieckich za sumę 1000 zł. pol.

(oryg. z podp. 2 k. f. T. IV. 6).

Nr 71. 1 maja 1756 r. w Malejowcach.

Hilarion Sztandy, superior klasztoru w Malejowcach, kwituje Dominikowi Szepingowi, generał-majorowi i kolatorowi klasztoru, odbiór prowizji 100 zł. pol. od sumy 1400 zł.

(oryg. z podp. 1 k. 4⁰. T. II. 10).

Nr 72. 22 stycznia 1757 r. w Malejowcach.

Kontrakt Dominika Szepinga, generał-majora, z Pawłem Starzyńskim, podkomorzym król., którym Starzyński za sumę 245.000 zł. pol. kupuje od Szepinga miasto Jarmolińce z przedmieściami, Burzyńce, Tomaszówkę Wyższą, Nowąwieś i część Tomaszówki Niższej, dobra dziedziczne, nabyte i spadłe rodziny Szepingów, którą to sumę Starzyński wypłacił.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. IV. 7).

Nr 73. 15 marca 1757 r. w Podhorcach.

Kontrakt między Wacławem Rzewuskim, wojewodą podol. i hetmanem pol. kor., a Józefem Markowskim, sędzicem ziemskim podol., o dobra Jaśkowce, Podlisie i Zakomarze w ziemi lwowskiej, którym Markowski trzymając już dobra wymienione od dnia 10 stycznia 1757 r. tytułem zastawnej dzierżawy puszcza je w arendowną trzyletnią posesję Rzewuskiemu za sumę 4050 zł. pol. za półrocze, t. j. od pożyczonej u Markowskiego sumy 90.000 zł. pol. 9% rocznie, którą to sumę 4050 zł. za pierwsze półrocze Rzewuski już wypłacił.

(oryg. z podp. hetmana i piecz. 2 k. f. T. IV. 8).

Nr 74. 7 sierpnia 1757 r. w Ichrowicy.

Rachunek sum w kwocie 31.314 zł. pol. i 19 gr. należnych Józefowi Markowskiemu, sędzicowi ziemskiemu podolskiemu, od Pawła Starzyńskiego.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. II. 11).

Nr 75. 9 sierpnia 1757.

Intromisja Józefa, Ignacego i Franciszka Markowskich na Malejowce w wojew. podolskim ziemi kamienieckiej dokonana.

(obl. w grodzie kamienieckim 27 sierpnia 1757 r. k. 2 f. T. III. 7).

Nr 76. 19 maja 1759 r. w Skazińcach.

Regestr pretensyj i szkód, poczynionych przez kozaków Poniatowskiego podczas zajazdu we dworze skazinieckim, sługom, gromadzie i zaciągnionym ludziom chmielnickim.

(kopia 10 k. f. T. V. 18).

Nr 77. 19 lutego 1760 r. w Warszawie.

Król August III zgadza się na oddanie w dożywotnie posiadanie Józefowi Szymonowi Markowskiemu, sędziemu ziemskiemu podolskiemu, wsi Smorza Wyżna i Niżna w województwie ruskim, ziemi przemyskiej, z rąk małżonków Józefa Nebanda Trepki i Ewy z Swiechowskich.

(oryg. z podp. króla i piecz. 2 k. f. T. I. 10).

Nr 78. 17 kwietnia 1760 r. w Czernełowie.

I. Poniatowski daje Józefowi Markowskiemu, sędzicowi ziemskiemu podolskiemu i staroście jabłonowskiemu, skrypt na pożyczoną przez siebie sumę 1.200 zł. pol. i zabezpiecza ją na połowie wsi Kujdaniec.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. II. 12).

Nr 79. 24 czerwca 1760 r.

Inwentarz dworku w Kamieńcu Podol. Aleksandra Markowskiego, wojskiego podolskiego.

(oryg. z podp. 2 k. f. T. V. 17).

Nr 80. 24 października 1760 r. w Warszawie.

Król August III wydaje przywilej Józefowi Markowskiemu, sędzicowi (!) ziemskiemu podolskiemu, mocą którego wieś Smoza (!) Niżna, położoną w województwie ruskim ziemi przemyskiej, podległą prawu dożywotniemu Józefa Markowskiego, zamienia król na miasto tegoż nazwiska Smoza Niżna, pozwala je lokować na prawie magdeburskim, nadaje mu znak, przyznaje prawa miast królewskich, określa obowiązki i organizację miasta i nadaje dwa jarmarki rocznie.

(oryg. z podp. króla i piecz. 2 k. f. T. I. 11).

Nr 81. 9 kwietnia 1761 r.

Specyfikacja substancji całej tak ojczystej jako i macierzystej Markowskich skonnotowana (ojcz. 373.498 zł., mac. 489.000 zł.; wyliczono ruchomości i nieruchomości: wsie, sprzęty, bydło, konie, zasiewy).

(oryg. 2 k. f. T. V. 1).

Nr 82. 16 stycznia 1762 r. we Lwowie.

Bilet E. X. Sułkowskiej do Skarbka, starosty sołotwińskiego, by wypłacił Fr. Markowskiemu, staroście krzemieńczuckiemu, sumę 27.000 zł. pol.

(oryg. z podp. 1 k. 4⁰. T. II. 13).

Nr 83. 13 marca 1762 r. w Kamieńcu Podolskim.

Kontrakt Józefa Markowskiego, sędzica ziemskiego podol. podkomorzego król., z Kazimierzem Łążyńskim, pietniczańskim i bahowickim starostą, którym Markowski sprzedaje Łążyńskiemu kamienicę (dworek) w Kamieńcu Podolskim, nabytą niegdyś od Józefa Markowskiego, łowczego drohickiego, za sumę 10.000 zł. pol., którą to sumę otrzymawszy kwituje.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. IV. 9).

Nr 84. 19 września 1762 r. i 21 kwietnia 1762 r. w Kamieńcu.

Regestr sukien i drobiazgów różnych pozostałych po Ursz. Poniatowskiej. Na tym samym arkuszu: Regestr rzeczy zostawionych u brata najstarszego po siostrze spisany przez braci J. i Fr. Markowskich.

(oryg. z podp. Fr. Markowskiego 2 k. f. T. V. 7).

Nr 85. 30 września 1763 r.

Rejestr rzeczy wziętych do Bełzca, a przywiezionych przez Szczawińskiego i pozostałych po Józefie Markowskim, podkomorzym król., spisany przez brata jego Franciszka.

(oryg. z podp. Marcina Lipskiego 2 k. f. T. V. 16).

Nr 86. (1763 r.).

Tabela fortuny pozostałej po Józefie Markowskim, szambelanie król., a będącej w rękach Lipskich, starostów jabłonowskich, małżonków, bez m. i daty.

Na drugiej stronie karty: drzewo genealogiczne Markowskich po matce od Jana Szepinga, stolnika inflanc.

(oryg. 1 k. f. T. V. 14).

Nr 87. 6 stycznia 1764 r. w Podhorcach.

Kwit Joanny z Sierakowskich Jastrzębskiej, stolnikowej halickiej, wystawiony Franciszkowi Markowskiemu, staroście krzemieńczuckiemu, na 4.000 zł. pol. odebranych tytułem 3-letniej tenuty dzierżawnej, między Michałem Jastrzębskim, stolnikiem halickim, małżonkiem Joanny i Józefem Markowskim, szambelanem królewskim, bratem Franciszka, umówionej dnia 14 stycznia 1762 r. we Lwowie.

(oryg. z podp. Jastrzębskiej i piecz. 1 k. f. T. II. 15)

Nr 88. 26 marca 1764 r. w Skazińcach.

Jakub Bogorayski, dominikanin, kwituje Franciszkowi Markowskiemu, staroście krzemieńczuckiemu, sumę 200 zł. pol.

otrzymaną przez Konwent OO. Dominikanów szarawskich za odprawienie stu mszy za duszę Ignacego Markowskiego, sędzica podolskiego, oraz zezwala na pogrzeb u OO. Bernardynów w Jarmolińcach.

(oryg. z podp. 1 k. f. T. II. 14).

Nr 89. 14 sierpnia 1764 r. w Skazińcach.

Sumariusz dokumentów rodzinnych pozostałych po Ignacym Markowskim, sędzicu ziemskim podolskim, dziedzicu Kadyjówki spisany w 1764 r. zawiera:

W I fascykule: dokumenty wsi Kadyjówki z lat 1551—1741. 1551 r. Konstancja z Nowegodworu, żona Jana Swierskiego, daje Marcinowi Siekierzyńskiemu, siostrzeńcowi swemu, część Kadyjówki. — 1582 r. Mikołaj Herburt z Fulsztyna, podkomorzy halicki, daje Romanowi Jarmolińskiemu, Małgorzacie żonie Andrzeja Czołhańskiego, Michałowi, Jarosławowi, Konstantemu, Wasylkowi synom i spadkobiercom Mateusza Jarmolińskiego połowę wsi Kadyjówki. — 1599 r. Jakub Siekierzyński Adamowi Czołhańskiemu, Romanowi, Mikołajowi i Konstantemu Jarmolińskim oddaje prawa do Kadyjówki. — 1617 r. Adam Czołhański, syn Andrzeja, Mikołajowi Jarmolińskiemu, synowi Mateusza, daje pół Jarmoliniec Starych, Jarmoliniec Nowych, Sowińce, Oderyjowce alias Starzyszcza, Łopkowce, Kadyjówkę. — 1741 r. Józef, Ignacy, Franciszek, Urszula Markowscy, dzieci Konstancji z Szepingów, umawiają się z Mikołajem Potockim, starostą kamioneckim, w sprawie Kadyjówki.

W II fasc.: dokumenty Pieleszyckich w sprawie sumy 5200 zł. pol. na dobrach Kadyjówka u Jarmolińskich zaległej z lat 1666 r. — 1722 r.

W fasc. III: dokumenty do sumy Franciszka Janowskiego przez Mikołaja Potockiego, gener. podol., na Jezupol zaciągniętej, jako też proces o te sumy z lat 1661—1729 r.

W fasc. IV: dokumenty odnoszące się do sporu Janowskich o sumę 1000 zł. pol. z Janem Adamem Stadnickim z lat 1645—1680.

W fasc. V: dokumenty tyczące Leszczyńskich a odnoszące się do wsi Kujdańce i Żerebki z lat 1747—1752.

W fasc. VI: podział dóbr między Markowskiego, pisarza ziemsk. podol., i Dominika Szepinga z r. 1737.

W fasc. VII: proces i dekrety Józefa Markowskiego z Męcińskimi o 24.000 zł. pol. z lat 1741—1747.

W fasc. VIII: proces Michała Markowskiego, pisarza ziemskiego podolskiego, z Głogowskimi o Magierów i Rudę z lat 1742—1744.

W fasc. IX: proces Michała Markowskiego ze Stefanem Kozłowskim, regentem grodzkim kamienieckim, w sprawie opłaty 3-go grosza ex proventu cancellario z lat 1709—1727.

W fasc. X: dokumenty Markowskiego, pis. ziem. podol., w sprawach z Kozłowskimi o sumę 1271 zł. i 15 gr. z lat 1717—1742.

W fasc. XI: sprawa Markowskiego i Borowskiego o gwałty i Markowskiego z Podfilipską o 1000 zł. pol. z lat 1748—1749.

W fasc. XII: asekuracje sum po Raschu na Szepinga spadłych z lat 1739—1747.

W fasc. XIII: dokumenty chłopów z Kadyjówki z r. 1759.

W fasc. XIV: proces Ignacego Markowskiego, sędz. ziemsk. podol., z Zagórskim o pewne gwałty (violentiae) z lat 1756—1762.

W fasc. XV: dokumenty w sprawie sumy 90.000 zł. pol. Szepinga u Pawła Starzyńskiego i w sprawie sumy Ptaszyńskiego, złożonej u OO. Franciszkanów z lat 1749—1757.

W fasc. XVI: dokumenty sporów Zamoyskiego z Mąciszewskim (?) o dobra Wodyczki z lat 1753—1754.

W fasc. XVII: listy, procesy, kontrakty o sumę 10.000 zł. pol. między Ignacym a Józefem Markowskimi z lat 1749—1752.

W fasc. XVIII: dokumenty Józefa Markowskiego dotyczące wsi Strychowie z lat 1757—1760.

W fasc. XIX: kontrakty o wieś Turylcze między Józefem Markowskim a Darowskim z lat 1753—1754.

W fasc. XX: dokumenty wsi Podfilipie z lat 1729—1755.

W fasc. XXI: proces Józefa Markowskiego z Łosiem, kasztelanem kamienieckim, o dobra Podfilipie z 1751—1755.

W fasc. XXII: protesty Ignacego Markowskiego przeciw Józefowi Dulskiemu w sprawie Kadyjowa i Zielnicz z lat 1751—1752.

W fasc. XXIII: proces Ignacego Markowskiego z Jakubem Dulskim o poddanych z Szarawki z 1753—1755.

W fasc. XXIV: dokumenty Jana Markowskiego i syna jego Romualda w sprawie prezenty parafii w Romanowie z 1714—1731.

W fas. XXV: dokumenty Poniatowskich i Markowskich do posiadania Czernelowa i Kujdaniec z 1747—1761.

W fasc. XXVI: protesty i procesy Markowskich z Poniatowskim o zajazd wsi Kadyjówki i Skaziniec z 1758—1759 r.

W fasc. XXVII: protesty Poniatowskiego przeciw Markowskim w tych samych sprawach z 1759 r.

W fasc. XXVIII: kontrakty o arendy karczemne, wyrąb lasu, dzierżawy młynów Józefa Markowskiego z lat 1745—1763.

W fasc. XXIX: rozmaite regestry rzeczy i klejnotów po Markowskich, taksy, inwentarze.

W fasc. XXX: regestry zboża przywiezionego do Polski i listy Lipskiego o żyda Falkę Rudzińskiego.

W fasc. XXXI: spisy wydatków na podróże, werbunek kozaków, kupno sukien, wykaz zbóż sprzedanych, taksy i długi.

W fasc. XXXII: różne parapharnalia i ausztuki gdańskie.

W fasc. XXXIII: prezenta duchownego wsi Markowa, prawo na młyn Petrowi Baranowi, erekcja cerkwi, listy ks. Gromnickiego.

W fasc. XXXIV: kwity wsi Kadyjówki z podymnego.

W fasc. XXXV: inwentarze wsi Kadyjówki i spis stadniny z 1763 r.

W fasc XXXVI: kontrakt Ignacego Markowskiego o zboże z Mendlem Sieniawskim z 1761—1763.

W fasc. XXXVII: kontrakty o zboże, kwity, listy, spisy z 1736—1763 Ignacego Markowskiego.

W fasc. XXXVIII: procesy, dekrety Ignacego M. z Andrzejem Dzierzkiem, starostą barskim, o poddanych wsi Kadyjówki z 1754—1762.

W fasc. XXXIX: procesy i dekrety Mark. z Dzierzkiem w tej samej sprawie z 1752—1756.

W fasc. XL: dokumenty Dzierzka w tejże sprawie 1755—1757.

W fasc. XLI: dokumenty Ignacego Markowskiego w sprawie z ks. Lubomirskim o poddanych z Kadyjówki 1753—1762.

W fasc. XLII: dekrety i proces Ignacego Markowskiego z Lubomirskim i Podfilipską o poddanych z Kadyjówki 1753 r.

W fasc. XLIII: dekrety i procesy Ign. Markowskiego z Rzewuskimi i Irzykiewiczem o poddanych z Kadyjówki 1753—1754.

W fasc. XLIV: dokumenty Ign. Markowskiego w sprawie z konwentem OO. Dominikanów o poddanych zbiegłych z Kadyjówki do Galiczyniec i Księżówki 1753.

W fasc. XLV: kalendarze z notatkami ważnymi z 1754—1763.

W fasc. XLVI: listy w sprawach finansowych.

W fasc. XLVII: cztery księgi różnych regestrów.

W fasc. XLVIII: regestry, rachunki, kalendarze, papiery Ignacego Markowskiego, odebrane od Łubkowskiego, subdelegata grodzkiego kamienieckiego, w r. 1764 dekretem kapturowym.

W fasc. XLIX: kwity ręczne Rybałtowskiego wystawione Ign. Markowskiemu.

W fasc. L: transakcje z Kułaczkowskim.

W fasc. LI: papiery w sprawie żydów kadyjowskich.

W fasc. LII: papiery Ign. Markowskiego dotyczące transakcyj z żydami o zboże. (oryg. k. 34. f. T. V. 23).

Nr 90. 13 stycznia 1767 i 1768 r. we Lwowie.

Kwit Franciszka Stadnickiego, chorążego podolskiego, wystawiony Franciszkowi Markowskiemu, podczaszemu latyczowskiemu i staroście krzemieńczuckiemu, na prowizję za rok 1766 otrzymaną od sumy 13.437 zł. 15 gr. we Lwowie 13 stycznia 1767 r.

Na tym samym papierze: podobne potwierdzenie za rok 1767 z datą: we Lwowie, 13 stycznia 1768 r.

(oryg. z podp. 2 k. f. T. II. 16).

Nr 91. 2 października 1767 r. we Lwowie.

Kwit Directorium miasta Lwowa na 21 zł. 16 gr., które wpłacił Markowski, starosta krzemieńczucki, tytułem podatku łokciowego za dworek z kuchnią, wozownią i ogrodem.

(kwit częściowo pisany częściowo drukowany z podp. i piecz. 1 k. 4⁰. T. II. 29).

Nr 92. 7 stycznia 1768 r. w Warszawie.

Król Stanisław August kwituje podczaszemu latyczowskiemu, Franciszkowi Markowskiemu, odbiór 100.000 zł. pol. tytułem pożyczki dla skarbu król., zabezpiecza ją na kluczu zaleszczyckim w województwie podolskim i zobowiązuje się oddać wraz z prowizją 8% za rok we Lwowie.

(Obl. w grodzie lwowskim 12 stycznia 1769 r. kopia 2 k. f. T. II. 1).

Nr 93. 11 stycznia 1769 r. we Lwowie.

Kwit Franciszka ze Żmigrodu Stadnickiego, chorążego podolskiego, wystawiony Franciszkowi Markowskiemu, podczaszemu latyczowskiemu, na otrzymaną prowizję 1.343 zł. pol. i 21 gr. za rok 1768 od sumy należnej 13.433 zł. pol. 15 gr.

(oryg. z podp. 1 k. 4⁰. T. II. 17).

Nr 94. 22 stycznia 1772 r. we Lwowie.

Tadeusz Leszczyc Grabianka obniża Franciszkowi Markowskiemu, podczaszemu latyczowskiemu i staroście krzemieńczuckiemu, prowizję od należnej sumy z 10% i 9% na 8%.

(oryg. z podp. i piecz. 1 k. f. T. II. 18).

Nr 95. 3 sierpnia 1775 r. w Rudzie.

Rejestr rzeczy wziętych ze Smorzy po śmierci Józefa Markowskiego przez jego brata Jana M.

(oryg. z podp. Jana M. 2 k. f. T. V. 15).

Nr. 96. 1776 r.

Wyroki drukowane w rozmaitych procesach, w których występuje Franciszek Markowski, chorąży podol.. dziedzic Struhy (Strugi). M. in. sprawa przekazania dóbr Strugi na sumę 44.238 zł. pol. przez M. Markowskiego, chorążego podol., M. Markowskiemu.

Nadto dokumenty drukowane odnoszące się do lasów fortuny Kossakowskich, wśród nich:

z 1776 r. dekret w sprawie podziału dóbr Struha, Strużka, Szczerbowce, Bałabanówka i Słobódka przez współdziedziców Markowskiego, Humieckich, Starzyńskich, Kossakowskich, Newelskich, Wolanowskich.

z 1777 r. kwity Humieckich i Starzyńskich dla Markowskiego na sumę 22.470 zł. 17 gr., a Markowskiego dla nich na sumę 20.000 zł. pol.

z 2 sierpnia 1784 r. sprawy majątkowe Markowskiego z Dydyńskimi i Kossakowskim.

z 15 października 1784 r. skarga Dydyńskich na Markowskiego o niezapłacenie Newelskim sumy 24.000 zł. pol.

z 28 lutego 1785 r. Markowski, chorąży podolski, oddaje część Strugi Dydyńskim.

(Druk współcz. na 4 k. f. T. VII. 7).

Nr 97. 21 lutego 1776 r.

Intromisja Martyny z Lanckorońskich Stadnickiej, starościny balińskiej, wdowy po Franciszku, chorążym podolskim i Ignacego, Tomasza i Piotra Stadnickich, synów Stanisława Stadnickiego, chorążego latyczowskiego, na czwartą część Czernelówki w wojew. wołyńskim pow. krzemienieckim na mocy kontraktu zastawnego 29 stycznia 1772 r. we Lwowie zawartego.

(Wyciąg z ksiąg grodzkich krzemienieckich 2 k. f. T. III 8).

Nr 98. 1 lutego 1777 r. we Lwowie.

Kwit Franciszka Markowskiego wystawiony Rozalii Szumlańskiej, starościnie rakowieckiej, na pobraną sumę 300 czerw. zł. na 5%.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. II. 19).

Nr 99. 14 kwietnia 1777 r. w Czernelówce.

Kontrakt dzierżawny na czwartą część Czernelówki w woj. wołyńskim powiecie krzemienieckim dany Franciszkowi Markowskiemu, chorążemu latyczowskiemu i staroście krzemieńczuckiemu, przez Martynę Stadnicką, chorążynę podolską i starościnę balińską.

(Wypis z ksiąg grodzkich krzemienieckich 2 k. f. T. IV. 10).

Nr 100. 3 lutego 1778 r. we Lwowie.

Jan Kossakowski daje Franciszkowi Markowskiemu, chorążemu latyczowskiemu, staroście krzemieńczuckiemu i rotmistrzowi kawalerii narodowej, rewers na dalszą posesję części dóbr Struhy (Strugi).

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. II. 20).

Nr 101. 17 sierpnia 1781 r.

Regestr rzeczy pozostałych po ks. Florianie Markowskim, kanoniku katedralnym kijowskim, spisany z polecenia Konsystorza Metropolitalnego Lwowskiego.

Dołączona 1 k. z expensem pogrzebowym po śmierci ks. Floriana Markowskiego, kanonika kijowskiego, na sumę 421 zł.

(kopia 4 k. f. T. V. 21).

Nr 102. 8 marca 1782 r. w Korcu.

Regestr rzeczy odebranych od Jana Stebnickiego.

(oryg. z podp. Dom. Szepinga 2 k. f. T. V. 19).

Nr 103. 22 kwietnia 1782 r. w Korcu.

Józef Czartoryski, starosta łucki, podaje w sprawach weneckich do akt grodzkich łuckich, że Dominik Szeping, generał-major wojsk koronnych, przebywa zdrów na ciele i umyśle w jego domu w Korcu, w województwie wołyńskim, powiecie łuckim.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. I. 9).

Nr 104. 20 i 21 maja, 4 sierpnia 1782 r. i 2 lipca 1783 r. w Korcu.

Regestr rzeczy darowanych Aleksandrowi Krasnopolskiemu przez Dominika Szepinga, generał-majora spisany, oraz prośba

Szepinga do Czartoryskiego, stolnika litewskiego i starosty łuckiego, o wzięcie w opiekę Krasnopolskiego.

(Kopia poprawiona i sprawdzona 2 k. f. T. V. 20).

Nr 105. 22 czerwca 1782 r. w Warszawie.

Plenipotencja po francusku Dominika Szepinga, generał-majora, wydana Reckowi, zastępcy jego w Wenecji. Poniżej: stwierdzenie autentyczności podpisów po łacinie i francusku.

(oryg. z piecz. i podp. 2 k. f. T. VII. 3).

Nr 106. 13 grudnia 1782 r. w Matwijkowcach.

Ekscerpt z sumariuszów gener. papierów Markowskiego, wojskiego, w czasie kondescensji w Matwijkowcach odbywającej się wyjęty, podpisany przez Mariannę Markowską, drugą żonę wojskiego.

Fascykuł I: Papiery procesu z Żeromskimi o sumy 20.000 i 12.000 zł.

Fasc. IV (!): Papiery dworku w Kamieńcu.

Fasc. III: Papiery Matwijkowiec z lat 1719—1750; a to z r. 1719 kwity należności u Czermińskich. — 24 marca 1719 r. w Kamieńcu: kontrakt Michała M. z Czermińską w sprawie dzierżawy części Kutkowiec za 3000 zł. rocznie. — 16 kwietnia 1721 r.: układ w sprawie Kutkowiec z Kociszewskimi. — 6 czerwca 1721 r.: Czermińska w sprawie mężowskiej substancji. — 5 maja 1724 r.: Kociszewscy rozliczają się z Michałem M. w sprawie sum na Kutkowcach. — 2 listopada 1724 r. w Kamieńcu: kontrakt M. z Czermińską o część Matwijkowiec. — Pod tą samą datą skrypt dany na osobę Mich. M. od Czermińskiego. — 25 lutego 1725 r. w Kamieńcu: kontrakt M. z Kawieckimi o część Matwijkowiec. — Bez daty: inwentarz części wsi Kutkowiec spisany przez Czermińskiego. — 25 lutego 1725 r.: Punkty do komplanacji M. z Kawieckimi. — 13 marca 1725 r.: Inwentarz części Matwijkowiec. — 28 lutego 1725 r.: Kawieccy rozliczają się z M. — 12 listopada 1733 r.: Michał M. rozlicza się z Aleksandrem M. z sum na Matwijkowcach. — 29 kwietnia 1734 r.: Intromisja Aleksandra M. do Matwijkowiec. — 25 maja 1743 r.: Aleksander M. daje Michałowi M. dobra Marków. — 9 marca 1750 r. Komplanacja Aleksandra M. z Zamoyskim o grunt wsi Matwijkowiec.

(oryg.: 1 k. f. T. VI. 16).

Nr 107. 30 stycznia 1785 r. we Lwowie.

Kwit Rozalii Chrzanowskiej na prowizję w kwocie 90 czerw. zł. od sumy 300 czerw. zł. pożyczonej w r. 1772, wystawiony dla Markowskiego, chorążego podolskiego.

(oryg. z podp. 2 k. f. T. II. 21).

Nr 108. 22 czerwca 1787 r. w Białej.

Plenipotencja Ludwiki z Markowskich Głogowskiej dla męża swego Jakuba Głogowskiego do zastępowania jej w sprawie rozliczeń z dóbr wsi Rudy i Magierowa między Janem Markowskim, jej ojcem, a Franciszkiem Markowskim, chorążym podolskim i kawalerem orderu św. Stanisława, i w sprawie sukcesji po Józefie i Ignacym Markowskich oraz Elżbiecie z Głogowskich Markowskiej, jej babce, in foro nobilium.

(oryg. z podp. i piecz. 1 k. f. T. VII. 5).

Nr 109. 2 września 1787 r. w Młyniskach.

Plenipotencja Jana Kapistrana i Balbiny ze Stadnickich Lipskich[1]) dla Antoniego Podfilipskiego do zastępowania ich w sprawach majątkowych.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. VII. 4).

Nr 110. 1 sierpnia 1789 r. w Kulczyjowcach.

Kwit Rozalii ze Stadnickich Chrzanowskiej na 300 czerw. zł. z prowizją, odebranych od Franciszka Markowskiego, kasztelana sanockiego.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. II. 22).

Nr. 111. 31 marca 1790 r. w Kamieńcu.

Kwit nr. 435 na zł. pol. 113, które wpłacił Markowski ze swej części dóbr kulczyjowieckich w parafii kitajgrodzkiej województwa podolskiego do skarbu koronnego tytułem należności na magazyn wojskowy od dymu po 1 złotym.

Kwit nr. 436 na zł. 20, które wpłacili Kaliszczoscy ze swej części dóbr kulczyjowieckich tytułem podobnej należności, datum ut supra.

Kwit nr. 437 na zł. 61, które wpłacił Markowski ze swej części dóbr Derewian w parafii kitajgrodzkiej województwa podolskiego, datum ut supra.

---

[1]) Balbina ze Stadnickich Lipska była siostrą Eleonory ze St. Markowskiej, kasztelanowej sanockiej.

Kwit nr. 438 na zł. 10, które wpłacili Kaliszczoscy ze swej części dóbr Derewian, datum ut supra.

(druk współcz. z podp. urzędnika 1 k. 4⁰. T. II. 28).

(wszystkie te kwity na jednym papierze).

Nr 112. 1 czerwca 1790 r.

Tabela (spis) i taksa (otaksowanie) wszystkich dóbr, sum, ruchomości należących niegdyś do Franciszka Stadnickiego, chorążego podolskiego i Jadwigi z Kumanowskich, małżonków, oraz określenie posagów ich córkom, sporządzone w czasie podziału dóbr Dobrohoszcza między braci Stadnickich i siostry: Rozalię ze St. 1⁰ voto Szumlańską, 2⁰ voto Chrzanowską starościnę biłecką, Eleonorę Markowską, kasztelanową sanocką i Balbinę Lipską.

(kopia k. 6 f. T. V. 2).

Nr 113. 28 lutego 1791 r. w Kamieńcu.

Kwit Kolumby Stadnickiej na 180 zł. pol. otrzymanych od Fr. Markowskiego, kasztelana sanockiego).

(oryg. z podp. 2 k. f. T. II. 23).

Nr 114. 1 lutego 1792 r. w Kamieńcu.

Kwit Kolumby Stadnickiej na 180 zł. pol. otrzymanych od Fr. Markowskiego, kasztelana sanockiego kawalera polskich orderów.

(oryg. z podp. 2 k. f. T. II. 24).

Nr. 115. 26 lutego 1795 r. w Kulczyjowcach.

Kwit ks. Jana Zawadzkiego, kanonika katedralnego kamienieckiego komendarza kościoła skazinieckiego, wystawiony na 118 zł. 22 gr. otrzymanych tytułem zaległej pensji ks. Turzańskiego i 3 części subsidii charitativi od Franciszka Markowskiego, kasztelana sanockiego, orderów pol. kawalera i kollatora kościoła skazinieckiego.

(oryg. z podp. 1 k. f. T. II. 25).

Nr 116. 5 lipca 1795 r. w Zerembie.

Kwit J. Markowskiego wystawiony Antoninie z Turkułów Lipińskiej, stolnikowej halickiej, na 4 zł otrzymane tytułem pół prowizji od 300 zł. pol., pobranych niegdyś przez Jana Lipińskiego, stolnika halickiego.

(oryg. z podp. 1 k. 4⁰. T. II. 26).

Nr 117. 11 listopada 1806 r. w Kulczyjowcach.

Kontrakt między Eleonorą z hr. Stadnickich Markowską, kasztelanową sanocką, wdową po Franciszku Rafale, a jej synami

Kazimierzem i Piotrem, podkomorzym powiatu płoskirowskiego, Markowskimi, w którym matka daje synom wieś Skazińce w powiecie płoskirowskim w trzyletnią arendowną posesję od 15 listopada br.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. IV. 11).

Nr 118. 12 listopada 1806 r. w Kulczyjowcach.

Regestr rzeczy pozostałych po Franciszku Markowskim, a dla synów jego Kazimierza, Piotra, Jana i Mikołaja losem przypadłych i przez tych przy świadkach sporządzony.

(w czterech częściach (schedach) na 4 arkuszach T. V. 22).

Nr 119. 3 lutego 1809 r. w Kamieńcu.

Komplanacja dzielcza czyli wieczysty dział majątków przed sądem kompromisarskim (!) dokonany między dziećmi Franciszka Markowskiego, kasztelana sanockiego, i Eleonory ze Stadnickich: Kazimierzem, kasztelanicem sanockim, podkomorzym powiatu płoskirowskiego, Mikołajem M., Zuzanną z M. Makowiecką, jej mężem Janem Makowieckim, b. chorążym powiatu uszyckiego, Teklą z M. Borkowską i jej mężem Michałem Borkowskim, rotmistrzem b. wojsk. pol.

Ustalono trzy schedy: Pierwsza przypadła Mikołajowi M.: Kadyjówka, z Słobódką z obowiązkiem zapłacenia 40.000 zł. srebrem posagu siostrom. Druga Piotrowi M.: Część Kulczyjowiec ze Słobódką w pow. kamienieckim, część Derewlan w pow. uszyckim, część Matwijkowiec w pow. płoskirowskim oraz skrypty u różnych na sumę 28.540 zł. pol., 5.705 zł. i 2.521 rubli. Na schedzie tej ciążył obowiązek zapłacenia siostrom posagu 260.000 zł. Trzecia scheda przypadła Kazimierzowi — obejmowała Skazińce w pow. płoskirowskim oraz skrypt Jana Onufrego Orłowskiego, łowczego nadw. kor., na 30.000 zł. z 17 sierpnia 1806 r. Sumy po matce podzielono na trzy części i przyznano braciom. Siostrom przyznano razem 400.000 zł. posagu, 100.000 zł. otrzymały już dotychczas, 40.000 zł. wypłaci pierwsza scheda, 260.000 zł. druga scheda. Sumy, potrzebujące windykacji, razem 12.458 zł. pol. i 196 czerw. zł. podzielono na cztery części, trzy przyznano trzem braciom, czwartą obu siostrom. Bracia mieli wspólnie wypłacić długi: 10.000 zł. srebr. Marcinowi Ruczyńskiemu i 7.000 sukcesorom Inessa. Następnie wyliczono ludzi zatrzymanych przy sobie prawem dziedzicznym; papiery familijne zatrzymał Kazimierz M. Następowały wyzna-

czone przez sąd terminy, w których miano wypłacić należne sumy i zwrócić sobie majątki.

(oryg. z podp. i zatwierdzeniem Sądu Gł. Gub. Podol. oraz dekretem sądu komprom. k. 10 f. T. III. 9).

Nr 120. 8 stycznia 1810 r. w Kamieńcu.

Układ między Piotrem Markowskim, podkomorzym powiatu płoskirowskiego, Zuzanną z M. Makowiecką, jej mężem Janem, chorążym powiatu uszyckiego, Teklą z M. Borkowską, jej mężem Michałem, rotmistrzem b. wojsk pol., Kazimierzem i Mikołajem Markowskimi, kasztelanicami sanockimi, na podstawie którego: siostry Zuzanna i Tekla mają otrzymać z masy fortuny ojczystej i macierzystej po 150.000 zł. pol. w złocie holend. (1 czerw. zł. = 21 zł. pol.) Piotr Mark. ze swej schedy wypłacił po 141.000 zł. pol. siostrom Zuzannie i Tekli. Mikołaj M. wypłaci siostrom po 9.000 zł. pol.

(oryg. z podp. i piecz. k. 2 f. T. III. 10).

Nr. 121.

Wydatek na wyprawę (spis wyprawy) marszałkówny Magdaleny Markowskiej, bez daty i miejsca.

(oryg. 1 k. f. T. V. 8).

Nr 122. 24 czerwca 1837 r. w Skazińcach.

Kontrakt między Zuzanną z Markowskich Makowiecką, chorążyną uszycką, i Kazimierzem Markowskim, kasztelanicem sanockim, którym Markowski pożycza u Makowieckiej 6.428 rubli srebr., za którą to sumę puszcza pół części wsi Skazińce w posesję arendowną na 5% licząc po 600 rubli rocznie.

(oryg. po polsku i ros. z podp. i piecz. wraz z rachunkami po ros. k. 4+2+6 f. T. IV. 12).

Nr 123. 30 listopada 1837 r. w Skazińcach.

Testament Kazimierza Markowskiego, syna Franciszka, kasztelana sanockiego, i Eleonory z hr. Stadnickich, w którym postanawia: oddać swoją połowę wsi Skaziniec dwom starszym synom swego zmarłego brata, Piotra, Mateuszowi i Wilhelmowi, którą obejmą po śmierci testatora z 194 duszami i nieruchomościami oraz zobowiązaniem wobec Zuzanny Makowieckiej. Zastrzega sobie dysponowanie majątkiem ruchomym. W razie śmierci jednego z synowców, drugi obejmie schedę w całości. Przyjacielowi swemu Rufinowi Piaseckiemu przeznacza 20 wołów.

(oryg. z podp. świadków i piecz. 4 k. f. T. III. 15).

Nr 124. 25 września 1845 r. w Skazińcach.

Zuzanna Makowiecka sprzedaje A. Świderskiej dla gorzelni zyszczynieckiej 1.000 korcy żyta po 7 zł. pol. korzec.

(na tej samej karcie pokwitowania odbioru żyta i pieniędzy).

(oryg. z podp. 2 k. f. T. IV. 13).

IV. Różne dokumenty.

Nr. 125. 4 kwietnia 1666 r. w Kamieńcu Podolskim.

Testament Zuzanny (?) Stępkowskiej, w którym postanawia: synowi swemu Wojciechowi Maszowskiemu oddaje Wołudryńce i Rakowiec wraz z sumami danymi Zamoyskim i obligationem na tych wsiach i na części wsi Korytnej oraz sumę 10.000 zł. pol. daną Zamiechowskiej na Kalusie w Wiszbowszczyźnie (!) i 5.000 zł. u Potockich oraz 3.000 zł. u Marianny Boguszowej. Mężowi swemu Maciejowi Stępkowskiemu zapisuje sumę 3.200 zł. pożyczoną generałowi podolskiemu i pisarzowi polnemu koronnemu, Potockim, oraz 2.000 zł. na dworze w Kamieńcu. Inne sumy, razem ok. 16.000 zł., zapisuje klasztorom, bractwom, księżom, krewnym, służbie. Ruchomości oddaje kościołom, synowi Wojciechowi i mężowi. Stępkowski ma łożyć z dożywocia swego na Stasia, syna Wojciecha Zaszowskiego.

(oryg. mocno zniszczony z podp. 3 k. f. T. III. 14).

Nr 126. 13 grudnia 1749 r. w Dubnie.

Janusz Aleksander Sanguszko, miecznik W. X. Lit., pozwala Jakubowi Przybyszewskiemu, sędziemu grodzkiemu buskiemu i Wiktorii Małachowskiej, małżonkom, na cesję wsi Hreorówka (!) w województwie wołyńskim, powiecie krzemienieckim, kluczu konstantynowskim na rzecz Dominika Sochy Chomętowskiego i Łucji Spendowskiej, małżonków.

27 września 1753 r. w Dubnie.

Dopisane przez tegoż Janusza Aleksandra Sanguszkę pozwolenie na dalszą dzierżawę Hrehorówki (!) synom Dominika Sochy Chomętowskiego, Antoniemu, Józefowi i Mikołajowi.

(oryg. z podp. i piecz. 2 k. f. T. I. 13).

Nr 127. 16 maja ...86 r. (?) w Warszawie.

List (bilet) M. Walewskiego, wojewody sieradzkiego, do ks. Grodzieckiego, dziekana warszawskiego, z prośbą o wystaranie się pożyczki 1000 czerw. zł. na niski procent, może u Biernackiego, superintendenta kasy generalnej.

Tablica genealogiczna
gałęzi podolskiej Bończa Markowskich.

- **Jan Markowski** skarbnik z. bielskiej, ż. Anna Hryniewiecka
  - Aleksander wojski podol. † ok. 1760, I. ż. Wilczkówna, II. ż. Marianna Wojnarowska
    - Anna ż. Piotra Żeromskiego łowcz. liwskiego
    - Katarzyna
  - **Michał Mateusz** sędzia ziem. podol. † 1745, I. ż. Konstancja Szepinżanka
    - Józef † 1763 bezpotom. podkom. król.
    - Ignacy † 1764 bezpotom.
    - Florian S. J. † 1784 bezpotom.
    - **Franciszek** † 1806 kasztelan sanocki ż. Eleonora Stadnicka
      - Kazimierz † o. 1837 [bezpotom. chorąży chor. panc.
      - Jan bezpotom.
      - Mikołaj ż. Tekla Górska
        - Jakub bezpotom.
        - Anna ż. Mik. Krokowskiego
        - Tekla ż. Aleksandra Langa
        - Ludwika ż. Ludw. Bernatowicza marsz. łatycz.
      - **Piotr Gabriel Józef** † 1833 star. krzemieńczucki ż. Karolina Żeromska
        - Roman bezpotom.
        - Wilhelm bezpotom.
        - Narcyz bezpotom.
        - August bezpotom.
        - Piotr ż. Karolina Grocholska
          - Michalina ż. Lipskiego
          - Magdalena ż. Rom. Grocholskiego
            - Kazimierz Grocholski ż. Zofia Rozwadowska
              - Roman G.
            - Jerzy Grocholski † 1934 [bezpotom. ż. Anna Niementowska
        - Kazimierz ż. Kazimierska
          - Maria ż. Wasiutyńskiego
        - **Mateusz** ż. Adela Wielamowska
          - **Władysław** † 1902 [bezpotom.
        - Franciszek ż. Sewer. Pawlikowska
          - Maria
          - Jadwiga ż. Kaz. Zaleskiego
        - Zuzanna
        - Karolina
        - Kordula
        - Magdalena ż. Aleks. Krokowskiego
      - Zuzanna ż. Jana Makowieckiego chor. uszycki
      - Tekla ż. Mich. Borkowskiego rotm. w. p.
    - Urszula † 1762 ż. Ign. Poniatowskiego cześn. żytom.
  - II. ż. Elżbieta Głogowska
    - Jan stolnik parnawski ż. Marianna Głogowska
      - Ludwika ż. Jakuba Głogowskiego
      - Anna ż. Aleks. Zielonki podkom. lwow.
    - Teresa ż. Marcina Lipskiego pis. żydaczow.
  - Józef na Podlasiu

- Jan Zygmunt Szeping stolnik inflancki ż. Anna Jarmolińska
  - Konstancja † 1737 ż. Michała Markowskiego
  - Rozalia ż. Jana Rascha
    - Ignacy Rasch kapitan piech. bezpotom.
  - Dominik † 1783 bezpotom. gen.—major

(oryg. z podp. 1 k. 4⁰). (Obl. blankiet wraz z biletem w aktach ziemi warszawskiej 2 lipca 1796 r. — ponownie 1 września 1805 r. 2 k. f. T. II. 27).

Nr 128. 2 marca 1799 r. w Siekierzyńcach.

Plenipotencja Józefy Horodyskiej dla Michała Żebrowskiego, jej siostrzeńca.

(oryg. z podp. i piecz. 1 k. f. T. VII. 6).

Indeks osób i miejscowości.
(Podano strony odbitki).

LADENBERGER TADEUSZ, Tarnopol.

Notatki bibliograficzne[1]).

Dzieła treści ogólnej.

1. Faliński Bronisław: Powiat Kamionka Strumiłłowa. Str. 269+III. 16×24 cm. Kamionka Strumiłłowa 1935. Staraniem Koła Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich.

Praca ta ma charakter raczej publikacji statystyczno-materiałowej niż monografii. Sam autor w przedmowie zapowiada, że „sposób opracowania może być często zbyt materiałowy, statystyczny, nie nadający się do lektury, ale studiów samodzielnych, do przemyślań“. Materiały jego dotyczą dziejów osiedli powiatu kamioneckiego, budowy fizycznej, wód, klimatu, ludności, zawierają opisy kościołów i cerkwi, przedstawiają organizację kościelną obu obrządków, stan szkolnictwa, oświaty pozaszkolnej (biblioteki, czytelnie, domy ludowe), zdrowia publicznego i opieki społecznej, przysposobienia fizycznego, organizację administracji państwowej i samorządowej, wreszcie stan życia gospodarczego ze szczególnym uwzględnieniem rolnictwa. Wykaz bohaterów walk o niepodległość z lat 1794—1920 i uzupełnienia notatek historycznych kończą książkę. — Powiat kamionecki liczy 70 osiedli, w tym 2 miasta. Obszar jego wynosi obecnie 1.000 km^2, a ludność liczy 82.700 osób. Terytorium powiatu jest płaską równiną, zbudowaną z utworów czwartorzędu, którą Bug dzieli na dwie krainy. Lewobrzeżna posiada dobre gleby, dużo pól uprawnych i gęste zaludnienie (116 ludzi na 1 km^2), prawobrzeżna natomiast gleby piaszczyste, wiele mokradeł i lasów, a małe i nieliczne osiedla (67 ludzi na km^2). Spisy ludności wykazują cyfrową przewagę ludności polskiej (51%), której ustępują Rusini (41%). Ludność ta w zwartej masie zamieszkuje okolice Kamionki, a zwłaszcza jej północne strony (14 gromad ma 83% Polaków) oraz obszar położony na północ od Buska (12 gromad liczy 73% Polaków). Poza tym Polacy mieszkają we

---

[1]) Po jednej notatce dostarczyli mi łaskawie panowie: O. Górnisiewicz A., Heilpern A., Kozioł F., Przyboś A. W tekście zostały po nich umieszczone nazwiska autorów.

wszystkich osiedlach powiatu, jednak w okręgach o zdecydowanej przewadze ruskiej procent ich maleje. W kolizji ze spisem ludności pozostaje statystyka wyborów samorządowych, w których Rusini stale biją Polaków. W latach 1933 i 1934 np. na ogólną liczbę 1214 mandatów do rad miejskich i gromadzkich wybrano 520 Polaków (43%), 527 Ukraińców, 149 Starorusinów, 7 Żydów i 11 Niemców. Parafij rzymskokatolickich jest w powiecie 15, a księży 21, na jednego więc księdza przypada 1462 ludzi, gdy tymczasem parafij greckokatolickich pracuje 33, księży 38, a na jednego księdza wypada 1120 osób. Żydzi są wprawdzie liczebnie słabi (8% ogólnego zaludnienia), jednak w życiu gospodarczym powiatu odgrywają rolę bardzo poważną. Opanowali oni przemysł i handel, a w pewnej mierze nawet spółdzielnie: żydowskie spółdzielnie mleczarskie biją swą produkcją polskie, na ogólną liczbę 303 warsztatów rzemieślniczych aż 136 jest żydowskich, kupców żydowskich jest 494, tj. 66%, na ogólną cyfrę 48 przedstawicieli wolnych zawodów 22 jest Żydów. — Korzystnie przedstawia się szkolnictwo powszechne. Ogółem było w 1930/31 r. 79 szkół powszechnych, w tym 15 wyżej zorganizowanych, a 36 czysto polskich. Jedna szkoła wypada na niespełna 12 km² i 1046 ludzi. Szkoły średnie są dwie: szkoła rzemiosł i gimnazjum humanistyczne. — Porównanie budżetów gmin wiejskich i miejskich wykazuje, że mieszczaństwo tutejsze jest czterokrotnie silniejsze gospodarczo od elementu wiejskiego. Jednak liczebnie kolosalnie przeważa stan rolników: spis z r. 1921 wykazał, że aż 81%, a spis z 1931 r., że 85% ogółu ludności powiatu żyje z rolnictwa i leśnictwa, 7% z przemysłu, 8% z handlu. Niekorzystnej strukturze ludnościowej odpowiada wadliwy ustrój rolny. W 1931 r. gospodarstw karłowych i małych (do 5 ha) było aż 81%, średnich (5—10 ha) 15%, dużych (10—50 ha) tylko 3%. Gospodarstwa folwarczne w liczbie 52 zajmują 38% obszaru przeważnie w środkowej i wschodniej, leśnej części powiatu. Na najlepszych gruntach siedzą przeważnie chłopi ruscy. Parcelacja dała 16 kolonij o 329 gospodarstwach, przy czym 48% ziemi przeszło w obce ręce. Rozdrobnienie gruntów jest wprost jaskrawe, a ich scalanie napotyka na zdecydowany opór włościan. Prace melioracyjne przeprowadzają wolno tylko 3 spółki wiejskie, mimo tego że około 1/7 część powiatu jest zbyt silnie nawodniona. — Procentowo największy obszar pól uprawnych zajmuje pszenica (22—24%), prawie dorównuje jej żyto (21—23%),

na trzecim miejscu stoją ziemniaki (17%), a potem idą owies (13%) i jęczmień (8%). Plony należą do najsłabszych w województwie tarnopolskim. Inne rośliny mają w gospodarstwie znaczenie podrzędne. Plantacje buraków są najmniejsze w województwie, natomiast dobrze rozwija się uprawa lnu (pierwsze miejsce w województwie). Lasów jest jeszcze dość dużo, bo 23% obszaru, ale ilość ich stale maleje. Należą wyłącznie do prywatnych właścicieli. — W zupełnym upadku znajduje się rybołówstwo i pszczelarstwo. Hodowcy zwierząt domowych na ogół nie zważają na dobór rasy i chów młodzieży. Wyższy nieco stan hodowli obserwuje się tylko w południowej bogatszej części powiatu. Liczba bydła rogatego jest dość znaczna (przeciętnie po 2 sztuki na dom wiejski), koni przeważnie małych i lichych nadmierna (przeciętnie 1 na gospodarstwo wiejskie), hodowla trzody chlewnej rozwija się dobrze w południowej części powiatu, hodowla owiec nie odgrywa poważniejszej roli. — W przemyśle rozwinął się tylko dział przemysłu drzewnego (8 tartaków i 1 terpentyniarnia); młynów jest 19, browary 2, gorzelnie 4, na wsi rozpowszechnił się tkacki przemysł ludowy (400 warsztatów). Słabo rozwija się rzemiosło i handel. Dodatnim zjawiskiem w życiu gospodarczym powiatu są liczne, choć drobne instytucje kredytowe, między którymi najsilniejsze są polskie. Sieć dróg jest słabo rozwinięta: bitych wypada 59 mb, a kolejowych 45 mb na 1 km². — Na 5 cmentarzach leży w powiecie 461 Polaków poległych w walkach o niepodległość Polski w latach 1918—20. Tekst uzupełnia 8 mapek (niestety prawie nieczytelnych) i 39 fotografij.

Kościół.

2. Medyński Aleksander: Ks. Arcybiskup Dr. Bolesław Twardowski 1886—1936. Str. 80+8 tbl. 14×20 cm. Lwów 1936.

Na terenie Podola, należącego (jak wiadomo) do archidiecezji lwowskiej, stosunki kościelne rozwijają się coraz to pomyślniej. Wiek XIX przy końcu swoim pogrzebał nareszcie bezpowrotnie józefinizm, a wraz z odnowieniem życia polskiego i uleczeniem ran, jakie zadał rok 1863, odżył i Kościół; tym więcej, że na czele jego stanęły tak pomnikowe postacie, jak ks. arcyb. Bilczewski i obecny rządca ks. arcyb. Twardowski. — Pierwszy, to pomnikowa postać, pełen ducha poprzedników swoich, jak Jakub

Strzemię (1391—1409), poradnik Jagiełły i Jadwigi, senator i „rada“ Królestwa, co ziemie podolskie oczyszczał ze schizmy, a budując kościoły i kaplice i Kościół umacniał i polskość z Macierzą Królową silniej łączył. A na końcu żywota Polski, przed samymi rozbiorami, jak gwiazda zajaśniał Hieronim Sierakowski, który zrozumiał błąd popełniony i całe życie swoje na naprawienie jego poświęcił. Rządy jego (1760—1780) to jedno usiłowanie, dawniej już w Kamieńcu i Przemyślu podjęte, gdzie był uprzednio biskupem, uzbrojenia kresów naszych w umiłowanie obrządku łacińskiego i polskości. I do tego dążył odbywając Synod (1765) i przepisując zbawienne ochronne rady w postępowaniu z żydostwem. Początek XX wieku zobaczył znowu wzór arcypasterza, co podolską ziemię otoczył serdeczną opieką swoją. Arcybiskup Bilczewski (1900—1923) odnawia kościoły, buduje kaplice, rozszerza oświatę, wspomaga pracę nad rozbudzeniem ducha narodowego. Trzeba go było widzieć podczas wizyt arcypasterskich, nie było placówki pracy narodowej, której by był nie nawiedził i słowem swoim nie rozbudził ducha miłości Ojczyzny i nie zachęcił do pracy. Wartości jego probierzem był czas wojenny. Wrogów zmusił nawet do szanowania siebie i dlatego wpływem swoim wszędzie był pomocnym, gdzie tylko mógł, niósł ratunek. Wśród czasów inwazji nie opuszczał Lwowa, na wszystko przygotowany, nawet na najgorsze, był duchem opiekuńczym. Kiedy np. po powrocie armii austriackiej do Lwowa chciano się masowo mścić na mieszkańcach, on powagą swoją wstrzymał wiele zamierzonych gwałtów i uchronił wiele rodzin od zagłady. Choroba i śmierć jego była następstwem tych wysiłków. — W tych właśnie czasach w r. 1902 staje na terenie Tarnopola, stolicy Podola, do pracy kapłan, który w niedługim czasie miał zająć jedno z pierwszych miejsc wśród dygnitarzy Kościoła w Polsce. Był to Ks. Dr. Bolesław Twardowski. Urodzony w 1864 r. we Lwowie, w r. 1886 otrzymuje święcenia kapłańskie, zrazu katecheta w seminarium naucz. męskim, prefekt seminarium duchownego, następnie kanclerz Kurii Metropolitalnej, w końcu proboszcz w jednej z najpierwszych parafij archidiecezji. Przyniósł ze sobą wyrobienie duchowe kapłańskie, silny hart woli i wytrwałość w pracy do wytkniętego celu. Czasy były trudne, akcja Ukraińców rozwijała się groźnie, trzeba było ratować, co było polskie i w tej pracy dwa czynniki podały sobie dłoń. Wieś podolską od zruszczenia dwie rzeczy uratować

mogły: kaplica i szkoła. Pierwszą dawał Kościół, drugą praca społeczeństwa, a w obydwu pracach czynnym był nowy zrazu proboszcz, niedługo potem dziekan tarnopolski. Zrozumiał on, że budowa kaplic, to dzieło rozwijające nie tylko ducha religijnego, ale u nas, zwłaszcza na Podolu, to ostoja polskości i życia narodowego. Zrozumiawszy to przyłożył nowy proboszcz rękę do pługa. Powstają więc najprzód kaplice na terenie parafii tarnopolskiej w Dołżance (1903), w Hłuboczku Wielkim (1904), w Petrykowie (1906), a rozszerza się kaplica w Janówce. Największym jednak dziełem było ukończenie budowy w r. 1908 kościoła parafialnego pod wezwaniem N. M. P. Nieustającej Pomocy. I tak otrzymał Tarnopol obok pięknej barokowej świątyni OO. Dominikanów (1749), gdzie po pożarze kościoła parafialnego odprawiano nabożeństwa parafialne, drugą monumentalną świątynię, w której, jak autor słusznie zaznacza, „ponad troski szarego życia wspięła się na wspaniałych łukach romańskich myśl twórcy-mistrza dumną, gotycką wieżycą ku niebu, ku Bogu“. Dziwnie zbiegły się razem dwie uroczystości: poświęcenia przez arcyb. Bilczewskiego świątyni parafialnej i gmachu bursy TSL. Za te zasługi został dotychczasowy proboszcz mianowany infułatem i dziekanem. — Nie można pominąć również działalności duszpasterskiej ks. Dziekana. Szkoły, życie rodzinne i narodowe, czuwanie nad stanem posiadania, tak wyznaniowym, jak i narodowym, tak ściśle związanymi z sobą na ziemi podolskiej, to wszystko utrwaliło pamięć tego wielkiego pracownika w sercach ludu na Podolu. Dzieło jednak jego musiało przetrwać próbę. Inwazja rosyjska, ten okres smutny walk i represji, wzmożona praca i troski, jakie spadły na niego z chwilą, gdy polecono mu czuwanie nad zostającą pod inwazją częścią archidiecezji, walki z wrogiem o dusze polskie... to wszystko możeby kogo innego skłoniło do ukrycia się, Jego, dostojnego pracownika złamać nie było zdolne. Patrzał, jak kule biły w wieżę Jego świątyni, ona wytrwała i On wytrwał; groziło Mu wywiezienie, nie uląkł się i na to był gotów. — W r. 1918 żegnano Go z wielkim żalem, gdy objął godność kanonika w Kapitule Metropolitalnej, ale znowu uradowano się wielce, gdy powitano Go jako Biskupa Sufragana (1919), a od r. 1923 Arcybiskupa Metropolitę lwowskiego. Wysoki Dostojnik nie zapomniał o swoim Podolu. Budowniczy kościołów i kaplic prawie większą część dorobku swojego (do r. 1936 — 7 parafij, 20 expozytur, 214 kaplic) pozo-

stawił na kresach, w województwie tarnopolskim. Więc olbrzymie owoce można policzyć, kiedy się jedzie autem ze Lwowa do Tarnopola, prawie co wieś spotyka się kaplice za Jego rządów i inicjatywą i pomocą budowane. A Jego wizytacje pasterskie, kiedy niezmordowany przejeżdżał od wsi do wsi budując, nauczając, lecząc rany zadane przez trzy inwazje, Jego listy pasterskie, kongresy eucharystyczny i różańcowy, a wkońcu Synod archidiecezjalny... jaki to ogrom pracy. — Autor, świadek prac Dostojnego Arcypasterza, w 50 rocznicę kapłaństwa uwił ten wianek wspomnień i podał go nie tylko Czcigodnemu Jubilatowi, ale więcej jeszcze ludowi obszernej archidiecezji, a najwięcej może ludowi Podola. A ten lud umie ocenić pracę nad nim, oceniwszy umie pokochać, a o tym, co pokochał, pamiętać. A praca ukochanego Wodza wciąż jeszcze trwa i daj Boże jej jeszcze długie lata.

O. Górnisiewicz Antonin Z. K.

3. Łukań Roman: Wasylijański monastyri w Stanysławiwśkij eparchiji. Str. 16. Biblioteka Centralnoho Wasylijańskoho Archiwu, Nr 1. Lwiw 1935.

Jest to sumiennie opracowane zestawienie klasztorów ruskich współczesnej diecezji greckokat. w Stanisławowie z dołączeniem krótkich wiadomości o ich dziejach. Autor uwzględnił również klasztory dawniej istniejące zarówno greckokat. jak i prawosławne znane nam z pozostałych ruin lub źródeł pisanych. Z podolskich większe ustępy otrzymały klasztory Św. Trójcy i Wzniesienia Św. Krzyża w Buczaczu, Św. Trójcy w Czortkowie, Narodzenia N. M. P. w Ułaszkowcach (pow. Czortków) i św. Parascewii w Zadarowie (pow. Buczacz).

4. Rec.: Zaïkyn W., Kwartalnik Histor. t. 49, str. 464, Lwów 1935, zwraca uwagę, że wiadomości dotyczące dziejów klasztoru w Ułaszkowcach w XVIII w. wydają się nieprawdopodobne, ale całość bardzo wartościowa.

5. Lewicki Kazimierz: Przegląd najnowszej literatury do dziejów prawosławia i unii w Polsce. Str. 211—231. Ziemia Czerwieńska, t. 3, Lwów 1937.

Nauki przyrodnicze.

6. Łoziński Walerjan: Mapa gleb województwa tarnopolskiego. Str. 2 nlb.+69+7 tbl.+ 1 mapa. 16×24 cm. Kraków 1933. Prace Rolniczo-Leśne, Nr 9. Wydawnictwo Fundu-

szu im. śp. Wł. J. Fedorowicza. Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności.

Najbardziej rozpowszechnionym w województwie tarnopolskim typem gleby są eluwia i ich szczególna odmiana rędziny. Gleby te pokrywają olbrzymim płaszczem wyżynę podolską, a zwłaszcza jej część południową, tudzież wyniosłości Pobuża. Ze względu na jakość podłoża autor dzieli je na cztery podtypy: a) gleby eluwialne na marglach górnokredowych są rędziną albo czarnoziemem, b) eluwia na mioceńskich wapieniach litotamniowych przeważnie o małej zawartości węglanu wapniowego dają profile o charakterze czarnoziemu, c) charakter czysto rędzinny okazują gleby eluwialne na wapieniach miodoborskich i są najlepsze na całej wyżynie podolskiej, d) eluwia na gipsach występują płatami tylko na południowym skrawku województwa, a dobre są na litych gipsach, zaś na formacji gipsowej ciężkie. — Za najważniejszy wynik swych objazdów po województwie tarnopolskim uważa autor redukcję pokrywy lessowej. Poza kilku wyspami, jedyny jej większy płat ciągnie się pasem od granic powiatu złoczowskiego, przez Zborów, Tarnopol, Zbaraż, po górny Zbrucz. Less jest utworem młodszym od gleb eluwialnych, które wynurzają się spod niego, a powstał on z przewiania namułów wód dyluwialnych niżu bużańsko-styrowego. Jako gleba jest czarnoziemem. Osady iluwialne z wody gruntowej przenikają znaczną część profilów lessowych, w dolnych częściach został on nawet przemieniony w ilasty, niebieskawy poziom iluwialny G (co mylnie określano jako jakiś less starszy), na którym w podmokłych terenach pojawia się charakterystyczna twarda smuga limonitów zwana blachą. — Gleby stepowe na Podolu nie są lessem, jak sądzono, tylko glebami bagiennymi względnie łąkowymi. Powstanie ich zależy od równej powierzchni utrudniającej wodom odpływ i podłoża zasobnego w węglan wapniowy. Na Podolu tworzą je przeważnie wapienie litotamniowe. Profil gleb stepowych odznacza się osadami podwodnymi (poziom G) zawierającymi więcej składników pożywnych od wierzchnej warstwy czarnoziemu. Czarnoziem stepowy jest ilasty, zbity, ciężki i zawiera dość dużo pyłu eolitycznego. Autor wylicza 11 płatów gleb stepowych, z których większość leży między górnym Koropcem a środkowym Zbruczem. Ich obszar nie ulegał w ciągu wieków zmianie, las nigdzie nie wkroczył na step. Zmienił się natomiast wygląd stepu: pierwotnie był on silnie zabagniony

i pokryty jeziorkami, z biegiem czasu pod wpływem osuszającego działania wiatru zamienił się na podmokłe łąki, zalewane periodycznie wodą, a potem łąki już nie zalewane, ostatecznie wysuszyła gleby głęboka orka. Gleby stepowe nieprzewietrzone dostatecznie nie powinny być terenem parcelacji i kolonizacji małorolnej, ponieważ kolonistów nie stać na dłuższą i intensywną uprawę roli. — Na wszystkich wymienionych poprzednio typach genetycznych gleb mamy czarnoziem, pokrywający jednostajnym płaszczem całe Podole. Jego wartość zależy od typu gleby i podłoża; czarnoziem stepowy jest najgrubszy (około 1 m), prawie czarny i posiada 10% zawartości próchnicy. — Badania granicy wapniowej wykazały, że pod wpływem wiatrów zachodnich podnosi się ona do niewielkich głębokości na wschodnich stokach dolin. Pod granicą wapniową zawartość węglanu wapniowego szybko wzrasta. — Gleby bagienne i łąkowe wyścielają doliny dorzeczy Bugu i Styru oraz doliny górnego biegu rzek podolskich. Towarzyszy im wszędzie strefa przybagienna. — Na północnej niżowej części województwa występują piaski allochtoniczne (osady wód dyluwialnych), natomiast na wyżynie nad górnym Bugiem i Seretem autochtoniczne. — W dolnych biegach rzek podolskich ich doliny wyścielają gleby koluwialne, a łagodne stoki aluwialne. Wartość tych gleb zależy od spłukiwanego materiału. Dla uprawy jeszcze większe znaczenie od wartości samej gleby posiada południowa ekspozycja stoków. Ważnym i aktualnym zagadnieniem jest sprawa ich ochrony przed spłukaniem gleby. Niestety erozja wiele już południowych stoków, najbardziej zagrożonych, zamieniła w dzikie debry. — Tekst rozprawy uzupełnia mapa gleb w skali 1:1,000.000, w tablicach 11 fotografij różnych typów gleb podolskich, a w tekście 5 rycin.

7. Szafer Władysław: Las i step na zachodniem Podolu. Str. 124. Kraków 1933. Osobne odbicie z Rozpraw Wydziału matematyczno-przyrodniczego Polskiej Akademii Umiejętności, Tom 71, Dz. B, nr 2.

Rzecz powyższa składa się ze wstępu, 10 rozdziałów, spisu literatury i streszczenia w języku angielskim, a ozdobiona jest bogato 38 rycinami. — We wstępie autor, znany przyrodnik polski, stwierdza, że „badania socjologiczne, wykonane przez M. Koczwarę (1930), A. Kozłowską (1930) i W. Gajewskiego (1931—1932) przyniosły dość dokładną znajomość zespołów stepowych południowej części zachodniego Podola, lecz nie wyjaśniły na-

leżycie stosunku stepu do lasu", które to „kapitalne zagadnienie" jest głównym celem jego pracy. W czasie wycieczek na Podole w latach 1933 i 1934 zwrócił on szczególną uwagę na to zagadnienie, które „gra również ważną rolę w kwestii racjonalizacji gospodarstwa leśnego". Zależy ona bowiem od „znajomości naturalnych zespołów leśnych Podola". Opinię tę podkreślił jeden z czołowych niemieckich leśników F. K. Hartmann w słowach: „Znajomość charakterystycznych gatunków roślin i ich ekologii w naturalnych zespołach leśnych jest dla gospodarza leśnego tym, czym jest dla lekarza znajomość organizmu zdrowego człowieka".—W I-szym rozdziale autor omawia granice zachodniego Podola, przeprowadza jego podział na dwa okręgi geobotaniczne: 1) Podola właściwego, 2) Podola pokuckiego i na pięć podokręgów oraz ilustruje go równocześnie kartograficznie. Okręg pierwszy dzieli się na trzy podokręgi: a) północny „zimny", b) miodoborski, c) naddniestrzański „ciepły"; drugi zaś na dwa: a) wschodni i b) zachodni. — Rozdział drugi zawiera przegląd i charakterystykę wyróżnionych zespołów leśnych zachodniego Podola, tj: lasu łęgowego, czaharu podolskiego, lasu dębowo-grabowego, bukowego i dąbrowy podolskiej. 1. Las łęgowy *(Populetum nigrae salicosum)* na wyspie dniestrowej w Szutromińcach składa się głównie z topoli czarnej i wierzby. Oprócz 11 gatunków drzew wyróżnił tam autor 5 gatunków lian, a między nimi chmiel wysoki około 10 m i powojnicę, 7 krzewów, 23 wysokich i 10 przyziemnych ziół. Las ten porównuje on z „Kępą" między Dębnem a Wierzawicami n. Sanem. W miejscach płytkich przechodzi las łęgowy w zespół z trzciną *(Phragmites communis)*. Bliskie pokrewieństwo łączy ten zespół z olszyną czarną *(Alnetum glutinosae)* i olsem szarym *(Aln. incanae)*. Las łęgowy łączy się często bezpośrednio okrajkiem przejściowym z czaharem. 2. Czahar czyli bajrak podolski *(Acereto-Fraxinetum podolicum)* składa się głównie z klonu i jesionu, a rośnie przeważnie w południowych Miodoborach i w Bilczu Złotym n. Seretem; jest to facja z panującym brzostem *(Ulmus montana)*, tarczycą wyniosłą *(Scutellaria altissima)* i pokrzywą *(Urtica dioica)*. Autor wymienia 9 gat. roślin prawdopodobnie wiernych dla zespołu i 14 wyróżniających. 3. Ciekawy jest stosunek lasu dębowo-grabowego *(Querceto-Carpinetum podolicum)*, facja z czosnaczkiem niedźwiedzim *(Allium ursinum)*, w Iwankowie pod Skałą i czereśnią *(Prunus avium)* w Szutro-

mińcach do buczyny (*Fagetum podolicum*), będącej dziś na Podolu elementem ustępującym. Dla zespołów tych wykonano 12 zdjęć socjologicznych według metody J. Braun-Blanqueta, z czego sam autor wykonał 2. W tabeli II wylicza on 13 gat. drzew, 28 krzewów, 101 ziół oraz podaje 4 listy roślin zawierające: a) 3 gatunki charakterystyczne dla *Querceto-Carpinetum podolicum*, b) 14 wyróżniających od innych zespołów ze związku *Fagion*, c) 11 charakterystycznych dla *Fagetum podolicum* i d) 4 wyróżniające *Fagetum podolicum* od innych zespołów ze związku *Fagion*. Ponadto wylicza autor 39 gatunków wspólnych obydwom zespołom, charakteryzujących związek *Fagion* oraz wymienia 10 uczonych polskich i obcych, którzy opisali podobne zespoły. 4. Wyspowych stanowisk buka i buczyny na Podolu w piętrze od 284—430 m zna prof. Szafer 34; w poziomym rozmieszczeniu jest to zespół odosobiony. Badając unerwienie liści buka rozpatruje on: 1) zmienność indywidualną ilości nerwów w liściach krótkopędów płonych gałęzi dolnych, 2) zmienność lokalną drzew i 3) zmienność regionalną. Okazało się, że buk podolski posiada najczęstszą ilość nerwów, tj. 9 (45%), czym różni się od buków rosnących w innych częściach Polski. Te biometryczne badania poparły stanowisko H. Czeczottowej, która podniosła buka na Podolu do rangi systematycznej podgatunku *Fagus silvatica L. subsp. moesiaca* (Maly) Czeczott. Specjalne unerwienie oraz rozpowszechnienie buka w południowo-wschodniej Europie i na Krymie nasuwa autorowi przypuszczenie, że także pod względem biologicznych właściwości buk podolski różni się od zwyczajnego (*Fagus silvatica*). Lasy bukowe na Podolu, w Besarabii i Dobrudży są reliktowymi („wyspy“, „kodry“). Buk zjawił się tu po epoce lodowej wcześniej aniżeli w pozostałych częściach Polski, bo już około 9.000 roku a. Chr. Buczyna podolska jest zespołem trwałym. Gospodarka leśna powinna utworzyć zeń rezerwaty. 5. Dotychczasowe badania socjologiczne pozwoliły wyróżnić trzy dąbrowy podolskie, a to: *Quercetum podolicum*, *Querceto-Lithospermetum podolicum i Quercetum sessiliflorae*. Typ pierwszy występuje w trzech postaciach: I-szą obserwować można w Kujdańcach i Miodoborach; jest to las rosnący na czarnoziemiu ze zmienionym runem z powodu wypasania; II-ga to las wypierany przez step, złożony z turzycy położonej (*Caricetum humilis*); III-cia to typowy „wianek“ czyli „krąglak“ na zaoranym stepie w okolicy

Borszczowa. Dąbrowa podolska w ścisłym tego słowa znaczeniu została zbadana w 5 miejscowościach, a autor wyróżnił tu warstwę 7 drzew, 26 krzewów i 125 ziół, oraz podał 2 listy: 21 gatunków charakterystycznych dla *Quercetum podolicum* i 15 wyróżniających. Drugi typ to *Querceto-Lithospermetum podolicum* (dąbrowa z nawrotem) z Dźwinogrodu n. Dniestrem z listą socjologiczno-florystyczną zawierającą 7 drzew, 7 krzewów i 55 ziół i z Jagielnicy z listą zawierającą 10 gatunków charakterystycznych. Las dębu bezszypułkowego (*Quercus sessiliflorae*) w Szutromińcach przywiązany jest ściśle do dewońskiego piaskowca, a taki sam w Żeżawie jest jedynym na Podolu lasem kwasolubnym. Ten ostatni posiada warstwę 2 drzew, 5 krzewów, 20 (21) ziół w runie wyższym i 5 w niższym. — W III rozdziale autor grupuje systematycznie podolskie zespoły leśne w 3 rzędy, 5 związków i 8 zespołów oraz opisuje ich dynamiczne właściwości. Spomiędzy opisanych zespołów 5 jest uwarunkowanych edaficznie (naturą gruntu) lub klimatycznie, a to: las łęgowy, olszyna czarna, czahar podolski i dwie dąbrowy (*Querceto-Lithospermetum podolicum* oraz *Quercetum sessiliflorae*). Buczyna podolska ma charakter reliktowego zespołu klimatycznego z okresu wilgotniejszego, z pozostałych zaś tylko dwa, tj. dąbrowa podolska (*Quercetum podolicum*) i las dębowo-grabowy mają właściwości zespołów trwałych; dąb bezszypułkowy i zespół *Quercetum sessiliflorae* ma charakter asocjacji lokalnej. — W IV rozdziale autor zestawia lesistość Podola dzisiejszego (8·58%) zmierzoną planimetrem dla każdego z 5 podokręgów (0·23%—15·13%). W taki sam sposób zmierzono powierzchnię lasów tych samych obszarów na mapie Kummersberga pochodzącej z r. 1855, skutkiem czego uzyskano obraz karczunków wynoszących zaledwie 0·53%. Lesistość Podola nie była wiele większa w wiekach ubiegłych. — W V rozdziale autor czyni pewne uwagi o glebach leśnych, przedstawia zależność zespołów leśnych od gleby i podglebia i podaje wyniki analiz przeprowadzonych metodą hinhidrynową. Po przestudiowaniu tabel nasuwają się mu następujące wnioski: 1) Tylko gleby 3 zespołów, a to dąbrowy podolskiej w ściślejszym znaczeniu, dąbrowy i grabiny podolskiej oraz buczyny podolskiej mają charakter gleb leśnych klimatycznie dojrzałych z wyraźnym poziomem wypłukania soli mineralnych w głębokości od 15—40 cm. 2) Gleby leśne są wyługowane, a ich wartość gospodarcza zależna jest od ściółki leśnej, zaś

sadzenie sosny i świerka prowadzi do wyjałowienia gleby. — VI rozdział zawiera dane z historii drzew i lasu na Podolu. Dostarczają ich torfowiska zbadane metodą analizy pyłkowej, trawertyny i paleniska. Badania torfowisk zawdzięczamy Koczwarze i autorowi; dotychczas zbadano 7 torfowisk. Ale wyniki analiz pyłkowych nie zadowalają autora, pyłki bowiem drzew szpilkowych, szczególnie sosny i świerka, wskazują raczej na ich obecność w sąsiednich krainach. Mimo to autor obliczył przeciętne odsetki pyłków różnych rodzajów drzew w torfowiskach dla 5 miejscowości i w 5 okresach czasu postglacjalnego, a następnie podał w syntetycznej regionalnej tabeli przeciętne odsetki deszczów pyłkowych we wszystkich torfowiskach. Według niego w okresie początkowym panował na Podolu klimat zimny i kontynentalny, sprzyjający zimnemu stepowi (nie tundrze). Obok stepowych żyły wtedy rośliny z pobliskich Karpat, np. szafran (*Crocus Heuffelianus*) i zawilec narcyzowy (*Anemone narcissiflora*). Panującymi drzewami były świerk i sosna zwyczajna, brzoza, wierzba i olsza (*Alnus incana?*) Podczas okresu 2-go pojawiły się tu drzewa ciepłolubne, a przede wszystkim wiąz (wytworzył się zespoł lasu łęgowego), a także lipa, leszczyna i dąb zaczęły tworzyć na Podolu pierwsze wyspy leśne. W okresie 3-im panowania drzew ciepłolubnych (neolit) stepy wzbogaciły się przybyszami, jednakże lasy dębowe (*Quercetum podolicum i Querceto-Lithospermetum podolicum*) odgrywały ważną rolę, a obok nich rozszerzyły się na Podolu jesion wyniosły i ostroowockowy, klony (m. in. *Acer tataricum*), lipa wielkolistna, z krzewów zaś leszczyna, dereń, kłokoczka. W okresie 4-tym klimat stał się wilgotniejszym i wprowadził tu lasy bukowe, grab przeważający nad dębem i jodłą. Ostatni okres (5-ty) ponownej kontynentalizacji klimatu, w czasach wczesno-historycznych od 800 lat prz. Chr., zaznaczył się wysychaniem torfowisk, cofaniem się lasów bukowych i zniknięciem jodły. — W VII rozdziale jest omawiany stosunek stepu do lasu. Z zespołów leśnych w bezpośrednim zetknięciu ze stepem pozostają tylko dwa, a to dąbrowy: *Quercetum podolicum* i *Querceto-Lithospermetum podolicum*. Na Podolu północnym zespołem stepowym, sąsiadującym z lasem jest zespół turzycy położonej (*Caricetum humile*), a na Podolu pokuckim zespół turzycy górskiej (*Caricetum montanae*). Na Podolu północnym pogranicze stepu miało charakter krajobrazu parkowego, na Podolu naddniestrzańskim step posiadał również

krajobraz parkowy z wiankami dębów wkraczających na nie, lecz przeważna część tego podokręgu była objęta w posiadanie przez lasy. Stepowe Podole pokuckie nie posiada dziś lasów prawie zupełnie. Zespół turzycy górskiej posiada miodunkę miękkowłosą, zapalnicznik zaroślowy i in. Przyczyna bezleśności tej części Podola tkwi w glebie pochodzącej z gipsu, który nie sprzyja życiu drzew i krzewów. — W VIII rozdziale omówiono problem klimaksów podolskich. Na podstawie porównania temperatur powietrza i opadów autor konkluduje, że znaczniejsza lesistość okręgu naddniestrzańskiego wpływa na klimat łagodząco, na dowód czego przytacza tabelę fenologicznych pór roku. Jako klimaks przyjmuje dla Podola północnego dąbrowę typu *Quercetum podolicum*, dla Podola naddniestrzańskiego las dębowo-grabowy, a dla Podola pokuckiego paraklimaks (w sensie R. Tüxena, 1930), zespół łąkowo-stepowy (*Caricetum montanae*). — W ostatnim IX rozdziale autor rozpatruje problem ochrony przyrody podolskiej zarówno z punktu widzenia potrzeb kulturalno-naukowych, jak i gospodarczych oraz wskazuje na najcenniejsze szczątki roślinności stepowej i partie lasów podolskich zasługujące na ochronę.

Kozioł Franciszek.

8. Gajewski Wacław: Elementy flory polskiego Podola, z 77 mapkami w tekście. Str. 211, 24×17 cm. Warszawa 1937. Planta Polonica. Materjały do Flory Polskiej, wydawane przez Towarzystwo Naukowe Warszawskie, vol. 5. Red. B. Hryniewiecki.

Po ogólnej charakterystyce zjawisk geograficznych, geologicznych, klimatycznych i szaty roślinnej Podola rozpoczyna autor swoje wywody od określenia pojęcia „element" użytego w pracy w sensie czysto geograficznym. „Oparte ono jest na założeniu, że każdy obszar fitogeograficzny należycie wyróżniony posiada większą lub mniejszą liczbę gatunków roślin, które są mu właściwe, które na nim znajdują optimum warunków życiowych i które posiadają w obrębie tego obszaru większość swego zasięgu". Z kolei w oparciu o skalę J. Braun-Blanqueta przeprowadza on podział Europy wschodniej na jednostki fitogeograficzne, ustala ich granice (ilustrując kartograficznie) i dochodzi do wniosku, że Podole jest najbardziej na zachód wysuniętą częścią domeny sarmackiej (Ławrenko nazywał ją pontyjską) obszaru irano-turańskiego. Tę pierwszą nazwę

przyjmuje on dla terytorium stepów i laso-stepów Rosji europejskiej. „Północna granica domeny sarmackiej zbiega się z południową granicą lasów iglastych, zachodnia otacza Podole i wzdłuż Dniestru dochodzi do Besarabii południowej. Wzdłuż M. Czarnego domena sarmacka ciągnie się wąskim pasem aż do Bułgarii. Granica południowa biegnie zrazu wzdłuż brzegów M. Czarnego, aż do północnego Kaukazu", skąd dochodzi do południowego Uralu. Natomiast obszar irano-turański stanowią obok domeny sarmackiej, domeny aralo-kaspijska i środkowo-azjatycka. Na zachodzie Podole wciska się głęboko klinem w obszar fitogeograficzny euro-syberyjski, a zwłaszcza w jego domenę środkowo-europejską, na południu graniczy z domeną iliryjską, a na południowym wschodzie tylko wąski pas ziemi oddziela je od domeny euxińskiej obszaru śródziemnomorskiego. Jako zatem kraina pograniczna przedstawia Podole obiekt bardzo ciekawy dla epiontologa. Zachodnią część domeny sarmackiej tworzy sektor ukraiński, w którym autor prowizorycznie wyróżnia cztery podsektory: pasmo Donieckie, wybrzeże M. Czarnego, dnieprzańska kraina leśno-stepowa i Podole. Najbardziej zachodni podsektor podolski wyróżnia się od reszty sektora ukraińskiego: a) obfitością elementów iliryjskich i śródziemnomorskich wchodzących w skład lasów, b) obfitością gatunków reliktowych, c) licznym neoendemizmem, d) licznymi penetracjami flory leśnej Karpat. Odmiennie nieco niż Szafer dzieli p. Gajewski Podole na okręgi botaniczne, o mianowicie na: 1) pasmo Gołogórsko-Krzemienieckie, 2) Podole północne czyli zimne, 3) Podole naddniestrzańskie czyli ciepłe, 4) Miodobory, 5) Pokucie stepowe i 6) granitowy obszar nad Bohem, leżący całkowicie poza granicami Polski. Całe Podole leży poza granicami maksymalnego zlodowacenia i transgresji pontyjskiej (mapa nr 2). — Lista gatunków rozpatrywanych w pracy zawiera 723 gatunków roślin, występujących na Podolu i w krainach sąsiednich, których rozmieszczenie lokalne określił autor częściowo na podstawie literatury florystycznej, częściowo zaś własnych badań. Element euro-syberyjski reprezentuje 454 gatunków (62·8%), irano-turański 175 (24·2%), a śródziemnomorski 47 (6·3%) gatunków. W obrębie pierwszego jest 230 roślin o obszernych zasięgach, 11 circumborealnych, 171 środkowo-europejskich, 42 iliryjskich; wśród elementów irano-turańskich jest 77 roślin o obszernych zasięgach, 74 sarmackich, 24 aralo-kaspijskich

i środkowo-azjatyckich; wśród elementów śródziemnomorskich jest 26 gatunków sub-śródziemnomorskich, 14 śródziemnomorsko-górskich i 7 euxińskich. Oprócz gatunków właściwych dla jednego obszaru fitogeograficznego wyróżniono w pracy 17 (2·4%) roślin łącznikowych (jednakowo rozprzestrzenionych w dwóch sąsiednich obszarach) i 30 (4·1%) roślin wieloobszarowych. — Autor badał również charakterystyczne dla flory Podola gatunki reliktowe o zasięgach dysjunktywnych, których brak w krainach sąsiednich, wyróżnił kilka zasadniczych typów dysjunkcji oraz wielokrotnie stwierdził ścisłą zależność, zachodzącą między typem dysjunkcji a przynależnością roślin do wyszczególnionych wyżej elementów. Wszystkie rośliny dysjunktywne flory podolskiej zostały podzielone na górskie (34 gatunki) i nizinne (37 gatunków). Wśród roślin górskich o stanowiskach wyspowych na Podolu wyróżniono cztery zasadnicze typy dysjunkcji: a) 2 gatunki posiadające zwarte zasięgi w górach Azji (oba należą do elementu irano-turańskiegu), b) 7 gatunków posiadających zasięgi zwarte w górach otaczających M. Czarne (wszystkie należą do elementu śródziemnomorskiego), c) 14 gatunków o najbliższych zasięgach zwartych w Karpatach południowych i Siedmiogrodzie (tu w równych ilościach występują elementy śródziemnomorskie i euro-syberyjskie), d) 11 gatunków o zasięgach zwartych w polskich Karpatach Wschodnich, zbadanych już szczegółowo przez Szafera (rośliny te należą do elementu euro-syberyjskiego, oprócz jednej przedstawicielki elementu śródziemnomorskiego). Również cztery grupy wyróżniono wśród roślin niżowych: a) 9 gatunków o zasięgach zwartych na stepach nadczarnomorskich (2 rośliny łącznikowe, reszta należy do pod-elementu sarmackiego), b) 10 gatunków o zasięgach zwartych na stepach Azji środkowej i Syberii południowej (wszystkie należą do elementu irano-turańskiego), c) 6 roślin borealnych, d) 7 roślin lasów sosnowych, ponadto 5 roślin o specyficznych typach dysjunkcji. Rozmieszczenie 34 gatunków przedstawił autor kartograficznie. — „Poza gatunkami o stanowiskach dysjunktywnych, na Podolu wyróżnić można dość liczną grupę roślin o rozmieszczeniu ograniczonym tylko do pewnej części terenu. Rośliny te posiadają obszerne zasięgi w krainach sąsiadujących z Podolem, na które docierają w postaci języków zasięgowych“. Rośliny te można podzielić na trzy grupy migracyjne. Cechami podziału są: wspólne pochodzenie terytorialne i wspólna droga, jaką

przybyły na badany teren. Z południa przybyła na Podole grupa migracyjna iliryjska (35 gatunków), złożona z roślin wchodzących w skład lasów związku *Quercion pubescentis-sessiliflorae* i należących przeważnie do pod-elementu iliryjskiego (22), częściowo śródziemnomorskiego (10) i pod-elementu środkowo-europejskiego (3). Punktem wyjścia migracyj tych roślin była nizina rumuńska i Besarabia środkowa, a drogą dolina Dniestru, wyjątkowo także dolina Bohu i pasmo Gołogórsko-Krzemienieckie. Drugą grupę migracyjną tworzą rośliny stepowe, wchodzące w skład stepów pobrzeża M. Czarnego (18 gatunków), a należące do elementu irano-turańskiego. Skaliste tereny dolin Dniestru i Bohu są głównymi drogami ich wędrówek. Rośliny grupy migracyjnej karpackiej (43 gatunków), wchodzące w skład lasów podgórskich i regla Karpat Wsch. z przewagą pod-elementu środkowo-europejskiego, docierały na Podole przez Opole i Pokucie. Wyjątkowo tylko przekraczają one Zbrucz. (Zasięgi tych roślin zbadał już Szafer). Rozmieszczenie 29 roślin grupy iliryjskiej i 12 stepowej przedstawił autor kartograficznie. — W ostatnim rozdziale swej pracy daje p. Gajewski próbę rekonstrukcji niejasnej dotąd historii rozwoju flory Podola, którą oparł na swoich studiach epiontologicznych i materiale z dyluwium reszty Polski zebranym przez botaników. W ten sposób pragnie on choć częściowo zastąpić brak danych paleontologicznych z Podola. Wedle niego reliktem trzeciorzędowym jest tylko jedna roślina leśna *Evonymus nana,* natomiast mało prawdopodobnym wydaje mu się wiek trzeciorzędowy 7 roślin górskich, przypisywany im przez Szafera, który uważa je za relikty Wału Scytyjskiego. Za relikty glacjalne z epoki *Cracovien,* tj. z okresu panującej na Podolu tundry, można uważać 9 gatunków roślin o zasięgach dysjunktywnych, a należących do roślin górskich grupy IV-ej, 10 gatunków grupy III-ej i około 12 roślin stepowych. O wpływie następnych zlodowaceń wiemy bardzo mało. Reliktami z bogatych lasów liściastych interglacjału *Masovien I* są 3—6 roślin. Większość rozprzestrzenionych na Podolu roślin stepowych pochodzi z początkowego bezleśnego okresu postglacjalnego; w okresie klimatu wilgotnego przybyły tu gatunki leśne grupy migracyjnej karpackiej, a w okresie optimum termicznego postglacjału gatunki iliryjskie i śródziemnomorskie. — Obok tekstu polskiego omawiana tu książka zawiera również jego tłumaczenie francuskie.

9. S z a f e r W ł a d y s ł a w: Rezerwaty leśne w Szutromińcach na Podolu. Str. 10—22. Ochrona Przyrody, Rocz. 16. Kraków 1936.

W r. 1935 powstały w Szutromińcach, w pow. zaleszczyckim, cztery cenne rezerwaty leśne, których istnienie utrwalono na okres 10-letni. Pierwszy tworzy las łęgowy *(Populetum nigrae salicosum)*, pokrywający ostrów dniestrowy. Wartość jego polega przede wszystkim na pierwotności i bogactwie (11) gatunków drzew. Rośnie tu w zupełnie dzikim stanie topola biała *(Populus alba)*, a las opleciony jest gęstą siecią lian. Drugi rezerwat o typie czaharu podolskiego *(Acereto-Fraxinetum podolicum)* należy do najpiękniejszych tego zespołu na Podolu. Następny to las dębowo-grabowy *(Querceto-Carpinetum podolicum)* i dąbrowa podolska *(Quercetum podolicum)* zubożała z powodu wpływu piaskowcowego podłoża. Trzy ostatnie rezerwaty położone są na stoku półn. dniestrowego jaru. Bliskie sąsiedztwo wszystkich rezerwatów daje rzadką na Podolu sposobność studiowania w warunkach naturalnych ich wzajemnego stosunku. Tekst rozprawy uzupełniają wyniki zdjęć socjologicznych i 10 rycin.

10. M ą d a l s k i J ó z e f: O wskrzeszenie „Pamiątki" pieniackiej w okolicach Złoczowa. Str. 96—101. Ochrona Przyrody, Rocz. 16. Kraków 1936.

Jeszcze w r. 1886 Wł. hr. Dzieduszycki stworzył w swoim majątku Pieniaki piękny rezerwat 40 morgowy, który nazwał „Pamiątką", aby zachować dla nauki i potomności część wielkich ongiś borów złoczowskich, pokrywających półn. krawędź wyżyny podolskiej. Autor artykułu nawołuje do wskrzeszenia zniszczonej podczas wielkiej wojny „Pamiątki" przez utworzenie nowego rezerwatu o podobnej zupełnie roślinności w lesie Huta Werchobuzka, należącym do majątku Kołtów. Wspaniałe piętro stanowi tu przede wszystkim buk *(Fagus silvatica)* z domieszką 5 innych gatunków. Najgrubsze okazy buka sięgające od 3·00—3·90 m obwodu w pierśnicy pochodzą z drugiej połowy XVIII w. Gęstość podszycia złożonego z 5 gatunków jest rozmaita, a lista roślinności bylinowej obejmująca 93 gatunków nie jest kompletna z powodu braku roślin wiosennych. Artykuł zdobią 3 ryciny.

11. M o t y k a J ó z e f: O utworzenie rezerwatów na pograniczu Wołynia i Podola. Str. 186—202. Ochrona Przyrody, Rocz. 17. Kraków 1937.

Podole południowe posiada już kilka rezerwatów, natomiast północna krawędź wyżyny jest dotychczas pod tym względem bardzo upośledzona, mimo że rosną tu przecudne szczątki pierwotnej przyrody. Autor powiada, że zestawienie czysto florystyczne wykazuje około setkę gatunków u nas bardzo rzadkich, przeważnie pontyjskich, ale omawia z nich tylko kilkadziesiąt szczególnie osobliwych na pierwszym miejscu stawiając kąsinę popłocholistną *(Carlina onopordifolia)* i charakteryzuje zespoły roślinne, z których najcenniejszymi są halawy i las bukowo-sosnowy z podszyciem i runem o charakterze pontyjskim. W lesie tym można obserwować przechodzenie flory pontyjskiej w atlantycką. Projektowane rezerwaty będą miały również duże znaczenie gospodarcze, przyczynią się bowiem do utrzymania lasów rosnących na krawędzi Podola. Gospodarka leśna na tym pogranicznym dla roślin terenie nie jest łatwa, a jej obecny stan przedstawia się fatalnie. Zasadą winna być tu idea lasu naturalnego, najbardziej przystosowanego do miejscowych warunków, najwydatniejszego i najtańszego w gospodarowaniu. Rezerwaty lasów pierwotnych będą wzorem urządzenia lasów i ośrodkiem zarodowym dla produkcji nasion. Z wielu względów najodpowiedniejszym miejscem na rezerwat jest Łysa Góra koło Złoczowa, najpiękniejsze skupienie roślin stepowych i leśnych na całej zachodniej części krawędzi Podola, a obok niej ochrony koniecznie domaga się las nad Trędowaczem i halawy na Żulickiej i Świętej Górze. Zdobi rozprawę 10 rycin.

12. Wierdak Szymon: O ochronę *Erythronium dens canis* w Ciemierzyńcach. Str. 82—85. Ochrona Przyrody, Rocz. 15. Kraków 1935.

Roślina *Erythronium*, psi ząb, tak nazwana od kształtu cebulki jest charakterystyczna dla flory południowo-europejskiej. W Polsce po raz pierwszy zostało odkryte jej stanowisko w r. 1934 przez Fotyniuka w bukowych lasach w Plenikowie i Ciemierzyńcach w pow. przemyślańskim. W Ciemierzyńcach występuje ona w lesie Mokre w czterech miejscach na bardzo małej przestrzeni. *Erythronium* ze względu na wyjątkową jego rzadkość na obszarze Polski wymaga bezwzględnej ochrony. Niebezpiecznym dla niej momentem byłaby przemiana dzisiejszego typu drzewostanu na szpilkowy.

13. Środoń Andrzej: Inwentarz zabytkowych lip w Polsce. Str. 95—129. Ochrona Przyrody, Rocz. 15. Kraków 1935.

Z zestawienia p. Środonia wynika, że ilość zabytkowych lip w Polsce zmniejsza się wydatnie w kierunku wschodnim. Na terenie woj. tarnopolskiego autor zna tylko 12 miejscowości, w których zachowały się jeszcze stare lipy o obwodzie 3—7 m rosnące pojedynczo lub w maleńkich grupach. Natomiast alej lipowych mamy 6. W porównaniu ze stosunkami w całej Polsce ta ostatnia cyfra jest dość poważna.

14. Kulmatycki Włodzimierz: O wyrozubie i potrzebie jego ochrony w polskiej części dorzecza Dniestru. Str. 124—150+1 tbl.+1 mapa. Ochrona Przyrody, Rocz. 16. Kraków 1936.

Wyrozub *(Rulitus rulitus frisii Nordmann)* jest gatunkiem charakterystycznym dla rzek zlewiska mórz Czarnego i Azowskiego. Na Podolu występuje on licznie w Dniestrze po ujście Świrza i w Zbruczu w pobliżu jego spływu z Dniestrem, niezbyt licznie pojawia się w dolnym biegu Seretu poniżej Rosochacza i w Zbruczu poniżej Trybuchowiec, pojedyncze okazy pokazują się w Strypie poniżej Buczacza. W innych rzekach Podola zach. wyrozuba nie ma, natomiast na Podolu wsch. występuje on dość często w Dniestrze i jego dopływach. Ulubionymi miejscami jego pobytu są punkty silnego krążenia wód. Trudno stwierdzić, czy jest on rybą stałą w polskiej części dorzecza Dniestru, czy też wędrującą. Dane o połowach wskazują, że raczej podejmuje on wędrówki tylko lokalne. Wyglądem przypomina łososia; głowa jest zaopatrzona grubym „nosem“, łuski sinawe, samce w szacie godowej pokryte są licznymi brodawkami na łuskach. Charakterystyczne są silne, grube i gładkie zęby gardłowe wyrozuba, którymi doskonale gniecie on mięczaki będące jego głównym pożywieniem. Pomiary ciała pokrywają się z danymi zebranymi dla Bohu i średniego biegu Dniestru. Tarło odbywa się w kwietniu i maju w Dniestrze i jego dopływach w miejscach o szybkim prądzie. Dojrzałość płciową osiąga wyrozób w czwartym lub piątym roku życia. Wzrost ryby jest szybki, ale z biegiem lat maleje: w pierwszym roku osiąga on 14 cm, w drugim 27, trzecim 35, czwartym 46, piątym 53 cm. Natomiast główny przyrost wagi trwa od drugiego do piątego roku. Z zestawień tych wynika, że najrentowniejszy jest połów wyrozuba po piątym roku. Jego połowy stanowią u nas 1—2% produkcji poszczególnych obwodów rybackich, a chwyta się go przy pomocy tych samych narzędzi, co i inne gatunki ryb, tj.

włoki, podrywki, sieci, więcierza, saku i wędki. Autor opisał dość dokładnie cały sprzęt rybacki i zilustrował go szeregiem rycin. W zakończeniu swej rozprawy domaga· się on otoczenia wyrozuba specjalną opieką władz, a to wprowadzenia (obok już istniejącego zakazu połowu ryb poniżej 40 cm długości) zupełnego zakazu połowu w okresie tarła i sztucznego zarybiania wyrozubem Dniestru. Sprawa ochrony tej ryby wymaga porozumienia między Polską, Rosją i Rumunią. W tekście 20 rycin i 6 zestawień liczbowych.

Geografia i krajoznawstwo.

15. Ziemia. Ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, Rocz. 26, Nr 12, str. 285—304. Warszawa 1936.

Numer poświęcony Brzeżanom i Brzeżańszczyźnie zdobi portret marszałka Rydza Śmigłego i kilkanaście rycin, a zawiera cztery artykuły dotyczące Podola. Srokowski St. w ustępie „Struktura gospodarcza Podola" omówil w krótkości kulturę rolną dwóch odrębnych regionów gospodarczych: 1. Podola ciepłego i 2. Podola zimnego wraz z Opolem oraz stan umiastowienia naszej ziemi. Haliczer J. umieścił dwa szkice: „Ziemia brzeżańska" i „Brzeżany — szkic topologiczny". W pierwszym wykazuje, że w pobliżu miasta, na dziale wód Koropca i Złotej Lipy biegnie bardzo ważna granica szeregu zjawisk przyrody i osadnictwa, która mocno oddziela leśne, pagórkowate i pierwotnie lechickie Opole od stepowej płyty podolskiej pozostającej pod wpływami ludów czarnomorskich. W drugim art. opisał on nadanie magdeburgii miastu i jego położenie na szlaku wołoskim. Przypkowski T. w szkicu „Środowisko artystyczno-rzeźbiarskie w Brzeżanach w pierwszej połowie XVII wieku" zwrócił uwagę na działalność głośnego artysty Jana Pfistera, który tu założył swój warsztat i kilku uczniów wykształcił.

16. Kunzek Tomasz: Przewodnik po województwie tarnopolskiem. Str. 303+2 mapy, 17×12 cm. [Tarnopol 1936]. Nakład Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Tarnopolu.

W odróżnieniu od pierwszego z r. 1928, w drugim wydaniu przewodnika po województwie tarnopolskim autor ujawnił swe nazwisko. Również wyróżnia się nowe wydanie znacznie bogatszą treścią (objętość wzrosła więcej niż dwukrotnie) i wygodniejszym układem. Pierwsza część zawiera ogólny, ale wszechstronny opis

województwa; podano tu najistotniejsze informacje o budowie geologicznej i rzeźbie kraju, jego klimacie, ludności, podziale administracyjnym, stosunkach gospodarczych, kulturze ludowej, historii politycznej i geografii historycznej, rozmieszczeniu zabytków artystycznych i ich wartości, głównych szlakach turystycznych, Podolskim Tow. Turystyczno-Krajoznawczym, tudzież zebrano bibliografię turystyczną. Część druga zawiera szczegółowy opis poszczególnych miejscowości ułożony wygodnie wedle głównych szlaków turystycznych, t. j. linij kolejowych i szos. Osobne rozdziały posiadają ważniejsze, a jednolite partie turystyczne, jak Miodobory i jar Dniestru, a także większe i bardziej atrakcyjne miasta i punkty, jak Tarnopol, Złoczów, Olesko, Podhorce, Brzeżany, Trembowla, Czortków, Buczacz, Zaleszczyki, Krzywcze. Całość została bogato zilustrowana (85 fotografij) i zaopatrzona w plan Tarnopola w opracowaniu J. Haliczera oraz mapę wojew. tarnopolskiego. Wykaz miejscowości ułatwia orientację.

17. Rec.: M. O. Ziemia, T. 26, str. 310. Warszawa 1936.

Recenzent twierdzi, że przewodnik Kunzeka jest obecnie najlepszym spośród tych, jakie posiadają nasze województwa.

18. Kunzek Tomasz: Ziemia Podolska. Opis krajoznawczo-turystyczny województwa tarnopolskiego z 26 ilustracjami i mapką. Str. 46, 12×16 cm. [Tarnopol] 1935. Nakładem Sekcji Popierania Turystyki Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Tarnopolu.

Broszura jest krótkim przewodnikiem, pewnego rodzaju syntezą szczegółowych opisów zawartych w wielkim przewodniku po województwie tarnopolskim, opracowanym przez tegoż autora. Składają się na nią: ogólny opis geograficzny, opisy najważniejszych pamiątek historycznych i osobliwości przyrody, a w zakończeniu mapa dróg kolejowych, praktyczne informacje dla turystów, plany najciekawszych wycieczek, wreszcie zarys działalności Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

19. Ślaski Henryk: Zbaraż w przeszłości i teraźniejszości. Opis historyczno-krajoznawczy powiatu z 14 ilustracjami. Str. 69, 12×16 cm. [Zbaraż] 1934. Nakładem Oddziału Zbaraskiego Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Tarnopolu.

Na treść „opisu“ składają się trzy, chociaż niewyróżnione, części: geograficzna, historyczna i turystyczna. Pierwsza zawiera ogólne wiadomości o ziemi zbaraskiej, jej ludności, życiu gospodarczym, komunikacji (niestety niewygodnej) i stosunkach oświatowo-kulturalnych. Najobszerniejszą jest część historyczna, oparta na kilku podstawowych monografiach; zawiera ona ogólny zarys dziejów powiatu, obrony Zbaraża z 1649 r. i dzieje zamku. W trzeciej części są informacje dla turystów, opis krajoznawczy powiatu i miasta Zbaraża.

20. Opacki Józef: Powiat borszczowski. Opisowy przewodnik krajoznawczy z 23 ilustracjami w tekście. Str. 56, 12×17 cm. [Borszczów] 1936. Nakładem Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego — Oddział w Borszczowie.

Przewodnik zawiera informacje dla zwiedzających, ogólne wiadomości o powiecie borszczowskim, jego krajobrazie, sieci dróg, historii, etnografii, a w drugiej części szczegółowy opis ułożony wedle szlaków turystycznych. Powiat borszczowski należy do najciekawszych terenów turystycznych Podola tak ze względu na ilość, jak i jakość obiektów; są to głębokie jary, 5 jaskiń, sadownictwo, barwne stroje ludowe, 7 grodzisk, wał Trajana, 6 zamków, 10 zabytkowych świątyń. Zwiedzanie powiatu znakomicie ułatwia sieć dobrze utrzymanych dróg bitych.

21. Ladenberger Tadeusz: Plan wycieczki szkolnej do Trembowli i Tarnopola. Str. 69—72. Wiadomości historyczno-dydaktyczne, Rocz. 4. Lwów 1936.

22. Kunzek Tomasz: Dziesięciolecie istnienia i działalności Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego 1925—1935. Str. 2 nlb. 48, 12×17 cm. Tarnopol 1935. Nakładem Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

Przedstawiono tu genezę Towarzystwa i jego rozwój uwzględniając sprawy organizacyjne, przewodniki, wystawy, odczyty i inne środki propagandy, wycieczki, schroniska, opiekę nad zabytkami i przyrodą, udostępnienie grot i muzea regionalne. W ostatnim ustępie zestawiono cyfrowo dorobek materialny 10-letniej pracy Towarzystwa. Całość dość obficie ilustrowana.

Nauki antropologiczne.

23. Sulimirski Tadeusz: Scytowie na zachodniem Podolu. Str. IV+138+179—186+18 tbl., 18×25 cm. [Współwy-

dano] załącznik 1; Reichl Irena: Zwierciadła podolskiej kultury scytyjskiej. Str. 139—162. Załącznik 2; Seidl Olga: Węgle i drewna z podolskich kurhanów scytyjskich. Str. 163—178. Lwów 1936. Prace Lwowskiego Towarzystwa Prehistorycznego, Nr 2.

Terytorium Scytii Herodota nie tworzyło ani jednolitej prowincji kulturowej, ani nie było zamieszkane przez jednolitą masę etniczną. Archeologowie wyróżniają kilka pokrewnych sobie grup kulturalnych scytyjskich, jak kijowską, połtawską, zachodnio-podolską. Tej ostatniej poświęcone są wymienione wyżej rozprawy. — Prof. T. Sulimirski w pierwszym rozdziale swej pracy poddał drobiazgowej analizie poszczególne rodzaje znalezisk, jak forma grobów, naczynia, broń, narzędzia i ozdoby śledząc wpływy kulturalne dawnych miejscowych tradycyj, jak i sąsiednich grup kulturalnych. Na analizie tej oparł on swój pogląd na scytyjską zachodnio-podolską grupę kulturową. Jej najbardziej charakterystyczne cechy to przede wszystkim groby wznoszone we formie większych budowli kamiennych, występowanie obrządku ciałopalnego i specjalna ceramika (naczynia brzuchate, czerpaki). Swym zasięgiem terytorialnym obejmuje ona prócz właściwego Podola przedzbruczańskiego, zachodnią część Podola rosyjskiego po Smotrycz, prawie całą Bukowinę i Pokucie. Tworzyli tu Scytowie tylko cienką warstwę ludności panującej. Natomiast warstwę podbitą stanowiła masa ludności rolnej o lokalnej kulturze trackiej, która rozwijała się tu szczególnie w młodszej epoce bronzowej. Kulturę tego ludu zamierza autor opisać w odrębnej pracy. — Okres życia kultury scytyjskiej na Podolu przypada na wieki VI—II przed Chr., a dzieli się na dwie fazy: starszą VI—V w. i młodszą IV—II w. Granica między nimi jest mało widoczna. Największy rozkwit przypada na V w. przed Chr. W młodszej fazie widoczną jest mniejsza staranność wyrobów i zubożenie. — Najsilniejsze związki łączą naszą grupę z kijowskim ośrodkiem kultury scytyjskiej, a zupełnie równoległy rozwój tych dwóch grup pozwala przypuszczać, że podolska stała w jakimś stosunku zależności do kijowskiej. W starszym okresie charakterystyczne są również silne kontakty z grecką Olbią i kulturą wysocką. W młodszym osłabły związki ze wschodem na skutek przesunięcia się centrum scytyjskiego na Zadnieprze, odnowiono zaś stare przedscytyjskie powiązania z Niżem Węgierskim, a zwłaszcza Rusią Zakarpacką. — Scytowie przyszli na Podole prawdopodobnie

z nad Dniepru w VII w. przed Chr. Nagłym najazdem zniszczyli organizację państwową tubylców, ludu o kulturze trackiej, ale kultury jego nie naruszyli, a nawet sami ulegli jej częściowo przejmując zwyczaj budowania kamiennych kurhanów i palenia ciał zmarłych. Najazd scytyjski przerwał stare kontakty kulturowe zachodnie, a otworzył szeroko drogę wpływom północnowschodnim. — Upadek Scytów na Podolu na przełomie II i I w. przed Chr. przedstawił autor odmiennie niż W. Antoniewicz, który uważał, że powodem ich nawrotu nad Dniepr był najazd Celtów, idących od południowego-wschodu. Prof. Sulimirski wykazuje, że szczupłe znaleziska celtyckie z naszego terenu mogą być tylko świadectwem kontaktu kulturowego, a nie najazdu, a również, że Scytów wyparł lud o kulturze przeworskiej, który przybył tu z Pobuża. Nowi najeźdźcy zajęli ich miejsce i (podobnie jak Scytowie) nie zniszczyli starej kultury trackiej. — Druga część pracy obejmuje dokładny inwentarz i opis grobów oraz znalezisk. Z podolskich wykopalisk dłuższe ustępy wraz z rysunkami i fotografiami poświęcono kurhanom w Beremianach i Gródku nad Dniestrem, w Szydłowcach (Kopyczyńce), Nowosiółce Grzymałowskiej i Ładyczynie (Tarnopol). Z kurhanów zazbruczańskich dokładniej przedstawiono iwachnowieckie i serwatynieckie (Kamieniec).

Zwierciadła scytyjskie uważa I. Reichl za formę zapożyczoną z Grecji, która z biegiem czasu była naśladowana przez lokalnych rzemieślników scytyjskich. Dzieli je autorka na trzy grupy: zwierciadła z ozdobną rączką, z rączką nieornamentowaną i bez rączki. Pierwsza grupa najstarsza i wyróżniająca się szlachetnością motywów o stylizacji jońskiej wyszła prawdopodobnie z warsztatów Olbii, z pracowni scytyjskich z okolic Olbii pochodzą zwierciadła drugiego typu, natomiast trzeci bardzo prymitywny jest zapewne produktem lokalnych wytwórni podolskich, a chronologicznie należy do młodszego okresu kultury scytyjskiej.

Analiza węgli i drewnianych resztek strzał oraz lanc, przeprowadzona przez O. Seidl, wykazała obecność dębu we wszystkich kurhanach scytyjskich, a prócz tego występowanie jesionu, grabu, lipy, wiązu i leszczyny. Widocznie rosły wtedy na Podolu lasy dębowe, a obok nich mieszane liściaste. Przemawiałoby to za istnieniem klimatu ciepłego o charakterze kontynentalnym. — Do tekstów polskich wszystkich trzech rozpraw

dołączono bardzo dokładne streszczenia (niemal dosłowne tłumaczenia) w języku niemieckim.

24. M. Śmiszko — T. Sulimirski — K. Myczkowski: Przyczynki do poznania epoki cesarstwa rzymskiego południowo-wschodniej Polski. Str. 4 nlb+62+5 tbl., 18×25 cm. Lwów 1934. Prace Lwowskiego Towarzystwa Prehistorycznego, Nr 1.

Dzieło składa się z trzech rozpraw ściśle ze sobą związanych treścią. Pierwsza „Osady kultury lipickiej“ jest kontynuacją pracy Śmiszki pt. „Kultury wczesnego okresu epoki cesarstwa rzymskiego w Małopolsce wschodniej“ (Lwów 1932), w której wyróżniono dwa zespoły kulturowo-etniczne: wandalski i lipicki, ale na podstawie ograniczonego materiału, bo wyłącznie grobowego. W obecnej rozprawie rozpatruje tenże autor znaleziska osadnicze, wykopane przez Sulimirskiego w Holihradach i Nowosiółce Kostiukowej (pow. Zaleszczyki), przez Pasternaka w Zaleścach (Bóbrka) oraz Vulpych w Rumunii, wreszcie polemizuje z prof. Kozłowskim, który osadę w Nieźwiskach nad Dniestrem zaliczył do kultury wysockiej. Autor dowodzi, że materiał znaleziskowy wymienionych osad wykazuje bardzo ścisłe powiązania z zawartością grobów w Lipicy (Rohatyn) i należy do lipickiego zespołu kulturowego. Dowodzą tego analogie w budowie pieców, wykonaniu i sposobie zdobienia ceramiki (zwłaszcza charakterystycznych puharów na wysokiej nóżce), jej specyficznych przemieszaniach, powiązaniach z zespołami dako-getyckimi z terenu Rumunii i datowaniu.—Dzięki tym odkryciom znajomość kultury lipickiej została znacznie rozszerzona; możemy obecnie mówić o jej zamkniętym zespole, dla którego znamy osady, groby, skarby i znaleziska przypadkowe. Osady tego zespołu przedstawiają się następująco. Chaty dzielą się na dwie grupy: starsze i prymitywniejsze są owalne lub okrągłe, młodsze czworoboczne; czworokątne lub owalne piece posiadają sklepienia kopulaste; ceramika jest trojaka: lepiona z wolnej ręki, lepiona, ale imitująca wyroby toczone, oraz toczona na kole garncarskim. Na wybitnie osadniczy charakter ludności wskazują często spotykane duże naczynia dla przechowywania zapasów.— Osady lipickie zostały założone pod koniec okresu późnolateńskiego lub na początku wczesnorzymskiego, a więc około Narodzenia Chrystusa. Górnej granicy wieku nie da się na razie dokładnie oznaczyć. Prawdopodobnie pod koniec II w. po Chr. za-

czyna osadnictwo to ustępować na zachodzie (w okolicach Lwowa) pod naporem wojowniczych plemion wandalskich, ale na południu nad Dniestrem żyje jeszcze w okresach następnych. — Jego terytorium tworzy długi pas od Lwowa do Żydaczowa i dalej nad Dniestrem (przeważnie po lewym jego brzegu) po Zbrucz, a sięgający prawdopodobnie Morza Czarnego. Stworzyła kulturę lipicką silna kolonizacja rumuńskich zespołów dako-getyckich, przepojonych elementami kultur celtyckich, która przyszła z południa na początku naszej ery i opanowała porzecze Dniestru.

Sulimirski w artykule „Trzy chaty przedhistoryczne" opisał odkryte przez niego w 1931 r. nieznane dotąd osady w Holihradach, Nowosiółce Kostiukowej (Zaleszczyki) i Maksymówce (Zbaraż). Pierwszą z nich datuje on na okres końcowolateński, druga została założona z początkiem okresu rzymskiego, a trwała nieprzerwanie przez okres późnorzymski i wędrówek ludów, trzecia pochodzi z okresu późnego cesarstwa rzymskiego, a trwała dalej w okresie wędrówek ludów.

Natomiast Myczkowski oznaczył „Kości zwierząt ssących z osad epoki cesarstwa rzymskiego południowo-wschodniej Polski", zebrane przez Instytut Prehistorii U. J. K. Okazało się, że są to kości koni, bydła stepowego, owiec, kóz, cerwidów, świń i psów. Na specjalną uwagę zasługuje czaszka owcy prawdopodobnie torfowej znaleziona w Nowosiółce Kostiukowej.

25. Gajek Józef: Problemy etniczne i narodowościowe na Podolu. Odczyt... Str. 51, 16×10 cm. Tarnopol 1937. Nakł. Okręgowego Związku Kół T. S. L.

Broszura bardzo ciekawa przedstawia splot podolskich stosunków narodowościowych i wyznaniowych widzianych oczyma etnografa. Dostrzega on powolne zacieranie się związku między narodowością i wyznaniem, wzmagający się wpływ momentów gospodarczych i językowych na deklarację narodową, silniejsze przywiązanie ludu ruskiego do cerkwi niż polskiego do kościoła, wreszcie rozpatruje sprawę obchodzenia świąt podwójnych i tzw. kradzieży dusz. Zastanawiając się nad rolą języka podkreśla autor jego szczególne znaczenie dla utrzymania poczucia narodowego i niebezpieczne dla nas zjawisko kurczenia się używalności języka polskiego, który na wsi nabiera charakteru wyjątkowego i odświętnego, a często z biegiem czasu zanika zupełnie. Przyczynę tego stanu widzi on w odwiecznej walce wsi z polskim dworem i tymi elementami, które lud uważa za dalszy

ciąg staroszlachetczyzny. Podobnie kurczy się zasiąg kultury ludu polskiego: z licznych dawniej pieśni polskich pozostały tylko fragmenty, wyparły je piosenki ruskie, podobny los spotkał polskie tańce, strój ludowy ulega urbanizacji, zniknęły pierwotne narzędzia rolnicze, a Rusini opanowują powoli rzemiosło, dotychczas wyłączną domenę wpływów polskich. Nie brak jednak zjawisk dodatnich, świadczących o wzmaganiu się uczuć narodowych u ludu polskiego; widoczne to jest przede wszystkim w postępującym procesie izolacji zapoczątkowanym przez młodzież wiejską. Uwagi swoje oparł autor na obserwacjach zebranych w ciągu dwumiesięcznej wędrówki po Podolu w r. 1936.

Historia i jej nauki pomocnicze.

26. Lauda sejmikowe halickie 1696—1772, wydał Wojciech Hejnosz. Str. XX+761, 25×32 cm. Akta grodzkie i ziemskie z Archiwum Państwowego we Lwowie... Tom 25. Lwów 1935. Towarzystwo Naukowe we Lwowie.

Okazały tom znanego ogólnie wydawnictwa tworzy łącznie z poprzednim (Lauda sejmikowe halickie 1575—1695, wydał Antoni Prochaska, str. XV+570, Lwów 1931) całość obejmującą wszystkie lauda halickie. Ogłoszony tu materiał źródłowy posiada doniosłe znaczenie dla badacza przeszłości Podola zachodniego, które jako powiat trembowelski wchodziło w skład ziemi halickiej. Treść laudów jest bardzo różnorodna, posiadają więc one duże znaczenie dla badań historycznych w ściślejszym znaczeniu, historyczno-gospodarczych, historyczno-prawnych oraz dla dziejów kultury. Materiał tu ogłoszony został zaczerpnięty prawie całkowicie z aktów Archiwum Państwowego (dawniej Ziemskiego) we Lwowie. Wydawca w przeważnej mierze korzystał z oryginalnych wygotowań laudów sejmikowych, a w razie ich braku oparł się na współczesnych odpisach. Są to lauda sejmików ziemskich, przedsejmowych, relacyjnych, deputackich, gospodarskich, limitacje, lauda obozowe szlachty halickiej, akty konfederacyj ziemian halickich, instrukcje sejmików dla posłów na sejmy, do królów, prymasów lub hetmanów, ich odpowiedzi, elekcje urzędników ziemskich, protestacje ziemian i t. p. Ogółem wszystkich aktów wydanych jest 347. Poszukiwania i orientację w tym materiale znakomicie ułatwiają dwa indeksy sumiennie przez wydawcę opracowane, a to nazw osób i miejscowości oraz rzeczy.

27. Rec.: Pohorecki F., Kwartalnik Historyczny, t. 50, str. 466—472. Lwów 1936.

28. Konopczyński Władysław: Przegląd źródeł do Konfederacji Barskiej. Str. 535—577. Kwartalnik Historyczny, t. 48. Lwów 1934.

„Nie ma polskiej sprawy dziejowej, do której by się zachowała większa obfitość źródeł, niż do konfederacji barskiej. Trzeba było przejrzeć nieogarniętą masę aktów i poświęcić tej pracy dwadzieścia pięć lat“. Zestawienie powyższe jest znakomitym przewodnikiem po tym labiryncie źródeł.

29. Buczek Karol: Z dziejów polskiej archiwistyki prywatnej. Archiwa XX. Czartoryskich. Str. 45, 24×17 cm. Kraków 1938. Osobne odbicie ze „Studiów histor. ku czci Stanisława Kutrzeby“, t. 2.

Tematem rozprawy są dzieje i rekonstrukcja zawartości zbiorów archiwalnych starszej, tj. puławsko-sieniawskiej linii Czartoryskich. Okres największego ich rozwoju przypada na w. XVIII. Gromadził je ks. August w kilku miejscach. Papiery dotyczące jego dóbr na Podolu oraz garnizonów wojskowych w Brzeżanach i Międzybożu znajdowały się w Warszawie, natomiast wszystkie archiwalia po Sieniawskich w Lublinie i na zamku brzeżańskim, skąd przewieziono je do Lwowa. Do naszych czasów dochowała się część sumariuszy sporządzonych przez Witoszyńskiego w poł. XVIII w. Obejmują one przywileje Sieniawskich na różne godności, transakcje, akta procesowe, papiery ekonomiczne i administracyjne, wojskowe hetm. Adama Mikołaja Sieniawskiego († 1726 r.), jego korespondencję i korespondencję Sieniawskich do końca XVI w. Obok archiwów centralnych posiadali Czartoryscy w poł. XVIII w. zbiory lokalne, w których gromadzono ze względów praktycznych papiery ekonomiczno-administracyjne i jurydyczne. Archiwa takie powstały w kluczach grzymałowskim i międzyborskim. O pierwszym nic nie wiemy. Drugie zostało w 1792 r. wywiezione do Łańcuta, a potem uległo podziałowi. Część wróciła do Międzyboża, druga powędrowała do Puław. Zbiory te uległy zniszczeniu w 1831 r.

30. Barwiński Eugeniusz i Wąsowicz Michał: Reformy Józefa II i jego następców i ich pozostałości archiwalne. Str. 251—289 Ziemia Czerwieńska, t. 1. Lwów 1935.

Rozprawa zawiera bardzo cenne wiadomości dla badaczy, informuje bowiem o źródłach historycznych byłego zaboru austriackiego, ich treści, wartości naukowej, ilości i miejscu przechowania. Lwia ich część znajduje się w Archiwum Państwowym we Lwowie. Omówiono je wedle następujących grup: pomiary kraju i zdjęcia kartograficzne, spisy ludności, inwentarze aktów, zajęcie i wysprzedaż dóbr koronnych i kościelnych, ujęcie i inwentaryzacja majątku kościelnego, fasje podatkowe, tabula krajowa, księgi gruntowe, metryka józefińska, fasje urbarialne z roku 1789, fasje urbarialne z lat 1790—1818, metryka franciszkańska, fasje urbarialne z roku 1819.

31. Friedbergowa Marja: Bibljografja historji polskiej za rok 1933 i 1934. Str. 4 nlb+176. Dodatek do Kwartalnika Histor. Rocz. 50. Lwów 1936.

32. Andrusiak Michał: Historjografja ruska (ukraińska) w latach 1921—1930. Str. 57—64, 299—318. Kwartalnik Historyczny, t. 48, Lwów 1934.

33. Przegląd literatury do dziejów politycznych Ziemi Czerwieńskiej. Str. 106—133. Ziemia Czerwieńska, Rocz. 1. Lwów 1935.

Przegląd składa się z czterech części: I Włodarski Bronisław: Okres średniowiecza do 1385 r., II Maleczyńska Ewa: Epoka jagiellońska (1385—1572), III Lewicki Kazimierz: Czasy królów elekcyjnych, IV Tyrowicz Marian: Galicja 1772—1914. Omówiono tu najważniejszą literaturę powojenną polską, a częściowo też ruską. Bardzo znaczna jej część posiada doniosłe znaczenie dla historyka Podola.

34. Knot Antoni: Dzieje szkolnictwa na Ziemi Czerwieńskiej. Przegląd literatury 1918—1935. Str. 149—157. Ziemia Czerwieńska, t. 2. Lwów 1936.

35. Tyrowicz Marian: Historia społeczna i gospodarcza Galicji. (Przegląd badań polskich z lat 1918—1935). Str. 118—124. Ziemia Czerwieńska, t. 3. Lwów 1937.

---

36. Zakrzewski Stanisław: Polacy i Rusini na Ziemi Czerwieńskiej w przeszłości. Str. 243—274, 17×25 cm. Zagadnienia historyczne, T. 2. Lwów 1936. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Szkic niniejszy jest przedrukiem, pierwszy raz ukazał się w 1919 r. w pracy zbiorowej p. t. „W obronie Galicji wschodniej“. W pojęciu autora „Ziemia Czerwieńska — to właściwa polska nazwa Rusi Czerwonej. Obejmowała ona przeważną część t. zw. Galicji wschodniej, a nadto Chełmszczyznę“. Pierwotnie (w. VI—XI) zamieszkiwały ją szczepy polskie, które zostały podbite przez Włodzimierza W. w 981 r., a ostatecznie przez Rościsławiców około 1080 r., zruszczyła natomiast tę ludność cerkiew prawosławna. W dalszych ustępach szkicuje autor napływ żywiołu polskiego na ziemie czerwonoruskie (zaczął się on już w XIII w., jeszcze przed ich podbojem), jego potężną rolę kulturalną, polonizację szlachty ruskiej i towarzyszącą jej rutenizację ludu polskiego (zwłaszcza w okresie wojen kozackich i masowe przechodzenie na unię w początkach XVIII w.), wreszcie rutenizacyjny wpływ kolonizacji wołoskiej i tatarskiej, tudzież odrodzenie narodowe mas polskich i ruskich w XIX i XX w. Ale między oboma ruchami narodowymi zachodzą duże różnice: polski objął wszystkie warstwy społeczne, jego „siła polega na wymianie wartości narodowych pomiędzy rozmaitymi warstwami, na społecznej harmonii“, natomiast wspólną cechą wszystkich kierunków ruchu ruskiego jest „nienawiść do wszystkiego, co polskie“.

37. W i d a j e w i c z J ó z e f: Południowo-wschodnie kresy Polski w X i XI wieku. Str. 2 nlb + 81 + mapa, 16×24 cm. Poznań 1937. Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Prace Komisji Historycznej, tom 9, zesz 2.

Rozpatrzywszy dotychczasowe wyniki badań historyków polskich, ruskich i rosyjskich autor dochodzi do przekonania, że 1. relacje tzw. Nestora zasługują na bezwzględne zaufanie, 2. Bolesław Śmiały nie odzyskał ziem utraconych na wschodzie przez Mieszka II, 3. grody czerwieńskie czyli ziemia czerwieńska jest tylko późniejszą ziemią chełmską, 4. pierwotną granicę polsko-ruską stanowiła linia środkowego Bugu, górnego Styru (zgodnie z przekazem dokumentu praskiego z 1086 r.), a dalej zabagnionych rzek Pełtwi, Wereszycy, Dniestru i Strwiąża (badania Semkowicza oparte na materiale archeologicznym). — Badania historyków p. Widajewicz uzupełnia własnymi, opartymi na materiale onomastycznym. Stwierdza on mianowicie istnienie jakby kordonu nazw (24) o temacie „lach“, towarzyszącego wytkniętej przez Semkowicza granicy, co jest ważne z tego względu, że

ogólnie znane jest zjawisko powstawania nazw pochodzących od miana ludów w terenach pogranicznych. Uzyskany materiał onomastyczny, któremu z filologicznego punktu widzenia nie można niczego zarzucić, dzieli się na dwie grupy: a) nazwy oznaczające ludzi (Lachy, Laszki) i b) ziemię (Lachowa, Lasza, Lackie). Rozbiór ich genezy poucza, że grupa druga ma większe znaczenie dla badań autora. Na ogólną liczbę 24 nomenklatur lackich źródłowo można stwierdzić istnienie 12 w wieku XV, a dwóch w XIV, są jednak pewne poszlaki wskazujące, że conajmniej cztery z nich musiały istnieć już w XI stuleciu (należy do nich też Lackie w pow. złoczowskim). Dane dokumentu praskiego potwierdza bieg wschodniej granicy województwa bełskiego związanej z Bugiem i Styrem, która niewątpliwie skrystalizowała się jeszcze w XII wieku, tj. wtedy, gdy ziemia bełska była udzielnym księstwem ruskim. „Wszystkie te dane razem wzięte zdają się problem granicy rozstrzygać. Onomastyka w archeologicznych zabytkach znalazła oparcie, ale też ze swej strony archeologię poparła. Gdzie dwa dociekania, na całkiem odmiennym materiale oparte, tak zgodny dają wynik, tam trudno chyba wątpić w zgodność wyniku z rzeczywistością“. — W drugiej części rozprawy p. Widajewicz rozważa problem przynależności etnicznej ludności zamieszkującej ziemie pograniczne między Wisłokiem a Bugiem. Większość uczonych uważa je za ziemie ruskie, a tezę o ich polskości broni konsekwentnie tylko Brückner. Ostatnio ciekawie oświetlił ten problem Janów stwierdzając w gwarach huculskich ślady starego sąsiedztwa z polszczyzną. W tym samym kierunku idzie autor, który dowodzi, że wszystkie najstarsze nazwy miejscowe pogranicza (Przemyśl, Czerwień, Bełz) są polskiego pochodzenia. Ciekawe są jego wywody dotyczące najbardziej na wschód wysuniętego klina polskiego, tj. ziemi bełskiej, obejmującej swymi granicami całe Pobuże. Nazwa Bełz pochodzi od staropolskiego „bełzyć“ (jaśnieć, świtać) i znaczy błysk, a zgrupowanie sylab „eł“ jest signum specificum polskiej mowy. Nazw takich na Pobużu jest sześć (autor omyłkowo mówi o pięciu): oprócz wymienionego grodu, rzeka Bełz dzisiejsza Sołokija, w pow. cieszanowskim wieś Bełzec i takaż rzeka, dziś zwana Krynicą, w pow. złoczowskim strumień Bełzec i tegoż miana wieś nad nim leżąca. Takie skupienie nazw o temacie „bełz“ każe przypuszczać, że pierwotnie nad górnym Bugiem mieszkał nieznany w źródłach szczep polski Bełżyców

lub Bełżan. Ważnego strategicznie węzła hydrograficznego Bug—Styr—Strypa—Seret strzegły dwa polskie grody: Busk wspominany w źródłach po raz pierwszy w 1097 r. i Olesko, dla którego brak niestety wczesnych wiadomości.

38. Lam Jan: Starożytny Dźwinogród i „Rożne Pole". Str. 221—246, 15×23 cm. Warszawa [1938]. Pisma... nie objęte wydaniem jubileuszowym wydał St. Lam. Trzaska, Evert i Michalski.

W ostatnim uzupełniającym tomie „Pism Jana Lama", wydanym pod zbiorowym tytułem „Szklany człowiek i inne opowiadania", znalazła się również jego jedyna rozprawa historyczna publikowana już w r. 1886. Autor starał się tam wykazać, że Dźwinogród, wspomniany kilkakrotnie przez źródła ruskie na przestrzeni XI—XIII w. jako ważny ośrodek polityczny, czas pewien nawet stolica książęca, należy identyfikować z Dźwinogrodem naddniestrzańskim i że tu znajdowała się pierwotna stolica Podola. Natomiast słynne pole bitwy stoczonej w r. 1099 przez Wasylka trembowelskiego i Wołodara przemyskiego z Świętopełkiem ks. kijowskim umiejscawia on na Rożanieckiej Polanie nad Tanwią. Poglądy te nie przyjęły się w nowszej historiografii tak polskiej jak i ruskiej, która identyfikuje starożytny Dźwinogród z dzisiejszą wsią tegoż miana, położoną u stóp Gołogór na północ od Bóbrki, natomiast „Rożne Pole" szuka w pow. złoczowskim u źródeł Seretu.

39. Skrzypek Józef: Południowo-wschodnia polityka Polski od koronacji Jagiełły do śmierci Jadwigi i bitwy nad Worsklą (1386—1399). Str. 2 nlb+130, 18×26 cm. Lwów 1936. Archiwum Towarzystwa Naukowego we Lwowie, Dział II, t. 21, z. 1.

O Podolu mowa jest w ostatnim rozdziale rozprawy, gdzie autor przedstawił ówczesną płynność jego granic, przybycie Koriatowiczów (1362 r.), ich stosunki z Polską, Węgrami, Mołdawią i Litwą, wypędzenie w r. 1393 oraz nadanie zachodniego Podola Spytkowi z Melsztyna w 1395 r. Autor zbija twierdzenie prof. Haleckiego o stosunku lennym Aleksandra Koriatowicza do Węgier od r. 1377 i dowodzi, że wprawdzie uznał on zwierzchnictwo Ludwika Węgierskiego, ale jako króla Polski.

40. Kolankowski Ludwik: Problem Krymu w dziejach jagiellońskich. Str. 279—300. Kwartalnik Historyczny, t. 49. Lwów 1935.

W epoce jagiellońskiej przedsięwzięli Tatarzy kilkanaście poważnych najazdów na ziemie polsko-litewskie (z nich na Po-

dole szły pochody pod Wiśniowiec 1494 i 1512, Busk 1516), a poza nimi miały miejsce liczne wyprawy drobnych watah liczących zaledwie po kilkaset koni. Najczęściej głód i nędza pchały ich do tych rozpaczliwych poczynań, bowiem ½ milionowa horda (stan z poł. XVI w.) nie mogła wyżywić się na stepach czarnomorskich. Stąd wielkie znaczenie pobieranych przez ordę „upominków", którymi często hamowano jej apetyty. Haracz płacił również rząd polski od r. 1442 z Podola w wysokości 200 grzywien rocznie. Niezależnie od tego na układ stosunków z Krymem duży wpływ miały sytuacje polityczne, systemy umów, rozejmów i przymierzy, które wynikały z jego polityki wobec Kipczaku, Moskwy i Turcji. Wszystkie te czynniki razem składały się na wzrost nasilenia lub zanik napadów tatarskich na Podole i ziemie sąsiednie. Autor przedstawił te fluktuacje bardzo treściwie i drobiazgowo dzieląc na trzy okresy: 1. walki o niezawisłość ułusu krymskiego (do 1460 r.), 2. jego zdecydowanie wrogiego stosunku do państw jagiellońskich (do 1516 r.) i 3. czas obrony niepodległości Kipczaku i litewskiego wschodniego pogranicza.

41. Tomkiewicz Władysław: Jeremi Wiśniowiecki (1612—1651). Str. XVI, 406+2 tbl. i 2 mapy, 16×24 cm. Warszawa 1933. Rozprawy historyczne... pod red. M. Handelsmana t. 12. Nakład Towarzystwa Naukowego Warszawskiego.

Jest to pierwsza obszerna monografia o bohaterskim obrońcy Zbaraża, która ogarnęła całokształt jego krótkiej działalności (Wiśniowiecki zmarł w 39 roku życia) od lat młodzieńczych, przez pierwsze wyprawy wojenne, walki z rebeliantami kozackimi i Tatarami, koloninację Zadnieprza, sprawy rodzinne i sejmowe, walkę z Chmielnickim, aż do śmierci podczas wyprawy na Ukrainę przedsięwziętej po zwycięstwie beresteckim. Nas tu obchodzą tylko wypadki rozgrywające się na ziemi podolskiej t. j. bitwa pod Piławcami, obrona Zbaraża i pokój pod Zborowem. Wypadki te przedstawiono dość ogólnie za Kubalą podkreślając tylko kilka szczegółów nieznanych autorowi „Szkiców". Dowodzi tu p. Tomkiewicz, że z punktu widzenia strategii zarówno pochód na niewygodną pozycję piławiecką, jak też zamknięcie się w obozie pod Zbarażem były błędami. Badania Frąsia nie zostały wyzyskane.

42. Rec.: Rowiński J. Przegląd Hist.-Wojsk. t. 7, str. 158—165. Warszawa 1934.

43. Rec.: Mienicki R. Kwart. Hist. t. 48, str. 663—71. Lwów 1934.

Obaj recenzenci stwierdzają, że praca p. T. jest poważnym dorobkiem naukowym.

44. Lasocki Zygmunt: Nieznany bohater z pod Zbaraża. Str. 11. Kraków 1934. Nakład autora.

Rozprawka ma charakter polemiki z doc. Górką. Przynosi kilka szczegółów z życia rotmistrza Krzysztofa Stapkowskiego, któremu udało się wydostać z oblężonego w r. 1649 Zbaraża i przynieść ważne wieści królowi.

45. Kryczyński Stanisław: Bej barski. Szkic z dziejów Tatarów polskich w XVII w. Rocznik Tatarski, t. 2, str. 229—301. Zamość 1935.

Postać groźnego przywódcy Lipków Aleksandra Murzy Kryczyńskiego znana jest ogółowi społeczeństwa polskiego z „Pana Wołodyjowskiego“, ale Sienkiewicz przedstawił ją w sposób niezgodny z prawdą. Możliwie wierną jego sylwetkę daje nam wymieniona rozprawa. Przedstawiono tu pochodzenie Kryczyńskiego z tatarsko-kniaziowskiego rodu, jego służbę we wojsku Rzeczypospolitej na czele własnej chorągwi tatarskiej, ocalenie od śmierci hetmana Potockiego, udział w bitwie pod Warką, bohaterską postawę pod Cudnowem i walkę z rokoszanami spod znaków Lubomirskiego, wreszcie awanturnicze życie domowe (mieszkał pod Sokalem) pełne tej samej co szlacheckie fantazji, rąbania, procesów i zajazdów. — Liczbę ludności tatarskiej zamieszkującej całą Rzpltę w r. 1660 ocenia autor na 14—16.000 głów, z tego aż 3.230 służyło w wojsku. Po niszczącym najeździe moskiewskim na Litwę z r. 1655 zubożali Tatarzy litewscy poczęli masowo przenosić się na Wołyń, Podole i Ukrainę, gdzie zetknęli się z jeńcami tatarskimi osadzonymi na roli. W Koronie otrzymali oni nazwę Lipków, której nie udało się dotąd wyjaśnić. Rychło ciężkie położenie materialne Lipków pogorszyło się jeszcze bardziej z powodu ograniczenia liczby ich chorągwi i krzywdzącego niewypłacenia dobrze zasłużonego trzyletniego żołdu. To, jak również przekonanie o swym tureckim pochodzeniu, pchnęło ich w zimie 1671/72 r. do buntu i oddania swych usług Porcie. — Tą samą drogą poszedł i Kryczyński, którego poza ogólnymi pretensjami bolały jeszcze niespełnione obietnice królewskie i zatargi z proboszczem sokalskim. W wy-

buchającej właśnie wojnie polsko-tatarskiej wziął on wraz z Lipkami czynny udział, a traktat buczacki zapewnił Tatarom polskim i litewskim prawo swobodnej emigracji do Turcji. W latach 1671—72 wywędrowało ich na Podole około 3.000 głów. Stąd -- mimo oficjalnego pokoju — łupiły ich oddziały pograniczne. Szczególnego rozgłosu nabrało wtedy nazwisko Kryczyńskiego, który wyprawiał się nawet na Buczacz i Janów nad Seretem. W nagrodę za wysługi w lecie 1673 r. dała Porta Lipkom Bar, a ich wodzowi Kryczyńskiemu bejostwo barskie, co było dość znacznym wyniesieniem, bo Bar był wtedy po Kamieńcu najważniejszym punktem na Podolu. Od tego czasu Lipkowie w oparciu o forty Kamieńca i Baru przez wiele lat pustoszyli sąsiednią Ziemię Czerwieńską i Wołyń zachowując jednakowoż — rzecz ciekawa — strój i mowę polską Ale Kryczyńskiemu nie było danym długo cieszyć się bejostwem; zginął już w jesieni 1673 r., zabity przez kilku Tatarów litewskich pragnących powrotu do Polski. Bejostwo barskie otrzymał jego antagonista Husseim Murawski.—W r. 1674 król Jan III zdobył Bar, ale dla Lipków okazał się łaskawy i wyznaczył im siedziby w Kowlu, Ratnie i Kobryniu. Natomiast Lipkowie kamienieccy pozostali na służbie Porty i nadal organizowali swoje łupieskie napady na ziemie polskie. Traktatem żórawińskim Tatarzy polscy i litewscy otrzymali ponownie prawo wolnej emigracji do Turcji, z czego skorzystało 3.000 ludzi, a padyszach rozmieścił ich w Kamieńcu, Międzybożu i znowu w Barze. Po ustąpieniu Turków w r. 1699 przenieśli się niemal wszyscy poza Dniestr w okolice Chocimia i na deltę Dunaju.

46. K o n o p c z y ń s k i W ł a d y s ł a w: Konfederacja Barska. Tom I. str. XVI+559. 18×25 cm. Warszawa 1936. Wyd. Kasy imienia Mianowskiego.

Znakomity badacz XVIII w. poświęcił konfederacji barskiej dwadzieścia pięć najlepszych lat swego życia; w licznych podróżach naukowych przepracował z właściwą sobie dokładnością i wnikliwością nie tylko archiwa i biblioteki krajowe, lecz i najcenniejsze zagraniczne zbiory w Berlinie, Dreźnie, Paryżu, Londynie, Kopenhadze, Moskwie, Marburgu, Monachium, Petersburgu, Sztokholmie i Wiedniu. Obrazowym i jędrnym stylem dał pogląd na genezę konfederacji, wymalował do ostatniego rzutu pędzla portrety konfederatów nie szczędząc im ciemnych barw, w ramach swego dzieła zawarł niemal dzieje Europy na prze-

strzeni tych kilku lat. — Spiski na Podolu i wielki tydzień w Barze wprowadzają nas w sedno zagadnienia tej podolskiej konfederacji. Ruchy wojsk królewskich na Rusi, rola zamków magnackich i pierwsze boje konfederatów od 31 marca 1768 r. pod Nowokonstantynowem i Winnicą, to dalsze momenty interesujące szczególnie historyka tych ziem polskich. Ale już rusza wódz ros. Piotr Kreczetnikow, „wilk o dalekim węchu i długich łapach" (aluzja do jego grabieży), by zepchnąć konfederatów wspólnie z Podgoriczaninem ku tureckiej granicy. Walki pod Starokonstantynowem, Chmielnikiem, Ułanowem, Podhajcami, w których błyska talent Kazimierza Pułaskiego, wreszcie wyprawa wojsk królewskich pod Branickim i ucieczka konfederatów do Mołdawii — znaczą się krwawym szlakiem po całym kraju. — Propaganda barska objęła w pierwszym rzucie Podole, Kijowszczyznę i Bracławszczyznę, ale po części wyczerpała się w tym wysiłku — pisze prof. Konopczyński; „Koliwszczyzna" zaś dokonała reszty zniszczenia. Wyśledzenie związków tego krwawego ruchu z konfederacją barską jest zasługą autora, zwłaszcza stwierdzenie, że apel barzan do prawosławnych nie tyle wywołał zrozumienie u katolików, co podwojenie zajadłej agitacji popów. Rozmiar i gwałtowność rewolucji hajdamackiej musi zdumiewać czytelnika. Nie udało się jednak dotychczas stwierdzić, skąd wyszła osławiona Złota Hramota, która miała Rosję pasować na twórcę tego ruchu; odpisu jej nie znaleziono w rosyjskich archiwach. Nie ma jednak wątpliwości, że Rosja bunt ten potem tłumiła w obawie przeniesienia pożaru i na rosyjską Ukrainę. Działania konfederatów w tej części Polski zamykają smutne wypadki, jak klęski partii Dubieckiego zadane jej przez gen.-majora Prozorowskiego pod Założcami i w Toporowie w czerwcu 1768 r. Stosunek Turcji do podolskiej konfederacji zależał wtedy od sprytnej dyplomacji rosyjskiej. Dopiero prowokacje Rosjan uganiających się po pograniczu tureckim za konfederatami, a przede wszystkim napad kozaków zaporoskich Szyły na Bałtę, wywołały tureckie oburzenie i wojnę na ziemiach polskich, która zaczęła się od napadu Turków na Żwaniec. Upominając się „o Polskę w pełni swobody", bez rosyjskiej okupacji, będą oni gromić również Polaków. — Autor prowadzi nas poprzez kulisy dworów europejskich, przenika bystrym wzrokiem całą ówczesną polską politykę raz po raz reasumując wyniki swych rozważań i stwierdzając, że z odmętów pracy dyplomatycznej

wyłania się prawda niezbita, że konfederatom nie szło już o gwarancję, dysydentów, czy pluralitas w sejmach, lecz o zagadnienie naszej wolności, całości i niepodległości. — Na Podole wracamy z autorem w chwili, kiedy czytamy o rujnującej gospodarce Moskali w podolskich miastach, o targach o Kamieniec między Turcją i Rosją i o zaszczytnej roli obrońcy Kamieńca Witte'go, który cenił wyżej honor niż ruble. Podolscy konfederaci schronili się zrazu do Turcji, gdzie przeszli wszystkie cierpienia przymusowej emigracji, a kiedy los pozwolił im wrócić do kraju, podnieśli spory organizacyjne i ideowe doprowadzając aż do rozłamu Potockich i Krasińskich z Pułaskimi. Kazimierz Pułaski nie dał się jednak pochłonąć wewnętrznym swarom i już we wrześniu zaczął urządzać wycieczki z Mołdawii na lewy brzeg Dniestru, by wreszcie przenieść się do Żwańca, kiedy tymczasem Potoccy łudzili się przymierzem polsko-tatarskim. Wypady braci Pułaskich na Zaleszczyki, Husiatyn, Tłuste ściągnęły na nich korpus rosyjski Izmajłowa; obrona Żwańca i Okopów przyczyniła im sławy, lecz nie sukcesów politycznych. Musieli rejterować przez Turcję w Beskidy Wschodnie lub za męstwo zapłacili rosyjską niewolą. Ale rychło zapał patriotyzmu porwał Kazimierza Pułaskiego do nowej walki: zawiązuje on konfederację przemyską i kusi się z Bierzyńskim i Ignacym Potockim o Lwów w czerwcu 1769 r. bezskutecznie, bo napotkał opór Korytowskiego i pomoc rosyjską Rewicza. A tymczasem w wielkiej polityce gotuje się wojna rosyjsko-turecka, której pierwsze strzały mają paść nad Dniestrem, pod Chocimem i Kamieńcem. Konfederaci z Joachimem Potockim wytrzymali wtedy oblężenie Chocimia przez wojska Golicyna i doczekali się tureckiej pomocy. Południowe Podole znowu było teatrem wojny polsko-rosyjsko-tureckiej, na którym Rosja triumfowała, a Podole zapłaciło zniszczeniem i jasyrem. — Z chwilą rozciągnięcia działań konfederatów na całość ziem polskich a przeniesienia polityki na szeroki i niepewny ocean europejskiej dyplomacji opuszczamy Podole, jednak z tym przeświadczeniem, że podolska konfederacja będzie innym nie tylko hasłem, lecz i wzorem.

Przyboś Adam.

47. Lewicki Karol: Rok 1809 w powiecie złoczowskim. Str. 39—68. Ziemia Czerwieńska, t. 3. Lwów 1937.

Autor przedstawił tu sposób powołania do życia rządu polskiego w cyrkule złoczowskim (27/V) oraz jego działalność

gospodarczą (zarząd kasą, jej wpływy, zarząd dobrami kameralnymi, dostawy wojskowe), a także częściowo akcję poborową. Funkcje kierownika rządu sprawował — wskutek ciężkiej choroby prezesa Tomasza Dąbskiego — v-prezes Antoni Kownacki. Obok niego pracą wyróżniał się komisarz dóbr kameralnych Baltazar Treter. Działalność rządu polskiego napotykała na bardzo znaczne przeszkody w działaniach wojennych (26/VI wkroczyli do Złoczowa ponownie Austriacy) i w okupacji wojsk rosyjskich (od 2/VII). Generał rosyjski Kochowski skrępował działalność Kownackiego, a niebawem nawet zmusił go do opuszczenia Złoczowa (8/VII). Ostatecznie rząd przeniósł się do Brodów, ale już w połowie listopada władze i wojska polskie opuściły granice cyrkułu.

48. Handelsman Marceli: Wpływy polskie na Rusinów galicyjskich w trzeciem i czwartem dziesięcioleciu XIX w. Str. 52—69. Ziemia Czerwieńska, t. 2. Lwów 1936.

Pomimo szybko postępującej na przełomie XVIII i XIX w. polonizacji wyższych warstw społeczeństwa ruskiego, już przed Stadionem budzi się samorzutnie, bez ingerencji ze strony administracji austriackiej ruski ruch narodowy. Jego zalążkiem są objawy pietyzmu dla zabytków starej ruskiej kultury i pieśni ludowej (pierwszy jej zbiór wydał Wacław z Oleska). Potężnym bodźcem było dlań powstanie 1831 r. i akcja demokratów, które porwały młodzież ruską do współpracy z Polakami. Jej przedstawicielem był również podolski działacz ludowy Cięglewicz. Z ruchem ukraińskim naddnieprzańskim i tamtejszą literaturą zapoznali się Rusini galicyjscy w Ossolineum za pośrednictwem Polaków. Rozłam dokonał się dopiero na tle sprawy włościańskiej. Nierozwiązanie jej przez rząd austriacki i sejm galicyjski w latach 1844—5 stało się źródłem niezadowolenia, rok zaś 1846 skompromitował polski ruch narodowy w oczach Rusinów, „prysł urok jego siły i wpływu".

49. Kiniewicz Stefan: Miłkowski i Galicja. Str. 202—207. Ziemia Czerwieńska, t. 3. Lwów 1937.

Autor na podstawie pamiętników Zygmunta Miłkowskiego zebrał i opisał te fragmenty jego życia, które dotyczą pobytu i działalności w Galicji. Znalazły tu również odpowiednie miejsce jego wędrówki po zachodnim Podolu, a zwłaszcza pobyt w Czortkowie.

50. W i s z n i e w s k i S t a n i s ł a w: Brzeżany i kresy w wojnie polsko-ukraińsklej 1918—1919. Str. 252+12 tbl. 14×22 cm. Lwów 1935. Nakładem Biblioteki Kresowej.

Książka p. Wiszniewskiego, brzeżańczyka i zasłużonego działacza, opiera się na osobistych wspomnieniach autora, relacjach jego przyjaciół i znajomych oraz w pewnej mierze na literaturze, zwłaszcza ukraińskiej. — Autor rozpoczyna swoje opowiadanie od opisu zniszczeń, jakie wojna światowa przyniosła Brzeżańszczyźnie: 14 wsi w powiecie znikło z powierzchni ziemi, same Brzeżany paliły się dwukrotnie. Od kwietnia 1916 r. przebywała tu armia bawarska, która utrzymywała wzorowy porządek, a ludności cywilnej śpieszyła z wydatną pomocą. W jej skład wchodził XXV korpus austriacki, przy którym był w sile około 800 ludzi „Ukrainische Legion“, przez Rusinów zwany najchętniej Ukraińskimi Strzelcami Siczowymi. Austria opiekowała się nim troskliwie i uzupełniała szczerby wydzielając ukraińskich żołnierzy ze swoich pułków. W czasie ofensywy Brusiłowa w 1916 r. cały legion został wzięty do niewoli, ale rychło odnowiony pod Borszczowem wymaszerował na Ukrainę po pokoju brzeskim. Jednocześnie Ukraińcy galicyjscy rozwinęli ożywioną akcję polityczną: już 25 marca 1918 r. we Lwowie odbył się zjazd notablów z Galicji i Bukowiny, a od sierpnia przy poparciu upadającej Austrii rozpoczęły się przygotowania do objęcia władzy. Działacze galicyjscy liczyli przy tym na pomoc Wielkiej Ukrainy, co okazało się całkowitym złudzeniem. Już na wstępie mieli oni ogromne trudności z wyszukaniem naczelnego wodza. W ciągu listopada kolejno zajmowali to stanowisko: kpt. Witowski, ppłk. Kossak i kpt. Stefanów. — W okresie rozpadania się Austrii i po powrocie wojskowych z frontu w Brzeżanach było 40 oficerów Polaków. Cała Polonia po nieudałych próbach odnowienia Organizacji Narodowej utworzyła 2 listopada Polski Komitet Narodowy pod przewodnictwem marszałka I. Korzeniowskiego. P. O. W. brzeżańska pozostawała bez jakichkolwiek wskazówek, bo wyznaczony dla niej komendant nie przybył. Akcję zbrojną na własną rękę organizowali bracia Maramarosz, podoficerowie legionowi, co jednak zostało przedwcześnie ujawnione. — Ukraińcy zajęli Brzeżany wraz z całym powiatem w nocy z 3 na 4 listopada. Przygotowaniami kierował i komendę nad wojskiem objął mjr. O. Kowszewicz. Do miasta wkroczyli oni z trzech stron jednocześnie w sile

około 450 ludzi nie natrafiwszy nigdzie na opór. Władzę w powiecie przejął od starosty radca J. Maślak (matka jego była Polką, a dwóch stryjów powstańcami 1863 r.). Obok starostwa ważną rolę odgrywała Państwowa Nacjonalna Rada złożona z delegatów wsi, a zorganizowana przez posła T. Starucha, dobrego mowcę, który umiał oddziaływać na masy. Poseł Staruch objął również funkcje burmistrza Brzeżan. On to, wedle powszechnego mniemania, nakłaniał radcę Maślaka do prześladowań Polaków. Korzystnie przedstawiały się sądy ukraińskie w Brzeżanach, które sumiennie przestrzegały wymiaru sprawiedliwości, co było zasługą M. Karatnickiego. — Wszyscy urzędnicy Polacy za przykładem sędziów i na polecenie Polskiego Komitetu opuścili swoje stanowiska narażając się tem dobrowolnie na prześladowania. Pensje strajkującym wypłacali potajemnie H. Urzędowski i J. Vincenz z funduszów miejscowych kas, przekazanej im kasy 19 p. p., a potem kwot pożyczonych u kilku Żydów. Naukę w gimnazjum polskim przerwano na skutek zakazu władz. W ogóle wojna polsko-ukraińska w przeciągu 7-miu miesięcy wyrządziła większe szkody w pow. brzeżańskim niż wielka wojna światowa. Sami włościanie stwierdzali, że ta ostatnia zabrała po 3—4 ofiary ze wsi, gdy ukraińska po kilkanaście, a nawet nieraz po dwadzieścia. — Zamach ukraiński odciął Brzeżany od świata. Aby więc zdobyć jakieś zlecenia, P. O. W. wysłała dwóch kurierów, którzy dotarli do Krakowa i Przemyśla, skąd przywieźli polecenie utrzymania kontaktu z oddziałem P. O. W. w Stryju. Tymczasem przez miasto przeciągały wojska wracające z frontów i jeńcy. Najokropniejszym był los jeńców rosyjskich. Marli oni w drodze masowo z głodu i na tyfus (ze szpitala wywożono dziennie 50—70 trupów). Z pomocą w formie bezpłatnej zupy pospieszył im komitet polski pod przewodnictwem inż. Wowkonowiczowej. — Już około 10 listopada Ukraińcy ogłosili powszechną mobilizację i przy pomocy oficerów Niemców rozpoczęli pośpieszną organizację armii. Jednak ludność niechętnie szła do poboru; bywały nawet wypadki buntów całych wsi i masowych dezercyj. Broń uzyskali Ukraińcy od wojsk wracających z Ukrainy, które otrzymały odpowiedni rozkaz od gen. Fabiniego, dowódcy korpusu w Odessie. W samych tylko Podwołoczyskach otrzymali oni 80 armat, 300 karabinów maszynowych, 20.000 karabinów, wiele amunicji, koni i pieniędzy. Ułatwiło im to znakomicie prowadzenie wojny. Od-

powiedniego wodza wyszukano na Ukrainie w osobie carskiego gen. Omelanowicza-Pawłenki nie znającego nawet języka ukraińskiego. Jego szefowi sztabu, płk. Myszkowskiemu, zawdzięcza armia ukraińska swą celową organizację (12 brygad — kompletnych jednostek bojowych). Obok oficerów z armii rosyjskiej wybitną rolę odegrali Niemcy austriaccy; w samym sztabie naczelnej komendy było ich sześciu. — Już w kilka dni po objęciu władzy przez Ukraińców rozpoczął się terror i pojawił się zwyczajny bandytyzm. Źródłem niepokojów w powiecie były obie Lipice, Górna i Dolna. W Brzeżanach prześladowania Polaków zaczęły się od nieustannych rewizyj trwających aż do końca ukraińskiej okupacji. W niektórych mieszkaniach odbywano je po kilkanaście razy, czasem po 2 lub 3 razy w ciągu jednej nocy. Nie uszanowano nawet kościołów i klasztorów. Przy okazji rewizyj zabierano wiele cennych rzeczy. Potem zaczęto ścigać ludzi po ulicach i bić nie oszczędzając nawet starców i kobiet. Wreszcie rozpoczęły się mordy. W samych Brzeżanach zamordowano 4 Polaków, a w okolicy 69 osób cywilnych i jeńców wojennych. Wiele dostało się nawet ludności ukraińskiej, szczególnie od rabuśniczego oddziału Dołuda, przybyłego z Wielkiej Ukrainy. W Przemyślanach same władze ukraińskie złożyły mu okup i argumenty szeleszczące poparły wystawieniem karabinów maszynowych. Część społeczeństwa ruskiego potępiała walkę z Polakami: proboszcz brzeżański ks. Korduba odmówił błogosławieństwa oddziałom idącym na front, włościanin Harasymowicz z Horodyszcza nawoływał na rynku do zgody z Polakami, wielu innych śpieszyło w różny sposób z pomocą aresztowanym. Fala aresztowań zaczęła się w noc sylwestrową, wtedy uwięziono również autora książki. Uwięzionych partiami wywożono do Tarnopola i umieszczono w budynku gimnazjum I-ego (z Brzeżan 20 osób). Karmiono ich tam przeważnie zupą z harbuzów, w której pływały odpadki koniny. W gorszych warunkach znajdowali się uwięzieni w pułkownikówce i więzieniu sądowym, gdzie panował tyfus. Niezwykle ofiarną opiekę nad jeńcami i więźniami cywilnymi roztoczyła w Tarnopolu Polska Organizacja Narodowa z paniami J. Lewandowską, Z. Voglową i panem R. Schmidtem na czele: dziennie wydawano 1.500 obiadów, zorganizowano szwalnię bielizny i szpitalik. Z początkiem lutego przewieziono więźniów brzeżańskich do obozu w Strusowie i oddano pod nadzór chor. Habłewycza, człowieka ludzkiego i kulturalnego.

Mimo to warunki pobytu w obozie były ciężkie: brakowało żywności (potem pośpieszyli z pomocą mieszkańcy miasteczka), pokojów pałacu-więzienia nie opalano, nie było lekarza, ani leków. Kiedy więc przyszedł tyfus, na 340 więźniów 140 zmarło. Podobny obóz znajdował się w Mikulińcach urządzony w stajniach folwarku, gdzie warunki pobytu były potworne. Po miesiącu autor uzyskał pozwolenie na powrót do Tarnopola, a potem do Brzeżan. Tu w okresie nowej fali prześladowań Polaków skrył się w szpitalu powszechnym dla chorych zakaźnie. W szpitalach brzeżańskich przetrzymywano wtedy wielu Polaków skazanych na więzienie lub jeńców wojennych pod pozorem choroby na tyfus ratując ich w ten sposób przed prześladowaniem i śmiercią. — Trzykrotnie bawił w Brzeżanach ataman Petlura. Wojnę z Polakami uważał on za nieszczęście dla narodu ukraińskiego i domagał się od polityków galicyjskich zawarcia ugody na podstawie propozycyj misji Barthelemy'ego (granicę miała stanowić linia Bug — Kurowice — Bóbrka — Stryj). Jednakowoż oparli się temu oficerowie ukraińscy i niemieccy. — Po raz pierwszy wkroczyły do Brzeżan wojska polskie 30 maja 1919 r. witane entuzjastycznie. Cała młodzież wstąpiła natychmiast w szeregi. Ogółem Brzeżany dały Polsce obecnego wodza, 3 generałów i przeszło 50 sztabowych oficerów. Pobici Ukraińcy wycofali się za Seret na południe od Czortkowa. Dyktator Petruszewicz usunął wtedy gen. Pawłenkę, a w jego miejsce wodzem zamianował carskiego gen. Grekowa, a szefem sztabu Niemca ppłk. Schtipschtütz-Ternowego. Do sztabu powołano wielu oficerów Niemców i Moskali. Już 8 czerwca rozpoczęli Ukraińcy ofensywę torując sobie drogę huraganowym ogniem artylerii. Brzeżan przez 4 dni broniła dywizja gen. Zielińskiego, a kluczową pozycję górę Łysonię brzeżańczyk, por. Wąsowicz, który tam poległ. Ostatecznie miasto zostało wzięte na skutek ruchu oskrzydlającego wroga, ale wojska polskie wymknęły się z pułapki. Nowa 7-dniowa inwazja zaznaczyła się jeszcze jedną falą prześladowań i mordów. Złamani ostatecznie przez kontrofensywę Józefa Piłsudskiego, wycofali się Ukraińcy za Zbrucz w sile 80.000 ludzi cywilnych i wojskowych i tam rychło połączyli się z Denikinem, a potem bolszewikami. Przyczynami ich klęsk były: brak amunicji, tyfus i brak lekarzy, wreszcie brak własnych oficerów. — W aneksach znajdują się protokoły konferencyj odbytych w sierpniu i październiku 1919 r. między misją

ukraińską a delegacją polską w Warszawie, wykazy więźniów politycznych (125) i jeńców (96) przebywających w Tarnopolu i Strusowie. Zdobią książkę fotografie osób, o których jest mowa w tekście.

---

51. Maleczyński Karol: Urzędnicy grodzcy trembowelscy 1403—1783. Str. 302—317. Ziemia Czerwieńska, t. 2. Lwów 1936.

Jest to pierwszy wyczerpujący spis wszystkich urzędników grodzkich grodu trembowelskiego. Przy każdym nazwisku podano tu daty nominacji, złożenia przysięgi, ostatnią wiadomość o sprawowaniu danej godności przez urzędnika oraz określenie czasu jego śmierci.

52. Barwiński Eugeniusz: Pierwsze podziały administracyjne Galicji. Str. 57—65. Ziemia Czerwieńska, Rocz. 1. Lwów 1935.

Przedstawiono tu braki w odpowiednim materiale archiwalnym, sposób przeprowadzenia pierwszego podziału kraju w r. 1773 i jego zasadnicze reformy z lat 1775 i 1782, wreszcie drobne poprawki ostatniej reformy dokonane w latach 1783—91. Autor poprzestał na wyliczeniu siedzib cyrkułów i dystryktów; widocznie opisu granic nie dało się zrekonstruować.

---

53. Bauer Jan: Z przeszłości osiedli województwa tarnopolskiego. Część 1. Str. 4 nlb+59, 15×23 cm. Tarnopol 1935. Drukarnia W. Krella.

Rozprawa składa się z trzech odrębnych szkiców pt. „Dobra królewskie Bucniów“, „Miasteczko Borek“, „Skała nad Zbruczem“ oraz dwóch mniejszych ustępów o tarnopolskich stawach i żubrach na Podolu. Wszystkie trzy klucze były królewszczyznami. W szkicu o dobrach bucniowskich autor ograniczył się do ułożenia rejestru ich tenutariuszy i czasowych posiadaczy z lat 1464—1565 oraz opisania ich działalności, interesów i służby dla kraju. Najdłuższy ustęp poświęcił on Maciejowi Włodkowi Prawdzicowi mężnemu rotmistrzowi Jana Tarnowskiego. — Dzieje pozostałych dwu miasteczek i przynależnych do nich wsi przedstawiono odmiennie; autor zwrócił tu uwagę na warunki ich rozwoju, liczbę ludności, jej stan majątkowy i gospodarstwo.

Więcej miejsca poswięcił on znowu hetmanowi polnemu Mikołajowi Sieniawskiemu, który miał wieś Borek na miasteczko zamienić. W połowie XVI w. liczyło ono 550 dusz. Ludności klucza boreckiego powodziło się wtedy dość dobrze; była zamożna, a jej ciężary pańszczyźniane nieduże. Wojny kozackie zrujnowały miasteczko doszczętnie. — Skała, jedno z głównych ongiś miast podolskich i ważna warownia, przechodziła zmienne losów koleje. Kilka razy była ona doszczętnie niszczona (1497, 1521, 1537, 1615), a potem dla poratowania obdarowywana przywilejami królewskimi; w r. 1570 liczyła 1260 mieszkańców, ale po wojnach kozackich pozostało w mieście tylko 15 rodzin. Klucz skalski w XVI i XVII w. pozostawał we władaniu Lanckorońskich.

54. Stattner Ferdynand: Brzeżańszczyzna przed 5-cioma wiekami. Str. 110, 12 × 17 cm. [Brzeżany 1935—37]. Odbitka z „Głosu Brzeżańskiego“.

Dzieje Brzeżan znane są z monografij Czerneckiego i Maciszewskiego dopiero od r. 1530, tj. od tego momentu, w którym otrzymały one prawo niemieckie. Zasługą p. Stattnera jest sumienne przewertowanie najstarszych zapisek sądowych „Aktów grodzkich i ziemskich“ oraz „Najstarszych aktów konsystorza lwowskiego“, ktore rzuciły spory snop światła na okres wcześniejszy dziejów Brzeżan i Brzeżańszczyzny obejmujący lata 1445—1530. — Pierwsza historyczna notatka o Brzeżanach pochodząca z r. 1445 została zanotowana w księgach sądowych z okazji procesu, jaki miał ich ówczesny dziedzic Piotr Cebrowski z szlachcicem Wnuczką. Od tego czasu w aktach sądowych tak często powtarzają się nazwiska i wyłaniają sprawy panów na Brzeżanach i wsiach okolicznych, że przed oczyma badacza z grubsza zarysowują się ich sylwetki duchowe. Są to postacie w dużej mierze podobne do tych, jakie opisał swym znakomitym piórem Łoziński. Na ich czele stoi pani Jadwiga Brzeżańska († 1483), córka Piotra Cebrowskiego, najpierw żona starosty trembowelskiego Jana Buczackiego, potem wojewody podolskiego Hryćka Kierdejowicza. Arystokratka ta procesowała się zawzięcie (ogółem miała około 20 procesów) ze swoimi sąsiadami, między którymi uwagę zwracają nazwiska arcybiskupa Grzegorza z Sanoka, głośnego humanisty oraz Klemensa i Mikołaja Bieleckich (ojca i syna) z Wierzbowa, protoplastów bohatera znanego poematu Słowackiego; dawała się ona we znaki nie tylko potężnym, ale też maluczkim rzemieślnikom i kmieciom, a nawet

takim, jak pleban jazłowiecki, którzy oddali jej ważne usługi. — Dziećmi Jadwigi z pierwszego małżeństwa byli Jan Litwinowski i Anna, zamężna za Dzierżysławem Huhnowskim, kasztelanem bełskim. Tej ostatniej przypadły w dziale dobra brzeżańskie. Jan Litwinowski († r. 1477 lub 1478 r.), dziedzic conajmniej 8 wsi, miał ciągle jakieś kłopoty finansowe; pożyczał gotówkę, zastawiał dobra, nie płacił zobowiązań, lekceważył prawo. Jakby dla przebłagania Boga odnowił on fundację na rzecz kościoła w miasteczku Litwinowie. Prześcignęła swego brata Anna Huhnowska († 1507), która odziedziczyła po nim cały majątek. Skarb państwa miał do niej pretensje o niepłacenie podatków, sąsiedzi skarżyli się, że zabiera im poddanych, nie obce jej były nawet zwyczajne rozboje i gwałty dokonywane na drogach, szczególnie długi spór wiodła z Romanowskimi z Potutor, ciężką była nawet dla duchowieństwa, co ściągnęło na nią klątwę, a litwinowskiego proboszcza ks. Jana Snopka, któremu zatrzymała dochody i odgrażała się, skłoniło do ucieczki i opuszczenia parafii. Pod koniec żywota ufundowała pani Anna kaplicę w katedrze lwowskiej, bo niepokojem napawała ją myśl, że niebawem „stanąć musi przed Bogiem i zdać sprawę ze swego życia i grzechów“. — Do zdobyczy autora należy również wyświetlenie sprawy przejścia dóbr brzeżańskich z rąk Cebrowskich do Sieniawskich. Wykazał on na podstawie niepublikowanych jeszcze „Aktów grodzkich i ziemskich“, że opanował je na drodze zajazdu Rafał Sieniawski, mąż Agnieszki, wujecznej siostry zmarłej Anny, co kosztowało go wiele ofiar i zabiegów; musiał bowiem spłacić pretensje Huhnowskiego w kwocie 235 grzywien i stoczyć walkę z całą gromadą krewniakow Cebrowskich, którzy również domagali się udziału w dziedzictwie. Już przed tym w podobnie awanturniczy i romantyczny sposób zdobył ów Rafał swą żonę Agnieszkę, którą siłą wyrywał mu szlachcic Włodka z Biłki. Sprawa miała swój epilog aż w sądzie królewskim. Rafał Sieniawski chorąży halicki († między latami 1517 i 1518) był synem sędziego Guncerza z Sieniawy (z pow. bobreckiego) i posiadał rozległy majątek złożony z 12 wsi i 6 dworzyszcz, którym podzielili się w r. 1529 trzej jego synowie Mikołaj, Aleksander i Prokop. Dobra brzeżańskie otrzymał najstarszy Mikołaj.

55. Rozdolski Roman: Wspólnota gminna w b. Galicji wschodniej i jej zanik. Str. 4 nlb 114+mapa, 18×25 cm.

Lwów 1936. Badania z dziejów społecznych i gospodarczych pod red. prof. Fr. Bujaka, Nr. 27.

Badania swoje oparł autor na niewykorzystanym dotychczas przez literaturę naukową materiale zawartym w tzw. „Metrykach Józefińskich“ i łączących się z nimi „Opisaniach Urbarjalnych z r. 1789. Na podstawie tych urzędowych dokumentów autor wykreślił bardzo ciekawą mapkę zasięgu wspólnoty gminnej w latach 1785—1789, która wykazuje, że dotychczas niesłusznie wiązano ten typ gospodarstwa wyłącznie z Pokuciem i Podkarpaciem. Obecnie już z zupełną ścisłością możemy powiedzieć, że u schyłku XVIII wieku występowało ono powszechnie na Pokuciu i Podolu południowym mniej więcej po linię traktatu buczackiego (Buczacz—Kopyczyńce), natomiast na terytoriach ziem halickiej i lwowskiej pojawiało się jedynie sporadycznie i to najczęściej już tylko we formie wspólnoty częściowej. Taki zasiąg terytorialny „posiadania konkretalnego“ (tak dokumenty urzędowe nazywają wspólnotę) wskazuje, że obejmowało ono najurodzajniejsze okolice Galicji wschodniej, w których naówczas panował stosunkowo nadmiar ziemi uprawnej. — Zdobyczą autora jest również wykrycie związku zachodzącego między wspólnotą gminną a gospodarstwem zbożowo pastewnym, które było powszechne w południowo-wschodniej części Galicji na końcu XVIII wieku, podczas gdy w reszcie kraju regułą stało się już gospodarstwo polowe. (Zasadniczymi cechami gospodarki zbożowo-pastewnej są: brak trwałej granicy między ziemią przeznaczoną pod zboże a produkującą trawy, 4 do 12-letnie okresy tłokowania i przymus polowy dla członków gminy). Na obszarze Podola i Pokucia znalazł autor 365 gmin z gospodarką zbożowo-pastewną i wspólnotą, a tylko 39 z wspólnotą ale bez gospodarki zbożowo-pastewnej oraz 30 gmin nie znających ani gospodarstwa polowego ani wspólnoty. Wykrycie tego związku jest ważnym rezultatem. Dotychczas bowiem najwybitniejsi teoretycy wspólnoty od Hanssena aż do Kaufmana są przekonani, że nie pozostaje ona w koniecznym związku z jakimkolwiek systemem gospodarczym. Wedle zaś autora „przemienne posiadanie gruntowe (tzn. nie przywiązane do żadnych oznaczonych, realnych parcel) w Galicji według wszelkiego prawdopodobieństwa zawdzięcza swe powstanie periodycznym, wypływającym z gospodarstwa zbożowo-pastewnego (system odmian tłokowych) odmianom w sposobie użytkowania gruntów“. — Osobny roz-

dział dotyczy struktury podolsko-pokuckiej wspólnoty. Dowiadujemy się tu, że jedynie ogrody i „lewady“ (grunta przylegające do zagród) nie podlegały podziałom, że podstawą i miarą przydziału ziemi była zdolność do pełnienia robocizny i uiszczania danin, a komornicy i chałupnicy nie mogli z nich korzystać, że grunta rozdzielano na podstawie losowania lub decyzji zwierzchności gminnej, że na tym tle przychodziło często do walk między chłopami ubogimi a bogatymi, że dominia pierwotnie nie troszczyły się wcale o sposób podziału gruntów, a potem korzystały z nich, by przy tej sposobności odbierać chłopom ich ziemie. — W rozważaniach swoich wyszedł p. Rozdolski także znacznie poza czasy metryk józefińskich i opisów urbarialnych, aby zbadać genezę i upadek wspólnoty gminnej na Podolu i Pokuciu. W poszukiwaniach tych oparł się na dotychczasowej literaturze, częściowo skąpym materiale źródłowym i w znacznej mierze na logicznym wnioskowaniu. Przypuszcza on, że w XVI wieku zasadniczą formą włościańskiego posiadania było tzw. posiadanie działowe (każdy posiadacz ma tam prawo do dokładnie oznaczonego działu, który przez ogół nie może być uszczuplony). Wspólnota gminna powstawała powoli w XVII wieku z rozkładającego się posiadania działowego, a gwałtownie przyśpieszyło ten proces niesłychane wyludnienie i zniszczenie kraju, spowodowane powstaniem Chmielnickiego. — Upadek instytucji wspólnoty gminnej przypisuje autor stopniowemu wypieraniu systemu zbożowo-pastewnego przez gospodarstwo polowe, a w dalszej mierze też dominiom, które z okazji „regulacyj gruntowych“ powiększały folwarki i robociznę kosztem gromady chłopskiej. Powszechnym zjawiskiem stały się regulacje w okresie rządów rosyjskich 1809—1815 w „kraju tarnopolskim“. Według urzędowych danych obszar gruntowej posiadłości rustykalnej w dwóch cyrkułach, tarnopolskim i czortkowskim, w r. 1820 liczył o 96.703 morgów i 324 sążni kw. mniej niż w 1789 r. Rezultatem regulacyj był rozkład wspólnoty gminnej; w 1826 r. istniała ona już tylko w 70 wsiach Galicji, z tych 44 przypadało na cyrkuł czortkowski. Od r. 1822 przez kilkadziesiąt lat władze austriackie rozważały sposoby likwidacji wspólnoty w drodze jednolitego zarządzenia. Skończyło się jednak na przysłowiowym austriackim gadaniu. Resztki wspólnoty gminnej zapewne zaginęły w burzliwym okresie wiosny ludów, która przyniosła chłopom zniesienie poddaństwa i uwłaszczenie.

56. Lutman Tadeusz: Studja nad dziejami handlu Brodów w latach 1773—1880. Str. 6 nlb. 364, 18×25 cm. Lwów 1937. Badania z dziejów społecznych i gospodarczych pod red. prof. Fr. Bujaka, Nr. 26.

Studia nad przeszłością Brodów pociągają tak ekonomistę, jak też historyka ciekawym zjawiskiem, występującym w ich dziejach. Jest to bardzo rzadko pojawiająca się instytucja śródlądowego miasta wolnohandlowego. Jedynie w Brodach utrzymała się ona przeszło wiek (1773—1880) i dzięki niej stały się one pewnego rodzaju unikatem nie tylko na ziemiach polskich, ale nawet w Europie. Z tego właśnie względu o Brodach i ich handlu pisano już nieraz zarówno w literaturze polskiej, jak niemieckiej i rosyjskiej, ale rozprawa p. L. po raz pierwszy oświetliła ten interesujący problem wszechstronnie i gruntownie. — Studia swoje oparł autor na bogatym i pracowicie zebranym materiale, zawartym w aktach archiwów lwowskich (Archiwum Państwowe, Archiwum Aktów Grodzkich i Ziemskich) oraz wiedeńskich (Haus-, Hof-, u. Staatsarchiv, Hofkammerarchiv, Archiv u. Bibliothek der Bundesministeriums für Finanzen, Staatsarchiv des Innern u. der Justiz I, Staatsarchiv des Innern u. der Justiz II). Wykorzystano również zbiory rękopiśmienne biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie, Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, dyrektora Aleksandra Czołowskiego i Polskiej Akademii Umiejętności. Niestety nie wszystkie źródła zadowoliły autora. (Np. Bardzo niedokładne jest oszacowanie towarów przechodzących przez komory celne). Zaznacza też p. L., że na podstawie urzędowych źródeł nie można ściśle określić rozmiarów handlu brodzkiego. Niewiadomą pozostaną zawsze ilości towarów przemyconych; a trzeba wiedzieć, że przemyt tkwił w niebywałych rozmiarach na granicach brodzkiego obszaru wolnocłowego. — Do zalet dzieła p. L. należy szerokie tło na jakim autor rozwinął zasadnicze zagadnienie. W oświetleniu bowiem wytycznych polityki handlowej monarchii habsburskiej, jej stosunków handlowych z Rosją oraz stosunków społecznych, kulturalnych i gospodarczych w Brodach rozumiemy lepiej dzieje handlu brodzkiego i znaczenie przywileju wolnocłowego. Praca, okazała swymi rozmiarami (364 str.), składa się z dwóch zasadniczych części: pierwszą poświęcił autor dziejom przywileju wolnohandlowego i polityce handlowej, część druga jest statystyczna, a przedstawia nam rodzaje i stan handlu towarowego, idącego przez urząd

celny w Brodach w latach 1773—1880 oraz jego znaczenie dla miasta, Galicji i monarchii. Układ tablic (str. 294—344) odpowiada ściśle części drugiej. Ponadto w obszernym wstępie omówione zostały źródła i literatura przedmiotu. Całość zamyka obszerne streszczenie w języku niemieckim i mapka wolnego okręgu celnego brodzkiego. — Studia nad dziejami handlu Brodów są owocem wieloletnich badań autora; dały też one bogate i ciekawe wyniki. Szczególnie interesująco przedstawia się sprawa genezy przywileju wolnohandlowego i struktura społeczna miasta. Brody już za czasów polskich urosły do rozmiarów wielkiego emporium handlowego pośredniczącego między Podolem, Ukrainą, Krymem, Rosją, a nawet Persją, Chinami i Turcją z jednej strony, a miastami niemieckimi Lipskiem, Frankfurtem n. O., Wrocławiem, w pewnej mierze też Gdańskiem i miastami włoskimi z drugiej. Ówczesnym obrotom handlowym Brodów ustępowały znacznie nawet lwowskie. Pierwszy traktat rozbiorowy wcielił kwitnące miasto w obręb monarchii Habsburgów. Nowa granica przecięła więc jego główną drogę handlową (Berdyczów — Brody — Zamość — Wrocław) i pozostawiła poza kordonem ośrodki związane z Brodami interesami handlowymi. Pierwszy rozbiór Polski — jak widzimy — stworzył wielce niekorzystną dla miasta sytuację geopolityczną. Zawisła nad nim groza ruiny. Z wielkim więc zdziwieniem dowiadujemy się, że szlachta okoliczna domagała się wcielenia Brodów do Austrii. Niestety autor nie szukał za przyczynami tej prośby. Z kłopotliwej sytuacji wybawił kupców brodzkich gubernator Galicji Pergen łagodząc fakt odcięcia od Wołynia i Podola przez wyłączenie miasta i okolicy z obszaru celnego monarchii i nadanie mu przywileju wolnohandlowego (1773 r.), za co brodzianie potem odwzajemnili się Austrii stałą i wyjątkową lojalnością, posuniętą aż do pielęgnowania kultury niemieckiej. W XIX w. 70—76% mieszkańców miasta podawało język niemiecki jako potoczny. Przez wiele lat wychodził w Brodach niemiecki tygodnik „Haibri"; a w jedynej szkole średniej językiem wykładowym był niemiecki. Język polski zaliczono tylko do przedmiotów nadobowiązkowych. — Ze względu na skład wyznaniowy ludności Brody należały do najbardziej zażydzonych miast Galicji: w r. 1778 było ich 81% ogółu mieszkańców, w latach następnych cyfra ta stale wzrastała, aż w 1820 r. osiągnęła swoje maksimum, 88%. Żydowska gmina wyznaniowa w Brodach liczbą wyznawców przewyższała

wtedy nawet lwowską. Dopiero w drugiej połowie XIX w. procent Żydów stale malał, a w r. 1900 spadł do cyfry 69%. Pomimo tak ogromnej przewagi mojżeszowych przez długi czas kupcy chrześcijańscy zajmowali bardzo poważne miejsce w handlu brodzkim. U schyłku XVIII w. największa firma należała do Laskiewicza, a obok niego na plan pierwszy wybijali się Jakub Boesner i Rafał Jakubowicz. W połowie XIX w. chrześcijańskimi były dwa największe brodzkie domy handlowe: Hausner—Violand i Franciszek Wolf; a w r. 1840 kupcy chrześcijańscy, stanowiący zaledwie 2% ogółu kupców, skupili w swych rękach aż 37% kapitałów. Wszyscy trudnili się handlem hurtownym. — Handel wolnego miasta wzmagał się zawsze w czasie wojen powodujących chwilowe zahamowanie transportów morskich, szczególnie pomyślne były czasy blokady kontynentalnej i wojny krymskiej. Wobec zamknięcia portów Europy zachodniej i południowej na skutek dekretu Napoleona I towary angielskie i kolonialne szukały dróg wejścia na ląd przez porty czarnomorskie i bałtyckie, a stamtąd drogą kołową podążały w głąb kontynentu do Wiednia, Niemiec, Włoch, a nawet do Francji. Olbrzymi ten tranzyt przechodził przede wszystkim przez Brody (1807—1812). Wolne miasto uczyniło potężny wyłom w francuskim systemie blokady i na krótko przejęło rolę Amsterdamu. Największe pozycje ówczesnego przywozu tranzytowego stanowiły transporty bawełny i kawy. Wywóz natomiast nie układał się pomyślnie. Tranzyt wywozowy rozwinął się, a nawet zdobył sobie dużą przewagę dopiero w drugim okresie brodzkiej prosperity, t. j. w czasie wojny krymskiej. Rosja, której porty zostały zablokowane, zaopatrywała się wtedy (1853—56) w wyroby gotowe i towary kolonialne głównie za pośrednictwem kupców brodzkich. — Autor na wielu stronach swego dzieła dowodzi, że próba utworzenia wolnohandlowego miasta śródlądowego w Brodach nie dała spodziewanych rezultatów. Wyłączenie z obszaru celnego monarchii nie zdołało zrównoważyć dawnej swobody, która tak bardzo sprzyjała za czasów niepodległej Polski obrotom handlowym rozwijającym się na swym naturalnym szlaku. Gwałtu dokonanego na żywym organiźmie nie dało się żadnymi sztucznymi środkami naprawić. Dlatego życie gospodarcze Brodów w okresie rządów austriackich przybierało formy chorobliwe; ożywienie koniunktury w handlu brodzkim występowało z reguły w okresach wielkich kataklizmów dziejowych,

Przywilej wolnocłowy przynosił zyski tylko małej grupce bogatych kupców, natomiast ogółowi mieszkańców dawał się srodze we znaki: przemysł miejscowy pozbawiony przez kordon celny najbliższych rynków zbytu upadł zupełnie, drożyzna towarów wiejskich utrudniała egzystencję warstwom pracującym, a najokropniejsze spustoszenie dokonywała demoralizacja ubogiej ludności trudniącej się nagminnie przemytem. Nic więc dziwnego, że w takich warunkach zahamowaniu uległ rozwój ludności miasta; w ciągu całego XIX-ego stulecia ogólna liczba jego mieszkańców waha się ciągle między 16.000 a 20.000. (W tym samym czasie ludność Lwowa wzrosła z 45.000 do 150.000, znacznie rozwinęły się też Stanisławów i Tarnopol). Małe zyski przyniósł handel brodzki także Galicji, natomiast na znaczne straty naraził jej słabiutki przemysł. Również niewiele pożytku miała z przywileju brodzkiego monarchia austriacka. Sprzedawała ona tu głównie kosy styryjskie, szkło czeskie i tkaniny wiedeńskie, natomiast zaopatrywała się w rosyjską wełnę i produkty zwierzęce. Dominujące znaczenie w handlu wolnego miasta posiadał zawsze tranzyt wywozowy do Rosji. Transporty te przychodziły prawie wyłącznie z Niemiec, ale w rzeczywistości poważne miejsce wśród nich zajmowały dostawy angielskie. Jeżeli do tego obrazu dodamy jeszcze straty skarbu monarchii w dochodach celnych i podatkach, to dostatecznie zrozumiałe stają się powody niezadowolenia licznych przeciwników wyłączenia celnego i jego ostateczna likwidacja.

57. Rec.: Adamczyk Wł. Kwartalnik Historyczny. Rocz. 52, str. 100—102. Lwów 1938.

Praca dr. Lutmana pod względem metody i układu może uchodzić za wzorową. Szczególnie korzystnie metodycznie jest opracowane zagadnienie handlu Brodów na tle stosunków handlowych Austrii z zagranicą oraz syntetyczny zarys polityki handlowej monarchii, a postęp stanowi rozróżnienie przewozu wchodowego i wychodowego obok dawnego stereotypowego podziału na import i eksport. Źle się stało, że w opracowaniu ludności autor uwzględnił tylko zaludnienie stałe Brodów.

---

58. Czołowski Aleksander: Zamek trembowelski w 1551 r. Str. 18—25 i 99—102. Ziemia Czerwieńska, Rocz. 1. Lwów 1935.

Jest to dokładny opis zamku uzupełniony szkicem sytuacyjnym a opracowany na podstawie „Inwentarza spisania rzeczi zamku trebowlieczkiego y folwarków k niemu należączich“ sporządzonego przez Tomasza Dembowskiego członka komisji wyznaczonej do zbadania jego stanu przez starostę. Okazuje się, że była to budowla czworoboczna przeważnie drewniana, mur tworzył tylko dwie ściany obwodowe: południową i zachodnią. Wchodziło się do zamku z północy, t. j. od strony przylegającego wzgórza i tu nad bramą wznosiła się jedyna wieża strażnicza, baszt nie było. Inwentarz podaje też szczegółowy wykaz środków obrony, zapasów żywności i opis 3 folwarków w Zubowie i Łoszniowie. Zamek ten restaurowany kilkakrotnie przetrwał do r. 1630. Dopiero wtedy na jego miejscu powstał nowy murowany, którego ruiny wznoszą się do dnia dzisiejszego. W aneksie znajduje się odpis wymienionego inwentarza.

59. Kolankowski Ludwik: Roty koronne na Rusi i Podolu 1492—1572 r. Str. 141—174. Ziemia Czerwieńska, Rocz. 1. Lwów 1935.

Na podstawie regestrów popisów wojskowych i rachunków wojskowych przechowanych w Archiwum Głównym autor — znakomity znawca dziejów Polski jagiellońskiej — zestawił pedantycznie i drobiazgowo rok po roku siły rot koronnych przeznaczonych do obrony Podola i Rusi Czerwonej, a po unii lubelskiej także Bracławszczyzny i Kijowszczyzny. Największa ich ilość zawsze była skoncentrowana na Podolu, tu też zwykle zakładano główny obóz w okolicy Oleska, Załoziec lub najczęściej Trembowli. Dzieliły się zaś one na załogi zamkowe i wojska „polne“. Rozprawa informuje bardzo dokładnie o ich rozmieszczeniu w poszczególnych latach i okresach, wymienia wszystkich rotmistrzów, ustala stany poszczególnych rot i koszty utrzymania sił zbrojnych, wreszcie przynosi zestawienie cyfrowe stanów wojsk idących na wyprawy wołoskie w latach 1531 i 1538 oraz strat poniesionych w klęskach pod Sokalem w 1519 r. i nad Seretem w 1538 r. Ogólna liczba rot koronnych zależała od wpływów skarbowych i stanu stosunków polsko-wołosko-tatarskich; dlatego też wahała się ona bardzo znacznie od 500 jazdy i 200 piechoty do 5.000 kawalerzystów i 2.000 piechoty (wyjątkowo 3.000), razem od 800 do 6.000 ludzi, ale najczęściej wynosiła około 1—2.000 konnych i paręset pieszych. Od r. 1563

za czasów hetmańswa Jerzego Jazłowieckiego pojawiły się nowe rodzaje broni, a to łucznicy konni, kozacy niżowi i „bombardae“. Ogólna suma wydatków skarbowych na utrzymanie tych sił wahała się od 20.000—200.000 flor. rocznie. „W świetle tych cyfr zrozumiałą się staje rozbudowa gospodarcza w ciągu XVI w. dawnych pustaci z nad Dniestru, Bohu i Dniepru. Wykazują one ile znoju, grosza i krwi synów pobliskiej Małopolski i Mazowsza oraz dalekiej Wielkopolski i Śląska wsiąkło tu w tę naszą Ruś, zanim zdołano oszczędzić jej takich faktów, jak sprowadzanie na przełomie XV i XVI w. zboża“.

60. Górka Olgierd: Uwagi orjentacyjne o Tatarach polskich i obcych. Str. 145—198. Rocznik Tatarski, T. 2. Zamość 1935.

Problemy tatarskie interesują nas głównie z tego względu, że Tatarzy byli ongiś częstymi „gośćmi“ na Podolu. Szczególnie ważną jest dla nas kwestia liczby ludności i wojsk tatarskich, które kronikarze i historycy polscy podają zwykle w cyfrach grubo przesadzonych, idących w setki tysięcy. Ludność tatarską w państwie polsko-litewskim szacuje autor na 7.000 dusz w XVI w., a 9.000 w XVII w.; lud ten dawał państwu 7 a potem 6 rdzennych chorągwi tatarskich, w innych — chociaż występowały pod tym samym mianem — odgrywali oni tylko rolę organizatorów. Zwraca też autor uwagę, że więcej niż problematyczną jest cyfra 2 czy 3.000 Lipków Aleksandra Kryczyńskiego i że nie można ustalić, jacy to byli Tatarzy. Siłę hordy budziackiej szacuje on na 15—20.000 ludzi i około 3.000 jeźdźców w polu w początku XVII w., natomiast Tatarów dobrudzkich na 5.000 ludzi w połowie XVII w. Obowiązkiem tych ostatnich było wystawienie asysty przybocznej dla baszy Sylistrii w liczbie kilkuset jeźdźców. W innej rozprawie („Dziejowa rzeczywistość a racja stanu“, Warszawa 1935) obliczył doc. Górka maksymalne możliwości mobilizacyjne Krymu na 40.000 ludzi, z tym, że na raz nie wyprowadzał on nigdy więcej jak 20.000 znakomitych kawalerzystów. Obliczenia swoje opiera autor przeważnie na źródłach obcych, a zwłaszcza tureckich. W świetle tych cyfr Tatarzy występują jako stosunkowo nieliczny, ale wyjątkowo ekspansywny naród dysponujący świetną organizacją wojskową.

61. Czołowski R. Aleksander: Jan III i zamek w Olesku. Str. 226—250. Ziemia Czerwieńska, T. 1. Lwów 1935.

Mamy tu sprostowanie powszechnie przyjętego mniemania, że Olesko po wojewodzie Janie Daniłowiczu odziedziczyła jego córka Teofila, małżonka Jakuba Sobieskiego i przekazała synowi Janowi III, a w okresie dziedzictwa króla zamek uległ zaniedbaniu. Autor wykazuje, że Jakub Sobieski nigdy nie był posiadaczem Oleska, że po śmierci Jana Daniłowicza (1628) i jego sukcesora, syna Stanisława (1636), przeszło ono za siostrą tego ostatniego Marcjanną w ręce Koniecpolskich. Syn Marcjanny Andrzej Koniecpolski obciążył dobra oleskie licznymi długami, a po jego śmierci 17 wierzycieli wygrawszy proces w trybunale lubelskim w 1660 r. rozebrało je między siebie. Taki podział stał się oczywiście przyczyną wielkiego zaniedbania zamku. Bolało to króla Jana III, który był szczerze przywiązany do miejsca swego urodzenia. Zwiedziwszy więc w 1682 r. Olesko zaproponował wykupno dóbr ich nominalnemu dziedzicowi Stanisławowi Koniecpolskiemu (bratu zmarłego już Andrzeja). Za gotówkę otrzymaną od króla Koniecpolski spłacił pretensje wierzycieli w kwocie 402.742 zł. i stosownie do umowy całą fortunę oddał na własność królowej Marii Kazimierze. Na jej zarządzenie w 1683 r. zamek z całym pietyzmem i przepychem odrestaurowano. Autor kreśli dokładnie jego ówczesny wygląd na podstawie pamiętników naocznego świadka Francuza Franciszka Daleraca i ilustruje swój opis dwoma rysunkami przedstawiającymi rzuty parteru i pierwszego piętra oraz widokiem zamku z r. 1820. Odnowiony zamek stał się jedną z najbardziej ulubionych siedzib króla i królowej. W dodatku ogłoszono: „Titulus haereditatis ad bona oppidi Olesko potomstwa JMP. Stanisława Koniecpolskiego“ i „Combinatio o dobra oleskie“.

62. Pawłowski Bronisław: Historja wojny polsko-austrjackiej 1809 roku. Str. XVIII+551+18 tbl., 18×26 cm. Warszawa 1935. Główna Księgarnia Wojskowa.

Najpiękniejsza kampania polska czasów porozbiorowych znalazła tu wszechstronne oświetlenie oparte na bardzo rozległych i długich badaniach archiwalnych. W ten sposób również boje ppłk. Strzyżewskiego na Podolu, a w szczególności jego zwycięstwo nad gen. Bickingiem pod Wieniawką oraz organizacja wojsk polskich w Galicji Wsch uzyskały krytyczny i najpełniejszy opis.

63. Rec.: Kukiel M. Kwartalnik Histor. t. 49, str. 183—188. Lwów 1935.

O dziele ppłk. Pawłowskiego pisze gen. K. z największym uznaniem podkreślając bogactwo źródeł, sumienność badań oraz obiektywność sądu.

64. Dąbrowski Jan: Wielka wojna 1914—1918. Str. XII+1026+24 tbl.+76 map. Warszawa (1937). Wielka historia powszechna, wydawnictwo zbiorowe ilustrowane, T. 7. Nakładem księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego.

Pomnikowe to wydawnictwo oparte na bardzo rozległej literaturze i gruntownych studiach przynosi również wiele materiału dotyczącego województwa tarnopolskiego. Już w pierwszym miesiącu wojny (tj. VIII) stało się ono terenem ważnych akcyj bojowych: stąd wyszła kawaleria austriacka na Podole Zazbruczańskie i Wołyń na swój nieudały wywiad; tu również armie rosyjskie idące koncentrycznie z Podola i Wołynia w stronę Lwowa wywalczyły Rosji zwycięstwa pod Krasnem, Brzeżanami i Przemyślanami, które zadecydowały o upadku Lwowa. Bezzwłocznie rozpoczęli zdobywcy na zajętych obszarach „wprowadzać rosyjski język, prawo i ustrój"; zorganizowali gubernię tarnopolską i rozpoczęli zakładanie cerkwi prawosławnych. W czasie ofensywy państw centralnych w r. 1915 zacięte walki, chociaż o znaczeniu drugorzędnym, rozegrały się nad Gniłą Lipą, na odcinku Gołogóry-Złota Lipa, pod Złoczowem i Podkamieniem (od końca VI do początku IX). Na te sukcesy armii Böhm-Ermollego Rosjanie odpowiedzieli energiczną ofensywą pod Trembowlą, którą Austriacy z trudem powstrzymali (6—16. IX). Front galicyjski utrwalił się na rok prawie na linii biegnącej od Załoziec na południe wzdłuż Strypy i Dniestru. Po raz trzeci rozgorzały gwałtowne walki na Podolu w okresie letniej ofensywy Brusiłowa z 1916 r. (zwłaszcza w VII i VIII). Miały one jednak znaczenie drugorzędne dla Rosjan, którzy chcieli w ten sposób wesprzeć swe główne uderzenie idące na Łuck i Kowel. Armie rosyjskie przełamały front pod Jazłowcem i zajęły Buczacz, a na północy zwyciężyły pod Brodami, jednak ich centrum nie zdołało wywalczyć sobie zwycięstw ani pod Założcami,[1] ani nad Złotą Lipą, ani w czasie bojów jesiennych. Front zakrzepł na linii Halicz—Brzeżany—Zborów—Brody. Inny przebieg miała ofensywa Rosji rewolucyjnej z r. 1917. Tym razem główne uderzenie przygotował Brusiłow w kierunku na Lwów na odcinku Brzeżany—Zborów. Mimo dwukrotnej przewagi Rosjan ataki ich zostały zatrzymane (Dzikie Łany, Łysonia,

Koniuchy), a niepowodzenia te wykazały słabość wewnętrzną ich armii. Sprzymierzeni niezwłocznie odpowiedzieli lokalną kontrofensywą na odcinku Zborów—Założce i zmusili wroga do odwrotu nad Zbrucz (VII). — Tekst dzieła zdobi kilkanaście zdjęć z terenu województwa tarnopolskiego.

65. Rec.: Kukiel M. Kwartalnik historyczny, T. 52, str. 261—266. Lwów 1938.

Ogromna książka prof. Dąbrowskiego o wielkiej wojnie jest opracowaniem gruntownym i wszechstronnym, a jasność myśli i wykładu sprawiają to, że mimo olbrzymiego materiału czyta się ją jak powieść. Autor pokonał niezwykłe trudności, a z zadania swego wywiązał się znakomicie tworząc nie umiejętną kompilację, ale dzieło zupełnie oryginalne.

Językoznawstwo i literatura.

66. Barwiński Bohdan: „Opryszki" w słownictwie ludowem i na rycinach z XVII i XVIII wieku. Str. 230—250. Ziemia Czerwieńska, T. 2, Lwów 1936.

Nas tu interesuje filologiczny wywód terminu „opryszki", dlatego że w ten sposób określano również rozbójników miodoborskich. Autor wskazuje, że nazwa ta po raz pierwszy pojawiła się w źródłach w 1550 r., a wywodzi ją z języka rumuńskiego od słowa „opresór" — der Unterdrücker.

67. Danilewiczowa Maria: Tymon Zaborowski. Życie i twórczość (1799 — 1828). Str. VII + 267 + 4 tbl, 16 × 24 cm. [Warszawa] 1933. Studia z Zakresu Historii Literatury Polskiej, Nr 10.

Biografię poety znanego w literaturze polskiej pod nazwą „wieszcza Miodoboru" oparła autorka w dużej mierze na niewyzyskanym dotychczas dużym zbiorze 400 listów do Floriana Łaszowskiego. Dzięki temu jej badania rzucają nowe światło na postać Tymona Zaborowskiego. — Urodził się on w Liczkowcach, rodzinnej posiadłości Zaborowskich. Tu, u stóp Miodoborów, w pobliżu pięknego jaru kręciłowskiego upłynęło mu szczęśliwe dzieciństwo. Nauki odebrał w Krzemieńcu, gdzie przebywał 6 lat (1810—16) wraz ze swoim przyjacielem Florianem Łaszowskim z Suchodołu zdobywając listy pochwalne i odznaczenia swoich pedagogów. Z nich największy wpływ miał na zdolnego ucznia ks. Alojzy Osiński, znawca literatury polskiej i łacińskiej, który narzucił mu manierę pseudoklasyczną. W życiu towarzyskim

i społecznym krzemieńczan brał Zaborowski czynny udział z przejęciem i dumą piastując powierzone mu godności. Był czynnym członkiem, a potem prezesem Towarzystwa Dobroczynności Młodzianów Gimnazjum Wołyńskiego pozostającego pod opieką hr. Platera, następcy Czackiego. Rychło pierwsze utwory poetyckie otwarły mu wstęp na piątkowe zebrania literackie u hr. Platera, które rozsławiły w Krzemieńcu nazwiska kilku młodych wychowanków liceum, a między nimi również Zaborowskiego. W r. 1814 siedmiu z nich utworzyło Klub Piśmienniczy Uczniów Gimnazjum Wołyńskiego. Obok uprawianej lektury utworów członków klubu i najcelniejszych autorów polskich i obcych klub organizował zbiorowe prace literackie. Pobyt w Krzemieńcu, chociaż krótki, dał młodemu Zaborowskiemu wiele wiadomości i rozległą znajomość klasycznych utworów wszystkich czasów. — Następujący po nim dwuletni pobyt w Warszawie (1817—18) przyniósł szereg przykrych niepowodzeń. Tłumaczenie „Tankreda" Voltaire'a wystawione na scenie Teatru Narodowego spotkało się z surową krytyką. Recenzent ganił niepotrzebny pośpiech i niedbalstwo początkującego i pewnego siebie poety. Zaborowski odczuł jego uwagi boleśnie; odtąd swoje utwory przerabiał do nieskończoności, a od „warszawskich rymotwórców" odsunął się. Niepowodzeniem zakończyła się też próba wydawania czasopisma „Ćwiczenia Naukowe", którą podjęła grupa krzemieńczan bawiących w Warszawie. Zaborowski objął tam redakcję „oddziału literatury" i nadał mu wybitnie narodowy charakter. Mimo oryginalności i jasnej myśli przewodniej Warszawa nie interesowała się pismem zupełnie, natomiast z zapałem czytywano je w Krzemieńcu, a znane było we Lwowie, Humaniu i Wilnie. — Warszawskie niepowodzenia załamały poetę, utracił wiarę w wartość swych prac i wrócił do domu rodzinnego. Prace ogrodnicze, obcowanie z piękną przyrodą, podróże po całym Podolu po obu brzegach Zbrucza, życie towarzyskie, lektura i korespondencja z Łaszowskim wypełniły mu kilkanaście cicho spędzonych miesięcy. Spokój zburzyła i odebrała ochotę do pracy, a nawet życia, nieszczęśliwa miłość do baronowej Anny Czechowiczowej. Z apatii wyrwał Zaborowskiego nowy przyjaciel, konspirator Julian Sabiński, który nakłonił go do powrotu do prac poetyckich i obudził gorące uczucia patriotyczne. Obok Sabińskiego daje się wtedy zauważyć wpływ wielkiej poezji romantycznej i nowej przyjaciółki, również mę-

żatki, hr. Laury Zabielskiej z sąsiedniej Horodnicy. Od r. 1823 rozpoczął się okres ożywionej twórczości poetyckiej Zaborowskiego; wtedy powstały jego dramaty i „Dumy podolskie“. Przerwała ją samobójcza śmierć, której przyczyn trzeba szukać w stanie psychicznym poety, jego nadmiernej wrażliwości, niepowodzeniach, udręczeniach miłosnych, drażniących go przesądach otoczenia, wreszcie głębokim bólu nad losem Polski. Relacje Boberskiej i innych są nieprawdopodobne. Po śmierci poety rychło o nim zapomniano, a przyjaciele nie starali się o wydanie jego spuścizny. — Między poglądami i życiem z jednej a twórczością Zaborowskiego z drugiej strony istnieje głęboka rozbieżność. „Życie jego toczyło się romantycznie, twórczość zastygła w zimnych formach pseudoklasycyzmu“. Religie uważał za dzieła ludzi i sam zbudował sobie panteistyczny pogląd na świat. Wedle niego życiem Natury jest ogień, dusza ludzka jego odblaskiem, a śmierć zjednoczeniem z boskimi pierwiastkami Natury. Ludzie z swej natury są źli, a postępkami ich kieruje najczęściej brudny interes, szlachetniejsi są tylko młodzi. Marzył poeta o walce zbrojnej o niepodległość Polski, która by się rozpoczęła w Miodoborach, gdzie ucisk jest najsroższy. Do walki tej trzeba pociągnąć także lud przyznając mu wpierw prawo wolności osobistej, bo do umysłów ludzi uciemiężonych nie trafia żadna wyższa idea. Charakterystyczny jest również stosunek poety do przyrody Podola, w jego oczach najpiękniejszej. Był więc Zaborowski „romantykiem już przed poznaniem poezji romantycznej i ciekawym przykładem popierającym tezę, że w pewnych warunkach i przy pewnych typach umysłowości rodzą się i rodzić będą romantycy. Koleje życia są dokumentem o większej i istotniejszej wartości niż twórczość i mało oryginalny pogląd na świat“. — Twórczość Zaborowskiego omawia p. Danilewiczowa w drugiej części swej pracy zaczynając od „Klubu Piśmienniczego“, poematu hereikomicznego, w którym poeta żywo, barwnie i dowcipnie opisał prace wspomnianej wyżej organizacji młodzieży krzemienieckiej dodając cały szereg scen zmyślonych. Charakterystyki żywych postaci i opisy życia szkolnego liceum są jego najważniejszym walorem. Forma poematu to równy i bezbarwny trzynastozgłoskowiec. „Parnas we śnie“ jest jakby poetyckim wykładem historii literatury polskiej z uwzględnieniem jej stosunku do literatur obcych, w świetle którego Zaborowski ukazuje się jako zdecydowany klasyk i wielbiciel Racina. War-

tości artystycznej utwór ten nie posiada żadnej. Pewien postęp w stosunku do niego stanowi rozprawa: „O zewnętrznej budowie wiersza polskiego“, w której poeta broni z zapałem rymów, a wypowiada się przeciw miarom. Rychło jednak zmienił swoje zdanie. — Długo pracował Zaborowski nad wielką epopeją z czasów Bolesława Chrobrego pt. „Zdobycie Kijowa“. W ciągu pracy zmieniała ona kilka razy formę i treść. Drukiem pierwszy raz ukazała się w „Ćwiczeniach Naukowych“, przerobione dwie początkowe pieśni wydał poeta niebawem ponownie pt. „Aniela“, a po raz ostatni przerabiał pierwszą pieśń w Liczkowcach w 1819 r. Na treść poematu składają się, jak u Tassa, trzy wątki: historyczny, miłosny i fantastyczny. Tłem historycznym jest napad Rusinów na Sokal, oblężenie Kijowa przez wielką armię polską z 1018 r. i pochód posiłków idących przez Wołyń. Z akcją wojenną ściśle wiążą się dzieje „trójkąta“: Aniela, Dobremir (dzieci Chrobrego) i Dymitr ks. łucki. Oba wątki łączy żywioł fantastyczny, reprezentowany przez broniącego Kijowa czarownika Jamedyka Bluda i Boga wysyłającego Polakom na ratunek młodziana oświeconego u trumny św. Wojciecha. Akcja rozgrywa się w Sokalu i okolicy, na tajemniczym zamku Bluda, pod Kijowem, w Łucku i Gnieźnie. W ostatniej przeróbce przeniósł poeta miejsce pobytu Dobremira i Anieli z Sokala w Miodobory. Zaborowski odczuwał wielkość Chrobrego, ale nie umiał jej przedstawić; osobę króla odsuwa w cień jego przeciwnik Blud. „Tajemnicza postać Jamedyka ze względu na umiejętne skupienie na niej całego szeregu rysów niezmiernie charakterystycznych i skierowanie wszystkich możliwości czarnoksiężnika ku jednemu jasno określonemu celowi, zniszczeniu Bolesława Chrobrego, wyrasta na naczelną postać epopei i jest najlepszą kreacją Tymona Zaborowskiego“. Dokoła niej skupiają się również pomysły techniczne poety. Z pozostałych piękną jest postać starego Demrota, zaufanego rycerza Chrobrego i obrońcy Sokala. Inne kreacje są słabe. „W formie uderza duże wyrobienie i opanowanie trzynastozgłoskowca, a rymy są przedmiotem szczególnej troski. Poemat jest obiecującą zapowiedzią urwaną w połowie“. — Zbiór pieśni starożytnych, rzekomo odkrytych na Podolu, zamierzał Zaborowski wydać pt. „Bojan“. Pozostały jedynie trzy fragmenty z inwokacją, przypominają one byliny (I-szy), bądź ballady (II-gi). Zupełnie nieudałe są wszystkie utwory dramatyczne Zaborowskiego opracowane wedle wzorów

pseudoklasycznych. Najwidoczniej „forma epicka bardziej odpowiadała jego zdolnościom, a twórczość dramatyczna leżała poza granicami możliwości pisarskich“. Tłumaczenie „Tankreda“ polega na mechanicznym i dosłownym przekładzie francuskiego tekstu. Budowa „Bohdana Chmielnickiego“ jest niekonsekwentna, forma słaba, utwór niesceniczny, przeładowany monologami i rozwlekły. Interesować może tylko wybór tematu i poglądy społeczne poety, który włożył je w usta Bohdana (nieszczęściem Polski są magnaci, uciemiężyciele ludu). Podobnie niesceniczny jest „Umwit“, przedstawiający walkę chrześcijaństwa z pogaństwem na Pokuciu. Postęp widać tylko w ograniczeniu monologów. „Sztukę zabiło niewolnicze trzymanie się klasycznych jedności, zwłaszcza jedność miejsca, z którą Zaborowski w żadnym ze swych dramatów rady dać sobie nie mógł“. Osoby i sytuacje ze „Zdobycia Kijowa“ raz jeszcze powtarzają się w tragedii „Tajemnica czyli Borys i Milwiana“. Zawikłana akcja rozgrywa się nieprawdopodobnie szybko w przedsionku pałacu kijowskiego przypominającym korytarz hotelowy. — Z pośród liryk osobistych, powstałych w Liczkowcach, najciekawszy jest wiersz zatytułowany „Wieszcz Miodoboru“, w którym poeta analizuje własne stany psychiczne. „Zaborowski jest tu cały, z bezradną miłością kobiety i ojczyzny, z łzawą melancholią i niezachwianą pewnością wyjątkowości swego stanowiska, pokrzywdzenia i osamotnienia. Z utworu tego wywodzi się nazwa „wieszcz Miodoboru“ związana w historii literatury z postacią Zaborowskiego. — Najznakomitszym jego dziełem są „Dumy podolskie“ opracowane w latach 1823—27. Są one „rezultatem prawdziwego natchnienia poetyckiego i zapowiedzią dzieł dojrzałych“. Uświadomiwszy sobie w rozmowach z Sabińskim okropność położenia Polski, której losem nikt się w Europie nie interesuje, poeta postanowił, jak Tyrteusz, pieśniami swoimi porwać naród do walki o niepodległość i wszczepić w serca Polaków gorące umiłowanie wolności. Taki właśnie cel mają „Dumy“. Ich bohaterowie, młodzieniec Jermołaj i wieszcz Tymotej, są poetyckimi wcieleniami Zaborowskiego. Walkę pojmował on podobnie jak wszyscy powstańcy 1831 i 1863 r. Obrazy przyrody w „Dumach“ nabierają rumieńców romantyzmu. Przypomina ona najczęściej okolice rodzinnych Liczkowiec. Szczególnie ukochał poeta Miodobory, których wielkość przesadnie wyolbrzymił. Pięknie został oddany urok falistej wyżyny podolskiej i letniej

spieki. Znikły dawne marzenia o wspólnej słowiańskiej ojczyźnie, a również wyzbył się tu poeta zdecydowanie dawnych panteistycznych poglądów na Naturę. U kolebki „Dum podolskich“ stoją analogiczne cykle liryk patriotycznych: Parny'ego „Chansons Madécasses“, a zwłaszcza Moore'a „Irish Melodies“. Ale Zaborowski podobne motywy ujmuje w sposób samodzielny i wyraźnie podkreśla koloryt lokalny, daje szersze tło historyczne i wprowadza opowieść epicką. „Melodies“ były przeznaczone do śpiewu, „Dumy“ do recytacji. Budowa dum jest rozmaita i nowa. Widoczna dbałość o formę przypomina manierę pseudoklasyczną. Ale „rutyna ciążyła już tylko nad techniką wykonania, nastawienie twórcy było romantyczne w stu procentach“. Rywalami Zaborowskiego są podolscy poeci Gosławski, Starzyński i Korsak, jednakowoż prawdopodobnie on właśnie pojął podolskość najgłębiej i zasłużył na nazwę reprezentacyjnego poety naszej ziemi.

68. Zaborowski Tymon: Pisma zebrane. Opracowała Marja Danilewiczowa. Str. 4 nlb. + IV + 623 + 3 nlb, 18 × 25 cm. Warszawa 1936. Wydawnictwo Gabinetu Filologicznego Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Nr. 2.

Zbiór obejmuje całość literackiej spuścizny po Zaborowskim; wyłączono jedynie listy. Omówimy tu tylko te utwory „wieszcza Miodoboru“, które wiążą się treścią z Podolem.

„Fragmenty Bojana“ (s. 309—315) składają się ze wstępu, dwóch pieśni Bojana i opisania czarodziejskiej wyspy u ujścia Prutu. W porywającej inwokacji poeta wzywa „sławiańskie muzy“ i „Miodobory! grobowce zburzonego świata“, bohaterów naszych i ojców, aby prowadzili go pod Kijów, gdzie chce opisać sławę „walecznych przodków“. Bojan opiewa „boje i dzieła pamiętne“, jakich „nie widziały od wieków Zbrucza wody mętne“: najazd Pieczyngów na Podole, śmierć ich wodza Ertyna w strasznej walce nad Smotryczem, czerwonogrodzkie bogate i piękne strony, miejsca pobytu Ireny i Jermilego, groźną powódź Dniestru, która pozbawiła ich życia, wreszcie jar Dniestru, na którego skałach błądzą nocą duchy topielców.

Akcja tragedii „Bohdan Chmielnicki“ (s. 317—362) rozgrywa się nad Smotryczem; na scenie widać skały sterczące nad rzeką, las, a w dali między górami wieże Kamieńca. Działają cztery osoby: Bohdan Chmielnicki, jego syn Tymotej z żoną Heleną i Wodowicz hetman kozaków. Podolan, nawet chłopów

lub mieszczan kamienieckich nie ma. Rzecz dzieje się podczas tzw. potopu. Kamieniec oblegają daremnie kozacy pod wodzą dyszącego żądzą mordów i walk Tymoteja oraz jego doradcy Wodowicza. Walkę winno rozstrzygnąć przybycie posiłków idących pod Wyhowskim, które dziwnie spóźniają się. Niespodzianie przyjeżdża do obozu stary Chmielnicki spod obleganego jednocześnie Lwowa i wyjawia synowi swój program polityczny. On Polskę kocha i uważa za swą ojczyznę, pragnie ją jednak odrodzić, poprawić dolę ludu, a zniszczyć magnatów, którzy stale działają na szkodę państwa. Program ten upada, bo w obozie kozackim brak zgody. Wyhowski zdradza, daje odsiecz Kamieńcowi, a połączone wojska polsko-kozackie zwyciężają Bohdana. Tragedia kończy się śmiercią wszystkich działających osób. Chmielnicki zabija się sam, bo przeciwnicy nie mają odwagi targnąć się na jego życie.

„Dumy podolskie z czasów panowania tureckiego na tej ziemi“ (s. 489—523) składają się z 15 dum (wstępna jest bez tytułu, dalsze są numerowane i posiadają tytuły), z których każda tworzy zamkniętą dla siebie jednostkę. Wszystkie wiąże w jedną całość wspólna ideologja: umiłowanie wolności i idea walki zbrojnej Podolan z najeźdźcą Turkiem. Poeta może być szczęśliwy tylko w ojczystym kraju, tam, gdzie spędził młode lata, gdzie pracował jego ojciec, gdzie spoczywają przodkowie i przyjaciele. On nie pójdzie w obcej ziemi szukać swobody, ale zostanie w ojczyźnie, „jak ów krzyż, pomnik cierpień i żałoby“. A gdy przyjdzie czas haniebne rozkruszyć okowy, wezwie synów Podola do powstania: „Komu Ojczyzna, komu wolność miła! Rolnik — rycerzem, Ramię — puklerzem, Piersi — pancerzem, Orężem — siła“. — Z kolei następują obrazy bitwy stoczonej przez poczet powstańców z wrogim tłumem, wytrwałej pogoni za rotami pohańców, pobojowiska usłanego trupami poległych bohaterów i pieśń otuchy, jaką budzi w sercach powstańców pojawienie się wodza — Anioła mściciela. W innej dumie rycerzy zgnębionych widokiem spustoszonego kraju krzepi wieszcz Tymotej, którego lutnia nawet „posępnych grobów głuche cienie wzruszy“ i „mowę poziomu w niebios mowę zmieni“. Oczarowany pięknem gorącego podolskiego lata, poeta modli się: „Ty, który mogłeś od naszej posady, Odwrócić burze i szkodliwe grady — Oręż bezbożnych Twoją wstrzymaj mocą —“, a potem tłumaczy swoim ziomkom istotę wolności i potrzebę czynu zbrojnego:

„Wolność w tem życiu jest udziałem nieba, Aby ją zyskać, wznieść się do niej trzeba. Potrzeba do niej miłość z mlekiem wyssać, Jak orzeł zmłodu w burzach się kołysać, Jak on ramieniem wśród bojów zamętu Przeciwne losy rozstrzygać, Na widok śmierci patrzeć się bez wstrętu, Na jej się tchnienie nie wzdrygać". Przykładem objaśniającym te teoretyczne rozważania jest opis wytrwałej i bohaterskiej obrony Trembowli zakończony słowami: „Ta ziemia — z kości naszych przodków święta, W swoich wnętrznościach czuje i pamięta, Jakie ich dzieci mają do niej prawo". Obok konsekwentnie rozwiniętej ideologii, czynnikiem łączącym dumy są postacie młodzieńca Jermołaja i jego żony Heleny Chrzanowskiej, córki obrońcy Trembowli. Kochający się małżonkowie przebywają w ukryciu w nieskażonych jeszcze stopą pogańską Miodoborach i w kręgu przyjaciół sposobiących się do walki. Gdy doleci ich wezwanie wieszcza Tymoteja, ślubują oboje walkę o wolność aż do śmierci lub zwycięstwa. Basza kamieniecki pragnie schwytać Helenę, przywołuje już siedem lat więzionego Marka Makowieckiego, starego towarzysza Chrzanowskich, i obietnicą łask stara się go nakłonić, by służył wojskom tureckim jako przewodnik. Starzec odmawia, za co zostaje skazany na zsyłkę do Stambułu, ale w drodze nad Uszycą uwalnia go oddział kozaków Kunickiego. W puszczy miodoborskiej opowiada Makowiecki swe dzieje Jermołajowi. Wszystkie postacie występujące w „Dumach podolskich", czy to nazwane, czy to bezimienni powstańcy, to synowie Podola. Również tylko na Podolu rozgrywa się akcja; najczęściej pojawiają się „twierdze swobód naszych Miodobory", a dalej Kamieniec, Trembowla, Zawałów nad Lipą, jary Zbrucza, Smotrycza, Uszycy, Dniestru i cały Podola kraj garbaty. Przyroda ukazuje się najczęściej w szacie letniej, w skwarne dni sierpniowe.

W ostatniej przeróbce pieśni pierwszej „Zdobycia Kijowa" (s. 602—618) znów jesteśmy wśród Miodoborów. Tam, w zamku zbudowanym na górze przebywają pod opieką starego Demrota jego piękna córa Aniela i syn Chrobrego Dobremir. Młodzi kochają się, a ich miłosne wyznania przeplata poeta opisami przyrody. Maluje kręte koryto Zbrucza przebijające góry, skały wiszące nad urwiskami, pieczarę, bór i skały sterczące nad wierzchołkami drzew, z których szczytów rozlega się szeroki widok, wreszcie polany okryte kwieciem. Przyroda ta czaruje swym pięknem, nawet kręty Zbrucz „w to rozkoszne raz wpłynąwszy

łoże, choć ucieka z tych dolin, uciec z nich nie może". Tymczasem wybucha wojna polsko-ruska. Stary Demrot tłumaczy Dobremirowi jej przyczyny, wręcza mu wspaniały miecz Wigmana i wzywa do wymarszu pod Kijów. Czułe pożegnanie Dobremira z Anielą kończy pieśń.

69. Skulski Ryszard: Sieniawscy w literaturze. Str. 145—201. Ziemia Czerwieńska, Rocz. 3, z. 2. Lwów 1937.

Rozprawa powyższa jest pewnego rodzaju inwentarzem tego wkładu, jaki jeden polski ród możnowładczy złożył do skarbnicy naszej kultury. Jest więc ona jakby przyczynkiem do ogólnych rozważań prof. St. Łempickiego, wypowiedzianych w dziele pt. „Udział ziem południowo-wschodnich Rzeczypospolitej w piśmiennictwie polskim". Z pracowitych zestawień autora wynika, że aż 14 Sieniawskich z linii brzeżańskiej, zarówno mężczyzn jak i kobiet, pozostawało w ożywionych stosunkach z współczesnymi im literatami, którzy wierszem lub prozą uczcili ich działalność. Ale z wygaśnięciem rodu nie skończyła się jego rola w literaturze; pozostały do użytku literackiego jego ciekawe dzieje, które stały się wątkiem „Jana Bieleckiego" Słowackiego. Lwią część tej literatury brzeżańskiej wypełniają listy dedykacyjne i panegiryki o konwencjonalnej treści, formą przypominające ówczesną literaturę mieszczańską. Autorów jest cała galeria z Szymonowiczem na czele. W działalności Sieniawskich na polu kultury nie można znaleźć twórczej inicjatywy kierowniczej, a tylko wyjątkowo dadzą się zauważyć zarysy mecenatu.

Sztuki piękne.

70. Mańkowski Tadeusz: Dzieje sztuki na Ziemi Czerwieńskiej. (Przegląd badań 1918—1934). Str. 290—302. Ziemia Czerwieńska, t. 1. Lwów 1935.

71. Hornung Zbigniew: Stanisław Stroiński 1719—1802. Zarys monograficzny ze szczególnem uwzględnieniem działalności artysty na polu malarstwa ściennego. Z 40 rycinami w tekście i 12 tablicami. Str. 2 nlb 159+12 tbl, 20×28 cm. Lwów 1935. Prace Sekcji Historii Sztuki i Kultury Towarzystwa Naukowego we Lwowie, t. 2, z. 5.

Stanisław Stroiński zawdzięcza zainteresowanie się jego osobą i twórczością znamiennemu dla naszej doby zwrotowi w zapatrywaniach historyków sztuki na znaczenie baroku i rzetelnemu

talentowi, który posiadał. Za życia nie zdołał jednak artysta zasięgiem swych dzieł objąć całej Polski, działalność jego i sława ograniczała się do południowo - wschodnich jej dziedzin. Autor monografii ustala datę jego urodzin na r. 1719, a nie, jak sądził Rastawiecki w „Słowniku malarzy polskich" na 1725. Oparł się na zapisce metrykalnej, która odnosi się do Stroynickiego uważanego przez autora za identycznego ze Stroińskim. Przeczy też mniemaniu Rastawieckiego, że malarz nasz odbył studia we Włoszech, choć w pierwszych jego dziełach konstatuje wpływ wielu mistrzów baroku włoskiego. Nie uważa też, wbrew tradycji, Eckstеina starszego za jego nauczyciela, lecz opierając się na rękopisie znalezionym w zakonie oo. bernardynów dochodzi do przekonania, że o. Benedykt Mazurkiewicz twórca polichromii w kościele oo. bernardynów pierwszy instruował naszego mistrza. Za pierwszą pracę Stroińskiego uważa autor malowidła w przedsionku klasztoru oo. bernardynów wykonane w 1746 r. W początkach swojej działalności musiał Stroiński walczyć z nieprzychylnie dla artystów usposobionym cechem malarzy, którzy wytoczyli Ecksteinowi, Stroińskiemu i innym malarzom sprawę z powodu nie przestrzegania przepisów cechu. Miano im odebrać licencję, a nawet grożono więzieniem. Stroiński wyszedł jednak obronną ręką, a ataki przycichły w 1759 r., kiedy otrzymał od króla przywilej na wolne wykonywanie sztuki malarskiej. Było to walne zwycięstwo artystów nad cechem. Ponowiły się jednak ataki w r. 1771, które zakończyły się również sukcesem Stroińskiego. Niewątpliwie do podniesienia jego pozycji przyczynił się już poprzednio (1765) otrzymany tytuł sekretarza królewskiego, który wyjednał dlań protektor jego, ks. arcybiskup Sierakowski. Walka z cechem malarzy ostatecznie zakończyła się w roku 1780, kiedy Stroiński i artyści grupujący się dookoła niego zażądali od urzędu miejskiego wydania ksiąg i przywilejów bractwa cechowego i otrzymali je. Odtąd upływa życie Stroińskiego spokojnie; jest on naczelną postacią grupy malarzy lwowskich i propaguje nowoczesne ideały malarstwa artystycznego, zdobywa należną sobie pozycję w świecie ustawiczną pracą aż do czerstwej starości. Jego zdrowie załamuje się dopiero w r. 1790 i wtedy wycofuje się artysta z życia czynnego. Śmierć zaskoczyła go w r. 1802, a nie jak podaje Rastawiecki w r. 1799. Ważną rolę w jego życiu odegrał jego protektor ks. arcybiskup Sierakowski znany mecenas sztuki, który cały swój majątek

poświęcił dziełu upiększenia świątyń w swojej diecezji i popierania artystów włoskich, a szczególnie polskich, których grupa zdołała rozwinąć swój talent pod jego skrzydłami opiekuńczymi. — Wiele miejsca poświęca autor zagadnieniu, czy Stroiński był pochodzenia szlacheckiego. Używał on tytułu „nobilis", który zdaniem autora przysługiwał też mieszkańcom miast nobilitowanych. Wbrew mniemaniu Rastawieckiego, tytułowi „generosus", który mistrz odzyskał za Józefa II, orzeczeniu Sądu Grodzkiego, który w r. 1782 poświadcza, że Stroiński był szlachcicem, (semper pro nobili reputatum esse), dochodzi jednak autor do wniosku, że artysta był mieszczaninem na podstawie wywodów logicznych nie zawsze przekonywujących. — Ustalenie daty, kiedy Stroiński rozpoczął samodzielną pracę mistrza sprawia autorowi trudności. Na podstawie dokumentów skłonny jest mniemać, że pierwszym jego dziełem są malowidła w przedsionku klasztoru oo. bernardynów, które jednak zaginęły bez śladu (1746). Przypisuje mu też autorstwo polichromii z kaplicy Przenajświętszego Sakramentu w katedrze przemyskiej, za której twórcę uważano nieznanego mistrza włoskiego. Po szczegółowej analizie „Komunii apostołów" i „Mycia nóg" zdobiących tę kaplicę odkrywa w nich autor liczne wpływy włoskie, jak Carla Maratty, Correggia, Guida Reniego, Agostina Carracci i Tintoretta. Argumenty te słabo przemawiają za tym, że autorem tych malowideł nie był Włoch, a jeżeli był nim Stroiński, że nie odbywał studiów we Włoszech. Podobieństwa tych malowideł do późniejszych dzieł mistrza, ani charakterystycznych cech stylu Stroińskiego autor nie wykazuje, owszem krytykuje nieudolność początkującego artysty. Autorstwo Stroińskiego w odniesieniu do polichromii w kościele N. P. Marii Śnieżnej ustalił Łobeski odkrywszy napis świadczący, że mistrz wykonał ją w latach 1750—51. Niestety zachował się tylko opis Łobeskiego, gdyż malowidła uszkodzone usunięto i zastąpiono ornamentacją złotych gwiazd na błękitnym tle. — Trudno też ustalić, które malowidła wyszły spod pendzla Stroińskiego w kościele oo. bernardynów w Leżajsku. Pracowało nad nimi 3 malarzy: Kłosowski, Wojtanowski i Stroiński. Wbrew mniemaniu dr. Adama Bochnaka, który część malowideł przypisuje Marcinowi Stroińskiemu, wysuwa autor twierdzenie, że twórcą ich mógł być tylko Stanisław Stroiński, a opiera je na pokrewieństwie stylu, którego jednak bliżej nie rozstrząsa. Dowód swój opiera na podobień-

stwie do malowideł Stroińskiego w kościele w Krystynopolu; zestawia je też z malowidłami wspomnianymi w Przemyślu niepewnego autorstwa nie ukrywając przy tym zasadniczych różnic. Stroińskiemu przypisuje „Adorację pasterzy", „Ofiarowanie N. P. Marii", „Nawiedzenie św. Elżbiety", „Zaślubiny św. Józefa z Marią", „Kazanie 12-letniego Chrystusa" i „Zmartwychwstanie Pańskie". Obrazy opisuje dokładnie i poddaje je analizie estetycznej, surowej ocenie poddaje „Wniebowstąpienie" i sceny historyczne lub oparte na legendzie, które nie odpowiadają charakterowi twórczości Stroińskiego, a które jednak jemu przypisuje. — Żadnej wątpliwości nie ulega autorstwo Stroińskiego w odniesieniu do dekoracji malarskich kościoła oo. bernardynów w Krystynopolu, które ujawniono w czasie restauracji kościoła w r. 1909. (Zapiska w kronice klasztoru). Sokalski przypisuje je jednak malarzowi, który w XIX w. odnawiał freski. Stroiński rozpoczął pracę w r. 1756, a ukończył w ciągu 3 lat. Honorarium jego wynosiło 16.016 złp. Pożar w r. 1852 wyrządził poważne szkody polichromii, malowidła na sklepieniu uległy zagładzie, zostały tylko malowidła ścienne: „Św. Franciszek każący do ryb", „Św. Franciszek nauczający braci na puszczy", „Ofiarowanie N. P. Marii". W nawie poprzecznej zachowały się „Cud św. Antoniego", „Madonna z Dzieciątkiem", „Św. Antoni z Dzieciątkiem błogosławiący kalekom", „Nawiedzenie", „Ucieczka z Egiptu" i „Narodzenie N. P. Marii". Polichromia prezbiterium uważana przez autora za najbardziej interesującą zawiera 2 krajobrazy i „Chrzest w Jordanie" wykazujące wpływ Guida Reniego i Carla Maratty. Ponadto zdobi prezbiterium „Uzdrowienie opętanego przez czarta", „Zwiastowanie", na płaskim sklepieniu, a w kaplicy św. Klemensa przedstawiono uzyskanie relikwii św. Klemensa z rąk papieża Innocentego XIII przez Salezego Potockiego w r. 1723 i „Ofiara Melchizedecha", która jest kopią Rubensa. — Na pierwszy plan wysuwają się w kościele pp. klarysek we Lwowie „Adoracja Baranka" w głównej nawie i „Wniebowzięcie N. P. Marii" w presbiterium. Malowidła w kościele pp. klarysek przypisuje Piotrowski i Bochnak Marcinowi Stroińskiemu. Autor uważa, że w tych czasach dokonała się w artyście znamienna ewolucja „polegająca na rozluźnieniu ornamentalnej ciągłości rysunku na rzecz operowania masami świateł i cieni". Ujawnia się to głównie w malowidłach w kościele oo. dominikanów w Podkamieniu w r. 1766. W de-

koracji ściennej uderzają odrazu motywy iluzjonistyczne. Na czoło wysuwają się malowidła przedstawiające „Nawiedzenie św. Elżbiety“ i „Wniebowzięcie N. P. Marii“. Malarz zarzuca kontur wyrazisty, a dąży do wyrażenia lotności i „czegoś nieuchwytnego“. — Najwięcej rozgłosu zdobyły dla artysty naszego malowidła w katedrze lwowskiej wykonane na zlecenie arcybiskupa Sierakowskiego w latach 1770—75. Autor podaje dokładnie przebieg prac i pertraktacyj opierając się na dokumentach. — Freski Stroińskiego zdobiące prezbiterium katedry usunięto w czasie restauracji katedry z końcem XIX w.; ocalał tylko portret arcyb. Sierakowskiego. Wyobrażenie o zaginionych freskach dają tylko opisy Łobeskiego i Maurycego Dzieduszyckiego. Zachowały się „Nawiedzenie św. Elżbiety“ motyw często występujący u Stroińskiego, „Pokłon pasterzy“ i „Hołd Trzech Królów“ odznaczający się barwnością stroju składających hołd. Sklepienia krzyżowe naw bocznych zdobią sceny z życia N. P. Marii. Malowidła te cechuje symbolika, którą po raz pierwszy spotykamy w twórczości Stroińskiego. Ściany boczne pokrywają malowidła przedstawiające „Chrystusa nauczającego“ i „Ofiarowanie Jezusa w świątyni“. Zachowały się również malowidła w kaplicach. Najciekawsza jest „Gloryfikacja Przenajświętszego Sakramentu“. Obrazy jego charakteryzuje niepokój i gest dramatyczny. — Protekcja biskupa Sierakowskiego utorowała dalszą drogę Stroińskiemu; odtąd wykonuje szereg wielkich prac między innymi wraz z artystą Gertnerem w kościele franciszkanów w Przemyślu i w Hussakowie koło Przemyśla. — Do najwspanialszych dzieł Stroińskiego należy polichromia kościoła oo. dominikanów w Tarnopolu. Malowidła poświęcone zostały głównie św. Wincentemu Fereriuszowi, którego cuda artysta uwiecznia. Na pierwszy plan wysuwa się uzdrowienie chorej i ocalenie tonącej. Sklepienia kościoła tarnopolskiego dawały szczególnie dogodne warunki dla artysty, który mógł też pełnię swej sztuki rozwinąć w kierunku iluzjonistycznym i tworzeniu postaci pełnych wyrazu. Autor widzi w tych obrazach nawrót ku „ideałom szlachetnie pojętej rzeczywistości“. W nawach bocznych zasługują na uwagę „Zwiastowanie“ i „Adoracja pasterzy“ powtórzona z katedry lwowskiej, w lewej nawie wizja papieża Innocentego III (św. Franciszek i Dominik). Centralnym punktem malowidła jest iluzjonistyczna kopuła, której kościół nie posiada, wykonana z niezwykłą finezją dowodzącą, że Stroiński jest pierwszorzęd-

nym dekoratorem. Pod koniec życia dekorował jeszcze Stroiński kościół parafialny w Łopatynie. Są to najwybitniejsze utwory obok tarnopolskich, były jednak dotychczas nieznane. Niektóre obrazy ilustrują symbole Bogarodzicy z litanii loretańskiej. Dwa obrazy odnoszą się do inwokacyj „Domie złoty“ i „Wspomożenie wiernych“, „Pocieszcielka utrapionych“. Środek kościoła zajmuje jak w Tarnopolu w eliptycznej czaszy iluzjonistyczna kolumnada. Na sklepieniu nawy kościoła rozwinął artysta jedną z najlepiej udanych scen „Wniebowzięcia“ motywu często przezeń powtarzanego. — Monografię bogatą w treść zamyka ocena stanowiska Stroińskiego na tle iluzjonistycznego malarstwa kościelnego. Po zwięzłej charakterystyce twórców iluzjonizmu w baroku, Correggia w Parmie, a Lanfranca w Rzymie oraz artystów bolońskich braci Carracci, Guida Reniego i Domenichina zajmuje się autor bliżej malarzem Andrea Pozzo, którego uważa za najwybitniejszego przedstawiciela iluzjonizmu. Od czasów Rastawieckiego przyjmowało się, że Stroiński zależny był w swojej twórczości od Pozza. Dr Bochnak wybiera pośrednią drogę między wpływami Pozza i Tiepola. Autor naszej monografii przeciwstawia się po zbadaniu całego materiału mniemaniu swoich poprzedników i dochodzi do przekonania, że poza iluzjonistyczną kopułą w Tarnopolu i „Adoracją Baranka“ w kościele klarysek we Lwowie, gdzie widoczny jest wpływ Pozza, Stroiński reprezentuje raczej kierunek Carla Maratty, oznaczający powrót do ideałów Rafaela w sztuce baroku „do szlachetnej prostoty i formalnego piękna“. Naśladowcy Maratty nie znajdują upodobania w „zawiłych alegoriach i dręczących wizjach“ i apoteozują raczej pogodę błogą i wdzięk, a doprowadzają do doskonałości rysunek postaci i kompozycję. Tym to zasadom służy Stroiński. Liczne jego kompozycje pozostają pod wpływem „Wniebowzięcia N. P. Marii“ w S. Maria del Orto Calandrucciego lub glorii św. Klemensa Giuseppe Chiari w S. Clemente, czyli hołduje zasadom mistrzów baroku z pierwszej ćwierci XVIII w. w Rzymie. Autor nie zamyka jednak oczu i na różnice. Oto strona dekoracyjna fresków Stroińskiego znajduje swoje źródło w dziełach mistrzów bolońskich. Ponieważ autor wykazuje ścisły związek zachodzący między malowidłami Stroińskiego a włoskimi mistrzami baroku, sam zaś przeczył jego studiom włoskim wbrew opinii Rastawieckiego i tradycji, musi szukać źródeł tego wpływu. Początkowo twierdzi, że pośrednikiem między Stroiń-

skim a Włochami był jego nauczyciel o. Mazurkiewicz, który odbywał studia w Bolonii. Sam jednak czuje, że pomost ten jest za słaby i dlatego ucieka się do dość zawiłej kombinacji. Za źródło wpływów włoskich w sztuce Stroińskiego uważa malowidła w kościele oo. karmelitów we Lwowie. Cóż, kiedy napis nad chórem w kościele wymienionym głosi że świątynia została w latach 1869—1870 staraniem konwentu przyozdobiona malowidłami ściennymi". Zmuszony więc ucieka się do kombinacji, że jest to tylko odnowienie dawnych fresków opisanych przez Łobeskiego w r. 1852, który twierdzi, że malowidła kościoła tego pochodzą z pierwszych dziesięcioleci XVIII w., a malowidła na ścianach z drugiej połowy XIX w. Twórcą pierwszego malowidła miał być według autora jakiś nieznany mistrz boloński, może nauczyciel o. Mazurkiewicza. Ponieważ freski te mają być podobne do dzieł Stroińskiego, przyjmuje autor, że one to były szkołą dla Stroińskiego, a nawet Eksteinów i źródłem wpływów włoskich we freskach Stroińskiego. Trudno tylko byłoby udowodnić, że polichromia opisana przez Łobeskiego jest identyczna z freskami XIX w., które może powstały pod wpływem Stroińskiego i stąd ich podobieństwo niezbyt znowu wyraźne, jak sam autor przyznaje mówiąc: „Na pochwałę jednak naszego twórcy (Stroińskiego) podnieść wypada, że nie ograniczył się on do ślepego naśladownictwa dekoracyj włoskiego mistrza, ale starał się w oparciu o przytoczony wzór stworzyć samodzielnie przemyślane obrazy..." Musiałoby się też udowodnić, o ile kombinacja jest słuszną, że tym mistrzem był Włoch i bolończyk. — W końcowych rozdziałach omawia jeszcze autor stosunek Stroińskiego do mistrzów zachodnich i znaczenie jego w dziejach malarstwa polskiego. Po zestawieniu jego prac z kilku poprzednikami włoskimi pracującymi w dziale iluzjonistycznego malarstwa i innego pochodzenia mistrzami w Polsce, dochodzi autor do wniosku, że Stroińskiemu należy przyznać pierwsze miejsce w dziedzinie malarstwa iluzjonistycznego, jakkolwiek pod innymi względami przyznaje autor pierwszeństwo Czechowiczowi. Ustępuje też miejsca Stroiński pod pewnymi względami Tadeuszowi Kuntze, zmarłemu w r. 1793 w Rzymie. Za wielką zasługę Stroińskiego uważa autor, że wykształcił szereg zdolnych uczniów, których wielu wylicza. — Praca Hornunga jest bardzo bogata w treść, operuje dużym materiałem, dowodzi wielkiej

znajomości malarstwa barokowego i wrażliwości estetycznej oraz skłonności do kombinacyj, które tu i ówdzie idą zbyt daleko.

Adam Heilpern.

72. Hornung Zbigniew: Antoni Osiński najwybitniejszy rzeźbiarz lwowski XVIII stulecia. Str. 79 + 22 tbl., 17 × 25 cm. Warszawa — Lwów 1937. Biblioteka Zakładu Architektury Polskiej i Historii Sztuki Politechniki Warszawskiej, t. 7.

W XVIII w. sztuka lwowska przeżywała złoty okres swego rozwoju i promieniowała szeroko na sąsiednie ziemie. Czołowe miejsce wśród artystów lwowskich tego czasu zajmuje nieznany dotychczas z imienia i nazwiska twórca drewnianych figur pod kopułą kościoła dominikanów lwowskich. Już od dawna historycy sztuki zwracali uwagę na jego znakomite dzieła, zwłaszcza w kościołach parafialnych w Hodowicy (pod Lwowem) i Monasterzyskach, ale osoby artysty nie można było odgadnąć, mimo dużych wysiłków w tym kierunku. Dokonał tego ważnego odkrycia p. Hornung po siedmiu latach żmudnych poszukiwań. Udało mu się mianowicie stwierdzić na podstawie obszernych zapisek kroniki oo. bernardynów w Zbarażu, że dziesięć ołtarzy tamtejszego kościoła wybudował sumptem szlachty okolicznej snycerz lwowski Antoni Osiński. Siedem z tych ołtarzy dochowało się do naszych czasów, a wytworność tych dzieł i charakterystyczna finezja wskazują niezbicie, że wyszły one z pod dłuta mistrza z Hodowicy i Monasterzysk. Potwierdza tę wersję ćwiartka papieru znaleziona jeszcze w r. 1883 za wielkim ołtarzem kościoła klasztornego w Leszniowie koło Brodów, na której ktoś zapisał, że rzeźby do trzech tamtejszych ołtarzy wykonał Antoni Osiński, a styl czterech pięknych posągów w ołtarzu głównym znowu wskazuje na rękę rzeźbiarza figur dominikańskich. Odszukawszy w ten sposób zaginione imię artysty, który wbrew wszelkim przewidywaniom okazał się Polakiem, mógł autor z kolei stwierdzić w aktach lwowskich, że był on mieszczaninem, mieszkał stale we Lwowie na przedmieściu krakowskim, a stosunki rodzinne i towarzyskie łączyły go ściśle z całym ówczesnym lwowskim światem artystycznym. — Na terenie wojew. tarnopolskiego dochowały się do naszych czasów dzieła mistrza Osińskiego w kilku miejscowościach. W Zbarażu nad wykonaniem tamtejszych ołtarzy w kościele bernardyńskim pracował on w latach 1756—1759. Najpiękniejsze są figury św. Róży oraz zakonnika w bernardyńskim habicie.

Św. Róża uchwycona została w tanecznym ruchu, w chwili gdy z wyszukaną gracją przegina się silnie ku przodowi i jak doświadczona aktorka podkreśla plastykę niezwykłej pozy gestykulacją rąk i cienkich paluszków. Natomiast zakonnik przeżywa właśnie chwilę mistycznego upojenia w duchowym obcowaniu z Bogiem, głowa jego w tył odrzucona tonie w niemym zachwycie, który potęgują jeszcze otwarte usta i oczy utkwione w zaświatach. — W bezpośrednim związku genetycznym z rzeźbami zbaraskimi pozostają utwory snycerskie w kościele parafialnym w Monasterzyskach, na które składają się ołtarz główny, dwa boczne, ambona i baldachim nad chrzcielnicą. Powstały one około 1758 r. Szczególnie zachwycają oko widza dwie naturalnej wielkości figury stojące po obu stronach wielkiego ołtarza. Należą one do najpiękniejszych utworów lwowskiej rzeźby rokokowej i są wyobrażeniem estetycznego ideału owych czasów. Jedna z figur, przedstawiająca św. Michała Archanioła w zbroji, imponuje rozmachem swej wyniosłej i dumnej sylwety, druga wyobraża Anioła Stróża jako urodziwego, smukłego młodzieńca o kobiecej niemal twarzyczce, wskazującego ręką niebo małemu dziecku. Obie postacie zdobią majestatyczne skrzydła. Nastrój radosny osiąga tu najwyższy stopień nasilenia. — Mniejszą wartość posiadają rzeźby kościoła w Leszniowie. Do największych wyżyn artyzmu wzniósł się Osiński w rzeźbach wykonanych dla kościoła parafialnego w Hodowicy, ale prac tych nie ukończył. Śmierć przerwała jego życie około 1765 r. w okresie najbujniejszego rozwoju twórczości artystycznej. — Sztuka mistrza z Hodowicy i Monasterzysk wywarła wpływ na kilku współczesnych mu rzeźbiarzy lwowskich, którzy usiłowali go naśladować. Do takich naśladownictw należy wielki ołtarz w kościele parafialnym w Busku wykonany przez Jana Obrockiego, który jest kopią wielkiego ołtarza w Hodowicy. Urokowi Osińskiego uległ nawet Pinzl, twórca szeregu rzeźb w Buczaczu. — Rokokowe rzeźby Antoniego Osińskiego przypominają prowincjonalną szkołę snycerzy niemieckich XVIII w. nawiązujących jeszcze do tradycyj późnego gotyku. Ten sam subtelny wątek przewija się przez całą sztukę lwowskiego rzeźbiarza. „Odzywa się on ledwo dosłyszalnym echem w ostrych i kanciastych załomach twardo stylizowanych fałdów szat pod tamburem kopuły kościoła dominikanów lwowskich, silniejszym głosem rozbrzmiewa następnie w niewysłowionej melodii bogato i malowniczo

ukształtowanej draperii figur bolejącej pod krzyżem Madonny w Hodowicy i ascetycznych mnichów w Leżajsku, aby wybuchnąć transcendentalną siłą w wizerunkach ukrzyżowanego Mesjasza i dramatycznym posągu Abrahama rzucającego się jak rozjuszony żbik na swą znieruchomiałą ze strachu ofiarę. Z drugiej strony wszakże nie brak utworom naszego mistrza znamiennej dla epoki rokoka radosnej afirmacji życia, objawiającej się w uwydatnieniu zmysłowego wdzięku przepięknych postaci anielskich w Monasterzyskach i świeckiej kokieterii wytwornych dam ze Zbaraża i Nawarii (pod Lwowem), co również stanowi jeden z ideałów przytoczonych mistrzów". Z pośród nich najbardziej pokrewną Osińskiemu indywidualnością jest jego rówieśnik Józef Tadeusz Stammel. Ale rzeźbiarz polski przewyższa go i jego wszystkich kolegów „wykwintnością smaku, subtelnością w oddaniu eterycznego wdzięku i lekkości oraz porywającą dynamiką nieokiełzanego ruchu". A nawet w porównaniu z niemieckimi mistrzami oficjalnego czy akademickiego odłamu pozostającymi na usługach książąt i dostojników kościelnych wyróżnia się korzystnie wartością swej produkcji i nie ustępuje im doskonałością formy ani bogactwem inwencji. — „Mistrz z Hodowicy i Monasterzysk był niewątpliwie jednym z pierwszych twórców, którzy wynieśli sztukę polską na wyżyny produkcji artystycznej krajów zachodnich, w jego osobie znajduje Polska godnego przedstawiciela rzeźby XVIII wieku, jakim nie może pochlubić się żaden z słowiańskich narodów", i obok Wita Stwosza największego artystę czasów przedrozbiorowych. Współcześni, którzy pozostawali pod urokiem smaku francuskiego, nie doceniali go, a prawdopodobnie nawet on sam nie zdawał sobie sprawy z wartości swoich prac. Dlatego za życia nie doczekał się Antoni Osiński uznania i zaszczytów, a po śmierci nawet imię jego zaginęło i trzeba było wiele trudu, by je wygrzebać z pod pyłu zapomnienia".

73. Hornung Zbigniew: Opieka nad zabytkami sztuki i kultury na obszarze Małopolski Wschodniej w latach 1931—1934. Str. 303—309. Ziemia Czerwieńska, t. 1, Lwów 1935.

W ustępie „Województwo tarnopolskie" opisano roboty konserwatorskie przeprowadzone w 21 miejscowościach.

Wykaz ważniejszych pomyłek.

Str. 11	w. 8	od g.	zam.	przyśpieszyć	ma być	uniemożliwić
„ 12	„ 6	„ „	„	*łoš atu*	„ „	*łoš͵atu*
„ 12	„ 3	od d.	„	*śv́ato*	„ „	*śvato*
„ 13	„ 11	„ „	„	*vz'|ẙu̧*	„ „	*vź|ẙu̧*
„ 15	„ 10	„ g.	„	*vz'ẙu̧*	„ „	*vź͵ẙu̧,*
„ 16	„ 2	dopis.	„	*hyšk'|ẙ*	„ „	*h'yšk'|ẙ*
„ 19	„ 2	od g.	„	*s'|imi̯e*	„ „	*ś|imi̯e*
„ 26	„ 8	od d.	„	*zeł͵eńi śv yta*	„ „	*zeł̦|eńi śv'yta,*
„ 26	„ 7	„ „	„	*ti l udy*	„ „	*t'i l|udy*
„ 27	„ 11	„ „	„	*c|ałyi̯ deń*	„ „	*c͵ał̦yi̯ deń*
„ 27	„ 6	„ „	„	*ǵ*	„ „	*ǵ*
„ 28	„ 14	„ g.	„	Znaczenie	„ „	Znacznie
„ 29	„ 4	„ d.	„	*voł|os'ki*	„ „	*voł͵os'k'i*
„ 32	„ 15	„ „	„	*dvě ovьci*	„ „	*dvě ovьci*
„ 33	„ 10	„ g.	„	gwar wschodnich	„ „	gwar zachod.
„ 35	„ 10	„ g.	„	archaicznych	„ „	specyficznych
„ 37	„ 1	„ „	„	*i̯šo.u̧*	„ „	*i̯šou̧*

„ 41 mapa sł. 2. Przy miejscow.: 34, 35, 60, 63, 68, 96, 98, 100, 120 ma być *łyłyk*, a nie *łył'yk*.

„ 47	w. 18	od d.	zam.	*zastoro͵nok*	ma być	*zastor|onok*
„ 47	„ 10	„ g.	„	*zap ilnći*	„ „	*zap ilnyći*
„ 70	w. 8	od d.	zam.	intewencji	ma być	interwencji
„ 87	„ 5	„ d.	„	pary	„ „	parę
„ 91	„ 17	„ g.	„	*mellifolium*	„	*millefolium*

„ 97 „ 1 „ „ przed zbliżył się dopisać Adam

„ 107	„ 4	„ d.	zam.	*Mairicaria*	ma być	*Matricaria*
„ 107	„ 2	„ „	„	*sabinae*	„ „	*sabina*

„ 145 „ 15 i 16 od d. zam. bluszczyka ziemnego... *(Glechoma hederacea)* ma być tojeści rozesłanej... *(Lysimachia nummularia)*.

Str.	153	w. 20 od g.	zam.	ezepia	ma być	czepia
„	158	w przypisku	„	143	„ „	145 (84),
		słowa następujące po cyfrach opuścić.				
„	159	w. 18 od g.	zam.	*montona*	ma być	*montana*
„	159	w przypisku	„	88	„ „	139 (78)
„	161	w. 11 od g.	„	*tyluć*	„ „	*tyluż*
„	162	„ 19 „ d.	„	kloaczy	„ „	klaczy
„	163	w przypisku	„	91 i 101	„ „	142 (81)
„	166	„ „	„	*fracowatym*	„ „	*francowatym*
„	167	w. 9 od g.	„	kozobój	„ „	kozodój
„	171	„ 12 „ d.	„	którą	„ „	które
„	174	„ 14 „ „	„	kostki	„ „	kotki
„	174	„ 5 „ „	„	*parantossilaris*	„ „	*paratonsilaris*
„	175	„ 7 „ „	„	*Melitlis*	„ „	*Melittis*

Z DRUKARNI FR. FLISA DAWNIEJ L. WIERZBICKIEGO W TARNOPOLU.